

Michael Palmer

Cicha Kuracja

(Silent Treatment)

Przełożył Michał Madaliński

*Książkę tę dedykuję
redaktorce wydawnictwa Bantam Books, Beverly Lewis,
z wyrazami wdzięczności
za dziesięć lat cierpliwości, zrozumienia, przyjaźni,
łagodnego humoru, mądrości, zachęty i wiary we mnie*

Moje najgłębsze podziękowania składam Susan Palmer Terry, Donnie Prince, Davidowi Becherowi, Shanie Sonnenburg i Paulowi Weissowi za ich wkład w tę powieść.

Specjalne wyrazy uznania dla Stuarta Applebauma, wiceprezesa i dyrektora ds. public relations wydawnictwa Bantam – za zachętę, przenikliwość i poświęcenie edytorstwu.

I

– Teraz zajmie się tobą Doktor.

Kiedy Ray Santana usłyszał te słowa wypowiedziane przez Orsina, zrozumiał, że niedługo umrze, i to umrze w męczarniach.

Minęło jakieś dziesięć godzin od chwili, gdy zerwano mu z oczu plaster. Dziesięć godzin w więzach i z kneblem w ustach; skrępowano go z taką wprawą, że nie mógł poruszyć nawet głową. Dziesięć godzin meksykańskich piosenek i muzyki tanecznej z ulicy gdzieś ponad nim. Słuchał ich ze świadomością, że z jego punktu widzenia ten rozbawiony tłum mógłby równie dobrze świętować gdzieś na Marsie. Dziesięć godzin, w czasie których w zasięgu jego wzroku pojawił się jedynie ogromny karaluch.

Miał ze cztery centymetry długości. Może pięć. Wylazł ze szpary w zagrzybionej ścianie piwnicy i bez pośpiechu wędrował po podłodze. Ray podążał za nim wzrokiem, dopóki karaluch nie znikł, i czekał, aż wróci. Przez chwilę rozmyślał o karaluchach – zastanawiał się, jak uprawiają seks, czy mają jednego partnera na całe życie. Potem wyobraził sobie swoją rodzinę: Elizę przyrządzającą swoją niewiarygodną paellę, Raya juniora wkraczającego w swój trzeci rok. Pomyślał o swoim życiu sprzed Elizy – Road Warriors, narkotyki... decyzja odejścia z bandy i rozpoczęcia studiów... decyzja, która, jak na ironię, zaowocowała wylądowaniem w DEA, rządowej agencji do walki z narkotykami, w charakterze tajnego agenta.

Teraz, po dziesięciu latach mozolnej roboty, ma poznać Doktora. A potem – bardzo niedługo, jak podejrzewał – umrze.

Bez żadnej zrozumiałej przyczyny wszystko się z hukiem zawaliło, choć przecież rezultat trzech lat ciężkiej pracy był tuż-tuż, właśnie nadszedł czas na przygotowanie aktów oskarżenia i wezwanie mundurowych. Siedział tak głęboko zakonspirowany, że lepiej nie można. Jego spotkanie z Seanem Garveyem, któremu miał doręczyć dowody, zostało przygotowane z zachowaniem wszelkich środków ostrożności: cztery godziny w ruchu, mylne tropy, wielokrotne sprawdzanie i trasa, na której nikt nie mógł ich śledzić. I nagle, ni stąd, ni zowąd, wszędzie wokół nich wyrosli jak spod ziemi ludzie Alacantego. I po chwili było już po wszystkim. Nie oddali nawet jednego strzału, nie zadali ani jednego ciosu. Garveya zabrali Bóg raczy wiedzieć dokąd, a jemu zawiązali oczy, wepchnęli go do bagażnika mercedesa, zawieźli z powrotem do miasta i po godzinie powlekli jakimiś piwnicami do tego lochu.

Zastanawiał się, czy Doktor zajął się już Garveyem.

Stary Garves może i trzymał się jakiś czas i nie od razu zaczął śpiewać, ale pod fornirem na wysoki połysk krył się mięczak. Na widok pierwszej kropli własnej krwi, pod wpływem pierwszego prawdziwego bólu – mógł to być elektryczny pastuch albo nóż, albo imadło, czy też co tam będą mieli pod ręką – wyśpiewa wszystko jak z nut. Wypaple każde nazwisko, jakie mu

przyjdzie do głowy, wierząc w głębi serca, że jeśli nie sprawi ludziom Alacantego zbyt wielu kłopotów, ujdzie z życiem.

„... Tijuana...? Ach tak, chodzi o faceta nazwiskiem Gonzales. Od trzech lat ma kiosk z owocami w centrum, ale tak naprawdę to agent federalny... Vera Cruz? Tak, tego gościa też znam...”

Cholera, Garves, wybacz mi, pomyślał nagle Santana. Rozumiem... Do diabła, to ja jestem agentem w terenie. Twoje miejsce jest za biurkiem. Siedzę tu sobie i mam ci za złe, że puszczasz farbę, a przecież mnie oni nawet jeszcze palcem nie tknęli. Poza tym ty nie wiesz nawet dziesiątej części tego o konspiracyjnej siatce w Meksyku, co ja. Ale nie mam zamiaru im tego powiedzieć, choćby nie wiem co. Mój chrzest w Road Warriors był gorszy niż cokolwiek, co te szuje mogą tu dla mnie wymyślić. Spróbuj, Garves. Wytrzymaj, ile będziesz mógł. Postaraj się nie ułatwiać im znanego wszystkiego.

Minęło kolejne pół godziny, może trochę więcej. Santana zamknął oczy żałując, że nie potrafi sam umrzeć. Albo przynajmniej zasnąć. Powietrze było ciężkie od piwnicznego zaduchu. Oddychanie wymagało zbyt wielkiego wysiłku, by zasnąć. Co za ironia losu. Po trzech latach zgromadził dość informacji, żeby sporządzić kilkanaście poważnych aktów oskarżenia. Jedyne prawdziwe niepowodzenie polegało na tym, że nie udało mu się wyśledzić Rurociągu Alacante – tunelu łączącego dom czy domy w Nogales w Arizonie z ich odpowiednikami w Nogales w Meksyku. Teraz nie tylko znalazł Rurociąg, ale nawet został przez niego przeciągnięty. Eliza miała jak zwykle rację. Powinien się z tego wycofać, kiedy to jeszcze było możliwe, i założyć firmę zajmującą się projektowaniem ogrodów, o której zawsze tyle mówił, a bohaterские czyny zostawić szaleńcom. Teraz...

Z tyłu rozległo się skrzywienie – przesunął się fragment ściany i w zasięgu wzroku Raya pojawił się Orsino. Orsino, porucznik Alacantego i morderca bez skrupułów, przeżył eksplozję bomby, która pozbawiła go lewej połowy dolnej wargi i żuchwy. Ray pomyślał, że być może porucznikowi to odpowiadało.

– Już czas – warknął Orsino, nadęty dumą małego człowieczka, na którego padł odbłask legendy. – Czas, żebyś poznał Doktora.

W drzwiach stanął przeciętnie wyglądający mężczyzna po czterdziestce, średniego wzrostu. Nie był przystojny, ale i nie odpychający. Bez znaków szczególnych. Żadnych tików, żadnych blizn. Krótко obcięte włosy ciemnoblonde, gęste, bez zatok. Okularów nie nosił. Przed sobą pchał stolik z nierdzewnej stali na kółkach. Na jego blacie leżała sfatygowana skórzana walizka. Mężczyzna odwrócił się plecami do Raya i otworzył ją.

Ray tak mocno zacisnął dłonie na poręczach krzesła, że aż zbieleły kostki jego palców.

– Nazywam się Perchek. Doktor Anton Perchek – powiedział mężczyzna. Santanie żołądek podszedł do gardła. To nazwisko oznaczało wyrok śmierci. Doktor. Każdy w Agencji, każdy w Waszyngtonie wiedział, kim jest Perchek. Ale nikt nigdy nie widział nawet jego fotografii.

– Z pańskiego wyrazu twarzy sądząc, moje nazwisko nie jest panu obce – powiedział

Perchek i obdarzył Raya enigmatycznym uśmiechem. – To dobrze. Bardzo dobrze.

Rayowi zaschło w ustach. Anton Perchek, doktor medycyny, urodzony i wykształcony w ZSRR, dawno temu opuścił swój kraj rodzinny. Nie należał nigdzie, ale wszędzie był u siebie. Prawdziwy obywatel świata. Przez lata zdobył sobie reputację najlepszego na świecie w swojej dziedzinie, którą było utrzymywanie torturowanych więźniów przy życiu, przytomnych i skorych do rozmowy. Rzadko pozostawał bez zatrudnienia. Sri Lanka, Bośnia, Paragwaj, Irak, Afryka Południowa, Haiti – wszędzie, gdzie tliły się konflikty czy panowały represje polityczne, jego usługi były w cenie. Chodziły nawet pogłoski, że od czasu do czasu wykonuje jakąś robotę dla CIA. Federalny sąd przysięgłych wystosował przeciwko niemu akt oskarżenia o spowodowanie śmierci kilkunastu amerykańskich tajnych agentów, z których dwóch Ray znał osobiście.

– A więc, *señor* Santana – powiedział Doktor dobrą, choć nieco bezbarwną hiszpańszczyzną – może woli pan, żebym rozmawiał z panem po angielsku? – Przez chwilę czekał na odpowiedź, a potem odwrócił się i zauważył plaster oklejający szczelnie usta Raya. Zachichotał nad własnym niedopatrzeniem. – Och, proszę wybaczyć, *señor* Santana. *Señor* Orsino!

Orsino, ze swoimi półustami skrzywionymi w groteskowym uśmiechu, podszedł do Raya i brutalnie zerwał taśmę, najpierw z twarzy Raya, a potem spod brody.

– A więc – powtórzył Perchek – po hiszpańsku czy po angielsku?

Ray spróbował rozluźnić skurcz żuchwy.

– Po hiszpańsku mówi pan lepiej niż ja – powiedział.

– Podobno meksykańską hiszpańszczyzną posługuje się pan bardzo biegle, zwłaszcza jak na kogoś, kto urodził się na Bronksie. Ale dobrze, niech będzie angielski.

Jego angielszczyzna, może z leciutkim nalotem brytyjskim, była równie płynna jak hiszpański. Ray podejrzewał, że ten człowiek musi znać wiele języków.

– Właściwie mówię jeszcze dwunastoma innymi – powiedział Perchek, jakby czytał w myślach Santany. – Chociaż mój arabski i suahili mogły już ciut zardzewieć.

Na jego przeciętnej twarzy zagościł uśmiech. Ale w tej właśnie chwili Ray zauważył coś zupełnie nieprzeciętnego: oczy tego człowieka. Nigdy w życiu nie widział takich jasnych tęczówek. Prawie przezroczyste. „Lodowaty błękit” – takie określenie najlepiej do nich pasowało. Tak, lodowaty błękit, bo były tak twarde i zimne, jak tylko można sobie wyobrazić.

– W ogóle nie wiem, o co chodzi – wykrztusił Ray.

Lodowato błękitne oczy zabłyśły. Poza tym zachowanie Percheka nie uległo żadnej zmianie.

– No to pomożemy panu się tego dowiedzieć – odparł.

Wręczył Orsinowi kawałek linki i gestem wskazał lekki uchwyt u sufitu. Gdy linka została umocowana, Perchek odwrócił się do swojej walizki. Wyciągnął pełną plastikową butelkę do kroplówki, podłączył ją do przezroczystej rurki i zawiesił na lince.

– Chlorek sodu, stężenie dziewięć dziesiątych procenta – oznajmił wyciągając parę gumowych rękawiczek. – Zwykła sól fizjologiczna.

Założył gumową opaskę uciskową tuż powyżej lewego łokcia Santany, odczekał parę

sekund, aż wystąpią żyły, po czym założył mu wenflon z wprawą człowieka, który robił to setki razy. Potem wokół drugiego ramienia więźnia owinął mankiet aparatu do pomiaru ciśnienia krwi i umocował go.

– Posłuchajcie mnie – Ray silił się na spokojny i rzeczowy ton. – Orsino, musisz mnie wysłuchać. Właśnie dobieierałem się do tego gliny Garveya. Miał mi sprzedać informację o nowej strategii DEA przeciwko Alacantemu.

– Kłamiesz – mruknął Orsino.

– Nie, to prawda.

– Zaraz zobaczymy, co jest prawdą, a co nią nie jest – stwierdził Perchek, nabierając lekko mętnego roztworu do dużej strzykawki. Podłączył strzykawkę do wenflonu i przytwierdził ją plastrem. – Panie Orsino!

Orsino ukląkł w ten sposób, że jego twarz znalazła się jakieś trzydzieści centymetrów od twarzy więźnia. Santana wzdrygnął się poczuwszy oddech tego człowieka, ciężki od smrodu papierosów i czosnku. Z odrazą patrzył na poźółkłe pieńki zębów.

– Nazwiska – zażądał Orsino. Mały pęcherzyk śliny pojawił się w nie zniekształconym kąciku jego ust. – Nazwiska meksykańskich tajnych agentów. Wszystkich.

Ray popatrzył przez jego ramię na Percheka. Zastanawiał się, co ten ma jeszcze na niego w swojej zniszczonej walizce. Może eliksir prawdy? Perchek cieszył się reputacją człowieka, który nie kala sobie rąk brudną robotą. Do jego obowiązków należało jedynie utrzymywanie podopiecznych przy życiu i w stanie przytomności. Ale ten brutalny kretyn Orsino z pewnością nie miał dość cierpliwości i umiejętności, by skutecznie wykonać swoje zadanie, zadać ból we właściwym momencie i w odpowiednim natężeniu.

– Nie znam żadnego, Orsino. Musisz mi uwierzyć.

W trakcie rocznego szkolenia w agencji część zajęć odbywali wspólnie z kolegami z CIA. Jeden z kursów nazywał się oficjalnie „Postępowanie podczas przesłuchiwanie przez nieprzyjaciela”. Kursanci nazywali go „Tortura 101”. Wykładowca, były pilot myśliwców o nazwisku Joe Dash, spędził cztery lata w obozie jenieckim Wietkongu. Nie miał oczu.

„Kiedy jesteście poddawani przesłuchaniu przez nieprzyjaciela, musicie pamiętać o trzech rzeczach – podkreślał Dash. Uważał, że zawsze są trzy najważniejsze rzeczy do zapamiętania. Trzy, ani więcej, ani mniej. – Po pierwsze, wszystkie obietnice w zamian za wasze informacje to bzdura. Po drugie, jeśli nie powiecie im tego, czego od was oczekują, mogą uznać, że warto was jeszcze trochę utrzymać przy życiu, bo może któregoś dnia jednak coś powiecie. A po trzecie i najważniejsze: dopóki żyjecie, istnieje szansa, że ktoś was uratuje”.

– Nazwiska – powtórzył Orsino.

– Przysięgam, nie znam żadnych nazwisk. Musisz mi uwierzyć.

„W trakcie przesłuchania przez nieprzyjaciela powinniście przejść przez trzy etapy. Każdy etap należy przeciągać jak najdłużej. Najpierw utrzymujcie, że nic nie wiecie. Wypierajcie się wszystkiego twardo i konsekwentnie. Potem przyznajcie, że o pewnych rzeczach wiecie, ale

podajcie fałszywe informacje. Będą musieli stracić dużo czasu na ich sprawdzanie, a im więcej czasu zajmie to sprawdzanie, tym większa szansa, że zostaniecie uratowani. Wierzcie mi, bo mnie się udało. Trzeci etap to powiedzenie im prawdy. Czy zostaniecie zmuszeni do tego czy nie, zależy od tego, z jakiej gliny jesteście ulepieni, ale przede wszystkim od tego, jak dobrzy w swoim fachu są ci, którzy was przesłuchują”.

Orsino wyciągnął swoją wielką łapę i ścisnął policzki Raya tak mocno, że ich wewnętrzne strony się zetknęły.

– Cieszę się, że nam nie powiedziałaś.

Cofnął się, a Raya przykuły do miejsca lodowato błękitne oczy Percheka.

– Zna się pan cośkolwiek na chemii, panie Santana? – zapytał Doktor. – Może zaciekawi pana nazwa chemiczna tego, co mamy w tej strzykawce. To czterochloro-czterohydroksy-trójmetylo-sześćfluorodwumetylowy karbaminian. Prawdę mówiąc, jego cząsteczka ma dwa dodatkowe boczne łańcuchy, więc pełna nazwa jest jeszcze dłuższa.

– Jestem pod wrażeniem.

– W skrócie nazywa się to chlorowoderek hykonidolu. Zsyntetyzował go mój przyjaciel chemik, ale koncepcja jest wzięta z moich własnych badań.

– Gratuluję.

– Widzi pan, panie Santana, zakończenie każdego nerwu przewodzącego ból wydziela substancję przekaźnikową, tak zwany neurotransmitter, który przekazuje impuls do następnego nerwu. Ten z kolei przewodzi impuls przez całą swoją długość i na koniec wydziela kolejną porcję przekaźnika. W rezultacie informacja o urazie jest niemal natychmiast przekazywana z miejsca, gdzie uraz powstał, do ośrodka bólu w mózgu i wtedy... ajaj!

– Wspaniale pan to wyłożył.

Ray już wiedział, do czego Perchek zmierza. Był pewien, że ta wiedza odbiła się w jego oczach.

– Hykonidol prawie dokładnie, atom po atomie, odtwarza budowę chemiczną tego neuroprzekaźnika bólu. A to znaczy, że mogą pobudzić wszystkie nerwy jednocześnie. Niech pan się nad tym zastanowi, panie Santana. Bez skaleczeń i ran, bez bałaganu, bez krwi. Tylko ból. Czysty ból. Poza pracą, którą wykonuję, hykonidol nie ma absolutnie żadnego klinicznego zastosowania. Ale gdyby kiedykolwiek pojawił się w aptekach, mógłby nazywać się „Torturol”. To niewiarygodna substancja. Mała dawka lekko zabolę. Większa... Jestem pewien, że już pan wie, o co mi chodzi.

Usta Raya wyschły na pieprz. Łomot w klatce piersiowej był lak silny, że wydawało mu się, iż Doktor na pewno to zauważy. Proszę, nie róbcie tego – skowyczał w duchu. – Proszę...

Kciuk Percheka zgiął się na tłoku strzykawki.

– Chyba zacniemy skromnie – oświadczył. – Powiedzmy od ekwiwalentu chłodnego powiewu na próchnicznych ubytkach w pańskim uzębieniu.

Ostatnim głosem, jaki Ray usłyszał przed zastrzykiem, był głos Joego Dasha:

„Zawsze można wybrać jeden z trzech sposobów podejścia do zagadnienia umierania...”

Sześć lat później

II

Przez dwanaście lat „Jadeitowy Smok” przy Upper West Side na Manhattanie szczyli się doskonałym jedzeniem i umiarkowanymi cenami. Nawet w powszedni dzień każde z jego stu siedemdziesięciu pięciu miejsc było wykorzystane średnio dwukrotnie, a w weekendy nie mniej niż pięciokrotnie. Dziś, w ciepły czerwcowy wieczór, w piątek, trzeba było czekać na miejsce pół godziny.

Ron Farrell siedział przy swoim ulubionym stoliku i gawędził ze swoją żoną Susan i przyjaciółmi Jackiem i Anitą Harmonami. Rozmawiali o tym, jak bardzo „Jadeitowy Smok” rozrósł się od czasów, kiedy po raz pierwszy byli tu z Susan prawie dziesięć lat temu. Mimo że od tamtej pory przeprowadzili się trzykrotnie, wizyty w „Jadeitowym Smoku” stały się żelaznym punktem piątkowych wieczorów.

Właśnie kończyli jeść i Harmonowie stwierdzili, że tutejsza kuchnia jest najlepsza ze wszystkich innych chińskich kuchni, gdy Ron nagle złapał się za brzuch. Chwyciły go skurcze jelit i ogarnęły fale mdłości. Poczuł, że twarz i ciało oblewa mu zimny pot.

– Ronnie! Nic ci nie jest? – spytała zaniepokojona Susan.

Farrell wziął kilka głębokich, powolnych wdechów. Zawsze dobrze znosił ból, ale tym razem było naprawdę niedobrze.

– Źle się czuję – wybełkotał. – Boli... boli mnie tutaj...

– To nie mogło być nic, co tutaj zjadłeś – powiedziała Susan. – Wszyscy zamówiliśmy to samo.

W tym momencie zbladła. Strużki potu popłynęły jej po czole, usunęła się na bok i zwymiotowała na podłogę.

Młody pomocnik kucharza obserwował spod kuchennych drzwi rosące zamieszanie w zatłoczonej restauracji, wywołane gwałtownym zasłabnięciem całej czwórki konsumentów przy stoliku numer jedenaście. Po chwili udał się do ogromnej kuchni i podszedł do automatu telefonicznego zainstalowanego tam na użytek personelu. Numer, który wykręcił, zapisany był ręcznym pismem na małym kartoniku.

– Słucham? – odezwał się męski głos w słuchawce.

– Mówi Xia Wei Zen.

– Słucham.

Kucharz przeczytał słowa wypisane na kartoniku:

– Koniczyna ma cztery liście.

– W porządku. Wiesz, gdzie masz iść po pracy. Człowiek w czarnym samochodzie weźmie od ciebie pustą fiolkę i da ci resztę tego, co ci się należy – powiedział mężczyzna i rozłączył się nie czekając na odpowiedź.

Xia Wei Zen rozejrzał się dookoła sprawdzając, czy nikt nie patrzy, po czym wrócił na swoje stanowisko. Do końca zmiany czas zleci piorunem. Czeka na niego niezła forsa.

Telefoniczne zgłoszenie na ostry dyżur Szpitala Dobrego Samarytanina nadeszło o 9.47. Czterech chorych z chińskiej restauracji dwadzieścia przecznic stąd. Diagnoza wstępna: ostre zatrucie pokarmowe. Podejrzenie poważnego schorzenia lub urazu, nie zagrażającego jednak bezpośrednio życiu pacjenta.

Typowy pracowity piątkowy wieczór na ostrym dyżurze. Zaległości sięgały już trzech godzin. Wszystkie dwadzieścia gabinetów zabiegowych zajęte, izba przyjęć również. W powietrzu wisiał ciężki zapach potu, środków odkażających i krwi. Wszędzie słyhać było odgłosy cierpienia i bólu: jęki, płacz dzieci, krztuszenie się.

– Byłaś kiedyś w „Jadeitowym Smoku”? – zapytała koleżankę pielęgniarka, która przyjęła telefon z pogotowia.

– Chyba tak – odpowiedziała druga pielęgniarka.

– Lepiej przerzuć się na kuchnię włoską. Właśnie jedzie stamtąd karetka z dwoma przypadkami ostrego zatrucia pokarmowego. Dwa następne przyjadą drugą karetką. Razem czwórka, dwóch mężczyzn, dwie kobiety, wszyscy około czterdziestki, wszyscy na kroplówkach i wymiotują. Według tych z pogotowia wcale nie wyglądają dobrze.

– Zabawa na cztery fajerki.

– Gdzie ich położysz?

– A gdzie mamy miejsce?

– Siódmkę dałoby się zwolnić, gdyby pan doktor Łapiduch, czy jak mu tam, zechciał łaskawie wypisać parę recept.

– W porządku. Wstaw tam tego, który będzie najgorzej wyglądać, a reszta niech czeka na korytarzu. Ulokujemy ich w pokojach, jak tylko coś się zwolni. Tymczasem można im zrobić rutynowe analizy i EKG.

Ron Farrell stęknął z bólu, gdy jego nosze ustawiono na podjeździe przed izbą przyjęć. Leżał na boku, w pozycji embrionalnej. Ból wwiercał mu się w brzuch. Jack Harmon, który wkrótce rozchorował się jeszcze bardziej niż Susan, jechał z nim w tej samej karetce. Ron zobaczył, jak macha mu słabo ręką, gdy wwożono ich przez automatyczne drzwi do gwarnej i jaskrawo oświetlonej jarzeniówkami izby przyjęć.

Przez następne minuty ludzie w strojach chirurgicznych zadawali niezliczone pytania, robili zastrzyki i opukiwali. Ron został wwieziony do małej salki obstawionej półkami. Personel zwracał się do niego dość uprzejmie, ale nie było wątpliwości, że wszyscy mają już dosyć. Wiedział, że jego lekarz domowy nie współpracuje ze Szpitalem Dobrego Samarytanina. Nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby zrobić, mógł tylko czekać na obiecane środki przeciwbólowe.

– Lepiej się pan czuje, prawda? – usłyszał męski głos o silnym obcym akcencie, którego nie potrafił zidentyfikować.

Nadal w pozycji embrionalnej, która powodowała najmniej cierpień, otworzył oczy i spojrzał na mówiącego. Mężczyzna w takim samym niebieskim stroju chirurgicznym jak reszta personelu izby przyjęć uśmiechał się do niego. Światło na suficie, przesłonięte jego głową, tworzyło wokół niej jasną aureolę i przyciemniało twarz.

– Jestem doktor Kozlansky – przedstawił się. – Wygląda na to, że pan i pańscy przyjaciele macie ostre zatrucie pokarmowe.

– Niech szlag trafi „Jadeitowego Smoka” – warknął Ron. – Czy z moją żoną wszystko w porządku?

– Ależ tak, zapewniam pana.

– Dziękuję, doktorze. Ale potwornie boli mnie brzuch. Może mi pan dać coś przeciwbólowego?

– Oczywiście.

Lekarz wyjął z kieszeni strzykawkę wypełnioną do połowy przezroczystym płynem i wstrzyknął jej zawartość do wenflonu.

– Dziękuję, doktorze – wymamrotał Farrell.

– Podziękuj mi pan, kiedy... kiedy ten środek zadziała.

– W porządku, niech pan...

Nagle Ronowi odjęło mowę. Poczul straszliwą pustkę w klatce piersiowej i natychmiast pojął, że to przesiało bić jego serce. Lekarz nie przestawał się do niego dobrotliwie uśmiechać.

– Lepiej się pan czuje, prawda? – zapytał.

Ron poczuł, że jego ręce i nogi ogarnia dygot, a grzbiet wygina się w łuk. Szczękał zębami. Świadomość zaczęła odpływać. Po chwili jego ciało opadło bezwładnie z powrotem na łóżko.

Przez całą minutę mężczyzna w niebieskim ubraniu stał przyglądając się Ronowi. Potem wsunął strzykawkę do kieszeni.

– Obawiam się, że muszę pana zostawić samego – powiedział cicho bez śladu obcego akcentu. – Proszę teraz trochę odpocząć.

Rok później

Rozdział 1

Harry Corbett robił właśnie piętnaste okrążenie swojej trasy, kiedy poczuł silny ból w klatce piersiowej. Bieżnia, pętla o długości niecałych dwustu metrów, znajdowała się na najwyższym piętrze gmachu Greya w Centrum Medycznym „Manhattan”. Niżej była dobrze wyposażona sala gimnastyczna, z hantlami, workami treningowymi i matami. Była przeznaczona wyłącznie dla personelu szpitalnego, a utworzono ją dzięki zapisowi, jaki zrobił w swoim testamencie doktor George Pollock, kardiolog, który dwukrotnie przepłynął kanał La Manche. Pollock dożył dziewięćdziesiątki i prawdopodobnie żyłby nadal, gdyby nie nieszczęśliwy upadek z drabiny, na której siedział czyszcząc rynny w swoim wiejskim domu.

W chwili gdy Harry uświadomił sobie ból, myślami był właśnie przy Pollocku i zastanawiał się, jak to jest mieć dziewięćdziesiąt lat. Zwolnił nieco i pokręcił ramionami. Ból nie mijał. Nie był silny, osiągał może dwa na dziesięciostopniowej skali używanej przez lekarzy. Ale był. Nie przerywając biegu, rozmasował sobie nadbrzusze. Ból nie dawał się zlokalizować. Raz czuł go za mostkiem, a za chwilę pośrodku pleców. Zwolnił jeszcze trochę, z jakichś dwunastu kilometrów na godzinę zszedł do dziewięciu. Teraz bolało z lewej strony klatki piersiowej... o, przeszło... nie, nic przeszło. Jeszcze bardziej zwolnił, wreszcie zatrzymał się. Zgiął się wpół, oparł dłonie na udach. To nie dusznica bolesna, uspokajał sam siebie. Nic w tym bólu nie wskazywało na serce. Znał swoje ciało i znał się na bólu. Ten ból to nic takiego. A skoro to nie serce, to nic go nie obchodzi, skąd się wziął.

Wiedział jednak, że jego rozumowanie jest naciągane. Pacjentowi by takiej diagnozy nie postawił. Ale tak to jest zwykle z medykami: potrzeba zaprzeczania zawsze okazuje się silniejsza niż jakakolwiek logika.

Steve Josephson, który truchtał w przeciwną stronę, zatrzymał się i zapytał:

– Nic ci nie jest?

Nie odrywając wzroku od korkowej bieżni, Harry wziął głęboki oddech. Ból minął. Poczekał parę minut, żeby się upewnić. Nic. To na pewno nie serducho, przekonywał sam siebie.

– Nic, nic. Wszystko w porządku, Steve – zapewnił. – Kończ swoją rundę.

– To ty wrobiłeś mnie w to okropne bieganie – powiedział Josephson. – Dla mnie każdy pretekst do przerywania tej mordęgi jest dobry.

Pocił się obficie niż Harry, chociaż przebiegł pewnie nie więcej niż połowę dystansu. Podobnie jak on, Steve Josephson był lekarzem ogólnym, czyli „specjalistą medycyny rodzinnej”, jak określali ich w swoim żargonie biurokraci służby zdrowia. Każdy z nich miał własną praktykę, ale na nocnych i weekendowych dyżurach wymieniali się z czterema innymi lekarzami. Było tuż po wpół do siódmej, dzisiejszy poranny bieg rozpoczęli wcześniej niż zazwyczaj. Miał to być pracowity i ważny dzień.

O ósmej, po porannych obchodach i nadzwyczajnym zebraniu oddziału medycyny rodzinnej, cały personel CMM zgromadzi się w auli. Dziś właśnie komisja powołana do zbadania, czy należy zredukować uprawnienia lekarzy ogólnych w szpitalu, czy też nie, po miesiącach obrad i nieustannych kontroli miała przedstawić rezultaty swojej pracy. Z przecieków wynikało, że jej zalecenia będą bardzo ostre, oznaczające niemal profesjonalną kastrację.

Biorąc pod uwagę, że właśnie ważyły się losy dochodów Harry'ego i jego zawodowy status, ten wrzód żołądka czy inny skurcz mięśniowy, czy cokolwiek u diabła spowodowało ten ból, było wytłumaczalne. Ale sprawozdanie komisji nie było najważniejszą rzeczą, jaka zaprzętała mu umysł.

– Biegamy razem trzy, cztery razy w tygodniu od blisko roku i jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś się zatrzymał, dopóki nie zrobisz swoich siedmiu kilometrów – powiedział Josephson.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz. – Harry przyjrzał się zaniepokojonej twarzy przyjaciela i dodał szybko: – Słuchaj, stary, powiedziałbym ci, gdyby coś mi było. Uwierz mi. Po prostu nie w głowie mi dziś bieganie. Mam za dużo kłopotów.

– Rozumiem. Czy to jutro Evie idzie do szpitala?

– Pojutrze. Jej neurochirurgiem jest Ben Dunleavy. Mówi o zaklipsowaniu tętniaka mózgu, jakby to było usunięcie brodawki albo coś takiego.

Zeszli z bieżni, bo nadbiegali następni ćwiczący.

– Jak ona się trzyma? – zapytał Josephson.

Harry uniósł bezradnie ramiona.

– Biorąc pod uwagę sytuację, nawet dość dobrze. Ale ona jest bardzo zamknięta w sobie, kto wie, co czuje naprawdę.

Zamknięta w sobie. Mało powiedziane, pomyślał Harry. Nie przypominał sobie, żeby Evie kiedykolwiek dzieliła się z nim swoimi przeżyciami i myślami.

– Powiedz jej, że Cindy i ja życzymy jej wszystkiego dobrego i że wpadniemy do niej, jak już będzie po wszystkim.

– Dzięki. Na pewno się ucieszy, kiedy jej to powiem.

Prawdę mówiąc wątpił w to. Steve Josephson był ciepły, inteligentny i życzliwy, ale Evie brzydziła jego otyłość. „Słyszałeś, jak on oddycha?” – zapytała kiedyś Harry'ego, gdy wychwalał go jako lekarza. „Zawsze mam wrażenie, że rozmawiam, z wściekłym buhajem. A te białe podkoszulki na ramiączkach, które nosi, obrzydlistwo...”

Kiedy wchodzili do szatni, Josephson powiedział:

– No dobra, zanim weźmiemy prysznic, może powiesz mi, co się naprawdę stało tam na bieżni.

– Już ci przecież powiedziałem...

– Harry, daj spokój. Byłem z drugiej strony hali, ale widziałem, że zbladłeś jak ściana.

– To nic takiego.

– Słuchaj, całe lata uczyłem się tak zadawać pytania, by niczego nie sugerowały pacjentowi.

Nie zmuszaj mnie, żebym się cofnął w rozwoju.

Kiedy trzeba było podpisać wnioski na ubezpieczenie albo wypisać receptę, Harry i Josephson służyli sobie nawzajem, ale chociaż nieustannie namawiali się nawzajem do zrobienia sobie kompletu badań, żaden z nich tego nie uczynił. Udało się im jedynie dojść do pewnego kompromisu. Nastąpiło to zaraz po czterdziestych dziewiątych urodzinach Harry'ego. Harry, który miał obsesję na temat zdrowego odżywiania się i ćwiczeń fizycznych, obiecał, że podda się ogólnemu badaniu kontrolnemu oraz próbie wysiłkowej serca. Steve, co prawda młodszy o sześć lat, ale za to ważący dwadzieścia kilo więcej, obiecał poddać się badaniu fizykalnemu oraz rozpocząć systematyczny jogging i odchudzanie. Ale w stadium realizacji weszły jedynie niechętne sesje Josephsona na bieżni, reszta pozostała w sferze zamierzeń.

– To tylko lekka niestrawność – uspokoił przyjaciela Harry. – Przeszło mi już.

– Niestrawność, aha. Przez niestrawność rozumiesz zapewne ból zamostkowy?

– Steve, powiedziałbym ci, gdybym miał ból zamostkowy. Przecież dobrze wiesz, że powiedziałbym.

– Dobrze wiem, że nie powiedziałbyś. Ilu ludzi zataszczyłeś wtedy do tego helikoptera?

Harry nigdy o tym nie wspominał, ale prawie wszyscy w szpitalu słyszeli coś niecoś o wypadkach w Nhatrang, a szczegóły dokomponowywali sobie sami. W tych opowieściach liczba rannych, których Harry uratował, zanim sam został ciężko trafiony, wahała się od trzech – a za tyłu został faktycznie odznaczony – do dwudziestu. Jeden z pacjentów Harry'ego powiedział kiedyś, że jego pan doktor zabił stu komandosów Wietkongu ratując setkę amerykańskich żołnierzy.

– Stephen, nie jestem bohaterem. Daleko mi do tego. Gdybym uważał, że ten ból ma jakiegokolwiek znaczenie, powiedziałbym ci.

Josephson jednak nie dawał się przekonać.

– Miałeś zrobić test wysiłkowy. Kiedy kończysz pięćdziesiątkę?

– Za dwa tygodnie.

– A na jaki dzień tego miesiąca przypada ta wasza rodzinna klątwa?

– Dajże spokój.

– Harry, sam mi o tym opowiadałeś. No więc, kiedy to wypada?

– We wrześniu. Pierwszego września.

– Masz jeszcze cztery tygodnie.

– Ja... Dobrze już, dobrze. Jak tylko wyjaśni się sytuacja z Evie, idę na badania. Obiecuję.

– Trzymam cię za słowo.

Harry rozebrał się i poszedł po prysznic. Wiedział, że Steve Josephson przygląda się plątaninie blizn na jego plecach. Trzydzieści jeden odłamków pocisku artyleryjskiego, brak połowy nerki i jednego żebra. Przypomniawszy sobie niewiarygodnie delikatny dotyk piersi Evie na zabliznionych ranach. Nazywała to obowiązkiem patriotycznym wobec bohatera wojennego. Kiedy to było ostatni raz? Skonstatował ze smutkiem, że nie pamięta.

Rozkręcił gorącą wodę na cały regulator. Otoczyły go kłęby pary. Za dwa tygodnie kończy pięćdziesiątkę. Pięćdziesiątkę! Nie przeżywał żadnego kryzysu wieku średniego, przynajmniej nic takiego u siebie nie zauważył. Ale może to głębokie przygnębienie, które ogarniało go ostatnio, to właśnie to? Powinien mieć już ułożone życie, wszystkie elementy układanki na swoich miejscach – tymczasem wszystko zaczynało się sypać.

Pomyślał o tamtym dniu, kiedy wylizywał się z ran, dniu, w którym podjął decyzję o porzuceniu chirurgii i zajęciu się interną. Coś się z nim stało w czasie tego półtorarocznego pobytu w Wietnamie. Nie chciał już być w centrum uwagi, choć wcale nie przeszkadzał mu dramatyzm i napięcie sali operacyjnej. Prawdę mówiąc, z przyjemnością wspominał tamten czas, ale w końcu zdał sobie sprawę z tego, że po prostu chce być lekarzem rodzinnym. Gdyby spróbować opisać jednym słowem życie, jakie Harry dla siebie wybrał, słowo „zwyczajne” pasowałoby najlepiej. Chciał wstawać rano, robić to, co wydaje się słuszne, pomagać ludziom i mieć jakieś zainteresowania poza pracą. Wtedy prędzej czy później wszystko nabierze sensu i znajdą się odpowiedzi na ważne pytania.

Ostatnio jednak nie za wiele sensu dostrzega w swoim życiu. Ważkie odpowiedzi są równie nieuchwytnie jak zawsze. A nawet jeszcze bardziej. Jego małżeństwo nie wygląda najlepiej. Dzieci, które chciał mieć, nie przyszły na świat. Dobrobyt finansowy, który spodziewał się stopniowo uzyskać, przynoszą te dyscypliny medycyny, których nie miał ochoty uprawiać. Nigdy nie przekształcił swojego gabinetu w medyczny młyn. Od nikogo nie ściągał swoich należności przez komornika, nikomu nie odmawiał leczenia, nawet jeśli wiedział, że pacjent nie będzie w stanie zapłacić. Nie wyprowadził się na przedmieście. Nie zrobił następnej specjalizacji. Jego samochód ma już siedem lat, a wysokość funduszu emerytalnego nie pozwala nawet myśleć o emeryturze.

Dziś jego pozycja zawodowa wisi na włosku, żonę czeka skalpel neurochirurga, a on sam, cztery tygodnie przed pierwszym wrześniem, w pięćdziesiątym pierwszym roku życia, doznał w klatce piersiowej bólu, który zapowiada zawał.

Pospiesznie zwołane zebranie oddziału medycyny rodzinnej nie doprowadziło do żadnych wniosków. Każdy z lekarzy zabierających głos w trakcie tych gorączkowych czterdziestu pięciu minut zdawał się mieć inne informacje. W rezultacie nie postanowiono niczego, nie uchwalono żadnej akcji protestacyjnej. Dopóki nie będą znane wyniki prac komisji, nie było nic do roboty poza prezentacją solidarności grupowej na zebraniu ogólnym, które odbędzie się w auli.

- Harry, nie odezwałeś się ani słowem – powiedział Steve Josephson przy wyjściu.
- Nie było nic do powiedzenia.
- Sidonis i jego jastrzębie rozpoczęli polowanie na czarownice. Wszyscy się boją. Mógłbyś ich trochę uspokoić. Jesteś... jesteś kimś w rodzaju naszego przywódcy. Nieoficjalnym szefem.
- Chcesz w ten sposób powiedzieć, że jestem najstarszy z was?
- Nie o to chodzi. Wiesz, że potrafisz odebrać poród. Sandy Porter wycina żyłki i robi inne

drobne zabiegi chirurgiczne. Bracia Konretsky potrafią sobie radzić z zawałowcami lepiej niż niejeden z kardiologów. Każdemu z nas można odebrać jego działkę. Ale ty potrafisz wszystko.

– I co z tego? Chcesz, żebym wyzwiał specjalistów do rywalizacji na olimpiadzie medycznej?

– Co się z tobą dzieje, Harry? Mam nadzieję, że ci to minie.

Harry już miał się odgryźć, ale w końcu wymamrotał przeprosiny. Nigdy nie był dobrym dyplomatą, zdobył sobie jednak poważanie w szpitalu dzięki swojej bezpośredniości i zdroworozsądkowemu podejściu do różnych spornych spraw. I nigdy nie wycofywał się z walki. Teraz też powinien powiedzieć, co myśli. Lekarze oddziału, zwłaszcza ci młodszy, naprawdę martwili się o swoją przyszłość.

Kryzys w CMM wynikał z faktu, że szpital był jednym z pozwanych w trzech procesach o błąd w sztuce lekarskiej wytoczonych w ciągu ostatnich kilku miesięcy. We wszystkich trzech pozwach chodziło o lekarzy ogólnych. Harry był zdania, że ta epidemia spraw sądowych to czysty zbieg okoliczności. Nowa moda kazała najpierw skarżyć lekarza, a potem się namyślać. Prawdopodobnie, gdyby dobrze pogrzebać, można by wytoczyć tyle samo spraw również specjalistom. Ale dyrekcja wpadła w panikę i powołała specjalny komitet do spraw praktyki ogólnej. Na jego czele stanął bardzo ceniony, charyzmatyczny kardiochirurg Caspar Sidonis.

Sidonis i Harry nigdy się nie zaprzyjaźnili i po prawdzie Harry nie rozumiał dlaczego. Teraz grali przeciwko sobie, a stawka była wysoka, choć tylko lekarze ogólni mieli wszystko do stracenia. Sidonis miał w ręku wszystkie atuty.

– Przepraszam, Steve – powtórzył Harry, gdy skręcali w korytarz prowadzący przez oddział nagłych przypadków. – Chyba rzeczywiście mam ostatnio nie najlepszy okres. I naprawdę nie wiem dlaczego. Męskie klimakterium albo coś w tym rodzaju. Wydaje mi się, że przydałoby mi się jakaś walka z wiatrakami.

Korytarz, którym szli – skrót między salą, gdzie mieli zebranie, a aulą – był dostępny tylko dla personelu szpitala. Dziś w izbie przyjęć huczało jak w ulu. Wszystkie sale były zajęte. Kandydaci do drobnych zabiegów i poważnych operacji, przypadki ortopedyczne, laryngologiczne, pediatryczne, kardiologiczne, internistyczne – lżejsze i cięższe.

– Każdy z tych pacjentów to cała historia – powiedział Harry.

– Taa – mruknął Steve. – Znosi się na to, że od jutra będziemy musieli przyzwyczać się do korzystania z bryków.

Obok nich przebiegła pielęgniarka i pospieszyła do jednego z dwóch pokoiów dla przypadków kardiologicznych.

– Proszę mu dać jeszcze trójkę morfiny – usłyszeli głos młodego lekarza, który właśnie kończył staż. – Ile dostał furosemidu?

– Osiemdziesiąt, panie doktorze...

– To częstoskurcz komorowy, jestem prawie pewien. – Ciśnienie spada, panie doktorze.

– Niech to szlag! Ktoś miał zawiadomić kardiologię.

– Wzywałam ich. Nie odpowiadają.

Harry i Steve zatrzymali się w drzwiach. Pacjent, potężnie zbudowany Murzyn koło siedemdziesiątki, był w stanie krytycznym, siedział sztywno wyprostowany na noszach i spazmatycznie łąpał powietrze. Przy każdym oddechu z jego piersi wydobywało się głośnie bulgotanie. Tętno dochodziło do stu siedemdziesięciu. Młody lekarz, któremu trafił się ten przypadek, był niezłym fachowcem, ale często tracił głowę w trudnych sytuacjach.

– Jakie ma ciśnienie? – spytał.

– Chyba z siedemdziesiąt, panie doktorze. Trudno uchwycić. Głos pielęgniarki brzmiał nieokreśloną pretensją. W ciągłym powtarzaniu tytułu „panie doktorze” było niemal słycać żądanie: Niech pan coś zrobi.

– Nie możemy dłużej czekać. Trzeba mu zrobić kardiowersję. Niech ktoś wezwie jeszcze raz kardiologię! Janice, nastaw aparat na trzysta dzuili.

Steve Josephson popatrzył na Harry’ego.

– Obrzęk płuc! – powiedział cicho. – Ale to nie jest częstoskurcz komorowy. Popatrz na monitor.

– Masz absolutną rację. Powiedziałbym, że to zwykła tachykardia zatokowa – odparł Harry. – Typowo wtórna.

– Musimy mu wyperswadować kardiowersję.

Harry zawahał się, po czym kiwnął głową. Obaj podeszli bliżej łóżka chorego.

– Sam, to rytm zatokowy – szepnął Harry do ucha lekarzowi, tak żeby nikt poza nim nie usłyszał. – Kardiowersja go zabije.

Młody lekarz popatrzył na monitor, potem na pielęgniarki i pielęgniarzy otaczających pacjenta. Na jego twarzy odbiła się dezorientacja, potem złość, zakłopotanie i wreszcie ulga.

– Chcesz przejąć pacjenta? – zapytał. – Proszę bardzo. Harry bez słowa wziął ręcznik i wytarł ociekające potem czoło chorego. Rzucił okiem na plastikowy identyfikator chorego.

– Panie Miller, jestem doktor Corbett. Niech pan mnie ściśnie za rękę, jeśli pan rozumie. Dobrze. Wyjdzie pan z tego, ale niech się pan postara wolniej oddychać. Wiem, że to trudne i że boi się pan, ale pomożemy panu. Jak tam EKG, Steve?

– Może mały zawał przedniej ściany serca. Nie jestem pewien, bo rytm jest za szybki.

– A hematokryt?

– Pięćdziesiąt procent. Jeśli nie pali jak komin, to ma niesamowicie zagęszczoną krew.

Popatrzyli na stażystę. Pokręcił głową.

– Nigdy w życiu nie palił. Ale co tu ma do rzeczy hematokryt? Harry nie stwierdził obrzęków podudzi ani innych objawów przewodnienia. Niewydolność serca, jakakolwiek była jej przyczyna, powodowała zastój w krążeniu płucnym. Osocze, niekomórkowa frakcja krwi, przesiąkało przez ściany naczyń krwionośnych do pęcherzyków płucnych chorego. Czerwone krwinki, za duże, żeby wydostać się przez ściany naczyń, pozostawały wewnątrz i zagęszczały się coraz bardziej.

– Jeszcze trójkę morfiny – powiedział Harry. – Poproszę też o zestaw do krwioupuści. Na

wszelki wypadek przygotować się do intubacji. – Jeszcze raz otarł ręcznikiem czoło pacjenta. – Panie Miller, doskonale panu idzie. Niech pan spróbuje jeszcze troszeczkę wolniej oddychać.

– Chwileczkę... – wymamrotał młody lekarz w osłupieniu. – Chyba nie zamierzacie mu puszczać krwi?

– Jak najbardziej.

– Ale tego się już dziś nie robi!

– Coraz lepiej, panie Miller – mówił do pacjenta Harry. Po chwili zwrócił się do stażysty: – Już się nie robi, tak? A my robimy, Sam. Zwłaszcza jeśli ktoś ma tak podwyższony hematokryt jak ten człowiek. Może ta metoda nie jest najnowszym krzykiem techniki, ale to wcale nie znaczy, że nie zadziała. Bywa, że diuretyki okazują się mniej skuteczne niż to, co zaraz zrobimy. U kogoś, kto ma tak zagęszczoną krew, diuretyki mogą być niebezpieczne, bo jeszcze zwiększą hematokryt. A to prędzej czy później doprowadzi do krzepu. Jakie ciśnienie?

– Trzyma się na osiemdziesięciu. Teraz lepiej słyhać. Harry skinął na przyjaciela. Steve Josephson wbił grubą igłę w żyłę Millera ze zręcznością której trudno się było spodziewać po jego tłustych, niezgrabnych palcach. Niemal natychmiast dren wypełnił słupek krwi, która zaczęła spływać do plastikowej butelki odbiorczej.

Efekt był spektakularny.

– Od... oddycham... trochę... lepiej – wykrztusił Miller po jakiejś minucie.

– Jak myślisz, Steve? Jeszcze ze sto mililitrów? – zapytał Harry.

– Jeśli ciśnienie będzie się trzymać, to nawet dwie setki.

Harry poprawił delikatnie igłę i strumień krwi popłynął żywiej.

Przez następną chwilę panowała cisza.

– O Boże – westchnął z wdzięcznością Miller, wypełniając płuca głębokim wdechem. – O Boże, lepiej mi... dużo lepiej.

Nadal miał duszność, ale nieporównanie mniejszą. Rytm serca na monitorze zwolnił do stu. Kształt załamek był mniej więcej normalny. Dwie pielęgniarki wymieniły spojrzenia pełne bezgranicznej ulgi. Stażysta podszedł do obu lekarzy.

– To nie do wiary – oświadczył. – Nie wiem, co powiedzieć... Panie Miller, doktor Corbett i doktor Josephson naprawdę spadli panu z nieba. Mnie zresztą też.

Starszy człowiek uniósł kciuk w geście aprobaty.

– Posłuchajcie – powiedział młody lekarz. – Słyszałem o tym Komitecie, który ma wam odebrać uprawnienia. Jeśli chcecie, żebym do nich napisał o tym, co się tu zdarzyło, zrobię to z przyjemnością.

– Chyba już trochę na to za późno – mruknął Harry. – Może jednak mimo wszystko podrzucić Sidonisowi tę notatkę. Może i ją przeczyta, zwłaszcza jeśli będzie się rozpoczynać od słów „Łaskawy Panie”.

Nagle usłyszeli za sobą jakiś hałas. Wszyscy trzej odwrócili się jak na komendę, żeby zobaczyć, jak Caspar Sidonis odwraca się z kamienną twarzą i sztywno odchodzi w kierunku

auli.

Rozdział 2

W głowie Harry'ego, gdy tylko usadowił się w ostatnim rzędzie foteli w auli, zabrzmiała *Green Dolphin Street* w aranżacji Wesa Montgomery'ego. Zaczął wystukiwać rytm palcami na metalowej poręczy. Lubił każdą muzykę, ale szczególnym uwielbieniem darzył jazz. Grał na basie od czasów szkoły średniej i jeszcze dziś grywał w zespole jazzowym, gdy miał wolną chwilę. *Green Dolphin Street* pojawiała mu się w głowie zawsze, kiedy był podniecony: napięty, ale gotów do działania. Nucił ją idąc na egzaminy z chemii organicznej i później w różnych trudnych sytuacjach. A także w czasie wojny. Wtedy wydawało mu się, że słucha jej bez przerwy, czy to z magnetofonu, czy tylko w wyobraźni. Teraz, po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna, słyszał ją znowu.

– Pełno ludzi, Harry – powiedział Doug Atwater pokazując wypełniającą się szybko aulę. – Można by pomyśleć, że będą rozdawać stetoskopy za darmo.

Centrum Medyczne „Manhattan” było największym z trzech szpitali stowarzyszonych w zespole opieki zdrowotnej tego rejonu. Atwater, jako wiceprezes do spraw marketingu i rozwoju tej szybko rozrastającej się instytucji, zasiadał w zarządzie każdego z zespołów. Przyszedł do firmy sześć czy siedem lat temu z jakiejś dziury na Środkowym Zachodzie. Wiele osób, w tym i Harry, uważało, że bez twórczej energii Atwatera i jego zmysłu organizacji Zespół i jego szpitale dawno by już splajtowały. Dzięki niemu „Manhattan” miał w swoich rękach sporą część rynku i stał się rzeczywistą potęgą w tym biznesie. Podobnie jak Harry, Atwater był przysięgłym fanem jazzu, chociaż sam nie grał na niczym. Obaj spotykali się w klubie jazzowym raz na trzy czy cztery miesiące. A od czasu do czasu Doug wpadał do piwnicy, w której Harry grywał ze swoim zespołem.

– Czy Sidonis albo ktokolwiek z jego komitetu rozmawiał z tobą o tym wszystkim?

– Oczywiście. Dan Twersky, psychiatra, dostał polecenie przesłuchania mnie. Znasz go? Nawet gdyby się postarał, nie mógłby już być bardziej nadęty i pełen wyższości. Chciał się dowiedzieć, jak Marv Lorello mógł tak kiepsko pocerować kciuk tego faceta. Powiedziałem mu, że z tego, co mi wiadomo, Marv niczego nie cerował. Twersky spytał, dlaczego Lorello nie wezwał chirurga, więc wyjaśniłem, że jedyne co było do zrobienia w tamtym przypadku, to oczyścić ranę i założyć szwy. Najlepszy operator na świecie uzyskałby ten sam opłakany rezultat, co Marv. Czasami krążenie w okolicach rany jest nie takie, jak powinno być, no i są ubytki tkanki. Stwierdził, że bronię lekarzy ogólnych. Powiedziałem mu, że tysiąc razy na tysiąc takich przypadków ja również zdecydowałbym się sam szyć ranę i nie wzywałbym specjalisty chirurga. I w dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach zrosłoby się idealnie. Twersky tylko siedział i uśmiechał się. Ten uśmiech mówił: „Gadaj zdrow, konowale, ale nie licz na to, że przyjdę do ciebie ze skaleczonym kciukiem”.

Atwater pochylił się i dla dodania otuchy poklepał Harry'ego po ramieniu.

– Jesteś cholernie dobrym lekarzem – powiedział – i żaden Sidonis czy jego komitet tego nie zmieni.

Między rzędami siedzeń przepchnął się Steve Josephson, przywitał się skinieniem głowy z Atwaterem i usadowił obok Harry'ego.

– Właśnie zabrali Claytona Millera na oddział – powiedział. – Facet zaczął prawie normalnie oddychać. Świetna akcja. Kiedy wyszedłeś, rozgadał się o baseballu. Był kiedyś zawodowcem, grał razem z Satchelem Paige'em. Jego syn też gra. Miller mówi, że gdybyśmy chcieli bilety na jakiś mecz, to mamy załatwione.

– Takich pacjentów lubię.

– A co się stało? – spytał Atwater.

Harry oddał głos Josephsonowi, który przedstawił szczegóły zajścia z dramatyzmem pilota myśliwca relacjonującego walkę powietrzną. Atwater słuchał jak urzeczony.

– Szkoda, że Sidonis o tym nie wie – zauważył.

– Wie. Ale chyba nie zrobiło to na nim takiego wrażenia, żeby odwołał swoje jastrzębie. Właściwie nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

– No cóż, tak czy siak, jesteście, chłopaki, świetni. Wolałbym walczyć tak jak wy, zamiast tkwić za biurkiem. Powiedz, Harry, co się dzieje z Evie?

– Przychodzi tu pod koniec tygodnia. Prawdopodobnie pojutrze.

Atwater wyciągnął czarny kalendarz i zapisał „Evie – kwiaty”.

– To wspaniała dziewczyna – oświadczył. – Na pewno będzie dzielna.

Bóle głowy, na które Evie cierpiała od lat i które początkowo uważała za spowodowane alergią, potem – stresem związanym z pracą, a jeszcze później napięciami w małżeństwie z Harrym, miały, jak się okazało, przyczynę znacznie bardziej konkretną i podstępą. Harry przez kilka frustrujących tygodni starał się ją przekonać, żeby poszła do lekarza i zrobiła sobie tomografię. W końcu wylądowała na oddziale neurologicznym z zaburzeniami mowy i niedowładem prawej ręki. Badania wykazały, że ma wrodzony tętniak tętnicy przedniej mózgu, który pękł, a potem sam się zamknął. Evie miała szczęście. Zalecono jej wypoczynek i serię badań tomograficznych. Teraz nadszedł czas na interwencję chirurgiczną.

– Harry – powiedział Atwater – koniecznie mnie zawiadom, gdybym ja albo Anneke mogli coś dla was zrobić.

– Anneke...?

Doug uśmiechnął się zawadiacko. Kiedy szedł z Harrym na koncert, zawsze zabierał ze sobą dziewczynę – za każdym razem inną i za każdym razem, jak się wydawało, młodszą i atrakcyjniejszą.

– To pół Szwedka, pół Niemka – wyjaśnił. Zastanawiał się przez chwilę i dodał: – Wydaje mi się, że górna połowa jest szwedzka.

– „Witaj, cesarze, idący na śmierć pozdrawiają cię” – zadeklamował Steve Josephson,

wskazując małe podium w najniższej części auli. Za stołem z mikrofonami zajął miejsce Caspar Sidonis, otoczony pozostałymi sześcioma członkami komisji.

– Proszę o uwagę! – powiedział pukając w mikrofon. – Zaczynamy. Mamy mnóstwo ważnych spraw do omówienia... Proszę zajmować miejsca...

– Ciekaw jestem, czy zacznie rzucać ciężkimi przedmiotami, tak jak to robi na sali operacyjnej – szepnął Harry’emu do ucha Josephson. – Słyszałem, że teczka ze skargami pielęgniarek z bloku operacyjnego jest gruba jak książka telefoniczna. Ale dyrekcja szpitala przymyka oczy na jego awantury, bo się boi, że zabierze swoje przedstawienia gdzie indziej. Ten facet zarabia dla firmy miliony dolarów.

– Caspar zawsze dostaje wszystko, czego tylko zapagnie – zanucił Harry na melodię „Loli”.

– Mam złe przeczucia, jeśli chodzi o tę całą sprawę, Harry.

– A dlaczego niby miałbyś mieć dobre?

Caspar Sidonis, mężczyzna tuż po czterdziestce o urodzie amanta filmowego, podkreślonej jeszcze eleganckim i kosztownym ubiorem, był prymusem na wydziale medycznym Harvardu i nigdy nie pozwalał nikomu o tym zapomnieć. Przez parę lat z rzędu wygrywał międzyuczelniane turnieje tenisa i squasha, a był też podobno mistrzem swojego college’u w boksie.

Green Dolphin Street rozbrzmiała jeszcze głośniej w głowie Harry’ego. Przygnębienie przygnębieniem, ale nikt mu nie będzie mówił, co mu wolno, a czego nie wolno jako lekarzowi. Nikt – ani dyrekcja zespołu opieki zdrowotnej, ani towarzystwa ubezpieczeniowe, a już w żadnym razie nie taki nadęty, pretensjonalny, wiecznie z czegoś niezadowolony rzemiecha jak Sidonis. Rozejrzał się po sali, pomyślał o latach studiów, o niezliczonych godzinach kursów doszkalających, o tym, jak trudno pogodzić się z niskim prestiżem i jeszcze niższym wynagrodzeniem, nieodłącznymi atrybutami „lekarza rodzinnego”. Zaslugujemy na nagrody, nie na ograniczenia, stwierdził.

– Harry, na litość boską, powiedz coś. Oni was wykańczają.

Doug Atwater, który siedział po prawej stronie Harry’ego, zacisnął pięści w bezsilnej złości, gdy członkowie komisji Sidonisa jeden po drugim przedstawiali swoje wnioski. Siedzący na lewo od Harry’ego Steve Josephson z niedowierzaniem kręcił głową. Próbował protestować przeciwko pierwszej propozycji komisji, która zalecała, żeby przy każdym porodzie był obecny uznany przez izbę lekarską specjalista położnik. Josephson znalazł się kiedyś na pierwszych stronach gazet, gdy jako pasażer metra odebrał poród – i to bliźnięta – w wagonie, który utknął między stacjami. Teraz jednak zanosilo się na to, że jedynie w takich sytuacjach będzie się mógł tym zajmować.

Głosowanie, mimo żarliwej przemowy Josephsona i rozgłosu, jakim cieszyło się jego dokonanie, było niemal jednomyślne. Tylko trzech lekarzy ogólnych odbierających porody głosowało przeciw. Reszta wstrzymała się od głosu, pewnie licząc na to, że szefowie docenią ich „odpowiedzialną” powściągliwość i wycofają się z poparcia dla innych restrykcji.

Następna rezolucja, która przewidywała konieczność przekazywania pacjentów z chorobą wieńcową kardiologowi albo specjalście chorób wewnętrznych, przeszła sporą większością głosów. Jedynym spoza grona lekarzy ogólnych, który głosował przeciw, był kardiolog, który przejął opiekę nad Claytonem Millerem. Następne głosowanie dotyczyło postulatu dopuszczania lekarzy ogólnych do zabiegów chirurgicznych jedynie w charakterze asysty. I znów komisja Sidonisa wygrała.

– Następne postanowienie przejdzie do historii jako klauzula Marva Lorello – szepnęła Harry, gdy rozpoczęła się dyskusja nad ostatnią z propozycji komisji.

– Zaleca się – zaczął Sidonis, poprawiając sobie okulary do czytania, które, jak podejrzewał Harry, nosił raczej dla elegancji niż z potrzeby – aby wszelkie zabiegi wymagające zakładania szwów, wykonywane w Centrum Medycznym „Manhattan” na ostrych dyżurach przez lekarzy ogólnych, były uprzednio uzgadniane ze starszym chirurgiem dyżurnym.

Szmer na widowni sugerował, że wielu lekarzy zaskoczyła ta ostatnia upokarzająca propozycja. Harry spodziewał się czegoś w tym rodzaju, ale mimo to słowa Sidonisa zabolowały.

– Komisja do spraw zażaleń, a także nasza komórka zajmująca się odszkodowaniami rozpatrywały ostatnio wiele przypadków – ciągnął Sidonis – w których miało miejsce stosowanie nieodpowiednich technik albo doszło do postawienia mylnych diagnoz przez niektórych niespecjalistów. Pani Brenner z naszego biura do spraw ryzyka zapewniła mnie, że wypracowanie pewnego wewnętrznego systemu kontroli przedzabiegowej pozwoliłoby nam znacznie zredukować liczbę skarg na nasz niespecjalistyczny personel i związanych z tym roszczeń finansowych.

Rzucił okiem w stronę Marva Lorello. Kilkanaście innych osób poszło w jego ślady. Lorello przyszedł do zespołu parę lat temu, spędziwszy przedtem trzy lata w służbie zdrowia w rezerwacie indiańskim. Miał dyplom z wyróżnieniem i młodzieńczo idealistyczne poglądy na uprawianie medycyny. Proces o błąd w sztuce, pierwszy w jego karierze, a zwłaszcza jego następstwa – zraniły go głęboko. Harry robił co mógł, żeby nie pokazać po sobie gniewu, ale melodia *Green Dolphin Street* wciąż rozbrzmiewała mu w głowie, coraz szybciej i coraz głośniej.

Nagle umilkła. Minęło kilka sekund, zanim Harry zdał sobie sprawę, że stoi wyprostowany, a jego sylwetka skupia na sobie uwagę wszystkich obecnych w auli. Odchrząknął. Lekarze wpatrywali się w niego w napięciu.

– Jeśli pan przewodniczący nie ma nic przeciwko temu – usłyszał własny głos – chciałbym... hm... no, jest parę rzeczy, które chciałbym zrzucić z siebie, zanim przejdziemy do głosowania nad tym ostatnim, dla lekarzy rodzinnych najbardziej poniżającym wnioskiem tej komisji. – Zamilkł, czekając na reakcję Sidonisa, i wyczuł, że ten ma ochotę zaprotestować, nie odezwał się jednak. W sali panowała cisza. – W porządku. Dziękuję. Nie mam zamiaru pomniejszać niczyich specjalistycznych kompetencji i przekonywać, że ktoś słabiej wyszkolony może robić to samo, co specjalista. Chcę jednak podkreślić, że my, lekarze ogólni, jesteśmy dobrze wyszkoleni i możemy robić wiele rzeczy. Mamy dyplomy akademii medycznych tak samo jak wy, odbyliśmy staże tak

samo jak wy, opiekujemy się naszymi pacjentami tak samo jak wy, podnosimy swoje kwalifikacje tak samo jak wy, a co najważniejsze, znamy swoje ograniczenia. Tak samo jak – mam nadzieję – i wy.

Większość z nas nauczyła się znosić ponizające traktowanie, z jakim mamy tu dzisiaj do czynienia. – Popatrzył znacząco na Sidonisa. Nadal panowała absolutna cisza. Nikt nawet nie kaszlnął, nie odchrząknął, nie zatrzeszczało żadne siedzenie. – Nauczyliśmy się tego, bo wierzymy w rolę tej specjalności medycznej, której się poświęciliśmy. Teraz staliśmy się kimś w rodzaju chłopców do bicia dla towarzystw ubezpieczeniowych i zespołów opieki zdrowotnej. Nazywają nas lekarzami podstawowej opieki zdrowotnej, co oznacza, że naszym zadaniem jest załatwienie wszystkich banalnych przypadków, żeby znacznie lepiej opłacani specjaliści nie musieli się zajmować byle czym. W porządku. Zgodzimy się też asystować przy prostym wycięciu wyrostka robaczkowego czy innej operacji, którą dotąd wykonywaliśmy samodzielnie dziesiątki razy. Przekażemy również naszych pacjentów z chorobą wieńcową komuś, dla kogo będą obcy ludźmi...

Ale na to – Harry wskazał na wielki ekran za plecami Sidonisa, na którym wyświetlono ostatni z wniosków komitetu – na to po prostu nie możemy się zgodzić. Jak wiadomo, wszyscy lekarze za tę epidemię procesów o błędy w sztuce lekarskiej obarczają winą prawników, twierdząc, że system ich wynagradzania jest błędny, a sposób, w jaki reklamują swoje usługi, prowadzi do konfliktów. Owszem, to wszystko prawda. Ale to tylko jedna strona medalu. Druga jest taka, że pacjenci nie znają swoich lekarzy. Nie staramy się o to, by uznali nas za partnerów. Większość specjalistów jest zainteresowana tylko tym, żeby ten kawałek ciała, od którego są fachowcami, funkcjonował prawidłowo. A ja umiem zakładać szwy. Szyłem takie rany, jakich nigdy na oczy nie widzieliście, i to w takich sytuacjach, że nigdy byście w to nie uwierzyli. Tak samo doktor Josephson, który tu siedzi, i Marv Lorello, i każdy z nas, który decyduje się zakładać szwy swojemu pacjentowi, gdy ten się skaleczy. Nie trzeba mi mówić, co umiem, a czego nie umiem zszyć. Żadnemu z nas nie trzeba.

Mówię więc „dość!” Powrót do starych, dobrych czasów doktora domowego to dobry temat do konwersacji na przyjęciach towarzyskich w sferach lekarskich, ale jak przychodzi co do czego, nikt nie ma odwagi zakwestionować uprzywilejowanej pozycji jaśnie pani specjalizacji i stwierdzić, że w służbie zdrowia nadal jest miejsce dla lekarza, który zna swoich pacjentów i chce się nimi opiekować niezależnie od tego, co im nawaliło. Szkoda, że na tym spotkaniu są wyłącznie lekarze, a nie ma pacjentów. Może gdybyście zrozumieli, czym dla pacjenta jest mieć swojego lekarza, może dotarłoby do was, co dla nas powinno znaczyć być lekarzem. Wszystkie dzisiejsze propozycje są upokarzające i niepotrzebne, ale ta ostatnia jest najgorsza. Nie pozwólcie, żeby przeszła.

Harry stał jeszcze przez chwilę, po czym opadł na siedzenie. Przytłaczająca cisza trwała nadal. Po chwili Steve Josephson pochylił się ku przyjacielowi i uściśnął mu rękę.

– Dziękuję – powiedział chrapliwie. – Dziękuję, że próbowałeś.

Z przeciwnej strony auli rozległy się oklaski. Wkrótce aplauz ogarnął całą salę i po chwili wszyscy stali. Niektórzy wznosili głośne okrzyki, inni pukali w drewniane oparcia stojących przed nimi foteli. Caspar Sidonis siedział sztywno, szkarłatny pod swoją całoroczną opalenizną. Inni członkowie komitetu spoglądali po sobie zakłopotani.

– Odnoszę wrażenie, że protest doktora Corbetta wywołał spory oddźwięk – powiedział Sidonis, gdy wreszcie udało mu się zaprowadzić jaki taki porządek. – Sugerowałbym w takim razie, żebyśmy odłożyli dalszą dyskusję. Komitet powinien odbyć jeszcze jedno posiedzenie z przedstawicielami biura do spraw ryzyka i jeszcze raz rozważyć naszą ostatnią propozycję.

– Nie, głosujmy teraz! – krzyknął ktoś z sali.

– A może przegłosujmy jeszcze raz wszystkie postulaty? – zaproponował ktoś inny.

Nagle wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, sprzeczały się, wysuwali argumenty. Sidonis, nie umiejąc zapanować nad sytuacją, rozglądał się szukając pomocy. W sukurs przyszedł mu szef personelu medycznego, potężnej postury ortopeda, który niegdyś był obrońcą w zawodowej drużynie futbolu amerykańskiego.

– Spokój! – zakomenderował. – Wystarczy. Dziękuję. Chciałbym podziękować doktorowi Sidonisowi i jego komisji za dobrą robotę. Wygląda na to, że ostatni punkt jest na tyle kontrowersyjny, że trzeba jeszcze nad nim popracować. Wiem, że ustalanie, co do kogo należy, to niełatwa sprawa, i chciałbym wyrazić wszystkim uznanie, a lekarzom ogólnym podziękować za zrozumienie. – Dwóch lekarzy zagwizdało. – Nie zachowujcie się jak dzieci – warknął potężny ortopeda. – Daliśmy doktorowi Sidonisowi i jego komisji mandat, a oni go właściwie wykorzystali. Winniśmy im teraz oklaski.

Posłuchano go niechętnie. Zebranie zakończyło się apelem o zrozumienie i jedność wśród zespołu lekarskiego.

– Wy, lekarze lecznictwa podstawowego, nadal stanowicie fundament naszego systemu opieki zdrowotnej – powiedział szef personelu medycznego. – Nie zapominajcie o tym.

Harry przyjął uściski dłoni i gratulacje od Atwatera, Josephsona i paru innych. Ale wiedział, że ratując twarz lekarzy ogólnych bynajmniej nie uratował ich pozycji. Poparcie jego wystąpienia nie zmieniało faktu, że cios, jaki otrzymali, był bardzo poważny. Uwolnił się od przyjaciół i ruszył w kierunku wyjścia w dole auli. Był już prawie w drzwiach, kiedy stanął przed nim Caspar Sidonis. Przez chwilę Harry myślał, że dawny mistrz bokserski uderzy go.

– Ciesz się swoją chwilą popularności, Corbett – powiedział Sidonis. – Jednak to niczego nie zmieni. Zawsze był z ciebie cwaniak, ale mnie w konia nie zrobisz.

Odwrócił się na pięcie i odmaszerował.

– Zapraszał cię na kawę? – spytał Doug Atwater, który również wyszedł z auli.

Harry zmusił się do uśmiechu.

– Ten gość wyraźnie mnie nie cierpi. Nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

– Zapomnij o nim – mruknął Doug. – Chodź, postawię ci colę. Wspaniały z ciebie facet, Harry. Naprawdę wspaniały.

Rozdział 3

Koło południa Harry skończył dyktować karty wypisowe i wyszedł ze szpitala. Sześć przecznic do swojego gabinetu przy Sto Szesnastej Zachodniej pokonał jak zwykle pieszo. Dzień był bezchmurny i orzeźwiająco chłodny, Harry czuł jednak, że mimo pięknej pogody powraca do niego natarczywe przygnębienie, które prześladowało go w ostatnich miesiącach. Przedtem nigdy nie przeżywał czegoś takiego, nawet w czasie tamtego roku bólu i inwalidztwa. Zupełnie nie umiał sobie z tym poradzić, co jeszcze pogłębiało jego frustrację. Zamyślony wszedł na jezdnię przy czerwonym świetle i omal nie wpadł pod ciężarówkę.

– Hej, doktorze!

Z przeciwnej strony ulicy pomachał do niego taksówkarz. Harry musiał się chwilę zastanowić, ale zaraz rozpoznał w nim męża jednej ze swoich pacjentek, której poród niedawno przyjmował.

– Dzień dobry, panie Romero. Jak maleństwo? – zapytał, kiedy przedostał się na drugą stronę.

Taksówkarz uśmiechnął się i podniósł kciuk do góry.

– Podwieźć pana gdzieś? – zapytał.

– Nie, nie trzeba, panie Romero. Ale dziękuję.

Mężczyzna uśmiechnął się i odjechał.

To spotkanie podniosło Harry’ego na duchu. Ruszył przed siebie energicznym krokiem.

Przy hydrancie przeciwpożarowym na wprost budynku, w którym miał na parterze swój gabinet, stał zaparkowany kanarkowo-żółty mercedes kabriolet. Zza kierownicy szczyrzył do niego zęby Phil Corbett.

– Cholera! – wymamrotał Harry.

Nie chodziło o to, że nie lubił swojego młodszego brata. Przeciwnie, bardzo go lubił. Ale zdarzały się takie dni, kiedy trudno go znosił. Dzisiaj był właśnie taki dzień.

– W idealnym stanie, zaledwie dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów na liczniku. – Phil gestem zaprosił brata do środka samochodu. – Właśnie wzięłem go z naszego śródmiejskiego salonu. Masz pojęcie, ile to cacko kosztuje?

Phil zakończył swoją edukację po jednym miesiącu nauki w trzeciorzędym college’u, zrezygnował z konkurowania z Harrym i wstąpił do marynarki. Trzy lata później przeszedł do cywila i zajął się handlem samochodami. Ze swoim szczerym uśmiechem, nieskomplikowaną psychiką i niezachwianym optymizmem świetnie się do tego nadawał. Pięć lat po pierwszej transakcji odkupił agencję od właściciela i zaczął ją rozwijać. Teraz miał sześć agencji, dwie córki i syna w prywatnych szkołach, uroczą żonę, która nie dałaby rady wydać tego, co zarabiał, i kartę członkowską jednego z najbardziej ekskluzywnych klubów w New Jersey. Nie miał problemów z odpowiedziami na najważniejsze życiowe pytania. Po prostu nigdy ich nie zadawał.

– Osiemset siedemdziesiąt trzy tysiące czterysta dziewięćdziesiąt dwa dolary i siedemdziesiąt trzy centy – odparł Harry. – Plus podatek, marża dealera i opłaty dodatkowe. Byłeś u mamy?

– Będę jutro. Skąd wiesz, ile to kosztuje?

– Nie wiem. Podałem ci moje dochody brutto z całego życia. Byłem u matki w zeszły wtorek. Nie poznała mnie.

– I to jest dobra strona tych jej wszystkich wylewów.

– Doskonały dowcip.

Phil przyjrzał się badawczo starszemu bratu.

– Harry, nic ci nie jest? Wyglądasz koszmarnie.

– Dziękuję za komplement.

– To nie komplement. To prawda. Worki pod oczami, paznokcie obgryzione do skóry...

– Mam mnóstwo kłopotów, Phil. – Harry popatrzył na zegarek. – Słuchaj, mam tylko parę minut. Pacjenci czekają.

– Czym się tak martwisz? Evie? Kiedy będzie miała tę operację?

– Za parę dni.

– Nic jej nie będzie. Ona jest zrobiona z... hm... ze stali.

– Tylko nie zaczynaj, Phil.

– Nie powiedziałem nic złego.

– Ale miałeś zamiar.

– Dlaczego miałbym mówić coś złego o mojej bratowej? Bo do mnie dzwoni i każe namawiać brata, żeby przyjął tę robotę w firmie farmaceutycznej, którą mu zaproponowali? Powiedziałem jej, że nawet jeśli oznaczałoby to więcej pieniędzy i dyrektorski tytuł, to sądzę, że mój brat sam powinien zdecydować, czy chce porzucić swoją medyczną praktykę i zacząć wciskać ludziom nowe pigułki reklamowane w czasopiśmie. Nazwała mnie egoistycznym draniem, który boi się, żeby jego brat nie zrobił kariery, i od tego czasu prawie się do mnie nie odzywa. Dlaczego miałbym mieć o niej coś złego do powiedzenia?

– Miała rację. Powiniennem być przyjąć tę posadę.

– Harry, zajmujesz się chorymi ludźmi i pomagasz im wyzdrowieć. Czy to nie wspianiała sprawa?

– Przestała być wspianiała.

– Pięćdziesiątka za pasem, prawda? Ja mam czterdzieści cztery. Teraz moja kolej na kryzys wieku średniego, a ty powinieneś swój mieć już za sobą.

– Ale nie mam. Nie wiem zresztą, Phil, co to takiego... Zbyt wiele w moim życiu było nie tak, jak trzeba. Stawiałem sobie za mało ambitne cele... A teraz wydaje mi się, że po prostu nie mam o co walczyć. Powiniennem być wziąć tamtą robotę. Przynajmniej tam czekałyby na mnie ambitne zadania.

– Przecież masz fajną pracę, Harry. To te zbliżające się urodziny tak cię rozstrajają. Pięć dych...

– Dobra, dobra, Phil. Nie musiałeś mi o tym przypominać. Harry rozmawiał z bratem o „kłątwe Corbettów” tylko raz.

Phil oczywiście wcale nie przejął się całą sprawą, jak było zresztą do przewidzenia. Pierwszego września, kilka miesięcy po swoich siedemdziesiątych urodzinach zmarł nagle na zawał ich dziadek ze strony ojca. Dwadzieścia pięć lat później, dokładnie dwadzieścia pięć lat później – miał swój pierwszy zawał ich ojciec. Owego pierwszego września ukończył sześćdziesiąt lat. To, że nie umarł od razu, okazało się tragedią, bo żył jeszcze dwa lata jako kompletny inwalida.

Pierwszy września... W kalendarzu, który Harry miał w głowie, ta data była podkreślona od czasu zawału ojca. Ale po przeczytaniu pewnego artykułu w czasopiśmie kardiologicznym wziął ją w czerwone kółko.

Prawdopodobnie znaczną rolę odgrywają tu przyczyny społeczne i genetyczne. W niektórych rodzinach obserwujemy wzorzec, który nazwaliśmy „prawem dekady”. Ujmując rzecz po prostu, wygląda na to, że pierwszy atak serca u syna występuje dokładnie dziesięć lat wcześniej niż u jego ojca. Oczywiście istnieją wyjątki od tego prawa, ale zawsze lepiej sprawdzić. Jeśli ma się pięćdziesięcioczeroletniego pacjenta z zawałem serca, to wywiad pokaże, że jego ojciec miał swój pierwszy zawał w wieku sześćdziesięciu czterech lat. Nie sześćdziesięciu trzech czy sześćdziesięciu pięciu. Był dokładnie dziesięć lat starszy...

– Ale fizycznie czujesz się dobrze, tak? – dopytywał się Phil.

– Jasne. Nic mi nie jest, braciszku. To wszystko pewnie dlatego, że od trzech lat nie miałem urlopu, samochód mi się rozlatuje i...

– No właśnie, to jeden z powodów, dla których tu przyjechałem. Mam dla ciebie świetną okazję. Nowy C220. Bez narzutu. Naprawdę bez narzutu. Nowiutki mercedes. Pomyśl, jak Evie się ucieszy. Kto wie, może nawet...

– Phil!

– Dobra, dobra. Powiedziałeś, że potrzeba ci ambitnych celów.

Harry otworzył drzwi kabrioletu i wysiadł.

– Pozdrów ode mnie Gail i dzieciaki – powiedział.

– Martwię się o ciebie, Harry. Zwykle jesteś taki zabawny. A co ważniejsze, zwykle uważasz, że to ja jestem zabawny.

– Dziś nie jesteś zabawny, Phil.

– Daj mi jeszcze jedną szansę. Zjedźmy razem lunch w przyszłym tygodniu.

– Poczekajmy, aż coś się wyjaśni z Evie.

– W porządku. I nie martw się, Harry. Jeśli naprawdę tego potrzebujesz, to jestem pewien, że znajdzie się jakiś cel, o który będziesz musiał powalczyć.

Joe Bevins był już dwudziesty pierwszy raz w Szpitalu Parkowym i z zamkniętymi oczami, jedynie na podstawie dźwięków i zapachów dochodzących z korytarza, potrafił określić, która jest godzina. Nawet poznawał niektóre pielęgniarki i salowe po odgłosie kroków – najczęściej tych z piątego pawilonu. Zawsze prosił w izbie przyjęć, żeby kierowano go do tego pawilonu, i na ogół tam go przydzielano. Personel tego pawilonu jego zdaniem był najuprzejmiejszy w całym szpitalu i najlepiej znał się na pacjentach z przewlekłą niewydolnością nerek, którzy muszą być dializowani. Także sale w tej części szpitala lubił najbardziej. Ich okna wychodziły na park i na Empire State Building widoczny w oddali.

Życie nie jest szczególnie wspaniałe, jeśli się musi chodzić na dializy trzy razy w tygodniu i kiedy biorą do szpitala za każdym razem, jak się ma kłopoty z krążeniem, trafi się jakieś zakażenie, cukier we krwi skoczy ponad normę, serce zacznie bić nieregularnie albo gruczoł krokowy powiększy się na tyle, że nie można sikać. Ale w wieku siedemdziesięciu jeden lat, kiedy się ma cukrzycę i źle funkcjonujące nerki, człowiek cieszy się, że w ogóle żyje.

Za drzwiami rozległ się turkot wózków wracających z fizjoterapii. Na jednym z nich leżała samotna staruszka, która straciła obie nogi wskutek gangreny. Trzymali ją tutaj, póki nie zwolni się łóżko w domu starców. Ja mam lepiej, pomyślał Joe. Dużo lepiej. Przynajmniej mam dzieciaki, Joego juniora i Alice. Przynajmniej ktoś mnie odwiedza. Rzucił okiem na drugie łóżko w sali. Facet leżący w tym łóżku, młodszy od niego o dwadzieścia lat, był po operacji jelit. Cholerny nowotwór.

Nieważne, jak bardzo jest źle, pomyślał Joe. Nie wolno zapominać, że zawsze mogłoby być dużo gorzej.

Wyczuł czyjaś obecność za drzwiami, zanim jeszcze usłyszał chrząknięcie. Kiedy się odwrócił, zobaczył technika laboratoryjnego w białym fartuchu, który ustawiał zakorkowane próbówki w kwadratowym metalowym koszyczku.

– Musi pan być tu nowy – stwierdził Joe.

– Owszem, ale proszę się nie przejmować. Pracuję w tym zawodzie już wiele lat – odparł technik i uśmiechnął się.

Miał może czterdzieści parę lat – z pewnością nie doszedł jeszcze pięćdziesiątki. Przyjemna twarz, uznał Joe. Nie jakaś szczególnie pociągająca, ale i nie odpychająca.

– Co pan będzie robił? – zapytał.

Lekarze zawsze mu mówili, jakie badania zaordynowali. Wiedzieli, że lubi wiedzieć. A dziś rano oglądali go dokładnie i żaden z nich nie wspomniał o pobieraniu krwi.

– To test na przeciwciała HTB-R29 – odpowiedział tamten rzeczowo i ustawił swój koszyk na stoliku przy łóżku. – W szpitalu jest infekcja. Badani są wszyscy pacjenci z chorobami nerek i płuc.

– Aha.

Technik miał jakiś obcy akcent. Nie był zbyt wyraźny i Joe nie potrafił go umiejscowić. Ale był.

– Skąd pan jest? – spytał po chwili.

Mężczyzna uśmiechnął się. Przygotowywał próbówki i igłę. Niebieska plakietka przypięta agrafką do kitla głosiła: „G. Turner. Analityk”. Joe dyskretnie rzucił okiem na identyfikator ze zdjęciem, ale był przekreślony i nie dało się go obejrzeć.

– Chodzi panu o to, skąd pochodzę? Z Australii – odparł technik. – Ale mieszkam w Stanach od dzieciństwa. Ma pan doskonały słuch, panie Bevins.

– Zanim się rozchorowałem, byłem nauczycielem angielskiego.

– Rozumiem. – Turner zerknął na drzwi, których nie domknął wchodząc. – No, miejmy to już za sobą.

– Proszę uważać na moją przetokę.

Turner podniósł prawe przedramię Joego i delikatnie dotknął palcami sztucznej przetoki do dializy – twardego, wypukłego naczynia, łączącego tętnicę i żyłę. Miał długie i wypiełgnowane palce. Joemu przeszło przez myśl, że pewnie gra na fortepianie.

– Wykorzystamy drugą rękę – oświadczył Turner. Zawiązał gumową opaskę uciskową pięć centymetrów nad łokciem Joego i znacznie szybciej niż przeciętny pielęgniarz znalazł odpowiednią żyłę. – Dzielnie pan to wszystko znosi – powiedział. Założył rękawiczkę i przetarł alkoholem skórę nad żyłą.

– To wcale nie lekarze utrzymują mnie przy życiu – mruknął Joe. – Żyję tylko dlatego, że chcę żyć.

– O tak, wierzę panu. Użyję cienkiej igły, żeby oszczędzić żyłę.

Zanim Joe zdążył odpowiedzieć, cieniutka igła z cewnikiem z przezroczystego tworzywa tkwiła już w jego żyłę. Krew wypełniła cewnik. Turner umocował strzykawkę i wstrzyknął do żyły niewielką ilość przezroczystego płynu.

– To dla przepłukania przewodu – wyjaśnił.

Odczekał jakieś piętnaście sekund, po czym naciągnął do strzykawki krwi, wyjął igiełkę i ucisnął mocno miejsce ukłucia.

– Doskonale – powiedział. – Dobrze się pan czuje?

Dobrze.

Joe był pewien, że to powiedział, ale nic nie usłyszał. Mężczyzna uśmiechnął się do niego добродusznie, cały czas naciskając miejsce po ukłuciu.

Dobrze – próbował znowu odpowiedzieć Joe.

Turner puścił jego ramię i wrzucił zużytą igłę i strzykawkę do metalowego koszyczka.

– Dziękuję, panie Bevins. Do zobaczenia.

Pierwszego lodowatego tknięcia panicznego lęku Joe doznał, gdy technik odwrócił się i wyszedł z sali. Czuł się dziwnie, jakby oderwał się od swojego ciała i unosił nad łóżkiem. Powietrze w pokoju stało się gęste i ciężkie. Coś się ze mną dzieje, pomyślał. Coś strasznego. Chciał wezwać pomoc, ale znów nie potrafił wydobyć żadnego dźwięku. Próbował odwrócić głowę, żeby znaleźć przycisk dzwonka, ale nie mógł. Kątem oka dojrzał przewód zwisający nad

podłogą. Był sparalizowany, nie mógł się ruszyć ani nawet złapać powietrza. Przycisk dzwonka znajdował się niecały metr od niego. Zmobilizował siły, żeby wyciągnąć ku niemu dłoń, ale rękę miał bezwładną. Powietrze gęstniało coraz bardziej i Joe poczuł, że opuszcza go świadomość. Umierał, tonąc w powietrzu, i nie mógł absolutnie nic na to poradzić.

Deseń na suficie zamazał mu się w oczach, pociemniał i w końcu zalała go czerń. Wraz z zapadającą ciemnością zaczął rozplływać się także lęk Joego.

Spoza przymkniętych drzwi usłyszał turkot wózka kuchennego. Poczł zapach jedzenia.

Mając za sobą dwadzieścia jeden pobytów w Szpitalu Parkowym, z czego większość w pawilonie piątym, wiedział już, że jest dokładnie kwadrans po jedenastej.

Wprawdzie siedem z dziesięciu foteli w poczekalni gabinetu Harry'ego było zajętych, ale na trzech z nich usadowiły się wnuki pani Mabel Espinoza. Mabel, dama pod dziewięćdziesiątkę, obdarzyła go uśmiechem, którego nigdy na długo nie usuwały z jej twarzy ani ból, ani życiowe tragedie. Cierpiała na nadciśnienie, miażdżycę i niedoczynność tarczycy, uwielbiała ciężkostrawne jedzenie i miała przewlekły nieżyt żołądka. Od lat Harry utrzymywał ją w formie za pomocą różnych nieszkodliwych leków. Sztuczka wciąż się udawała i dzięki temu Mabel Espinoza była w stanie opiekować się swoimi wnukami, a jej córka mogła chodzić do pracy.

Harry po raz kolejny uzmysłowił sobie, że na stanowisku dyrektora do spraw stosunków z lekarzami w firmie farmaceutycznej Hollins/McCue nie miałby do czynienia z żadną taką Mabel.

Mary Tobin, sekretarka i recepcjonistka w jednej osobie, obserwowała poczekalnię ze swojej oszklonej kabiny. Była to tęgą Murzynka, babcia gromadki wnucząt, i pracowała z Harrym prawie od początku jego praktyki. Miała wiele do powiedzenia na temat spraw, o których miała wyrobioną opinię, a wyrobioną opinię miała na zdecydowaną większość spraw.

– Jak poszło? – zapytała, gdy tylko pokazał się w drzwiach recepcji, żeby sprawdzić, kto się na dzisiaj zapisał.

– Powiedzmy, że przez te wszystkie lata pracowałeś dla barytona, a teraz okazuje się, że to tenor – odparł Harry.

Mary Tobin zachichotała.

– Co tam oni wiedzą! Przetrzył ich pan, doktorze C. – twierdziła. – Bywały gorsze czasy i zawsze znajdował pan wyjście.

– Powtarzaj mi to jak najczęściej. Były jakieś telefony?

– Tylko pana żona. Dzwoniła pół godziny temu.

– Dobrze się czuje?

– Chyba tak. Prosiła, żeby pan zadzwonił do niej do pracy.

Harry minął trzy pokoje zabiegowe i przeszedł do biura. Oprócz Mary Tobin miał jeszcze młodą dyplomowaną pielęgniarkę, Sarę Kcene, która pracowała u niego od czterech lat, i pomoc medyczną chyba już dwudziestą. Jedną musiał wylać za kradzieżę, a pozostałe zwolniły się, żeby urodzić dzieci albo – co zdarzało się częściej – żeby pójść do lepiej płatnej pracy. Sara podniosła

wzrok znalazł swojego biurka i pomachała mu, kiedy przechodził.

– Słyszałam o tym zebraniu, doktorze C. – powiedziała wesoło. – Niech się pan nie martwi.

– Jeśli jeszcze jedna osoba powie mi, żebym się nie martwił, to naprawdę zacznę się martwić.

Jego osobiste biuro zajmowało rozległe pomieszczenie na tyłach tej niegdyś eleganckiej kamienicy. Poza starym orzechowym biurkiem i krzesłami stał tam jeszcze stepper, którego używał przy testach wysiłkowych serca, póki – wskutek mnożących się procesów o błąd w sztuce – stawki ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej nie skoczyły tak bardzo w górę, że wykonywanie tych testów stało się kompletnie nieopłacalne. Teraz jedynie sam używał tego przyrządu. Ściany na żądanie Evie były pomalowane na biało. Wisiała na nich, jak w wielu gabinetach, kolekcja uprawionych w ramki dyplomów i opinii oraz coś, co niewielu lekarzy mogło sobie powiesić na ścianie – Srebrna Gwiazda z Wietnamu. Ponadto jeszcze trzy obrazy olejne, które wybrała Evie, wszystkie nowoczesne i abstrakcyjne. Harry żadnego z nich nigdy by nie powiesił, gdyby mógł się kierować własnym smakiem. Ale pacjentom pewnie się podobały.

Na biurku stały trzy fotografie. Jedna przedstawiała Harry'ego z rodzicami w dniu uzyskania dyplomu akademii medycznej, druga Phila, Gail i ich dzieci, a trzecia – Evie. Był to czarnobiały portret zrobiony u jednego z najlepszych fotografów w mieście. W szufladzie biurka Harry miał kilkadziesiąt jej zdjęć, które mu się bardziej podobały, ale Evie nalegała, żeby oprawił właśnie to. Harry usadowił się w fotelu, wziął zdjęcie żony do ręki i przyjrzał się z czułością delikatnym, lekko wystającym kościom policzkowym, zmysłowym ustom i uważnemu spojrzeniu ciemnych oczu. Fotografię wykonano tuż przed ich ślubem, dziewięć lat temu. Evie miała wtedy dwadzieścia dziewięć lat i była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu spotkał.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer miesięcznika *Manhattan Woman*.

– Poproszę z Evelyn DellaRosa – powiedział, odstawiając fotografię na biurko. – Mówi mąż.

Evie od pięciu lat była redaktorką działu konsumenckiego w niewielkim czasopiśmie. Harry wiedział, że odczuwała to jako degradację po swojej poprzedniej pracy w sieci telewizyjnej, ale nadal dawała z siebie wszystko, za co ogromnie ją podziwiał. Teraz jednak w jej karierze zawodowej szykowało się jakaś zmiana. Nie powiedziała mu co to takiego, ale fakt, że w ogóle o tym wspomniała, świadczył, iż to coś nadzwyczajnego.

Trzy minuty trwało, zanim go połączono.

– Przepraszam, że musiaś czekać, Harry. Już miałam na widelcu faceta z tej firmy kosmetycznej InSkin Cosmetics, która prowadzi testy na psach, ale drań się wymknął.

– Dobrze się czujesz?

– Jeśli chodzi ci o to, czy udaje mi się przez mniej więcej minutę w ciągu godziny nie myśleć o tym przeklętym balonie w mojej głowie, to odpowiedź brzmi „tak”.

– Było dziś to parszywe zebranie.

– Jakie zebranie...?

– Sprawozdanie komisji Sidonisa.

- A... aha, tak. I jak poszło?
- Wygląda na to, że powinienem być przyjąć tę robotę u Hollinsa/McCue'a.
- Dopiero teraz to do ciebie dotarło? Trochę późno.
- Daj spokój, Evie. Przyznaję ci rację. Co jeszcze mogę zrobić?

Harry wiedział, że wszystko, cokolwiek powie, pogorszy tylko sytuację. Odrzucenie przez niego tej oferty stało się gwoździem do trumny ich małżeństwa. Biorąc pod uwagę, że od tamtej pory kochali się tyle razy, że dałoby się to policzyć na palcach jednej ręki, sytuacja była fatalna.

- Przed chwilą miałam telefon od doktora Dunleavy'ego...
- No i?

– Mają wolne łóżko na neurochirurgii i zamówioną salę operacyjną. Chce mnie położyć jutro po południu i operować we czwartek rano.

- Im prędzej, tym lepiej.
- Mówisz tak, bo to nie twoja głowa.
- Evie, przestań.
- Pamiętam, że obiecałam przyjść dziś do klubu i posłuchać, jak grasz, ale jakoś nie mam na to ochoty.

- W porządku. Nie ma sprawy. Nie muszę dziś grać.

Starał się, żeby w jego głosie nie znać było przykrości. W czasach narzeczeńskich i na początku małżeństwa Evie uwielbiała jego muzykę, uwielbiała słuchać, jak gra. Teraz nie mógł sobie przypomnieć, kiedy go słuchała ostatni raz. Tak czekał na ten mały krok w stronę ich dawnego wspólnego życia! Ale był cierpliwy i wyrozumiały.

– Harry, koniecznie muszę z tobą porozmawiać – powiedziała nagle. – Wrócisz do domu wcześniej, żebyśmy mogli się wybrać gdzieś na kolację?

- Jasne. Co jest grane?
- Ja... Pogadamy wieczorem, dobra?
- Mam się martwić?
- Harry, przestań. Wieczorem.
- W porządku, Evie. Kocham cię.

Milczała przez chwilę.

- Wiem, Harry – powiedziała w końcu.

Rozdział 4

Kevin Loomis, pierwszy zastępca prezesa Towarzystwa Ubezpieczeń Zdrowotnych i Wypadkowych „Korona”, wrzucił plik notatek do teczki, posprzątał na biurku i sprawdził swój terminarz na jutrzejszy dzień. Był bardzo skrupulatnym pracownikiem i nigdy nie wyszedł z biura, dopóki wszystkiego nie pozalałtwaiał. Nacisnął dzwonek wzywający sekretarkę i włączył w głowie stoper. Po sześciu sekundach pojawiła się w jego gabinecie.

– Słucham, panie Loomis?

Brenda była wspaiała: inteligentna, świetnie zorganizowana, lojalna i bardzo pociągająca. Dostał ją w spadku po Burcie Dreiserze, obecnie prezesie i dyrektorze naczelnym firmy. Kevin podejrzewał, że ją i Dreisera łączy coś jeszcze, ale to nie miało znaczenia. Dreiser wywindował go do tego narożnego gabinetu pomijając paru innych, choć mieli dłuższy staż i wyższe kwalifikacje. Jeśli Dreiser sypiał z Brendą Wallace, to Kevin życzył mu jak najlepiej.

– Nie ma już na dziś nic pilnego? – zapytał. – Szykuję się już do wyjścia.

– Drugi i czwarty wtorek miesiąca, wiem – powiedziała z uśmiechem. – Życzę szczęścia.

Gra w pokera. Od lat Dreiser, choć znany ze swojego pracoholizmu, dwa razy w miesiącu, w drugi i czwarty wtorek, wychodził z biura o czwartej. Konieczne było jakieś wyjaśnienie. Brenda była zbyt spostrzegawcza, żeby na to nie zwrócić uwagi. Poker stanowił doskonałą wymówkę. Kevin przejął po Dreiserze nie tylko jego poprzednie stanowisko, gabinet i sekretarkę, ale – przynajmniej na użytek Brendy Wallace – również jego miejsce przy hazardowym stoliku. Drugi i czwarty wtorek każdego miesiąca. Czwarta po południu. Dreiser wmówił tę historię z pokerem nawet żonie Kevina, Nancy. Niezbędny rytuał związany z wysoką pozycją w firmowej hierarchii – to wygodne wyjaśnienie nieobecności męża w domu przez dwie noce w miesiącu. A konieczność utrzymywania w tajemnicy lokalizacji nielegalnego salonu gry stanowiła wytłumaczenie, dlaczego kontakt z mężem możliwy jest tylko za pośrednictwem pagera.

– Wygrałem tylko raz w ciągu tych czterech miesięcy – powiedział sucho Kevin. – Myślę, że to głównie dlatego Burt zaprosił mnie do stolika. Wiedział, że zółtodziób ze mnie. Posłuchaj, ci z Oak Hills przedłużyli z nami umowę, więc chyba wypada im jakoś podziękować. Wyślij członkom rady szkoły i szefowi związku trochę szampana. Albo jeszcze lepiej czekoladki. Luksusowe. Tak, żeby wyszło po sto dolarów na osobę. I dołącz jakieś miłe życzenia.

– Tak jest, panie Loomis – odparła Brenda i wyszła, obdarzywszy go uśmiechem, który roztopiłby górę lodową.

Jego sukcesy były jej sukcesami, a przedłużenie umowy z zespołem szkół Oak Hills stanowiło oczywisty tryumf. To był duży zespół, jeden z największych na Long Island. Nauczyciele z tych szkół byli młodzi i zdrowi, a tacy zawsze są na wagę złota w każdym zbiorowym ubezpieczeniu medycznym. To było prawdziwe osiągnięcie Kevina Loomisa, ale tak

naprawdę udało się to wyłącznie dzięki Okrągłemu Stołowi, bo właśnie stowarzyszenie Okrągłego Stołu przydzieliło Oak Hills „Koronie”. Jakikolwiek konkurencyjne oferty mogły przyjść wyłącznie od firm spoza stowarzyszenia, a oczywiście stowarzyszenie istniało głównie po to, żeby eliminować z rynku przedsiębiorstwa, które nie były jego członkami.

Sukces z Oak Hills miał dla Kevina jeszcze dodatkowe znaczenie. Jego pierwsze cztery miesiące po zastąpieniu Burta na stanowisku w Okrągłym Stole naznaczone były pewną kontrowersją. Powstała kłopotliwa sytuacja, w rezultacie której grupa musiała przenieść swoje spotkania z hotelu „Camelot” do „Apartamentów Garfield”, i Kevin był w nią wmieszany, chociaż tak naprawdę za nic, co się wydarzyło, nie ponosił winy. Na szczęście inni też to dostrzegli. Nie wyobrażał sobie, co by się stało, gdyby było inaczej.

Wziął teczkę i torbę z rzeczami osobistymi, po czym przez chwilę przypatrywał się panoramie miasta, rzecę i pejzażowi w oddali. Przeszedł drogę od gońca do zastępcy prezesa, od kącika wielkości psiej budy za przepierzeniem z dykty do gabinetu zajmującego cały narożnik okazałego gmachu. Jego rodzice, gdyby żyli, byłiby z niego dumni, cholernie dumni. Przełknął ślinę, żeby zlikwidować ucisk w gardle, który zawsze się pojawiał, gdy ich wspominał, i ruszył w kierunku wind. Zaczęła się jego transformacja w Sir Tristana, rycerza Okrągłego Stołu.

„Apartamenty Garfield” znajdowały się na Fulton, półtorej przecznicy od Ośrodka Handlu Światowego. Kurs taksówką od gmachu „Korony” do centrum zajmował około dwudziestu minut. Kevin jechał w milczeniu, gapiąc się na mijane ulice, ale widział niewiele. Zmiany w jego życiu zaszły tak gwałtownie, jakby trafiła mu się wygrana na loterii. Oczywiście był dobry, bardzo dobry w tym, co robił – to znaczy w sprzedawaniu polis. Przez pięć lat z rzędu był członkiem Okrągłego Stołu Milionerów, potem dyrektorem oddziału, a potem odnosił sukcesy jako szef wydziału w centrali swojej firmy. Jak na człowieka stosunkowo młodego, i w dodatku pochodzącego nie z tej strony Newarku co trzeba, były to duże osiągnięcia. Tymczasem Burt Dreiser zaczął zapraszać go na lunch, a wkrótce potem także na kolacje.

„Co pan myśli o...?”, „Co by pan zrobił, gdyby...”, „Przypuśćmy, że miałby pan zrobić...” Najpierw były pytania, wielokrotnie powtarzane i różnie formułowane, a potem, gdy odpowiedzi Kevina okazały się właściwe, przyszedł czas wtajemniczeń. Szeroko znany „okrągły stół” agentów, którzy przekroczyli milion dolarów w sprzedaży polis, miał swój odpowiednik na wysokim szczeblu dyrektorskim. Ale w przeciwieństwie do Okrągłego Stołu Milionerów, do którego przynależnością można było się chwalić i umieszczać o tym informację w nagłówkach papierów firmowych i na wizytówkach, członkostwo tego drugiego było ściśle tajne.

Gdy Burt Dreiser zaproponował Kevinowi, by zastąpił go w roli reprezentanta „Korony”, Kevin zorientował się, że nie może odmówić: wiedział już zbyt wiele i odmowa równałaby się rezygnacji z pracy. Nagrodą za zgodę był awans, szczodra podwyżka i premia roczna w wysokości jednego procenta zysków przysporzonych przez Okrągły Stół „Koronie”, nie mniej niż sto tysięcy dolarów. Jego wynagrodzenie, jak zapewnił go Dreiser, było porównywalne z tym, co otrzymywali inni rycerze.

W związku z ostatnimi niepokojami przedsięwzięli szereg środków dla zapewnienia bezpieczeństwa swojej małej organizacji i jej członkom. Zgodnie z zaleceniami Kevin zwolnił taksówkę przy sklepie Golda i Beekmana, dwie przecznice od „Apartamentów Garfield”, i kluczył chwilę, zanim dotarł na miejsce. Upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, wszedł do hallu hotelowego. Miał rezerwację na nazwisko George Trist, a rachunek był z góry opłacony. Ktokolwiek chciałby go wytropić po tym nazwisku, znalazłby jedynie lewy rachunek bankowy firmy nieistniejącej od lat. Sir Galahad, odpowiedzialny za bezpieczeństwo organizacji, dobrze wykonał swoją robotę. Miał obsesję na punkcie drobiazgów. Kiedy do stowarzyszenia udało się przeniknąć zakonspirowanemu przedstawicielowi prasy, stał się jeszcze ostrożniejszy.

Po drugiej stronie hallu Kevin zobaczył Sir Parsifala czekającego na windę. Parsifal pracował w towarzystwie Kompleksowa Sąsiedzka Opieka Zdrowotna, największej firmie tej branży w stanie. Kevin nic więcej o nim nie wiedział. Ani jak się naprawdę nazywał, ani jakie stanowisko zajmował w swoim przedsiębiorstwie. Burt mówił mu, żeby się takimi rzeczami nie martwił – minęły trzy lata, zanim on sam poznał nazwiska pozostałych sześciu rycerzy. Parsifal rzucił mu przelotne spojrzenie, po czym zniknął. Kevin sprawdził godzinę. Za trzy godziny spotkają się na dziewiętnastym piętrze.

Minął recepcję. Tajność, pseudonimy, sekretny charakter ich przedsięwzięć... Kevinowi bardzo podobała się atmosfera spiskowania i tajemniczości, związana z ich małym sprzysiężeniem. Stopniowo uczył się akceptować również mniej atrakcyjne aspekty działalności organizacji – czasem cel uświęca środki, myślał. No i oczywiście trzeba przywyknąć do nieustannego ryzyka wykrycia.

Numer 2314 był dwupokojowym apartamentem z niebrzydkim widokiem na gmach Ośrodka Handlu Międzynarodowego. Kevin sięgnął do lodówki stojącej w salonie i otworzył puszkę heinekena. Potem ściągnął krawat i powiesił marynarkę na oparciu krzesła. Zrzucił półbuty i nagle zeszywniał. Nie był sam. Ktoś znajdował się w sypialni. Zrobił krok ku drzwiom na korytarz. Obok windy jest telefon. Może zadzwonić do Sir Galahada albo wezwać straż hotelową?

– Hej! – odezwał się damski głos. – Jest tam ktoś?

Kevin podszedł do drzwi sypialni. Przy ogromnym łóżku stała mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna. Najwyraźniej obudziła się właśnie i teraz szcztokowała swoje kruczoczarne włosy sięgające do pasa. Miała zbyt ostry makijaż jak na gust Kevina, ale poza tym pod każdym względem była świetna. Azjatyckie rysy, gibkie ciało, pełne, jędrne piersi, długie zgrabne nogi. Szmaragdowozielona suknia, obcisła jak kostium kąpielowy, miała z prawej strony rozcięcie aż do biodra.

– Kim pani jest? – zapytał.

Zanim odpowiedziała, odłożyła szcztokę, wygładziła suknię i zwilżyła wargi językiem.

– Na imię mam Kelly.

– Kto panią tu przysłał?

– Nie rozumiem...

Kevin popatrzył na nią ostro. Po tym, co się zdarzyło z tamtą reporterką, teraz to z pewnością jakiś żart albo rodzaj próby.

– Skąd się pani tu wzięła? To chyba proste pytanie. Jak się pani tu dostała? To drugie proste pytanie.

W oczach kobiety pojawił się lęk.

– Stałam przed drzwiami, a potem przyszedł jakiś mężczyzna i wpuścił mnie tutaj. Każda z nas dostała numer pokoju, w którym miała czekać. Jestem tu... żeby zadowolić pana pod każdym względem.

– Proszę usiąść i nie ruszać się stąd – Kevin wskazał na łóżko. – Nie! – warknął, gdy sięgnęła za siebie, żeby rozpiąć zamek błyskawiczny sukni. – Siedź.

Wymaszerował do salonu, zatrzaskawszy za sobą drzwi.

Kobiety były niemal stałym elementem tych dwóch czwartków w miesiącu od początku istnienia Okrągłego Stołu, to znaczy od sześciu lat. Lancelot, jeden z członków-założycieli, odpowiadał za organizację tego typu spotkań. Wszystko szło dobrze. Ci z rycerzy, którzy chcieli uprawiać seks, mieli go. Ci, którzy woleli tylko masaż albo miłe towarzystwo przy kolacji, również byli zadowoleni. Lancelot zatrudniał agencje towarzyskie najwyższej klasy, zapewniające absolutną dyskrecję. Mimo to doszło do infiltracji – nie ze strony policji, lecz wścibskiej dziennikarki.

Kevin chwycił słuchawkę.

– Poproszę z pokojem pana Lance’a.

Lancelot, czyli Pat Harper z Północnowschodnich Ubezpieczeń na Życie i od Nieszczęśliwych Wypadków, był jedynym członkiem Okrągłego Stołu, którego Kevin znał, zanim jeszcze został przyjęty do organizacji. Z postury i wyglądu Harper zupełnie nie przypominał Lancelota. Jego wydatny brzuch, rumiana cera, wiecznie tkwiące w ustach cygaro i piskliwy śmiech bardziej kojarzyły się z Dickensem niż z zamkiem Camelot. Kevin grał z nim w tej samej grupie podczas charytatywnego turnieju golfowego sponsorowanego przez ich branżę. Harper był żonaty i miał troje czy czworo wyrosniętych dzieci. Kevin nic o nim więcej nie wiedział, poza tym, że lubił młode, piękne kobiety.

– Lancelocie, tu Tristan – powiedział do słuchawki. – Zdawało mi się, że postanowiliśmy zrezygnować z kobiet.

– A, chodzi ci o Kelly. Jak ci się podoba? Wspaniała, prawda?

– Owszem, tyle tylko, że nie powinno jej tu być.

– Wyluzuj się, kolego. Życie jest zbyt krótkie. Postanowiliśmy zrezygnować z kobiet z tamtej agencji towarzyskiej. Kelly i inne są z nowej. Nie martw się, każda została sprawdzona. Nie będzie więcej żadnych wpadek.

Tamta dziennikarka używała imienia Desiree. Spędziła dwa czwartki z Sir Gawaine’em i dwa z Kevinem. Właściciel agencji towarzyskiej dowiedział się o prawdziwej tożsamości Desiree

od innej swojej dziewczyny, z którą dziennikarka próbowała przeprowadzić wywiad. Dziewczyna twierdziła, że oszustka nagrała swoje sesje z obydwoma klientami. Na żądanie Galahada natychmiast zrezygnowano z usług tamtej agencji i zmieniono miejsce spotkań Okrągłego Stołu.

Podczas pełnych napięcia przesłuchań po wykryciu tej sprawy Kevin dowiedział się tego i owego o Gawainie, który został przyjęty do grupy jako ostatni przed nim. Nieskazitelne maniere i uniwersytecki akcent tego człowieka od samego początku wzbudzały w Kevinie obawę. Gawaine najwyraźniej doskonale pasował do pozostałych, gdy tymczasem trudne dzieciństwo Kevina w Newark czyniło z niego outsidera. Teraz jednak wiedział, że obaj z Gawainem mają przynajmniej jedną cechę wspólną: obaj kochali swoje żony i nigdy nie wymagali od swoich pań do towarzystwa niczego więcej niż masaże i chwila rozmowy.

Widocznie Lancelot dostał zielone światło, żeby spróbować z nową agencją, pomyślał Kevin i już miał powiedzieć, by nie przysyłano mu więcej kobiet do pokoju, kiedy przypomniał sobie ostrzeżenia Burta Dreisera.

„Stawka jest tak wysoka – powiedział Dreiser – że nikt nikomu nie ufa. Najlepsze, co możesz zrobić, to nie wychylać się pod żadnym względem. Postępuj tak, jak pozostali, a wszystko będzie dobrze”.

Kevin postanowił jednak nie uprawiać seksu z kobietami dostarczonymi przez Lancelota, ale nikomu o tym nie wspominał. I gdyby nie pytanie, czy faktycznie współżył z Desiree, jakie padło w trakcie dochodzenia zarządzanego przez Galahada, nikt w grupie by nie wiedział, jak było naprawdę.

– Posłuchaj, Lance – powiedział. – Nic się nie stało. Dziewczyna jest bardzo piękna i jestem z niej zadowolony. Po prostu chciałem się upewnić, czy wszystko jest tak, jak powinno być.

Odłożył słuchawkę i wrócił do sypialni. Kelly, powoli gładząc gęstą grzywę swoich hebanowych włosów, uśmiechnęła się do niego z łóżka.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Widok dziewczyny z prawą nogą odsłoniętą aż do pachwiny spowodował nagły, niekontrolowany przyływ krwi do krocza Kevina.

– W najlepszym porządku – odparł. – Słuchaj, może byś zamówiła przez telefon kolację? Wybierz sobie to, na co masz ochotę. Ja zjem befsztyk z polędwicy. Średnio wysmażony. A potem może masaże. Jesteś w tym dobra?

– Jestem w tym bardzo dobra – oświadczyła.

Harry mieszkał na Manhattanie przez większość swojego dorosłego życia, ale aż do dzisiaj nigdy nie był u Tiffany’ego. Z pomocą Mary Tobin odwołał wszystkie ostatnie wizyty, zrobił wcześniej niż zwykle popołudniowy obchód w szpitalu i ruszył do domu. Pomyślał, żeby podarować Evie coś specjalnego, był jego, ale to, żeby kupić prezent dla żony u Tiffany’ego, podpowiedziała mu Mary.

Nucąc z cicha *Moon River* w interpretacji Joego Kincaida, Harry próbował naśladować nonszalancję George'a Pepparda ze „Śniadania u Tiffany'ego”, gdy sprzedawczyni wykladała na aksamitny stolik jeden za drugim nieładnie drogie klejnoty.

– Ta tenisowa bransoletka jest naprawdę wspaniała – powiedziała. – Doskonale dopasowane rubiny i brylanty, po jednej ósmej karata każdy.

– Moja żona nie gra zbyt często w tenisa. Hm... a ile to kosztuje?

– Trzy tysiące sześćset, proszę pana.

Może lepiej wybrać coś do ping-ponga? – pomyślał.

Wreszcie stanęło na wisiorku z półkaratowym brylancikiem z dwoma małymi rubinami. Evie uwielbiała klejnoty. Przy udziale byłego męża, a także byłych narzeczonych, jak przypuszczał Harry, zgromadziła okazałą kolekcję, zanim się jeszcze poznali.

„Chcę sprzedać wszystko, co do sztuki – powiedziała wkrótce po ślubie – żebyśmy mogli kupić auto kempingowe i pojeździć po kraju”.

Ale Harry wiedział, że nigdy w życiu nie podróżowała w ten sposób, i podejrzewał, że nie przypadną jej do gustu czarne muchy i przypalone hamburgery. Po jakimś czasie przestała mówić o życiu w prostocie i ulokowała swoje diamenty w bankowym sejfie. Nigdy nie pojechali na kemping.

„Mam nadzieję, że to będzie znak naszego nowego początku...” „Wszystko będzie dobrze...” „Wierz mi lub nie, ale chcę cię zabierać w miejsca, gdzie będziesz mogła to nosić...” Harry odrzucił niezliczone wersje dedykacji, zanim napisał po prostu „Kochałem cię”.

„Muszę z tobą porozmawiać...” – przypomniał sobie słowa Evie. Wysiadł z taksówki. Ich mieszkanie, kupione wkrótce po ślubie, mieściło się na szóstym piętrze dobrze utrzymanej kamienicy przy Upper West Side, zaledwie jedną przecnicą od Central Parku, i składało z pięciu sporych pokoi i małego gabinetu. W ciągu ponad ośmiu lat zmieniło się w opinii Evie z „rozkosznego” w „odpowiednie”, potem w „małe”, a ostatnio w „przygnębiające”.

„Koniecznie muszę z tobą porozmawiać...” Harry nie miał pojęcia, o co jej mogło chodzić. Zdrowie? Pieniądze? Ich małżeństwo? Jej praca? A może była w ciąży? Tyle czasu minęło, odkąd ostatni raz rozmawiała z nim o czymkolwiek. Może wreszcie chce oczyścić atmosferę i zacząć od nowa?

Na szóstym piętrze znajdowały się dwa mieszkania. Łączący je z windami wąski korytarz zdawał się być zawsze wypełniony Evie – prawdopodobnie była to jakaś kombinacja zapachu jej perfum, szamponu i makijażu. Ale tego wieczoru Harry był zbyt rozkojarzony, żeby zwrócić na to uwagę. Zapukał i po chwili otworzył drzwi kluczem.

– Harry? – zawołała Evie z sypialni.

– Tak, to ja.

– Już wychodzę.

Z tonu jej głosu wywnioskował, że rozmawia przez telefon.

Postawił pudełeczko od Tiffany'ego na stole w jadalni i zaczął się przechadzać po pokoju.

Mieszkanie było nieskazitelnie czyste i stało w nim kilka wazonów świeżych kwiatów – znak rozpoznawczy Evie. Na odtwarzaczu CD grała płyta Erica Claptona. Clapton był ulubieńcem Harry’ego. Ciekaw był, czy to, że Evie go włączyła, miało coś oznaczać.

– Napijesz się czegoś? – zapytał.

– Moja wódka z tonikiem stoi na blacie w kuchni. Wrzuć tylko trochę lodu...

Chyba właśnie skończyła rozmowę, bo po chwili dodała:

– Już idę. Zarezerwowałam stół w „Morskim Grillu”, dobrze?

– W porządku.

Harry bez rezultatu próbował wyczytać coś z brzmienia jej głosu.

Wreszcie pojawiła się w czarnych spodniach i czerwonej jedwabnej bluzce. Wyglądała olśniewająco. Ale przecież zawsze tak wyglądała. Pocałowała go w policzek.

– Ciężko ci było się wyrwać z roboty? – zapytała, biorąc swojego drinka.

– Tym razem nie. Mary poprzekładała wszystkie wizyty i zawiadomiła zespół, że nie zagram.

– Jak ona się czuje?

– Mary...?

– Tak, Mary.

Harry nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz Evie pytała o kogoś z jego personelu albo o kogokolwiek z jego znajomych, członków zespołu czy kolegów.

– Ma poważne kłopoty ze stawami biodrowymi. Ale nieźle sobie radzi. A jak ty się czujesz?

– Chyba tak, jak można by się spodziewać.

Pociągnęła łyk swojego drinka. Harry zrezygnował z prób zrozumienia, co kryje się za tą zdawkową rozmową, i wręczył jej naszyjnik. Evie wyglądała na autentycznie zachwyconą. Natychmiast zdjęła złoty łańcuszek, który miała na szyi, i założyła wisiołek Harry’ego.

– To bardzo miło z twojej strony – powiedziała, zerkając jeszcze raz na kartkę z dedykacją.

– Chciałem, żebyś wiedziała, że wszystko będzie dobrze.

Jej uśmiech był zagadkowy, ale z oczu wyzierał niewątpliwy smutek.

– Zawsze mówisz, że sprawy z reguły układają się tak, jak się tego spodziewamy.

– Tak, to moje słowa. I właśnie tak uważam.

– Myślę, że tym razem masz rację, ty nieprzenikniony filozofie. Wszystko się jakoś ułoży.

Zapatrzyła się w okno, w roztargnieniu bawiąc się wisiorkiem.

Światło wczesnego wieczoru połyskiwało na jej jasnej skórze i podkreślało jej profil. Była, jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze piękniejsza niż wtedy, kiedy ją poznał.

– Mówiłaś, że... że musisz ze mną porozmawiać.

Był zły na siebie, że to powiedział. Przecież gdyby chciała rozpocząć rozmowę, dawno by to zrobiła. Spojrzała na niego i znów odwróciła się do okna.

– Po prostu chciałam spędzić dziś trochę czasu z tobą. Być może medycyna dokonała wielkich postępów, ale operacja mózgu to wciąż operacja mózgu.

– Rozumiem – odparł Harry, choć wcale nie był pewien, czy rozumie. – Jesteś głodna?

– Zgłodnieję, zanim gdziekolwiek dojedziemy.

– Chcesz się przejść pieszo? – Pytanie było retoryczne. Evie zawsze zanadto się spieszyła, żeby mieć czas na spacer.

– W porządku – powiedziała niespodziewanie. – Przejdźmy się. Harry, to naprawdę piękny naszyjnik. Jestem wzruszona.

Harry szukał w jej głosie cynizmu, do którego się przyzwyczał, ale go nie znalazł. Rojenia o powrocie do dawnych dobrych czasów ożyły znowu. Evie odwróciła się i ruszyła w stronę sypialni. Nagle zadzwonił telefon.

– Odbiorę! – zawołała Evie biegnąc przez przedpokój. – I tak muszę pójść po torebkę.

Harry wzruszył ramionami i nadal czując się nieswojo przeszedł do kuchni i odstawił swoją szklaneczkę do zlewu.

Z ośmiu kolumn głośnikowych zainstalowanych w mieszkaniu Eric Clapton przypominał mu, że kiedy jesteś na dnie, nie masz przyjaciół.

W głębi mieszkania, w sypialni, osłaniając ręką słuchawkę przy ustach, Evie prowadziła pospieszną, szeptaną rozmowę.

– Nie... nie, jeszcze mu o nas nie powiedziałam. Ale powiem. Odłożyła słuchawkę na widełki i podniosła diamentowy wisiołek, żeby go dokładniej obejrzeć.

Rozdział 5

Galahad... Gawaine... Merlin... Tristan... Przybywali do sali konferencyjnej na dziewiętnastym piętrze o wyznaczonych porach, w wyznaczonym porządku i wyznaczonymi trasami. Galahad wybrał ten hotel i salę i określił procedury postępowania. Sprawdził też pokoje pod kątem urządzeń podsłuchowych i kamer.

Mimo że kobiety z agencji towarzyskiej były wynajęte na całą noc, Kevin Loomis – Sir Tristan – odesłał Kelly jakąś godzinę przed wyjściem z pokoju. Kochał swoją żonę i ich życie seksualne satysfakcjonowało go. Ale każdy mężczyzna ma swoją wytrzymałość. Nancy wolą sama być masowana, niż masować męża. Pięć minut bezdusznego ugniatania to wszystko, co potrafiła z siebie wykrzesać. Kelly natomiast była niezmordowana, a aromatyczne olejki, które wyciągnęła ze swojej torebki, pobudziłyby nawet orientalnego władcę. Cała noc z nią wystawiłaby siłę woli Kevina na zbyt wielką próbę.

Zrelaksowany i syty luksusów, zadzwonił do pokoju Merlina i odczekał sześć sygnałów. Upewniwszy się, że Merlin wyszedł, pojechał windą na drugie piętro, a potem drugą windą na osiemnaste. Środki ostrożności wydawały mu się przesadne, stwarzały atmosferę niebezpieczeństwa, ale dziecinne zabawy na autostradzie i kilkanaście odbytych już po trzydziestce skoków ze spadochronem świadczyły o tym, że pociągały go niebezpieczeństwa.

Ostatnie piętro pokonał po schodach. Sprawdził, czy korytarz jest pusty, i wślizgnął się do numeru 1902, apartamentu Stuyvesanta. Byli już tu trzej inni rycerze, usadowieni na miejscach oznaczonych ich imionami na złocistych metalowych plakietkach. Przywitani go urzędowymi uśmiechami i ukłonami. Potem przybyli, w ściśle trzyminutowych odstępach, Parsifal, Lancelot i Kay.

Oprócz Galahada, pod którego nadzorem znajdowały się sprawy bezpieczeństwa, rycerze nie mieli przywódcy. Na zmianę przewodniczyli posiedzeniom, które zaczynały się o wpół do ósmej i trwały dopóty, dopóki nie załatwiono wszystkich spraw. W ciągu tych czterech miesięcy, kiedy Tristan brał w nich udział, dwa spotkania przeciągnęły się poza północ. Obydwa dotyczyły wyłomu w ich systemie bezpieczeństwa dokonanego przez dziennikarkę, która przybrała imię Desiree. Przez trzy wyczerpujące godziny rycerze maglowali Kevina i Gawaine'a, wałkując ich rozmowy z tą kobietą słowo po słowie.

„Czy pytała o rodzaj twojej działalności? Co odpowiedziałeś? Czy wymieniałeś którekolwiek z naszych nazwisk?... Czym się najbardziej interesowała?... Pytała cię o nazwisko?... Powiedziałeś jej?... Czy kochałeś się z nią?... Czy się rozebraliście?... Czy zasnąłeś przy niej?... Czy zostawiłeś ją samą w pokoju, w którym znajdował się twój portfel... twoje ubranie... twoja teczka?... Czy mogła cię w jakiś sposób znarkotyzować?”

W czasie całego przesłuchania Galahad, który pełnił rolę oficera śledczego, nigdy nie był

napastliwy, miał jednak w sobie jakiś chłód, który Kevina onieśmielał. Ale jeszcze większym niepokojem napawało go poczucie, że śledztwo skupia się znacznie bardziej na nim niż na Gawainie, promieniującym pewnością siebie, poczuciem słuszności i dobrym urodzeniem. Kevin był bardzo spięty w trakcie tego posiedzenia i odczuł nieopisaną ulgę, kiedy to się skończyło. Dziś Galahad miał ich poinformować o wynikach dochodzenia.

Mężczyźni sadowili się i rozkładali swoje notatki. Trzydziestosiemioletni Kevin był wśród nich najmłodszy, zaraz po nim Gawaine. Lancelot, czyli Pat Harper, był prawdopodobnie najstarszy – miał już szósty krzyżyk na karku. Każdy z nich nawykł do władzy i stanowisk. Jeszcze niecałe pół roku temu Kevin był tylko najemnym pracownikiem jednego z nich. Teraz był ich towarzyszem i był przekonany, że z czasem, gdy poznają jego zdolności i poświęcenie, uznają go za równego sobie.

– No dobra, obozowicze – zagał Merlin. – Zaczynamy.

Czterdziestoparoletni Merlin przewodniczył posiedzeniom w sierpniu. Odznaczał się inteligencją i wnikliwością, a także skłonnością do bezceremonialnych dowcipów, które zdaniem Kevina nie licowały z powagą Okrągłego Stołu. Przecież jeśli coś pójdzie nie tak, każdy z nich stanie w obliczu niesławy, bezrobocia, kar, może nawet więzienia. Naczelnicy dyrektorzy ich firm wiedzieli o istnieniu stowarzyszenia, ale nie mieli na to nawet cienia dowodu.

– Czy macie jakieś uwagi, anegdoty, nowe kawały, sprośne historyjki? – zapytał Merlin. – Nie? No to zaczynamy. Najpierw sprawy finansowe. Lancelot!

Lancelot odłożył niezapaloną cygaretkę, której ustnik żuł, odchrząknął i rozdał wszystkim kartki z wydrukiem komputerowym. Te wydruki stanowiły fundament ich stowarzyszenia.

– Saldo naszego prywatnego rachunku wynosi aktualnie niecałe dwieście sześćdziesiąt dwa tysiące dolarów – zaczął. – To oznacza, że będziemy potrzebować po pięćdziesiąt tysięcy dolarów od każdego przedsiębiorstwa członkowskiego, żeby uzyskać uzgodnioną kwotę kapitału obrotowego w wysokości sześciuset tysięcy dolarów. Wszyscy utrzymali się w ramach budżetu, z wyjątkiem Parsifala. Przedstawisz nam sprawozdanie w tej sprawie, prawda?

Dwaj mężczyźni przez chwilę w milczeniu mierzyli się wzrokiem, co Kevin doskonale widział ze swojego miejsca. Najwidoczniej Parsifal, Kompleksowa Sąsiedzka Opieka Zdrowotna, nie był zachwycony poleceniem Lancelota. Dzisiejsza sesja była ósmą w karierze Kevina, ale dopiero niedawno połapał się, kto jest kim. Najbardziej szanowano i chyba najbardziej bano się Galahada, dyrektora dużej firmy zajmującej się opieką zdrowotną. Parsifal natomiast miał znacznie mniejsze wpływy i słabszą pozycję niż reszta.

Jeśli istniała jakaś wąska klika, to należeli do niej Galahad, Lancelot, Merlin i prawdopodobnie Kay, czarodziej liczb, ekspert do spraw kalkulacji opłat. Tristan i Gawaine wciąż znajdowali się pod baczna obserwacją, ale uważano ich za „dobrze zapowiadających się”. Parsifal natomiast, choć tolerowany, wciąż zajmował pozycję outsidera. Kiedy Kevin spytał pewnego razu swojego patrona, Burta Dreisera, czy istnieje wewnętrzny krąg rycerzy, tamten klepnął go tylko po plecach dla dodania otuchy i odpowiedział, że zdobycie pełnego zaufania

wymaga czasu.

– Zestawiłem wskaźniki z ostatnich dwóch miesięcy – kontynuował Lancelot. – Jak widzicie, wyglądają wspaniale. Najważniejszy parametr, który otrzymaliśmy dzięki uprzejmości Sir Kaya, średni wiek klientów naszych firm, jest o cztery lata niższy, niż średnia pozostałych firm działających w tym regionie.

Rycerze z aprobatą zastukali długopisami w stół. Kevin nie znał dokładnych liczb, ale wiedział, że każdy rok z tych czterech lat to dziesiątki milionów dolarów oszczędności w wypłatach. Sztuczka polegała na tym, żeby unikać firm, które późno przenosiły swoich pracowników na emeryturę albo, co gorsza, zatrudniały ludzi po czterdziestce. Wypłaszanie takich przedsiębiorstw spośród klientów było po mistrzowsku opanowane przez Okrągły Stół.

Jeden za drugim przedstawiali swoje sprawozdania kolejni rycerze. Gawaine zebrał oklaski za zdobycie nazwisk około osiemdziesięciu procent kobiet z południowej części stanu Nowy Jork, które miały w ubiegłym roku odbiegające od normy wyniki cytologiczne. Nawet te wyniki, które wskazywały na minimalne zmiany zapalne i nie budziły żadnych podejrzeń o istnienie komórek przedrakowych, zostaną wykorzystane. Na ich podstawie będzie można określić owe kobiety jako zagrożone rakiem szyjki macicy w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy i wykluczyć je z ubezpieczenia. Mogą je przejąć inne ubezpieczalnie albo ubezpieczenie społeczne, ale to już ich problem.

Parsifal rozdał wydruki podające aktualne informacje o kierownikach wydziałów zasiłków w dwustu pięćdziesięciu największych przedsiębiorstwach i instytucjach w rejonie działania stowarzyszenia. Były tam nie tylko takie dane jak dochody, stan cywilny, wykształcenie, marka samochodu, wartość posiadanego domu, wyznanie, ale także hobby, spożycie alkoholu, używanie marihuany i kokainy, upodobania seksualne i stopień „łatwości nawiązywania kontaktu”. Określała ją dziesięciostopniowa skala i rycerze przegłosowali, żeby do siedmiu z nich rozpocząć „ostre podchody”.

Następnie Merlin poprosił o głos Sir Tristana. Kevin, wciąż bardzo spięty przy publicznych wystąpieniach, czuł, że się zacina. Do jego obowiązków należała działalność polityczna, którą odziedziczył po Burcie Dreiserze. Branża ubezpieczeń miała już silne lobby zarówno w Waszyngtonie, jak i w Albanie, więc Dreiser skoncentrował swoje wysiłki na kilku kluczowych legislaturach stanowych oraz na komisarzy ubezpieczeniowym i jednym z jego zastępców. W większości przypadków najskuteczniejszym „argumentem” okazywały się pieniądze, ale komisarz stanowił trudny orzech do zgryzienia. Prywatny detektyw zatrudniony przez Dreisera potrzebował blisko pół roku, żeby uzyskać film wideo, rejestrujący weekend spędzony przez komisarza z siedemnastoletnią praktykantką w jego domku myśliwskim.

– Informacja przedstawiona na poprzednim posiedzeniu przez Merlina okazała się prawdziwa – mówił Kevin. – Komisarz rzeczywiście rozmawiał z niektórymi swoimi doradcami na temat przejścia na emeryturę. Skontaktowałem się z nim naszymi kanałami i dałem mu do zrozumienia, że obecnie nie byłaby to decyzja rozsądna. W tej chwili zastanawia się, jak

postąpić. Wydaje mi się, że ma jasny obraz sytuacji.

Kevin nie miał pojęcia, jak by sobie poradzili, gdyby komisarz postanowił nie poddać się szantażowi. Ale według Burta Dreisera taka sytuacja jeszcze nigdy się nie zdarzyła. Cały sekret, jak twierdził, polega na tym, żeby najpierw przeprowadzić skrupulatne rozeznanie i dobrze się przygotować. No i potem nie wysuwać zbyt wygórowanych żądań.

Zgromadzeni pokiwali aprobująco głowami. Kevin pomyślał, że mimo afery z Desiree najwyraźniej nabierają dla niego szacunku, i bardzo go to ucieszyło. Zaproszenie Dreisera do stowarzyszenia Okrągłego Stołu było dla niego równie ważne jak przed laty przyjęcie jego oświadczyn przez Nancy. Fakt, że grupa łamała prawo, nie miał dla niego znaczenia. W warunkach ostrej konkurencji w branży wygrać mogli tylko najsilniejsi, więc współpraca między przedsiębiorstwami, choć formalnie zabroniona, miała sens.

– W porządku, bracia – powiedział Merlin. – Czy są jakieś uwagi? Jakies propozycje? A więc dobrze. Świetna robota, Tristan. Doskonale. No a teraz, jeśli nie ma dalszych spraw służbowych, posłuchajmy Galahada.

Szef ochrony chrząknął i postawił na stole przenośny magnetofon. Kevin miał nadzieję, że po jego minie nie widać, jak bardzo się denerwuje.

– Pozwólcie, że przedstawię nasze dalsze dokonania w sprawie Desiree. Lancelot poświęcił dużo czasu na przesłuchanie Page Proctor, kobiety, która jest właścicielką tej agencji. Mój człowiek rozmawiał z jej kilkoma pracownikami. Próbowaliśmy zidentyfikować tę dziennikarkę, ale jak dotąd nie udało się nam. Nie dała pani Proctor swojego numeru telefonu. Zazwyczaj dzwoniła sama i pytała, czy nie ma dla niej zleceń. Dowiedziała się w jakiś sposób, że szefowa odkryła jej prawdziwy zawód, i nie odzywała się prawie przez miesiąc. W zeszłym tygodniu zatelefonowała z pytaniem, czy pani Proctor udzieli jej wywiadu. Niestety Page straciła zimną krew i szansa na dotarcie do Desiree przeszła nam koło nosa. Ale udało się nagrać tę rozmowę. Oto fragment.

Włączył magnetofon.

– ... *dlaczego mi to zrobiłaś?*

– *Nic takiego ci nie zrobiłam.*

– *Moi klienci są bardzo zdenerwowani. Straciłam zlecenia na ponad dziesięć tysięcy dolarów miesięcznie. Wciąż mnie nachodzą jacyś wściekli faceci i dopytują się, co ty wiesz i co zrobisz z tymi informacjami.*

– *Page, powiedziałam ci przecież, że piszę artykuł o luksusowych agencjach towarzyskich. Twoja jest jedną z kilkunastu, w których pracowałam.*

– *Co zrobisz z tym artykułem ?*

– *Jeszcze nie mogę ci powiedzieć.*

– *Ci ludzie chcą wiedzieć.*

– *To powiedz mi, kim są, a ja się z nimi skontaktuję, żeby mogli sami mnie o to zapytać.*

- *Jesteś okropną egoistką.*
- *Masz jeszcze jakieś pytania ?*

– Dalej jest mniej więcej w tym stylu – oświadczył Galaliad. – Ta kobieta wciąż twierdzi, że pisze artykuł o agencjach towarzyskich. Ani razu nie wspomniała o nas ani o branży ubezpieczeń zdrowotnych. Sprawdziliśmy w lokalnych stacjach telewizyjnych, gazetach i tygodnikach, nawet uruchomiliśmy znajomości w „Sześćdziesięciu minutach”. Nikt nie słyszał o żadnym artykule na temat agencji towarzyskich.

– Miałem nadzieję, że dowiesz się, kim ona jest – powiedział nerwowo Parsifal. – Myślisz, że nic nam nie grozi?

– Nie możemy jej przekupić, skoro nie udało się jej znaleźć – wtrącił Lancelot.

– Przede wszystkim nie mamy najmniejszego pojęcia, czy ona w ogóle nas zna – zauważył Kay. – Nie pozwolimy nikomu się szantażować. To by nas postawiło na straconej pozycji.

Kay miał arystokratyczne rysy i łagodny, lecz przekonujący głos. Poważne twarze zgromadzonych wskazywały, że wszyscy liczą się z jego opinią.

– Tristan i Gawaine twierdzą – wzruszył ramionami Galaliad – że nie zadała im więcej niż parę zdawkowych pytań o ich pracę. Ale żaden z nich nie ma nagrań tych spotkań, a mogą się założyć, że ona je nagrała. Wydaje mi się, że to prawda z tym jej artykułem, choć oczywiście nie mamy pewności.

– A więc? – spytał Parsifal.

– Nie sądzę, żeby mogła mieć przeciwko nam jakieś niezbite dowody – stwierdził Kay. – Moim zdaniem to wszystko jest sprawą przypadku.

– Jeśli nawet tak, to może lepiej byłoby odwołać na jakiś czas spotkania – zaproponował Parsifal. – Poddaję pod głosowanie wnioski, żeby zawiesić działalność na dwa miesiące.

Wniosek przyjęto i Merlin poprowadził głosowanie. Było sześć głosów przeciwnych.

– Więc to już mamy załatwione – oświadczył Merlin. – Galahad, czy masz zamiar prowadzić dalsze poszukiwania Desiree?

– Owszem. Za wiele mamy do stracenia, żebym mógł to sobie odpuścić.

– Nie wykonuj tylko zbyt gwałtownych ruchów – poradził mu Merlin, a potem uśmiechnął się i dodał: – Przynajmniej dopóki się nie upewnisz, że ona nie ma polisy ubezpieczeniowej żadnej z naszych firm.

Rozdział 6

Harry zbyt dobrze znał szpitale, by się obawiać samemu zostać pacjentem. Większość lekarzy, pielęgniarek, salowych i personelu technicznego to ludzie oddani swojej pracy i kompetentni. Ale cudów nie ma, jest po prostu zbyt wielu pacjentów, zbyt wiele chorób, a ludzie są tylko ludźmi, mają swoje słabości. Nikt nie jest doskonały.

Przez dwadzieścia pięć lat pracy w lecznictwie Harry nasłuchiwał się o najrozmaitszych katastrofach, często zupełnie niewyobrażalnych. Wstrzyknięcie dożylnie soku pomarańczowego, bo pielęgniarka źle zrozumiała wydane przez telefon polecenie lekarza, a bała się oddzwonić i zapytać. Podanie śmiertelnej dawki leku dziecku, bo lekarz w pośpiechu opuścił przecinek dziesiętny. Transfuzja krwi grupy B pacjentowi z grupą A. Niezliczone kroplówki, które zostały podane zbyt szybko, beztrąsko opuszczone poręczce przy łóżku, niespodziewane reakcje psychotyczne po podaniu środków uspokajających lub nasennych.

Obok wypadków, którym można było zapobiec, są też tak zwane powikłania: udokumentowane i akceptowane niekorzystne skutki uboczne stosowania niektórych leków lub wykonywania pewnych zabiegów, którymi przejmować się nie należy, chyba że dotyczy to właśnie ciebie.

Z takimi myślami Harry szedł korytarzami CMM na oddział neurochirurgii na dziewiątym piętrze gmachu Alexandra. Było pięć po ósmej wieczorem. Strumień odwiedzających kierował się ku wyjściu. Harry zamierzał zjawić się tu wcześniej, ale do izby przyjęć przywieziono jego długoletniego pacjenta z krwawymi wymiotami i mógł się wyrwać dopiero wtedy, gdy udało mu się opanować krwawienie z wrzodu żołądka.

Rano spotkał się w hallu głównym z Evie i zaprowadził ją na oddział. Chciał z nią zostać w czasie wstępnych badań, wyprosiła go jednak. Wydawała się roztargniona i zajęta czymś innym, tak samo jak poprzedniego wieczoru. Najwyraźniej wciąż myślała o operacji. Ale było jeszcze coś, Harry był tego pewien.

Wczoraj wieczorem spacer do restauracji odbyli w absolutnym milczeniu. Podczas kolacji rozmawiali trochę i Evie zmusiła go do złożenia obietnicy, że sprzeciwi się każdej próbie sztucznego przedłużania jej życia, gdyby doszło do uszkodzenia mózgu. Kiedy wracali do domu, przeprosiła go, że nie wkładała w ich małżeństwo tyle wysiłku, ile powinna. W jej słowach było coś ostatecznego. Harry przyjął przeprosiny, ale nie umiał rozszyfrować ich wagi.

Neurochirurgia, dziewiąte piętro gmachu Alexandra, miała kształt litery „L”; w każdym ramieniu mieściło się piętnaście pokoi. Oddział szykował się właśnie do nocnego spoczynku. Korytarze świeciły pustkami, jedynie od czasu do czasu pojawiała się jakaś salowa wioząca pacjenta na wózku. Dyżurka pielęgniarek znajdowała się w połowie drogi między windami a pokojem Evie. Atrakcyjna rudowłosa pielęgniarka o paznokciach lśniących karmazynowym

lakierem siedziała za kontuarkiem i robiła jakieś notatki. Harry nigdy jej przedtem nie widział.

– Cześć, nazywam się Corbett – powiedział.

– Znam pana, doktorze – odpowiedziała. – Pańska żona czuje się dobrze.

– To świetnie. Rozmawiałem z nią przed chwilą przez telefon i nie narzekała, martwi się tylko swoją współlokatorką.

Pielęgniarka pokręciła głową.

– Nie tylko ona. Wszyscy mamy dosyć Maury Hughes. Powinni obłożyć większymi podatkami ceny alkoholu, żeby opłacić leczenie takich ludzi jak ona, nie sądzi pan?

– Nie rozumiem...

– Alkoholiczka. Myślałam, że żona panu powiedziała. Ta jej sąsiadka, Maura, ma delirium.

Niestety nie mamy innego wolnego łóżka na oddziale.

– Evie nie mówiła, że z nią aż tak źle.

– Wszystko jest w porządku, dopóki działają środki uspokajające. Przysłali ją do nas z bloku operacyjnego trzy dni temu. Schlała się, spadła ze schodów i uderzyła się w głowę. Tomografia wykazała krwiak, więc trzeba było go usunąć. Do wczoraj był spokój, a potem zaczęła narzekać na pająki pełzające po suficie i mrówki pod prześcieradłem.

– To rzeczywiście wygląda na delirium.

– No bo jest. Zerwała na nogi całe piętro. Ci ludzie myślą tylko o sobie, inni nic ich nie obchodzi. Nigdy nie pomyślą o konsekwencjach swojego picia, wie pan.

Harry miał dosyć. Co ta kobieta tutaj robi? Nie powinna być pielęgniarką.

– Przepraszam, że przychodzę po godzinach odwiedzin, ale miałem na ostrym dyżurze pacjenta z krwawieniem z przewodu pokarmowego. Mogę pójść na chwilę do żony?

– Oczywiście. Jeśli Maura da się panu za bardzo we znaki, to przywiążemy ją do łóżka i wystawimy na korytarz. Ona też ma mieć zaraz odwiedziny. Jej brat dzwonił przed chwilą. To policjant, niech pan sobie wyobrazi. Miałam ochotę go poprosić, żeby zabrał ze sobą kajdanki.

– Dziękuję, sostro... – sprawdził nazwisko na identyfikatorze – ... Jilson. Dziękuję, że nagina pani dla mnie regulamin.

– Proszę bardzo. Pańska żona jest bardzo ładna, doktorze Corbett.

– Tak, tak... dziękuję. – Harry pospieszył korytarzem do pokoju 928.

– ... są po prostu dla mnie niedobrzy. Niedobrzy i wstrętni. Nie lubią mnie, bo myślą że ta cholerna podłoga jest czysta jak kryształ, a ja im pokazuję, że wszędzie łożą robaki. Boże, jak ja nienawidzę robaków. Nienawidzę.

Już z połowy korytarza Harry słyszał narzekania Maury Hughes. W czasie swojego stażu w Bellevue i w swojej praktyce prywatnej, zajmował się również leczeniem objawów zespołu abstynencyjnego. Delirium tremens może być zabawne, ale może być też śmiertelne: przyspieszony rytm serca i oddechu, gorączka, nadwrażliwość układu nerwowego, utrata płynów wskutek pocenia się, hiperwentylacja. Czytał artykuły oceniające śmiertelność w delirium na dwadzieścia pięć procent. A Maura Hughes była na dodatek trzy dni po kraniotomii. To

medyczna bomba zegarowa, najgorsza z możliwych współlokatorek dla Evie.

Rzucił okiem na sprzątacza, który cierpliwie jeździł swoją maszyną od ściany do ściany. Na uszach miał słuchawki od walkmana i od czasu do czasu kiwał głową w takt muzyki, całkowicie nieświadom dramatów, które się wokół niego rozgrywały.

Harry zastanawiał się, jak to jest być kimś, kogo jedynym zawodowym obowiązkiem jest dbanie o lustrzany połysk podłogi.

Evie leżała na łóżku pod oknem, dalej od drzwi. Oba łóżka rozdzielali parawan. Harry przechodząc spojrzał na Maurę Hughes. Nadgarstki miała przypięte do łóżka szerokimi skórzanymi paskami. Nie była stara. Spod turbanu z bandażu wзираły ciemne, fioletowe siniaki wokół oczu i ust. Rurka tlenowa wypadła jej z ust i przewietrzała teraz lewe ucho. Popękane, wyschnięte wargi przypominały dziwaczną, powyginaną rozpadlinę. Harry z początku pomyślał, że to grymas złości, ale po chwili zdał sobie sprawę, że kobieta się do niego uśmiecha.

– Hej – powiedział. – Jestem Harry, mąż Evie.

– Dalej! żywo! hasa! hej! – zawołała w odpowiedzi Maura. – Buchaj, ogniu! kotle, wrzej!*

[William Szekspir, „Makbet”. Akt IV, scena I, przekład Józefa Paszkowskiego.]

Harry uśmiechnął się i przeszedł za parawan. Jego pocałunek w czoło Evie przyjęła bez reakcji.

– Ona zna Szekspira – szepnął żonie do ucha.

– Prawdę mówiąc, zna niejedno. Tylko przeszkadzają jej te owady i węże.

– To mogłoby być zabawne, gdyby nie to, że dla niej jest cholernie rzeczywiste. Potrwa jeszcze dzień czy dwa.

– Ojej! Zjeżdżaj z mojego prześcieradła, paskudny robalu. Hej! Niech ktoś tu przyjdzie i mi pomoże! – wrzasnęła Maura.

– Powiedz jej coś. Uspokój ją jakoś – poprosiła Evie.

Harry przeszedł z powrotem za parawan.

– Za późno, Gene – powiedziała kobieta. – Ugryzł mnie i uciekł.

– Przykro mi. – Harry stwierdził, że jest młodsza, niż mu się początkowo wydawało. Była trochę po trzydziestce. – Mam na imię Harry, nie Gene.

– Ale wyglądasz jak Gene Hackman.

– Dzięki. Lubię Hackmana.

– Ja też. Myślałam, że jesteś aktorem.

– Nie jestem. Skąd to pani przyszło do głowy?

– Twoja szpilka.

Przez chwilę Harry nie miał pojęcia, o co jej chodzi. Potem uświadomił sobie, że ma w klapie znaczek na szpilce, który jego bratanica Jennifer, najstarsza córka Phila, dała mu kiedyś w prezencie. Były to dwie miniaturowe maski, komiczna i tragiczna – nagroda, którą wygrała w konkursie teatralnym w szkole. Jakiś rok temu przypięła mu go do tego właśnie płaszczka i tak już zostało. Zupełnie o nim zapomniał. Maura Hughes rozpoznała maski z odległości dwóch i pół

metra.

– Ma pani świetny wzrok – zauważył.

– Widzę, co trzeba – mruknęła kobieta.

Nagle zaczęła się wić i szarpać.

– Niech to szlag, Gene! Masz przy sobie trochę likieru „Pocieszyciel Południa”? Obiecałeś przecież... Gównu, uważaj, Gene! Tam na ścianie, nad twoją głową. Co to takiego? Skorpion? Krewetka?

Mimo woli Harry spojrzał na ścianę.

– Niech pani spróbuje odpocząć.

Wrócił do żony, która leżała na wznak, wpatrując się nieruchomo w sufit.

Nie zamykaj się przede mną – miał ochotę powiedzieć – podziel się ze mną tym, co się z tobą dzieje.

– Nie mają żadnego wolnego łóżka na całym oddziale – powiedział zamiast tego. – Nie ma gdzie przenieść ani jej, ani ciebie. Jeśli pielęgniarka nie da jej czegoś na uspokojenie, to może tobie dadzą coś na sen.

– Nie chcę niczego – odparła Evie nie odrywając wzroku od sufitu. – Chcę, żeby mój mózg sprawnie funkcjonował do końca.

– Wszystko będzie dobrze – próbował uspokoić ją Harry i nagle zobaczył kroplówkę: pojemnik z pięcioprocentowym roztworem glukozy zawieszony na haku umocowanym do parawanu. – Odkąd to masz?

– Od paru godzin.

– Dlaczego dali ci kroplówkę już dzisiaj, a nie dopiero jutro na bloku operacyjnym? Kto to zaordynował?

– Zdaje się, że anestezjolog.

– Hmm...

– A co to za różnica?

– Pewnie żadna.

Zapadła przedłużająca się, pełna zakłopotania cisza.

– Słuchaj, Harry – odezwała się po chwili Evie – chyba potrzeba mi trochę samotności...

Słowa te uderzyły go jak policzek. Wpatrywał się w żonę, nie wiedząc, jak zareagować.

– Mogłabyś mi powiedzieć, o co chodzi? – zapytał wreszcie.

– O nic. Po prostu... mam tyle do przemyślenia. – Zaczepnęła powietrza i jakby trochę się rozluźniła. – Wiesz, powiedzieli mi, że do północy mogę jeszcze jeść. Mam wielką ochotę na podwójne czekoladowo-słodowe lody od Alphano. Przynieś mi je i porozmawiamy, dobrze?

Lodziarnia Alphano mieściła się dwie przecznice za ich kamienicą, jakieś piętnaście minut jazdy od szpitala, ale Harry był zadowolony, że może coś dla Evie zrobić.

– W porządku – powiedział wstając. – Wrócę za pół godziny. I wcale nie musimy rozmawiać. Będę szczęśliwy, jeśli pozwolisz mi tu zwyczajnie posiedzieć.

Pochylił się, chcąc ją pocałować, ale znów nie zareagowała. Cmoknął ją w czoło.

– Gene jest dziki, Gene jest zły, Gene ma bardzo ostre kły – wyrecytowała Maura Hughes, kiedy obok niej przechodził.

W korytarzu sprzątac przerwał swoją robotę i klęczał teraz ze zmarszczonym czołem przy odkurzaczu, grzebiąc w silniku, wciąż ze słuchawkami na uszach. Harry odczuł niejasną przyjemność na myśl, że życie tego człowieka nie jest aż tak nieskomplikowane, jak mu się przedtem wydawało.

Siostra Sue Jilson uśmiechnęła się, kiedy do niej podszedł.

– Tak szybko pan wychodzi?

– Żona poprosiła mnie o lody, które można dostać tylko przy Zachodniej Dziewięćdziesiątej.

Wróć przed wpół do dziesiątej, dobrze?

– Nie ma sprawy.

– Ma pani ochotę na jedną porcję?

– Nie, dziękuję. Umówiłam się z moimi džinsami, że z nich nie wyskoczę. Jak nasza narzekalska?

– Trochę pobudzona i zdezorientowana. Można by dać jej coś na uspokojenie, jeśli lekarz przepisał.

– Sprawdź. Najchętniej bez przerwy dawałabym jej na uspokojenie.

– Okay. Będę za godzinę.

Kiedy jechał na West Side, siąpiło i był dość duży ruch. Kolejka w Alphano była dłuższa niż zwykle, obsługa irytująco powolna. Zamówił podwójne czekoladowo-słodowe, po czym pomyślał o Maurze Hughes i zamówił drugą porcję. Jeśli nie będzie chciała, sam je zje.

Dochodziło wpół do dziesiątej, gdy wychodził z lodziarni, a do szpitala dotarł koło dziesiątej. Było czynne tylko główne wejście.

Przeszedł przez opustoszały hall i okazał plastikowy identyfikator strażnikowi, którego biurko przegradzało korytarz wiodący w głąb szpitala.

– Musi pan się wpisać, doktorze – powiedział wartownik. – Jest po dziewiątej.

Harry nabazgrał w czarnym zeszyte swoje nazwisko i oddział, do którego się udawał. Wartownik rzucił na to okiem.

– A, dziewiąte piętro. Idzie pan do tej reanimacji?

W tej samej chwili Harry usłyszał, jak głośniki pilnie wzywają doktora Richarda Cohena do pokoju 928.

Pospieszył do windy. Pewnie coś się stało Maurze Hughes, pomyślał. Nie wyglądała za dobrze, kiedy wychodził, ale nic nie wskazywało na jakieś poważne niebezpieczeństwo. Nagle przypomniał sobie, że Richard Cohen to członek tego samego zespołu neurochirurgicznego co Ben Dunleavy, lekarz Evie. Na pewno ma się nią opiekować w nocy. Porażony strasznym przeczuciem, zaczął raz za razem przyciskać guzik windy, dopóki drzwi się wreszcie nie otworzyły. Podróż na dziewiąte piętro zdawała się trwać wieczność.

Pokój 928 znajdował się w połowie dłuższego ramienia litery „L”. Dyżurka pielęgniarek i korytarz przy windach były puste. Harry postawił torbę z lodami pod ścianą i ruszył biegiem z sercem podchodzącym do gardła. Za rogiem zobaczył widok, który potwierdzał jego najgorsze obawy. Przed drzwiami pokoju 928 tłoczyła się grupka pielęgniarek i studentów medycyny, starając się zapuścić żurawia do wnętrza. Maura Hughes, wciąż przywiązana do łóżka, została przestawiona w róg korytarza. Obok niej stał młody policjant w mundurze i gładził ją uspokajająco po rękę.

Harry rzucił się do pokoju.

Przed jego oczami rozgrywała się scena, jakiej setki razy był świadkiem. Monitory, kable, wózki, defibrylator. Pielęgniarki, lekarze i pomoce techniczne, wszyscy uwijający się wśród całej tej aparatury jak oddział mrówek. Tylko że tym razem w centrum tego chaosu znajdowała się jego żona. Monitor EKG pokazywał regularną pracę serca. Mniej więcej co dziesięć sekund Evie wyprężyła ręce i wykręcała je dłońmi na zewnątrz w jakimś groteskowym, nienaturalnym geście. Objaw odmóżdżenia. Prawie na pewno nastąpił wylew. Harry podszedł bliżej. Sue Jilson zauważyła go pierwsza.

– Kiedy to się stało? – zapytał.

Kierujący reanimacją dyżurny stażysta podniósł wzrok.

– To doktor Corbett, jej mąż – wyjaśniła pielęgniarka.

– Aha. Wygląda na to, że ten tętniak pękł. Pacjentką zajmuje się teraz doktor Cohen. Powiedziano mi, że jest już w drodze.

– Co się stało? – zapytał Harry. – Byłem u niej zaledwie godzinę temu i czuła się dobrze.

Sue Jilson rozłożyła bezradnie ręce.

– Pół godziny po pana wyjściu przyszedłem tu, żeby dać środek uspokajający, i wtedy usłyszałam jęk zza parawanu. Kiedy tu zajrzałam, pańska żona wymiotowała i traciła przytomność. Ciśnienie miała trzysta na sto pięćdziesiąt. Jedną źrenicę miała znacznie większą od drugiej.

Harry wpatrywał się w Evie, ale jego umysł nie chciał skojarzyć tego, co widzi, z tym, co wiedział o wylewach wewnątrzczaszkowych. Delikatnie podniósł powieki żony. Obie źrenice były tak szerokie, że prawie nie widać było tęczówki. Poczul odrętwienie. Miał wrażenie, że to sen. Już po wszystkim.

Do pokoju wpadł doktor Richard Cohen. Wiedział już, co się stało, stażysta zdał mu relację z ostatnich trzydziestu ośmiu minut.

– Zrobił pan wszystko, co trzeba – powiedział badając dno oka Evie wziernikiem.

Szybko sprawdził odruchy i reakcję na ból, a potem czubkiem swojego młotka podrapał Evie wzdłuż zewnętrznego brzegu podeszwy stopy. Objaw Babińskiego – wyprostowanie palucha i rozstawienie pozostałych palców zamiast ich podgięcia w dół – sygnał, że kora, myśląca część mózgu, nie ma już wpływu na ruchy ciała. Harry patrzył na to otepiały.

– Zaraz zrobimy tomografię komputerową – powiedział Cohen ponuro – ale szczerze

mówiąc nie sądzę, żeby kwalifikowała się na salę operacyjną. Za duży obrzęk mózgu. Obydwa nerwy wzrokowe mają tarcze zastoinowe.

Tarcze zastoinowe... rezultat ucisku na nerwy wzrokowe spowodowanego znacznym, z reguły nieodwracalnym wzrostem ciśnienia wewnątrzczaszkowego. Kompletny surrealizm, pomyślał Harry.

– Ciśnienie skurczowe nadal dwieście dziewięćdziesiąt – odezwał się drugi lekarz dyżurny.

– To dziwne – mruknął Cohen. – Daliśmy jej bardzo dużo środków obniżających ciśnienie, a ono ani drgnie.

– Można się chyba spodziewać takiego wzrostu przy dużym wylewie.

– Owszem, ale tylko czasowo. Większość wylewów daje znaczny wzrost ciśnienia, jednak prawie zawsze ustępuje on przy konwencjonalnym postępowaniu, a lekarze dyżurni zrobili już wszystko, co można było zrobić.

– O Boże – wyszeptał Harry.

– Spróbujemy obniżyć ciśnienie – powiedział neurochirurg. – I zrobimy tomografię komputerową. Tymczasem, Harry... wiem, że to trudne, ale powinieneś pomyśleć o jednej sprawie...

– Wiem – wymamrotał Harry.

Evie była młodą, absolutnie zdrową kobietą, której jedynym organicznym problemem był tętniak. W tej chwili stawała się łakomym kąskiem dla każdego specjalisty od przeszczepów – nadzieją na życie i zdrowie dla wielu innych ludzi.

– Poczekajmy jeszcze na wynik tomografii – powiedział. – Ale zacznijcie oznaczać antygeny zgodności tkankowej.

Rozdział 7

Po półgodzinie bitwa o opanowanie astronomicznego ciśnienia krwi Evie została uwieczniona zwycięstwem. Jednak wszyscy zainteresowani wiedzieli, że wojna jest już przegrana. Harry stał bezradnie w drzwiach, a pielęgniarka regulowała respirator, ostatni łącznik jego żony z życiem. Do obu rąk Evie miała podłączone kroplówki, rurki szły do płuc, brzucha, pęcherza. Co minutę lub dwie jej ciało ogarniał skurcz prężenia odmóżdzeniowego. Harry widywał ten skurcz wiele razy w swojej karierze zawodowej, ale nigdy nie nauczył się patrzeć na to spokojnie.

Jakaś częśćka w nim wciąż broniła się przed przyjęciem do wiadomości prawdy, że to już koniec.

– Nie, dziękuję – odpowiedział pielęgniarce, która zaproponowała mu kawę. – Muszę zadzwonić do rodziny żony.

Wyjrzał na korytarz. Maura Hughes leżała spokojnie na swoim łóżku. Jej brat, sympatyczny rudzielec o twarzy zbyt młodej do policyjnego munduru, który miał na sobie, wciąż gładził ją po rękę, przyglądając się horrorowi w pokoju 928. Było kwadrans po jedenastej. Tomograf będzie wolny za pięć minut. Próbkę krwi już wysłano do laboratorium. Po badaniu tomograficznym, jeśli nic nowego się nie zdarzy, najpierw zrobią Evie serię elektroencefalogramów. Jeśli dwa kolejne, zrobione w odstępie 12 godzin, okażą się płaskie albo prawie płaskie, będzie to oznaczało śmierć. Harry, nie zdając sobie z tego sprawy, sięgnął do policzka i otarł spływającą po nim łzę.

– Corbett, co się tu do jasnej cholery dzieje?

Harry, nadal półprzytomny, odwrócił się. Parę metrów od niego, podpierając się pod boki, stał Caspar Sidonis z wściekłą miną.

– Nie wiem, o co ci chodzi – wymamrotał Harry – ale w tej chwili jestem trochę zajęty. Rozumiesz, moja...

– Przecież mówię o Evie, psiakrew! Zresztą... – Sidonis odtrącił go na bok i wtargnął do pokoju. Richard Cohen jeszcze raz sprawdzał źrenice Evie. Z drugiej strony łóżka stała Sue Jilson i regulowała kroplówkę.

– Dick, co się tu stało? – zapytał Sidonis.

– A, cześć, Caspar. To twoja pacjentka?

– Nie. To... moja bliska przyjaciółka.

– Jest tu jej mąż, i...

– Nie chcę z nim gadać, Dick. Chcę usłyszeć od ciebie, co tu się stało.

Było to żądanie, nie prośba. Cohen, wytracony z równowagi napastliwością Sidonisa, szybko odzyskał zimną krew.

– Wiesz, że była przygotowywana do operacji usunięcia tętniaka?

– Tak, tak. Oczywiście, że wiem.

– Jakiś czas temu weszła tu Sue Jilson i stwierdziła, że pacjentka nie reaguje, ma jedną źrenicę rozszerzoną i ciśnienie skurczowe ponad trzysta. Władowaliśmy w nią całą aptekę, ale mimo to musieliśmy długo czekać, zanim ciśnienie spadło do stu trzydziestu. I na tym poziomie na razie się trzyma. Tymczasem rozszerzyła się druga źrenica. Ma obustronną tarczę zastoinową, wskazującą na ogromne ciśnienie wewnątrzczaszkowe. I przeży się.

– O Jezu! – Sidonis sprawiał wrażenie autentycznie wstrząśniętego.

Harry widział od drzwi, jak kardiochirurg pochyła się i bierze rękę Evie w swoje dłonie, a drugą ręką pieści ją po policzku. Richard Cohen i Sue Jilson patrzyli na to w osłupieniu.

– Dick, czy ona ma jakąś szansę? – zapytał Sidonis.

Odpowiedź na to pytanie była oczywista dla każdego lekarza.

Cohen popatrzył na Sidonisa podejrzliwie.

– Hm... nie sądzę, Caspar. Czekamy, żeby jej zrobić tomografię i EEG.

– Czy on był tu z nią? – Sidonis pokazał w stronę drzwi.

– Przepraszam...

Harry otrząsnął się z ponurego oszołomienia i wkroczył do pokoju. Z tego co wiedział, Sidonis i Evie mogli się spotkać przelotnie na jakimś służbowym bankiecie, ale z pewnością nigdy ze sobą nie rozmawiali.

– Caspar, ty znasz moją żonę? – zapytał.

Sidonis poderwał się jak wściekły kot.

– Cholernie dobrze wiesz, że ją znam. Byłeś tu z nią, zanim to się stało?

– Oczywiście, że z nią byłem. To przecież moja żona. Słuchaj, o co do diabła...

– Dick, czy był tu ktoś po nim?

– Słucham?

– Pytałem, czy u Evie był ktoś po wyjściu Corbetta? – Sidonis niemal krzyczał.

– Caspar, uspokój się – powiedział Cohen. – Wyjdźmy na korytarz i pogadajmy.

Zostawiając pacjentkę pod opieką technika obsługującego respirator trzej lekarze wyszli, a w ślad za nimi Sue Jilson.

– O co ci chodzi? – wyszeptał Cohen. – Czy to ma coś wspólnego z tym zebraniem wczoraj rano?

Sidonis najwyraźniej z trudem opanowywał furię. Mówił głośno, nie zwracając uwagi na Maurę Hughes, jej brata i dwóch stażystów stojących w pobliżu.

– Pytam tylko, czy ktokolwiek wchodził do tego pokoju między momentem, gdy Corbett, przepraszam, doktor Corbett, wyszedł, a momentem, gdy znaleziono Evie w tym stanie.

– Myślę, że ja potrafię odpowiedzieć na to pytanie – oznajmiła Sue Jilson. – Nikt. Doktor Corbett wyszedł o ósmej czterdzieści siedem. Tak mam w swoich notatkach. Po ósmej można przejść tylko koło dyżurki, więc musiałabym zobaczyć każdego wchodzącego. Pan Hughes, brat Maury, ten człowiek obok niej, zjawił się wpół do dziesiątej, ale wtedy już byliśmy u pani Corbett. Może pan to sprawdzić u Alice Broglio, to druga pielęgniarka dyżurna. Na pewno

potwierdzi moje słowa.

– Wiedziałem – mruknął złowrogo Sidonis.

– Caspar, bądź łaskaw wyjaśnić, o co tu chodzi – domagał się Cohen.

– Jego zapytaj – Sidonis oskarżycielsko wskazał na Harry’ego.

– Na miłość boską, o co tu chodzi?

– Nie mam pojęcia, co tu jest grane – odparł Harry.

– Gównu – warknął Sidonis. – Evie miała odejść od ciebie, żeby zamieszkać ze mną, wiedziałeś przecież o tym. Powiedziała ci to wczoraj w restauracji. W „Morskim Grillu”. No, mów, co jej zrobiłeś!

– Ty skurwysynu! – wrzasnął Harry.

Fala wściekłości i nienawiści prawie natychmiast ustąpiła głębokiej rozpacz. Nie było wątpliwości, że to, co usłyszał, to prawda. Evie i ten cholerny Caspar Sidonis. Nagle tyle spraw się wyjaśniło. Miesiące chłodu i dystansu. Późne powroty. Wyjazdy. Wymigiwanie się od seksu. Wczorajsze tajemnicze: „Harry, koniecznie muszę z tobą porozmawiać...” Sidonis!

Kłamiesz! – chciał wykrzyknąć tamtemu w twarz. – Kłamiesz, skurwysynu! Ale wiedział, że ten człowiek mówi prawdę. Od miesięcy nie potrafił zwalczyć nieustannego, niewytłumaczalnego smutku. Teraz zrozumiał, jaka była jego przyczyna. Odszedł bez słowa i schronił się z powrotem w pokoju 928.

– Zostaw mnie na minutkę samego z żoną – powiedział do technika przy respiratorze. – Zawołam cię, gdyby coś się działo.

Zgasił jaskrawe górne światło, podsunął krzesło do łóżka Evie i usiadł. Respirator sapał łagodnie, dostarczając regularnie porcje wzbogaconego w tlen powietrza do płuc Evie. Poznał ją dziesięć lat temu. Dziesięć lat. Przedstawił ich sobie wspólny przyjaciel, który był pewien, że są dla siebie stworzeni. Harry dostanie trochę przygód i spontaniczności, parę pieczętek w niemal nie używanym paszporcie. Evie otrzyma wreszcie spokój i stabilizację. Ona będzie żaglem, on sterem. I udało się, owszem. Przynajmniej na chwilę. Ale potem okazało się, że jego żona nie potrafi zadowolić się tym, co ma. Chciała czegoś więcej.

– Cholera, Evie – powiedział cicho Harry – dlaczego nie mogłaś przynajmniej ze mną porozmawiać? Dlaczego nie dałaś nam szansy?

Sięgnął przez poręcz łóżka i wziął ją za rękę. Naiwnością było sądzić, że Evie mogła się zmienić, nawet jeśli sama naprawdę tego chciała.

Jakaś dłoń wsparła się łagodnie na jego ramieniu.

– Harry, w porządku?

Z góry spoglądał na niego z troską Doug Atwater.

– Co? A, cześć, Doug. Właściwie to nie. Nie. Zupełnie nie w porządku.

– Co się stało Sidonisowi? Siedzi tam w dyżurce pielęgniarek i wydzwania do lekarza sądowego i na policję. Kiedy go zaczepiłem, tylko przeszył mnie wzrokiem. Wyglądało, jakby miał mi ochotę powiedzieć, że bym się pieprzał.

Harry pokręcił głową. To był jakiś koszmar. Lekarz sądowy... policja...

– Doug, nie wiem, o co tu chodzi. Evie pękł ten jej tętniak. Nie wyjdzie z tego.

– O Boże!

– Sidonis właśnie oznajmił, że z nią sypiał i że miała rzucić mnie dla niego. Myśli, że ona mi o tym wczoraj wieczorem powiedziała, ale nic takiego nie mówiła.

– O Boże, Harry. Tak mi przykro.

– Co ty tu robisz o tej porze?

– Byliśmy z Anneke w kinie. Wpadłem, żeby zabrać jakieś papiery, i strażnik na dole mi powiedział, że coś się tu dzieje. Zostawiłem Anneke w moim gabinecie i przyszedłem tutaj. Dlaczego Sidonis wzywa policję?

Harry puścił dłoń Evie i odsunął się od łóżka. Myśl o tym, że Caspar Sidonis dotykał jego żony, napawała go smutkiem i odrazą.

– Byłem ostatnim człowiekiem, który ją widział przed wylewem. Caspar chyba myśli... zresztą głównie mnie obchodzi, co on myśli.

Wyszedł z pokoju, a Doug Atwater tuż za nim. Właśnie przyjechał wózek, którym miano zabrać Evie na badania. Richard Cohen popatrzył na Harry'ego i wzruszył ramionami.

– Harry, Caspar poszedł wezwać lekarza sądowego i policję. Jest przekonany, że dałeś żonie coś, co jej podniosło ciśnienie, jakiś lek presyjny. Może zadzwonię do Boba Lorda i Owena i powiem im, co tu się dzieje?

Bob Lord był szefem personelu medycznego, a Owen Erdman – prezesem szpitala.

– Dzwon, do kogo chcesz. To paranoja.

– Ja zadzwonię do Owena – zaproponował Atwater. – Czy ten Sidonis oszalał?

– Nie wiem, czy oszalał, ale na pewno wpadł w szal. Mówi, że rozmawiał z twoją żoną tuż przed waszym wyjściem z domu wczoraj wieczorem i ona przyrzekła mu porozmawiać z tobą na ich temat.

– Nic mi nie powiedziała.

– Musimy coś zrobić. Zadzwonię do Lorda z rentgenologii. Poczekał tutaj, dobrze? Jak tylko zobaczę wyniki tomografii, wrócę, żeby z tobą pogadać. Technik od EEG jest już w drodze, ale mieszka na Bronksie.

Pielęgniarz prowadził wózek do windy, a pomoc techniczna biegła obok, pompując w płuca Evie powietrze gumowym workiem Ambu. Za nimi szli Cohen, Sue Jilson i dwóch lekarzy-stażystów.

Doug Atwater popatrzył na Maurę Hughes.

– To sąsiadka Evie z pokoju. Ma delirium, ale dostała mocne środki uspokajające – wyjaśnił Harry. – A ten policjant to jej brat.

– Doug, ja po prostu nie mogę uwierzyć w to, co się stało...

Atwater poprowadził Harry'ego do plastikowego fotelika i kazał mu usiąść.

– Będziesz czekał w szpitalu? – zapytał pochylając się ku niemu.

– Chyba tak. Przynajmniej dopóki nie nadejdą wyniki. Cohen chce, żebym wyraził zgodę na pobranie narządów do transplantacji. Pewnie będę musiał coś postanowić.

– Cholera.

Atwater dwukrotnie gościł u nich w domu na kolacji, kilka razy umówili się na miście, choć ostatni raz było to jakieś dwa – trzy lata temu. Był uroczy, elokwentny i czasami – zwłaszcza gdy sobie trochę wypił – bardzo dowcipny. Evie próbowała swatać go z jedną czy drugą swoją przyjaciółką, ale później, w miarę jak ich małżeństwo się psuło, przestała to robić i raczej zachęcała Harry’ego, żeby wypuścił się z Dougiem na „męski wieczór”.

– Zdawało mi się, że Sidonis jest żonaty – powiedział.

– Nie, nie jest. Ma jedno czy dwoje dzieci gdzieś w świecie, tyle o nim wiem. Jego rodzina to sala operacyjna, doradca giełdowy, agent reklamowy i oczywiście lusterko. Słyszałem nawet plotki, że to homo.

Harry zaśmiał się z goryczą.

– Raczej nie.

– Słuchaj, Harry, pójdę teraz zadzwonić do Owena. No i Anneke siedzi tam cały czas sama. Chcesz, żebym coś powiedział Sidonisowi? O, właśnie idzie.

– Lekarz sądowy zadzwonił do laboratorium i zażądał próbki kiwi Evie – obwieścił tryumfalnie kardiolog. – A detektyw Dickinson już tu jedzie. Masz zostać w szpitalu i czekać na niego.

– Nigdzie się nie wybieram. Ale nie mam nic do powiedzenia ani jemu, ani nikomu, kogo ci tu jeszcze przyjdzie do głowy sprowadzić.

– Caspar – wtrącił się Doug – po co ty to robisz?

Sidonis obrzucił Atwatera podejrzliwym spojrzeniem. Najwyraźniej zaliczył go swoich nieprzyjaciół.

– Naprawdę nie wiesz? – zapytał go po chwili. – Evie i ja spotykaliśmy się od ponad roku. Wczoraj wieczorem powiedziała Harry’emu, że od niego odchodzi. Dzisiaj została przyjęta do szpitala z absolutnie prawidłowym ciśnieniem, a tętniak nie dokuczał jej od miesiąca. On wchodzi do jej pokoju, ona czuje się dobrze. On wychodzi, a ona pół godziny później ma ciśnienie powyżej trzystu i wylew tętniaka. Nie nabrałbyś podejrzeń?

Atwater wytrzymał spojrzenie kardiologa.

– Gdybym nie znał Harry’ego Corbetta, może i nabrałbym – odparł. – Ale grubo się mylisz. A jeśli to, co powiedziałaś o sobie i Evie, jest prawdą, ktoś powinien ci dobrze skopać dupę. Teraz wybacz, idę zadzwonić do Owena Erdmana i powiem mu, co tu kombinujesz. Harry, wróć za chwilę. Nie daj się.

– Zaraz, chwileczkę – zaprotestował Sidonis. – Skoro dzwonisz do Erdmana, to ja też chcę z nim porozmawiać... – oświadczył i ruszył za Atwaterem.

– Ee... przepraszam pana.

– Co? – Harry rozejrzał się wokół. Brat Maury Hughes nadal stał obok jej łóżka, chrząkając i

obciągając na sobie nowiutki mundur sierżanta.

– Nazywam się Tom Hughes – odezwał się młody policjant z leciutkim nowojorskim akcentem. – Maura to moja siostra.

– Cześć – powiedział Harry bezbarwnie. Czuł się zakłopotany, że ten człowiek był świadkiem wybuchu Sidonisa i jego rewelacji.

– Przykro mi, że pana to spotkało.

– Dziękuję.

– Maura powiedziała, że był pan dla niej miły. – Tom Hughes obejrzał się na siostrę. Spała pochrapując cicho. – Te środki nasenne zadziałały – stwierdził.

– Na to wygląda.

– Nie chciałem być wścibski, ale będąc tu, mimowolnie słyszałem...

– Tak.

Harry'emu nagle odechciało się prowadzić jakiegokolwiek rozmowy, nawet tak zdawkowe jak ta. Wstał i odepchnął czubkiem buta plastikowe krzesło. Musi zawiadomić rodzinę Evie. Może powinien też zatelefonować do Steve'a Josephsona. Odwołał wszystkich pacjentów z jutrzejszego rana i poprosił Steve'a o zastępstwo do pierwszej. Może powinien zadzwonić i poprosić, żeby go zastąpił do wieczora.

– Przepraszam, że tak głupio gadam – ciągnął Hughes. – Wiem, że ma pan teraz mnóstwo na głowie i bardzo panu ciężko. Ale jedno muszę panu koniecznie powiedzieć...

Harry zawahał się, po czym podszedł bliżej.

– Ten lekarz – Hughes przeszedł do niemal szeptu – ten ciemnowłosy, który twierdzi, że...

– Tak, tak. Wiem, o kogo panu chodzi. Sidonis.

– Właśnie, doktor Sidonis. Robi wielkie halo, bo tamta pielęgniarka mu powiedziała, że pan był ostatni u żony, zanim...

– Tak...?

– Nie był pan ostatni.

– Co?

– Nie był pan ostatni – powtórzył Tom Hughes. – Po panu wszedł do niej jakiś mężczyzna.

Chyba też jakiś lekarz.

– Jest pan pewien?

Tom Hughes zastanawiał się przez chwilę.

– Całkiem pewien – powiedział wreszcie. – Nawet zupełnie pewien.

– Ale... skąd pan to wie?

Policjant znów się zawahał, utkwiał wzrok w kółkach łóżka. Kiedy podniósł oczy, jego spojrzenie było lekko spłoszone.

– Moja siostra mi powiedziała.

Rozdział 8

– Pewnie teraz trudno w to panu uwierzyć, ale Maura to naprawdę osoba wyjątkowa, bardzo utalentowana. I bardzo dobry człowiek – powiedział Hughes.

Po kilku minutach rozmowy z bratem Maury dwie rzeczy stały się dla Harry'ego oczywiste: że Hughes mimo młodego wieku jest niezwykle inteligentny i bystry jak na policjanta, i że – mimo ewidentnych problemów starszej siostry – jest do niej bardzo przywiązany. A także, że jest przekonany, iż człowiek, którego Maura widziała, rzeczywiście wszedł do ich pokoju.

– Był tu zaraz po pana wyjściu – mówił Hughes. – Maura wtedy znów wzywała pielęgniarkę, narzekała, że nigdy nie przychodzą, dopóki nie narobić krzyku. Ten facet uśmiechnął się do niej, pogłaskał po głowie, pochylił się i powiedział, żeby się rozluźniła. Potem przeszedł za parawan i rozmawiał chwilę z pana żoną, a po chwili wyszedł. Miał trzydzieści parę, może czterdzieści lat, około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu, włosy ciemne, oczy także, sygnet z dużym brylantem na małym palcu lewej ręki i niebieskozielony krawat na gumce.

– Na gumce?! Skąd pana siostra mogła to wiedzieć?

– Mówię panu, pijana czy trzeźwa, a nawet w delirium, Maura to wyjątkowa kobieta. Jest malarką i ma oko do szczegółów.

Harry przypomniał sobie, jak rozpoznała jego miniaturowy znaczek w klapie.

„Widzę, co trzeba” – stwierdziła wtedy.

– Cóż, może jakiś lekarz wszedł tylnym wejściem albo przeszedł nie zauważony koło pielęgniarki dyżurnej.

– Może przeszedł nie zauważony – powiedział Tom. – Bo tylnym wejściem nie mógł się dostać. Po ósmej drzwi są zamknięte i włączają alarm. Pielęgniarka poinformowała mnie o tym, kiedy dzwoniłem i pytałem, czy wpuszczą mnie, jeśli przyjdę po godzinach odwiedzin. Każdy, kto wchodzi albo wychodzi, musi korzystać z windy i meldować się w dyżurce pielęgniarek.

– Wiem coś na ten temat – mruknął Harry. – Pracuję tu prawie od dwudziestu lat. Czemu nie powiedział pan o tym Sidonisowi albo pielęgniarkom?

– Był tu taki młyn, że nie bardzo miałem okazję. Poza tym nie przepadają tutaj za moją siostrą. Nie sądzę, żeby dawali wiele wiary czemukolwiek, co ona mówi, zwłaszcza jeśli jest to sprzeczne z tym, co oni mówią.

– Chyba ma pan rację.

Minęła już dwudziesta trzecia. Żeby nie zawracać głowy przepracowanemu personelowi dziewiątego piętra, wtoczyli łóżko z Maura z powrotem do pokoju 928. Piętnaście minut później nadeszła wiadomość od Richarda Cohena, której Harry tak straszliwie się lękał. Evie jest jeszcze w tomografie, ale wstępne wyniki potwierdzają najgorsze obawy. Wylew jest bardzo rozległy. Ostry obrzęk i wzrost ciśnienia spowodowały ucisk tkanek mózgu na podstawie czaszki,

odcinający dopływ krwi do kory mózgowej. Operacja w żadnym razie nie wchodzi w grę. Jedyne, co pozostaje, to seria badań EEG i... podjęcie decyzji.

Maura Hughes nadal chrapała cicho. Harry usiadł naprzeciwko jej brata w ciemnym pokoju. Wiedział, że będzie musiał później przetrwać to, co usłyszał od Sidonisa, no i zmierzyć się z decyzją, która go czeka, ale tymczasem był wdzięczny, że ma towarzystwo.

– Nikt nie chce mi wyjaśnić, co to jest delirium tremens i dlaczego moja siostra na to cierpi – poskarżył się Hughes. – Rzeczywiście była nieźle zalana, kiedy upadła, ale znam mnóstwo ludzi, którzy piją znacznie ostrzej i nigdy nie mają takich kłopotów.

– Większość alkoholików po odstawieniu alkoholu ma tylko dreszcze i zaburzenia żołądkowo-jelitowe – wyjaśnił Harry. – Ale mogą też dostać padaczki alkoholowej albo delirium. Padaczka zdarza się na ogół w ciągu pierwszych dwóch dni po odstawieniu. Delirium przychodzi później: dwa dni po ostatnim kieliszku, tydzień, a nawet później. Nie ma sposobu, żeby to przewidzieć.

– Przecież Maura jest zupełnie przytomna, nawet jeśli widzi jakieś robaki.

– To się zdarza. Melanz rzeczywistości i fantazji, którego nie da się wytłumaczyć. Wie pan, zajmowałem się wieloma alkoholikami w swojej praktyce. Wielu z nich przestało pić. Gdyby pan chciał, mogę poprosić któregoś z nich, żeby tu wpadł i pogadał z pana siostrą.

– Chodzi panu o AA?

– Właśnie.

– Próbowałem namówić ją na AA, ale nigdy nie poszła. Jest na to za dumna.

– Może w takim razie zrobić jej teraz parę zdjęć albo nakręcić film na wideo, a potem pokazać?

Tom Hughes uśmiechnął się.

– Pewnie powinienem to zrobić – mruknął. – Doktorze Corbett, niech pan się nie pogniewa, ale o co idzie z tym drugim lekarzem?

– Z Sidonisem? – Harry wzruszył ramionami. – Myślę, że większość z tego pan słyszał. Twierdzi, że moja żona miała z nim romans i że planowała odejść ode mnie do niego. Myśli, że powiedziała mi to wszystko wczoraj wieczorem w restauracji. Wiedział nawet, dokąd się wybraliśmy. Kiedy teraz myślę o tym wieczorze, dochodzę do wniosku, że chyba rzeczywiście chciała mi to powiedzieć. Ale nie zrobiła tego.

– Więc wierzy mu pan? Przecież można to inaczej wytłumaczyć. Może ma obsesję na punkcie pańskiej żony i na przykład śledził was wczoraj...

Harry wbił wzrok w podłogę i przełknął ślinę, żeby pokonać ucisk w gardle, który znów zaczął narastać.

– Nie – powiedział wreszcie. – Wierzę mu.

– A on myśli, że ponieważ pan się o tym dowiedział, to dał pan swojej żonie... jakiś środek? Na co?

– Na podniesienie ciśnienia do takiego poziomu, żeby spowodować pęknięcie tętniaka.

– O Boże! Są takie lekarstwa?

– Bardzo wiele. To tak zwane środki presyjne. Używa się ich, kiedy pacjent ma niebezpiecznie obniżone ciśnienie.

– A jak się podaje taki lek? To zastrzyk? Pigułka? Krople?

Harry uśmiechnął się smutnie.

– Nie, nie podaje się go doustnie – powiedział. – Pacjenci, którzy potrzebują takiego środka, są z reguły w takim stanie, że nie mogą...

Nagle zerwał się na równe nogi.

– Co się stało?! Doktorze Corbett!

– Może to nic takiego – powiedział Harry. – Ale właśnie przyszło mi do głowy, że Evie dostawała kroplówkę. Pięcioprocentowy roztwór glukozy. Nazywamy to kroplówką „udrażniającą”. Puszczą ją bardzo powoli, po to tylko, żeby utrzymać drożność cewnika dożylnego.

– No i co?

– Trochę dziwne mi się wydało, że założyli to jej już w przeddzień operacji, zwłaszcza że jej stan był ustabilizowany. Nawet spytałem, kto to zarządził. Mówiła, że anestezjolog. Zazwyczaj zakładają kroplówkę dopiero na sali operacyjnej. – Ruszył na korytarz. – Gdyby ktoś mnie szukał, będę w dyżurce pielęgniarek. Wracam za parę minut.

Zapis na karcie Evie głosił:

„gluk. 5 wod., 1000 ml, 50 ml/godz., p.t. dr Baraswatti”.

P.t. oznaczało „polecenie telefoniczne”.

Harry przejrzał kartę. Baraswatti był u Evie po południu. Robił wywiad przedoperacyjny i badania wstępne, wymagane w każdym przypadku, gdy pacjent ma mieć znieczulenie ogólne. Czwarta piętnaście – jak zapisała pielęgniarka dyżurna. Jednakże polecenie założenia kroplówki przekazał telefonicznie dopiero o wpół do siódmej. Harry wykręcił numer centrali szpitalnej. Doktor Baraswatti miał nadal dyżur anestezjologiczny i był w szpitalu. Nie próbował ukrywać, że telefon Harry’ego go obudził.

– Nie wiem, o czym pan mówi, doktorze Corbett – powiedział z silnym obcym akcentem. – Zawsze daję kroplówkę na sali operacyjnej. Dlaczego tym razem miałbym zrobić inaczej?

– Nie... nie wiem – wymamrotał Harry i kiedy anestezjolog zapytał, czy ma jeszcze jakieś pytania, odłożył słuchawkę.

Przysiadł na krawędzi blatu i jeszcze raz przestudiował kartę Evie. Przyjęto ją na oddział o wpół do drugiej. O wpół do piątej przyszedł anestezjolog, zbadał ją i zapisał swoje zalecenia. O szóstej trzydzieści ktoś podający się za tegoż anestezjologa wezwał pielęgniarkę oddziałową i zarządził „udrażniającą” kroplówkę z glukozy. Oddziałowa wezwała dyżurną pielęgniarkę zabiegową, która o szóstej piętnaście, jak wynikało z jej własnoręcznego zapisu w karcie,

założyła Evie cewnik. Kilka godzin później, jeśli wierzyć Maurze Hughes, do pokoju wszedł jakiś lekarz. W chwilę potem nastąpił wylew tętniaka. Jego wynikiem – a może przyczyną? – było ciśnienie skurczowe powyżej trzystu.

Caspar Sidonis oskarża Harry'ego o zaaplikowanie jakiegoś nu środka na podniesienie ciśnienia, który spowodował katastrofę. Czy to możliwe, żeby Sidonis chciał go zrobić? Lekarz opisany przez Maurę – nawet jeśli nie był wytworem jej wyobraźni – wcale nie przypominał aroganckiego kardiochirurga, który był znacznie wyższy niż metr siedemdziesiąt, miał gęste kruczoczarne włosy i nosił wąsy. Coś tu nie gra... zupełnie nie gra. Zdezorientowany i zaniepokojony Harry wrócił do pokoju 928. Maura Hughes obudziła się i znów się miotła na łóżku.

– Zaraz po pana wyjściu zaczęła jęczeć, jakby ją coś bolało albo miała koszmary sen – wyjaśnił Tom. – Potem nagle się obudziła. Teraz się rzuca, próbuje wyrwać się z pasów i ma halucynacje jeszcze gorsze niż przedtem.

– Niech pan zadzwoni po pielęgniarkę – polecił Harry. Zauważył, że Maura spociała się obficie i wytarł jej twarz ręcznikiem. Sprawdził, czy kroplówka funkcjonuje. Wyglądało na to, że choć była bardzo pobudzona, nic jej nie grozi. – Zdaje się, że mija działanie środków uspokajających. Żadne lekarstwo tak naprawdę nie jest w stanie zlikwidować tego, co się dzieje w głowie cierpiącego na delirium. Może jedynie stępić reakcje chorego. Zbadam ją.

– Gene, Gene nie bądź zły. Gene, Gene schowaj kły – wyrecytowała Maura, próbując wyswobodzić się z więzów. Uśmiechnęła się, a potem powiedziała z dystyngowanym południowym akcentem, którego mogłaby jej pozazdrościć Scarlett O'Hara: – Przysięgam na grób matki, kochanie, nic mi nie będzie, tylko zabierz stąd te cholerne robale. Nic mi nie będzie.

Używając swojego stetoskopu i kieszonkowego wziernika ocznego, Harry zbadał ją w miarę dokładnie. Maura nie pomagała mu, ale i nie przeszkadzała za bardzo. Gadała bez przerwy i wciąż opędzała się od „robaków”. W interkomie odezwała się pielęgniarka. Właśnie zdaje dyżur nowej zmianie. Jeśli nie dzieje się nic naprawdę groźnego, to przyjdzie, gdy tylko skończy.

– Nie widzę szczególnego powodu do zmartwienia – uspokoił Harry Toma. – Po prostu widać teraz, w jakim jest stanie bez maskującego efektu środków uspokajających...

– Cześć, szukam niejakiego Sidonisa. Doktora Casha Sidonisa. Jakoś tak.

Harry i Tom jak na komendę odwrócili się ku drzwiom. Łysiejący mężczyzna o niezdrowej, żółtawej cerze, z workami pod oczyma, odziany w tani garnitur ze sztucznego włókna taksował ich wzrokiem. Trzymał w ręku postrzępiony notatnik, z którego właśnie odczytał nazwisko Sidonisa. Nawet z odległości dwóch i pół metra Harry wyczuwał nałogowca wypalającego dwie albo trzy paczki papierosów dziennie.

– Porucznik Dickinson! – wykrzyknął Tom.

Tamten zmrużył oczy i wycelował palec w Toma.

– Jesteś ten z Yale, no nie?

Tom skrzywił się.

– Tak, chyba można mnie tak określić. Nazywam się Tom Hughes. A to jest doktor Harry Corbett. Harry, przedstawiam ci porucznika Alberta Dickinsona. Jest oficerem śledczym na dwudziestceósemce. Mają tam jeden wakat na stanowisku detektywa, więc zgłosiłem się na rozmowę kwalifikacyjną. Porucznik był w komisji.

– Zgłosił się nie tylko pan, ale i połowa policji nowojorskiej – oświadczył Dickinson niezbyt życzliwym tonem. – Na pana miejscu nie liczyłbym zanadto na tę posadę. Konkurencja jest potworna. Potworna. Niektórzy faceci z public relations i ci wszyscy, którym bardziej zależy na zewnętrznym wizerunku niż na skuteczności, twierdzą, że dyplom Yale to plus. Ale wielu z nas uważa, że lepszy dyplom daje szkoła życia. Wie pan, po prostu trzeba oberwać parę razy po łbie.

Zaśmiał się chrapliwie i zaniósł urywanym kaszlem. Na Tomie ta przemowa na pozór nie zrobiła specjalnego wrażenia. Harry zastanawiał się, czy chamskie zachowanie tego człowieka to rodzaj testu.

– Oni każdego, kto ukończył jakieś studia, nazywają „ten z Yale” – wyjaśnił Tom spokojnie. – W moim przypadku to akurat prawda.

– Corbett, to pan jest ten facet, na którego skarży się Sidonis? – zainteresował się Dickinson. – Porozmawiam z nim, a potem z panem. Ten drań musi mieć jakieś znajomości, jeśli przysłali mnie tutaj o tej porze. Jakieś cholerne znajomości.

– Psiakrew! Złazić ze mnie! – wrzasnęła Maura. – Pieprzone mrówka. Spadać! Rzygać mi się chce!

Dickinson beznamiętnie obejrzał się przez ramię.

– A to kto? – spytał, wskazując ruchem głowy łóżko.

– To... ee... To moja siostra, Maura. – Tom wyprostował się nieznacznie.

Harry zauważył, że dłoń Toma znajdująca się poza zasięgiem wzroku Dickinsona zacisnęła się w pięść. Dickinson przyjrzał się Maurze jeszcze raz. W ciągu dziesięciu sekund wyrobił sobie zdanie: to beznadziejna pijaczka.

– Wiecie, dlaczego Irlandczycy mają whisky, a Arabcy ropę naftową? – zapytał nagle. – Nie wiecie? Bo Irlandczycy mogli wybierać pierwsi.

Znów zaśmiał się chrapliwie. Maura splunęła w jego kierunku. Z odległości dwóch i pół metra chybiła zaledwie o parę centymetrów.

– Dziwka – zaklął pod nosem Dickinson, sprawdzając, czy nie został trafiony.

– Ty głąbie! – odszczeknęła Maura.

Przez interkom usłyszeli głos nocnej pielęgniarki.

– Czy jest tam detektyw Dickinson? Jeśli tak, to niech się zgłosi do dyżurki. Doktor Sidonis również chce się z nim widzieć. Czeka w pokoju lekarskim.

Dickinson spojrzał na Harry'ego.

– Nie wychodź stąd, Corbett – polecił. – Ani ty z Yale.

Wepchnął notatnik do kieszeni marynarki i wyszedł. Tom odczekał, aż się oddali tak, by nie mógł go słyszeć, i powiedział:

– Nie jest dobrze. Dickinson to facet, który ma już dość swojej roboty. Nie kiwnie palcem, jeśli nie będzie musiał.

– Ale jest w komisji, która decyduje, kto dostanie stanowisko detektywa...

– Powiedziano mi, że jestem w czołówce kandydatów, ale jak pan słyszał, nigdy nic nie wiadomo. Wolałbym nie mieć tego małego starcia z panem D.

– Przykro mi.

– To nie pana wina. Proszę się nim nie przejmować. Dickinson zada panu parę pytań z instrukcji „Prowadzenie śledztwa”, żeby mieć co umieścić w raporcie, a kiedy zda sobie sprawę, że nie ma żadnego powodu, by podejrzewać przestępstwo, da panu spokój i pójdzie sobie na pączki do najbliższej cukierni.

– Ale jest powód...

– Nie rozumiem.

– Jest powód, żeby podejrzewać przestępstwo.

Rozdział 9

Harry szczegółowo zrelacjonował Tomowi Hughesowi rozmowę z anestezjologiem i adnotacje w karcie choroby Evie. Właśnie kończył, kiedy wwieziono ją z powrotem do pokoju. Wstrząśnięty jej widokiem, zdał sobie nagle sprawę, że zaczął już o niej i o ich wspólnym życiu myśleć w czasie przeszłym. Kobieta, z którą przeżył dziewięć lat, właściwie już nie żyła.

– EEG wykazało niewielką aktywność – oznajmił Richard Cohen, gdy pacjentkę podłączano do aparatury. – Naprawdę niewielką. Evie kwalifikuje się tylko do przeszczepów... jeśli oczywiście wyrazisz na to zgodę. Wiesz, jak ważny jest czas... Organy szybko obumierają.

– Wiem. Na kiedy planujesz drugie EEG?

– Na dziesiątą rano.

Harry popatrzył na swoją żonę. Od ponad dwudziestu pięciu lat wykonywał swój zawód i był świadkiem niejednej śmierci, ale żadne z tych przeżyć nie przygotowało go na tę tragedię. Parę godzin temu Evie była najważniejszą osobą w jego życiu. Parę krótkich godzin temu, z Sidonsem, czy bez, wciąż mieli szansę uratować swoje małżeństwo. Aż tu nagle – po wszystkim. I teraz wymagają od niego, żeby uprawomocnił śmierć Evie, zezwalając na pozyskanie jej narządów do transplantacji. Kiedy dotyczyło to rodziny jakiegoś jego pacjenta, potrafił zawsze znaleźć właściwe słowa. Jednak to nie do niego należała wtedy decyzja.

– Zostawcie papiery w dyżurce – usłyszał swój własny głos – podpiszę je przed wyjściem. Ale chcę ją zobaczyć rano, zanim ktokolwiek jej dotknie.

– Dopilnuję tego – obiecał Cohen, wymamrotał zakłopotany krótkie kondolencje i wyszedł.

W chwilę później, zakończywszy regulacje respiratora, wyszła również pomoc techniczna. Sue Jilson sprawdziła ciśnienie Evie i wskazania monitora, po czym zwróciła się do Harry'ego:

– Zdjęli to pańskiej żonie przy robieniu tomografii. – Wręczyła mu wisiołek z brylantem od Tiffany'ego. – Chyba nie ma sensu zakładać tego z powrotem.

Harry popatrzył na nią kamiennym wzrokiem.

– A mnie się zdaje, że jest sens.

Założył naszyjnik Evie. Kiedy się odwrócił, pielęgniarki już nie było. Maura nie przerywała narzekań, od czasu do czasu strząsając z pościeli swoich wymaginowanych prześladowców. Szumiał respirator Evie, dostarczając tlenu jej narządom, które teraz przedstawiały wartość jedynie jako oddzielne jednostki.

Tom zgasił górne światło, pozostawiając tylko lampki nocne przy obu łóżkach.

– Bardzo panu współczuję – powiedział.

Harry spojrzał na żonę.

– Dziękuję – wykrztusił.

– Jeśli chce pan porozmawiać, to mam czas, nie jestem zmęczony.

– Może lepiej na korytarzu, nie tutaj.

Wystawili krzesła z pokoju. Szpitalny korytarz oświetlały przyćmione lampki awaryjne, wokół panowała cisza, zakłócana jedynie od czasu do czasu odgłosami nocnego funkcjonowania szpitala.

– Nie musi pan opowiadać o żonie, jeśli to dla pana zbyt bolesne – odezwał się Hughes po chwili milczenia.

– Właściwie to może mi tylko pomóc.

– W porządku. W razie czego niech pan bez ceremonii każe mi się zamknąć. Muszę przyznać, że zaintrygowało mnie to wszystko. Cóż, w końcu jestem policjantem... Co tu się pana zdaniem dzieje?

– Nie mam pojęcia. Pewnie jest jakieś łatwe i proste wyjaśnienie, ale ja na nie jeszcze nie wpadłem. Może pielęgniarka, która przyjmowała telefon, źle usłyszała nazwisko anestezjologa... Może po prostu któryś z kolegów przyszedł tu zbadać swojego pacjenta i wpadł pozdrowić Evie...

– To już są dwa łatwe i proste wyjaśnienia. Z mojego doświadczenia wynika, że jeśli trzeba wymyślić więcej niż jedno wyjaśnienie dla jakiegoś zbiegu okoliczności, to żadne z nich nie jest prawdziwe. Pozwoli pan ze mną z powrotem do pokoju...?

Harry wahał się przez chwilę, po czym wszedł za Tomem do środka.

Młody policjant zaczął przeszukiwać pokój. Najpierw dokładnie obejrzał okolice łóżka Maury, potem Evie, sprawdzając ściany, włączniki światel i same łóżka. Maura obserwowała ich z zaciekawieniem.

– Zamiast przyjmować jakieś niewinne wyjaśnienia, załóżmy na moment najgorsze... Jakiś lekarz albo raczej ktoś, kto udawał lekarza, zadzwonił z poleceniem założenia kroplówki pańskiej żonie i podał nazwisko prawdziwego anestezjologa. Potem wszedł tu, nie zauważony przez pielęgniarkę, pogadał z moją siostrą i podał pańskiej żonie lek presyjny do kroplówki, po czym wyszedł z oddziału, znów unikając zauważenia przez pielęgniarki. Ale potrzebny jest nam motyw i wyjaśnienie, jak udało mu się niezauważenie wejść i wyjść.

– Dickinson przeszedł niewidziany.

– Udało mu się, bo była akurat zmiana dyżurów. Ale mieć dwa razy takie szczęście, przy wejściu i przy wyjściu, to trochę za bogato, no a jeszcze liczyć na coś takiego przy planowanej akcji... nie, to zupełnie niemożliwe.

– Czego właściwie pan szuka?

– Miejsc, w których nasz tajemniczy pan doktor mógł zostawić jakiś odcisk palca. Szkoda, że nie mamy w kartotece odcisków wszystkich lekarzy z tego oddziału...

– No dobra, doktorze Corbett – przerwał im Albert Dickinson. – Chyba czas, żebyśmy sobie pogawędzili. – Detektyw, oparty o futrynę drzwi, westchnął ze znużeniem. – Mam obowiązek pouczyć pana, że ma pan prawo do odmowy zeznań, i wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu podczas rozprawy przed sądem.

– Chwileczkę – wtrącił Tom – czy pan Corbett jest aresztowany?

– Jeszcze nie, ale będzie. Chciałem mieć z głowy formalności.

– Poruczniku Dickinson, zaszły tu pewne okoliczności, o których jeszcze pan nie wie – oświadczył młody policjant.

– Chcesz wiedzieć, co ja wiem, studenciaku? Wiem jedno, że lekarze, niezależnie od tego, ile już mają – seksu, forsy, władzy, narkotyków, czegokolwiek – zawsze chcą mieć więcej. Tacy już są. Daj mi jakąkolwiek sprawę kryminalną, gdzie wśród dziesięciu podejrzanych jest jeden lekarz, a postawię całą swoją forszę, że winnym okaże się właśnie on. No, doktorze Corbett, jeśli chce pan...

– Poruczniku, u pani Corbett był jeszcze jeden lekarz, już po wyjściu Harry'ego – powiedział Tom Hughes.

– Nikogo nie było. Jediną osobą, jaka tu przyszła po doktorze Corbett, jest pan. A kiedy pan się tu zjawił, pani Corbett była już gotowa. Sprawdziłem to u pielęgniarek. Mają rejestr wszystkich gości.

– Pielęgniarki się mylą. Ktoś tu był. Biały mężczyzna po czterdziestce, w kitlu lekarskim. Metr siedemdziesiąt wzrostu, włosy ciemnoblonde, oczy piwne.

– Kto tak twierdzi?

Wyraz twarzy Toma wskazywał, że spodziewał się tego pytania, mimo to jednak niełatwo było mu na nie odpowiedzieć.

– Moja siostra – wyrzucił wreszcie z siebie. – Ten człowiek z nią rozmawiał, po czym poszedł do pani Corbett i po chwili wyszedł. Wkrótce potem nastąpił wylew.

Dickinson parsknęła i spojrzała na Maurę.

– Rzeczywiście widziałaś to, kobitko?

– Ty głąbie! Powinieneś wywalić na zbity pysk swojego perukarza. Gdybym posmarowała główkę sałaty pastą do butów, wyglądałaby bardziej prawdziwie niż to gówno, które masz na głowie.

Porucznik zaśmiał się, ale widać było, że kobieta celnie go ugodziła. Harry dopiero teraz zauważył, że detektyw rzeczywiście nosi perukę. Jeszcze jeden punkt dla Maury Hughes za bystre oko.

– Może jeszcze kieliszczyk? – zapytał zjadliwie Dickinson.

– Maura... – prosząco odezwał się Tom. – Daj sobie spokój z dogryzaniem i powiedz panu porucznikowi, co widziałaś.

Maura strząsnęła coś z kołdry, ale nie odezwała się.

– Nie przejmuj się – powiedział Harry. – Nie sądzę, żeby pan Dickinson w ogóle wziął to pod uwagę. Chodźmy, poruczniku, miejmy to z głowy.

– Poruczniku Dickinson – nie dawał za wygraną Tom – nie uważa pan, że warto byłoby wezwać ekipę kryminalistyczną?

– A po co?

– Może ten lekarz zostawił jakieś odciski palców?

– Odciski palców w sali szpitalnej, ho, ho. Rewelacyjny pomysł, prosto z Yale. Od wczoraj było tu jakieś, bo ja wiem, sto – dwieście osób.

– Wszyscy lekarze, którzy tu mogli być, mieli zdejmowane odciski palców – powiedział Harry. – Szpital to praktykuje ze względów bezpieczeństwa od czasu, gdy pewien osobnik skazany za molestowanie seksualne nieletnich został przyjęty do pracy na oddziale pediatrycznym.

– Świetnie. Chłopcy z ekipy dochodzeniowej oszaleją z radości, że pędzi się ich do roboty po nocy, bo jakaś pijaczka w delirce twierdzi, że widziała kogoś, kogo nie zauważył nikt z całego personelu.

– Mówię panu, znam swoją siostrę – oświadczył Tom. – Wiem, że ktoś tu był.

– A ja panu mówię, że pająki, mrówki i białe myszki nie zostawiają odcisków palców. No, panie Corbett, chodźmy. Poczuj się pan znacznie lepiej, jak pan zrzuci to z siebie...

Było już grubo po północy, gdy Harry skończył udzielać odpowiedzi na beznamiętne i banalne pytania Alberta Dickinsona. Detektyw najwyraźniej uznał, że najbardziej prawdopodobny jest scenariusz wydarzeń, który wmówił mu Caspar Sidonis. Harry nie chciał dopuścić, by jego żona odeszła z innym mężczyzną, i podał jej lek podnoszący ciśnienie. Śmierć miała wyglądać na rezultat naturalnego wylewu tętniaka, teraz jednak pobrano próbki krwi do analizy. Jeśli wykryte zostaną jakiegokolwiek podejrzone substancje, zwłaszcza z grupy leków presyjnych, to istnieją duże szanse na wydanie nakazu aresztowania Harry'ego.

– Motyw, metoda, sposobność – wyliczał Dickinson. – Jak dotąd, brak nam tylko metody.

Harry nie widział sensu wyjaśniania nieprzyjaźnie nastawionemu detektywowi sprawy telefonicznego polecenia założenia Evie kroplówki. Baraswatti z pewnością zgłosi się z samego rana, zostanie sporządzony raport i prędzej czy później sprawa kroplówki dojdzie do Dickinsona. A wtedy on niewątpliwie uzna, że to Harry sam zadzwonił podając się za anestezjologa i przygotował sobie grunt do zadania śmiertelnego ciosu.

Motyw, metoda, sposobność...

Detektyw wszedł za Harrym do pokoju 928.

– Ty z Yale, potrzeba mi tu policjanta, żeby pilnować pani Corbett, póki żyje.

– Lekarze uznali, że znajduje się w stanie śmierci klinicznej – powiedział Hughes.

– Słuchaj, kolego, mam tu przysłać kogoś innego, czy pokażesz nam, że potrafisz grać w drużynie?

– Też mi drużyna – mruknął Hughes.

– Co powiedziałeś?

– Powiedziałem, że zostanę i będę pilnował pani Corbett.

– No, tak myślałem. Już powiedziałem pielęgniarce, że temu facetowi nie wolno pozostawać z nią sam na sam.

- Ale...
- Jasne?
- Tak jest, poruczniku.

Harry wyszedł za Dickinsonem na korytarz i obserwował go, póki nie zamknęły się za nim drzwi windy.

- Poszedł? – spytał Hughes, gdy Harry wrócił.
- Na razie. Mówi, że jeśli tylko cokolwiek znajdą we krwi Evie, natychmiast mnie aresztują.
- A myślisz, że coś znajdą?

Harry potarł piekące oczy.

– Nie wiem, co mam myśleć. Co za drań z tego gliny. Mógł przynajmniej wezwać kogoś do zdjęcia odcisków palców. Zgadzam się, że to strzał w ciemno, ale lepsze to niż nic...

– Nie potrzebujemy go – oświadczył Tom.

– Co?

– Mamy Dweeba. Już tu do nas wjeżdża – wyjaśnił młody policjant i poprowadził Harry'ego z powrotem do wind.

W tej chwili rozsunęły się drzwi windy i pojawił się w nich drobny, szczupły Murzyn. Miał na sobie kurtkę Tygrysów z Detroit i czapkę Lwów z Detroit. W jednej ręce niósł walizeczkę, a w drugiej skrzynkę na sprzęt wędkarski.

– Widział cię? – zapytał go Tom Hughes.

– Skąd. Mimo że przeszedł tuż obok. Głowę dam, że nie zauważyłby nawet trupa zwisającego z sufitu.

– Doskonale – ucieszył się Tom. – To doktor Harry Corbett, a to Lonnie Sims, zwany Dweebem, poznajcie się – powiedział.

Sims odstawił wędkarską skrzyneczkę i uściśnął dłoń Harry'ego z krzepą zapaśnika.

– Ten pan jest z nami – poinformował Tom nocną pielęgniarkę, gdy ją mijali. – Detektyw. – Weszli do pokoju nr 928. – Lonnie i ja byliśmy w jednej grupie na Uniwersytecie Nowojorskim, razem robiliśmy magisterium z kryminologii – wyjaśnił Harry'emu. – To najlepszy specjalista, jaki wyszedł z tej szkoły. I uwielbia zdejmować odciski palców.

– To prawda, człowieku – potwierdził Sims, otwierając swoją wędkarską skrzyneczkę. – Rzetelna prawda.

– Mój przyjaciel, Doug Atwater, ma tu duże wpływy – powiedział Harry. – Chyba go widziałeś, Tom. Był tu niedawno.

– Wysoki, przystojny blondyn?

– Tak. Myślę, że będzie mógł nam załatwić dostęp do szpitalnej kartoteki odcisków palców z działu kadr czy gdzie tam ją trzymają.

– Bardzo dobrze – mruknął Sims, wkładając gumowe rękawiczki i wręczając po parze Tomowi i Harry'emu. – Mam swoich ludzi w laboratorium FBI w Waszyngtonie, którzy też nam pomogą. Ale teraz musimy odegrać małe przedstawienie... Tom, postaraj się wydobyć od siostry

dokładne informacje na temat tego tajemniczego lekarza. A ty, Harry, odegrasz tego osobnika. Starajcie się niczego nie dotykać, zwłaszcza tych metalowych poręczy.

– W porządku. – Harry rzucił okiem na łóżko Evie. Leżała teraz spokojnie, ataki minęły. Prowadziła drugie, sekretne życie z Casparem Sidonidem. A może prowadziła jeszcze jedno i może to ono doprowadziło do jej śmierci? Ruszył do drzwi, gotów zacząć grać swoją rolę. Jedno wydawało mu się prawie pewne: analiza laboratoryjna próbek krwi Evie na pewno coś wykaże, ale potrwa to parę dni, może nawet tygodni. A już jutro Evie zostanie stąd zabrana, pokój sprzątnięty. Jeśli mają znaleźć odciski palców doktora X, muszą działać natychmiast.

Kiedy Harry wychodził ze szpitala, na niebie malowała się już zapowiedź świtu. Sesja z Lonniem Simsem zajęła ponad dwie godziny, ale Harry stwierdził, że ten człowiek jest geniuszem w swoim fachu.

– To, czego nam trzeba, to kciuk – powiedział mu Dweeb. – Wszędobyłski, chwytny kciuk. Większość tak zwanych specjalistów od daktyloskopii rozpyła proszek z góry. Ale cała sztuka polega na tym, żeby to robić od spodu. Szukać na dolnych powierzchniach przedmiotów. Kiedy widzę technika kryminalistycznego, który ma zabrudzone kolana, to wiem, że zna się na swojej robocie.

Pod dyktando Maury Harry poruszał się szlakiem tajemniczego lekarza. Dweeb przyglądał mu się uważnie, od czasu do czasu wołał „stop!” i szukał odcisków w kolejnym miejscu. Nieznajomy nie nosił gumowych rękawiczek, Maura była tego pewna. Sims rozpylał proszek pod stolikami, tacami, od spodu poręczy łóżek. Sprawdzał klamki, włączniki światła, nawet krany w łazience. Używał specjalnych proszków i supernowoczesnej kamery na podczerwień. Zdjął około pięćdziesięciu odcisków – niektóre bardzo wyraźne, inne paskudnie zamazane.

Wreszcie stwierdził, że jeśli Doug Atwater załatwi mu dostęp do szpitalnej kartoteki personelu, to może coś z tego będzie. Była trzecia nad ranem, gdy spakował swoją walizeczkę i skrzynkę i wyszli razem z Tomem Hughesem. Harry zadzwonił do Phila i rodziny Evie, a potem wrócił i usiadł przy jej łóżku w ciemnym pokoju, myśląc o niczym... i o wszystkim.

– Uważaj na siebie, Gene – powiedziała Maura, gdy już zbierał się do wyjścia.

Harry był przekonany, że spała, i teraz dopiero zauważył, że dawno się obudziła. Zachowywała się cicho, żeby mu nie przeszkadzać w jego ostatnim spotkaniu z żoną. Może miały już koszmary delirium, pomyślał. A może po prostu powstrzymała je na chwilę siłą woli.

– Będę uważał – odparł. – Ty też uważaj, Mauro. Dzięki za pomoc.

Wychodząc zatrzymał się w dyżurce i podpisał zgodę na wykorzystanie narządów Evie do transplantacji. Myśl, że może jej serce uratuje komuś życie, przynosiła pewną ulgę. Nic jednak nie pomagało na złe przeczucia.

Ulice już opustoszały. Harry jechał z trudem, ledwie widząc drogę przed sobą przez zapuchnięte oczy. Zaparkował na krytym parkingu niedaleko swojego bloku. Nocny stróż, Rocky Martino, spał w zniszczonym skórzanym fotelu, ustawionym jak na wystawie za szklanymi

drzwiami budynku. Rocky nigdy by się do tego nie przyznał, ale był już grubo po sześćdziesiątce. Również nigdy by się nie przyznał do nadużywania alkoholu, zwłaszcza na służbie, chociaż wszyscy mieszkańcy bloku wiedzieli, że pije. Odkąd Harry tu mieszkał, prawie na każdym posiedzeniu zarządu spółdzielni na porządek dzienny wpływała sprawa wylania Rocky'ego z pracy, ale ponieważ nigdy podczas jego służby nie wydarzyło się nic poważnego, a facet był naprawdę miły, nie podjęto żadnego działania. Harry zastanawiał się, czy zapukać, czy użyć staroświeckiego dzwonka, ale w końcu wyciągnął klucze. Przy pierwszym zgrzycie Rocky zerwał się na równe nogi.

– Doktorze, śmiertelnie mnie pan wystraszył – powiedział otwierając wewnętrzne drzwi. – Byłem pewien, że wszyscy w domu smacznie śpią. Kiedy pan wyszedł?

– Wyszedł...? Co masz na myśli?

– No, nie widziałem, żeby pan wychodził po tym, jak przynieśli panu to chińskie jedzenie, które pan zamawiał.

Harry'emu serce podeszło do gardła.

– Jesteś pewien, że to było jedzenie dla mnie?

– Jasne.

– I dzwoniłeś do mnie, zanim wpuściłeś gońca z dostawą?

– Hm... chyba tak.

– I facet zaraz wyszedł?

Rocky najwyraźniej wpadł w panikę. I najwyraźniej miał zamiar skłamać.

– Jasne – mruknął w końcu. – Wjechał na górę i zaraz wrócił.

– O której to było?

– Nie wiem, doktorze. Może dziesiąta, jedenasta. A co?

Harry wszedł do windy i przytrzymał drzwi.

– Nie było mnie w domu całą noc – powiedział bardziej zgryźliwie, niż miał zamiar – i nie zamawiałem żadnego chińskiego jedzenia.

Drzwi mieszkania były zamknięte na klucz, ale to nic nie znaczyło. Mieli dobry zamek z atestem policyjnym, ale ani on, ani Evie nigdy nie zadawali sobie trudu, żeby go używać. Kiedyś, gdy Evie zatrasnęła w domu klucze, dozorca otworzył ich mieszkanie przy użyciu karty kredytowej. Harry pomyślał, że powinien wezwać policję, zanim wejdzie do środka. Ale był wykończony, a na gliny trzeba by czekać godzinami.

Otworzył powoli drzwi, spodziewając się za nimi ciemności. Tymczasem w przedpokoju paliło się światło, w pozostałych pomieszczeniach również. Już od wejścia widać było, że mieszkanie zostało splądrowane. Harry przez chwilę zastanawiał się, czy włamywacza nie ma nadal w środku. Każdy człowiek przy zdrowych zmysłach bez wątplenia cofnąłby się do hallu i wezwał stamtąd policję. Ale on w tym momencie absolutnie nie czuł się przy zdrowych zmysłach. Wszedł do środka niemal pragnąc, żeby ktoś się na niego rzucił. Rozpaczliwie chciał kogoś uderzyć.

Mieszkanie było puste, w kompletnej ruinie. Zerwano każdy obraz ze ściany, wyciągnięto i opróżniono każdą szufladę. Wywalono zawartość wszystkich szaf. Podniesiono nawet dywany. Być może intruzi szukali sejfu, ale musieli się rozczarować, bo Harry nie trzymał w mieszkaniu gotówki, a biżuteria Evie znajdowała się w bankowym depozycie. Jednak wszystkie cenniejsze rzeczy zostały zabrane. Zniknęło futro z norek, srebra, kryształy i kilkanaście niewielkich dzieł sztuki, w tym również rysunek Picassa, który Evie miała z poprzedniego małżeństwa, wart jakieś piętnaście tysięcy dolarów.

Ale najskrupulatniej przetrząsnęto jego mały gabinet. Zawartość wszystkich szuflad była starannie przesortowana i skrupulatnie odłożona pod ścianę. Szuflady były rozbite, siedzenie fotela przy biurku pocięte. Każda książka z sięgających od podłogi do sufitu regałów została wyjęta, przekartkowana i odłożona na bok. Dziwne, pomyślał Harry, odsuwając nogą na bok stos papierów. Był to rabunek, ale rabunek z jakimś ukrytym celem.

Zajrzał do kuchni. Była przewrócona do góry nogami równie metodycznie, jak pozostałe pomieszczenia. Przez kilka minut przyglądał się pobojuwisku. Nagle na kuchennym stole spostrzegł cztery nie otwarte kartonowe pudełka. Każde z nich zawierało chińskie danie, teraz już zupełnie zimne. Na samym wierzchu, w spiętej biurowym zszywaczem pergaminowej torebce, leżało chińskie ciasteczko z wróżbą. W pierwszym odruchu Harry miał zamiar rzucić ciasteczkiem i całym tym jedzeniem o ścianę, ale powstrzymał się i przełamał ciasteczko.

„Promień fortuny będzie nadal rozjaśniał ścieżkę twego żywota” – przeczytał.

Rozdział 10

Dochodziła ósma, gdy wreszcie opuścił pobojowisko w swoim mieszkaniu i pojechał autobusem do szpitala. Dwaj policjanci, których przysłano na jego wezwanie, zdjęli kilka odcisków palców, ale ich poczynania były wyjątkowo niemrawe. Włamanie do mieszkania na Manhattanie najwidoczniej nie wzbudzało w nich większego zainteresowania niż bezdomny żebrak potrząsający pudełkiem z drobniakami na przechodniów.

Po półgodzinie funkcjonariusze doszli do wniosku, że mają do czynienia z kradzieżą z włamaniem dokonaną przez fachowego złodzieja, który wcale nie musiał wiedzieć, że Harry zostanie na noc w szpitalu. Odrzucili wszelkie wątpliwości Harry'ego i powiedzieli mu, że może liczyć na odzyskanie niektórych ze skradzionych rzeczy jedynie wtedy, jeśli wypłyną w jakimś lombardzie lub u znanego policji pasera. Tymczasem najlepiej będzie, jeśli postara się wyciągnąć ile się da z ubezpieczenia, odkupi to, co mu najbardziej potrzebne, i trzyma pieniądze w banku.

Harry przeszedł przez hall i ruszył korytarzem do wind gmachu Alexandra. Wokół trwała zwykła codzienna krzątanina. Zastanawiał się, ile osób tędy przeprowadzał, by po raz ostatni zobaczyły się ze swoimi najbliższymi. Ich związek z Evie już od dawna był jałowy emocjonalnie, ale aż do wczorajszej nocy nigdy nie przestał wierzyć, że jakoś uda im się przezwyciężyć trudności.

Przechodząc obok dyżurki na dziewiątym piętrze zauważył kosę spojrzenia pielęgniarek i szepty za plecami. Oskarżenia Caspara Sidonisa dotarły już niewątpliwie do wszystkich uszu. Nigdy nie lubił być tematem plotek, niezależnie od tego, czy ich wydźwięk był dla niego pochlebny, czy też nie. Aż się wzdrygnął na myśl, jak poprzecinaczana musiała zostać po drodze historia Sidonisa; już jej wersja wyjściowa była wystarczająco paskudna. Wiedział jednak, że dopóki nie wyjaśni się sprawa telefonicznego polecenia założenia Evie kroplówki i tajemniczego doktora Maury Hughes, będzie jeszcze więcej fałszywych opowieści.

Przy łóżku Evie siedzieli w milczeniu jej rodzice, Carmine i Dorothy DellaRosa. Emerytowany listonosz i urzędniczka, małżeństwo od ponad czterdziestu lat, filary kościoła katolickiego w ich małym rodzinnym miasteczku w New Jersey. Byli równie zwyczajni i powściągliwi, jak ich córka barwna i żywiołowa. Evie była ich jedynym dzieckiem.

Harry uściskał rękę Carmine'a i pocałował Dorothy w policzek. Oboje zachowywali się przyjaźnie wobec Harry'ego, ale brakowało im ciepła. „Gotyk z New Jersey”, mawiała o nich czasami Evie.

– Zdaje się, że Evelyn poruszyła rękami – powiedziała Dorothy.

– To możliwe. Odruchy układu nerwowego powodują skurcze mięśni. Ale to nic nie znaczy, Dorothy. Nie można mieć żadnych złudzeń. A co z kobietą, która tu leżała? – zapytał Harry, pokazując puste i świeżo zaścielone łóżko Maury.

– Przenieśli ją – wyjaśniła Dorothy. – Pielęgniarka powiedziała, że właśnie zwolniło się łóżko. Nie chcieli, żeby nam przeszkadzała... w takim momencie.

Harry wiedział, że jeśli nie zada się Carmine'owi DellaRosa pytania wprost, i to takiego, że będzie zmuszony na nie odpowiedzieć, zostawi całą konwersację swojej żonie. Uznał, że nie pora teraz opowiadać o włamaniu. Prędzej czy później trzeba im będzie o tym powiedzieć, ale w tej chwili mają dość innych zmartwień, zwłaszcza że już wiedzieli o decyzji Harry'ego w sprawie oddania narządów Evie do przeszczepów.

Evie miała zaklejone plastrami oczy i nadal podłączona była do respiratora i kroplówki. Pozostałą aparaturę już odstawiono. Druga seria wymaganych testów – badanie krążenia wewnątrzczaszkowego, EEG i próba wymuszenia samodzielnego oddychania – potwierdziły diagnozę o czynnościowej śmierci mózgu.

Pozostało jedynie pożegnać się z Evie i czekać na wystawienie aktu zgonu. Potem zabiorą się do niej ludzie z regionalnej służby transplantologicznej z Nowego Jorku. Harry wziął żonę za rękę i potrzymał chwilę, zastanawiając się, czy teściowie usłyszeli już coś o Casparze Sidonisie. Jeśli nie, to na pewno wkrótce usłyszą.

Ponieważ przyczyna śmierci była niewątpliwa – pęknięcie tętniaka – nie zarządzono sekcji zwłok, zwłaszcza że uniemożliwiłoby to wykorzystanie narządów do transplantacji. Zlecono jednak szczegółowe badania toksykologiczne.

– Ojciec Moore był tu przed chwilą – powiedziała Dorothy.

– Żałuję, że się z nim minąłem.

Evie już od lat nie uważała się za katoliczkę i nie próbowała unieważnić swojego pierwszego małżeństwa, ale jej rodzice nigdy się z tym nie pogodzili.

– Nie jestem pewna, czy ten cały interes z oddawaniem narządów to słuszna decyzja. Evelyn była taka... taka piękna.

– Absolutnie słuszna, Dorothy. To nie odbierze Evie urody, nie martw się.

– Tak... chyba masz rację. A co z pogrzebem?

Harry wyczuł, czego teściowa od niego oczekuje.

– Czy zechcielibyście się tym zająć?

– Tak, oczywiście.

– Z góry akceptuję wszystkie wasze decyzje. Przedsiębiorstwo pogrzebowe, które wynajmiecie, skontaktuje się ze szpitalem i wszystko uzgodni.

– Czy Evelyn miała jakiś notatnik z adresami i telefonami?

– Tak. Chyba nawet wzięła go tutaj ze sobą. Zadzwoń do was później i pozawiadamy wszystkich jej znajomych.

– To nie jest konieczne. Załatwią to za nas nasi przyjaciele. Nasz kościół nie jest duży, ale nie mamy licznej rodziny, więc wszyscy się pomieszczą.

Harry wyjął z szafki nocnej torebkę Evie. Portfel zostawiła w domu, ale zabrała ze sobą kosmetyki, trochę gotówki i notatnik z telefonami. Wyciągnął go i przekartkował. Nazwiska

wpisane starannie drukowanymi literami. Wiele z nich przywoływało żywe wspomnienia szczęśliwego okresu ich małżeństwa. Już miał wręczyć notes Dorothy, gdy nagle zauważył dwa małe kawałki papieru wsunięte za tylną okładkę. Na każdym widniało nazwisko, adres i ciąg liczb, który wyglądał na numer ubezpieczenia społecznego. Ukradkiem wsunął obie karteczki do kieszeni marynarki. Dorothy niczego nie zauważyła, wzięła od niego notes, wróciła do męża i razem wyszli na korytarz.

– Taka piękna dziewczyna... – usłyszał jeszcze Harry jej głos. Upewniwszy się, że poszli na dobre, znów otworzył torebkę Evie. Oprócz kredki do oczu, pomadki, pudru i banknotu dwudziestodolarowego znalazł szary breloczek z trzema kluczami. Dwa z nich wyglądały na klucze od mieszkania, ale różniły się od ich domowych kluczy. Trzeci był kluczykiem do skrzynki na listy. Harry zabierał się właśnie do studiowania skrawków papieru z notesu, gdy do pokoju wpadł Ben Dunleavy.

Neurochirurg Evie cieszył się powszechnym szacunkiem, ale obawiano się go, bo był zapalczywy i nietolerancyjny. Decyzja, żeby zwlekać z operacją tętniaka Evie, choć dobrze umotywowana i oparta na solidnych podstawach klinicznych, została podjęta osobiście przez niego. A teraz, zanim doszło do operacji, pacjentka nie żyje.

Uścisk dłoni Bena i ton powitania były znacznie chłodniejsze, niż powinny być w takich okolicznościach. Sidonis najwidoczniej już do niego dotarł.

– Przyszedłeś stwierdzić zgon?

Neurochirurg skinął głową i popatrzył na leżącą. Po wszystkim. Harry spojrział na zegar ścienny. Dziewięta dwadzieścia rano, czterdzieści pięć sekund. Oficjalnie Evie już nie żyje.

– Chyba nie muszę mówić, jak mi przykro – powiedział Dunleavy. – Odkładanie operacji na później stosuję od lat w przypadkach takich tętniaków jak u Evie. To mój pierwszy przypadek śmiertelny. Miałem tylko dwóch pacjentów, u których nastąpiły drobne wylewy, zanim znaleźli się na sali operacyjnej, ale obaj wyszli z tego bez szwanku.

Harry nie miał zamiaru chować głowy w piasek.

– Ben, Sidonis może i miał romans z Evie – oświadczył. – Nie wiem tego. Ale myli się w swoich oskarżeniach wobec mnie.

Dunleavy patrzył na niego beznamiętnie.

– Mam nadzieję, Harry – mruknął. – Daj mi znać, gdybym ci mógł w czymś pomóc.

Poszedł, zanim Harry w ogóle zdążył zareagować. Najpierw personel pielęgniarstwa, teraz Dunleavy. Mimo braku dowodów już odmawia mu się prawa domniemania niewinności. Harry poczuł nieprzyjemne napięcie w żołądku. Będą kłopoty.

Usiadł przy łóżku i wyciągnął z kieszeni oba kawałki papieru. Pierwszy był skrawkiem oddartym z okładki czasopisma, drugi pochodził z jakiejś papeterii. Na każdym znajdowało się nazwisko jakiegoś człowieka, adres, telefon, data urodzenia i numer ubezpieczenia społecznego, nabazgrane w pośpiechu ręką Evie. Pierwszym zapisanym był niejaki James Stallings, czterdzieści dwa lata, adres z Upper East Side. Drugim – trzydziestosiedmiolatek z Queens

nazwiskiem Kevin Loomis.

Harry wsunął kartki do portfela, a klucze na breloku do kieszeni.

Sprawdził po raz ostatni torebkę i wyrzucił ją do kosza. Na koniec pochylił się nad Evie i delikatnie pocałował ją w czoło.

– Przepraszam, kochana – wyszeptał. – Przepraszam za wszystko.

Pogładził ją po policzku grzbietem dłoni i wyszedł. Zbliżał się do wind, kiedy gdzieś z głębi korytarza doszedł go znajomy głos.

– Hej, może ktoś się tu pofatyguje i zabierze stąd to cholerne robactwo!

– Mrugnął do mnie, Sherry. Słowo daję!

Ubrana w kitel i maskę chirurgiczną pielęgniarka Mariannę Rodriguez spoglądała do wnętrza inkubatora, gdzie maleńki Sherman O'Banion spędzał swoje pierwsze dwa i pół tygodnia ziemskiego żywota. OION, czyli Oddział Intensywnej Opieki nad Noworodkami w Nowojorskim Szpitalu Dziecięcym na Manhattanie, był w tej chwili wypełniony do ostatniego miejsca. Trzydzieści noworodków o wadze urodzeniowej od pół kilograma do pięciu. Sherman urodził się w dwudziestym piątym miesiącu ciąży i ważył sześćset gramów. Jego matkę, gospodynię domową, wypisano do domu, żeby mogła zajmować się pozostałą dwójką dzieci. Ojciec pracował na nocnej zmianie na taśmie. Biorąc pod uwagę niską wagę urodzeniową i inne problemy, Sherman trzymał się całkiem nieźle.

– Zastanawiam się czasem, co wyrośnie z tych maleństw – powiedziała Sherry Hiller.

– Założę się, że Sherm zostanie piłkarzem. Widziałas jego tatusia?

Dziecko w kapsule inkubatora wyglądało jak przybysz z innej planety. Wszędzie wokół rurki, przewody i aparaty różnego rodzaju. Owinięte było w przezroczystą folię, mającą chronić je przed utratą ciepła. Bateria lamp fototerapeutycznych miała złagodzić objawy żółtaczki. Miniaturowe osłonki na powieki chroniły przed promieniami ultrafioletowymi. Respirator sterował tempem i głębokością oddechów. Czujniki na tułowiu i nogach mierzyły temperaturę, tętno i stężenie tlenu we krwi. Kroplówka podłączona do maleńkiej żyłki na głowie dostarczała płyny i antybiotyki. Rurką wprowadzoną do żołądka przez nos podawano odżywkę.

Mariannę krzątała się wokół inkubatora, zapisując temperaturę, tętno i zmiany koloru skóry dziecka. Poziom tlenu był trochę za niski, a sinawa barwa ciała i wyniki badań wskazywały, że dziecko ma poważną wadę serca, którą będzie trzeba skorygować chirurgicznie. Ale Mariannę nie przejmowała się tym za bardzo. Była pielęgniarką na oddziale noworodków od sześciu lat i widziała niejednego wcześniaka w znacznie gorszym stanie niż Sherman O'Banion. Oczywiście zdarzały się też takie, które nie miały szczęścia. Ślepotą wywołaną najrozmaitszymi przyczynami, porażenie mózgowe i niedorozwój umysłowy, infekcje różnego rodzaju, wielokrotne operacje i wreszcie śmierć – to wszystko były sprawy, z którymi każda pielęgniarka OION-u musiała się stykać..

Rozległo się pukanie w szybę od strony pokoju, w którym przygotowywano odżywkę.

Mariannę otworzyła drzwi. Kobieta, która przyniosła odżywkę, pomachała jej wesoło ręką w gumowej rękawiczce. Mariannę nigdy przedtem jej nie widziała, tak się jej przynajmniej wydawało. Zgodnie z przepisami tamta miała na sobie czepek osłaniający włosy, maskę i chirurgiczny kitel. Uwagę zwracała tylko jej potężna budowa i ciemnobrązowe, bardzo błyszczące oczy. Mariannę pokazała kobiecie gestem, żeby postawiła tacę z odżywkami na blacie. Olbrzymka skinęła głową, zrobiła, o co ją proszono, i wyszła.

Mariannę wróciła do swych zajęć. Musiała sprawdzić każdy element aparatury. Jej praca wymagała kwalifikacji nie tylko medycznych, lecz także technicznych, choć każde urządzenie miało swojego konserwatora, czasem nawet całą ekipę złożoną z wyszkolonych techników. Koszty hospitalizacji noworodków były niewiarygodnie wysokie. Ktoś kiedyś podawał Mariannę konkretne liczby – wypadło około dziewięciu tysięcy dolarów dziennie w bardziej skomplikowanych przypadkach. Pewien niemowlak, którego matka włożyła do kontenera na śmieci, przebywał na OION-ie przez dziewięć miesięcy, zanim w końcu umarł z powodu infekcji. Odprawiono nabożeństwo żałobne, w którym wzięły udział tylko opiekujące się niemowlęciem pielęgniarki i paru lekarzy. Koszt utrzymywania dziecka przy życiu przez te wszystkie miesiące wyniósł ponad półtora miliona dolarów.

- No, Sherm, papu idzie – powiedziała Mariannę.
- Przynies przy okazji butelkę dla Jessiki – poprosiła Sherry Hiller.
- Jasne. Są dla niej jakieś dodatki?
- Nie.

Butelki z odżywkami były opatrzone etykietkami i zawierały porcje na każdy posiłek dla wszystkich noworodków. W niektórych było mleko kobiece z dodatkami, w innych całkowicie sztuczne odżywki. Każda była zapieczętowana taśmą celofanową. Mariannę wciągnęła rękawiczki, zanim zabrała się do butelek. Poodkręcała zakrętki butelek Shermana zrywając przezroczyste pieczęcie i dołożyła porcje glukozy zgodnie z zaleceniem lekarza. Potem ponownie zapieczętowała wszystkie butelki z wyjątkiem jednej, używając do tego specjalnej taśmy klejącej z rolki leżącej na blacie. Jak zwykle pomyślała, że całe to pieczętowanie nie ma sensu, bo dostęp do taśmy ma praktycznie każdy. Sprawdziła dwukrotnie nalepki i schowała butelki do lodówki, pozostawiając tylko dwie – jedną dla Shermana O'Baniona i drugą dla Jessiki Saunders. Po chwili wróciła do inkubatorów.

- No co, głodomorze? – zapytała i odczekała, aż cała odżywka spłynie do pojemnika.
- Mariannę, czy mogłabyś nakarmić za mnie Jessicę? – zawołała Sherry. – Alarm w monitorze „Księżyc w Pełni” wciąż się włącza, pewnie coś nie kontaktuje. Muszę wymienić przewody.
- Jasne – odkrzyknęła Mariannę.

Była skupiona na podawaniu odżywki malutkiej dziewczynce, gdy usłyszała alarm monitora kardiologicznego. Przez dłuższą chwilę ignorowała go, pewna, że to te źle kontaktujące przewody u dziecka, które nazwały „Księżycem w Pełni”. Alarm jednak wciąż dzwijał.

– Sher, to u „Księżycy”, prawda? – zapytała nie podnosząc wzroku.

Przez chwilę rozlegał się tylko nieustanny brzęk alarmu.

– Cholera jasna! – krzyknęła nagle Sherry. – Mariannę, to u Shermana!

Monitor EKG Shermana pokazywał całkowicie prostą linię. Marianna odłączyła butelkę Jessiki i pospieszyła do inkubatora chłopczyka. Klatka piersiowa dziecka unosiła się pod wpływem pompy respiratora. Wyglądało tak jak zawsze, tyle że sinawy kolor skóry znacznie się pogłębił. Włączył się alarm stężenia tlenu we krwi. Mariannę sprawdziła przewody. Wszystko w porządku. Wsunęła do inkubatora stetoskop i przytknęła do klatki piersiowej niemowlęcia. Cisza. Ani jednego uderzenia. Przyspieszyła tempo pracy respiratora i rozpoczęła masaż serca.

– Niedobrze, Sher – powiedziała nagle. – Zadzwoń po Laurę. Niech to szlag!

Za niecałą minutę reanimacja Shermana O'Baniona odbywała się pod kierunkiem neonatologa Laury Pressman, przy udziale dwóch pediatrów-stażystów i dwóch pielęgniarek. Mariannę robiła wszystko, co należało, ale od początku miała złe przeczucia. Czynność serca Shermana spadła z przyzwoitych stu trzydziestu uderzeń do zera. Bez żadnego wcześniejszego zwolnienia czy arytmii. Zupełnie jakby samochód jadący sto kilometrów na godzinę uderzył w mur z cegieł. Najwyraźniej coś w tym serduszku z defektem pękło – jakieś pasmo mięśniowe, któraś z delikatnych przegród. Nie przerywając masażu, ekipa OION-u zaczęła podawać leki. Adrenalina... atropina... dwuwęglany... Uwijali się jeszcze ponad pół godziny, ale Mariannę z każdą mijającą minutą utwierdzała się w przekonaniu o beznadziejności sytuacji. Wreszcie Laura Pressman przerwała masaż serca, odsunęła się od inkubatora, rozejrzała po zespole i pokręciła głową.

– Przykro mi – powiedziała. – Zrobiliśmy, co w naszej mocy.

Mariannę Rodriguez przyjęła uścisk i parę słów otuchy od Sherry Hiller, a potem, łykając łzy, zabrała się do odłączania Shermana O'Baniona od rurek i przewodów. Inkubator zostanie odwieziony do odkażania, a na jego miejsce wjedzie nowy i wkrótce zdomowi się w nim nowy lokator.

Sześć kondygnacji poniżej OION-u potężnie zbudowana pracownica działu przygotowywania odżywek, nadal w masce, kitlu i czepku, zapukała do drzwi rzadko używanej męskiej toalety w podziemiach. Odczekała chwilę, po czym wsunęła się do środka, zamknęła drzwi na zasuwkę i zapaliła światło.

Trucizna, której użyła, miała tak silne działanie, że wystarczyła mikroskopijna ilość. Ale nawet gdyby wzięli odżywkę Shermana O'Baniona do analizy, do czego prawie na pewno nie dojdzie, to i tak nic by nie znaleźli.

W pojemniku na śmieci pod kłębem zużytych papierowych ręczników leżała duża płócienna torba. Dziesięć minut później z toalety wyszedł mężczyzna ze sportową torbą na ramieniu. Były w niej strój chirurgiczny, czepki i maska, a także poduszka, peruka i etui z soczewkami kontaktowymi. Mężczyzna miał ostrzyżone krótko ciemnoblond włosy i ubrany był w dzinsy,

luźną bluzę oraz znoszone adidas. Jego wzrost, waga i wygląd nie zwracały niczyjej uwagi.

Rozdział 11

Kościół Świętej Anny pękał w szwach. Była deszczowa, ponura pogoda, odpowiadająca nastrojowi panującemu wewnątrz świątyni. Bvelyn DellaRosa, piękna i pełna energii kobieta, utalentowana pisarka i dziennikarka, zmarła nagle w wieku trzydziestu ośmiu lat. Niewielu spośród obecnych nie oddawało się refleksjom na temat ulotności życia i nieprzewidzianych zwrotów losu.

Stupięćdziesięcioletni kościół zbudowany z białych otoczków górował nad malowniczą zielenią Sharpston, małego miasteczka w północnym New Jersey, gdzie Evie urodziła się i wychowała i gdzie nadal mieszkali jej rodzice. Dziś miasteczko gościło wszystkich tych, którzy przyjechali złożyć ostatni hołd Evie. Poza krewnymi i przyjaciółmi Harry'ego ze szpitala oraz sąsiadami z bloku byli także współpracownicy Evie z redakcji i rozmaici artyści i mecenas sztuki. Byli również ludzie ze stacji telewizyjnej i sieci, choć Evie nie pracowała tam już od ponad dziesięciu lat, a także mnóstwo ludzi, których Harry nie znał. Tuż przed mszą zjawił się w towarzystwie olśniewającego kociaka pierwszy mąż Evie, John Cox, obecnie zastępca prezesa sieci. Z tego, co Harry wiedział, Evie nie rozmawiała ze swoim byłym ani razu od ich rozvodu, który odbył się w dalekiej od przyjaźni atmosferze. Mimo to pojawił się teraz.

Dni żałoby po śmierci Evie wciąż zakłócały Harry'emu wizyty Alberta Dickinsona, który nękał jego sąsiadów w bloku, kolegów w szpitalu i teściów. Teściowa zadzwoniła do Harry'ego zaraz po wyjściu detektywa i zaczęła dopytywać się o Caspara Sidonisa.

– Dorothy, nie wiem, czy ten Sidonis mówi prawdę, czy kłamie – powiedział Harry. – Ale niewiele mnie to obchodzi. Kochałem Evie i jestem pewien, że ona także mnie kochała.

Nawet jeśli łączyło ją coś poważnego z tym człowiekiem, w co mocno wątpię, to jestem pewien, że z czasem by się między nami ułożyło.

– Ach tak – mruknęła bez przekonania Dorothy.

Msza już się zaczynała, gdy Harry obejrzał się i zobaczył, że do ostatniego rzędu wślizguje się Caspar Sidonis. Widok tego człowieka wprawił go w gniew i zakłopotanie. „Rogacz” – co za odrażające słowo. I jeszcze bardziej odrażająca sytuacja.

– Właśnie wszedł Sidonis – szepnął do Julii Ransome, agentki literackiej Evie i jej najlepszej przyjaciółki w Nowym Jorku.

– Tak cię ten gość obchodzi?

Harry milczał przez chwilę. Julia zawsze umiała trafić w sedno.

– Nie – odparł wreszcie. – Prawdę mówiąc, chyba wcale mnie nie obchodzi.

Od chwili gdy odwrócił się od zwłok Evie i wyszedł z jej szpitalnego pokoju, próbował pozbierać się w swoich uczuciach. Przyszło mu do głowy, żeby się wyprowadzić, żeby po prostu zostawić całą praktykę i zniknąć, zacząć od nowa w jednym z tych zachwalanych przez

ogłoszenia z ofertami pracy dla lekarzy miejsc o ciepłym klimacie i niskiej przestępczości. Ale nie umiał zostawić swoich pacjentów, nie potrafiłby wyjechać, nawet gdyby Albert Dickinson mu na to pozwolił.

Trumna Evie stała na udekorowanym kwiatami katafalku. W wieńcu z białych róż umieszczono powiększoną fotografię. Nie będzie zwykłego pogrzebu. W dniu, kiedy w *Timesie* ukazał się nekrolog, z Harrym skontaktował manhattański notariusz. Trzy tygodnie wcześniej Evie sporządziła nowy testament, zmieniający poprzedni. Zdecydowała się w nim na kremację i zapisała swoją biżuterię i dzieła sztuki rodzicom, a nie Harry'emu, jak w poprzedniej wersji – kolejny sygnał, że przewidywała koniec ich małżeństwa. Harry'emu pozostało uposażenie z polisy na życie, opiewającej na dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, którą wykupili wspólnie parę lat temu, i to było wszystko. W testamencie nie było wzmianki o Sidonisie.

Harry siedział w pierwszym rzędzie, między Julią i rodzicami Evie. Jego brat Phil z żoną Gail i trojgiem dzieci zajmował miejsce po prawej stronie Julii. Doug Atwater siedział bezpośrednio za nim. Harry był zadowolony, że żadne z nich nie potrafi czytać w jego myślach. Bardzo chciał, żeby to wszystko już się skończyło i żeby mógł wrócić do domu. Przy pomocy Steve'a Josephsona, jego żony i sprzątaczy z punktu usługowego udało mu się doprowadzić mieszkanie do normalnego stanu i teraz jedyne, czego mu było potrzeba, to parę wieczorów przy kontrabasie z całym zespołem w piwnicy „CC”, a potem zapamiętała praca.

Msza nie trwała zbyt długo. Harry'emu zaproponowano, żeby powiedział parę słów, ale odmówił. Ksiądz, który znał Evie od dzieciństwa, starał się nadać jakiś sens jej śmierci, jednak Harry słyszał tylko fragmenty jego przemowy. Myślał wciąż o jej kropłowce i lekarzu czy niby-lekarzu, któremu udało się wejść i wyjść z oddziału neurochirurgii nie zwracając niczyjej uwagi. Teraz tę gmatwaninę komplikowała jeszcze jedna zagadka: trzy klucze na breloku.

– Dobrze się czujesz? – zapytała go cicho Julia, gdy ksiądz kończył swoją mowę pochwalną.

– Nie za bardzo – odparł. – Słuchaj, masz dziś wieczorem czas na drinka? Chciałbym z tobą pomówić o paru sprawach.

Wybrali się kilka razy wspólnie z Julią i jej mężem na jakieś imprezy towarzyskie, ale nigdy nie był z nią sam na sam. Była parę lat starsza od Evie, szczupła, atrakcyjna i bardzo inteligentna. Jej agencja była jedną z najlepszych na Manhattanie. Julia aktualnie pracowała nad swoim trzecim małżeństwem.

Parę chwil później, w trakcie udzielania komunii, nachyliła się do niego i szepnęła:

– O dziewiątej w „Ambrozji”, dobrze?

– Dziękuję – odparł.

Mimo że Phil, Julia i Doug Atwater zaproponowali, że z nim zostaną, Harry chciał być sam po zakończeniu ceremonii.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić, synu? – Ojciec Francis Moore mówił cicho, ale Harry i tak aż podskoczył.

– Nie, nie. Dziękuję, ojcze.

– Rozumiem.

Harry odwrócił się i ruszył do wyjścia. Stary ksiądz poszedł razem z nim, z Pismem Świętym pod pachą.

– Idziesz do państwa DellaRosa? – zapytał.

– Tak, ale tylko na chwilę. Jestem wykończony. Nie mógł się wymigać od wizyty u teściów, jednak postanowił urwać się jak najwcześniej i wracać do domu.

– Rozumiem – powtórzył ojciec Moore. – Nie znaliśmy się wcześniej, ale Dorothy i Carmine bardzo dobrze o tobie mówią. Twierdzą, że jesteś bardzo łagodnym i dobrym człowiekiem.

– Dziękuję.

Wyszli z kościoła. Grupki ludzi stały wokół kaplicy rozmawiając albo czekając na samochody. Kiedy Harry znalazł się u podnóża schodów, stanął przed nim Caspar Sidonis.

– Zabiłeś ją, draniu – wysyczał zjadliwie. – Ty to wiesz i ja to wiem. I wkrótce wszyscy się o tym dowiedzą. Nie mogłeś znieść myśli, że ją utracisz, więc zabiłeś ją.

Minęło trzydzieści trzy lata od czasu, gdy Harry po raz ostatni uderzył kogoś. Wtedy ledwie musnął policzek szkolnego rozrabiaki, który się z nim drażnił. Tym razem pięść Harry'ego trafiła lepiej i ze zdecydowanie większą siłą. Efekt był piorunujący. Chirurg, trafiony z boku w nos, poleciał łukiem na ziemię, w mokre od deszczu krzaki. Z jego obu nozdrzy buchnęła strumieniem krew.

Ojciec Francis Moore, wstrząśnięty, wypuścił z rąk Biblię. Harry podniósł ją ze spokojem, wytarł o spodnie i oddał księdzu.

– Chyba nie jestem taki łagodny, ojczu.

„Ambrozja”, eleganckie klubowe bistro na Lexington koło Siedemdziesiątej Dziewiątej, była zawsze zapchana do ostatniego miejsca. Harry spędził godzinę w swoim gabinecie, przeglądając karty pacjentów i odwalając trochę papierkowej roboty, po czym złapał taksówkę i pojechał do klubu. Przestało wreszcie mżyć i niebo zaczęło się przejaśniać. Miasto wyglądało jak wyszorowane do czysta. Do dziewiątej brakowało jeszcze trochę, ale Julia Ransome już na niego czekała, sącząc drinka przy jednym z wysokich czarnych stolików naprzeciw baru. Pora była wczesna, lecz mimo to bar był już obłożony.

Pocałowali się z Julią w policzki. Miała na sobie czarną jedwabną bluzkę i indiańską drukowaną kamizelkę. Widać było, że w eleganckim świecie czuje się jak ryba w wodzie.

– Komu dałaś w łapę, żeby dostać to miejsce? – zapytał Harry, wsuwając się na wysoki stółek naprzeciwko niej.

– Tamten barman od dziesięciu lat pisze powieść – powiedziała z uśmiechem. – Obiecałam mu, że ją przeczytam, kiedy skończy. Tymczasem dzwonię tu, a on sadza jednego czy dwóch swoich koleśków przy tych stolikach, dopóki nie przyjdę. To jeden z plusów bycia agentem literackim. Moja krawcowa też jest w trakcie pisania swojej pierwszej powieści. Podobnie hydraulik, który zjawia się u mnie w dziesięć minut po telefonicznym wezwaniu o każdej porze

dnia i nocy. Sztuka polega na tym, żeby ocenić, kto nie ma najmniejszych szans, żeby kiedykolwiek to swoje dzieło skończyć. Od czasu do czasu się myślę. Wtedy muszę przeczytać książkę i zabrać się do szukania nowego mechanika, dentysty czy kogo tam trzeba.

– Dziękuję, że zgodziłaś się na to spotkanie.

– Jeśli wątpieś w to, najwyraźniej nie dałam ci wystarczająco do zrozumienia, że należysz do ludzi, których cenię najwyżej.

– Dzięki.

– To nie pusty komplement, Harry. – Julia skończyła drinka i nieznacznym gestem głowy wezwała kelnerkę. – Co dziś pijesz?

– Czystą whisky. I to podwójną.

– O rany. Podwójna czysta whisky. Nie znałam cię od tej strony.

– Nie przejmuj się. Jeśli uda mi się ją skończyć, będą musieli innie stąd wywieźć na taczkach. – Począł, aż kelnerka, która wróciła z napitkami, odejdzie. – Julio, proszę, powiedz mi o Evie.

Agentka starannie obejrzała swój kieliszek.

– Co byś chciał wiedzieć?

– Wygląda na to, że cokolwiek byś mi powiedziała, będzie to dla mnie nowina. Ten chirurg, którego ci wczoraj pokazywałem w kościele, ten, który twierdzi, że Evie była w nim zakochana, jest przekonany, że dałem jej jakiś lek, który spowodował wylew tętniaka. Myli się myśląc, że to ja, ale jeśli, chodzi o resztę tej hipotezy, to kto wie... – Harry zrelacjonował koszmarny wieczór na dziewiątym piętrze, rozmowę z anezjologiem i przedstawił w skrócie swoje wnioski. – Julio – powiedział – nie miałem pojęcia, że Evie coś łączy z innym mężczyzną, mimo że nie układało się nam ostatnio najlepiej. Pomyślałem po prostu, że może z czegoś ci się zwierzała... z czegoś, o czym nie wiem...

W ciszy, która zapadła, Harry poczuł, że Julia ma zamiar wyprzeć się wiedzy o czymkolwiek. Jednakże przyjaciółka Evie podniosła wzrok i skinęła głową.

– Od samego początku byleś skazany na porażkę – oświadczyła. – Może i potrafisz sobie radzić z partyzantami Wietkongu – pozwoliła sobie na szybki, ironiczny uśmiech – ale nie miałaś szans z Evie DellaRosa. Znałyśmy się od czasów studenckich. Prawie dwadzieścia lat. To była ekscytująca, intrygująca dziewczyna... Bóg jeden wie, jak bardzo mi jej brakuje. Ale przez te wszystkie lata nigdy nie widziałam, żeby była zadowolona.

Wieczna malkontentka. Cokolwiek miała, kogokolwiek miała, zawsze jej było mało. Szła po trupach. I miała w sobie coś, jakiś uwodzicielski urok, który mnie przerażał. Chyba dlatego nie zbliżyłyśmy się do siebie bardziej. Był dziś na pogrzebie John Cox. Widziałeś go?

– Tak.

– Co ci powiedziała Evie o ich zerwaniu?

– Że przyłapała go na zdradzie, a on z zemsty wylał ją z telewizji z wilczym biletem.

– To dlaczego przyszedł na pogrzeb?

– Nie mam pojęcia. Byłem zaskoczony.

– John Cox szalał za Evie. To ona go zdradzała, Harry. Z jego szefem. Wiem tylko tyle, ile powiedział mi John, ale to ten szef ją wykopał i załatwił jej wilczy bilet w branży. Zdaje się, że John chciał jej dać drugą szansę, ale się nie zgodził.

– Czy była ze mną szczęśliwa?

– Przez jakiś czas, rok, może dwa. Słuchaj, ona zawsze musiała tkwić w centrum wydarzeń. Potrzebowała światła jupiterów. Jakaś jej część pragnęła stabilizacji, dlatego wyszła za ciebie. Ale zwyciężyła druga strona jej natury.

– Wiedziałaś o Sidonisie?

– Nie. Ani o nim, ani o żadnych innych mężczyznach w trakcie małżeństwa z tobą, jeśli w ogóle jacyś byli. Te rzeczy nie były dla niej dość ważne, żeby o nich ze mną rozmawiać. A może za mało mi ufała.

– Wiem, że nie była zadowolona z pracy w tym czasopiśmie, ale...

– Nienawidziła jej. Urodziła się, żeby stać przed kamerą, Harry. Wiesz o tym. A przynajmniej powinieneś wiedzieć. Od momentu kiedy zaczęła pracę w *Manhattan Woman*, szukała sposobu, żeby wrócić w światła rampy.

– Wydawało mi się, że ostatnio pracowała nad czymś specjalnym. Wiesz, co to było?

– Próbowałam z niej to wyciągnąć – Julia pokręciła głową – ale powiedziała mi tylko, że to jakaś naprawdę duża sprawa i że producenci *The Current Affair* i paru innych programów z góry dają jej grubą forszę i gwarancje wystąpienia na antenie tylko za to, żeby im powiedziała, co ma.

Harry zagapił się na ścianę po drugiej stronie lokalu. Świeciła na niej sześciostopowa kobieca sylwetka, artystycznie wykonana z neonowej rurki. Była to postać w stylu lat dwudziestych, paląca papierosa w długiej cygarniczce. Wprawdzie Evie paliła rzadko, ale coś w tej sylwetce przypominało ją Harry'emu. Podejrzewał, że wiele czasu upłynie, nim przestanie miewać podobne skojarzenia.

– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie – powiedział dopijając swoją whisky. – Jestem ci bardzo wdzięczny, że poświęciłaś mi tyle czasu.

– Głupoty gadasz. Jesteś wspaniałym facetem. I niezależnie od tego, czy Evie to doceniała, czy nie, miała szczęście, że znalazła takiego męża. Naprawdę sądzisz, że ktoś mógł ją rozmyślnie zabić?

– Sam nie wiem, co myśleć. Pełna analiza krwi będzie gotowa za parę tygodni albo pręcej, jeśli ten detektyw, który koniecznie chce mnie oskalpować, ma swoje dojścia. Martwię się, co będzie, kiedy któryś z testów da wynik pozytywny, ale nie będę ufał wynikom.

– Więc wierzysz tej kobiecie, która leżała z Evie?

Harry przyglądał się neonowej kobiecej sylwetce zastanawiając się nad odpowiedzią. Dwa dni po śmierci Evie poszedł na neurologię, jednak Maurę Hughes już odesłano do domu. „W dygocie jak cholera, ale już przestała polować na białe myszki” – przedstawiła jej stan przy wypisie jedna z pielęgniarek. Harry był pewien, że rzeczywistą przyczyną nagłego wypisu była

odmowa pokrycia kosztów dalszego pobytu w szpitalu ze strony jej towarzystwa ubezpieczeniowego. Typowe. Firmy ubezpieczeniowe skracają pobyty w szpitalu i odmawiają pokrywania kosztów z taką samą determinacją, z jaką wyłgują się od odpowiedzialności za konsekwencje tej polityki.

– Harry? – Julia popatrzyła na niego badawczo. – Zadałam ci pytanie o tę kobietę, która leżała z Evie w pokoju. Odplynąłeś gdzieś, zamiast odpowiedzieć.

Harry rzucił okiem na swój pusty kieliszek. Przez lata abstynencji odzwyczaił się od alkoholu. Wiedział, że trudności ze skupieniem to pierwszy objaw upojenia.

No i co z tego? – pomyślał. Jeśli się upiję, to tym lepiej.

– Tak, wierzę jej – powiedział. – Niedługo po moim wyjściu wszedł do tego pokoju lekarz albo ktoś udający lekarza. A wkrótce po jego wizycie nastąpił wylew. Myślę, że wstrzyknął coś do kroplówki. Może ten temat, nad którym Evie pracowała, ma z tym coś wspólnego? Cholernie chciałbym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Sprawdziłeś w jej biurze?

– W redakcji?

– Nie, tym na Village.

– Co?

– Wynajmowała niewielkie biuro gdzieś na Greenwich Village. Nie wiedziałeś?

– Hm, nie. Tego też nie wiedziałem. Wiesz, gdzie to jest?

– Nie mam pojęcia.

Harry pomacał kieszeń, w której miał znalezione u Evie klucze.

– Muszę znaleźć ten lokal.

Julia popatrzyła na niego z troską.

– Musisz iść do domu i trochę się przespać, Harry. Ten lokal ci do jutra nie zginie. Poza tym, jeśli nie wiesz, gdzie jest, niełatwo ci będzie go znaleźć. Nie miała tam zdaje się telefonu. Tylko tyle mi powiedziała.

– Dzięki. Julio, kim ona tak naprawdę była?

– Gdybyś zapytał o to dziesięć różnych osób, dostałbyś dziesięć całkowicie odmiennych odpowiedzi. – Julia położyła dwudziestkę i dziesiątkę pod szklaneczką i wyprowadziła Harry'ego na chłodne nocne powietrze. – To tak jak w tej przypowieści o ślepcach, którzy mieli opisać słonia na podstawie tego, co wymacali. Wąż, drzewo, mur, kamień, liść. Wszyscy mieli rację, ale tylko do pewnego stopnia. Weźmiemy taksówkę na spótkę?

Harry wiedział, że mieszka dokładnie w przeciwnym kierunku niż on.

– Posłuchaj, nie martw się o mnie. Muszę się tylko kawałek przejść, to mi wywietrzeje. Odpocznę w domu, obiecuję.

Poczekał z nią, aż złapali taksówkę, potem pocałowali się na pożegnanie.

– Zadzwon, gdybyś mnie potrzebował. I nie wariuj próbując zobaczyć więcej niż pozostali ślepcy.

Harry odprowadził wzrokiem taksówkę, aż skręciła za róg, po czym ruszył powoli w stronę domu.

Rozdział 12

Niespiesznie przeszedł aleją Lexington do Pięćdziesiątej Ósmej i skierował się do południowego Central Parku. Uwielbiał przechadzać się po mieście niezależnie od pory dnia, ale szczególnie lubił to robić w nocy. Zwłaszcza jeśli nie musiał się nigdzie spieszyć. Podwójna whisky spowalniała jego kroki. Przez chwilę rozważał, czyby po prostu nie zabić reszty tych nocnych godzin w jakimś barze. Chciał jednak przemyśleć to, co powiedziała mu Julia, a myślenie nie szło mu najlepiej, kiedy był zalany.

W ciągu swojej półtorarocznej służby w Wietnamie często nadużywał alkoholu, żeby radzić sobie z potwornościami swojej pracy. Pod tym względem nie różnił się od wielu innych oficerów. Na szczęście potrafił rzucić picie po wojnie, a co jeszcze ważniejsze, nigdy nie poddał się pokusie zagłuszania emocji narkotykami. Dla innych lekarzy, którzy jej ulegli, wojna szalała nadal i nie skończy się, póki nie umrą.

Kiedy przechodził obok fontanny przed Plaza, spojrzął na Piątą Aleję. Redakcja *Manhattan Woman* mieściła się przy ulicy Czterdziestej Siódmej. Była prawie jedenasta, niewielka szansa, że uda mu się dostać do jej biura, ale nie chciało mu się iść do domu. Jego klub jazzowy, „Piwnica CC”, będzie o tej porze okropnie zatłoczony, a kwartet, który dziś występował, nie należał do jego ulubionych – uważał ich muzykę za pretensjonalną. Jeszcze raz przyszło mu do głowy, żeby ruszyć na tę jedną noc w ostry pochłaj, ale skierował się w stronę redakcji. Kupił po drodze paczkę miętówek, żeby zabić zapach alkoholu, i zjadł je wszystkie maszerując przez dziesięć przecznic do Czterdziestej Siódmej.

Portier za biurkiem w hallu głównego budynku odłożył na bok kolorowy tygodnik i spojrzął na niego spod oka. Harry wyjaśnił, że chciałby przejrzeć rzeczy Evie, zanim ktoś je wrzuci do pudełka i zamknie w magazynie. Wyciągnął z portfela jej zdjęcie i dwudziestaka. Strażnik obejrzał zdjęcie, wsunął banknot do kieszeni i podniósł słuchawkę telefonu. Po chwili Harry wychodził z windy na dwudziestym trzecim piętrze, gdzie mieściła się redakcja *Manhattan Woman*.

– Doktorze DellaRosa, tak nam przykro z powodu śmierci Evie. Nazywam się Chuck Gerhardt, jestem grafikiem – usłyszał nagle.

Podszedł do niego trzydziestoparoletni mężczyzna o rzednących, krótko ostrzyżonych włosach. Miał na sobie obcisłe czarne dżinsy i czarny golf oraz ciężki wisior z metalu i szkła, przypominający Harry’emu jakąś abstrakcyjną miniaturową rzeźbę. Mdły uścisk dłoni nie kosztował go chyba więcej niż jedną kalorię.

– Miło mi pana poznać. I dziękuję za kondolencje. „Doktor DellaRosa”. Harry nie miał nic przeciwko Evie ani innym kobietom, które nie zmieniały rodowego nazwiska na nazwisko męża i nie widział powodu, żeby prostować pomyłkę grafika. Od lat tu nie był, a po dzisiejszej wizycie

jego stopa więcej w tym budynku nie postanie. Szukał wskazówki, jakiegokolwiek wskazówki dotyczącej przedsięwzięć Evie i lokalizacji jej kryjówki na Greenwich Village. Oczywiście ucieszy go każdy szczegół rzucający światło na życie tej nieznajomej, która od dziewięciu lat była jego żoną.

– Ma pan szczęście, że mnie pan tu zastał – powiedział Gerhardt. – Właśnie zamykamy numer i mam zatrząsienie roboty. To się u nas nazywa „panika”. Dlatego nie byłem na pogrzebie. Szefowie się wybrali, a my, od czarnej roboty, musieliśmy zostać.

– Przykro mi. Nabożeństwo było bardzo piękne. I przepraszam, że przeszkadzam panu.

– Nie ma sprawy. Nie mogę uwierzyć, że Evie odeszła. Była wspaniała, panie DellaRosa. Oddałaby człowiekowi ostatnią koszulę.

– Tak... Wie pan, nie mogę usiedzieć na miejscu od pogrzebu. Przechodziłem tędy i postanowiłem wstąpić tu po rzeczy Evie.

Chuck Gerhardt spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Doktorze DellaRosa, jestem pewien, że ten człowiek, którego pan przysłał, wszystko już zabrał. Pamiętam, bo...

– Widział pan tego człowieka? – Harry poczuł, że napinają mu się wszystkie mięśnie.

– Tylko przelotnie. Byłem właśnie w recepcji, kiedy przyszedł. Kathy, recepcjonistka, zaprowadziła go do gabinetu Evie. Coś nie w porządku?

– Nie, nic... – odparł Harry i dodał po chwili: – Tak, to mój kolega z pracy. Chodzi tu niedaleko na siłownię i parę dni temu zaofiarował się załatwić to za mnie. Zupełnie mi to wyleciało z głowy. Mimo to chciałbym tam wejść.

– Nie ma sprawy.

– Na końcu korytarza?

– Ee... nie, jej pokój jest z drugiej strony. Od paru lat.

– Tak, tak, oczywiście. Dawno tu nie zaglądałem.

Na drzwiach z jasnego dębu nadal wisiała tabliczka z nazwiskiem Evie. Harry wszedł do środka, wiedząc już, że to bezcelowe. Miał rację. Gabinet został wysprzątnięty do czysta. Niczego na biurku, szuflady puste, segregatory wyczyszczone, ściany gołe. Książki wyjęte z biblioteczki i ułożone w staranny stosik w kącie. Harry był pewien, że każdy tom został sprawdzony. Jeśli jeszcze miał jakieś wątpliwości co do włamania do ich domu, to teraz znikły zupełnie. Kradzież była jedynie zasłoną dymną, prawdziwym celem było przeszukanie. Ale czego szukali?

Na wszelki wypadek sprawdził, czy nie ma czegoś pod półkami i pod dnem szuflad biurka. Niczego. Kosz na śmieci również był pusty. Harry nie potrafił sobie wyobrazić, jak ktoś mógł tak po prostu wmaszerować do gabinetu i wyczyścić go tak dokładnie. Historia, którą przedstawił recepcjonistce, musiała być wiarygodna i gładko opowiedziana. To musiał być człowiek o zimnej krwi. Żaden amator.

Czy włamanie do mieszkania i przeszukanie gabinetu Evie miało związek z jej śmiercią? Z pewnością. Wiedziony impulsem, Harry usadowił się za biurkiem i włączył komputer Evie.

Kiedy zgłosił się system operacyjny, wstukał komendę i czekał. Nic się nic stało. Twardy dysk był pusty. Żadnych plików, ani jednego. Ani jednego dokumentu, artykułu, notatki, nawet edytora tekstów.

– Mogę w czymś pomóc?

W drzwiach stał Chuck Gerhardt i uśmiechał się współczująco.

Słaby, niepewny uśmiech Harry'ego był absolutnie autentyczny.

– Nie. Dziękuję. Dzięki za wszystko.

Gerhardt położył na biurku trzy dziesięciodolarowe banknoty.

– Byłem winien Evie – wyjaśnił. – Teraz chyba należą się panu.

– Nonsens. Proszę to zatrzymać. Skoro lubiła pana na tyle, żeby udzielić panu pożyczki, chyba cieszyłaby się, gdyby te pieniądze u pana zostały.

– To nie była pożyczka. Miała znajomego na Village, który zajmował się nietypową biżuterią. Łańcuszek od mojego medalionu zerwał mi się kiedyś, medalion upadł na marmurową podłogę w hallu na dole i rozbił się na kawałki. Kupiłem go w Niemczech, na wspólnym wyjeździe z kimś bardzo mi bliskim i ma dla mnie pamiątkową wartość. Myślałem, że nie da się go uratować, ale temu złotnikowi Evie się udało.

Na Village? Evie nigdy nie jeździła dalej niż na Piątą Aleję. Twierdziła, że jego klub, „Piwnica CC”, jest na końcu świata. Po raz pierwszy o jej związkach z Greenwich Village Harry usłyszał, gdy Julia powiedziała mu o tym tajnym biurze. Teraz znów to.

– Chuck, czy przypadkiem nie wie pan, co to za jubiler?

– Evie mi nie mówiła, ale zdaje się, że jego wizytówka była w pudełku, w którym zwrócił mi medalion. Prawie na pewno ją mam. Chodźmy do mojego biura.

Harry poszedł za Gerhardtem do obszernego gabinetu, w którym panował tak zwany artystyczny nieład. Grafik zaczął przewracać do góry nogami rzeczy na swoim biurku i po chwili podał Harry'emu wizytówkę. „Paladin Thorvald, Biżuteria, Antyki i Dzieła Sztuki”. Harry przepisał adres.

– Niech pan zatrzyma te pieniądze z czystym sumieniem, Chuck – powiedział klepiąc artystę po plecach. – Uczciwie je pan zarobił.

Kiedy wyszedł, zatrzymał się przy bankomacie i pobrał trochę gotówki, po czym wiał taksówkę na Village. Pracownia jubilerska i sklep z antykami Paladina Thorvalda mieściły się przy ulicy Bleecker, parę przecznic od Bowery. Była prawie pierwsza w nocy, ale kręciło się jeszcze sporo ludzi, wśród nich oczywiście wszechobecne nocne sępy, czekające, aż nadejdzie ich pora.

Harry nie miał żadnego sprecyzowanego planu. Zamierzał pokazywać zdjęcie Evie każdemu, kto będzie chciał mu się przyjrzeć. Jeśli nie dopisze mu szczęście, pójdzie do domu i prześpi się trochę, a rano zacznie od nowa. Sprawa jest pilna. Kimkolwiek był ten, kto przeszukał mieszkanie i gabinet Evie, z pewnością nie zabrakłoby mu determinacji, by popełnić morderstwo.

A na domiar złego Harry'emu depcze po piętach Albert Dickinson, który czeka tylko na sprawozdanie koronera, żeby przyskrzynić swojego jedyne podejrzanego, niejakiego H. Corbetta.

Lokal Thorvalda mieścił się na parterze obskurnego nieotynkowanego budynku. W zakratowanym oknie była umieszczona tabliczka z godzinami otwarcia: od dziewiątej rano do siódmej wieczorem. Harry zajrzał do środka. Pojedyncza żarówka oświetlała blado kolekcję najrozmaitszych rupieci, które w żadnym razie nie kwalifikowały się do miana antyków. Evie nigdy by nie zajrzała do tego sklepu, gdyby nie mijala go po drodze, Harry był tego pewien.

Spróbował szczęścia z jej fotografią u kilku klientów wychodzących z całodobowego sklepu na rogu, jedyne jeszcze otwartego, a potem wszedł do środka. Sprzedawca, Hindus lub Pakistańczyk, rozpoznał Evie jako swoją stałą klientkę, ale nie wiedział, gdzie mieszka. Pracował zawsze na nocnej zmianie. Harry nie potrafił wyobrazić sobie swojej żony samotnie spacerującej tymi ulicami w nocy. A przynajmniej do tej pory nie mógł sobie wyobrazić. Kiedy wędrował ulicami, wyczuł, że nocne sępy zwęszyły go i zacieśniają okrażenie. Jeszcze trochę i któryś zrobi pierwszy ruch. Spojrzał na zegarek. To idiotyzm włóczyć się tutaj o tej godzinie. Oglądając się raz po raz przez ramię zatoczył pętlę i wrócił pod sklep Thorvalda. Dwóch przechodniów nigdy nie widziało Evie, dwóch pozostałych umknęło, gdy tylko ruszył w ich kierunku. Postanowił złapać taksówkę i wrócić do domu. Kiedy zajrzał znowu przez kraty do pracowni złotnika, na zapleczu sklepu zobaczył brodatego mężczyznę w luźnej bluzie czy kaftanie.

Zapukał w szybę. Mężczyzna rzucił okiem w jego stronę, pokazał na zegarek i odprawił go gestem. Harry zastukał znowu, przy stawiając tym razem do okna zdjęcie Evie i dwie dwudziestki. Mężczyzna zawahał się, po czym przykuśtykał do drzwi. W swoim haftowanym kaftanie, z wielką brodą, grubym kucykiem i pojedynczym ciężkim kolczykiem w uchu wyglądał na skrzyżowanie Eryka Rudego z Iwanem Groźnym, ale jego twarz była miła i budziła zaufanie. Kiedy popatrzył na zdjęcie, Harry zobaczył błysk rozpoznania w jego oczach i szybko pokazał na obrączkę, na zdjęcie, na siebie samego i wreszcie na banknoty. Paladin Thorvald znowu zawahał się, a potem wzruszył ramionami, wyłączył system alarmowy i otworzył drzwi.

– Jest pan mężem Desiree? – zapytał z niedowierzaniem, gdy Harry się przedstawił. – Nigdy nie sądziłem, że ma męża, i to jeszcze lekarza.

Harry przypomniał sobie, ile godzin on i Evie spędzili przy wybieraniu zaręczynowego pierścionka z brylantem i potem przy obrączkach. Wiadomość, że włóczyła się po Village po nocach pod imieniem Desiree i bez obrączki jeszcze parę dni temu zdziwiłaby go bezgranicznie, ale dzisiaj dziwiła już trochę mniej.

– Zapewniam pana, panie Thorvald, że jestem jej mężem. A przynajmniej byłem. Czy mogę wejść i chwilę z panem porozmawiać?

Thorvald cofnął się parę kroków i wpuścił go do środka, ale widać było wyraźnie, że ma obiekcje. Harry uznał, że nie ma powodów, by ukrywać prawdę. Nie zamierzał jedynie ujawniać, że w sprawie śmierci Evie toczy się śledztwo. Wręczył złotnikowi dwie dwudziestki.

– Proszę, niech pan je weźmie. Niezależnie od rezultatu naszej rozmowy.

Thorvaldowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Wsunął banknoty głęboko do kieszeni kaftana i słuchał Harry'ego z beznamiętną miną.

– Więc właściwie czego chciałby się pan dowiedzieć? – zapytał, gdy Harry skończył. W jego głosie brzmiała czujność.

– Byłbym panu ogromnie wdzięczny, gdyby mi pan powiedział, gdzie mieszkała.

– Mnóstwo ludzi mieszka na Village z różnych powodów. Należy do nich także potrzeba dyskrecji, o którą tak trudno w innych miejscach. Żyj i daj żyć innym, wie pan, o co chodzi. Skoro Desiree była pańską żoną i nie powiedziała panu o tym lokalu, to musiała mieć swoje powody.

– Panie Thorvald, proszę pana bardzo. Ona nie żyje. Miała trzydzieści osiem lat i nie żyje. Mieliśmy dom, przyjaciół, plany na przyszłość. Muszę wiedzieć, kim była Desiree. Niezależnie od tego, jakie imię przybrała, była moją żoną. Jestem przekonany, że mam klucze do jej mieszkania. Proszę. Niech mi pan tylko wskaże budynek, to nigdy więcej mnie pan nie zobaczy. Niczego poza tym od pana nie chcę. Tylko tyle.

Thorvald zmierzwił brodę i wpatrzył się w swoje sandały.

– Drugi dom w tamtą stronę – oświadczył wreszcie. – Drzwi świeżo polakierowane na czerwono. Drugie piętro, zdaje się. Nie jestem pewien. Nigdy tam nie byłem.

– Dzięki. Wiem, że nie miał pan ochoty mi tego powiedzieć. Nie będę panu więcej zwracał głowy.

Paladin Thorvald przyjrzał się twarzy Harry'ego.

– Przykro mi, że pańska żona zmarła – wymamrotał.

U góry czerwonych lakierowanych drzwi były dwie małe szybki. Harry wspiął się na palce i zajrzał do środka. Sień pusta. Obejrzał się, żeby zobaczyć, czy ktoś nie czai mu się za plecami, i wyciągnął klucze. Przez chwilę łudził się jeszcze, że cała ta sprawa z podwójnym życiem Evie to wytwór jego wybujałej wyobraźni, jednak gdy pierwszy z kluczy lekko przekręcił się w zamku, ta nadzieja rozwiązała się.

Wślizgnął się do środka i zamknął za sobą drzwi. Mała, kiepsko oświetlona sień nie lepiła się wprawdzie od brudu, ale gruntowne sprzątanie by jej nie zaszkodziło. Znajdował się tu odrapany stolik na pisma, dwa rzędy skrzynek na listy, w sumie jakieś dwadzieścia parę, i bateria przycisków domofonów. Harry przejrzał nazwiska na skrzynkach, wydrukowane wraz z inicjałami imienia na czarnej samoprzylepnej taśmie. Kilka nazwisk umieszczono na doklejonych skrawkach papieru. Nikt nie miał imienia na „D” i żadne z nazwisk nie brzmiało znajomo. Ale mieszkanie 2F nie miało żadnej nalepki. Kluczyk do skrzynki na listy z kompletu Evie pasował. Skrzynka była pusta. Nagle Harry usłyszał szmer za frontowymi drzwiami. Odwrócił się błyskawicznie. Tętno, i tak już przyspieszone, skoczyło jak oszalałe. Przez okienko nikogo nie było widać, ale na pewno przed chwilą kłós zaglądał.

Harry chciał wyrzeć na ulicę, jednak po namyśle zrezygnował. Kimkolwiek był ten, kto czał się za drzwiami, Harry nie miał ochoty się z nim spotykać. Najważniejsze teraz to dostać się do mieszkania 2F.

Ciemny korytarz na parterze z drzwiami po obu stronach prowadził do schodów. Były tak wąskie, że Harry zastanawiał się, jak ludzie mieszkający na piętrach wnosili do mieszkań lodówki czy kanapy. Windy ani śladu. Wciąż zdenerwowany myślał, że ktoś go obserwuje, wszedł czujnie po schodach.

Mieszkanie 2F mieściło się na tyłach budynku. Harry po drodze próbował sobie wyobrazić Evie, jak idzie tym samym korytarzem. Kiedy stanął pod drzwiami, przez chwilę nasłuchiwał. Cisza. Delikatnie zapukał. Nic. Wreszcie z walącym sercem wsunął w zamek drugi klucz, przekręcił i wstąpił w świat kobiety, która przybrała imię Desiree.

Rozdział 13

W mieszkaniu panowały ciemności. W nikłej poświacie dochodzącej z korytarza Harry znalazł lampę, zapalił ją i szybko zamknął drzwi.

Mały, skąpo umeblowany salon stanowił jaskrawy kontrast w stosunku do ich wypieszczonego mieszkania. Najwyraźniej było to stanowisko pracy zawalonego robotą dziennikarza. Na poprzecieranej wykładzinie stały kartonowe segregatory. Na każdym była etykieta i Harry wywnioskował z nich, że Evie miała na warsztacie więcej niż jeden temat. Na składanym stoliku stała elektryczna maszyna do pisania, a na biurku pecet i laserowa drukarka. Z boku, na podłodze, telewizor i magnetowid, a także siedem czy osiem kaset wideo, poza tym do połowy wypełniony stojak na butelki z winem, magnetofon i kilkanaście kaset. Był również telefon. Harry podniósł słuchawkę – działał. Żadnego numeru na aparacie. Musieli gdzieś istnieć ludzie, którzy znali ten numer, ale nie należała do nich najbliższa przyjaciółka Evie, Julia.

Harry sprawdził szafę – była pusta. Potem poszedł do kuchni. Zapas dietetycznych napojów gazowanych, ekspres do kawy Brauna, mikrofalówka. Szafki zavalone czipsami, orzeszkami, paluszkami i konserwami, zamrażarka pełna, mrożonek i ulubionych lodów Evie firmy Ben & Jerry.

Obok kuchni znajdowała się mała łazienka z kabiną prysznicową, bez wanny. Szampon taki sam, jakiego używała Evie, a zapach kosmetyków i mydła był Harry'emu dobrze znany. Nad umywalką wisiała szafka z lustrzanymi drzwiczkami, w których zobaczył swoje odbicie. Wyglądał okropnie: zmęczona, zapadnięta i nie ogolona twarz. Zastanawiał się, czy Gene Hackman kiedykolwiek wyglądał tak paskudnie. W szafce znalazł kilka nieoznakowanych buteleczek z tabletkami. Rozpoznał valium, seconal i jakiś odpowiednik amfetaminy. Podejrzewał, że pozostałe fiołki zawierają środki przeciwbólowe. Ze wszystkich zerwano etykiety. Była tam także buteleczka z białym proszkiem. Harry wziął odrobinę na zwilżony palec i roztarł na dżiąsłach. Natychmiastowe odrętwienie wskazywało, że prawdopodobnie jest to kokaina. Evie nigdy nie miała skłonności do narkotyków i Harry nie pamiętał, żeby dała się namówić nawet na skręta z marihuany na jakimś przyjęciu. Desiree więc, jeśli używała narkotyków, musiała to robić tylko sporadycznie. Harry zauważyłby, gdyby Evie była uzależniona.

Otworzył szufladę toaletki i skonsternowany zapatrzył się w jej zawartość. Szuflada wypełniona była po brzegi prezerwatywami, w co najmniej piętnastu rozmaitych gatunkach, w pudełeczkach i pojedynczych opakowaniach. Harry wyciągnął jedno z nich. „Tajskie łaskotki” – głosiła etykieta z jednej strony, a po drugiej widniał sprośny rysunek i obietnica: „Gwarantowana przyjemność dla niej i dla niego”. Harry ze złością wrzucił pudełko z powrotem i zatrzasnął szufladę. Zaprzagnął nagle wyjść, po prostu uciec od tego i zapomnieć o wszystkim. Dowiedział

się o swojej żonie i jej drugim wcieleniu dużo więcej, niż chciał wiedzieć, i bał się stawić czoło rewelacjom, które czekały na niego w segregatorach i na komputerowym dysku w salonie. Nie mógł się już jednak cofnąć. Dostał się w środek koszmaru i musiał się przez to przekopać.

W ciasnej sypialni mieściła się tylko wąska komoda i okazałe, starannie zaścielone łoże. Jedną ścianę zajmowała wbudowana w nią szafa z harmonijkowymi drzwiami. Harry otworzył ją. Wisiało w niej czternaście sukni wieczorowych, eleganckich, zmysłowych i wcale nie tanich. Pod nimi stały parami pantofle, wszystkie z tych drogich butików, w których Evie najchętniej kupowała ubrania. Za drugimi drzwiczkami kolekcja koszulek nocnych, peniuarów i rozmaitych seksownych fatalaszków – wszystkie niezwykle śmiałe i prowokujące. Harry nie przepadał za tego rodzaju bielizną, bardziej podniecał go dotyk ciała Evie pod flanelową koszulą nocną albo pod zwykłym bawełnianym T-shirtem i Evie rzadko wkładała te nieliczne koronkowe części garderoby, jakie posiadała. Ale najwidoczniej upodobania Desiree były inne. Z chaosem w głowie i raczej smutkiem niż gniewem w sercu Harry wrócił do salonu i do tekstów, które najprawdopodobniej kosztowały Evie życie.

Wziął do ręki cienki skoroszyt zatytułowany „Wstęp” i przejrzał pierwsze stronicę.

W POŚCIELI

Potęga i nadzwyczajne wpływy seksualnego podziemia
w Ameryce

Mężczyźni twierdzą, że jestem piękna. Kobiety zresztą również, jeśli chodzi o ścisłość. Odkąd to sobie uświadomiłam, nauczyłam się wykorzystywać ten fakt dla swoich celów. Jestem inteligentna, wykształcona i mam szerokie zainteresowania. Ale najbardziej interesuje mnie seks. Seks i władza. Ze stronic tej książki dowiedzie się, jak ja i wiele innych kobiet, z którymi pracowałam i przeprowadzałam wywiady, wykorzystywałyśmy swój wygląd i atrakcyjność seksualną, żeby sterować innymi – zarówno mężczyznami, jak i kobietami. Dowiedzie się o decyzjach gospodarczych podejmowanych pod dyktando wielu z nas. Dowiedzie się o wpływowych dygnitarzach wyrzucanych z pracy i o ludziach przyjmowanych na wysokie stanowiska polityczne tylko dlatego, że któraś z nas tego zażądała. Czasami dostajemy pieniądze za użycie swoich wpływów – i są to ogromne kwoty. Czasami manipulujemy sędziami, politykami czy biznesmenami tylko po to, żeby wypróbować swoją siłę...

Harry odłożył skoroszyt i sięgnął po następny, zatytułowany „Korespondencja”. Zawierał listy redaktorów kilkunastu poważnych oficyn wydawniczych, wyrażające zainteresowanie przedstawionymi im fragmentami książki „W pościeli” autorstwa Desiree. Cała ta korespondencja kierowana była na skrytkę pocztową agenta na Manhattanie, niejakiego Normana Quimby’ego. Harry nie słyszał, żeby Evie kiedykolwiek wspominała o tym człowieku, i wątpił, żeby w ogóle istniał. Kilka innych listów pochodziło od producentów znanych programów

telewizyjnych i adresowane były do samej Evie na inną skrytkę pocztową. Proponowały stałą współpracę przed kamerą, jeśli tylko Evie będzie w stanie sprowadzić Desiree i dostarczyć obiecywane materiały. Producenci gwarantowali najróżniejsze zabezpieczenia, mające za zadanie chronić anonimowość Desiree. Jeden z nich pisał:

Uważam, że to wspaniały pomysł, zachowanie w tajemnicy tożsamości Desiree. Gdy program wejdzie na antenę, książka będzie już wydana i rozgłos, jaki wywołamy, spowoduje powstanie fenomenu – postaci Madame X, stanowiącej połączenie Sydney Barrows, Christine Keeler i Heidi Fleiss, z dodatkiem Marilyn Monroe i Kennedych do smaku. Nie potrafię podać jeszcze dokładnych liczb, ale powiedzmy po prostu, że jeśli jest pani w stanie dostarczyć nam to, co obiecuje, zrobimy duży biznes.

Harry sięgnął po jedną z kaset. Na etykietce miała wypisane „Nr 1”. Przejrzał skoroszyty leżące na podłodze. Jeden był zatytułowany „Wideo” i zawierał sześć streszczeń, każde na dwie strony, i każde oznaczone jedynie numerem. Otworzył na tym, które nosiło nagłówek „Nr 1”, i wsunął kasetę do magnetowidu.

Na tej kasecie występuje kobieta, nosząca pseudonim Briana – przeczytał. – Ma trzydzieści jeden lat i zdobyła tytuł najpopularniejszej studentki na jednym z dużych uniwersytetów na Południu. Za dnia jest fizjoterapeutką w przychodni pod Waszyngtonem, a w nocy pracuje dla agencji towarzyskiej. Honorarium za jej usługi wynosi 2000 dolarów za noc. Ma tylko paru klientów i pracuje tylko wtedy, gdy ma na to ochotę. Z agencją dzieli się dochodami pół na pół. Ostatnio zaszła w ciążę ze swoim chłopakiem i postanowiła zrezygnować z pracy w agencji. Film, jaki zrobiła sobie z okazji „przejścia na emeryturę”, został nakręcony przy użyciu kamery ukrytej za lustrem w jej mieszkaniu. Właściciel agencji towarzyskiej nic o tym nie wiedział, Briana działała na własną rękę. Jej usługi zostały zakontraktowane przez potężne lobby tytoniowe. Za wpłynięcie na to, jak zagłosował senator, którego widać na filmie, otrzymała wynagrodzenie w wysokości 50 tys. dolarów. Drugie tyle dostała za niniejszy film. Twarz i głos jej oraz senatora zostały elektronicznie zniekształcone...

Harry z mieszanymi uczuciami patrzył, jak młoda kobieta o dużych, jędrnych piersiach i szczupłym, wysportowanym ciele nastolatki daje się rozbierać znacznie starszemu mężczyźnie. Zwracała się do niego „senatorze” i póty wierciła mu dziurę w brzuchu, prowokowała go, przekonywała i uwodziła, aż obiecał jej wycofać swoje poparcie dla nowych wysokich podatków na wyroby tytoniowe. Była niewiarygodnie pociągająca i wprawna, tak że mężczyzna skończył w niecałe dwie minuty po rozpoczęciu właściwego stosunku.

Twarze obojga były zamazane, a głosy zniekształcone, więc identyfikacja nie wydawała się możliwa. Harry zastanawiał się, czy rzeczywiście jest to autentyczny dokument, czy też była to

inscenizacja autorstwa Desiree. Czy ona sama była na którejś z tych taśm? Niestety, wydawało się to bardzo prawdopodobne. Harry postanowił obejrzeć resztę kaset dopiero wtedy, gdy pozna resztę materiału.

Sprawdził, która jest godzina. Dochodzi druga. Pogratulował sobie w duchu, że jego zawód przyzwyczaił go do działania mimo niedostatku snu. Zostanie tu do świtu, a potem pojedzie do domu, weźmie prysznic, przebierze się i pójdzie do szpitala na poranny obchód. Jak tylko będzie wolny, znów tu wróci.

Przejrzał segregatory i luźne kartki, zastanawiając się, jak najlepiej zorganizować poszukiwania. Jego uwagę zwrócił niewielki plik kartek. Składał się z pięciu czy dziesięciu arkuszy papieru i ściągnięty był gumką. Na wsuniętej pod gumkę żółtej karteczce napisane było ręką Evie: „Dyr. przedsiębiorstw (notka wstępna). Patrz też »Dziennik Desiree«”

Spotykają się co dwa tygodnie w hotelu „Camelot”. Młodzi, przystojni i potężni. Zostałam wybrana przez Page wraz z sześcioma innymi – najładniejszymi i najbardziej atrakcyjnymi dziewczynami w tym mieście. Wynagrodzenie za noc: tysiąc w gotówce. Każda z nas została przydzielona jednemu z nich. Pierwszej nocy, we wtorek, zostałam wysłana do pokoju pana...

Nagle zamarł. Jakiś odgłos w korytarzu za drzwiami. Ktoś dotknął drzwi, pewnie podsłuchuje. Harry odłożył papiery na miejsce, podszedł na palcach do okna i ostrożnie podniósł roletę. Zobaczył wyjście przeciwpożarowe, a poniżej jakąś uliczkę. Ale zarówno to okno, jak i sąsiednie było zabezpieczone kratą zamkniętą na kłódkę. Wrócił do stołu, na który odłożył klucze Evie, i ostrożnie, żeby nie wywołać hałasu, zaczął szukać właściwego klucza. Usłyszał delikatne pukanie do drzwi. Ruszył w ich stronę, ale zawahał się. Pukanie rozległo się znowu, tym razem bardziej natarczywie. Harry popatrzył na papiery Desiree. Nie mógłby ich szybko schować.

– Kto tam? – zapytał i podszedł bliżej, żeby usłyszeć odpowiedź.

– To ja, Thorvald. Paladin Thorvald – usłyszał stłumiony szept. – Muszę z panem porozmawiać.

– Jak się pan tu dostał?

– To bardzo ważne, proszę.

Harry znów spojrzał na rozrzucone papiery, a potem, wzruszywszy ramionami, odciągnął rygiel. Do środka wpadło dwóch mężczyzn w czarnych skafandrach. Jeden był wysoki i zbudowany jak zawodowy zapaśnik, drugi znacznie niższy, ale krępy i mocny. Obaj mieli nylonowe pończochy naciągnięte na twarze.

– Odsuń się – warknął wyższy, wpychając Harry’ego z powrotem do mieszkania.

Reakcja Harry’ego była całkowicie odruchowa. Rąbnął pięścią w sam środek twarzy wyższego, aż mężczyzna zatoczył się ciężko do tyłu i oparł o ścianę koło drzwi. Następnie kopniakiem z boku w kolano zwałił na ziemię drugiego, wyminął go i rzucił się w stronę otwartych drzwi, ale wyższy wystawił nogę i Harry runął jak długi na korytarz.

– Pomocy! – krzyknął zrywając się na nogi.

Nie zdążył się ruszyć, bo wysoki mężczyzna chwycił go za kostki i obalił ponownie. Harry znowu wrzasnął, próbując się wyrwać. Ważył osiemdziesiąt kilo, ale tamten podniósł go jak piórko. Pod maską z pończochy twarz miał umazaną krwią. Harry kopnął napastnika w szczękę. Tamten zwolnił uścisk na tyle, że Harry’emu znów udało się wyrwać. Drugi mężczyzna, chwiejąc się, stał już na nogach. Po chwili rzucił się na Harry’ego, próbując przygwoździć go do ziemi. Harry wywinął piruet, którego nie powstydzilby się sam Barysznikow, i wepchnął tamtemu łokieć w gardło. Krepy znów znalazł się na podłodze.

Biegając w stronę drzwi, Harry potknął się. Ten moment zwłoki wystarczył, by olbrzym chwycił go znowu. Ale ręce Harry wciąż miał wolne. Zamierzył się, chcąc uderzyć z półobrotu, gdy nagle rozdzierający ból przeszył mu klatkę piersiową i plecy. Był to ten sam spazm, który chwycił go na bieżni w szpitalu, ale tym razem wielokrotnie silniejszy. Poczł, że uginają się pod nim kolana i zobaczył mgłę przed oczami. Obaj napastnicy już siedzieli mu na karku i przygważdżali do podłogi.

– Dawaj to! – warknął jeden.

– Dobra, już, już – odparł drugi.

Poprzez tępe oszołomienie spowodowane bólem, od którego oblewał go pot, Harry poczuł mdlący, słodkawy odór chloroformu. Do ust i nosa przytknięto mu wilgotny tampon. Potworny ból w klatce piersiowej nie pozwolił mu się bronić. Tracąc przytomność odczuł ulgę, bo ból zaczął ustępować. Przez chwilę próbował walczyć w jedyny dostępny mu sposób: wstrzymując oddech. Ale nie na wiele się to zdało.

Ciekawe, jak to jest być martwym – to była ostatnia myśl, jaka mu przeszła przez głowę, zanim wziął głęboki wdech.

– *Jakie nazwiska widziałeś w tych papierach?...*

– *Jakie nazwiska zapamiętałeś?...*

– *Przesłuchiwałeś którąś z tych kaset?...*

– *Co na nich było?...*

Pytania wypływały z atramentowej czerni jak piórka, muskały świadomość Harry’ego, a potem odpływały w dal.

– *Czy twoja żona mówiła ci, nad czym pracuje?...*

– *Jak się dowiedziałeś o tym mieszkaniu?...*

– *Od jak dawna o nim wiedziałeś?...*

– *Kto jeszcze wie?...*

Męski głos był łagodny, cierpliwy i wcale nie natarczywy, ale Harry nie mógł nie odpowiadać. Pytania, monotonne i powtarzające się, przeplatane były powolnymi, bełkotliwymi odpowiedziami, dawanymi głosem, który należał do niego, choć jednocześnie był mu zupełnie obcy.

– *Zacznijmy od początku, Harry. Opowiedz mi wszystko, co przeczytałeś w tamtym*

mieszkanu...

– Przytocz każde nazwisko, które zapamiętałeś... każde nazwisko... każde nazwisko...

Harry leżał płasko na wznak, przywiązany do łóżka. Oczy miał szczelnie zasłonięte, a ręce i nogi skrupowane, chociaż mógł poruszać dłońmi i stopami. Mógł też poruszać głową, ale barki miał unieruchomione.

– Dajcie mi wstać... – usłyszał swój własny jęk.

– Kiedy się przekonam, że powiedziałeś mi wszystko, co mi masz do powiedzenia, będziesz wolny – oświadczył jakiś głos. – Poproszę jeszcze trochę pentothalu.

Harry'emu powoli zaczęło się rozjaśniać w głowie. Potworny ból w klatce piersiowej minął. Wciąż żyje, przynajmniej tak mu się wydaje.

– Nie wrywaj się, Harry. Nie ruszaj ręką. Za chwilę poczujesz się dużo lepiej.

Głos przesłuchującego należał do człowieka kulturalnego i inteligentnego. To nie był żaden ze zbirów, którzy go napadli. Ale tamci też tu byli. Harry słyszał ich oddechy. Próbował sobie wyobrazić całą trójkę stojącą wokół łóżka.

– Jeszcze trochę pentothalu – powtórzył kulturalny głos – i pół strzykawki ketaminy. Nie sądzę, żeby miał jeszcze coś do dodania, ale lepiej się upewnić.

Harry poczuł jakieś manipulacje przy swojej lewej ręce i nagle zrozumiał, że ma tam wkłutą kroplówkę. To ty nim jesteś! – krzyczało mu coś w głowie. To ty jesteś tym lekarzem z neurologii!

Ciemność przeniknęło przyjemne ciepło. Harry poczuł, że odpływa. I znów zaczęły krążyć wokół niego pytania i jego własne odpowiedzi.

– Co jeszcze pamiętasz?...

– Jakie nazwiska?...

– Adresy?...

– Które kasety?...

– Co jeszcze?... Co jeszcze?...

Harry poczuł, że wynurza się z głębin ciepłego ciemnego oceanu. Bolała go głowa, pierś miał obolałą. Powoli wszystko zaczęło mu się przypominać: spotkanie z dwoma osiłkami, przesłuchanie prowadzone przez mężczyznę o łagodnym głosie. Jest przywiązany do łóżka... Chwileczkę! Poruszył jedną ręką, potem drugą. Więzy zdjęto. Nogi także ma wolne. Sięgnął do oczu i ostrożnie odkleił plastry, którymi były zaklejone. W pomieszczeniu panowała nieprzenikniona ciemność. Walcząc z atakami mdłości usiadł i macając wokół znalazł roletę okienną. Południowe słońce wybuchło rażąc oczy. Ukrył twarz w dłoniach i poczekał chwilę.

Wreszcie rozejrzał się. Znajdował się w sypialni Desiree. Był całkowicie ubrany, jedynie bez butów. Nie miał zegarka. Na wewnętrznej stronie lewego łokcia miał niewielkie nakłucie, z

pewnością ślad po igle. Oprócz umeblowania wszystko z pokoju zniknęło. Żadnej garderoby w szafach, żadnych perfum na komodzie. Nic. Łazienka i salon także wyczyszczone. Nie ma komputera, szuflada toaletki opróżniona ze swej przygnębiającej zawartości. Apteczka pusta. Zniknęły również klucze Evie, chociaż jego własne wraz z portfelem leżały na stole.

Harry opadł na kanapę, czując coraz silniejszy ból głowy, który, jak się obawiał, nie przejdzie tak szybko. Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer swojego gabinetu. W głosie Mary Tobin zabrzmiała ogromna ulga, kiedy go usłyszała.

– Doktorze Corbett, wszędzie pana szukałam. Nawet na policję dzwoniłam.

– Która godzina?

– Słucham?

– Która godzina, Mary?

– Południe. Dochodzi południe. Gdzie pan się podziewa?

– Wytłumaczę wszystko później. Muszę jechać do domu. Będę najwcześniej o trzeciej.

Wykombinuje coś pani z pacjentami? Odrobię zaległości w sobotę.

– Wszystko w porządku?

– Niezupełnie. Opowiem później.

Włożył buty, po raz ostatni rozejrzał się po mieszkaniu i ruszył do domu. Wszystkie odpowiedzi miał w ręku. Pogrzebał swoje szanse na uratowanie się, ale wie teraz znacznie lepiej, kim była Evie DellaRosa. I miał też głos... łagodny, kulturalny głos z leciutkim brytyjskim akcentem.

Rozdział 14

Dochodziła dopiero piąta rano, ale Kevin Loomis był już ubrany do wyjścia. Po cichu przeszedł do kuchni i delikatnie zamknął za sobą drzwi. Nie było powodu budzić Nancy i dzieciaków tylko dlatego, że on cierpi na bezsenność. Położył się po północy i co najmniej godzinę przewracał z boku na bok. Odkąd zobaczył zdjęcie Evelyn DellaRosa w dziale nekrologów *Timesa*, nie spał w sumie więcej niż dziesięć godzin. Raz wydawało mu się, że ta kobieta to na pewno Desiree, ale po chwili tracił tę pewność. Podobieństwa były niewątpliwe, jednak kobieta ze zdjęcia wyglądała młodziej, choć nie tak ponętnie jak Desiree.

Podgrzał kubek wczorajszej kawy w mikrofalówce i zabrał go ze sobą do swojego gabinetu w piwnicy, ciasnego pomieszczenia, które wygospodarował sobie wśród pudeł, nie używanego sprzętu sportowego, płataniny rur i stosów pustaków. Nie spędzał tu wiele czasu, odkąd awansował, ale było to miejsce, gdzie mógł się zaszyć i pomyśleć w spokoju. Poza tym ta prowizoryczna pracownia już niedługo będzie mu służyć. Na trawniku przed ich domkiem przy obsadzonej drzewami uliczce na Queensie stała tabliczka „Na sprzedaż”. Kiedy tylko transakcja dojdzie do skutku, będzie można sfinalizować kupno tej wspaniałej rezydencji w Port Chester, którą sobie wybrali z Nancy. Dwanaście pokoi, trzy kominki, cztery łazienki, działka sześć i pół tysiąca metrów. Nigdy nie sądzili, że to marzenie się ziści.

Nowa praca, nowy samochód, nowy dom, nowi koledzy, nowe tajemnice... to wszystko dzieje się tak szybko. Może to właśnie tak go niepokoi. Nie te sprawy z Desiree czy Kelly, czy w ogóle z Okrągłym Stołem, lecz sprawa z Kevinem Loomisem. Choćby nie wiem jak się starał, wciąż miał wrażenie, że to wszystko go przerasta.

„Większość z rycerzy zajmuje dyrektorskie stanowiska od wielu lat – powiedział mu Burt Dreiser, kiedy zwrócił się do niego z propozycją, która zmieniła całe jego życie. – I wytworzyły się pomiędzy nimi, jako członkami tego samego bractwa, wyjątkowe więzi. Z początku będziesz się czuł onieśmielony, ale niczego się nie obawiaj. Obserwowałem cię przez długi czas i nigdy nie zaproponowałbym ci wejścia na moje miejsce, gdybym nie pokładał w tobie pełnego zaufania. Jeśli tylko będziesz wierzył w to, czemu służy Okrągły Stół, jeśli będziesz wierzył, że nasz cel uświęca środki, jakie stosujemy – niczego więcej ci nie trzeba”.

Kevin nie przypominał sobie, co dokładnie wtedy odpowiedział, ale musiała to być odpowiedź słuszna. A także prawdziwa. W ciągu swojego życia niejednokrotnie chodził na skróty – wśród przepisów prawa, zasad moralnych czy innych – żeby dostać to, czego pragnął, lub zrealizować cele, które sobie postawił. W Okrągłym Stołe i jego rozmaitych przedsięwzięciach nie było nic takiego, czego nie byłby w stanie zaakceptować, zwłaszcza że stawką była pomyślność jego firmy i własna. Wszystko pójdzie doskonale, absolutnie doskonale, jeśli tylko nie będzie się tak przejmował tą całą sprawą.

Rozłożył nekrolog Evelyn DellaRosa na biurku i jeszcze raz go przeczytał. Redaktorka działu konsumenckiego w *Manhattan Woman*, tak, to jeszcze pasuje do wizerunku Desiree, ale żeby była żoną lekarza? Wprawdzie Kevin nie miał z nią stosunku, ale bynajmniej nie dlatego, żeby dziewczyna nie była chętna. Gawaine mówił, że miał z Desiree bardzo intymne kontakty, choć twierdził, że z nią nie spał – Kevinowi jednak zawsze się zdawało, że w tym punkcie kłamał. Oczywiście zdarza się, że żona lekarza zostaje callgirl, któż o takich rzeczach nie czytał, ale Kevin nigdy by nie przypuszczał, że sam zostanie w takiej sprawie wmieszany. Czytał dalej:

„... zmarła nagle w szpitalu...”

Zmarła nagle. Co to może znaczyć?

Zastanawiał się, czy powinien porozmawiać o tym z Galahadem i innymi. Chyba powinien. Na następnym spotkaniu, postanowił.

– Zresztą co za różnica? – zapytał sam siebie na głos.

Nawet jeśli Desiree była Evelyn DellaRosa, co z tego? Nic nie wskazuje na to, że jej śmierć miała jakikolwiek związek z Okrągłym Stołem. Nic a nic. Wysiłki Kevina, żeby samego siebie o tym przekonać, przyniosłyby efekt, gdyby wciąż nie przypominała mu się ostatnia wymiana zdań z ostatniego spotkania, ta pomiędzy Galahadem i Merlinem:

„Za wiele mamy do stracenia, żeby pozwolić na takie zagrożenie”.

Czy tak powiedział Galahad? W każdym razie coś w tym sensie. A co odparł Merlin?

„Nie wykonuj tylko zbyt gwałtownych ruchów... Przynajmniej dopóki nie upewnisz się, że ona nie ma polisy ubezpieczeniowej żadnej z naszych firm”.

Może to nie dosłowny cytat, ale blisko oryginału. Kevin wyczuł wtedy coś złowrogiego w uwadze Merlina. Nie same słowa, ale może intonacja... i wyraz twarzy. To było tak, jakby on i Galahad mówili o czymś, o czym wiedzieli tylko oni dwaj.

A teraz kobieta, która mogła być Desiree, nie żyje... zmarła nagle... w szpitalu.

Kevin aż podskoczył na dzwonek telefonu. Złapał słuchawkę.

– Kevinie, mówi Burt. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem. Słuchaj, jest sprawa, którą musimy omówić. Nic takiego, nie ma się czym martwić, ale może spotkalibyśmy się u mnie na jachcie, powiedzmy o wpół do ósmej?

Jacht. Jedyne miejsce, gdzie Dreiser czuł się naprawdę pewnie i bezpiecznie. Musi chodzić o Okrągły Stół.

– Oczywiście. – Kevin odchrząknął, starając się rozluźnić. – Zaraz wychodzę.

Włożył nekrolog Evelyn DellaRosa do koperty i wepchnął na dno szuflady. Wszedł na górę, zostawił karteczkę do żony i dzieciaków na stole w kuchni i ruszył do garażu.

– Hej, nie zapomniałeś czegoś?

W drzwiach stała Nancy, w jednej ręce trzymając jego teczkę, w drugiej paczuszkę orzeszków pistacjowych, które tak bardzo lubił. Ubrana była w beżowy jedwabny szlafrok, który dostała od niego na gwiazdkę. Oświetlały ją promienie wschodzącego słońca, przesiane przez liście klonów rosnących przy ulicy. Poznali się w szkole średniej, na pikniku zorganizowanym

przez kościół i zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Nancy Sealy była wtedy bardzo piękna i taka też pozostała dwadzieścia cztery lata i troje dzieci później, jako Nancy Loomis. Nagle w jego myśli wdarła się wizja Kelly, nagiej, siedzącej okrakiem na jego udach i pieszczącej go zręcznymi dłońmi. Przez chwilę, tak jak tamtej nocy, cały świat przesłoniły mu jej kruczoczarne, lśniące włosy łonowe. Pozwolił jej pieścić się, a nawet wziąć go na chwilę do ust, trudno było się temu oprzeć, ale podobnie jak było z Desiree, wyznaczył stanowczą granicę. Żadnego stosunku. I cieszył się, że sobie tego odmówił.

Wziął teczkę i orzeszki, pocałował żonę w policzek, potem w usta, i jeszcze raz, bardziej namiętnie.

– Hej, czy to zaproszenie? – zapytała szczypiąc go ustami w ucho. – Bo jeśli tak, to zadzwonię do biura i powiem Marty, żeby...

– Kochanie, nie mogę. Mam spotkanie z Burtem. Spróbuję wrócić dziś wcześniej. Albo zadzwonię. Może będziemy mogli spotkać się w motelu „Światło Gwiazd”.

Nancy rozpromieniła się.

– Naprawdę?!

Wyprawa z Kevinem do motelu, żeby się kochać, była jej ulubioną fantazją seksualną od czasu, kiedy w latach studenckich zrobili to naprawdę.

– Zadzwonię wczesnym popołudniem. Jeśli będę mógł się urwać, pojedziemy tam.

Pocałował ją jeszcze raz i truchtem pobiegł do swojego lexusa. Żadnych więcej pańienek z agencji, przysiągł sobie. Jest wierny, ale na miłość boską, nie jest świętym Franciszkiem. Jeśli dalej będzie igrał z ogniem, to prędzej czy później się poparzy. Porozmawia o tym z Burtem. Lancelot będzie zapraszał jedną dziewczynę mniej albo zajmował się dwiema naraz. Sir Tristan w to nie wchodzi.

Wyjechał z wąskich uliczek i ruszył w kierunku tunelu Queens – Midtown. Jacht Dreisera, wspaniały czterdziestostopowiec, cumował w przystani klubowej po drugiej stronie Hudsonu. Postanowił pojechać Czterdziątą Drugą, a potem autostradą na West Side. W ostatniej chwili zmienił jednak zdanie i pojechał aleją Roosevelta, żeby przejechać przez Central Park. Jeśli dopisze mu szczęście, będzie sporo przed czasem i zdąży trochę popracować na swoim laptopie. Ten komputer kosztował firmę cztery i pół tysiąca dolarów, więcej niż Kevin zarabiał przez pół roku, kiedy zaczynał.

Wsunął kompakt z Sinatrą do odtwarzacza i pozamykał okna. Wykonana na zamówienie aparatura dysponowała dwunastoma głośnikami i dwunastopasmowym equalizerem. Ale radocha! – pomyślał Kevin. Samochód, praca, dom – jak ze snu. Wszystko idzie jak w zegarku. Czemu sam sobie miesza w głowie? Zawsze miał skłonność do szukania dziury w całym. Ta cała sprawa z Evelyn DellaRosa to prawdopodobnie tylko przypadkowe podobieństwo dwóch kobiet. Ma wybujałą wyobraźnię.

Ruch uliczny był słabszy niż zazwyczaj o tej porze. Kevin dotarł do nabrzeża z prawie półgodzinnym zapasem. Ale Burt był już na swojej łodzi i raczył się śniadaniem na pokładzie

rufowym. Był przystojnym pięćdziesięcioletnim o szpakowatych włosach i patrycjuszowskich rysach.

– Spędziłem noc na mieście – wyjaśnił, częstując Kevina kawą i sokiem.

„Na mieście”, znaczyło „na jachcie”. A Kevin był prawie pewien, że „na jachcie”, znaczyło także „z Brendą Wallace”. Może o to chodziło w tym całym spotkaniu – może Burt potrzebował alibi?

– Jeśli się spędza noc na mieście, to raczej tam – Kevin pokazał gestem na drugi brzeg Hudsonu.

– Jak tam twój dom?

– Dziś lub jutro finalizujemy sprawę.

– To w Port Chester, prawda?

– Tak.

– Są tam ładne działki. Naprawdę ładne.

– Dom jest piękny. Nancy by się załamała, gdyby nie doszło do podpisania umowy.

– Daj mi znać, jeśli będą jakieś problemy. Potrafię znajdować wyjście z trudnych sytuacji.

– Dziękuję.

Dreiser wyrzucił za burtę nie dojezdzonego kęsa drożdżówki. Mewa złapała go w locie.

– O co tam z tobą chodzi w Okrągłym Stole? – zapytał nagle.

Kevin poczuł, że krew mu odpływa z policzków.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Kevin, przyjęto mnie do Okrągłego Stołu pięć lat temu, wkrótce po jego utworzeniu. Kiedy zostałem prezesem „Korony”, musiałem się trochę odsunąć od bractwa. Zostało uzgodnione, że gdyby kiedykolwiek toczyło się dochodzenie w sprawie Okrągłego Stołu, to naczelny dyrektor ma zaprzeczać, że cokolwiek o nim wie. W związku z tym rycerze chcieli po prostu zlikwidować moje miejsce. Może zamierzali wprowadzić kogoś z innej firmy. Nie wiesz, jakiej argumentacji musiałem użyć, żeby pozwolili mi wybrać kogoś z „Korony” na zastępstwo.

– Cieszę się, że ci się udało.

– Nie mogło się nie udać. Pozwól, że ci wyjaśnię, czym jest dla nas przynależność do Okrągłego Stołu. Rok temu jeden z naszych rycerzy doznał poważnego zatrucia pokarmowego w jakiejś cholernej chińskiej restauracji. Kiedy wzięli go do szpitala, dostał zawału i zmarł. Naczelnemu jego firmy nie pozwolono wyznaczyć nikogo na jego miejsce. Były z tym facetem jakieś kłopoty. Rycerze uważali, że brakowało mu zaangażowania. Nikt mu nie ufał. Gdyby nie umarł, prawdopodobnie trzeba by go było niebawem wykopać z bractwa... chyba że zmieniłby swoją postawę. W rezultacie utraty członkostwa w Okrągłym Stole tamta firma straciła w zeszłym roku coś koło dziewiętnastu milionów. Nie chciałbym na coś podobnego narazić „Korony”.

– Więc...?

– Kevin, wiesz przecież, że ci ludzie są bardzo ostrożni i bardzo podejrzliwi. Ta sprawa z

reporterką... jak jej tam było?

– Przedstawiała się jako Desiree, ale wydaje mi się, że jej prawdziwe nazwisko mogło brzmieć DellaRosa. Ona...

– Tak, no cóż, sprawa z tą reporterką zdenerwowała parę osób. Martwią się, że mogłeś jej coś powiedzieć.

– Nie powiedzia...

Dreiser uniósł do góry dłoń.

– Proszę, pozwól mi skończyć.

– Przepraszam – wymamrotał Kevin.

– To nie jest wielka sprawa, ale ty jesteś nowy. Nie znają cię, więc oczywiście nie darzą pełnym zaufaniem. Można to zrozumieć, prawda?

– Tak.

– Więc w porządku. Zaufanie to zasadnicza sprawa. Kevin, jeśli ci ludzie nie będą się czuli z tobą swobodnie, nie zaufają ci. A jeśli ci nie zaufają, zostaniesz wykluczony. I wtedy „Korona” wypadnie z gry. To będzie dla nas cios, Kevin. Dziewiętnaście czy dwadzieścia milionów rocznie, a Bóg raczy wiedzieć, czy nie o wiele więcej, to naprawdę będzie bardzo poważny cios.

– Rozumiem.

– Więc po co do jasnej cholery dzwonisz do Lancelota i wydziwiasz na dziewczynę, którą ci przysłał? – Dreiser odrobinę podniósł głos.

Kevin był zdumiony, że jego naczelny jest tak szczegółowo informowany. W ostatniej chwili powstrzymał się przed jakimiś tłumaczeniami czy wyjaśnieniami. Burt Dreiser chciał teraz usłyszeć tylko jedną jedyną rzecz.

– To było nieporozumienie – powiedział. – Nie powtórzy się.

– Świetnie. – Dreiser zacisnął pięść i machnął nią w powietrzu. – Kevin, nie obchodzi mnie, co robisz z tymi dziewczynami w swoim pokoju. Ale im prędzej inni rycerze poczują że należysz do paczki, tym lepiej dla ciebie i dla firmy. Uwierz mi, tutaj nie ma drobiazgów. Każda rzecz się liczy. Stawka jest za wysoka.

– Rozumiem.

– W porządku. Wszystko będzie dobrze, dopóki nie zapomnisz, o co toczy się gra.

Rozdział 15

Sześć dni po pogrzebie Evie, dokładnie na dzień przed swoimi pięćdziesiątymi urodzinami, Harry Corbett zdał sobie sprawę, że przestał być kandydatem na głównego podejrzanego w ewentualnej sprawie o morderstwo, a stał się jedynym podejrzanym w toczącej się sprawie.

Poranek przebiegł podobnie jak wszystkie pozostałe od śmierci Evie. Harry próbował sprawiać wrażenie skupionego i rzeczowego, gdy tymczasem jego myśli gonily jak oszalałe. Był przekonany, że człowiek, który poddał go przesłuchaniu, był również odpowiedzialny za śmierć Evie, nic na to jednak nie mógł poradzić. Po wyjściu z mieszkania Desiree wstąpił do pracowni Paladina Thorvalda. Dwóch osiłków, którzy go zaatakowali, użyło nazwiska złotnika, ale on sam nic o nich nie wiedział, a jego zachowanie wskazywało, że zaczyna mieć wątpliwości co do stanu umysłowego doktora Corbetta. Harry doszedł do wniosku, że jak tak dalej pójdzie, podobnych podejrzeń nabiorą również inni.

Ze sklepu Thorvalda poszedł na miejscowy posterunek policji, ale kiedy wszedł frontowymi drzwiami, odwrócił się na pięcie i ruszył do domu. Minąwszy następną przecnicę zebrał się jednak na odwagę i wrócił na policję. Bez kluczy do mieszkania Desiree mógł tylko zażądać spisania protokołu i odczekać półtorej godziny, aż funkcjonariusz odnajdzie administratora budynku. Mieszkanie 2F zostało wynajęte niejakiej Crystal Glass, czynsz opłacono gotówką za pół roku z góry. Harry zastanawiał się, czy Crystal Glass to jeszcze jedna osobowość Evie. Wbrew temu, co już widział, miał nadzieję, że w mieszkaniu znajdzie się coś, co przekona policję, iż nie jest przypadkiem psychiatrycznym. Ale nie było nic. Absolutnie nic.

– Niech pan da nam znać, gdyby miał pan jakieś nowe informacje, doktorze Corbett – powiedział oficer śledczy tonem, jakim mówi się do niedorozwiniętego dziecka.

– Oczywiście – odparł Harry.

Te dwa typy musiały mnie śledzić, pomyślał. Ale jak długo? Zaniepokoił się, że mógł niechcący narazić na niebezpieczeństwo Julię Ransome, więc zadzwonił, żeby ją ostrzec. Jednak następne dni nie przyniosły żadnych nadzwyczajnych wydarzeń.

Albert Dickinson przybył do jego gabinetu akurat w momencie, gdy siedemdziesięciosześcioletni emerytowany malarz Daniel Gerstein kończył próbę wysiłkową serca na stepperze, i obwieścił, iż znaleziono nowe dowody, które awansują Harry'ego na jedynego podejrzanego. Gerstein, choleryk z usposobienia, przeżył hitlerowski obóz koncentracyjny. Zawzięcie odmawiał wizyt u jakiegokolwiek innego lekarza i narzekał na bóle w klatce piersiowej, więc Harry zrobił dla niego wyjątek i poddał go testowi wysiłkowemu. Pacjent przeszedł próbę bez bólu wieńcowego i zmian w EKG. Harry stwierdził zwyrodniające zapalenie stawów barkowych i międzyżebrowych, ale Gerstein zażądał ambitniej brzmiącej diagnozy i skutecznych leków, takich, jakie otrzymują jego znajomi od swoich lekarzy. Zgodził się w końcu

na „zaawansowany zespół bólów stawów klatki piersiowej na tle niekardiologicznym” i lek Motrin.

Patrząc na monitor pokazujący pracę serca starego człowieka Harry zastanawiał się, czy jego własny test wysiłkowy wyglądałby choć w przybliżeniu równie dobrze. Ból w klatce piersiowej, którego doświadczył w mieszkaniu Evie, skłonił go wreszcie do poszukania kontaktu z kardiologiem, ale gdy się dowiedział, że lekarz wyjechał na konferencję, nie zwrócił się do drugiego. Zamiast tego biegał rano szczególnie intensywnie. Ból nie powracał, a każdy dzień bez objawów tłumił wspomnienie i ułatwiał bagatelizację tamtego przeżycia.

W końcu uznał, że to jego historia rodzinna, owa „klątwa Corbettów”, którą sobie wymyślił, spowodowała, że stał się tak bardzo uczulony na sprawy kardiologiczne. Niewielki ból, który większość ludzi by zlekceważyła, urósł w jego umyśle do niepokojących rozmiarów. Jego brat też z pewnością odczuwał jakieś niegroźne dolegliwości sercowe, ale wcale nie sprawdzał dat w kalendarzu i nie latał z byle czym do kardiologa.

Trzeba będzie jednak zrobić sobie próbę, myślał Harry wypisując recepty dla Daniela Gersteina. Ale w tej chwili ma tyle ważnych spraw.

Właśnie w tym momencie zaskrzeczał w interkomie głos Mary Tobin, która anonsowała dwóch gości – funkcjonariusza Grahama i detektywa Dickinsona.

Dickinson kazał Grahamowi usiąść na jednym ze wskazanych przez Harry’ego krzeseł, ale sam pozostał na nogach. Nadal cuchnął papierosami i miał na sobie źle skrojony garnitur z syntetyku, w którym pojawił się pierwszy raz w szpitalu.

– No i co, doktorku – zaczął, przechadzając się po gabinecie i przyglądając dyplomom na ścianach – powiedziałem panu wtedy w szpitalu, że wrócę. No i jestem.

– I jest pan – powtórzył Harry z goryczą.

– Poczekalnia pełna. Zawsze tyle roboty?

– Poruczniku, wolałbym, żeby pan przyszedł po piątej... Ci ludzie są ze mną umówieni, a mają z pewnością mnóstwo innych zajęć. Nie chciałbym, żeby czekali.

– Mojego lekarza to w ogóle nie obchodzi. Zawsze się spóźnia. Zna pan doktora McNally’ego z Central Park West?

– Nie znam. Poruczniku, ile nam to zajmie?

– To zależy.

– Od czego?

– Od pana, doktorze. Czy nazwa... – wyciągnął kołnotatnik i przesylibizował – ... metaramidol coś panu mówi?

Harry poczuł, że upada na duchu. Ostatni promyk nadziei, że analiza krwi Evie da wynik negatywny, właśnie zgasł.

– Metaraminol – poprawił detektywa. – Inaczej aramina.

– Wie pan, jak to działa?

– Wiem, poruczniku. Niech pan przejdzie do rzeczy.

– Trzyma pan gdzieś tutaj ten metaminol?

– Tego się prawie nie używa. Nie trzymam go i nigdy nie trzymałem. Czy mógłby pan powiedzieć to, co ma pan do powiedzenia, i pójść sobie? Pacjenci czekają.

Dickinson odwrócił się z zaciśniętymi pięściami.

– Powiem, co mam do powiedzenia, kiedy będę miał na to ochotę, zrozumiano?! – warknął. – Mój lekarz uwielbia trzymać ludzi w poczekalni, więc i pan może potrzymać swoich pacjentów. A jak się panu nie podoba, to niech pan powie recepcjonistce, żeby ich odesłała w diabły.

– Niech się pan wynosi – powiedział Harry. – Natychmiast.

– Bo co? Bo zadzwoni pan na policję? – Dickinson westchnął. – Niech pan posłucha, doktorku. Spróbujmy to razem rozpracować. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Harry złapał za słuchawkę telefonu, żeby zadzwonić do komisariatu, ale zawahał się, odłożył słuchawkę na widełki i opadł na fotel.

– Czego pan właściwie chce? – zapytał z rezygnacją.

– Żeby pan się przyznał, co pan zrobił swojej żonie.

– Słucham...?

– Doktorku, ja wiem, pan wie i każdy, kto ma cokolwiek wspólnego z tą sprawą, że pan to zrobił. Teraz pozostało już tylko wyznać wszystko jak na spowiedzi.

– Niczego nie zrobiłem. Czy Evie miała metaminol we krwi?

– Tyle, że starczyłoby, by wykończyć całą drużynę futbolową. Lekarz sądowy powiedział, że nikt, kto nie jest lekarzem albo farmaceutą, nie wiedziałby o tym paskudztwie. No, doktorku, jak to z tym było?

– Nie zabiłem jej – oświadczył Harry i dodał po chwili: – Zabił ją człowiek, który przypuszczalnie jest lekarzem. Prawdopodobnie widziała go Maura Hughes. Evie pracowała nad artykułem, który bardzo kogoś zaniepokoił. Wszystko, co wiem, to że sprawa ma coś wspólnego z ekskluzywnymi callgirl i ludźmi na wysokich stanowiskach. Moja żona została zamordowana, by nie mogła ukończyć artykułu. W nocy po jej pogrzebie znalazłem materiały, nad którymi pracowała w mieszkaniu na Village.

– I co?

– I ten lekarz oraz dwóch jego zbirów napadli na mnie, zanim zdążyłem przeczytać więcej. – Harry wiedział, że prędzej czy później będzie musiał ujawnić bliższe szczegóły drugiego tycia Evie i jej artykułu, ale nie czuł się jeszcze gotowy.

– Skąd pan wie, że ten człowiek jest lekarzem?

– Nie wiem tego na pewno. Ale tak sądzę, bo wie, jak się poruszać w szpitalu, i zna się na lekach. W tamtym mieszkaniu założył mi kroplówkę, zaaplikował narkotyki i przesłuchiwał przez wiele godzin. W końcu wygarnęli wszystko z mieszkania do czysta i uciekli.

– I zostawili pana przy życiu, mimo że widział pan jego twarz?

– Ja... nie widziałem jego twarzy. Ani twarzy tych dwóch pozostałych. – Zauważył, że Dickinson krzywi się niedowierzająco. – Mieli maski z pończoch – wyjaśnił Harry. – A zanim

ten domniemany lekarz się pojawił, zakleili mi oczy plastrem. Maura Hughes jest prawdopodobnie jedyną osobą, która widziała jego twarz.

Natychmiast zrozumiał, jakim mistrzowskim posunięciem tajemniczego osobnika było pozostawienie go przy życiu. Pod wpływem narkotyku powiedział wszystko, co wiedział, czyli praktycznie nic, więc facet musiał się zorientować, że Harry nie zdążył dotrzeć do żadnych materiałów obciążających kogokolwiek. Żadnych nazwisk, danych, adresów. Jeśli zaś miał zaufanie do metod, które stosował, a nie było powodu wątpić, że był ekspertem w przesłuchiowaniu, to wiedział, że Harry nie stanowi żadnego zagrożenia.

Ale była jeszcze jedna, znacznie ważniejsza przyczyna, dla której pozostawiono go przy życiu. Gdyby Caspar Sidonis nie wystąpił ze swoimi podejrzeniami, wszyscy byliby przekonani, że śmierć Evie nastąpiła z przyczyn naturalnych. Wylew jest komplikacją, którą zawsze bierze się pod uwagę przy tego rodzaju tętniakach. Lekarz sądowy podpisałby akt zgonu bez najłżejszych podejrzeń. Jednak w konsekwencji oskarżeń Sidonisa zlecono szczegółową analizę krwi Evie. Tamten tajemniczy lekarz doskonale wiedział, że metaraminol musi zostać wykryty, a Harry był świetnym kandydatem na kozła ofiarnego. Gdyby teraz został zamordowany albo zaginął, ekipy śledcze zdwoiłyby swoje wysiłki. Oszczędzono go tylko po to, żeby rzucić na pożarcie lwom.

– Więc powiedz mi, doktorcu – spytał Dickinson – skąd ci przychodzi do głowy, że ten gość z tamtego mieszkania to ten sam, który zabił twoją żonę?

– Nie jestem tego pewien. Czy zechciałby pan teraz wyjść?

– Mam nakaz rewizji pańskiego gabinetu, doktorcu. A także pańskiego mieszkania. Muszę znaleźć ten lek.

– Przecież to absurd! Gdybym nawet zrobił to, o co mnie pan podejrzewa, na pewno nie byłbym takim idiotą, żeby trzymać metaraminol przy sobie.

– Doktorcu, skoro był pan takim idiotą, żeby zabić swoją żonę i myśleć, że ujdzie to panu na sucho, to czemu nie miałyby pan przechowywać metaraminolu? Widzisz, Graham? Ci medycy wszystkich mają za durniów. I dlatego zawsze wszystko spieprzą.

Młody funkcjonariusz z zakłopotaniem odwrócił wzrok.

– Zamierzacie przeprowadzać rewizję, kiedy przyjmuję pacjentów?

– Nie będziemy musieli, jeśli po prostu powie pan prawdę.

Słuchaj pan, wiem o romansie pańskiej żony z tym super-doktorkiem. Wiem, że miała zamiar od pana odejść. Wiem też o tej ślicznej, tłustej polisie na życie, na której nieźle pan zarobi. Wiem, jakiego środka pan użył. I wiem, że był pan ostatnim człowiekiem, który ją widział przy życiu. No więc jak, doktorcu? Może krew pana zalała? To była piękna kobieta i może nie mógł pan znieść myśli, że ją utraci. Przechodzi pan przez magazyn leków i myśli o tym jej tętniaku... i nagle ma już pan w ręku to lekarstwo... Zabójstwo w afekcie. To nie takie straszne, nie dostanie pan dużo, doktorcu, zaledwie jakieś pięć lat... Może nawet całkiem się pan wywinie z pomocą dobrego prawnika.

Dickinson studiował dyplom nadania Srebrnej Gwiazdy. Widniał na nim napis: „Zabił trzech żołnierzy wroga”. Harry wiedział, że te słowa nie pozostaną bez echa. Nagle przyszło mu coś do głowy: pytanie i jednocześnie odpowiedź.

– Poruczniku, niech mi pan coś powie... Skoro wie pan już o mnie wszystko i jest pan pewien, że zamordowałem własną żonę, to dlaczego nie przyszedł pan z nakazem aresztowania?

– Słucham...?

– Nakaz aresztowania. Pewnie jakiś sędzia czy ławnik, czy kto tam się tym zajmuje, odmówił panu wydania nakazu aresztowania, póki pan nie znajdzie u mnie tajnej skrytki z metaminolem.

Wyraz twarzy Dickinsona – napięcie wokół ust – zdradził, że został trafiony.

– No i co z tego? W ciągu dwóch tygodni zbierze się wielka ława przysięgłych i gwarantuję panu, że prokurator wystawi nakaz aresztowania na podstawie tych dowodów, które przedstawię, Graham, zaczynamy.

– Chwileczkę. – Harry czuł, że ma wreszcie szansę przejść do ataku, i nie miał zamiaru rezygnować. – Poruczniku, jest jeszcze coś, prawda? Chodzi o Maurę Hughes? Sędzia śledczy dał mi wiarę jej zapewnieniom, że ktoś jeszcze wchodził po mnie do pokoju, czyż nie tak?

– Zabiłeś ją, Corbett.

– Uwierzyli jej, prawda?

– Nie jej – Dickinson z trudem ukrywał rozdrażnienie i bezsilny gniew – ale temu jej cholernemu braciszkowi z Yale. Przechodzi ludzkie pojęcie, co ten gnojek nawyprawiał. Napisał raport. Tylko sobie nawarzył piwa. Teraz prędzej dadzą to pieprzone stanowisko detektywa Charlesowi Mansonowi niż jemu.

I nie myśl pan, że kupili tę jego historię. Co to, to nie. Postanowili tylko poczekać, dopóki się wszystkiego nie sprawdzi, i tyle. A ten pański zachlany świadek jest głównie wart i jej braciszek nic na to nie poradzi. Wystarczy na nią spojrzeć i posłuchać, co bredzi. Nikt nie uwierzy, że mogła widzieć cokolwiek oprócz białych myszek. No ale może pozwoli nam pan zabrać się do roboty?

– A mam jakiś wybór?

– Nie, Corbett. Masz głównie, nie wybór. Zarozumiały palant z ciebie. Nienawidzę zarozumiałych palantów. I zabiłeś swoją żonę. Nienawidzę ludzi, którzy robią takie rzeczy. Gra dopiero się zaczyna, doktorku, zapamiętaj moje słowa. Załatwię cię na szaro. Dasz dupy, masz to jak w banku. Chodź, Graham. Zabieramy się do roboty.

Gruntowne przeszukanie wszystkich pomieszczeń zajęło Dickinsonowi dwie godziny. Gdy skończyli, Harry poczekał jeszcze parę minut, a potem nalał sobie filiżankę letniej kawy, wziął obwarzanka i usiadł przy swoim biurku. Wyciągnął karteczkę z portfela i zadzwonił do Maury Hughes.

– Panno Hughes, tu Harry Corbett, mąż Evie. Pamięta mnie pani?

– Jasne.

Nie bełkotała wprawdzie, ale miała zachrypnięty głos i mówiła niewyraźnie. Harry nie był pewien, czy znów nie pije.

– Jak się pani czuje? – zaryzykował.

– Bywało lepiej.

– Przykro mi to słyszeć.

– Ale bywało też znacznie gorzej.

– Czy była u pani policja?

– Nie.

– Właśnie wyszli ode mnie, więc podejrzewam, że mogą wkrótce zwrócić się do pani. We krwi Evie znaleźli lek, który ją zabił. Została zamordowana. – Po drugiej stronie panowała cisza.

– Ten porucznik, Dickinson, jest pewien, że ja to zrobiłem, a ja myślę, że to musiał być ten lekarz, którego pani widziała. – Nadal cisza. – Panno Hughes, słucha mnie pani?

– Mam na imię Maura. Oczywiście, słucham cię.

– Dobrze się czujesz?

– Chodzi ci o to, czy piję?

Harry wyobraził sobie Maurę Hughes siedzącą w szlafroku przy kuchennym stole w małym, zapuszczonym mieszkaniu, gapiącą się w pusty kieliszek i na wpół opróżnioną butelkę z likierem „Pocieszyciel Południa”. Przepelnił go smutek.

– Tak, chyba o to mi chodziło – powiedział. – Przepraszam, wiem, że to nie mój interes. Słuchaj, chciałbym się z tobą spotkać. To dla mnie ważne.

– Dlaczego?

– Ten gliniarz, Dickinson, chce mnie wsadzić za morderstwo. Właśnie przez parę godzin przeszukiwał mój gabinet na oczach moich pacjentów. Jedyne, co mnie powstrzymało przed rąbnięciem go w łeb, to wspomnienie, jak go nazwałaś. „Głęb”.

– Pamiętam.

– No więc nie aresztował mnie dotychczas tylko dlatego, że ktoś, sędzia albo prokurator okręgowy, a może jakiś przełożony Dickinsona, martwi się, że ten człowiek, którego widziałaś, a o czym twój brat napisał raport, naprawdę tam był.

– Był.

– Wiem. I właśnie dlatego muszę się z tobą zobaczyć. Muszę się jakoś dowiedzieć, kto to jest, a ty jesteś jedyną osobą, która to widziała.

Znów zapadła przedłużająca się cisza.

– Kiedy chcesz się ze mną zobaczyć? – zapytała wreszcie Maura.

– Nie wiem. Dzisiaj?

– Nie da rady.

– Więc jutro. – Zastanawiał się, czy nie dodać, że to będą jego pięćdziesiąte urodziny, ale uznał, że nie. – Mauro, posłuchaj, jeśli czujesz się zakłopotana swoją chorobą, to chciałbym powiedzieć, że przy mnie nie musisz.

– O wpół do ósmej – powiedziała ochryple. – Masz mój telefon, więc zakładam, że wiesz, gdzie mieszkam.

– Tak. Dziękuję, Mauro.

– Doktorze...?

– Tak?

– Nie obchodzi mnie to, co robię, i od dawna nie odczuwam z tego powodu zakłopotania. Ale skoro pytasz, to wyjaśnię, że mój głos może brzmieć tak, jakbym piła, bo właśnie obudziłam się z drzemki i jestem zaspana. Nie miałam w ustach alkoholu od czasu operacji.

– To wspaniale!

– Ale właśnie miałam się napić...

– Proszę, nie! – Rozpaczliwe naleganie w głosie Harry’ego nie było udawane.

Znów zapadła długa cisza.

– Chyba dam radę wytrzymać do jutra. Myślę, że tak naprawdę wcale nie chce mi się pić. Nudzi mi się po prostu.

– Brat mówił, że malujesz. Próbowalaś malować, odkąd wyszłaś ze szpitala?

– Prawdę mówiąc, nie. W ogóle niewiele działałam, kręcę się tylko po domu, przysypiam, użalam nad sobą i myślę o piciu.

– Słuchaj, zjedźmy jutro kolację na mieście. Wyrwiesz się na chwilę z domu. Tylko dzięki tobie chodzę jeszcze na wolności.

Jeśli rzeczywiście była w takiej depresji, jak to wynikało z brzmienia jej głosu, to nie zgodzi się, był pewien. Przeczował, że zastanawia się, jak mu odmówić.

– Strój wieczorowy obowiązuje?

– Niekoniecznie, jeśli nie masz ochoty. Ja najchętniej chodzę w dżinsach.

– W takim razie zgoda. Z przyjemnością.

Rozdział 16

Północ w dniu swoich urodzin Harry uczcił kieliszkiem szampana i torebką delicii czekoladowych „Famous Amos”. W ciągu ostatnich trzystu sześćdziesięciu pięciu dni nie zapadł na raka ani nie przejechał go autobus, ale mimo wszystko jego pięćdziesiąty rok był parszywy. A pięćdziesiąty pierwszy również nie zaczynał się obiecująco. Poużalał się trochę nad sobą, przeglądając album zdjęć ślubnych, a potem zażył swój niezawodny środek nasenny: przeczytał pół stroniczki „Moby Dicka”. Kapitan Ahab też miał kiepski rok.

O 5.45, gdy włączył się jego radio-budzik, nie spał już prawie od godziny i właśnie kończył swój zestaw ćwiczeń gimnastycznych, które wykonywał w te dni, kiedy nie biegał. Zawsze uprawiał jakiś sport: w szkole baseball, potem biegi przełajowe i koszykówkę na studiach. Nie miał predyspozycji, żeby zostać mistrzem w jakiejś dyscyplinie, ale lubił rywalizację i często wygrywał. Przez ostatnie dziesięć lat koncentrował się na tym, by nie poddawać się upływowi czasu. Właśnie zaliczył sześćdziesiąt pompek i ciągnął dalej do siedemdziesięciu pięciu, gdy zdał sobie sprawę, że całą swoją energię czerpie z ogarniającej go coraz silniej wrogości do Alberta Dickinsona.

Poprzedniego dnia wieczorem po powrocie do domu zastał w nim detektywa, przesłuchującego wraz z drugim policjantem Armanda Rojasa, dziennego portiera. Dickinson przerwał, gdy tylko Harry pojawił się w drzwiach, i okazał mu nakaz rewizji. Chcąc uniknąć w przyszłości takich wydarzeń jak z fałszywym dostawcą chińskiego jedzenia, Harry wręczył sute napiwki obu portierom w nadziei, że wzmożą czujność, ale mimo to prowadząc policjantów do mieszkania zastanawiał się, czy tajemniczemu lekarzowi nie udało się jakoś podrzucić mu paru fiolek metaraminolu. Podejrzewał również Dickinsona, że może się do czegoś takiego posunąć.

Doznał głębokiej ulgi, gdy półtoragodzinne przeszukanie spełzło na niczym. Z każdą bezowocną minutą Dickinson robił się coraz bardziej rozdrażniony – i tym bardziej uparty. Zanim wyszli, zdążył wielokrotnie powtórzyć, bluźniąc przy okazji kwieciście, jak to on da Harry’emu popalić.

Z głównej sypialni wychodziło się na loggię, na której można byłoby się opalać, gdyby była lepiej nasłoneczniona – niestety ocieniał ją sąsiedni blok. Po przeprowadzce Evie miała wiele planów z nią związanych, ale wkrótce je zarzuciła. Podobne loggie były na wszystkich piętrach, a z tych na samej górze rozciągał się wspaniały widok. Z czasem loggia stała się jednym z symboli ich niezbyt zamożnego życia i Evie przestała na nią wychodzić.

W końcu Harry wyniósł stamtąd krzesła, stolik i małą sofę, a na ich miejsce przytasczył materac do ćwiczeń, rower stacjonarny, hantle i dwunastocalowy telewizorek. Włączał poranne wiadomości i wykonywał swój cykl ćwiczeń z ciężarkami, mających na celu wzmocnienie mięśni grzbietu, poszarpanych pod Nha-trang.

Dziś pierwsza wiadomość dotyczyła pogłosek o niestosownych zachowaniach seksualnych prezydenta, a druga sprzeciwu republikanów, który omal nie doprowadził do utracenia rządowego projektu reformy ubezpieczeń zdrowotnych, nakładających nieprzekraczalne pułapy na wysokość odszkodowań. Na trzecim miejscu była informacja o morderstwie Evie.

– „Evelyn DellaRosa, redaktor działu konsumenckiego miesięcznika *Manhattan Woman* i żona znanego lekarza, doktora Harry’ego Corbetta, zmarła w zeszłym tygodniu z powodu wylewu krwi do mózgu w Centrum Medycznym »Manhattan«. – W tle za spikerką pokazano to samo co zwykle zdjęcie Evie, przekreślone ukośnie czerwonym napisem ZAMORDOWANA. – Według wiarygodnych źródeł policyjnych śmierć byłej królowej piękności i dziennikarki telewizyjnej nastąpiła wskutek zabójstwa...”

Harry odłożył hantle i przyklęknął, słuchając przytaczanych w skrócie ustaleń lekarza sądowego. W tle mignęło najpierw zdjęcie CMM, a potem zbliżenie buteleczki z nalepką „Aramina” ze strzykawką wbity w zakrętkę, i wreszcie pokazano fotografię samego Harry’ego sprzed dwudziestu lat, wygrzebaną gdzieś w archiwum *Timesa*.

– „Według źródeł policyjnych jedynym podejrzanym w toczącym się śledztwie jest małżonek zamordowanej, lekarz ogólny zatrudniony w szpitalu, w którym umarła – mówiła spikerka. – Według informatorów doktor Corbett, odznaczony Srebrną Gwiazdą za odwagę w Wietnamie, był ostatnią osobą, która odwiedziła chorą przed wylewem. Policja twierdzi, że państwo Corbett przeżywali kryzys małżeński, ale w obecnej chwili brak dalszych szczegółów...”

Harry ukrył twarz w dłoniach. Od zmęczenia i potu piekły go oczy. Dickinson nie rzucił słów na wiatr i Harry nic na to nie poradzi, może jedynie starać się nie stracić zimnej krwi w tym piekle, które za chwilę się rozpęta. Dokładnie w tej chwili zaczął dzwonić telefon. Był to Rocky Martino, nocny portier. W hallu na dole czeka ekipa telewizyjna – chcą się widzieć z Harrym w sprawie morderstwa jego żony.

– Powiedz im, że nie udzielam wywiadów – oświadczył – i sam im nic nie mów. Absolutnie nic. Czy mogę się wydostać z budynku przez te metalowe drzwi w kotłowni...? Dobrze. Rocky, wierz mi, nie zrobiłem nic Evie... Dziękuję. Dziękuję ci. Pamiętaj, jeśli chcesz mi pomóc, to nie mów im nic, nawet w najlepszej wierze.

Ledwie odłożył słuchawkę, telefon zadzwonił znowu. Tym razem był to jego brat. Przed pogrzebem Evie Harry zwierzył się Philowi ze swoich kłopotów z Sidonisem i Dickinsonem. Phil zaproponował, że skontaktuje go z najlepszym adwokatem, ale Harry uznał, że to na razie niepotrzebne.

– Oglądałeś telewizję?

– Właśnie.

– No i jak?

– A jak myślisz?

– Kiedy się dowiedziałeś o tym specyfiku we krwi Evie?

– Wczoraj po południu. Przyszli do mnie i zrobili rewizję w gabinecie. A wieczorem

przeszukali mieszkanie.

– Zakładam, że nic nie znaleźli. Harry, trzeba było zadzwonić, kiedy się tylko pokazali w twoim biurze. Wezwałbym mojego znajomego, Mela. To najgorszy skurwiel, jakiego ziemia nosiła, i poradzi sobie ze wszystkim. Mam do niego zadzwonić?

– Skąd go znasz?

– Co roku kupuje u mnie nowego mercedesa, odkąd robię w tej branży. W tym roku kupił sześćsetkę SEL. To największy model, czarny. Zanim wybierzesz adwokata, zawsze sprawdź, czym jeździ. Nie jego dyplomy, a samochód. Oczywiście Mel trochę cię będzie kosztował. Zaliczka wyniesie jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć patyków. Harry’ego zamurowało.

– Chyba się muszę zastanowić – wykrztusił po chwili.

– Ale nie za długo. Aha, Harry...

– Tak?

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Następny telefon był od Mary Tobin. Harry zapewnił ją, że będzie dziś normalnie w gabinecie, i polecił, żeby skreślała pacjentów, którzy odwołają wizyty albo nawet będą chcieli w ogóle zrezygnować z jego opieki. Rocky, potem Phil, teraz Mary – a było dopiero wpół do siódmej. Podziękował w duchu Evie, że nalegała, by ich numer był zastrzeżony.

Ściągnął dres i czekał, aż z prysznicza zacznie lecieć ciepła woda, gdy telefon zadzwonił znowu. Tym razem postanowił nie odbierać, była włączona automatyczna sekretarka. Przykręcił wodę, żeby usłyszeć, kto dzwoni.

– „Halo, tu telefon Evie i Harry’ego... – odezwał się głos Evie. Słuchał go z goryczą i pewną niezdrową fascynacją. Przed wyjściem do pracy muszę nagrać nowy komunikat, pomyślał.

– Doktorze Corbett, mówi Samuel Rennick. Jestem głównym radcą prawnym szpitala. Jeśli słyszy mnie pan, proszę podnieść słuchawkę...

Harry oparł się o framugę drzwi łazienki. Para spod prysznicza zaczęła wypełniać ciasne pomieszczenie. Szlag by trafił tego Dickinsona, pomyślał.

– ... wobec tego zostawię wiadomość i będę pana próbował złapać w szpitalu. – Prawnik znów przerwał, jakby wiedział, że Harry słucha. – Doktor Erdman chciałby się z panem spotkać w sprawie tych dzisiejszych rewelacji. W jego gabinecie, o dziesiątej. Jeśli godzina panu nie odpowiada, proszę zadzwonić do jego sekretarki. Poprosił także o przybycie mnie, doktora Lorda z działu personalnego, doktora Josephsona, który pełni obowiązki ordynatora pańskiego oddziału, i pana Atwatera z dyrekcji Zespołu. Będę w biurze od ósmej. Proszę się ze mną skontaktować. Dziękuję”.

Owen Erdman, endokrynolog z dyplomem Harvardu, gorliwy działacz, szefował CMM od prawie dziesięciu lat i to za jego prezesury nastąpiło przekształcenie podrzędnego szpitalika o wiejskiej opinii w potężną instytucję. Największym jego osiągnięciem było przyłączenie CMM do Zespołu Opieki Zdrowotnej „Manhattan”, Harry jednak wiedział, że takie alianse między instytucjami medycznymi są kruche jak wiosenny lód, a na lojalność można liczyć dopóty,

dopóki to się każdej ze stron opłaca.

Szpitalna poczta pantoflowa doniosła, że jego małe zwycięstwo dotyczące ostatniej propozycji komitetu Sidonisa nie było dobrze widziane przez Erdmana. Dzisiejsze rewelacje z pewnością dopełniły miary. Harry szybko skończył prysznic i zadzwonił do brata.

- Phil, postanowiłem przyjąć twoją propozycję w sprawie tego adwokata.
- Poszedłeś po rozum do głowy.
- Lepiej późno niż wcale.

Zaliczka dla mecenasa Mela Wetstone'a „z dwudziestoprocentowym rabatem, po znajomości” rzeczywiście wyniosła dwadzieścia tysięcy dolarów, przy stawce trzysta pięćdziesiąt dolarów za godzinę. Harry postanowił wziąć kredyt na tę kwotę pod zabezpieczenie funduszu emerytalnego, żeby nie zlikwidować wszystkich swoich oszczędności. Spotkał się z Wetstone'em w salce konferencyjnej oddziału medycyny rodzinnej na siódmym piętrze skrzydła A gmachu CMM. Wetstone był czterdziestolatkiem z jakimiś pięcioma kilogramami nadwagi i rzednącymi czarnymi włosami, które wyglądały, jakby je chirurgicznie zagęszczano. Miał świszczący oddech. Poganiany świadomością, że licznik bije w tempie trzystu pięćdziesięciu dolarów za godzinę, Harry zrelacjonował mu szczegółowo wszystkie wydarzenia ostatnich tygodni, w tym incydent na Village. Adwokat słuchał z uwagą, z rzadka tylko przerywając jakimś pytaniem.

– A więc – podsumował, kiedy Harry skończył – sprawa polega na tym, że pan nie zrobił nic złego, ale wszyscy myślą, że pan zrobił. Moje zadanie polega na tym, żeby nie dopuścić, by stała się panu krzywda. Jak pan uważa, o co będzie chodziło na tym spotkaniu?

– Nie bardzo wiem. Ale ostatnio wypowiadałem pewne poglądy, których nie podziela kierownictwo szpitala. Teraz przeze mnie zrobi się wokół szpitala szum. Nie sądzę, żeby w tej chwili chcieli mnie wykopać, chociaż kto ich wie. Ale prawdopodobnie poproszą mnie, żebym poszedł na bezpłatny urlop, dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

– A ma pan na to ochotę?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Więc naszym celem będzie niedopuszczenie do tego, by pana wyrzucono z pracy. Mówił mi pan o Erdmanie. Sama Rennicka znam. Kim są ci pozostali?

– Bob Lord jest szefem personelu medycznego. To chirurg ortopeda. Ma mi za złe, że walczyłem o to, by nie pozbawiono lekarzy ogólnych prawa do zakładania unieruchomień gipsowych przy prostych złamaniach bez przemieszczenia. Wolalby, żeby takie przypadki również odsyłało do specjalisty. Jest zaprzyjaźniony z kardiologiem, z którym związała się moja żona. Nie wyobrażam sobie, żeby wziął moją stronę w jakiegokolwiek sprawie. Ale Josephson i Atwater to moi najlepsi przyjaciele. Steve Josephson pełni obowiązki ordynatora oddziału medycyny rodzinnej w zastępstwie Grace Segal, która jest na urlopie macierzyńskim. Atwatera i mnie łączy zainteresowanie jazzem. Od czasu do czasu chodzimy razem do klubów, poza tym często przychodzi posłuchać, jak gram.

Spodziewał się normalnych w tej sytuacji pytań: Ach, gra pan? A na czym? Czy zawodowo? Gdzie? – ale Wetstone w milczeniu uporządkował notatki i wstał.

– Chcę pogadać z Samem Rennickiem, zanim tam wejdziemy – powiedział. – Zostawiłem mu wiadomość, żeby do mnie zadzwonił, jednak nie odezwał się.

– Mówił pan, że się znacie. Może się pana boi?

Wetstone skrzywił twarz w uśmiechu, ale jego oczy pozostały chłodne.

– Nie wiem. Ale powinien się bać.

Gmach Alexandra miał piętnaście pięter. Winda jadąca w dół była prawie pełna, gdy dotarła na siódme. Zanim znalazła się na parterze, była nabita. Tabliczka na ścianie ostrzegała przed kieszonkowcami i Harry niemal odruchowo przełożył portfel z tylnej kieszeni spodni do wewnętrznej w marynarce. Pomyślał, że w obskurnym prowincjonalnym szpitaliku, w którym z pewnością wyląduje, nie ma takiego tłoku i kieszonkowców w windzie. Ale wątpił, czy w ogóle znajdzie się jakiś obskurny szpitalik, w którym będą go chcieli przyjąć do pracy.

Salka konferencyjna przylegająca do biura Owena Erdmana była wyposażona w długi stół z drewna wiśniowego na wysoki połysk, z zaokrąglonymi rogami i inkrustowanym godłem CMM pośrodku. Do kompletu dwanaście krzeseł o wysokich oparciach, każde z miniaturowym godłem na górnej poręczy. Harry był w tej sali parę lat temu, ale tego znakomitego zestawu jeszcze tu wtedy nie było. Przez chwilę zastanawiał się, ile to mogło kosztować, ale stwierdził, że nie potrafi tego odgadnąć. Evie by wiedziała, pomyślał. I to pewnie co do dolara.

Steve Josephson, Doug Atwater i Bob Lord już czekali.

– Jak leci? – spytał Steve.

Harry wzruszył ramionami, co miało oznaczać: A jak ci się wydaje?

– Domyślasz się, kto mógł to Evie zrobić? – zapytał Doug.

– Nie bardzo – odparł Harry, powstrzymując się od dalszych wypowiedzi.

Wetstone go ostrzegł, by nie zwierzał się nikomu ze swoich przypuszczeń, nawet sojusznikom.

„Pamięta pan z dzieciństwa zabawę w głuchy telefon? – zapytał. – Niezależnie od wszelkich dobrych intencji w momencie, gdy wypowiedziane słowa wpadną w czyjeś uszy, zaczyna się przemiana ich znaczenia”.

Mimo ostrzeżeń Wetstone’a Harry nie zawahałby się przed wyznaniem Atwaterowi i Josephsonowi szczegółów sekretnego życia Evie, gdyby nie to, że był z nimi Bob Lord. Zapadła chwila pełnej skrzepowania ciszy, dopóki nie wszedł Erdman z radcą prawnym. Była wraz z nimi pani Hinkle, rzecznik prasowy szpitala. Ściskając jej dłoń Harry miał wrażenie, że trzyma w ręku lodu na patyku.

– Doktorze Corbett – zagaił Sam Rennick – może zechciałby pan przedstawić nam swoją wersję wypadków, począwszy od dnia, w którym zmarła pańska żona.

– Chwileczkę, Sam – wtrącił się Wetstone. – Myślałem, że ustaliliśmy, jakich reguł będziemy tu przestrzegali...

Czując dziwne wyobcowanie Harry przysłuchiwał się, jak dwóch prawników, których jeszcze wczoraj wcale nie znał, roztrząsa jego sytuację. Od czasu do czasu odzywał się ktoś z pozostałych. Parę razy zabrał głos sam. Ale wszystko to dochodziło do Harry'ego jakby z oddali, znaczenie słów gdzieś się gubiło. Cała ta sytuacja to czysty surrealizm, pomyślał. Zastanawiał się, ile godzin spędzi przy takich prawniczych dysputach. Znalazł się właśnie „po drugiej stronie lustra” – w świecie, w którym wszystko, choćby nie wiem jak dziwaczne czy nielogiczne, było możliwe.

Jego myśli powędrowały ku pacjentom. Przypomnił sobie Melinę Oliver, nastolatkę, której ciężką mononukleozę udało mu się zdiagnozować i wyleczyć w ciągu paru dni, tak że mogła pójść na swój bal maturalny. Leczenie zawsze wydawało mu się prostym zadaniem. A tu – prawnicy, kierownicy, specjaliści od public relations...

– Absolutnie się nie zgadzam – ostry głos Douga Atwatera wdarł się w rozmyślenia Harry'ego. – Przedstawiłem już sprawę dyrektorowi naczelnemu Zespołu, a on rozmawiał z dyrektorem do spraw medycznych i pozostałymi członkami dyrekcji. Nigdy nie było żadnych zażaleń na doktora Corbetta. Nie widzimy żadnych przeszkód, żeby nadal pełnił...

– Ale opinia publiczna może...

– Nie chciałbym być nieuprzejmy, Barbaro – przerwał Doug pani Hinkle – ale musimy stanowczo oświadczyć w imieniu zarządu szpitala, że skoro doktorowi Corbettowi nie postawiono dotąd formalnie żadnych zarzutów, my, jako szpital...

Harry nie słuchał dalej. Sięgnął do prawej kieszeni marynarki po pióro. Nie znalazł go, ale zamiast tego poczuł przedmioty, których tam nie było, gdy rano wkładał marynarkę. Powoli zacisnął na nich dłoń, wyjął je z kieszeni i położył na kolanach.

– A więc uzgodnione – mówił Mel Wetstone. – Szpital popiera członka swojego personelu, który nie jest o nic oskarżony. Doktor Corbett natomiast powstrzyma się od wszelkich publicznych oświadczeń, nie uzgodnionych z panią Hinkle. Jego wszystkie prawa i przywileje w tym szpitalu pozostaną nie naruszone. Czy to panu odpowiada, doktorze Corbett? Doktorze Corbett?!

– Co? Tak. Dziękuję. Doskonale – mruknął Harry.

Z trudem oderwał uwagę od swoich kolan. Leżał na nich jego zegarek i klucze Evie, których nie znalazł, gdy ocknął się w mieszkaniu Desiree. W którymś momencie dziś rano, prawdopodobnie w zatłoczonej windzie, podrzucił mu je morderca Evie. Miały stanowić memento, ostrzeżenie, żeby uważał, co mówi i komu. Ale była jeszcze inna możliwość, bardziej przerażająca: że morderca jego żony zrobił to dla zabawy, że igra sobie z nim.

– Słucham...? – zapytał Wetstone.

– Przepraszam – odparł Harry, zdając sobie sprawę, że znów stracił wątek.

– Powiedziałeś przed chwilą: „Nie pójdzie wam tak łatwo”. Co to miało znaczyć?

– Ach, nic. – Harry wsunął zegarek i klucze z powrotem do kieszeni. – Nic ważnego.

Śmierć dziennikarki okazuje się morderstwem

Kevin Loomis nie mógł oderwać wzroku od tego tytułu w *Timesie*. Fotografia Evelyn DellaRosa była ta sama, co przy nekrologu. Znów próbował przekonać samego siebie, że jej podobieństwo do Desiree jest przypadkowe, ale w głębi duszy wiedział, jaka jest prawda. Półtora miesiąca temu, nie mając na sobie nic poza biustonoszem i majteczkami, klęczała nad nim okraciem, rozmasowując mu plecy i wypytując go w najbardziej uwodzicielski i rozbrajający sposób o jego najbardziej osobiste sprawy.

Przeczytał artykuł. Ręce tak mu się trzęsły, że z trudem utrzymywał w nich gazetę i musiał położyć ją na stole. Na ostatnim spotkaniu Okrągłego Stołu uznano, że Desiree nie stanowi już żadnego poważnego zagrożenia dla bractwa. Ale parę dni później została zamordowana w szpitalnym łóżku. Głównym podejrzanym jest jej mąż, lekarz, nie aresztowano go jednak. Może dlatego, że jej nie zabił, pomyślał Kevin.

Zrobiło mu się słabo. Gazety, a przeczytał dziś prawie wszystkie, pisały o kłopotach małżeńskich Corbettów. W *Daily News* w zawołowany sposób wspomniano o kochanku Evelyn DellaRosa. Desiree, czy kimkolwiek do diabła była, została zamordowana przez swojego męża.

Kevin nie pamiętał ani jednego zakrętu z drogi do gmachu „Korony”. Zaparkował w podziemnym garażu na zarezerwowanym dla niego miejscu i pojechał windą do swojego biura na trzydziestym pierwszym piętrze. Brenda Wallace czekała już na niego.

– Przed chwilą dzwoniła pańska żona, panie Loomis – i oświadczyła. – Powiedziała, że bank zgodził się przenieść hipotekę na ludzi, którzy kupują państwa dom, i zatwierdził kredyt na dom w Port Chester.

W drzwiach za nią stanął Burt Dreiser, puścił do Kevina oko i zrobił kciukiem gest „okay”. Jego mina nie pozostawiała wątpliwości, że odegrał pewną rolę w przyspieszeniu formalności.

„Potrafię znajdować wyjście z trudnych sytuacji” – powiedział wtedy na jachcie.

– Podpisanie umowy jest zaplanowane na środę – relacjonowała dalej Brenda. – Pani Loomis powiedziała, żeby pan do niej zadzwonił. Będzie w pracy do piątej. Powiedziała, że to będzie drugi po ślubie najpiękniejszy dzień w jej życiu.

Rozdział 17

Mieszkanie Maury Hughes mieściło się przy Upper West Side, niedaleko Morningside Park. Harry poszedł tam na piechotę. Miał nadzieję, że Maura dotrzyma obietnicy i będzie trzeźwa. Praktykując w ubogiej dzielnicy, stykał się z chorobą alkoholową w jej najbardziej zjadliwej, śmiertelnej formie, ale także i w innych jej najrozmaitszych odmianach. Nie było przesady w stwierdzeniu, że widział więcej tragedii spowodowanych przez butelkę niż podczas swojego półtorarocznego pobytu w Wietnamie. Jednak świadomość, że jego przyszłość zależy od kobiety, która niemal zapłała się na śmierć, nie napawała go szczególną otuchą. Nawet trzeźwa nie była zbyt wiarygodnym świadkiem. Jeśli pójdzie w cug, jej wiarygodność spadnie do zera.

Zeznanie Maury w sprawie tajemniczego doktora i brak wskazujących na Harry'ego dowodów rzeczowych dotyczących metaraminolu spowodowały, że Dickinsonowi odmówiono wydania nakazu aresztowania. Ale Mel Wetstone był zdania, podobnie jak Dickinson, że kierując się poszlakami wielka ława przysięgłych wystąpi jednak do sądu o akt oskarżenia. Adwokat sprawiał wrażenie podekscytowanego perspektywą obrony Harry'ego przed sądem. Seks, zdrada, pieniądze z ubezpieczenia, sekretne życie pięknej dziennikarki, prostytutka, tajemnicza trucizna, lekarze... gwiazda telewizyjnego cyrku za jedyne trzysta pięćdziesiąt dolarów za godzinę.

Przechodząc koło kwaciarni Harry pomyślał, czy nie kupić bukietu, jednak po chwili uznał, że mogłoby to doprowadzić do nieporozumienia. Wprawdzie Maura Hughes wydawała się nim zainteresowana jedynie w charakterze ewentualnego dostawcy flaszki „Pocieszyciela Południa”, ale nieprzyjemne doświadczenia z pacjentami, którzy mylnie interpretowali jego niektóre posunięcia, nauczyły go ostrożności. Kiedyś narobił sobie kłopotów z powodu jednego telefonu po godzinach pracy do zadurzonej w nim pacjentki, czego kompletnie nie podejrzewał. Innym razem była to długa nocna rozmowa z młodym pacjentem przy jego łóżku.

Zdecydował się wreszcie na bombonierkę czekoladek z miętowym nadzieniem. Jeśli Maura stanowiła typowy przykład osoby w początkach trzeźwienia, to pociąg do alkoholu powinien przekształcić się u niej w apetyt na słodczyce.

Im bardziej zbliżał się do kwartału Maury, tym bardziej elegantsze stawały się domy. Dochodziło wpół do ósmej, ale wieczór był ciepły, bezchmurny i było dość jasno. Harry zatrzymał się przy placu zabaw, gdzie grupa dzieciaków – czarnych i białych – grała w kosza na popękany asfaltowym boisku. Mieli po jedenaście – dwanaście lat i nie grali jeszcze w drużynach, ale przyjemnie było na nich popatrzeć. Harry czuł, że napięcie tego potwornego dnia powoli z niego opada. Jedyne jaśniejszy punkt to uwieńczone sukcesem wysiłki Atwatera, by pozostawiono go, przynajmniej tymczasowo, w szpitalu, a także wyrazy wsparcia ze strony pacjentów.

Nie bardzo wiedział, czego się może spodziewać po Maurze Hughes, lecz z przyjemnością

myślał o spędzeniu czasu w jej towarzystwie. Oprócz jednego wieczoru, gdy poszedł grać do „CC”, wszystkie pozostałe od śmierci Evie spędził samotnie.

Sześć szerokich betonowych schodów prowadziło do rzeźbionych mahoniowych drzwi czteropiętrowej kamienicy. Okna wysokiej sutereny chronione były kutymi kratami i Harry pomyślał, że tu właśnie mieszka Maura. Zdziwił się, kiedy znalazł jej nazwisko przy najwyższym przycisku dzwonka. Nacisnął go, przedstawił się przez domofon i pchnął drzwi usłyszawszy brzęczenie automatycznego zamka.

– Ze schodów na wprost – powiedziała Maura przez głośnik.

Jej głos brzmiał czysto i przebijająco w nim ożywienie. Dobra nasza, pomyślał Harry. Wspiął się po schodach z lżejszym sercem. Potrzebował dziś towarzystwa, ale niańczenie alkoholika w trakcie pijackiego ciągu w żadnym razie nie należało do jego ulubionych sposobów spędzania czasu.

Maura stała w otwartych drzwiach mieszkania. W szpitalu wydała mu się raczej niska, tymczasem musiała mieć ponad metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, trzymała się po królewsku i miała zgrabną, smukłą sylwetkę. Była w spranych dżinsach, obszernej flanelowej koszuli i tenisówkach. Na głowie miała biały turban, a w uszach duże kolczyki – kolorowe emaliowane płatki, połączone zmyślnie ogniwkami – które mieniły się przy każdym poruszeniu głową. Sprawiała wrażenie skrupowanej. Jej szczupła i gładka dłoń była chłodna. Z wyjątkiem okrycia głowy nic Harry’emu nie przypominało o jej pobycie w szpitalu.

Wręczył jej czekoladki. Podziękowała mu z bladym uśmiechem, w którym było więcej smutku niż wesołości.

– Proszę wejść.

– Piękne kolczyki.

– Dziękuję. Sama je zrobiłam.

Harry podążył za nią do pokoju dziennego, rozległej przestrzeni, która musiała mieć z osiemdziesiąt metrów kwadratowych. Pomieszczenie było wysokie, rozjaśnione niewidocznymi źródłami światła, niewątpliwie zaprojektowane przez dobrego architekta wnętrz. Gdzie te ciasne, ciemne dwa pokoiki w bloku bez windy, które sobie wyobrażał?

– Zaskoczony? – zapytała Maura.

Harry kiwnął głową i pokazał na ściany, wypełnione obrazami. Były to głównie płótna olejne, ale także akwarele i kolaże. Niektóre były realistyczne, jednak większość stanowiły abstrakcje. Dynamiczne światy kolorów i kształtów, zorganizowane przestrzennie lub w absolutnym chaosie. Harry nigdy nie uważał się za znawcę sztuki, ale był na nią wrażliwy. Wyczuwał w tych obrazach rozwibrowaną żywotność i gniew.

– To niewiarygodne – powiedział.

– Dziś już tak nie maluję. Chociaż chciałabym.

– To wszystko pani?

– Nawet pijacy potrafią to i owo – powiedziała zgryźliwie.

- Przepraszam, jeśli to źle zabrzmiało. Nie miało. Te obrazy są naprawdę wspaniałe.
- Dzięki. Napije się pan czegoś? Coli? Wina?
- Cola będzie w sam raz.

Ledwo powstrzymał się, by nie zwrócić jej uwagi na niebezpieczeństwo trzymania alkoholu w domu. Poszedł za nią do kuchni. Była mała, ale zaprojektowana przez kogoś, kto znał się na gotowaniu. Na lewo zobaczył drugie ogromne pomieszczenie, w którym stało kilka sztalug i leżały stopy blejtramów – z wielkim świetlikiem w suficie. W głębi, obok wypełnionego książkami regału, który sięgał od podłogi do sufitu, stało łóżko Maury w otoczeniu palm i fikusów.

– Przepraszam, jeśli wyglądam na zdenerwowaną – powiedziała napełniając szklanki odwrócona do niego plecami – ale jestem w kiepskiej formie. Chyba powinnam była zadzwonić i odwołać to spotkanie.

Wręczyła mu szklankę, poprowadziła z powrotem do pokoju dziennego i posadziła na sofie. Na szklanym blacie stolika leżał *Times*, otwarty na artykule o Evie. Harry pokazał na gazetę.

- Gdybym się umówił z podejrzanym o morderstwo, też byłbym trochę zdenerwowany.
- Wie pan, że nie o to chodzi. Oboje wiemy, że pan nie podał tego leku żonie.
- No to o co chodzi?
- Doktorze Corbett, niech pan powie wprost, po co pan tu przyszedł.
- Proszę mówić mi Harry. Kiedy kończę pracę, przestaję być doktorem Corbettem.
- A skończył pan?
- Co skończył?

– Pracę. Doktorze Corbett... Harry... brat mi mówił, że jesteś ekspertem od alkoholizmu i że znasz ludzi, którzy mi pomogą, zabiorą mnie na mityng AA, i tak dalej. Jeśli przyszedłeś tu, żeby mnie wyciągać z bagna, to sądzę, że zaoszczędzę nam obojgu Czas, jeśli powiem, że jestem w nastroju do pogrążania się i nie mam ochoty, by mnie ktokolwiek wyciągał.

– Nie wiem, co ci powiedział brat, ale nie jestem ekspertem od niczego, może z wyjątkiem opieki nad chorymi ludźmi.

- A więc nie dlatego tu przyszedłeś? Nie po to, żeby mnie powstrzymać od picia?
- Tego nie powiedziałem. Ale jeśli byłaś pewna, że przychodzę do ciebie, żeby cię „wyciągać z bagna”, jak to określiłaś, to dlaczego się zgodziłaś?
- Bo wczoraj, głęboko w duszy, nie chciałam pić. Dzisiaj jednak chcę.

Harry poczuł, jak między nimi wyrasta mur. Albo coś popsuł od samego początku, albo to ona chce zwalić na niego winę. Jeśli spróbuje zataić swoje motywy, Maura natychmiast się zorientuje. Jeśli powie jej prawdę albo spróbuje ją w jakikolwiek sposób przekonywać, prawdopodobnie nawet nie dopije do końca swojej coli.

– Przyszedłem do ciebie, bo tkwię po uszy w kłopotach – powiedział wreszcie. – Pewien gliniarz chce mnie za wszelką cenę wsadzić do kryminału, a w szpitalu gimnastykują się, próbując bezkarnie wylać mnie na bruk. Jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc. Nie mam

pojęcia, kim był ten człowiek, którego widziałaś przy łóżku Evie, ani dlaczego ją zabił. Ale ten ktoś mógł zabić i mnie, jednak nie zrobił tego. Myślę, że mnie oszczędził, bo jest pewien, że policja mnie aresztuje. Wypuścił mnie, bo sądzi, że nie mam żadnych atutów w ręku. Ale ja mam – i to dwa. Jednym jesteś ty, bo widziałaś jego twarz, a drugim ja, bo słyszałem jego głos.

– I wiesz, że jeśli zacznę pić, stanę się dla ciebie bezużyteczna – stwierdziła Maura.

– Ostatnim razem omal nie zapiłaś się na śmierć. Potrzebuję cię żywej.

Przyjrzała mu się badawczo.

– Mam ochotę się napić – oświadczyła.

– Wiem – odparł ze współczuciem. – Ja też mam ochotę zwać od tego wszystkiego i znaleźć się w ciepłych krajach, gdzie rozliczenia prowadzi się w muszelkach i gdzie nikt nie słyszał o oskarżeniach o błąd w sztuce, o zespołach opieki zdrowotnej i wielkich ławach przysięgłych. Ale nie zrobię tego.

Maura otworzyła bombonierkę, włożyła jedną miętową czekoladkę do ust i zamknęła oczy.

– Wiesz o tym apetycie na słodycze... – mruknęła.

Harry wyczuł, że mur na chwilę przestał rosnąć.

– Ale z tego nie wynika, że jestem ekspertem – powiedział.

Maura rozkoszowała się drugą czekoladką.

– Dziesięć albo jedenaście tysięcy kalorii dziennie w cukierkach i batonikach, a nie przytyłam ani grama. Wyobraź sobie!

– Szczęściara! Mnie wystarczy spojrzeć na słodycze i muszę luzować pasek o jedną dziurkę.

Maura prawie roześmiała się. Prawie. Harry czekał. Wyciągnęła rękę do bombonierki, ale nie wzięła następnej czekoladki. Zamknęła pudełko. Wiedział, że właśnie się zastanawia, jak mu powiedzieć, żeby dał spokój i poszedł sobie. I jeśli to powie, będzie musiał sobie pójść. A ona zaleje się w ciągu najbliższej godziny.

– Przepraszam, że sprawiam ci kłopot – powiedziała wreszcie. – Chyba jesteś teraz jedyną przeszkodą, która stoi między mną a butelką „Pocieszyciela Południa”, którą trzymam w kuchni.

– Jedyną przeszkodą, która stoi między tobą a butelką, jesteś ty sama, Mauro. Tego jestem pewien. I może dzięki tej pewności rzeczywiście jestem ekspertem.

W ciszy, która zapadła, Harry poczuł, że mur, który stał między nimi, rozpada się. Tylko nic już nie mów! – prosił samego siebie. Nie ma tu już nic do dodania. Jeszcze trochę, a ona znów się odwróci. Ani słowa więcej. Ani jednego słowa...

– Jak ci się podoba ten turban? – spytała nagle Maura. – Bardzo źle się czuję z krótkimi włosami. Próbowałam peruki, ale wyglądałam w niej idiotycznie.

– Jak Dickinson...

– Słucham?

– Albert Dickinson. Załatwiłaś go na szaro, gdy mu powiedziałaś, że wygląda jak główka sałaty. Pamiętasz?

Ale chyba nie pamiętała.

– Ach tak – powiedziała bez przekonania. – Myślisz, że ten turban jest ohydny. Myślisz, że powinnam go zdjąć?

– Zrobisz, jak uważasz.

– I pójdziesz ze mną na kolację? Będziesz miał odwagę pokazać się z taką roztrzęsioną, ogoloną cipą, która bez przerwy ssie cukierki albo rodzynki w czekoladzie?

– Oczywiście.

Ściągnęła turban i rzuciła go pod ścianę. Jej rudawe włosy już trochę odrosły, ale bliznę po operacji było nadal widać.

– Nie gap się na mnie – burknęła.

Harry gapił się rzeczywiście, ale tylko dlatego, że pierwszy raz zobaczył jej twarz. Obrzęki i siniaki zniknęły. Miała gładką, jasną cerę, z delikatnym naturalnym rumieńcem i kilkoma piegami. Jej zielone oczy zdawały się świecić własnym, wewnętrznym światłem. Wargi miała pełne i zmysłowe. Harry poczuł, że zaschło mu w ustach.

– Myślę... myślę, że wcale nie musisz nosić turbanu – wykrztusił.

– W porządku, zapomnijmy o nim. Jeśli podtrzymujesz zaproszenie, to uwielbiam kuchnię indyjską.

– Ja też, a na dodatek znam dobrą knajpę, w której serwują indyjskie dania.

Rozejrzał się po pokoju i zdał sobie sprawę, że dwa czy trzy spośród wiszących na ścianie portretów przedstawiały Maurę. To były dobre obrazy. Bezdyskusyjnie. Ale żaden z tych portretów nie uchwycił nawet cienia uroku i aury tajemniczości, emanujących z kobiety, którą widział naprzeciwko.

– Z ciebie jest naprawdę sympatyczny gość – powiedziała Maura. – Chciałabym ci pomóc.

Sięgnęła po kurtkę wiszącą na oparciu krzesła i zarzuciła ją na siebie.

– Harry, czy już ktoś ci mówił, że jesteś podobny do... czekaj, niech się zastanowię... ach tak, już wiem... do Gene Hackmana?

Harry spojrział na nią zdezorientowany, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nie pamiętała!

– Hm, tak... mówił mi to już ktoś.

– Żona?

– Nie, ktoś inny. Słuchaj, Mauro, chciałem o tym pogadać dopiero po kolacji, ale może mogłabyś mi powiedzieć, jak ten tajemniczy lekarz wyglądał? Opisywałaś go bratu.

Maura zmrużyła oczy z zakłopotaniem.

– Wiesz, pamiętam tylko, że ktoś wszedł do pokoju. Tak mi się wydaje. Ale to wszystko.

– Nie możesz sobie przypomnieć jego twarzy?

Spojrzała na niego smutno i pokręciła głową.

– Harry, nic z tamtego wieczoru nie pamiętam. Nic a nic.

Rozdział 18

– Popatrz, jak ten szczeniak strzela! – zawołał Harry. Stał przy siatce otaczającej boisko do koszykówki. – Ten mały, w koszulce Knicksów.

Niski chłopak, zwinniejszy od pozostałych graczy, jakby na zamówienie ułokował piłkę w koszu z odległości ponad sześciu metrów.

– Wspaniale! – skomentowała Maura.

Przyglądali się grze jeszcze przez parę minut, a potem ruszyli Manhattan Avenue w stronę Central Parku.

– Chcesz się przejść pieszo? – zapytał Harry.

– Czemu nie? Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale przed tym wypadkiem na schodach byłam niezłą biegaczką.

– No to się przejdźmy.

Harry opowiedział o swoich nieustannych wysiłkach, żeby utrzymać się w dobrej kondycji.

– Jestem ci bardzo wdzięczna, że nie przyciskasz mnie w sprawie tego lekarza w szpitalu – powiedziała Maura.

– Porozmawiamy o tym później.

– Okropnie mi przykro, jednak naprawdę nie mogę sobie przypomnieć, jak ten facet wyglądał. Nie myślałam o tym, bo w ogóle nie chciałam wspominać pobytu w szpitalu. Teraz chciałabym sobie przypomnieć, ale moja pamięć jest dziurawa jak szwajcarski ser. Niektóre rzeczy pamiętam doskonale, a inne...

– Pamiętasz kolegę swojego brata, Lonniego? Przyszedł tamtej nocy do pokoju. Ma przyzwisko Dweeb.

– Murzyn, prawda?

Harry przytaknął.

– Pamiętasz, jak był ubrany?

– Miał coś na głowie. Czapkę...

– Dobrze. Co jeszcze?

Przez chwilę wpatrywała się w przestrzeń.

– Nie pamiętam. Przykro mi, Harry, ale naprawdę nic nie pamiętam. To zupełnie tak, jakbym próbowała sobie przypomnieć, kto siedział ze mną w tej samej ławce w szkole podstawowej. Potrafię przywołać jakieś mgliste obrazy, nawet przypominam sobie sukienkę, którą nosiła nauczycielka, ale nie pamiętam żadnych innych szczegółów.

Harry przypomniał sobie, jak szybko zauważyła jego znaczek od Jennifer i treskę Dickinsona, jak żywo reagowała podczas wizji lokalnej z Dweebem. Wyspecjalizowany obszar kory mózgowej, który steruje świadomością, funkcjonował tamtej nocy normalnie, ale zdolność

przechowywania informacji, a może tylko odszukiwania jej wśród innych, najwyraźniej była uszkodzona.

– Nic dziwnego – powiedział, mając nadzieję, że w jego głosie nie słychać zawodu. – Wstrząs mózgu, operacja, alkohol, zespół abstynencyjny, leki... biorąc to wszystko pod uwagę i tak nieźle sobie radzisz.

– Przykro mi – powtórzyła. – Będę się starała sobie przypomnieć. Jeśli coś mi zaświta, dam ci znać.

– Dzięki. Ale już dosyć, zmienmy temat. Porozmawiajmy o sztuce.

– I o wojennych bohaterach.

Harry rzadko prowadził towarzyską konwersację i Evie twierdziła, że jest po prostu nudnym mrukiem. Ale z Maura Hughes rozmawiało mu się doskonale, rozgadał się nawet. Nagle zdał sobie sprawę, że zapuścił się w temat „kłątwy Corbettów” i bólów w klatce piersiowej, z czego nie zwierzał się dotąd nikomu.

– Kto jest twoim lekarzem? – zapytała, kiedy skończył.

– Właśnie mam zamiar do niego pójść – powiedział szybko.

Zatrzymała się, wzięła go za rękę i odwróciła do siebie.

– Obiecujesz?

Harry nie miał pojęcia, jak długo wpatrywał się w jej szmaragdowe oczy, zanim odparł:

– No, tyle się dzieje, że nie wiem, kiedy znajdę czas. Ale obiecuję.

Ściemniało się. Przecięli Columbus i byli już niedaleko Central Parku.

– Nie bardzo się dziś popisałam, ale trzeba ci wiedzieć, że rzeczy, które mi ludzie obiecują, pamiętam doskonale – powiedziała Maura. – I potrafię być niesamowicie namolna, jeśli się uprę.

– Mam wrażenie, że potrafisz być niesamowita we wszystkim, do czego się weźmiesz.

– Dziękuję za komplement – odparła. – Ale nie zasługuję na niego.

– Powiedz, co cię do tego popchnęło?

– Chodzi ci o picie?

– Tak.

– Myślisz pewnie, że kryje się za tym jakaś tragedia – roześmiała się. – Jakieś straszliwe, ponure wydarzenie z przeszłości, które kazało mi zalewać robaka.

– Chyba tak, coś takiego zakładałem.

– Przykro mi, ale cię rozczaruję. Owszem, zdarzyło mi się wiele rzeczy, których wolałabym nie przeżyć, nie było jednak żadnej tragedii. Po prostu alkohol cudownie pomagał mi w trudnych sytuacjach, przynajmniej przez pewien czas.

Opowiedziała o swoim dzieciństwie w zamożnej rodzinie, o wakacjach na obozach jeździeckich, latach w szkole z internatem i o młodzieńczym buncie przeciwko stylowi życia rodziców i ich hipokryzji.

– Potem mój ojciec popadł w tarapaty finansowe i matka od niego odeszła. Zginął w wypadku samochodowym, gdzieś pod Los Angeles, był mocno pijany, gdyby cię to

interesowało... Kobieta, która była z nim w samochodzie, także zginęła.

Harry zauważył, że kiedy mówi o ojcu, zmienia się wyraz jej twarzy i głos. Mówiła z wysiłkiem, przerywając co chwila.

– A twoja matka? – zapytał, chcąc pomóc jej zmienić temat.

– Żyje nadal, ale ani ja, ani Tom nie mamy z nią kontaktu poza kartką na święta czy z podobnej okazji. Podejrzewam, że również rzadko jest trzeźwa.

Opowiedziała o tym, jak przez kilka lat próbowała napisać wiekopomną powieść amerykańską i w tym celu spędziła dwa lata w rezerwacie Indian Nawaho w Arizonie. Ale nie udało jej się to, a kontakty z Indianami i innymi upośledzonymi społecznie grupami zwiększyły tylko poczucie bezsilności. Im gwałtowniej walczyła, żeby nadać swemu życiu sens, tym mniej go znajdowała.

– Pewnego dnia, dla odprężenia, odkurzyłam swoje pudełko z farbami i rozpięłam na blejtramie płótno. Jeszcze w szkole średniej miałam lekcje malarstwa, ale nigdy głębiej w to nie weszłam. Tym razem malowanie przemówiło do mnie od samego początku. Malowałam nieźle, ale na nikim nie zrobiłam szczególnego wrażenia. Potem odkryłam „Pocieszyciela Południa”. Okazało się, że alkohol pozwala mi uwolnić się z jakichś wewnętrznych ograniczeń, usuwa jakieś blokady. Nie wiem. Wiem tylko, że im więcej piłam, tym lepiej malowałam.

– Może tylko wydawało ci się, że lepiej malujesz – powiedział Harry.

– Nie. Naprawdę malowałam lepiej. Zauważyły to galerie i publiczność. Przez jakiś czas na moje prace był ogromny popyt. Mogłam sobie pozwolić na wykupienie całej tej kamienicy. Potem, z początku nie zdając sobie z tego sprawy, spędzałam więcej czasu pijąc i odsypiając kace niż przy sztalugach. Właśnie mijają trzy lata, odkąd namalowałam ostatni obraz, który kogoś zainteresował. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz coś sprzedałam.

– Nigdy nie myślałaś o terapii odwykowej albo o Anonimowych Alkoholikach?

– Nie widziałam potrzeby. Zawsze miałam jakieś powody, żeby pić: a to jakieś zerwanie, a to niesprawiedliwa recenzja. Przez jakiś czas chodziłam do psychoterapeutki. Powiedziała, że mam po prostu artystyczny temperament. No a poza tym zawsze mi się wydawało, że w każdej chwili mogę przestać pić, jeśli tylko będę chciała. Teraz, po tym wszystkim, już nie jestem tego taka pewna.

– To początek.

– Co?

– Uświadomienie sobie, że nie jest się w stanie przestać pić, kiedy się tylko chce...

Restauracja, którą wybrał Harry, znajdowała się na Dziewięćdziesiątej Trzeciej, tuż przy Lexington. Weszli do Central Parku na wysokości Dziewięćdziesiątej Siódmej. Dochodziła już dziewiąta, ale wciąż jeszcze było jasno. Ruszyli chodnikiem wzdłuż stawu. Nieruchome powietrze było ciepłe, woda gładka jak lustro.

– Kocham to miasto – powiedział Harry. – A zwłaszcza ten park.

– Często spacerujesz tu po nocy?

Ścieżka wokół stawu była całkiem opustoszała.

– Nie można tego jeszcze nazwać nocą, ale owszem, chodzę i później. Oczywiście nie kuszę losu i nie zapuszczam się w krzaki, ale szersze aleje są tu bezpieczne. – Puścił małym kamykiem „kaczkę” po wodzie. – Trzynaście odbić. Nowy rekord świata.

– To dlaczego ja naliczyłam tylko osiem?

– Widzę, że będę miał z tobą kłopoty.

Czując spokojną radość z własnego towarzystwa, zmierzali ścieżką w stronę ulicy. Ostatnie blaski dnia ustąpiły wreszcie miejsca nocy.

– Słuchaj, Harry, coś mi przyszło do głowy... Uważasz, że powinnam pójść na terapię odwykową albo do AA. A ja uważam, że ty powinieneś pójść do kardiologa. Proponuję ci układ: ty zabierzesz się za swój problem, ja stawię czoło swojemu.

– Już ci to przecież obiecałem.

– Nie możesz z tym zwlekać. Jeśli chcesz, jutro pójdę na mityng.

– Uwierz mi, ten mój ból to nie dusznica. Wiem, jak to wygląda. To się bierze z niepokoju i tych rodzinnych historii...

– Umowa stoi, nie?

Zatrzymali się i popatrzyli na siebie. Harry przełknął, czując suchość w gardle.

– Stoi – powiedział. – Pod warunkiem, że nie weźmiesz do ust żadnego alkoholu, póki do mnie nie zadzwonisz.

– W porządku. – Jej uśmiech był pełen ciepła i nadziei. Nagle jej twarz zmartwiała. – Harry! – krzyknęła ostrzegawczo.

– Ani słówka – warknął mężczyzna, który wyrósł nagle obok Harry’ego.

Harry natychmiast rozpoznał ten głos. Należał do jednego z dwóch opryszków z mieszkania Desiree. Chciał się odwrócić, ale mężczyzna, wyższy od niego o głowę, założył mu nelsona na szyję i wcisnął lufę rewolweru w żebra. Maura rzuciła się do ucieczki i zderzyła się z drugim mężczyzną, który blokował ścieżkę od ulicy. Miejsce, które wybrali, było całkowicie zasłonięte od strony ulicy i od strony stawu. Maura krzyknęła, gdy krępy osilek chwycił ją w pasie i wykręcił rękę, a potem pociągnął w gęste zarośla na zboczu. Drugi napastnik szarpnął Harry’ego w tym samym kierunku.

– Żadnych numerów, skurwielu – warknął.

Harry potknął się na wystającym korzeniu, ale uchwyt bandziora uchronił go przed upadkiem. Po jakichś dwudziestu metrach zbocze stało się zbyt strome i zarośnięte, żeby iść dalej. Było znacznie ciemniej niż na ścieżce.

– Dobra, na kolana oboje! – rozkazał wielkolud i kopnął Harry’ego w nogę od tyłu.

Maura, z ręką wykręconą do tyłu prawie aż na kark, była bezsilna.

– Ładna sztuka – powiedział niższy. – Naprawdę niezła. – Ukląkł jej na krzyżu.

– Zamknij się i rób, co do ciebie należy – rzucił drugi.

– Dajcie jej spokój – poprosił Harry. – Ona nie jest dla was żadnym zagrożeniem. Niczego

nie pamięta. Niczego. Uwierzcie mi.

– Zamknij się, do cholery!

Coś twardego, może pięść, a może kolba rewolweru zawinięta w szmatę, uderzyło Harry'ego tuż za prawym uchem. W głowie wybuchło mu jaskrawe białe światło i runął z jękiem. Powietrze uszło mu z płuc. Jak przez mgłę usłyszał krzyk Maury:

– Nie! Proszę, nie!

Po chwili jej słowa przeszły w zduszony charkot. Broniła się, kopała na oślepie bezsilnie. Uniósł głowę. Wzrok miał zamglony, ale zobaczył, że krępy mężczyzna siedzi okrakiem na plecach Maury i wielkimi łapskami ściska ją za gardło, ciągnąc jej głowę do tyłu.

– Nie! – próbował krzyknąć, jednak z jego ust wydobył się tylko chrapliwy szept. – Nie, nie! Chciał się podnieść, ale wielkolud, który stał nad nim, przygniótł go nogą.

Nagle mężczyzna siedzący na Maurze chrząknął, upadł głową naprzód, po czym przewrócił się na bok i jak wypchana zabawka potoczył się w dół do stawu. W tej samej chwili drugi napastnik krzyknął z bólu i również upadł na ziemię trzymając się za prawe ramię. Oszołomienie Harry'ego mijało, ale nadal nie miał pojęcia, co się dzieje. Nagle w odległości niecałych dwóch metrów zobaczył rewolwer niższego z napastników. Zaczął się czołgać w jego kierunku, w każdej chwili spodziewając się ataku wielkoluda. Ten jednakże, nadal trzymając się za ramię, podniósł się i zaczął przedzierać przez krzaki w przeciwnym kierunku.

Harry złapał rewolwer i podczołgał się do Maury. Leżała nieruchomo twarzą do ziemi, ale oddychała. Ostrożnie odwrócił ją na wznak i wolną ręką pogłaskał po głowie.

– Już w porządku, Mauro – wyszeptał jej do ucha. – To ja, Harry. Już dobrze.

Z palcem na spuście rewolweru starał się wypatrzyć w ciemnościach jakiś ruch czy sylwetkę. Wokół panowała cisza równie gęsta jak ciemność.

Sprawdził tętno Maury. Było szybkie i nieregularne. Po chwili dziewczyna otworzyła oczy. Harry, nie przerywając obserwacji zarośli, odłożył broń na kolana i łagodnie pogładził Maurę po twarzy.

– Chciał mnie udusić – powiedziała kaszląc i krztusząc się. – Nie mogłam złapać powietrza...

– Wiem. Spokojnie. Już wszystko w porządku.

– Co się stało?

– Nie bardzo wiem. Zdaje się, że obaj zostali postrzeleni, ale nie słyszałem żadnych strzałów. Jak się czujesz?

– Jeśli tylko uda mi się przestać trząść, będzie lepiej.

– To ludzie tego lekarza, którego widziałas. Przypuszczam, że chcieli cię zabić, a mnie zostawić żywego, żebym się tłumaczył policji, że ja tego nie zrobiłem.

Pomógł jej usiąść, ale nadal podtrzymywał ją ramieniem.

– Jest tam jeszcze ktoś? – wyszeptała i wskazała ciemność.

Nasłuchiwali przez chwilę. Wokół panowała cisza. Nie puszczając rewolweru Harry pomógł Maurze wstać. W głowie nadal mu łomotało i był oszołomiony. Pewnie lekki wstrząs mózgu.

Dotknął miejsca za uchem, gdzie go uderzono. Skrzywił się z bólu, ale guza nie było – nie miałby nic na poparcie swojej opowieści, że został napadnięty. Ci dwaj to fachowcy, wiedzieli, jak wykonać swoje zadanie. Ktoś ich jednak załatwił.

Zeszli ze skarpy pomagając sobie nawzajem. Alejka była pusta i nadal było tu trochę jaśniej niż pod drzewami. Harry nie zdejmował palca ze spustu rewolweru. Przeszukali skraj zarośli.

– Dałbym głowę, że ten drań się stoczył właśnie tutaj – powiedział Harry.

– Może był tylko ranny, tak jak ten drugi?

– Nie wyglądało na to.

– Chyba wołałabym już stąd iść.

– Też myślę, że to dobry pomysł.

W tym momencie Maura pokazała palcem na pień drzewa rosnącego na zboczu. Zza niego wystawała ręka o zwieszanej bezwładnie dłoni. Podeszli tam szerokim łukiem od góry. Człowiek, który omal nie udusił Maury, spadając zaklinował się wśród korzeni drzewa. Miał na sobie granatowe džinsy i czarny golf. Jego twarz była wgnieciona w miękką ziemię, a jedyne widoczne oko, szeroko otwarte, wpatrywało się w przestrzeń.

– Tutaj – powiedział Harry i pokazał na plamę w górnej części pleców mężczyzny. – Patrz.

Maura pochyliła się. Zobaczyła otwór wielkości dziesięciocentówki i rozszerzający się dookoła krąg krwi.

– Co robimy? – spytała.

Harry wiedział, że szanse na znalezienie jakichkolwiek śladów są znikome.

– Nie słyszałem strzałów – powtórzył. – A ty?

– Byłam zbyt zajęta słuchaniem, jak skrzypią przy otwieraniu bramy niebios...

– Myślę, że człowiek, który strzelał do tych facetów, miał tłumik.

– I co z tego?

– Tłumików używają zawodowi mordercy. Musimy stąd wiać. Maura roztarta sobie szyję i powiedziała:

– No to wiejmy.

Rozdział 19

Wiadomość o trupie w Central Parku ukazała się w nocnych wiadomościach telewizyjnych i na pierwszych stronach porannych gazet. Policja znalazła ciało o dziesiątej wieczorem, po otrzymaniu anonimowego telefonu od jakiegoś mężczyzny. Ofiara nie miała dokumentów, więc jak dotąd nie została zidentyfikowana. Wstępne ustalenia wskazywały na napad rabunkowy, ale policja nie wykluczała, że mogły to być jakieś porachunki świata przestępczego.

Harry szedł do szpitala na poranny obchód, nie mogąc pozbierać myśli. Stało się to od jakiegoś czasu normą. Tajemnica otaczająca śmierć Evie była równie mroczna jak na początku. A teraz kolejne pytania bez odpowiedzi zaciemniały obraz. Kim był człowiek w Central Parku z bronią z tłumikiem? Czy obecność tajemniczego wybawcy da się wytłumaczyć zbiegiem okoliczności? Żadne wyjaśnienia nie miały sensu.

Pewne sprawy jednak wydawały się oczywiste. Harry sądził, że jego życie nie jest zagrożone – był potrzebny jako kozioł ofiarny, na którym skupią się podejrzenia w sprawie zabójstwa Evie. Natomiast nie było żadnej pewności co do bezpieczeństwa Maury. Wprawdzie Albert Dickinson nie uważał jej za wiarygodnego świadka, ale najwyraźniej morderca nie chciał ryzykować.

Po wyjściu z parku udali się do mieszkania Harry'ego. Uznali, że u Maury byłoby zbyt niebezpiecznie. Wprawdzie Rocky, nocny portier, nie stanowił najskuteczniejszej ochrony, ale było to lepsze niż nic. Maura nie chciała wciągać w kolejną sprawę swojego brata. Uważała, że swoim poprzednim raportem narobił sobie dość kłopotów. Harry nie do końca się z nią zgadzał, ale nie zamierzał jej przekonywać, zadzwonił więc anonimowo na policję z automatu i poinformował o zwłokach. Tom Hughes na razie nie będzie miał z tym nic wspólnego.

Usadowili się na kanapie w małym saloniku obitym drewnianą boazerią i włączyli telewizor. Maura popijała ziółka, skubała kruche ciasteczka i wpatrywała się w milczeniu w ekran. Mniej więcej po godzinie na kanale 2 ukazały się pierwsze informacje.

– No dobrze, Harry – powiedziała wysłuchawszy wiadomości. – Myślę, że jestem gotowa. Mógłbyś mi wyjaśnić, o co tu właściwie chodzi?

– Sam chciałbym to wiedzieć – odparł. Zrelacjonował jej swoje odkrycia poczynione w mieszkaniu Evie na Greenwich Village, a potem opowiedział o lekarzu o kulturalnym głosie i jego dwóch pomagierach. Maura słuchała nie przerywając.

– A więc chodzi o seks – podsumowała, gdy skończył.

– W pewnym sensie. W czasie tych swoich poszukiwań Evie najwidoczniej trafiła na niewłaściwą osobę. Kimkolwiek był ten, kto ją zamordował... a raczej kazał zamordować, zamierzał tego dokonać nie wzbudzając niczyich podejrzeń. I udałoby mu się. Takie tętniaki mogą spowodować wylew. Jestem przekonany, że nie byłoby żadnego szumu i nie zarządzono by sekcji, gdyby Caspar Sidonis nie narozrabiał. Jego twierdzenie, że to ja miałem motyw, by zabić

Evie, zmieniło całą sytuację. Teraz ten, kto to zrobił naprawdę, musi za wszelką cenę udowodnić, że Sidonis miał rację.

– I za wszelką cenę usunąć naocznego świadka – dodała Maura. – Harry, mam wrażenie, że Evie trochę się pogubiła w życiu.

– Wcale na to nie wyglądała.

– A co z dziećmi? Nie chciałeś mieć dzieci?

– Przeciwnie! Nawet bardzo.

– Ona nie chciała?

– Mówiła, że chce, ale tak naprawdę chyba nie chciała. Wiem, że powinienem uciec z tego małżeństwa dawno temu, a przede wszystkim nigdy w nie, nie wchodzić. Ale wierz mi, na co dzień wcale nie było tak tragicznie. Nie różniliśmy się od większości innych par. Wstawaliśmy, chodziliśmy do pracy, gospodarowaliśmy budżetem domowym, odwiedzaliśmy przyjaciół, czasami jeździliśmy na urlopy, kupowaliśmy ładne rzeczy i kochaliśmy się ze sobą, przynajmniej na początku. Zajmowałem się pacjentami, grałem, gimnastykowałem się, biegałem po parku... Po prostu nie przyglądałem się temu bliżej.

– Rozumiem. Chyba każdy, kto tkwi w nieudanym małżeństwie, ma klapki na oczach. – Odchyliła się na oparcie. – Jest jeszcze mnóstwo czasu, Harry.

– Na co?

Ziewnęła i przeciągnęła się.

– Na wszystko, czego zapragniesz...

Parę godzin później Harry obudził się zlany potem. Znów miał koszmar, który prześladował go od lat. Był to sen z Nha-trang, scena widziana przez celownik karabinu: młody partyzant Wietkongu podnosi do strzału swoją broń, ale karabin Harry'ego wypala i klatka piersiowa chłopaka pęka jak dojrzały melon. Za chwilę kolejny żołnierz, jeszcze młodszy, pojawia się w polu widzenia celownika. Kiedy zauważa Harry'ego i rannego u swoich stóp, podnosi karabin. Broń Harry'ego wypala jeszcze raz...

Ekran telewizora migał w ciemnym pokoju. Maura, przykryta wełnianą narzutą, spała spokojnie obok Harry'ego. Wyłączył odbiornik i usiadł w mroku, łagodnie głaszcząc Maurę po twarzy i krótkiej czuprynie. Może i nie potwierdzały tego ordery, ale ona również na swój sposób była bohaterką. Harry czuł, że ciągnie go coś ku niej. Poprawił się na kanapie. Maura zamruczała cicho, po czym przewróciła się na wznak i otworzyła oczy.

– Nie możesz zasnąć przeze mnie?

– Nic podobnego. Ostatnio więcej nocy spędziłem na tej kanapie niż w łóżku. Może pójdziesz do gościnnego pokoju i wyśpisz się wygodnie?

– A mogę zostać tutaj?

– Jeśli wolisz.

Uśmiechnęła się do niego, powieki opadły jej ciężko, odwróciła się z powrotem na bok.

– Wolę – wymamrotała...

Harry miał w szpitalu troje swoich prywatnych pacjentów. Pierwsza była czteroletnia dziewczynka z astmą, gotowa już do wypisu. Podyktował szczegółowe zalecenia matce, która sama dopiero co wyrosła z warkoczyków. Choćby nie wiem jak szczegółowo wyjaśniał jej, co ma robić, wciąż się niepokoiła.

– Słuchaj, Naomi... tu masz mój domowy numer telefonu – zapisał go na odwrocie karty. – Jeśli będą jakieś problemy z Keeszą, zadzwoń. Ale wszystko będzie dobrze.

Nastolatka wsunęła kartę do kieszeni dżinsów, po czym podziękowała Harry'emu.

Drugi pacjent, mężczyzna w podeszłym wieku, został odesłany Harry'emu z powrotem przez kardiologa, po trzydniowej obserwacji na oddziale chorób serca. Był to bezzębny starszy pan, który leczył się u Harry'ego od piętnastu lat i na starość trochę mu się wszystko myliło. Jeśli będzie miał zapewnioną opiekę i regularne wizyty pielęgniarki, to wróci do domu za tydzień. Starszy pan poklepał Harry'ego po plecach na pożegnanie, nazwał go doktorem Carsonem i poradził, żeby nadal się starał, to kiedyś zostanie dobrym lekarzem.

Harry uśmiechnął się smutno na myśl, że takie obchody jak dzisiejszy, będące dotąd czymś najzwyczajniej normalnym, należą już do przeszłości. Już czuł na sobie ludzkie spojrzenia, widział wytykanie palcem, słyszał szept.

„To ten! Lekarz, który zabił swoją żonę. Nie do wiary, że pozwalają mu tak chodzić po szpitalu...”

Na piąte piętro gmachu dostał się windą. Wsiadł do tej samej kabiny, którą jechał z Melem Wetstone'em. Wtedy był z nimi morderca Evie. Tym razem jechał sam.

Jego ostatni pacjent, trzydziestotrzyletni architekt nazwiskiem Andy Barlow, leżał w pokoju 505. Barlow od dwóch lat był nosicielem wirusa HIV, a teraz dostał zapalenia płuc wywołanego *Pneumocystis carinii*, co było pierwszym zwiastunem rozwoju AIDS. Przez dwa bezobjawowe lata pracował w swojej firmie w centrum miasta, wiele godzin spędził jako ochotnik w hospicjum dla bezdomnych, prowadził kampanię rozdawnictwa igieł jednorazowego użytku i pomocy dla chorych na AIDS.

Kolejny prawdziwy bohater, pomyślał Harry wchodząc do sali.

Andy Barlow nie wyglądał tak, jak by Harry sobie tego życzył. Cerę miał woskową i ziemistą, wargi fioletowe. Siedział podparty wysoko, oddychając ciężko z pomocą aparatury tlenowej. Mimo to zdołał się uśmiechnąć.

– Cześć, doktorku – powiedział i rozkaszał się.

– Hej.

Harry przystawił krzesło do łóżka i usiadł, przeglądając kartę Barlowa. Wyniki badań przedstawiały się lepiej niż sam pacjent. Dawały nadzieję na poprawę.

– Co tam pan znalazł? – zapytał architekt.

– Wygląda na to, że idzie ku dobremu.

– Niech pan to powie moim płucom.

– Tak fatalnie?

– Właściwie nie aż tak bardzo... – Barlow przerwał, żeby złapać oddech. – Trochę lepiej mi się oddycha i nie kaszlę już tyle. – Co powiedziawszy rozkaszał się na dobre, po czym roześmiał się i dodał: – Chyba się za wcześnie pochwaliłem.

Harry zbadał jego gardło, klatkę piersiową, brzuch.

– Nie jest źle – powiedział z przekonaniem. – A jak nastrój?

– Myślałem, że przez te dwa lata trochę się do tego przygotowałem, ale wciąż mnie to wkurza, no i... boję się.

– Ja też – powiedział Harry.

– Dziękuję, że mi pan to powiedział.

Andy Barlow nie był pierwszym pacjentem z AIDS, którym Harry się opiekował, ani nawet dziesiątym. Higieniczny tryb życia, gimnastyka, leki zapobiegawcze, energiczne zwalczanie infekcji pozwalały poprawić jakość ich życia i przedłużyć je nieco. Ale większość już umarła. Zapalenie płuc Barlowa oznaczało, że zrobił pierwszy krok na nowym odcinku drogi. Wkrótce rozwinię się u niego pełnoobjawowa choroba. Harry udawał, że bada jeszcze klatkę piersiową, próbując tymczasem wziąć się w garść.

– Wie pan, nie tyle boję się śmierci, ile tego leżenia w szpitalu – powiedział architekt. – Tyle czasu spędziłem przy łóżkach kolegów i przeraża mnie, że stanę się taki jak oni.

– Rozumiem. Obiecuję, że zrobię, co będę mógł, żeby pan jak najszybciej wrócił do domu. A jeśli chodzi o to, co będzie, niewiele mogę panu powiedzieć pocieszającego. Niech pan spróbuje się skupić na tym, co przynosi chwila obecna. Niech pan się stara żyć nią jak najpełniej.

– Proszę mi o tym często przypominać.

– W każdym razie bardzo pomógł panu ten bactrim. Krew ma pan lepszą, rentgen też.

– To dobrze, bo jestem głównym projektantem Centrum Sztuk Scenicznych Claridge i chciałbym być na inauguracyjnym przedstawieniu dwudziestego pierwszego.

– Za dziesięć dni? Da się zrobić.

– Gwarantuje pan?

– Ma pan moje słowo.

Barlow wyciągnął do Harry'ego lewą rękę, bo prawa była unieruchomiona kroplówką.

Harry uściskał jego dłoń, odwrócił się szybko i wyszedł z pokoju. Chyba nigdy nie przywyknie do takich sytuacji.

Wrócił do dyżurki pielęgniarek i wypisał dla Barlowa zlecenia dotyczące terapii oddechowej. Obok dwie siostry gawędziły z sekretarką medyczną oddziału. Znał je wszystkie bardzo dobrze od wielu lat. Teraz nawet nie przerwały rozmowy, gdy wszedł. Pomachał nowymi zleceniami i położył historię choroby na biurku sekretarki.

– Zmiana programu leczenia Barlowa – powiedział.

– Dziękuję, doktorze – odparła dziewczyna nie patrząc na niego. – Zajmę się tym.

Harry przez moment miał ochotę zmusić je do konfrontacji i powiedzieć coś o przedwczesnym wydawaniu wyroków, zrezygnował jednak. Co innego konstytucyjne prawo do

domniemania niewinności, a co innego ludzie, którzy już uznali go za winnego. Dopóki jego sytuacja się nie wyjaśni, będzie się spotykał z chłodem, dystansem i milczeniem – i zupełnie nic nie może na to poradzić.

Zbiegł po schodach na parter i opuścił szpital. Ranek był bezchmurny i ciepły, a ponieważ miał całe dwadzieścia minut do godziny rozpoczęcia przyjęć, mógł rozkoszować się niespiesznym spacerem. Zastanawiał się, co porabia Maura. Kiedy wychodził do pracy, była rozdrażniona i niespokojna. Doskonale zdawała sobie sprawę z grożącego jej niebezpieczeństwa. Nie powiedziała wprawdzie tego, ale Harry wyczuł, że cały czas myśli, o ile łatwiej przyszłoby jej znieść to wszystko, gdyby mogła się napić. Postanowili, że wróci do swojego mieszkania w towarzystwie przyjaciółki, spakuje parę rzeczy i przeprowadzi się do Harry'ego na kilka dni. Przez ten czas zastanowi się, czy zawiadamić brata. Harry zaproponował, że wynajmie dla niej ochronę.

„Co to da?” – spytała.

Harry nie próbował się z nią spierać. Miała rację. Jeśli ktoś rzeczywiście chciał ją zabić, to będzie musiała się zaszyć w jakiejś głębokiej kryjówce, bo inaczej prędzej czy później będzie martwa. Jasne jak słońce.

W poczekalni siedziała tylko jedna osoba, nie znany Harry'emu mężczyzna. Zapadnięte oczy i wychudła twarz świadczyły o nielekkim życiu. Ciemne siwiejące włosy, ostrzyżone na jeża. Wyczuwało się od niego tłumione napięcie. Miał na sobie sprane dzinsy, zdarte adidas i granatową wiatrówkę z emblematem Jankeśów na piersi. Harry kiwnął mu głową na przywitanie i wszedł do pakamery Mary Tobin.

– Kogóż my tam mamy? – spytał szeptem, przeglądając upstrzoną skreśleniami księgę wizyt, bez nowych wpisów.

– Nazywa się Walter Concepcion. Jest bezrobotny i nie ma ubezpieczenia.

– Co poza tym?

– Uskarża się na bóle głowy.

– Kto go do mnie skierował?

– Niech pan sobie wyobrazi, że przeczytał o panu w gazetach.

– Lekarz podejrzany o zamordowanie żony, nie trzeba lepszej rekomendacji...

– Ponieważ odkąd pamiętam, nigdy nie odmówił pan przyjęcia żadnego pacjenta, więc kazałam mu wypełnić kartę zgłoszenia i kwestionariusz.

– Doskonale. Jakoś pacjenci nie walą drzwiami i oknami.

– Damy sobie radę. Proszę mi powiedzieć, jak się pan czuje? Biorąc pod uwagę fakt, że wczoraj omal nie zabili Maury, że byłem świadkiem morderstwa i kompletnie nie mam pojęcia, co jest grane, to zupełnie nieźle.

– Kładę się spać we mgle i wstaję we mgle – powiedział.

– To tak jak my wszyscy – odparła Mary z uśmiechem. – Trzeba poczekać, na pewno wszystko się wyjaśni.

Wyglądała na zmęczoną i zestresowaną. Mimo że odbierała setki telefonów, musiała uspokajać zdenerwowanych pacjentów, bez komentarzy przyjmować odwołania wizyt i wciąż odsyłać dziennikarzy – jeszcze pytała go, jak się czuje. Harry dopisał ją do swojej listy bohaterów.

Wziął kwestionariusz wypełniony przez nowego pacjenta. Walter Concepcion, czterdzieści pięć lat, brak telefonu, najbliższy krewny – brat w Los Angeles, adres w latynoskiej części Harlemu. Zgodnie z tym, co mówiła Mary – brak ubezpieczenia zdrowotnego. Zawód: prywatny detektyw. Harry przedstawił się i zaprowadził mężczyznę do swojego gabinetu.

– Byłem licencjonowanym prywatnym detektywem – wyjaśnił Walter Concepcion – ale parę lat temu wpadłem w kłopoty i zabrali mi koncesję. – Jego nowojorski akcent, bez nalotu hiszpańskiego, wskazywał, że urodził się w Stanach. – W marcu będę się mógł ubiegać o zwrot licencji. Nadal biorę czasem zlecenia od ludzi, ale wie pan, po cichu.

Napięcie, które wyczuł u niego Harry w poczekalni, objawiało się teraz tikami nerwowymi prawej strony twarzy i nadmierną ruchliwością rąk.

– Te kłopoty, w które pan wpadł, to narkotyki?

Concepcion kiwnął głową.

– Kokaina. A właściwie crack. Wydawało mi się, że dam sobie z tym radę.

– Nikt sobie nie da.

– Ma pan rację. Od trzech lat jestem czysty. Żadnych dragów, żadnej gorzały, nawet wina. Nic. Nie twierdzę, że należy mi się medal, ale udało mi się pozbierać jakoś do kupy.

– To naprawdę jest osiągnięcie. – Harry’emu podobała się bezpośredniość tego człowieka. Oczy Waltera Concepcion, mimo że zapadnięte, były bystre i inteligentne i patrzyły prosto w oczy rozmówcy.

– A więc, panie Concepcion, mam około dwudziestu minut, zanim zjawi się następny pacjent. Bóle głowy to objaw, na podstawie którego trudno postawić diagnozę, jeśli nie ma się innych danych, ale zrobię, co w mojej mocy. Może jednak okazać się konieczne, żeby przyszedł pan tu do mnie jeszcze raz czy dwa.

– Oczywiście, doktorze, pod warunkiem jednak, że będzie mi pan mógł rozłożyć płatności. Nie jestem bez grosza, ale muszę wszystko bilansować, rozumie pan.

– Nie ma sprawy – odparł Harry. – Niech pan pozwoli do pokoju numer dwa, po lewej. Zadam panu kilka pytań i zbadam pana.

Mężczyzna wstał i wyszedł. W tej samej chwili zaczął dzwonić telefon na prywatnej linii Harry’ego.

Aparat ten był podłączony bezpośrednio i pozwalał Harry’emu telefonować bez zajmowania linii służbowej, a także gwarantował, że w razie jakiejś alarmowej sytuacji w szpitalu łatwo będzie się do niego dodzwonić.

– Mówi Corbett – rzucił do słuchawki, przeglądając równocześnie kupkę korespondencji, którą zostawiła mu na biurku Mary.

– Jestem na pana bardzo zły, doktoru – powiedział znajomy głos z lekkim akcentem. – Bardzo zły.

Harry zeszywniał. W żaden sposób nie mógł zaalarmować Mary, nie miała połączenia z tą linią.

– Kim pan jest?

– Człowiek, którego pan wczoraj zwabił w pułapkę i zabił, wiele dla mnie znaczył – oświadczył beznamiętny głos.

– Na nikogo nie zastawiałem żadnych pułapek – odparł Harry. – Te zbiry próbowały nas zabić, a ktoś nas uratował. Nie mam pojęcia kto.

– Myślę, że pan kłamie, doktorze Corbett. Nie wziąłem pod uwagę, że mógł pan sobie załatwić ochronę. Ale wkrótce pan się przekona, że był to głupi, pożałowania godny pomysł. Bardzo głupi.

– Kim pan jest? Dlaczego pan to robi? Dlaczego pan zabił Evie?

– Zaczął mi pan sprawiać kłopoty, doktorze Corbett – ciągnął głos. – I muszę jakoś temu zaradzić. Wielu osobom ułatwiłby pan życie, gdyby znalazł pan jakiś bezbolesny sposób popełnienia samobójstwa.

– Niech cię szlag trafi!

– Będzie pan martwy albo wyląduje w więzieniu na resztę życia. Obawiam się, że ma pan tylko te dwie możliwości. Jeśli nie chce pan zabić się teraz, to obiecuję, że wkrótce zmieni pan zdanie... postaram się o to. Człowiek, którego zastrzelono wczoraj, był moim bliskim współpracownikiem. Zostanie pomszczony.

Harry miał ochotę rzucić słuchawkę, powiedział jednak tylko: – Dlaczego nie zostawi nas pan w spokoju? Nie mam pojęcia, kim pan jest, Maura też nie. Ona nic nie pamięta. Nic.

– Mam w to uwierzyć? Ale wróćmy do sprawy pańskiej kary i pańskiego samobójstwa, którą uważam za najistotniejszą. Chcę panu pokazać, że nie żartuję. Wybrałem tego młodego dżentelmena, z którym rozmawiał pan niedawno... Nazywa się Barlow, czy tak?

– Ty skurwielu! Nie waż się go tknąć!

– Sympatyczny młody człowiek, chociaż pechowo dla niego, że to pan jest jego lekarzem.

– Nie!!!

– Niech pan się zastanowi, doktorze Corbett. Dożylny zastrzyk z morfiny jest całkowicie bezbolesny. Tabletki nasenne też to załatwią. Tak samo tlenek węgla. A może upadek z dużej wysokości? Zaboli tylko przez moment. Pocisk przez podniebienie pewnie boli jeszcze mniej.

– Proszę – błagał Harry. – Proszę dać mi czas. Muszę się zastanowić.

– Czasu ma pan pod dostatkiem.

– Dziękuję. Dziękuję bardzo.

– Ale obawiam się, że pan Barlow go nie ma. Miłego dnia, doktorze.

– Nie!!! – krzyknął Harry, ale odpowiedział mu tylko ciągły sygnał. – Nie, ty draniu!

Kiedy podniósł wzrok, zobaczył w drzwiach Waltera Concepcion.

– Chciałem się tylko zapytać, czy mam się rozebrać?

Wbiegła Mary Tobin.

– Dzwoni natychmiast do gmachu Alexandra na piąte piętro – polecił jej Harry. – Powiedz, żeby posłali kogoś do pokoju pięćset pięć, do Andrew Barlowa. Pokój pięćset pięć. Ja już tam idę.

– Tak jest, doktorze – odparła Mary Tobin.

– Panie Concepcion, będzie pan musiał przyjść innym razem. Nie czekając na odpowiedź, Harry minął osłupiałego pacjenta, wypadł z biura i ruszył zalaną słońcem ulicą. Do Centrum Medycznego „Manhattan” miał sześć przecznic.

Rozdział 20

W tej części miasta mężczyzna biegnący chodnikiem i roztrącający przechodniów nie wzbudzał szczególnej sensacji. Harry miał wrażenie, że porusza się w gęstym syropie. Temperatura przekroczyła dwadzieścia pięć stopni i było parno. Mijani ludzie rozstępowali się, żeby go przepuścić, ale niektórzy stawali i oglądali się za nim. Większość dziwiła się, że za biegnącym nie widać nikogo, kto by go gonił. Harry czuł, że ma jeszcze w zapasie trochę sił i może przyspieszyć, ale pamiętał o dolegliwościach w klatce piersiowej i postanowił nie włączać najwyższych obrotów. Mijając kolejne przecznice zastanawiał się, kiedy chwyci go ten obezwładniający ból.

Gdy dobiegł do szpitala, był mokry od potu, marynarkę trzymał w ręku i wycierał sobie czoło jej rękawem. Wpadł głównym wejściem nasłuchując, czy głośniki nie wzywają go na piąte piętro. Nie wzywały. Nie odzywał się również przyczepiony do paska pager. Hall był zatłoczony jak zazwyczaj. Przez wzgląd na pacjentów Harry zwolnił. Kiedy znalazł się w głównym korytarzu gmachu Alexandra, skierował się do schodów. Windą mogłoby być szybciej, ale Harry nawet o tym nie pomyślał. Gratulując sobie kondycji uzyskanej regularnym bieganiem, ruszył schodami po dwa stopnie w górę. Znowu odczuwał lekkie klucie w klatce piersiowej, ale nie było to nic takiego, co jednoznacznie wskazywałoby na serce. Jakiś nerwoból albo coś z przewodem pokarmowym, uznał po chwili.

Przed drzwiami salki 505 stał wózek reanimacyjny. Harry zaklął głośno i przyspieszył kroku. Zbliżył się i zobaczył, że aparatura na wózku jest przykryta. Dwie pielęgniarki, które tak arogancko go potraktowały godzinę temu, stały obok rozmawiając spokojnie. Popatrzyły na niego z wyraźnym niesmakiem.

– Co się dzieje? – zapytał.

– My mamy wiedzieć? – odpowiedziała jedna z nich. – Niech pan nam to powie.

Harry minął je i wszedł do pokoju. Steve Josephson ze stetoskopem w ręku pochylał się nad Andym Barlowem i osłuchiwał jego klatkę piersiową. Aparatura tlenowa pracowała na pełnych obrotach, pompując sześć litrów tlenu na minutę.

– Podstawy obu płuc zajęte – mruczał do siebie Josephson. Podniósł wzrok i zauważył Harry'ego. – A, jesteś. Właśnie kończyłem swój obchód na tym piętrze, kiedy złapały mnie pielęgniarki. Zdaje się, że twoja pomoc medyczna z gabinetu zadzwoniła i powiedziała, że coś się dzieje u pana Barlowa.

Harry podszedł do łóżka, świadomy, że od drzwi badawczo przyglądają mu się pielęgniarki, sekretarka i paru stażystów. Wiedział, że cokolwiek powie, jego wiarygodność w szpitalu spadnie do zera. Był wrabiany przez maniaka, i to umiejętnie wrabiany.

– Ktoś do mnie zadzwonił na linię prywatną do gabinetu – powiedział prawie szeptem, mając

nadzieję, że gapie go nie usłyszą. – Ten człowiek powiedział – spojrzał na pacjenta – że może zrobić jakąś krzywdę Andy’emu.

– Ale dlaczego? – zapytał Barlow zanosząc się kaszlem.

Harry odwrócił się w stronę tłumku przy drzwiach.

– Proszę wyjść – nakazał stanowczym tonem.

Nikt nawet nie drgnął. Harry podszedł, żeby zamknąć drzwi, ale przeszkodziła mu Corinne Donnelly, pielęgniarka oddziałowa.

– Zamierzam tu zostać i posłuchać, jak pan chce się wytłumaczyć z tego zamieszania – oznajmiła.

Donnelly była mniej więcej w wieku Harry’ego i kiedyś przysłała do niego na leczenie swoją bliską przyjaciółkę. Teraz patrzyła na niego wyzywająco.

– Proszę, niech pani wejdzie – powiedział Harry ze znużeniem.

Pielęgniarka odprawiła gapiów spod drzwi i zamknęła je za sobą. Harry zwrócił się do pacjenta:

– Andy, nie mówiliśmy o tym, ale na pewno wie pan o śmierci mojej żony i o pogłoskach na mój temat powtarzanych przez telewizję i gazety...

– Tak, ale nie wierzę w to – odparł Barlow i rozkaszał się.

– Ma pan rację, że pan nie wierzy. Nie zrobiłem niczego, żeby zaszkodzić mojej żonie. Ale ten ktoś, kto jej zrobił ten śmiertelny zastrzyk, ma coś przeciwko mnie. Nie wiem dlaczego. Najwyraźniej postanowił mi też zaszkodzić, strasząc moich pacjentów.

– Myślisz, że ten facet ma do ciebie jakąś urazę i dlatego zabił Evie, a teraz chce zrobić krzywdę twojemu pacjentowi? – zapytał Steve Josephson.

– Sądzę, że Evie zginęła z innych powodów. Wydaje mi się, że jej zabójca czuł się zagrożony przez materiały, które Evie zbierała. Ale jeśli chodzi o Andy’ego, to właśnie tak jest. Wiem, że to brzmi po wariacku, Steve, ale...

– To nie tylko brzmi po wariacku – wtrąciła się Corinne Donnelly. – To jest wariactwo. Doktorze Corbett, przejdźmy na rozmowę do mojego gabinetu.

Harry popatrzył na młodego architekta.

– Cokolwiek ma mi pani do powiedzenia, może pani powiedzieć to tutaj.

– Jak pan chce, doktorze. Zamierzam zatelefonować do przełożonej i poprosić ją, żeby porozmawiała natychmiast zarówno z doktorem Erdmanem, jak i z doktorem Lordem. Nie wierzę w pańskie historyjki ani w ten telefon. Nie mam pojęcia, o co tu chodzi i co z panem jest nie w porządku, ale wiem, że ostatnio zmienił się pan bardzo. Może to jakiś wstrząs pourazowy, jakieś reperkusje wojny, nie wiem. Może to ma związek z pańską żoną i doktorem Sidonisem. Cokolwiek to jest, potrzebuje pan pomocy, zanim zaszkodzi pan komukolwiek. I dla dobra wszystkich powinien pan zrezygnować z przyjmowania pacjentów w tym szpitalu, póki sprawa się nie wyjaśni. Ten młody człowiek ma dość problemów, nie musi mu pan dodawać jeszcze swoich.

Harry spojrział na swojego starego przyjaciela. Steve wbił wzrok w podłogę. W przedłużającej się ciszy usłyszeli szmery na korytarzu. Najwyraźniej ciekawscy cały czas stali za drzwiami i podsłuchiwali. Corinne Donnelly chciała położyć temu kres, ale Harry ją powstrzymał.

– W porządku. Ma pani rację, pani Donnelly. Muszę robić wszystko, co w mojej mocy, żeby uchronić moich pacjentów przed tym... tym sadystycznym szaleńcem. Ale nie sądzę, by moje wycofanie się z praktyki cokolwiek tu pomogło. To wyglądałoby na przyznanie się do zarzucanych mi czynów. A ja nic złego nie zrobiłem, więc zostanę i przetrwam.

– Nie pozwoliłabym na to, gdybym miała w tej sprawie coś do powiedzenia – parsknęła pielęgniarka, po czym odwróciła się na pięcie i wyszła z podniesioną głową.

– Harry, jestem absolutnie po twojej stronie – powiedział Josephson. – Powiedz mi, co mogę dla ciebie zrobić. Panie Barlow, wie pan chyba, że nie można tu znaleźć lepszego lekarza niż doktor Corbett.

– Wiem.

Josephson uściśnął rękę Andy'ego, a potem poklepał Harry'ego po ramieniu i wyszedł zamykając za sobą drzwi.

– Wygląda na to, że czekają nas obu ciężkie chwile – powiedział Barlow.

Oddychał ciężiej niż przedtem. Harry widział, jak bardzo wyczerpało go to wszystko i jak rozpaczliwie potrzeba mu odpoczynku. Znów poczuł bezsilny gniew. Jakiś szaleniec, który uwielbia zadawać ból, manipuluje nim jak kukielką.

– Przykro mi – powiedział.

– Nie pana wina.

– Wpadnę później, żeby sprawdzić, czy wszystko u pana gra.

– Dziękuję. A, doktorze...

– Słucham?

Młody człowiek wyciągnął rękę i drugi raz tego przedpołudnia uściśnął Harry'emu dłoń.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił.

– Taa. Wiem – mruknął Harry.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju, niemal zderzając się na korytarzu z ciemnoskórym mężczyzną w chirurgicznym uniformie, niosącym metalowy pojemnik ze sprzętem do kroplówki.

– Przepraszam – powiedział mężczyzna z mocnym hinduskim akcentem.

Harry odparł, że nic nie szkodzi. Chciał wyjść jak najszybciej, świadom znaczących spojrzeń i wytkniętych palców. Kiedy tylko wróci do swojego biura, zadzwoni do Douga Atwatera, żeby zapewnić sobie poparcie na wypadek, gdyby Corinne Donnelly albo ktokolwiek inny próbował wyeliminować go z personelu szpitala. Będzie musiał też zadzwonić do Mela Wetstone'a.

Schodząc po schodach przyłapał się na rozważaniach, co by było, gdyby ten niewidzialny strzelec z Central Parku, zamiast strzelać do dwóch zbirów, złapał ich i odstawił na policję. Może ten cały koszmar byłby już za nim? A teraz morderca Evie uznał, że Harry musi za te strzały

zapłacić.

Wszedł do głównego hallu, znów czując za sobą spojrzenia i szept. Czy może zdarzyć się coś jeszcze gorszego? – pomyślał.

Pięć kondygnacji wyżej sanitariusz z aparaturą do kroplówek niespiesznym krokiem podszedł do drzwi pokoju 505 i nie zauważony przez nikogo wszedł do środka. Rozpakował swój sprzęt przy łóżku. Miał turban i brodę. Andrew Barlow spojrzał na niego sennie.

– Wszystko w porządku?

– Wszystko jest dobrze, zupełnie dobrze – wyskandował łamaną angielszczyzną mężczyzna. Przez grube szkła okularów przyjrzał się cewnikowi dożylnemu na ręce Andy’ego. – Po prostu sprawdzam. Żadnych zastrzyk, żadnych nowych kroplówka.

– To dobrze. – Andrew uśmiechnął się słabo i zamknął oczy. Hinduski pielęgniarz, którego plakietka identyfikacyjna głosiła:

„Sanjay Samar, dyplomowany sanitariusz”, sprawdził plastikowy pojemnik z glukozą i przewody, po czym wstrzyknął niewielką ilość płynu przez gumowy korek.

– To tylko po to, żeby przepłukać przewody – powiedział uspokajająco.

– W porządku – mruknął Andrew nie otwierając oczu.

Sanjay pakował z powrotem swój metalowy kontener, gdy zauważył białą plamkę na skórze na wewnętrznej stronie przedramienia Barlowa. Następnym razem, pomyślał, trzeba będzie starannie rozprowadzić ten barwnik. Wszedł z pokoju i powolnym krokiem udał się w stronę klatki schodowej po przeciwnej stronie dyżurki pielęgniarek. Miał zaaferowany wyraz twarzy, ale za okularami i ciemnobrązowymi soczewkami kontaktowymi jego jasnoniebieskie oczy skrzyły się zadowoleniem.

Rozdział 21

– Dobra, doktorku, zacznijmy jeszcze raz – warknął Dickinson.

– Od czego?

– Od początku, do jasnej cholery, od początku!

Detektyw, którego wygnieciony garnitur rozpaczliwie domagał się pralni chemicznej, zgniótł wypalonego pall malla i zabrał się do zapalania następnego. Z popielniczki wylewały się niedopałki. Mały pokój przesłuchań cuchnął wieloletnim odorem tytoniu, zwietrzałej kawy i nie domytego ciała. Harry poprawił się na niewygodnym, twardym drewnianym krześle i zastanowił, czy ma jeszcze coś powiedzieć, czy też od razu wezwać Mela Wetstone'a. Przecież nie zrobił nic złego. Poza tym, że był wczoraj świadkiem morderstwa w Central Parku, nie ma nic do ukrycia. Mimo to jego kłopoty narastały lawinowo. A młody człowiek, na którym mu tak zależało, nie żyje.

Mniej więcej w dwadzieścia minut po tym, gdy Harry wyszedł z pokoju 505, znaleziono Andrew Barlowa martwego w łóżku, bez śladu tętna i oddechu. Próbę reanimacji podjętą przez pielęgniarkę i stażystów szybko zarzucono, bo wykres EKG był całkowicie płaski, a źrenice pacjenta zupełnie nieruchome i szerokie. Mimo że przed południem w szpitalu panuje zwykle ożywiona krzątanina, nikt z personelu nie zauważył, żeby ktokolwiek wchodził do pokoju Barlowa po wyjściu Harry'ego.

Otrzymałszy tę wiadomość, Harry odwołał wszystkich pacjentów, których i tak ostatnio nie miał zbyt wielu, i wrócił do szpitala. Andy Barlow leżał na wznak w półmroku, przykryty prześcieradłem. Harry miał ochotę ryczeć jak ranne zwierzę. Miał ochotę porozwalać wszystko w pokoju, złapać krzesło i huknąć nim w okienną szybę, jednak usiadł tylko przy łóżku, wziął za rękę Andy'ego Barlowa i zapłakał.

Zanim wyszedł z oddziału, zadzwonił w trzy miejsca. Pierwszy telefon był do Owena Erdmana z prośbą o jak najszybsze spotkanie. Drugi – do rodziny Andy'ego, a trzeci do Alberta Dickinsona.

– Jeśli liczy pan na taryfę ulgową, to pan oszalał – powiedział Dickinson i po chwili dodał: – Ale chyba właśnie tak jest.

– Co?

– Oszalał pan.

Detektyw nie mógł wysunąć przeciwko niemu żadnych zarzutów, dopóki sekcja nie udowodni, że przyczyna śmierci Andy'ego nie była naturalna. Ale nawet negatywny wynik sekcji pozostawi pewne pytania bez odpowiedzi. Młody architekt był w ciężkim stanie, a wszystkie pielęgniarki, z którymi rozmawiał Dickinson, potwierdzały, że fałszywy alarm podniesiony przez Harry'ego wywołał u chorego silny stres, który mógł być dla niego zabójczy.

– To nie był fałszywy alarm – powiedział Harry próbując zachować spokój. – Moja sekretarka słyszała tę rozmowę telefoniczną.

– Poprawka, szanowny panie. Słyszała dzwonek telefonu. Nawet taki durny glina jak ja dostrzeże różnicę między dzwonkiem telefonu a rozmową.

– Był tam pacjent. Stał na korytarzu tuż przy moich drzwiach. Słyszał tę rozmowę, przynajmniej część.

– No to mnie pan przekonał...

– Niech pan nie będzie taki uszczypliwy.

– To niech pan mi nie wciska takiego kitu. Nie jestem niedorozwinięty.

– Ten facet nazywa się Concepcion. Walter Concepcion.

Harry opowiedział mu, co wiedział o swoim nowym pacjencie, byłym prywatnym detektywie, obecnie bezrobotnym, wychodzącym z uzależnienia kokainiście cierpiącym na przewlekłe bóle głowy i nerwowe tiki. Jeszcze jeden świadek, który przypadnie Dickinsonowi do gustu. Dobrana para z alkoholiczką w delirium tremens, Maura Hughes.

– Daj mi pan adres tego Waltera Jakmutam, to sobie z nim pogadam.

– Po co miałbym pozorować taki telefon?

– Niech się zastanowię... po co miałby pan pozorować telefon od kogoś, kto, jak pan twierdzi, zabił pańską żonę i dzwoni do pana, żeby oznajmić, że bez szczególnego powodu załatwi jakiegoś biednego pedała, który i tak by się wykończył?

– Nie zabiłem żony i nie wymyśliłem tego telefonu.

– Wie pan, może się okazać, że ten facet po prostu dostał zawału czy coś w tym rodzaju – ciągnął Dickinson. – Gdybym ja leżał w szpitalu w takim ciężkim stanie, z AIDS i zapaleniem płuc, a mój lekarz by wpadł z wrzaskiem, że ktoś chce mnie zabić, to też mógłbym się wykończyć.

Harry westchnął.

– Poruczniku, zadzwoniłem do pana i opowiedziałem panu o śmierci Andy’ego. Czekałem, aż pan i pański człowiek przesłuchacie wszystkich na oddziale. Przyjechałem z panem do komisariatu i siedzę tu od półtorej godziny odpowiadając na pytania, na które już odpowiadałem. Wysłuchuję pańskich obelg, insynuacji i oskarżeń i nie protestuję. Ale teraz mam już tego dosyć. Fatalnie się czuję w związku z tym, co stało się z Andym Barlowem. Naprawdę go lubiłem i robiłem wszystko, żeby go wyciągnąć z tego zapalenia płuc. Myślę, że został zamordowany przez tego samego człowieka, który zabił Evie. Jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania, których dotąd pan nie zadał, to proszę bardzo. Jeśli nie, chciałbym iść do domu.

– Jeśli sekcja coś wykaże, mam pana w ręku.

– W porządku.

– Jeśli nie wykaże, też mam pana w ręku...

– Pańska sprawa.

Dickinson chciał zgnieść wypalonego do połowy pall malla, ale tylko strącił popiół i

zaciągnął się ponownie. Harry zdjął marynarkę z oparcia krzesła i ruszył do wyjścia.

– Nie aresztował mnie pan dotąd, bo nie znalazł się prokurator, który by wydał nakaz na podstawie dowodów, które pan zgromadził. I nie znajdzie się, bo nie zrobiłem tego.

– Powiedz to pan wielkiej ławie przysięgłych, doktorku. Dostanę nakaz. Bankowo.

– Wie pan, gdzie mnie szukać – odparł Harry.

Minęła trzecia, gdy wrócił do biura. Poczekalnia była pusta. Mary Tobin sprawiała wrażenie zasmuconej.

– Już dwa razy przesuwaliśmy wizyty pani Gonsalves i dzieci Silvermanów – oznajmiła. – Dora Gonsalves nie protestuje, ale pani Silverman zadzwoniła przed chwilą i kazała wysłać rodzinną kartotekę do doktora Lorello.

– Marv to dobry fachowiec. Doskonale się nimi zaopiekuje.

– Nie martwi się pan?

– Oczywiście, martwię się. Ale co mam na to poradzić?

– Nie wiem. O Boże, tak mi przykro. Chyba już trochę tego dla mnie za dużo.

– Dla mnie też.

– To straszne, co się zdarzyło z Andym Barlowem.

Harry zgniótł leżący na biurku formularz przyjęcia.

– Ten drań, który go zabił, zapłaci za to. Przysięgam. – Rzucił papierową kulka do kosza, ale chybił o pół metra. – Musiałem zadzwonić do rodziny Andy’ego w Delaware i powiedzieć im, co się stało. Nienawidzę tego robić.

Starsza kobieta wstała i objęła go. Jej rodzina przeżyła niejedną tragedię, więc Mary wiedziała, jak przynieść ulgę i pocieszyć. Jej pulchny uścisk miał w sobie ciepło, które przypomniało Harry’emu matkę.

– Mam jeszcze jedną złą wiadomość – powiedziała po chwili. – Sara odchodzi.

Tylko tego brakowało. Sara pracowała u niego jako pielęgniarka od czterech lat. Była inteligentna, chętnie się uczyła i do większości problemów podchodziła w sposób, który Harry’emu bardzo odpowiadał. Pacjenci ją uwielbiali i z pewnością przynosiła gabinetowi więcej dochodów, niż wynosiła jej pensja. Wyjrzał na korytarz. W jej pokoju było ciemno.

– Co się stało?

– Ma już dosyć tego wszystkiego. Myślę, że mąż na nią naciskał. Dziś wyszła wcześniej, bo źle się czuła, ale chce dopracować do końca tego tygodnia, ewentualnie jeszcze tydzień, jeśli pan będzie nalegał.

– Wystarczy ten tydzień – powiedział Harry w roztargnieniu. – Porozmawiam z nią jutro. – Kolejna strata, pomyślał.

– Mary, na kiedy przepisałaś tego człowieka, Waltera Concepcion?

– Na przyszły tydzień. Chyba na środek. Mówił mi coś o tym, co słyszał z pańskiej rozmowy z tym... z tym człowiekiem. Był poruszony.

– Mamy z nim jakiś kontakt?

– Mamy. Nie podał numeru telefonu w kwestionariuszu, ale później zostawił na karteczce.

To chyba taki telefon w korytarzu w jakimś hotelu robotniczym.

– Przepisz ten numer dla mnie. I adres, dobrze? Będę się chciał z nim skontaktować.

W tym momencie zadzwonił telefon w gabinecie w głębi. Prywatna linia. Harry zeszywniał.

– Szybko, Mary – rzucił szeptem, chociaż nikt ich nie słyszał. – Chodź ze mną, może to on.

Pospieszyli przez korytarz. Złapał słuchawkę po czwartym dzwonku.

– Mówi Corbett.

– Cześć, Harry, cieszę się, że cię znalazłem. Tu Doug.

Harry przykrył dłonią mikrofon.

– To Doug Atwater – powiedział rozczarowany. Ale ten morderca nie popełnił dotychczas żadnego błędu, więc dlaczego miałby teraz. Poczekał, aż Mary wyjdzie, po czym zdjął rękę ze słuchawki. – Cześć, Doug.

Atwater był chyba jedyną osobą z całego szpitala, której był w stanie teraz słuchać.

– Harry, właśnie miałem telefon od Owena... chciał wiedzieć, czy z tobą rozmawiałem. Powiedział mi o tym biedaku z piątego piętra gmachu Alexandra. To okropne. Po prostu okropne. Jestem przekonany, że to nie twoja wina.

– Doug, w tym szpitalu grasuje jakiś szaleniec. Zabił Evie, a teraz próbuje mi zaszkodzić w każdy możliwy sposób.

– Owen mówił mi, że tak właśnie twierdzisz.

– To nie moje twierdzenie, to najprawdziwsza prawda.

– Nie denerwuj się. Nic mi nie mówiłeś o żadnych szaleńcach grasujących w szpitalu.

– Przepraszam.

– Podobno pielęgniarki powiedziały Owenowi, że masz zamiar się zwolnić. To prawda?

– Nie, nieprawda. Słuchaj, budowanie mojej pozycji zawodowej zajęło mi dwadzieścia lat. Nie rzucę tego teraz. Poza tym, jeśli nie zostanę i nie będę walczył, nigdy nie znajdą rzeczywistego sprawcy. W tym stanie rzeczy jedynym dla mnie wyjściem jest znaleźć go samemu.

Zostanę i będę walczył, powtórzył w myślach, przypominając sobie jednocześnie, jak parę tygodni temu uskarżał się Philowi, że nie ma o co walczyć.

– Przyjdiesz pogadać o tym z Owenem? – zapytał Atwater.

– Tak. Miałem to zrobić już parę godzin temu, ale utknąłem u tego detektywa. Znasz tego gościa, to Dickinson, ten sam, który zajmuje się śmiercią Evie.

– No nie, przecież to idiota! Tym razem też uważa, że to twoja wina?

– Oczywiście.

– Cholera. Mogę ci jakoś pomóc?

– Żałuję, ale chyba nie.

– I nie masz pojęcia, kim może być ten sprawca?

– Najmniejszego. Zapadło kłopotliwe milczenie.

– Wiesz, Harry – powiedział wreszcie Atwater – może rzeczywiście powinieneś wziąć parę tygodni urlopu, póki emocje trochę nie ostygną? Jestem absolutnie po twojej stronie, wiesz przecież, ale skoro cały średni personel wykopał przeciwko tobie topór wojenny, a Owen ma z tego powodu urwanie głowy, to chyba sam rozumiesz, że sytuacja jest naprawdę delikatna. Cholernie delikatna.

– Ty też mi nie wierzysz, prawda? Słysząc to w twoim głosie.

– Harry, musisz być rozsądny. Ta sprawa ma wiele aspektów...

– Dziękuję za telefon, Doug. Możecie mnie wylać, ale sam nie zrezygnuję.

Odłożył słuchawkę nie czekając na odpowiedź i opadł na oparcie fotela. Jego stary przyjaciel i chyba ostatni sojusznik w szpitalu zrejterował. Atwater nie miał władzy, żeby go usunąć z personelu szpitala, ale mógł mu cofnąć rekomendację zespołu opieki zdrowotnej „Manhattan”. Pacjenci tego zespołu stanowili jakieś czterdzieści do pięćdziesięciu procent jego praktyki. Bez nich nie utrzyma się długo w branży.

W drzwiach stanęła Mary Tobin i zakomunikowała, że wychodzi załatwić kilka spraw na mieście. Harry pożegnał się z nią i bez większego przekonania powiedział, żeby się nie martwiła. O ciosie poniżej pasa, który otrzymał od Atwatera, powie jej dopiero jutro. Dziś nie ma co jej jeszcze dobijać.

Przejrzał papiery na biurku, ale nie znalazł nic pilnego. Wykręcił numer Maury, a potem swojego mieszkania, ale i tu, i tu zgłosiły się tylko automatyczne sekretarki. Na obu zostawił wiadomość, że będzie w domu koło czwartej, po czym zadzwonił do Owena Erdmana i umówił się z nim na spotkanie w celu przedyskutowania swojej przyszłości w Centrum Medycznym „Manhattan”. Następnie posprzątał na biurku, położył stopy na blacie, zamknął oczy i pograżył się w rozmyślaniach, próbując wymyślić jakiś sposób wyrwania się z matni. Na dźwięk dzwonka telefonu omal nie zerwał się na równe nogi. Znow aparatury linii prywatnej. Podniósł słuchawkę, ale nie odezwał się. Zanim usłyszał głos z drugiej strony, wiedział już, że zabójca powrócił. Powrócił, by napawać się swoją przewagą.

– Sekcja zwłok twojego pacjenta nie wykaże nic podejrzanego – oświadczył znajomy głos.

– Skąd pan wie?

– Mam dostęp do silnej i szybko rozkładającej się neurotoksyny. Już nie ma po niej śladu. Używali jej Indianie amazońscy. Nazywamy ich dzikimi, ale w zabijaniu byli wirtuozami.

Harry wyczuwał niewiarygodną pewność siebie swego rozmówcy. Wiedząc, jak niebezpieczne może być rozżłoszczenie mordercy, starannie dobierał słowa.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

– Wycofania się. Tylko tyle. Tak, jak mówiłem przedtem. Najlepiej byłoby, gdyby zostawił pan list. Z przyznaniem się do użycia – co to było? – ach tak, metaraminol. Niefortunne zastosowanie metaraminolu. Wtedy będę mógł zamknąć sprawę.

– Przecież ja w ogóle panu nie zagrozałem. Nikt panu nie może zagrozić. Nie udało mi się

nikogo przekonać, że pan w ogóle istnieje.

Umysł Harry'ego nagle zaczął gorączkowo pracować. Facet jest szalony, owszem, ale też i przebiegły. Dlaczego ryzykuje dzwoniąc do biura, gdzie ktoś jeszcze może usłyszeć jego wynurzenia? Przecież Harry'emu wystarczy jeden sojusznik, jedno wiarygodne zeznanie. A więc zabójca nie tylko wie o prywatnej linii telefonicznej, musi też mieć pewność, że w tej chwili nikt poza Harrym nie może go słyszeć. Skąd może wiedzieć, że nikt nie przysłuchuje się rozmowie? Jest pewny siebie i bezczelny, to pewne, ale w żadnym razie nie jest lekkomyślny. Dlaczego ryzykuje? Harry nie potrafił tego zrozumieć. Nagle olśniło go. Ten drań obserwuje jego gabinet, w tej chwili jest tu gdzieś blisko. Inne wyjaśnienia nie mają sensu.

– Niech pan posłucha, właśnie przyszedł goniec z jednego z biur na górze – powiedział Harry do słuchawki. – Muszę mu dać przesyłkę. Jeśli chce mi pan jeszcze coś powiedzieć, proszę się nie rozłączać, zaraz wracam.

Położył słuchawkę na biurku i rzucił się do drzwi. Po drugiej stronie ulicy był automat telefoniczny. Jego prześladowca musi dzwonić właśnie stamtąd!

Wypadł z budynku na zalaną popołudniowym słońcem ulicę i ledwie uniknął rozjechania przez taksówkę przebiegając na drugą stronę. Budka była pusta, ale jeszcze przed chwilą ktoś z niej korzystał. Słuchawka huśtała się na przewodzie, rzucona w panice. Biała chusteczka leżąca na półeczce wskazywała, że nie ma co szukać odcisków palców. Harry ruszył biegiem w stronę najbliższego rogu, do Piątej Alei. Chodniki były zatłoczone. Rozejrzał się, szukając kogoś zachowującego się podejrzanie, jednak nikogo takiego nie zobaczył. Carla DeJesus, właścicielka sklepiku na rogu, przerwała zamiatanie schodków i pomachała mu przyjaźnie. Pozdrowił ją i zapytał, czy nie zauważyła czegoś niecodziennego albo kogoś biegnącego ulicą. Zaprzeczyła.

Miał ochotę wrzeszczeć, rzucić czymś ciężkim, uderzyć w coś. Ale już zbyt wiele osób miało wątpliwości co do jego zdrowia psychicznego, więc wołał nie pogarszać sprawy.

– Znajdę cię, skurwielu – wymruczał rozglądając się nadal. – Znajdę cię, choćby nie wiem co.

Wrócił do biura, by je zamknąć. Pod wpływem impulsu wykręcił jeszcze raz swój numer domowy. Maura odezwała się po pierwszym sygnale. Dopiero ulga, jaką odczuł słysząc jej głos, uświadomiła mu, jak bardzo się o nią martwił.

– Cześć, Mauro, to ja, Harry.

– Jak się masz, doktorku?

Mówiła zbyt płynnie, zbyt melodyjnie. Poczul, że ogarnia go jeszcze większe przygnębienie.

– Piłaś, Mauro?

Cisza, która nastąpiła po tym pytaniu, wystarczyła za odpowiedź.

– Nie tyle, żeby było o co robić raban.

– Proszę cię – powiedział starając się, by w jego głosie nie słychać było lęku o nią i złości – proszę cię, nie pij więcej. Jesteś mi potrzebna. Zabójca Evie myśli, że to myśmy opłacili kogoś, żeby szedł za nami wczoraj wieczorem. Uważa, że to właśnie ja jestem odpowiedzialny za śmierć

jego człowieka. Żeby się zemścić, parę godzin temu zabił jednego z moich pacjentów, trzydziestotrzyletniego mężczyznę. Wszedł po prostu do jego pokoju i zabił go. A potem zadzwonił do mnie, żeby się pochwalić... – Harry musiał przerwać, by odzyskać panowanie nad sobą. Maura nie odzywała się. – Słuchaj – wykrztusił wreszcie – w tej chwili jesteś jedyną przyjazną duszą, jaką mam na świecie. Nie wiem, co robić. Ten drań powiedział, że nie przestanie nastawać na mnie i na moich pacjentów, dopóki... dopóki sam się nie zabiję.

Z drugiej strony przez następne dziesięć sekund nadal panowała cisza.

- Wracaj do domu, Harry – powiedziała.
- Co zamierzasz zrobić?
- No cóż, chyba zacznę od prysznica.
- Najpierw gorący, potem zimny – doradził.

Rozdział 22

Harry zbyt wiele miał do czynienia z aktywnymi alkoholikami, by nie wiedzieć, że każda obietnica, zwłaszcza ta, że się nie będzie więcej pić, jest nic niewarta. Jechał taksówką spodziewając się najgorszego. Jego zdaniem Maura sama ponosiła odpowiedzialność za to, że znów zaczęła pić. Ale był także przekonany, że wypisano ją ze szpitala przedwcześnie. Nie tyle ze względu na jej operację ani nawet delirium, lecz ze względu na chorobę alkoholową. Należało jej się więcej czasu w szpitalu i kogoś, kto pomógłby jej sporządzić realny plan trzeźwienia. Mogłaby skorzystać z pomocy pracownika socjalnego lub psychoterapeuty, odwiedziliby ją raz czy drugi ludzie z AA, a może i trafiłaby na jakiś czas na zamknięty oddział odwykowy. Tak to się powinno odbywać i kiedyś tak postępowano. Ale ostatnio ze względów oszczędnościowych towarzystwa ubezpieczeniowe do tego nie dopuszczały, nawet wbrew zaleceniom lekarza prowadzącego.

Medyczna baza danych zawierała normy dla każdej możliwej choroby, urazu czy dolegliwości – dla wszystkiego łącznie z trądem i żółtą febrą. Ustalały one czas pobytu w szpitalu, niezbędne zabiegi, limity opłat. Ale nie było normy, która brałaby pod uwagę każdą indywidualną reakcję na chorobę, żadnej normy pod tytułem „Maura Hughes” albo „Harry Corbett”. Nowy wspaniały świat, nowa wspaniała medycyna, pomyślał Harry.

Zapłacił taksówkarzowi, zastanowił się, czyby nie kupić jakichś czekoladek, mogła mieć teraz apetyt na słodczyce, jednak w końcu wrzucił ramionami i wszedł do bloku. Czuł się zgnębiony i obolały. Resztki energii, jakimi dysponował, płynęły z wściekłości i rozczarowania. Andy Barlow nie chciał umierać. W czasie, który mu jeszcze pozostał, chciał projektować domy, chodzić na koncerty i cieszyć się towarzystwem przyjaciół. Ale nie dano mu tej możliwości. Jeśli Maura Hughes wolała niszczyć się sama i pić, póki wytrzyma jej wątroba, żołądek czy mózg, to ani Harry Corbett, ani nikt inny nic na to nie poradzi. Nie będzie cukierków, postanowił gniewnie.

Maura czekała tuż za drzwiami mieszkania. U jej stóp stała torba podróżna.

– Zamierzam wrócić do domu – oznajmiła.

Harry poczuł ukłucie gniewu.

– Bo co? – zapytał. – Bo się napiłaś? A może dlatego, żeby się jeszcze trochę napić?

– I jedno, i drugie. Nie dyskutujmy, Harry, dobra? Nie ma ze mnie żadnego pożytku ani dla ciebie, ani dla mnie samej. Te parę kieliszków więcej czy mniej wcale na to nie wpłynie.

Harry miał ochotę na nią nawrzeszczyć i opowiedzieć jej o Andym Barlowie, którego pozbawiono możliwości decydowania o swoim życiu, powstrzymał się jednak, odetchnął głęboko dla uspokojenia i wziął ją za ramiona. Miała bystry i skupiony wzrok. Prawie na pewno nie wzięła do ust kieliszka od ich rozmowy telefonicznej. Istniała jeszcze niewielka szansa, żeby ją

powstrzymać.

– Pogadajmy – powiedział. – Tylko chwilę.

– Proszę cię, Harry... Nie zamierzam wdawać się z tobą w żadne gierki. Nie użalam się nad sobą i nie chcę, żebyś mnie błagał, bym już nie piła.

– Wcale cię o to nie podejrzewam. Słuchaj, obojgu nam się ostatnio fatalnie układa. Wiem, że głupio ci, że nie możesz sobie przypomnieć, jak ten drań wyglądał. Ja też tego żałuję. Ale skoro nie pamiętasz, to nie pamiętasz. To nie jest najważniejsze. Najważniejsze jest to, że jesteś jedyną osobą, która zna prawdę o mnie i o Evie. Tylko dzięki tobie jeszcze się trzymam. I mam nadzieję, że mogę to samo zrobić dla ciebie. Zostań, porozmawiajmy.

Przez kilka sekund wpatrywała się w niego w milczeniu.

– Czy już ktoś ci mówił, że jesteś podobny do Gene Hackmana?

Harry spojrział na nią zdziwiony. Po chwili zauważył iskierkę drwiny w jej oczach.

– No cóż – powiedział – skoro o tym wspomniałaś...

Rozsiedli się na kanapie w saloniku, pijąc kawę i próbując znaleźć jakieś sensowne wyjaśnienie wypadków, które tak dramatycznie zakłóciły ich życie. Nie doszli jeszcze do żadnych rezultatów, gdy odezwał się pager Harry'ego z komunikatem, że ma zadzwonić do szpitalnego dyspozytora.

Zanim to zrobił, uzgodnił jeszcze z Maurą, że powinna poważnie zająć się swoją chorobą. Odmówiła jednak spędzenia paru tygodni na oddziale odwykowym.

– Co to, to nie – powiedziała. – Nie dam się zamknąć.

Harry zaproponował, żeby pogadała z Murphym Oatesem, pianistą z jego zespołu jazzowego z klubu „Piwnica CC”. Oates, który pił kiedyś na potęgę i na dodatek uzależnił się od heroiny, od dziesięciu lat utrzymywał całkowitą abstynencję.

– Z przyjemnością pogadam z tym twoim przyjacielem – ustąpiła Maura. – I zrobię wszystko, co mi każe... z wyjątkiem zamknięcia w jakimś wariatkowie.

– Zadzwon do niego. Jest pewnie w klubie.

– Teraz?

– Klub jest jeszcze zamknięty, ale muzycy przychodzą parę godzin wcześniej, żeby pograć sobie albo po prostu posiedzieć. Właściwie teraz jest tam najprzyjemniej. Ciemno, spokojnie... zupełnie jak u mamy. Wiesz, przypomniałem sobie, że Andy Barlow przyszedł tam raz posłuchać, jak gram...

Myśli Harry'ego znów powędrowały do zaciemnionego pokoju szpitalnego na piątym piętrze gmachu Alexandra i skupiły się na szczupłej twarzy, wpatrującej się martwo w sufit.

– ... ten szaleniec przyznał się do tego, Mauro – mówił przechadzając się tam i z powrotem po pokoju. – Zwyczajnie zadzwonił i przyznał się do zabicia Andy'ego, jakby... jakby to była kradzież porannej gazety leżącej na progu. I nic nie mogłem na to poradzić. Nic. Co mam robić? Może igrać ze mną do woli. Skacz, Harry. Fiknij koziołka. Padnij. Jak mam go powstrzymać? Kto będzie następny?

– Chodźmy, Harry – oświadczyła nagle Maura. – Chodźmy stąd. Dobrze ci zrobi wizyta w klubie.

– Sam nie wiem... Może najpierw dowiem się, o co chodzi z tym pagerem, zadzwonię do dyspozytora. Potem postanowimy, co robić dalej.

Nie miał dyżuru pod telefonem, więc wezwanie musiało dotyczyć jakiejś sprawy, z którą nie mogą sobie poradzić. Kiedy zadzwonił, dyspozytor, zazwyczaj rozmowny i dowcipny, był chłodny i oficjalny. Najwyraźniej przystąpił do tych, którzy wierzyli, że Harry jest mordercą swojej żony. Najwyraźniej toksyczna plotka zataczała coraz szersze kręgi.

– Doktorze Corbett, dzwonił do pana pan Walter Concepcion – powiedział, nawet nie zadając sobie trudu, żeby wymówić nazwisko z hiszpańska. – Oświadczył, że jest pańskim pacjentem, ale że sprawa nie dotyczy jego zdrowia. Powiedział, że musi porozumieć się z panem osobiście.

Harry zanotował numer, sprawdził, czy to ten sam, który dostał od Mary, i wykreślił go. Po piątym dzwonku odezwała się po hiszpańsku jakaś kobieta.

– *Buenas tardes* – przywitał się Harry. W ciągu ponad dwudziestu lat prowadzenia praktyki lekarskiej na skraju latynoskiego Harlemu dość dobrze opanował hiszpańszczyznę, choć jego akcent nadal pozostawiał wiele do życzenia. – Czy jest Walter Concepcion, *por favor*?

– *Un momento.*

Usłyszał stuk słuchawki i wyobraził sobie kobietę w perkalowej podomce idącą w kierunku sfatygowanych schodów.

– *Walter Concepcion! Telefono!* – usłyszał. Teraz oczami wyobraźni ujrzał swojego wychudzonego, kościstego pacjenta, wsuwającego stopy w parę znoszonych kapci, a potem otwierającego jedne z szeregu drzwi na piętrze podrzędnego pensjonatu i zbiegającego po schodach.

– *Hola* – odezwał się w słuchawce dokładnie w tym momencie, gdy Harry się tego spodziewał.

– Mówi Corbett.

– Dziękuję, że pan tak szybko oddzwonił, doktorze. Ta babka u pana w gabinecie powiedziała mi, co się stało po tym telefonie, który pan odebrał. Przykro mi, że ma pan tyle kłopotów... Chciałbym z panem o tym porozmawiać. Dzwoniłem, żeby spytać, czy znalazłby pan dla mnie chwilkę czasu.

– Właśnie sam miałem do pana dzwonić.

Obejrzał się na Maurę i gestem dał jej znać, że rozmowa nie potrwa długo. Chciał lepiej poznać Waltera Concepcion, zanim poda jego numer telefonu Albertowi Dickinsonowi. Chciał go także przygotować na upokarzający magiel, jakiego mógł się spodziewać ze strony policjanta. Ale przyszło mu do głowy jeszcze coś. Concepcion z uzasadnioną dumą mówił o tym, jak wyszedł z nałogu. Może i na pierwszy rzut oka nie stanowił doskonałej reklamy abstynencji, ale był człowiekiem niewątpliwie inteligentnym i zdawał się poważnie traktować swoje zdrowienie. Gdyby Murphy'ego Oatesa nie było w klubie, Concepcion mógł okazać się dla Maury

zastępczym głosem nadziei.

– Czy możemy się spotkać za jakąś godzinę? – zapytał Harry, choć domyślał się, że były detektyw najpewniej czasu ma pod dostatkiem.

– Proszę tylko powiedzieć gdzie, a będę na pewno – odparł tamten.

Harry zawahał się chwilę, po czym podał mu adres klubu.

„Piwnica CC” była niewielką dziuplą na Pięćdziesiątej Szóstej ulicy, na zachód od Dziewiątej Alei. Odrapane ściany z cegły obwieszane były oprawionymi w czarne ramki zdjęciami jazzowych sław, zaopatrzonymi w ich autografy. Niejeden z tych wielkich całe życie spędził w cieniu, uwikłany w błędne koło nędzy, alkoholu, narkotyków i cierpienia. Sam „CC”, czyli Carl Cataldo, zmarł wiele lat temu i zostawił klub swojej siostrzenicy, Jackie. Z tego, co było widać, poza kilkoma nowymi zdjęciami na ścianach i nowoczesnym systemem nagłośnienia, lokal nie zmienił się wcale od czasu, gdy parę dziesięcioleci wcześniej otworzył go Carl.

Gdy weszli, w ciemnej głównej sali siedziały cztery osoby. Jackie, gadatliwa kobieta w białym poplamionym fartuchu, szykowała bar do otwarcia. Stary portier, który pracował tu od pierwszego dnia otwarcia, zamiatał podłogę. Dwóch gitarzystów brzdąkało na estradzie. Jeden z nich zawołał do Harry’ego:

– Hej, doktoru, może byś przyszedł i porobił nam troszkę na basie?

– Za chwilę, Billy.

– Kiedy zechcesz, chłopie.

– Gdzie może być Murphy?

Gitarzysta pokręcił głową i wy dobył z instrumentu kilka melodyjnych tonów z *I Remember You*. Nikt w klubie ani słowem nie wspominał o rozgłosie, jaki ostatnio otaczał Harry’ego. Przyjaciele ograniczyli się jedynie do wyrażenia współczucia z powodu straty, jaką poniósł. Mieli zaufanie do jego muzyki i mieli zaufanie do niego. Po prostu. I w ośmiomilionowym mieście było to jedyne miejsce, gdzie Harry czuł się naprawdę bezpieczny i akceptowany.

– Idź, pograj z nimi, jeśli masz ochotę – powiedziała Maura sącząc wodę sodową. – Poradzę sobie.

– Dziękuję, ale chyba nie. Wychodząc z domu myślałem, że sobie trochę pogram, jednak teraz wolę tylko zwyczajnie z tobą posiedzieć. Posłuchaj, ten zabójca musiał przechodzić koło mnóstwa ludzi, tam na piątym piętrze Alexandra. Wszedł, wyszedł. Jak mógł być nie zauważony przez nikogo? Ani jedna osoba go nie widziała.

– A jak wszedł do naszego pokoju wtedy, gdy zabił Evie? Po prostu umie się poruszać w szpitalu. Gdybyś miał zbrodnicze zamiary i postanowił zrobić coś takiego, też by ci się udało. Teraz w szpitalach jest tyle napięcia i nerwowości. Wszyscy myślą tylko o tym, żeby nie popełnić błędu. Mają klapki na oczach. Można by słonia prowadzić korytarzami, a nikt by nie zwrócił uwagi.

– Pewnie.

– Tak bardzo chciałabym ci powiedzieć coś, co by ci pomogło... Naprawdę.

– To powiedz, do cholery. Powiedz, że nie wypijesz już ani kieliszka.

Jej oczy pociemniały na chwilę. Po raz pierwszy odezwał się do niej tak szorstko.

– Postaram się – powiedziała. – Wystarczy?

– Na razie.

Zapatrzyła się w swoją szklankę.

– No to opowiedz mi o tym gościu, który ma się tu z nami spotkać – powiedziała pogodnie. – Mówiłeś, że to prywatny detektyw?

– Były. Popadł w tarapaty, bo pił i brał kokainę. Nie wiem, w jaki sposób utracił licencję, ale teraz stara się ją odzyskać.

– O, chyba właśnie go widzę.

Walter Concepcion zamawiał wodę sodową u Jackie, która gestem głowy wskazała mu, gdzie siedzieli. Miał na sobie sportową marynarkę z lekkiej wełny w kratkę i wyglądał znacznie bardziej profesjonalnie niż w gabinecie Harry’ego. Kiedy szedł w ich kierunku, Harry przyglądał mu się badawczo. Zastanawiał się, jaką opinię o nim wyrobi sobie Albert Dickinson. Porusza się niezłe, ma postawę człowieka, który kiedyś uprawiał sporty, pomyślał. Ale nawet dobrze ubrany wciąż wyglądał na rozbitka życiowego i człowieka chorego. Dickinson nigdy nie uwierzy, że już od lat nie ćpa. Harry przedstawił go Maurze.

– Trzy wody sodowe, kiedy dzień aż się prosi o kufelek piwa! Czyżbym nie był jedynym, który rzucił picie?

Harry poczuł zakłopotanie.

– Nic mu nie mówiłem – tłumaczył się Maurze. – Słyszałaś przecież naszą rozmowę.

– Harry pije wodę tylko dla towarzystwa – wyjaśniła Maura. – To ja mam problem.

– W takim razie wypijmy zdrowie tych z problemami. Nasze zdrowie.

– Podoba mi się ten gość – powiedziała Maura, stukając się z nimi szklanką.

Po pięciu minutach rozmowy Harry uznał, że opinia o tym człowieku, jaką sobie wyrobił podczas pierwszego spotkania, była niepełna. Mimo niezdrowej cery i nerwowych tików Walter okazał się interesującym i inteligentnym rozmówcą. Urodził się i wychował w Nowym Jorku, ale w ciągu lat służby podróżował wiele i miał szerokie horyzonty.

Bez kompleksów, a nawet z humorem mówił o swoich pijackich i kokainowych czasach. Ale powaga w jego oczach nie pozostawiała wątpliwości, że bardzo serio traktuje swój problem. W szczycie swojej kariery zarabiał do tysiąca dolarów dziennie i nie narzekał na brak zleceń. Jego upadek zawodowy został przypieczętowany, gdy sprzedał swoją broń za działkę kokainy. W tamtych czasach nic już się dla niego nie liczyło oprócz kolejnego „odlotu”.

– Chodzę głównie na mityngi AN – powiedział Maurze, kiedy już doszli do tego tematu. – Wiesz, Anonimowych Narkomanów. Ale z przyjemnością zabiorę cię na mityng AA, jeśli chcesz. Dla mnie AN, AA czy Anonimowe Żarłoki to zawsze to samo.

– Chyba im prędzej, tym lepiej – przyznała Maura.

Jackie przyniosła im słone paluszki i następną kolejkę wody sodowej. Do dwóch gitarzystów dołączył Hal Jewell, perkusista, który przypominał Harry'emu Buddy'ego Richa, i saksofonista Brisby, który był udziałowcem jednej z najlepiej prosperujących murzyńskich kancelarii prawniczych w mieście. Grali właśnie balladę, której Harry jeszcze nie słyszał. Minęły trzy kwadranse. Dzięki muzyce i miłej niespodziance, jaką mu sprawił Walter Concepcion, udało mu się trochę stłumić szarpiący ból, który go prześladował.

Ballada wpadała w ucho i świetnie brzmiała w prawie pustej sali. Słuchali w ciszy, aż umilkły ostatnie melancholijne nuty saksofonu Brisby'ego. Walter odchrząknął i zwrócił się do Harry'ego:

– Doktorze Corbett, muszę coś panu powiedzieć. Naprawdę cierpię na bóle głowy, na które nic dotąd nie pomaga. Ale jest inna przyczyna, dla której chciałem pana poznać... Mam nadzieję, że nie będzie pan zły. Ale gdyby tak było, zrozumiałbym.

– Proszę mówić.

– Chciałem panu powiedzieć to już wtedy, w pana gabinecie, ale przerwał nam ten telefon i wybiegł pan, zanim zdążyłem. Panie doktorze, czytałem o panu w gazetach. Prawdę mówiąc przeczytałem wszystko, co mi wpadło w ręce na temat tego, co spotkało pana i pana żonę w szpitalu. Zafascynowało mnie to. Rozmawiałem nawet z siostrą znajomego, która jest w tym szpitalu pielęgniarką. Opowiedziała mi o... hmm... o nieporozumieniu, jakie miał pan z tym chirurgiem... Jak on się nazywa?

Harry przez chwilę miał ochotę natychmiast zakończyć tę rozmowę. Ale w ciągu ostatniej godziny przekonał się, że Walter Concepcion nie jest idiotą. I nie wyczuwał w jego głosie nic niepokojącego ani obsesyjnego.

– Sidonis – odparł. – Caspar Sidonis.

– Właśnie. Ja... – Walter opuścił wzrok na ręce – ja nawet wiem o pani, Mauro, zakładając, że jest pani tą Maura, która leżała z panią Corbett w pokoju. Nie wiem zbyt dużo, ale wystarczająco wiele, żeby zdawać sobie sprawę, iż tylko niektóre osoby w szpitalu wierzą w pani zeznanie.

– Niech pan lepiej przejdzie do rzeczy.

– Sedno tkwi w tym, że potrzebuję pracy. Wiem, że teraz na to nie wyglądam, ale kiedyś byłem dobry w swojej robocie. Cholernie dobry. Pan twierdzi, że nie zabił pan żony. Maura twierdzi, że ktoś jeszcze wszedł do pokoju po panu. Chciałbym dowiedzieć się, kto to był. Jeśli mi się uda, zapłaci mi pan. Jeśli nie – zwróci mi pan tylko poniesione koszty.

Harry przyglądał mu się uważnie. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że można wynająć kogoś, kto mu pomoże w tej sytuacji. Ale teraz stwierdził, że to z pewnością dobry pomysł. Jednak Walter Concepcion wcale nie wyglądał na idealnego kandydata. Poczł falę współczucia, kiedy wyobraził sobie tego człowieka w jego nędznym pensjonacie, jak wyciąga z szafy najlepsze ubranie w nadziei, że trafi mu się robota.

– No, nie wiem... – mruknął.

– Powiedz mi coś, Walterze – powiedziała Maura. – Co sądzisz o tym wszystkim?

Walter Concepcion w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

– Cóż, nie mamy tu do czynienia z zazdrosnym mężem, to jasne jak słońce. Mamy do czynienia z socjopatycznym zawodowym mordercą, człowiekiem bez skrupulów. Doktor Corbett zupełnie nie pasuje do tego wizerunku. I dlatego nie wierzę, żeby to on zrobił.

– Ma pan rację – potwierdził Harry.

– Nie wierzę również, żeby to pan wynajął człowieka, który to zrobił.

– Oczywiście, że nie.

Harry pomyślał, że dobrze byłoby mieć kogoś, kto zająłby się szukaniem dowodów, że to nie on jest mordercą. Miał również uznanie dla zdolności zawodowych Waltera. Ale niechętnie myślał o wchodzeniu w układ z człowiekiem, o którym wiedział tak niewiele. Z rozterki wybawiła go Maura.

– Umowa stoi – oświadczyła.

– Co?

– Harry, masz ochotę się zgodzić, sam przecież wiesz. Nie mamy wyjścia. Nie mamy nawet cienia pomysłu, co robić dalej. Walter może nam pomóc, czuję to przez skórę.

– Naprawdę sądzę, że mogę, doktorze Corbett – powiedział Concepcion.

Harry zwlekał jeszcze piętnaście sekund, ale wyłącznie dla zachowania pozorów.

– Skoro masz dla mnie pracować, to mów mi Harry – odezwał się wreszcie.

– Obiecuję, że się nie rozczarujesz.

Przez następne pół godziny Harry wtajemniczał go we wszystkie szczegóły sprawy. Walter słuchał uważnie, wtrącając od czasu do czasu pytanie.

– Czy ten technik, który zdejmował odciski palców, słyszał coś z tego, o czym mówiłeś?... Czy podejrzewałeś kiedykolwiek, że żona ma romans?... Czy dowiedziałeś się czegoś o tych nazwiskach, które znalazłeś w jej notesie z adresami?... Czy domyślasz się, dla kogo mogła pracować twoja żona?...

Nim Harry skończył, minęły dwie godziny. W klubie zaczęli się pojawiać pierwsi goście.

– No i co o tym sądzisz? – zapytał byłego detektywa.

Concepcion pokręcił wąską złotą obrączką, którą nosił na środkowym palcu prawej ręki.

– Myślę, że musimy za wszelką cenę dowiedzieć się, dla kogo pracowała Desiree. Od tego chciałbym zacząć.

– Powodzenia – powiedział Harry. – Ale co my mamy tymczasem robić?

– Musicie wydobyć twarz tego człowieka z zakamarków mózgu Maury.

– Masz na myśli hipnozę?

– To dobra myśl.

Harry podrapał się po głowie.

– Wiesz co, Mauro? To ja miałem zaćmienie umysłowe, że od razu na to nie wpadłem.

– Miałeś inne sprawy na głowie – pocieszyła go. – Słuchaj, spróbuję wszystkiego. Może

warto dołożyć parę dolców i niech ten, kto mnie będzie hipnotyzował, przekona moją podświadomość, że „Pocieszyciel Południa” to straszne świństwo. Znasz kogoś, kto mógłby to zrobić?

– Owszem, znam. Nazywa się Pavel Nemeč, ale pracuje pod pseudonimem „Węgier”.

– Ostatnia deska ratunku dla palaczy! – wykrzyknęła Maura. – Słyszałam, że na wizytę u niego trzeba czekać pół roku.

– Leczyłem jego syna i mam jego domowy telefon. Jeśli to będzie możliwe, przyjmie nas już jutro.

Walter zagwizdał.

– Musiałeś chyba dokonać cudów z jego synem.

– Tak naprawdę to nie – odparł Harry. – Ale Pavel myśli, że tak. – Odwrócił się do Waltera.

– No to w porządku. Możemy działać.

– No, prawie – były detektyw spojrzał na niego ostrożnie. – Będę potrzebował trochę pieniędzy na wydatki, a jeszcze więcej na zdobycie informacji, jeśli się to okaże konieczne. Ale nie martw się. Rozliczę się ze wszystkiego.

– O jaką kwotę chodzi?

– Na wydatki wystarczy jakieś pięćset.

– A na te informacje?

– Bo ja wiem... Z tysiąc.

– Tysiąc pięćset dolarów! – wykrzyknął Harry. – Zdawało mi się, że mówiłeś, że jeśli nie będzie wyników, to nie płacę.

– Jestem zawodowcem. Wiem, na czym polega zdobywanie informacji. Jak myślisz, ile dostał ten facet za zabicie twojej żony?

– Dobra, dobra. Punkt dla ciebie. Podjedź jutro rano do mnie do gabinetu, dostaniesz tę forszę.

– W porządku. Nie rozczarujesz się.

– Już to raz mówiłeś. Półtora tysiąca dolców temu.

Walter wstał i pożegnał się z nimi.

– Mauro, wybierzemy się na mityng jutro lub pojutrze. Obiecuję – powiedział.

– Świetnie. Jestem gotowa.

Ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się w drzwiach.

– Harry...?

– Co znowu?

– Jeśli masz przy sobie parę groszy, to poprosiłbym o małą zaliczkę już teraz.

Harry wręczył mu dwudziestkę, i po chwili wahania jeszcze jedną.

– Dlaczego mam wrażenie, że wpadłem w studnię bez dna? – mruknął.

Concepcion uśmiechnął się tylko i wyszedł.

– Czyżbym rzeczywiście wpadł? – zapytał Harry.

Maura pokręciła głową.

– Po prostu nie znasz realiów życia. Człowiek musi jeść. Ja mu ufam. Poza tym już podałem dwa dobre pomysły, na które sami nigdy byśmy nie wpadli.

– Powinienem być sam pomyśleć o hipnotyzerze.

Rozdział 23

Czekając na rozpoczęcie posiedzenia Okrągłego Stołu, Kevin Loomis leżał na obszernym łożu w swoim pokoju w „Apartamentach Garfield”. Tydzień minął, odkąd się dowiedział o morderstwie Evelyn DellaRosa. Zastanawiał się wiele razy w ciągu tych dni, czy nie wytropić Sir Gawaine’a, żeby dowiedzieć się, czy on też uważa, że to była Desiree. Ale gdyby ktokolwiek z grupy dowiedział się, że próbuje zdekonspirować tożsamość innego rycerza, byłby to jego koniec. Na razie postanowił trzymać gębę na kłódkę i czekać w nadziei, że Gawaine sam nawiąże do sprawy.

Młoda piękność o imieniu Kelly siedziała okrakiem na pośladkach Kevina i rozmasowywała napięte mięśnie jego krzyża. Jedwabna orientalna suknia dziewczyny, dziś czerwona ze złotą nicią, wisiała przerzucona przez poręcz fotela wraz z czarnymi koronkowymi figami. Kevin przyglądał się odbiciu Kelly w lustrze po drugiej stronie pokoju, podziwiał jej jędrne, wysoko osadzone piersi, małe ciemne sutki i doskonałą linię bioder i pupy. Kelly. Kolejne nic nie znaczące imię, pomyślał. Jak Lancelot, Merlin, Desiree i cała reszta. Imiona-cienie, bez znaczenia, stworzone tylko po to, by ukryć tajemnice. Imiona, które znikają w świetle dnia.

– Czy Kelly to twoje prawdziwe imię?

Zobaczył jej uśmiech w lustrze i poczuł się głupio. Pewnie każdy zadawał jej to pytanie.

– Jeśli chcesz, żeby było prawdziwe, to jest – odpowiedziała miękko.

Kevin zamknął oczy i poczuł, że robi mu się nieswojo. Ta olśniewająca dziewczyna była gotowa, jeśli tylko tego zapagnie, oddać mu się w najbardziej wyrafinowany sposób, ale nie mogła zdradzić mu swojego prawdziwego imienia. Kim ona jest? Dziennikarką? Studentką fizyki jądrowej na uniwersytecie Kolumbii? A może po prostu dobrze zapowiadającą się kurewką? Kelly, Tristan, Desiree, Galahad, Gawaine. Imiona-cienie.

Co powiedziałyby Nancy, gdyby się o tym wszystkim dowiedziała? – zastanawiał się. Czy byłaby w stanie uwierzyć, że włączył się w coś takiego? Czy on sam jest w to uwierzyć?

– Wezmę teraz prysznic – powiedział obracając się na wznak.

Kelly pochyliła się i pocałowała jego członek, który natychmiast zaczął się podnosić.

– Chcesz, żebym poszła z tobą?

– Nie – burknął niezbyt grzecznie. – Ubierz się i zamów coś na kolację... Wszystko jedno co, byle najdroższe z karty.

– Średnio krwista polędwica – powiedziała. – Pamiętam.

Kiedy Kevin wszedł do sali posiedzeń, od razu poszukał wzrokiem Gawaine’a. Z jego ubioru i manier wnioskował, że ma za sobą prywatną szkołę średnią i jakiś dobry uniwersytet ze Wschodniego Wybrzeża. Ale dziś jego gładkie obojętne i uśmiech wydawały się wymuszone.

Stół otaczało siedem krzeseł z wysokimi oparciami, rozstawionych w sporych odległościach. Mosiężna tabliczka z imieniem Tristana była umieszczona w zwykłym miejscu, między Kayem a Lancelotem. Gawaine ruszył w kierunku swojego krzesła, które znajdowało się prawie vis-à-vis Kevina.

Kevin pochwycił jego wzrok, ukłonił się i podszedł.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Oczywiście – odparł Gawaine.

– Lancelot przysłał mi teraz chińską dziewczynę. Jedenastka w dziesięciostopniowej skali, jak twierdzi. Myślę, że stara się zatrzeć złe wrażenie po Desiree.

– Pewnie tak. – Gawaine uśmiechnął się z zakłopotaniem i odsunął krzesło.

Zanim Kevin zdążył coś jeszcze powiedzieć, Merlin rozpoczął posiedzenie.

Może w ogóle nic nie wie o Evelyn DellaRosa, pomyślał Kevin. Może nawet nie widział jej zdjęć.

Sprawozdanie finansowe Galahada ujawniło, że wpłaty firm członkowskich doprowadziły ich kapitał obrotowy do uzgodnionej wysokości sześciuset tysięcy dolarów. Kevin nie miał pojęcia, w jaki sposób uzgodniono tę kwotę, nie wiedział też, jakie obowiązują tu reguły. Nie prowadzono żadnych protokołów, nie rejestrowano głosów, żadnej roboty papierkowej. Ale każdy wydawał się doskonale wiedzieć, czego oczekuje się po każdym z nich.

Pierwszy przemawiał Kay, relacjonując jeden z trzech dużych programów, które miano dzisiaj omawiać. Z zadowoleniem oznajmił, że udało się uzyskać obietnicę wymaganej liczby głosów, żeby przeszedł przepis zezwalający firmom na przeprowadzanie badań genetycznych wszystkich przyszłych pracowników. Najpierw formalne testy psychologiczne, potem badania na AIDS, teraz wreszcie badania genetyczne. Wszyscy wiedzieli, że te badania nie mają żadnego znaczenia dla samych firm, natomiast ubezpieczycielom zdrowotnym pracowników owych firm zaoszczędzą dziesiątki, jeśli nie setki milionów dolarów.

– Jak zwykle będą próby zaskarżenia tego przepisu – wyjaśniał dalej Kay – ale sądzę, że mamy nad tym kontrolę. Uchwalenie, a potem ewentualne zaskarżenie i podtrzymanie zaskarżenia tego przepisu zajmie co najmniej rok, może trochę dłużej, jeśli związki zawodowe wezmą naprawdę szczwanych prawników. Ale wygramy.

– Im szybciej, tym lepiej – powiedział Lancelot. – Jeśli o mnie chodzi, to wprowadziłbym obowiązkowe badania genetyczne już przy przyjmowaniu do przedszkola. Wszędzie pełno cholernych mutantów.

Wokół stołu rozległy się śmiechy. Kevin udał, że też go to rozbawiło, i zauważył, że śmiech Gawaine'a również wyglądał na wymuszony.

Kayowi podziękowano za sprawozdanie pełnym aprobaty stukaniem piórami w stół. Parsifal głośno zaklaskał. Dziesiątki milionów wzrostu zysków dla branży – a może więcej. Kevin pomyślał o liczbie, którą podał mu Burt Dreiser tego ranka, gdy spotkali się na jachcie. Dziewiętnaście milionów dolarów. Tyle firma byłego rycerza straciła w ciągu jednego roku przez

to, że nie została dopuszczona do Okrągłego Stołu. Dziewiętnaście milionów dolarów. Zakładając, że towarzystwo ubezpieczeń zdrowotnych „Korona” odnosi z tytułu udziału Tristana w Okrągłym Stole podobne korzyści, jego premia wyniesie jeden procent tej kwoty, a więc sto dziewięćdziesiąt tysięcy do pensji podstawowej.

Skoro nikt nie wspomina Desiree, nie będzie sam wchodził na śliski grunt.

Następnie przyszła kolej na Gawaine’a, który podał aktualne informacje o swoim najnowszym dokonaniu – ustawie umożliwiającej ubezpieczycielom zdrowotnym zdecydowanie, jakie leczenie jest odpowiednie, a jakie nie dla pacjentów cierpiących na choroby nierokujące nadziei wyzdrowienia. Kevin przyglądał mu się uważnie i widział, jak przekłada papiery i bawi się ołówkiem. Nie ma wątpliwości, pan Sztywniak jest dziś zdenerwowany.

– Proszę zwrócić uwagę – mówił Gawaine – że używam określenia „pacjent cierpiący na chorobę nierokującą nadziei wyzdrowienia”, a nie „beznadziejnie chory pacjent”. Jeśli zezwoli się nam na uznanie pewnych chorób za nieuleczalne, będziemy mogli zająć się problemem określenia, od jakiego momentu opieka szpitalna w tych przypadkach nie uzasadnia poniesionych kosztów. Oczywiście im wcześniej będziemy mogli wkroczyć w ten proces, tym lepiej. Musimy mieć prawo odmowy ponoszenia kosztów leczenia tych pacjentów w sytuacji, gdy nie ma żadnej nadziei wyzdrowienia. Klimat ustawodawczy dla tej sprawy jest obecnie doskonały. Komisarz, którym zajmował się Tristan, został przywołany do porządku, więc nie będzie żadnych problemów. Od lat próbowaliśmy ugryźć ten problem, przekonując ustawodawców i opinię publiczną, że skoro to my płacimy rachunki, musimy mieć prawo do decydowania o leczeniu. Obecnie wygląda na to, że uda nam się zrobić duży postęp. Lancelocie, czy zechciałbyś zabrać teraz głos?

Lancelot odłożył swoje nie zapalone cygaro na bok i odchrząknął. Nigdy nie palił cygara w czasie sesji Okrągłego Stołu, ale nie ruszał się bez tego rekwizytu. Uśmiechnął się porozumiewawczo do Gawaine’a i podniósł do góry kciuk. Kevin zwrócił uwagę, że Gawaine prawie nie zareagował.

– Najciekawszą częścią tego programu – zaczął Lancelot – jest sieć zakładów, które nazywamy „ośrodkami niesienia ulgi”, miejsca, gdzie będzie się wysyłać pacjentów, których uznamy za nieuleczalnie chorych. Otrzymają tam podstawową, niekosztowną opiekę. Będzie to coś pośredniego między szpitalem a domem starców, ale o znacznie niższych kosztach funkcjonowania. Żadnych zabiegów, żadnych kroplówek, żadnego leczenia. Jedynie środki znieczulające, podawane przez całą dobę w absolutnie humanitarny sposób. Zamierzamy sami projektować takie ośrodki, a nawet powołać korporację, która będzie je prowadziła. Obecnie skupujemy tereny pod ich budowę.

Nastąpiła półgodzinna dyskusja na temat „ośrodków niesienia ulgi”, po czym znów zabrał głos Merlin.

– To było bardzo owocne posiedzenie – oznajmił radośnie. – Mam przyjemność donieść panom, że z mojego frontu też mamy dobre wieści. Zastosowaliśmy na ograniczoną skalę

program modyfikacji zatrudnienia i dziś pragnę przedstawić panom rezultaty pierwszych dziesięciu przypadków. W każdym z nich posiadacz polisy został zwolniony z pracy. Niektórzy znaleźli zatrudnienie w firmach, których ubezpieczycielami są towarzystwa nie będące członkami Okrągłego Stołu. Inni zgodnie z prawem przyznanym im przez ustawę mają jeszcze ubezpieczenie przez półtora roku, wnosząc regulaminowe składki. Inni zakwalifikowali się do powszechnego ubezpieczenia społecznego. Tak czy siak, w większości przypadków udało nam się wymigać z płacenia za ich leczenie.

Kevin w ogóle nie mógł sobie przypomnieć o żadnym programie „modyfikacji zatrudnienia”. Najwyraźniej Merlin używał wpływów i pieniędzy Okrągłego Stołu, żeby doprowadzać do wyrzucania z pracy tych ubezpieczonych, których leczenie stawało się zbyt kosztowne. Po raz pierwszy celem akcji Okrągłego Stołu były indywidualne osoby. Przejrzał egzemplarz wydruku, który rozdał wszystkim Merlin. U góry kartki, pod nagłówkiem „Warunki”, wypisano czynniki, które wykorzystywał komputer przy wyborze przypadków. Lista zawierała dziesięć nazwisk, przy każdym widniała nazwa towarzystwa ubezpieczeniowego, diagnoza i suma ubezpieczenia w dolarach. Najmniejsza kwota wynosiła dwieście tysięcy dolarów, największa milion siedemset tysięcy. Czwarta pozycja odnosiła się do ubezpieczonego przez towarzystwo „Korona”.

Nazwisko ubezpieczonego	Imię pacjenta	Ubezpieczyciel	Diagnoza	Kwota
DeSenza Elizabeth	Ryan	„Korona”	Uraz głowy	1300000

Kevin wpatrywał się w to nazwisko, starając się nie zmieniać wyrazu twarzy. Beth DeSenza była robotnicą w wielkiej fabryce odzieżowej za miastem. Jej syn, Ryan, doznał chwilowego zatrzymania akcji serca po uderzeniu piłką baseballową w klatkę piersiową, czego rezultatem było uszkodzenie mózgu. Dzięki wszechstronnemu rodzinnemu ubezpieczeniu zdrowotnemu wykupionemu dla pracowników przez fabrykę, Ryan mógł zostać pacjentem jednego z najlepszych i najdroższych szpitali psychoneurologicznych w mieście. Właśnie Kevin podpisywał umowę ubezpieczeniową tej robotnicy z jej związkiem zawodowym. Beth dowiedziała się jego nazwiska – a była jedynym ubezpieczonym w ciągu wszystkich lat pracy Kevina w „Koronie”, który się na to zdobył – i napisała do niego list z podziękowaniem za rolę, jaką odegrał w zapewnieniu opieki zdrowotnej jej dziecku. Załączyła zdjęcie Ryana sprzed wypadku, z kijem w ręku, szczerzącego zęby spod za dużej o dwa numery czapeczki baseballowej. Nancy, gdy przeczytała ten list, kazała go oprawić i powiesić na ścianie. Teraz zaś okazuje się, że Beth już nie przysługuje prawo do leczenia, przynajmniej nie na takim poziomie, jaki zapewniała „Korona”. Indywidualna składka przy kontynuacji ubezpieczenia była bardzo wysoka i z pewnością jej na to nie stać, nawet przez ten krótki okres, na jaki zezwala prawo. Tristan poczuł mdłości.

– ... wstępne szacunki pozwalają sądzić, że jeśli nie będzie się nadużywać tego programu, a nasze firmy zdadzą sobie sprawę, że korzyści ich także dotyczą, możemy oczekiwać oszczędności rzędu trzech do sześciu milionów dolarów miesięcznie – ciągnął Merlin. – Nie jest to może kopalnia złota, ale takie pieniądze piechotą nie chodzą.

Rozległy się aprobujące postukiwania.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego nie zawiadomiono towarzystw, których polisami dysponowali ci ludzie, zanim skreślono ich z naszej listy – zapytał nagle Kevin.

W sali zapadła grobowa cisza.

– Tristanie, nie bardzo rozumiem, co miałeś na myśli – powiedział wreszcie Merlin.

Ton i wyraz twarzy były obojętne, ale Kevin poczuł łomot pulsu w skroniach. Wydawało mu się, że wszystko dzieje się na zwolnionym filmie. Sześć nieruchomych twarzy, jak twarze w muzeum figur woskowych.

Nagle jego wzrok przyciągnął jakiś ruch. Gawaine, siedzący naprzeciwko, pokręcił prawie niezauważalnie głową. Jego oczy, wpatrzone w oczy Kevina, płonęły. Tristan widział, jak jego wargi poruszają się i usłyszał nie wypowiedziane słowo tak, jakby zostało mu wykrzywane wprost do ucha: „Nie”.

Wszyscy byli skupieni tylko na nim, był więc pewien, że nikt oprócz niego nie zauważył tego niemego ostrzeżenia.

– Po prostu... przepraszam, chciałem tylko zapytać, dlaczego nie sprawdzono u każdego z nas, czy nie ma więcej takich nazwisk.

– Aha, o to ci chodziło – odparł Merlin. – Dziękuję za wyjaśnienie. Omal nie doszło do nieporozumienia.

– Może ja będę mógł odpowiedzieć na twoje pytanie, Tristanie – powiedział Kay – ponieważ to ja zaprojektowałem ten program. Decyzje oparte są wyłącznie na kryteriach ekonomicznych i dokonuje ich komputer, aby zapewnić absolutną obiektywność. Jak widać z listy czynników branych pod uwagę, należy przetworzyć ogromną liczbę danych. Za każdym razem przegląda się zbiór tysięcy ubezpieczonych. Żaden z nas nie byłby w stanie takiego przeglądu dokonać sam, a już na pewno nie z taką dokładnością, jak to robi komputer.

Rycerze przenieśli swoje zainteresowanie na Kaya – z wyjątkiem Gawaine’a, który wciąż nie odrywał wzroku od Kevina. Jego twarz była spięta i spocona. Nie wypowiedziane ostrzeżenie nadal biło z jego oczu.

– Rozumiem – Tristan zmusił się do uśmiechu. – Teraz już wszystko rozumiem.

Spotkanie rycerzy Okrągłego Stołu zakończyło się bez dalszych incydentów. Uczestnicy opuścili salę obrad w odwrotnym porządku, niż przybyli. Kevin przez chwilę myślał, żeby spróbować złapać Gawaine’a i poprosić go o wyjaśnienie. Ale nie znał numeru jego pokoju, a wałęsanie się pod salą obrad uznał za zbyt ryzykowne. Wrócił do swojego pokoju bardzo wzburzony.

Kelly, ubrana wyłącznie w figi, leżała na łóżku i oglądała telewizję, skubiąc winogrona pozostałe po kolacji. Najwyraźniej czuła się jak u siebie w domu.

Kevin zarzucił na nią sukienkę.

– Możesz iść – powiedział.

– Miałam być u ciebie do rana.

– Nie musisz. Nie powiem nikomu i ty też nie mów. Ale wyjdź ostrożnie. Zobaczymy się następnym razem.

Kelly odrzuciła sukienkę, wspięła się na palce i pocałowała go namiętnie. Wziął jej pierś w swoją dłoń. Jej sutek nabrzmiął natychmiast. Gładkie, smukłe ciało dziewczyny przylgnęło do niego.

– Pragnę cię – wyszeptwała.

Przez chwilę nie mógł oderwać od niej myśli. Jak dotąd nie uległ i nie kochał się z nią, ale wiedział, że coraz bliżej do tego z każdą ich wspólną chwilą. Być może właśnie to mi potrzebne, przeszło mu przez głowę. Daj sobie spokój z demonami, które cię nękają, ucieknij im.

– Pragnę cię – powtórzyła. Nadal wspięta na palce, ujęła jego penis i wsunęła sobie między uda. – Tak bardzo chcę ci się oddać.

Wziął ją za ramiona i odsunął na odległość wyciągniętych rąk. Była elementem Okrągłego Stołu, należała do nich. Jeszcze jedno imię-cień. Zawładnie nim i jeszcze mocniej zwiąże go ze stowarzyszeniem. Być może obiecano jej premię, jeśli skłoni go, by się z nią pieprzył.

– Wyjdź! – warknął. – Natychmiast.

Zawiedziona mina Kelly wyglądała autentycznie. Kevin był pełen podziwu dla jej fachowości. Zarzuciła sukienkę na głowę i odwróciła się do niego plecami, żeby pomógł jej zapiąć zamek błyskawiczny.

– Następnym razem? – zapytała.

– Zobaczymy. A teraz idź już, proszę.

Odczekał kilkanaście sekund po zamknięciu za nią drzwi na klucz, po czym wlał do szklanki trochę burbona i przelknął jednym haustem. Dopóki nie przeczytał na liście Merlina nazwiska Beth DeSenza, żaden z programów Okrągłego Stołu nie wywoływał u niego moralnych dylematów. Dotyczyły głównie legislatur stanowych. Komisarz ubezpieczeniowy był nadętym draniem, którego interesowała wyłącznie kariera polityczna, więc rozgrywka z nim była według Kevina fair. Sabotaż skierowany przeciw konkurencyjnym firmom również nie budził wątpliwości – w branży ubezpieczeniowej od dawna rządzą prawa dżungli. Ale tu sprawa wyglądała inaczej. Chodziło o konkretną osobę z krwi i kości. Nie miał nic przeciwko temu, żeby stać za linią frontu i strzelać w przeciwnika kartaczami, tu jednak chodziło o walkę wręcz.

Zdał sobie sprawę, że tkwi w tym po uszy i nic na to nie może poradzić. Musi się dostosować. To cena dwunastopokojowego domu i bezpiecznej przyszłości dla rodziny. Poszedł na to i teraz nie ma wyboru, musi tańczyć, jak mu zagrają. Następnym razem, gdy Kelly do niego przyjdzie, będzie gotów... na wszystko.

Nalewał sobie właśnie podwójną miarkę, gdy zadzwonił telefon.

– Słucham?

– Tu Gawaine – usłyszał szept. – Możesz mówić?

– Tak, jestem sam.

– Odesłałeś dziewczynę?

– Tak.

– Boże! Nawarzysz sobie piwa. Moja jest w drugim pokoju.

– Co się dzieje? Dlaczego powstrzymałeś mnie na posiedzeniu?

– Znam twoje nazwisko. Znasz moje?

– Nie.

– Nazywam się Stallings. Jim Stallings. Jestem wiceprezesem manhattańskiego oddziału Międzystanowej Opieki Zdrowotnej.

Kevin znał dobrze tę ogromną firmę. Kiedyś ubiegał się u nich o pracę w dziale akwizycji.

– Co dalej?

– Loomis, musimy porozmawiać. Jutro, w samo południe. Możesz?

– Mogę, ale...

– W parku Battery. Ławki od strony rzeki. Upewnij się koniecznie, czy nikt cię nie śledzi.

– Ale...

– Proszę. Poczekaj do jutra i uważaj.

– Tylko jedno – szybko powiedział Kevin. – Widziałeś zdjęcia tej DellaRosa?

– Oczywiście.

– Myślisz, że to Desiree?

– Nie mam najmniejszych wątpliwości. Nie byłem pewien, czy ty też jesteś pewien. Nie byłem pewien, czy nie jesteś jednym z nich. Ale po dzisiejszych obradach postanowiłem zaryzykować i założyć, że jesteś outsiderem, tak jak ja. Prawdę mówiąc, ryzykuję życie.

Kevin przez kilka sekund słuchał ciągłego sygnału, a potem odłożył słuchawkę i podszedł do okna. Czternaście kondygnacji niżej nieliczne pojazdy przemykały się prawie pustymi ulicami. Przed wejściem do hotelu zatrzymała się taksówka. Wsiadła do niej pospiesznie kobieta w obcisłej, połyskującej czerwonej sukni. Kevin przeczuwał, że widział tę kobietę i dotykał jej wspaniałego, jędrnego ciała po raz ostatni. Rzucił okiem na zegarek. Jedenaście godzin. Pozostało mu jedenaście godzin do spotkania w parku Battery.

Rozdział 24

O wpół do czwartej rano Maura zrezygnowała z dalszych prób zaśnięcia i na palcach wyszła z pokoju gościnnego do saloniku. Przez niedomknięte drzwi widziała śpiącego w sypialni Harry'ego. Po ich powrocie z klubu myślała przez chwilę, że zaprosi ją do swojego łóżka. Lubił ją, to nie ulegało wątpliwości. Ale istniały powody, mnóstwo powodów, żeby nie dopuszczać do zupełnej bliskości, a podstawowy powód był taki, że wczoraj po południu poddała się swoim frustracjom i znowu zaczęła pić.

Może to i lepiej, pomyślała. Ani ona, ani on nie byli przygotowani na jakieś emocjonalne powikłania. Nie pamiętała jednak, żeby jakiś mężczyzna pociągał ją bardziej niż on. A co ważniejsze, był to jeden z najsympatyczniejszych i najmiłszych mężczyzn, jakich spotkała w życiu. Tak przyjemnie byłoby się do niego przytulić, a potem zobaczyć, co z tego wyniknie.

Zapaliła światło i podeszła do biblioteczki w poszukiwaniu czegoś lekkiego do poczytania. A może lepiej wziąć coś poważnego? Wyciągnęła broszurowe wydanie poezji Byrona. Na stronie tytułowej widniał starannie wykaligrafowany podpis: Evelyn DellaRosa. Oczywiście, to jeszcze jeden powód, żeby Harry utrzymywał dystans. Zamknęła książkę i wsunęła ją na miejsce. Tak wiele razem z Harrym przeszli od śmierci jego żony. Łatwo było zapomnieć, że minęło zaledwie parę tygodni.

Przejrzała półki jeszcze raz i wreszcie usadowiła się w fotelu z ilustrowanym albumem o Irlandii. Za sześć godzin mają spotkać się z Pavlem Nemecem. Rozpaczliwie chciała, żeby ta sesja się powiodła. Wyciągnięcie twarzy zabójcy Evie z podświadomości zmaże poczucie winy spowodowane pić. Nigdy dotąd nie była poddawana hipnozie i nie miała pojęcia, czy nie przespana noc przed seansem zaszkodzi, czy pomoże, ale jeśli legendarny „Węgier” jest rzeczywiście taki wspaniały, jak głosi jego reputacja, to z pewnością sobie z tym poradzi.

Tak jak Harry przewidział, Nemeć, gdy tylko usłyszał, o co chodzi, natychmiast znalazł dla nich czas.

– Co takiego naprawdę uczyniłeś dla jego syna? – spytała Maura, gdy Harry umówił się na spotkanie.

– Dla Ricarda? Naprawdę nic. Po prostu robił u mnie rutynowe badanie przed wyjazdem na obóz z orkiestrą młodzieżową. Gra na waltorni.

– I co?

– I znalazłem u niego pod pachą mały guzek, który mi się nie spodobał.

– Nowotwór?

– Ziarnica złośliwa. Na szczęście we wczesnym stadium. Minęło sześć lat, więc można go uznać za wyleczonego.

Opowiedział to bardzo rzeczowo, tak jak ona mogłaby mówić o mieszaniu farb, ale Maura

wiedziała, jak wyglądają szkolne czy przedobozowe badania kontrolne. Sama wielokrotnie była im poddawana, i lekarze na ogół nie robili nic, poza powierzchownymi oględzinami. Harry jednak nie potraktował w podobny sposób syna Pavla Nemeca. Harry zrobił to... jak Harry.

Maura pomyślała o tym, co jej opowiadał o swoich przejściach w szpitalu. Nawet jego przyjaciel, Atwater, prosił, żeby zrezygnował z pracy. Zwołano zebranie, na którym miano zdecydować, czy nadal będzie mógł praktykować w szpitalu.

Harry Corbett nie zasługuje na takie traktowanie, stwierdziła z gniewem. Poglądziła palcami odrastającą szczotkę włosów i nadal wrażliwe brzegi blizny po kraniotomii. Nie zasługuje też na to, jak ona go traktuje, pomyślała. Powrót do picia to dziecinada, niedojrzałość, idiotyzm. Miała szczęście, że nie wręczył jej butelki i po prostu nie wyrzucił za drzwi.

– Nigdy więcej – mruknęła, pamiętając jednak, że wielokrotnie nie dotrzymywała tej obietnicy. – Po prostu, droga pani. Ani kropli.

Zaczęła przeglądać irlandzkie pejzaże i poczuła, że powieki jej opadają. Zastanawiała się, jak to jest w hipnozie. Czy coś się czuje? Wieża O'Briena na szczycie urwiska Moher w hrabstwie Clare rozmazała się jej przed oczami, po czym znikła.

Nagle do jej świadomości przedarł się aromat parzonej kawy. Podniosła odrobinę powieki.

Do saloniku wpadało blade światło poranka. Harry siedział na fotelu koło kanapy. Był ubrany w szary dres, miał ręcznik zarzucony na szyję i najwyraźniej właśnie skończył gimnastykę. Jego ciemne włosy były mokre od potu, a rumieńce na policzkach sprawiały, że podobał się Maurze jeszcze bardziej.

Sięgnęła sennie i chwyciła go za rękę.

– Która godzina? – zapytała.

– Minęła siódma. Jeszcze sporo czasu, możesz się zdrzemnąć. Przepraszam, że cię obudziłem.

– Bardzo dobrze, że mnie obudziłeś.

– Jak się czujesz?

– Trzeźwo.

Wiedziała, że to właśnie chciał usłyszeć.

– Gotowa oddać swój mózg w ręce „Węgra”?

– Gotowa. Ale niech on też się przygotowuje, bo wejdzie na teren, na który nikt dotąd nie wkraczał.

– To czarodziej, tak przynajmniej słyszałem. Słuchaj, w kuchni robi się kawa w ekspresie Evie za trzysta dolarów. Pierwsze, co zrobiła po ślubie, to wyrzuciła mój stary ekspres. To jej cudo samo kupuje kawę w delikatesach, przyrządza mieszanekę, a potem ją miele, parzy i dozuje.

– Już mi ślinka leci.

– Jaka pijesz?

– Przecież nie z whisky.

– To znaczy czarną.

Maura nigdy nie przywiązywała szczególnej wagi do swojego wyglądu. Jeden z jej byłych kochanków powiedział, że po prostu nie musiała. Dzisiaj jednak poświęciła mu trochę więcej czasu niż zazwyczaj: lekki makijaż, emaliowane kolczyki, które tak się podobały Harry'emu, i bawełnianą sukienkę zamiast dżinsów.

Była podenerwowana tym, co ją czekało, obawiała się, że sesja może się nie udać, ale równocześnie miała nadzieję, że wszystko będzie dobrze. W ciągu ostatnich dwóch i pół roku spadała po równi pochyłej, często urywał jej się film, nie zwracała uwagi, gdzie bywa i z kim pije. Zastanawiała się, czy Pavel Nemeč potrafi być selektywny w odblokowywaniu pamięci. Większości wspomnień z tego okresu wołała nie przywoływać.

Nemeč mieszkał i pracował na Upper East Side. Wzięli taksówkę, ale najpierw pojechali do gabinetu Harry'ego. Po drodze wpadli jeszcze do mieszkania Maury, żeby zabrać szkicownik, ołówki i pastele, oraz do banku, gdzie Harry pobrał półtora tysiąca dolarów.

– Odwołałem przedpołudniowych pacjentów i znalazłem zastępstwo na obchód – powiedział.
– Większość moich podopiecznych jest lojalna, ale wystawiam ich ostatnio na ciężką próbę.

Maura pokiwała głową.

– Dzisiaj wszystko się odwróci – stwierdziła. – Zobaczysz. Ale à propos odwracania, odwróć się troszkę w tę stronę. Poczekaj, spróbuję coś zrobić...

Spełnił jej prośbę i zanim minęli dwie przecznice, naszkicowała jego podobiznę. Gdy dojeżdżali do gabinetu, portret był już prawie gotowy.

– Niesamowite – mruknął.

– Potrafię lepiej. Ale tym razem cieszę się, że w ogóle coś mi się udaje. Dawno nie trzymałam ołówka w ręku. A kiedyś całe wakacje spędziłam we Włoszech rysując portrety i karykatury turystów na Piazza Navona.

Walter Concepcion siedział już w poczekalni, rozmawiając z recepcjonistką. Maura ucieszyła się na jego widok. Dziś miał na sobie czarny T-shirt i zauważyła, że barki ma bardziej muskularne, niż się tego spodziewała. Na mięśniu naramiennym miał artystycznie wykonany tatuaż: czaszkę z wężem wyślizgującym się przez jeden z oczodołów.

– Dzwonili z sekretariatu doktora Erdmana w szpitalu – oznajmiła Mary Tobin. – Zebranie ma się odbyć jutro o dziesiątej rano w sali konferencyjnej obok jego gabinetu.

Harry westchnął.

– Chyba będziesz musiała zadzwonić do wszystkich pacjentów umówionych na jutro i znów odwołać wizyty.

– Już to zrobiłam.

– To staje się nie do zniesienia. Może powinniśmy zamknąć ten sklepik na jakiś czas?

Oczy starej kobiety zabłyśły.

– Nie wolno panu tego zrobić.

– Dobra, zobaczymy, co będzie jutro.

– Dzwoniłam też do pańskiego adwokata i podałam mu termin spotkania – dodała Mary. – Chce, żeby się pan dziś z nim porozumiał, ale jutro będzie na pewno.

– Dlaczego miałby nie być za trzysta pięćdziesiąt dolarów na godzinę...

– Słucham?

– Nic, nic, Mary. Jestem poirytowany, i tyle. Minie.

– Dzięki Bogu.

Harry wręczył Walterowi kopertę z pieniędzmi. Maura widziała, że nadal nie do końca jest pewien tego człowieka. Ale ona nie miała najmniejszych wątpliwości. Concepcion już dał punkt zaczepienia.

– W porządku, więc działamy razem – powiedział były detektyw chowając kopertę do kieszeni. – Bądź spokojny, Harry, każdy dolar z tej kwoty zostanie skrupulatnie rozliczony, będą rachunki i co tylko chcesz. Właściwie to zacząłem już wczoraj. Kiedy wróciłem do domu, zadzwoniłem do jakichś czterdziestu najlepszych agencji towarzyskich. Wstawiałem im gadkę, że pewna kobieta imieniem Desiree zapewniła mi najrozkoszniejszą noc mojego życia, kiedy byłem w tym mieście pół roku temu... niestety, wtedy aranżował sprawę przyjaciel, z którym teraz nie mam kontaktu, a nie wiem, z której agencji korzystał. Nie żałuję forsy, ale tylko na Desiree. W trzech agencjach dawali mi do zrozumienia, że coś o niej wiedzą i spróbują się z nią skontaktować, więc mam do nich zadzwonić. W czwartej, która się nazywa „Elegancja”, powiedziano mi, że już u nich nie pracuje. Tę właśnie mam zamiar wziąć na cel.

– Dlaczego właśnie tę?

– Kobieta, która odebrała telefon, z początku udzieliła mi jakiejś wymijającej odpowiedzi, ale wzięła mój numer telefonu i powiedziała, że oddzwoni. Jakąś godzinę później zadzwoniła inna kobieta. Przedstawiła się nazwiskiem Page. Podejrzewam, że to ona jest szefową tego biznesu. Przez jakiś czas bawiliśmy się w kotka i myszkę. Wciąż mówiłem, że nie pożałuję pieniędzy, a ona wciąż mówiła, że nie zna nikogo o imieniu Desiree. Wreszcie powiedziałem jej, że wiem o śmierci Desiree i chcę się o niej czegoś dowiedzieć. Zaproponowałem jej pięćset dolarów za półgodzinną rozmowę w cztery oczy. Pół godziny i ani minuty więcej, i nie będzie musiała odpowiadać na jakiegokolwiek pytanie o Desiree, na które nie będzie chciała odpowiedzieć. Obawiałem się, że się nie zgodzi. Ale kiedy jeszcze raz powiedziała, że nie zna Desiree, wiedziałem, że ją mam. Mamy się spotkać jutro rano.

– To wygląda obiecująco – stwierdziła Maura.

– Wygląda na to, że zostaniemy naciągnięci na pięćset dolarów – mruknął Harry.

– Nic się nie martw, szefie – odparł Walter. – Jeszcze pewnie tego nie wiesz, ale kupiłeś najlepszego detektywa za bezcen. Okazja stulecia. Nie traćmy kontaktu. Spotkamy się jutro wieczorem i zobaczymy, co mamy. Aha, Mauro, sprawdziłem, jest dziś mityng AA, na który możemy pójść, jeśli się nie rozmyśliłaś.

– Jestem gotowa.

– Masz mój numer telefonu – powiedział Harry. – Dzwon o każdej porze, jeśli się czegoś

dowiesz. – Zawahał się i dodał: – Przepraszam, jeśli byłem dokuczliwy.

– To skóra nosorożca – Concepcion uszczyptał się w przedramię. – Poza tym jak dotąd rzeczywiście nic istotnego nie znalazłem, a biorę od ciebie pieniądze. Ale kiedy będą wyniki, zmienisz zdanie.

Pożegnał się z nimi i z Mary Tobin, po czym wyszedł.

– Chodźmy – powiedział Harry do Maury. – Taksówka czeka.

– Dobra. – Maura poczuła nagły przypływ niepokoju. – Miejmy to już za sobą. – Ruszyła do wyjścia, ale w drzwiach odwróciła się. – Trzymaj za mnie kciuki, Mary – poprosiła. – Idziemy do czarownika.

Dyskretna mosiężna tabliczka na drzwiach głosiła:

P. Nemec
Modyfikacje zachowań

Pavel Nemec przywitał ich ciepło, poczęstował herbatą i ciasteczkami w wyłożonej dębową boazerią poczekalni w stylu wiktoriańskim. Przez chwilę gawędzili z Harrym o rodzinie i o tym, co zaszło w ich życiu od czasu, kiedy się ostatni raz widzieli. Nemec miał koło sześćdziesiątki, jak domyślała się Maura, lekko siwiał, ale utrzymywał się w świetnej kondycji. Uznała go za czarującego i bezpretensjonalnego.

Mimo to jej zdenerwowanie nasilało się. Bardzo chciała przypomnieć sobie twarz mężczyzny w białym lekarskim fartuchu, ale im mocniej próbowała, tym bardziej nieuchwytnie stawały się wspomnienia. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy rzeczywiście widziała wtedy kogoś, czy był to tylko wytwór jej umęczonego delirium, operacją i środkami uspokajającymi mózgu.

Ręce jej drżały tak bardzo, że zrezygnowała z prób podniesienia filiżanki z herbatą i siedziała bez słowa, przysłuchując się wyjaśnieniom Harry'ego. Nemec słuchał uważnie, ale w trakcie opowiadania wstał i zaczął przechadzać się po pokoju za plecami Maury. Dwukrotnie przystanął i położył jej łagodnie ręce na ramionach, a potem pochylił się i przysunął wargi do jej ucha.

– Nie ma się czego bać, Maurie – wyszeptał. – Nie ma czego.

Maura osłupiała. Powiedział „Maurie”, nie „Maura”. Nikt prócz jej ojca nie zwracał się do niej w ten sposób. A i on przestał, gdy miała dziesięć lat.

Harry skończył mówić i Maura wyraźnie usłyszała ruch uliczny zza okna. To się dzieje, uświadomiła sobie. Żadnej kozetki, żadnego zegarka na dewizce, żadnej nastrojowej muzyki, żadnych sztuczek. Pavel Nemec obszedł ją, stanął przed nią i położył jej palce na skroniach. Powieki Maury opadły, ale myśli biegły jak oszalałe. Wodospad obrazów i twarzy, jak na wideo przy szybkim przewijaniu. Twarze z dzieciństwa: nauczyciele, koleżanki, Tom, matka... domy, pokoje, krajobrazy wiejskie i ulice miast. Znajome obrazy, a także zupełnie obce... Nagle zaczęła się natrętnie pojawiać jedna scena. To jej ojciec, w ręku szklanka z przelewającym się drinkiem,

zwraca się ku niej. Zamglone oczy, zimne i pełne niezadowolenia. Bełkotliwe słowa. Złorzeczył jej, ślina pryskała mu z ust.

Jesteś nic niewarta, Maurie... beznadziejna, nic niewarta...

Niczego nie potrafisz zrobić dobrze, mam przez ciebie tylko bóle głowy. Tak jak twoja matka...

Najgorsze, co mi się w życiu przytrafiło, oprócz małżeństwa z nią, to właśnie ty... Gdyby nie ty, to po pierwsze nie musiałbym się z nią żenić...

– Spokojnie, Maurie – mówił Nemeć z łagodną stanowczością. – Już nigdy nie będzie tak do ciebie mówił... Był chory, i tyle... Nie zasługiwałaś, żeby tak do ciebie mówić. Ale on nic nie mógł na to poradzić. – Nemeć przykrył kojącymi dłońmi jej uszy. – Robiłaś wszystko, żeby go zadowolić... On jednak nienawidził siebie tak bardzo, że nie potrafił nikomu okazać miłości... Nigdy nie myślał o tym, co ci wyrządził... Wybacz mu to teraz, Mauro...

Wirujące obrazy zaczęły blaknąć. Maura wiedziała, że oczy ma zamknięte, ale widziała Nemeca przechadzającego się przed nią. Minęło całe jej napięcie. Całun nienawiści do samej siebie, który wisiał nad jej życiem od tak dawna, uniósł się i znikł, pozostawiając niewiarygodne poczucie spokoju. Jej ojciec niszczył jej miłość własną, jej dumę, poniżał ją. Nawet jego śmierć nie unicestwiła tego strasznego plonu, który w niej zasiał. Przez całe życie jej patologiczna niewiara w siebie prowadziła ją do niweczenia szans na jakiegokolwiek osiągnięcia.

Nic niewarta... Ile miała lat, gdy usłyszała to po raz pierwszy? Siedem? Osiem?

Ale teraz wreszcie wie, że to nigdy nie odnosiło się do niej. Nigdy. Nie zasługiwała na to, co uczynił jej Arthur Hughes. I nigdy już jej nie skrzywdzi.

Nadał nie otwierając oczu zobaczyła, jak Nemeć przysuwa do jej fotela stolik i kładzie na nim szkicownik i węgiel rysunkowy.

„Mamy robotę do wykonania”. Słyszała jego głos, ale wiedziała, że nic nie mówił. „Jesteś teraz wolna, Mauro. Staraj się zobaczyć to, co powinnaś zobaczyć...”

Harry opowiadał jej później, że nie otworzyła oczu, póki szkic nie był gotowy. Opisywał, jak niesamowicie szybko węgiel w jej rękę biegał po papierze – tak długo, aż wyłoniła się twarz mężczyzny. I jak wyraźny był moment, w którym, w trakcie cieniowania rysunku, rozpoznała tę twarz.

Maura wyprostowała ręce, po czym rozmasowała sobie kark. Czowała się odprężona i odświeżona, jakby właśnie wynurzyła się z ciepłego źródła. Wiedziała, że narysowała właśnie portret człowieka, który zamordował Evie DellaRosa. Wiedziała także, że Pavel Nemeć pomógł jej tak, jak nie pomógł jej dotąd żaden psychiatra czy terapeuta. Skaza w postrzeganiu siebie samej, która prowadziła ją do autodestrukcyjnych zachowań i nie pozwalała dotrzymywać obietnic składanych sobie samej, została usunięta.

„Nigdy więcej... Ani kropli...”

Otworzyła oczy i spojrzała na swoje dzieło, dorysowała krawat i pokolorowała go na zielono ze złotawym połyskiem. Pavel Nemeč siedział w swoim fotelu popijając herbatę.

– Jak pan to zrobił? – zapytała.

Uśmiechnął się do niej i wzruszył ramionami.

– Sesje z klientami nie zawsze są takie udane. Czasem przypomina to błądzenie w gęstej mgle. Niekiedy, jak dzisiaj, widzę wszystko z niebywałą ostrością. Wydaje mi się, że czekałaś na mnie już od dawna, Mauro. Może od lat.

– Zrobił pan coś z moim pićiem, prawda?

– Nie, ale ty coś zrobiłaś. I to z wielką stanowczością.

Pokazała rysunek Harry'emu. W jej oczach błyszczały łzy.

– Dokonałam tego – powiedziała.

– Naprawdę dokonałaś. Ten wizerunek jest absolutnie wierny.

– Skąd wiesz?

– Bo widziałem tego człowieka. Właśnie tego, którego narysowałaś. Był tuż przed twoim pokojem przez cały czas, czekał na szansę, żeby dokończyć to, co zaczął, gdy wydał polecenie założenia Evie kroplówki.

– Przed naszym pokojem?

– Froterował podłogi słuchając walkmana, sprzątac... osoba, na którą się patrzy i której się nie widzi. Pielęgniarki nie widziały, żeby przyszedł na oddział po moim wyjściu, bo on wcale nie przyszedł. Po prostu cały czas tam był. I wyszedł, zanim wróciłem.

– Jesteś pewien?

Harry przyglądał się rysunkowi przez jeszcze parę sekund.

– Nigdy w życiu nie byłem niczego bardziej pewien. Dokonałaś wspaniałej rzeczy.

Maura podeszła do niego i pocałowała go w policzek.

– Jeszcze zobaczysz, co potrafię – oświadczyła.

Rozdział 25

Dzień był gorący, tak jak potrafi być gorący letni dzień w Nowym Jorku. Już przed południem parne powietrze kłębiło się nad chodnikami, a dzieciaki rozkręcały hydranty. Kevin Loomis wyszedł ze swojego klimatyzowanego śródmiejskiego biura o wpół do jedenastej, by udać się w okrężną podróż do parku Battery, nadrzecznej oazy położonej na południowym cyplu Manhattanu u ujścia East River do Hudsonu. Pamiętając o ostrzeżeniu Jamesa Stallingsa starannie zaplanował drogę, żeby zgubić ewentualny „ogon”.

Z samego rana musiał uczestniczyć w czterdziestopięciominutowym posiedzeniu ośmioosobowego kierowniczego zespołu do spraw planowania, zwołanym przez Burta Dreisera. I mimo że w czasie zebrania nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło, raz po raz opadały go wątpliwości i dopatrywał się ukrytych znaczeń we wszystkim, co Dreiser mówił lub robił. Kiedy wychodził, zostawiwszy u Brendy Wallace wiadomość, że udaje się na spotkanie w interesach i lunch, był zlany potem – i to wcale nie z powodu panującego upału.

Evelyn DellaRosa została zamordowana, a James Stallings, drugi z rycerzy, którzy z nią się spotkali, był przerażony.

„Nie byłem pewien, czy nie jesteś jednym z nich...” Co, do cholery, miał na myśli Stallings?

Kevin przebiegł ulicę na czerwonym świetle, przemykając wśród rozwścieczonych taksówkarzy, i wszedł do znajomego sklepiku z galanterią męską. Odkąd przystąpił do rycerzy Okrągłego Stołu, regularnie robił tu zakupy. Przymierzalnia znajdowała się na zapleczu, blisko tylnego wyjścia, które prowadziło na sąsiednią uliczkę. Kevin wybrał koszulę za sto pięćdziesiąt dolarów, przymierzył ją, następnie pod jakimś błahym pretekstem skorzystał z tylnego wyjścia. Wziął taksówkę na East Side, a potem przeszedł piechotą kilka przecznic do stacji metra, po drodze wstępując do kilku sklepów, żeby sprawdzić, czy nikt za nim nie idzie. Park Battery był stacją końcową tej linii. Na miejscu zjawił się dziesięć minut przed czasem.

Nadal pełen podejrzeń, że ktoś go może śledzić, przechadzał się obok wyasfaltowanego placu zabaw, przystając co chwila przy ogrodzeniu. Dzieci huśtały się, wspinały na drabinki, śmiały i nawoływały się. Kevin pomyślał o własnych dzieciach i o życiu, jakie je czeka: wspaniały dom z oddzielną sypialnią dla każdego z nich, przestronny ogród, w którym pewnie znajdzie się niedługo i basen, schludna podmiejska dzielnica, doskonałe szkoły i nieograniczone możliwości, kiedy dorosną.

W wodzie odbijał się słoneczny blask. Na południu wysoka sylweta Statuy Wolności migotała w rozgrzanym powietrzu. Kevin rozejrzał się jeszcze raz i ruszył na północ, ku rozległemu trawnikowi. Punkt dwunasta. Zdjął marynarkę i poszedł wzdłuż szeregu ławek. Każda była zajęta. Pracownicy biur jedzący swoje drugie śniadania na powietrzu, bezdomna kobieta śpiąca na poduszce z gazety, dwie młode matki bujające swoje pociechy w wózkach,

spleceni ze sobą nastoletni zakochani, ślepi i głusi na wszystko, co ich otaczało.

– Panie Loomis, tutaj – usłyszał nagle.

Stallings, również z marynarką przewieszoną przez rękę, kiwał na niego z cienia stuletniego klonu. Teczkę postawił na ziemi między nogami. Napięcie, które Kevin u niego zaobserwował podczas posiedzenia Okrągłego Stołu, dziś było jeszcze wyraźniejsze. Rozglądał się nerwowo i nieustannie oblizywał wargi.

– Na pewno nikt pana nie śledził?

– Na pewno. Kogo się pan tak obawia?

– Każdego z nich. Lancelota, Kaya, Galahada, Merlina. Albo kogoś, kogo wynajęli. Cholera, nie wiem, co robić. Nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje.

Jego niepokój był zaraźliwy. Ni stąd, ni zowąd Kevin poczuł, że serce zaczyna mu walić jak szalone.

– Uspokójmy się. Chce się pan przejść?

– Nie, nie. To dobre miejsce. Zostańmy tutaj. Niech się pan oprze o pień i patrzy, czy nikt się nami zanadto nie interesuje.

Stallings miał cienie pod oczami, a jego twarz pokrywała lśniąca warstewka potu. Przypominał zaszczute zwierzę.

– Parę dni temu spotkał się ze mną Lancelot – zaczął mówić, kiedy usadowili się na trawie pod drzewem. – Nazywa się Pat Harper. Zna go pan spoza Okrągłego Stołu?

– Jest z Północno-wschodnich Ubezpieczeń. Grałem z nim raz w golfa.

– Podjechał do mnie po pracy i zabrał na przejażdżkę do Connecticut. Jeździ rollsem.

– To się zgadza. Jednak tak naprawdę nic o nim nie wiem, z wyjątkiem tego, że pali cygara, od których zbiera mi się na mdłości, i gra w golfa dużo lepiej niż ja. I nie wiem nic o żadnym z pozostałych rycerzy.

– Ja także nie, chociaż ta cała tajemniczość jest na niby. Wcale nie zależy im na ukryciu swojej tożsamości, ale udają, że to wielka sprawa. Podoba im się ta zabawa.

– Wciąż mówi pan „oni”. Kogo pan ma na myśli?

– Wszystkich, łącznie z Parsifalem. Są po jednej stronie barykady. Pan i ja jesteśmy po drugiej. Przez jakiś czas myślałem, że jestem sam, że i pan do nich należy, mimo iż przyjęto pana później niż mnie. Był pan zawsze taki pewny siebie, tak gładko akceptował wszystko, co się dzieje... Ale gdy zobaczyłem, jak pana maglują w sprawie Desiree, zacząłem sądzić, że pan również jest outsiderem. A kiedy usłyszałem pana wczoraj, upewniłem się.

– Jedyne kontakty, jakie mam z Okrągłym Stołem i z jego rycerzami, to nasze posiedzenia. Oczywiście rozmawiam z moim szefem, bo właśnie on mnie wybrał i wprowadził. Ale to wszystko. I nigdy nie rozmawiamy o stowarzyszeniu w pracy. Tylko u niego na jachcie.

Stallings zapatrzył się na rzekę i nabrał głęboko powietrza, jakby się szykował do skoku do wody z wysokiego brzegu.

– Czy pański szef mówił panu, że oni zabijają ludzi? – zapytał nagle.

Kevin popatrzył na niego ze zdziwieniem, jakby spodziewając się, że za chwilę usłyszy: „A kuku! Ale cię nabrałem!”

– Niech pan da spokój, Jim – starał się, żeby jego głos brzmiał spokojnie. – Na pewno nie jest tak źle, jak pan myśli.

Stallings roześmiał się niewesoło.

– Jest dokładnie tak, jak myślę – powiedział. – Lancelot zaczął od pochwał... Powiedział, że robię dobrą robotę, pochwalił projekty ustaw, jakie przygotowałem w ramach programu opieki nad beznadziejnie chorymi. A potem dodał, że ponieważ Okragły Stół działa „nieortodoksyjnie”, to każdy nowy członek musi przejść okres próbny. Mój właśnie dobiegł końca, więc mam teraz szansę wyświadczyć mojej firmie i sobie wielką przysługę.

Znów rozejrzał się ukradkiem dokoła, otworzył swoją teczkę, wyciągnął z niej wydruk komputerowy i wręczył go Kevinowi. Była to lista „warunków”, bardzo podobnych do tych, jakie zawierał dokument przedstawiony na posiedzeniu przez Merlina – warunków, na podstawie których Elizabeth DeSenza została zakwalifikowana do wyrzucenia z pracy. Tyle że ta lista miała nagłówek „Aktualnie hospitalizowani”.

– Wie pan coś o analizie prognozowanych kosztów? – zapytał Stallings.

– O tym właśnie mówił Merlin, prawda? O szacunkowych kosztach danej choroby w trakcie całego procesu leczenia.

– Otóż to. Ten program ma za zadanie wybierać przypadki, których prognozowane koszty przekraczają pięćset tysięcy dolarów. Lancelot chce, żebym go puszczał w naszym banku danych co tydzień i wybierał dwa, trzy nazwiska. AIDS, nowotwory złośliwe, problemy kardiologiczne, choroby psychiczne, komplikacje pourazowe, choroby krwi, zwłóknienia torbielowate... nawet waga urodzeniowa noworodka poniżej normy.

– Z pewnością jest wiele schorzeń, których leczenie przekroczy pół miliona.

– Albo znacznie więcej niż pół miliona. Milion, nawet dwa. Takie zabiegi jak przeszczepy szpiku kostnego czy wątroby kosztują bardzo dużo. A koszty leczenia dwudziestopięcioletniego młodego człowieka chorego umysłowo, który kwalifikuje się do leczenia zamkniętego, przekroczą siedmiocyfrowe liczby, zanim pacjent dobiegnie czterdziestki. Jego przewidywana długość życia wcale nie jest niższa niż długość życia człowieka całkiem zdrowego.

– Ale co z tą listą nazwisk, którą pan ma przedstawić?

Stallings przygryzł dolną wargę.

– Mam ją dostarczyć każdemu z rycerzy z wyjątkiem pana. Pewnie dlatego, że pan nadal przechodzi okres próbny. Potem mam przesłać na rachunek bankowy w Szwajcarii sumę równą dwudziestu pięciu procentom kwoty, którą moją firmę kosztowałaby opieka zdrowotna nad daną osobą. Lancelot wyjaśnił mi, że fundusze, które mam przekazać, będą pochodziły z wypłat dla „martwych dusz”, dla nie istniejących pacjentów. Powiedział, że ten system jest wypróbowany, sprawny i niezawodny.

– A co z pacjentami?

Sir Gawaine rozłożył bezradnie ręce.

– Umierają.

– Myśli pan, że są mordowani w szpitalu?

– Lancelot nigdy nie powiedział tego wprost. Ale moja firma zaoszczędzi netto, tak to nazwał: „oszczędność netto”, około półtora do dwóch milionów miesięcznie.

– Nie chce mi się w to wierzyć. Musi istnieć inne wyjaśnienie...

– Na przykład jakie? Próbowałem je znaleźć. Jak można oszczędzić takie kwoty?

– A pozostali rycerze też w tym uczestniczą?

– Z tego co wiem, tak.

– To szaleństwo. Jak to możliwe? Jak to się udaje?

Stallings włożył wydruk z powrotem do teczki, zatrzasnął ją i przekreślił pierścienie zamków szyfrowych.

– Nie wiem. Ale pomyśl o tej DellaRosa. Ten, kto podał jej w kroplówce to świństwo, musiał być tym samym człowiekiem, który...

Kevin przestał go słuchać. Patrzył na pływacy w dali statek. Obok nich nastolatka w obcisłych szortach i skąpym podkoszulku przejechała na deskorolce w towarzystwie szczupłego wyrostka. Wszystko było takie zwyczajne.

– Powiedział pan Lancelotowi o tej DellaRosa?

– Wspomniałem. Ale twierdził, że gdyby Desiree i ona były jedną osobą, to z pewnością wiedziałby o tym. Pytałem, kto kieruje tymi sprawami w szpitalach i jak to robią. Odparł na to, że to nie jego działka.

– Może pan coś źle zrozumiał?

– Przejdźmy na „ty”. Czy obiecali ci dodatkową premię w wysokości jednego procenta od zwiększenia zysków twojej firmy dzięki działalności Okrągłego Stołu?

– Tak.

– Mnie też. Lancelot zadbał o to, żeby mi dokładnie uświadomić, co znaczy jeden procent od półtora czy dwóch milionów dolarów miesięcznie. Podkreślał też, że koszty opieki medycznej nad pacjentami beznadziejnie chorymi rosną lawinowo i nasze firmy tracą z tego powodu więcej niż kiedykolwiek, a reforma opieki zdrowotnej limitująca wysokość składek, jeszcze pogorszy sytuację. Oświadczył, że środki, które zostaną zaoszczędzone dzięki naszym wysiłkom, oznaczają więcej miejsc pracy i lepszą jakość usług w branży. Wymienił całą gamę schorzeń, takich jak AIDS, nowotwory złośliwe z przerzutami czy zanik mięśni i powiedział: „Patrząc z każdego punktu widzenia i biorąc pod uwagę, że lekarze są absolutnie bezsilni wobec tych chorób, można tych ludzi traktować jak zmarłych. I wiesz, co jest najgorsze, Kevin? Najgorsze jest to, że kiedy on mówił, uświadomiłem sobie, że ulegam temu całemu rozumowaniu! Dolary, centy, zyski, straty, redukcja kosztów. Na litość boską! Przestałem myśleć w kategoriach ludzkiego losu i zacząłem zgadzać się ze wszystkim, co mówił. Diagnoza, prognoza. O to chodzi. Tylko to się liczy. Nawet zacząłem myśleć o tym, jak dodatkowe piętnaście tysięcy dolarów

miesięcznie wpłynie na życie mojej rodziny. Ale potem, w ostatniej chwili, przypomniałem sobie, że mówimy o LUDZIACH. Tak samo chyba jak ty wczoraj.

– Znam kobietę, która znalazła się na tej jego liście...

Stallings pokiwał głową.

– Dlatego właśnie ostrzegałem cię, żebyś przestał. Kevin, dla tych ludzi liczy się tylko interes.

Kiedy wracaliśmy już z Lancelotem do miasta, spytałem go, co by było, gdybym nie zgodził się brać udziału w ich programie. Wyjaśnił, że jak dotąd tylko jeden z rycerzy odmówił udziału w jakimś programie. Sir Lionel. Było to jakiś rok temu. Ale zanim Okrągły Stół postanowił, co z nim zrobić, zatrzał się czymś i umarł.

– O Boże – jęknął Kevin. – Słyszałem o tym gościu. Kiedy zmarł, jego firma utraciła miejsce w Okrągłym Stole. Nie pozwolono im wyznaczyć następcy. Jego miejsce przypadło tobie. Mój szef na jego przykładzie ilustrował mi, ile nasza firma i ja sam stracilibyśmy, gdybym kiedykolwiek został usunięty z bractwa. Ale wiesz co, Jim? Lionel nie zmarł wskutek zatrucia pokarmowego. To był zawał serca, który nastąpił po zatruciu. Umarł w szpitalu, dokładnie jak...

– Nie bój się, powiedz. Dokładnie tak, jak Evelyn DellaRosa i jeszcze Bóg wie jak wielu innych pacjentów, którym przytrafiły się kosztowne choroby.

Kevinowi zrobiło się niedobrze.

– Czy Lancelot dawał ci do zrozumienia, że śmierć Lionela była przez nich jakoś zaaranżowana? Straszyl cię?

– Nie jestem pewien. Uśmiechał się znacząco, ale trudno to ocenić. Czulem ciarki na grzbiecie. Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć.

– Na czym w końcu stało?

Stallings popatrzył w bok.

– Do jutra wieczorem mam mu dostarczyć pierwszą serię nazwisk i dokonać transferu funduszy.

– No nie! Kto dostanie te pieniądze? Bractwo? Czy ten człowiek, który... który to robi?

– Nie wiem. Ale jeśli dodać tych moich dwóch czy trzech klientów do tych, których dostarczą inni, to wyjdzie kupa pieniędzy.

– I każda z tych osób po prostu umiera?

– Wszyscy są poważnie chorzy. A tyle jest w tym mieście szpitali i pacjentów, że nikt niczego nie podejrzewa... Loomis, co zrobimy?

– Może ta cała sprawa to coś w rodzaju sprawdzianu lojalności? – zapytał Kevin w rozterce.

– Sam w to nie wierzysz.

– Nie wiem, co robić. Może po prostu trzeba to ujawnić, i to z hukiem?

– A jakie masz dowody? Żadnych. Ani jednego nazwiska. Poza tym, jeśli Okrągły Stół zostanie zdekonspirowany, wraz z nim sami pójdziemy na dno. Co z moją rodziną, z dziećmiakami?

– No to w takim razie co? Zabrać głos na posiedzeniu i błagać ich, żeby tego nie robili?

– To jest jakaś możliwość.

– A jeśli grozi nam los Sir Lionela z jego zatruciem pokarmowym?

– Dlatego właśnie postanowiłem z tobą porozmawiać. Jeśli będzie nas dwóch, to sądzę, że dopóki będziemy trzymać się razem, mamy szansę przekonać resztę, żeby zaprzestali tych praktyk.

– Muszę to przemyśleć.

– Ale nie myśl za długo. Ja mam czas tylko do jutra, żeby dostarczyć im nazwiska... a nie czuję się na siłach tego zrobić. – Stallings popatrzył na zegarek. – Muszę zaraz wracać do biura. Proszę cię, ani słowa nikomu. Dobrze?

– Oczywiście.

– Ani szefowi, ani żonie. Nikomu.

Kevin widział, że Stallings jest autentycznie przerażony. A jeśli w jego opowieści tkwiło choć ziarno prawdy, to dobrze rozumiał dlaczego.

– Zadzwoń do ciebie jutro – powiedział Stallings. Już wcześniej wymienili wizytówki i zapisali na nich swoje domowe numery telefonów. – Poczekaj jakieś pięć, dziesięć minut po moim odejściu i dopiero potem ruszaj z powrotem.

– Dobra. Czekam na telefon – odparł Kevin.

Sir Gawaine wziął swoją teczkę i ruszył w stronę stacji metra. Kevin stał, przygnieciony nowymi rewelacjami. Jego umysł niechętnie przyjmował do wiadomości to, z czego zwierzył mu się jego rozmówca. Jeśli sytuacja choć w części jest taka, jak podejrzewał Stallings, to nie było z niej żadnego rozsądnego wyjścia.

– Proszę pana! Proszę pana!

Kevin drgnął i odwrócił się. Na ścieżce stało dwóch urwisów w krótkich spodenkach i baseballowych czapeczkach. Wyglądali na dziesięciolatków, wiek jego syna Nicky'ego. Każdy z nich miał na dłoni rękawicę baseballową.

– O co chodzi?

– Piłka, proszę pana. Może pan odrzucić?

Kevin podniósł spod nóg pociieraną, pobrudzoną trawą piłkę i rzucił ją chłopakom. Wyższy z nich chwycił ją z kocią zręcznością, tak samo jak Nicky.

– Dziękuję! – zawołał. – Dobry rzut.

Rozdział 26

Noc była gorąca i parna, a takie noce zawsze niosą ze sobą koszmary senne. Leżał na brzuchu, na mokrym od potu prześcieradle. Pięści miał zaciśnięte, każdy mięsień jego ciała drżał z napięcia. Jakaś cząstka jego świadomości wiedziała, że to wszystko minęło, że to tylko wychodzą z pamięci upiory przeszłości. Ale jak zawsze nie miał sił, by się obudzić.

– ... hykonidol prawie dokładnie, atom po atomie, odtwarza budowę chemiczną neuroprzekaźnika bólu. A to znaczy, że mogę pobudzić wszystkie nerwy naraz, w dowolnym stopniu. Niech pan się nad tym zastanowi, panie Santana. Bez skaleczeń i ran, bez bałaganu, bez krwi. Tylko ból. Czysty ból. Poza pracą, którą wykonuję, hykonidol nie ma żadnego klinicznego zastosowania. Ale gdyby kiedykolwiek pojawił się w aptekach, mógłby nazywać się „Torturol”. To niewiarygodna substancja, zaręczam panu. Mała dawka – lekko zabol. Większa... Jestem pewien, że już pan zrozumiał, o co mi chodzi.

Usta Raya wysychają na pieprz. Łomot w klatce piersiowej jest tak silny, że wydaje mu się, iż Doktor na pewno to zauważy. Proszę, nie róbcie tego – skowyczy w duchu. – Proszę... Kciuk Percheka twardnieje na tłoku strzykawki.

– Chyba zaczniemy skromnie – oznajmia. – Powiedzmy od ekwiwalentu chłodnego powiewu na próchnicznych ubytkach w pańskim uzębieniu. Interesują nas dane meksykańskich tajnych agentów, panie Santana. Pan Orsino zanotuje wszystkie nazwiska, jakie zechce nam pan podać. I muszę pana ostrzec, że niektóre z tych nazwisk już znamy, toteż wszelkie próby nabierania nas czy gra na zwłokę mogą okazać się dla pana bardzo przykre.

– Pieprzcie się! – krzyczy Ray.

Doktor uśmiecha się.

Ostatnim głosem, jaki Ray słyszy przed zastrzykiem, jest głos Joego Dasha:

„Zawsze można wybrać jeden z trzech sposobów podejścia do umierania...”

Tłok strzykawki przesuwają się odrobinę.

Kilkanaście sekund potem Ray odczuwa lekki wstrząs, dreszcz przebiegający przez całe ciało, jakby włączono słaby prąd elektryczny. Jego włosy stają dęba, mięśnie twarzy kurczą się. Pociera opuszki palców, starając się usunąć nieprzyjemną drętwość. Perchek tymczasem wyjmując ze swojej walizeczki ręczny stoper.

– Dawka, którą panu zaaplikowałem, powinna działać przez minutę i dwadzieścia sekund – mówi. – Działanie większych dawek trwa nieco dłużej. Ale w takich sprawach czas jest zjawiskiem względnym. Parę sekund może wydawać się godziną, a minuta całą wiecznością. Ma pan dla nas jakieś nazwiska?

– Cary Grant, Mick Jagger, Marilyn Monroe...

Perchek wzrusza ramionami i naciska jeszcze raz tłok. Intensywność bodźca wzmagają się w

dwójnasób. Tym razem ból jest raczej palący, jakby ktoś wraził gorące sztylety w ręce i stopy Raya, w jego brzuch, pachwinę, krzyż. Zlewa się potem, oczy go pieką, koszulę można wyżyłować.

– Jeszcze trochę podniesiemy dawkę i utrzymamy ją przez jakiś czas – mówi Percek, sprawdzając ciśnienie krwi i tętno Raya. – Nie ma pośpiechu, prawda, panie Orsino?

Z zewnątrz, z góry, tuż zza ścian, Ray słyszy wybuchy petard i muzykę. Tańce będą trwały przez całą noc. Ale on chyba nie dożyje do końca zabawy.

Percek ma rację. Godzina, która nastąpi, będzie dla niego wiecznością. Dwukrotnie prawie mdleje z bólu. Za każdym razem Doktor wstrzykuje mu coś i przyspiesza kroplówkę, żeby go ocucić. Ray powoli przyzwyczaja się do swoich własnych krzyków. Za którymś razem moczy się. Pomiędzy kolejnymi wstrzyknięciami jego mięśnie drżą mimowolnie. Parę razy występuje jakieś nazwisko. Percek patrzy na Orsina, który kręci głową. Karą, którą Percek stosuje za kłamstwo, jest zwiększenie dawki. Reakcją Raya – głośniejsze krzyki.

„... można wybrać jeden z trzech sposobów podejścia do umierania... trzech sposobów... trzech sposobów...”

Głowa opada mu bezwładnie, oczy mętnieją. Nie przeszkadza mu już wpatrywanie się w nagą żarówkę pod sufitem. Ból zaćmił mu wzrok. Jego system nerwowy jest w strzępach, umysł odmawia posłuszeństwa. Musi rzucić im na pożarcie jakieś nazwisko, które będą mogli sprawdzić, coś, cokolwiek, co powstrzyma chemiczne tortury Percheka choćby na małą chwilę. Zrobił, co mógł, żeby przeciągnąć jak najdłużej pierwsze dwa stadia, ale teraz jego opór osłabł. Musi dać im coś, co powstrzyma ból.

– Ty draniu – skrzeczy, gdy Percek znów zwiększa dawkę. – Ty pieprzony draniu. Dobra. Dobra. Już nie... Powiem...

Przerywa mu skrzypienie drzwi do tunelu. Jak przez gęstą mgłę słyszy zdyszany męski głos:

– Anton, na zewnątrz jest pełno policji i wojska. – Mężczyzna mówi płynną angielszczyzną. – Chyba wzięli Alacantego. Agenci amerykańscy naszli też dom w Arizonie. Wejście do tunelu jest jeszcze zamknięte, ale na pewno niedługo je znajdą. Szukają ciebie, Anton. Nie wiem skąd, ale dowiedzieli się, że tu jesteś.

Ten głos... Ray wyteża pamięć. Zna ten głos, ale skąd?

– Orsino, jest stąd jakieś inne wyjście? – pyta Percek.

– Tymi drzwiami. Za nimi jest krótki tunel, który prowadzi na drugą stronę ulicy. Alacante kazał go wykopać.

– Słuchaj, Anton – mówi głos – muszę wracać, zanim znajdą główny tunel.

– Dziękuję za ostrzeżenie, przyjacielu.

– Wiesz, jak mnie znaleźć, gdybym ci był potrzebny. Skrzypią zamykane drzwi. Przez parę sekund dźwięczą echem kroki, potem zapada cisza. Ale przez ten czas skołatany umysł Raya rozpoznaje głos. Sean Garvey!

– Garvey, ty draniu...! Ty sukinsynu... – charczy, przypominając sobie moment, gdy on i jego

szeft zostali pojmani przez ludzi Alacantego.

– Panie Santana, obawiam się, że nasza konferencja musi zostać zakończona – mówi Perchek.

Gdzieś nad nimi słychać odgłos wyłamywania drzwi i strzały.

– Doktorze, musimy stąd iść – mówi Orsino.

– Ma pan rację, panie Orsino. Ale tylko do pewnego stopnia. – Perchek odwraca się i sięga do walizeczki. Kiedy odwraca się z powrotem, ma w ręku rewolwer z tłumikiem. Zanim Orsino ma czas zareagować, strzela w jego zdeformowaną twarz. Pocisk odrzuca głowę Orsina do tyłu. Ciało wykonuje elegancki piruet i zwała się na zakurzoną podłogę.

Strzelanina na górze ucicha. Coraz bliżej słychać kroki i głosy. Doktor celuje w środek czoła Santany. Ray zaciska zęby i zmusza się do trzymania otwartych oczu, do ostatniej chwili, póki jeszcze cokolwiek widzą. Perchek z upiornym uśmiechem opuszcza rewolwer, robi krok do przodu i opróżnia prawie pełną strzykawkę do kroplówki.

– Nie martw się – mówi. – Ta dawka zabije cię wcześniej, zanim poczujesz jej pełne działanie...

Odwraca się na pięcie, przestępuje trupa Orsina i znika w tunelu.

– Garvey! – wrzeszczy Santana. Jego wściekłość kieruje się w ostatnich chwilach nie przeciwko Perchekowi, ale przyjacielowi, który go zdradził. – Garvey, zgnijesz za to w piekle!

W chwilę później jego układ nerwowy eksploduje wulkanem bólu. Krzyczy, rzuca głową, gryzie wargi i przewraca się na bok, na podłogę. Bezgraniczne cierpienie, szarpające każdy nerw, każde włókno jego ciała, wzmaga się nieustannie.

– Garvey!!! – wrzeszczy.

Złany potem Walter Concepcion zerwał się z łóżka i siadł wyprostowany. Przez ponad siedem lat prawie przyzwyczał się do tego koszmaru, ale niektóre podróże w przeszłość do tej piwnicznej sesji z Doktorem były nadal nie do zniesienia. A ta – pierwsza w czasie tych tygodni, odkąd przybył na Manhattan ze swojego domu w Tennessee – była naprawdę potworna.

To ból wywołał wspomnienie. Tak zresztą zazwyczaj było. Ból stał się codziennością w jego życiu w ciągu tych ostatnich siedmiu lat, odkąd Doktor wstrzyknął mu hykonidol. Otarł czoło i twarz prześcieradłem i sięgnął do szafki nocnej po Biblię, którą wydrażył, aby pomieściła jego zapas perkodanu. Zniósłby, gdyby go ograbiono ze wszystkiego, nawet z broni, ale nie z perkodanu. Jego lekarz domowy rozumiał to. Po latach kierowania go do neurologów, psychoterapeutów, AA, AN i do szpitali dał za wygraną i po prostu wypisywał recepty. Miejscowy aptekarz też to rozumiał i po prostu je realizował. Dla tych dwóch, a także dla wszystkich, którzy znali całą jego historię, był legendą. Człowiekiem, który schwytał Antona Percheka.

Zabrał ze sobą zapas tabletek, który powinien wystarczyć na miesiąc, przy założeniu, że bóle nie wzmogą się zbyt. Nie miał ochoty szukać narkotyków na ulicy, ale będzie musiał, jeśli nie

znajdzie innego wyjścia. Anton Perchek żyje i prowadzi swój potworny proceder w Nowym Jorku. A on nie wyjedzie z tego miasta, póki go nie uśmierci.

Od Harry'ego dowiedział się o udanej sesji u hipnotyzera. Potem Maura spotkała się z kryminologiem, znajomym jej brata. Wspólnie wykonali komputerową wersję jej rysunku w kilkunastu pozach. Rysunki Maury zostaną rozwieszane we wszystkich szpitalach w mieście. Jego plan był prosty: drażnić Doktora. Zirytować go do tego stopnia, by uczynił jakiś pochopny krok. Prędzej czy później popełni błąd.

Łyknął dwie tabletki i popił wodą. Przygotował ubranie na spotkanie z *madame* Page. Założy sportową marynarkę, żeby ukryć kaburę z trzydziestkąósemką. Nie spodziewał się kłopotów, ale był ostrożny. Od czasu zdrady i pojmania w Nogales zawsze był ostrożny.

Sięgnął pod poduszkę i wyjął swój pistolet. Odkręcił tłumik. Wprawdzie spisał się dobrze tamtego wieczoru w Central Parku, ale był ciężki i obniżał celność. Poza tym, kiedy już wreszcie stanie twarzą w twarz z Antonem Perchekiem, kiedy już wreszcie muszka jego trzydziestkiósemki znajdzie się między oczami Doktora, a on pociągnie za spust, chciałby, żeby tamten usłyszał ten dźwięk.

Rozdział 27

– To nie będą przyjemne rozmowy. Raczej przesłuchanie – powiedział Harry’emu Mel Wetstone, gdy jechali przez miasto do szpitala. – Ale obiecuję, że nie pozwolimy tym ludziom na żadne bzdury.

Jechali mercedesem, który sprzedał prawnikowi Phil. Z pewnością dodawała otuchy myśl, że Wetstone jest na tyle dobrym adwokatem, że stać go na taki wóz, jednak dzisiaj ten fakt napawał Harry’ego frustracją, która wzmagala się z każdą chwilą.

– Czy Sam Rennick mówił, czego będą chcieli?

– Nie był zbyt rozmowny, ale nie mam wątpliwości, że nie chce uznać żadnych dowodów, które mu przedstawiliśmy: ani szkicu pani Hughes, ani teorii o człowieku, który froterował podłogę, ani telefonów od mordercy do twojego gabinetu. Chcą cię usunąć ze szpitala, dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona.

– Mogą to zrobić?

– Chyba tak. Jest parę niejasnych punktów w regulaminie wewnętrznym szpitala, prawdopodobnie są to celowo zostawione furtki. Jeśli przegłosują niekorzystną dla ciebie decyzję, to w ostateczności zaskarżymy ich do sądu, a wierz mi, mamy w ręku parę atutów. Ale lepszym rozwiązaniem będzie postępowanie ugodowe, i właśnie to mam zamiar zrobić.

Harry wyglądał przez przyciemnioną szybę samochodu. Nie chciał zostać usunięty z personelu CMM. Pacjenci trzymali go przy życiu zarówno w przenośni, jak i dosłownie – stanowili bowiem jego podstawowe źródło utrzymania. Poza tym, jeśli zostanie odsunięty od pracy w szpitalu, znacznie trudniej będzie mu dotrzeć do zabójcy. A od momentu nawiązania współpracy z Walterem Concepcion poczynili takie postępy, że można było przypuszczać, iż niedługo będą w stanie go osiągnąć.

Maura pojechała do przyjaciela swojego brata, Lonniego Simsa zwanego Dweebem. Lonnie miał dostęp do nowoczesnego oprogramowania graficznego, używanego przy tworzeniu portretów pamięciowych. Wspólnie mieli tak udoskonalić szkic Maury, żeby nabrał fotograficznej dokładności. W rezultacie otrzymają barwny portret en face i z profilu. Będą mogli także symulować wszelkie zmiany wyglądu, jakich może próbować zabójca.

Harry’ego i jego adwokata powitała znacznie bardziej oficjalna atmosfera niż podczas poprzedniego spotkania. Na stole umieszczono mikrofony, co oznaczało, że przebieg sesji będzie nagrywany. Oprócz obecnych poprzednio przybyli członkowie rady powierniczej szpitala, ordynatorzy oddziałów tworzący zarząd personelu medycznego i pielęgniarki oddziałowe z dziewiątego i piątego piętra gmachu Alexandra. Był też Caspar Sidonis i protokolantka. Obok radcy prawnego szpitala siedział człowiek, którego Harry nie znał, mężczyzna o grubo ciosanej twarzy w źle leżącym granatowym garniturze.

Steve Josephson ścisnął Harry'ego za rękę, gdy się mijali. Doug Atwater uśmiechnął się z zakłopotaniem i podszedł do nich.

– Cieszę się, że możemy pogadać – wyszeptał mu do ucha. – Proponowałem ci to, co uważałem dla ciebie za najlepsze. Wiem, że to cię zdenerwowało. Przykro mi. Chciałbym, żebyś wiedział, że jestem po twojej stronie.

Harry miał zamiar dać mu jakąś uszczypliwą odpowiedź, ale ugryzł się w język. Atwater na to nie zasługiwał. Przez te wszystkie lata wspierał jego wysiłki, żeby lekarzy rodzinnych otaczać należnym im uznaniem. zaproponował, żeby Harry z własnej inicjatywy zwolnił się ze szpitala, bo chciał oszczędzić mu tego przesłuchania, które mogło oznaczać jedynie kolejne upokorzenie i wyrzucenie ze szpitala.

– Rozumiem cię, Doug, ale nie zrobiłem nic złego, więc nie mogę się poddać bez walki.

– W takim razie daj im popalić, Harry – uśmiechnął się Atwater.

Sam Rennick przypomniał zasady obowiązujące na tym spotkaniu, uzgodnione z Melem Wetstone'em: świadkowie przedstawią swoje zeznania i będą odpowiadać najpierw na jego pytania, a potem Wetstone'a. Harry będzie miał prawo zabrać głos po wypowiedzi każdego świadka, ale może tylko odpowiadać na pytania swojego adwokata. Po zakończeniu przesłuchania zarządy szpitala i personelu lekarskiego odbędą tajne głosowanie, które zadecyduje, czy zawiesić prawo Harry'ego do przyjmowania pacjentów w szpitalu CMM.

– Zanim zaczniemy, panie Rennick – zabrał głos Doug Atwater – chciałbym złożyć oświadczenie do protokołu, że kierownictwo Zespołu Opieki Zdrowotnej „Manhattan” przyjmie do wiadomości wszelkie ustalenia niniejszego zebrania. – Spojrzał na Harry'ego i dodał: – Status doktora Corbetta, jako lekarza mającego prawo do korzystania z obiektów i służb Zespołu, jest jak dotąd nienaruszony.

Biorąc pod uwagę, że zarząd miał prawo przyjmować i odwoływać lekarzy według własnego uznania, oświadczenie Atwatera należało uznać za wyraz poparcia dla Harry'ego. Dzisiejsze przesłuchanie byłoby czczą formalnością, gdyby kierownictwo firmy skreśliło go z listy uprawnionych. Tego ruchu Harry obawiał się najbardziej.

Następnie przełożona pielęgniarek z neurologii odczytała zaprzysiężone zeznania sióstr, które były na dyżurze tej nocy, gdy zmarła Evie. Nie miały wątpliwości, że poza Maurą Hughes Harry był ostatnią osobą, która była u pacjentki przed wylewem tętniaka. Sue Jilson zeznała, że Harry pytał, czy może wyjść po lody dla żony i wrócić. Radca prawny zapytał o procedurę przyjmowania osób odwiedzających na oddziale, a potem zajął się Maurą Hughes.

– To był podręcznikowy przypadek delirium tremens – odpowiedziała siostra oddziałowa. – Była niespokojna, agresywna, pociła się obficie i przez większość czasu nie wiedziała, gdzie się znajduje. Albo oskarżała personel, że ją zaniedbuje, albo widziała wokół siebie nie istniejące owady. Prawie cały czas była na środkach uspokajających. Od dawna nie mieliśmy gorszego pacjenta.

Harry i Mel Wetstone spojrzeli po sobie. Radca prawny wiedział, że zamierzali przedstawić

szkic wykonany przez Maurę, i próbował z góry zdyskredytować ją jako świadka. Dlatego właśnie Harry nie chciał zabierać Maury na to zebranie. Mel ostrzegł go, czego można się spodziewać.

Wetstone odchrząknął, pociągnął łyk wody i obdarzył pielęgniarzkę lodowatym uśmiechem.

– Współczuję pani, że miała pani taką trudną pacjentkę na oddziale – powiedział.

– Dziękuję – odparła przełożona, zupełnie nie chwytając ironii tej wypowiedzi.

– Nie darzy pani alkoholików ciepłymi uczuciami, prawda?

– A kto ich darzy?

Wetstone milczał dobre pół minuty, a potem powiedział:

– Niektórzy ludzie im współczują. Amerykańskie Stowarzyszenie Lekarzy uznało alkoholizm za chorobę. Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne również. Mam nadzieję, że nie ma pani podobnych uprzedzeń w stosunku do innych chorób. Nie mam więcej pytań.

Oddziałowa, czerwona jak burak, zebrała swoje papiery i patrzyła przed siebie, unikając wzroku kogokolwiek z obecnych. Może wpływ jej zeznań nie został całkowicie zneutralizowany, ale z pewnością udało się go zminimalizować. Wetstone zwrócił się do Harry'ego:

– Doktorze Corbett, czy kontaktował się pan z Maurą Hughes po jej wypisaniu ze szpitala?

– Tak.

– Co się z nią dzieje?

– Wszystko w porządku. Utrzymuje abstynencję i wróciła do malowania.

Uzgodnili wcześniej, że dla dobra sprawy nie wspomną o wpadce Maury.

– Wiem, że jest uznaną malarką. Ma pan ze sobą jej rysunek, prawda?

– Tak. Pani Hughes miała kłopoty z przypomnieniem sobie niektórych szczegółów twarzy tego mężczyzny, więc udała się do hipnotyzera.

– To znaczy do doktora Pavla Nemeca?

Pomruk, który rozszedł się po sali, świadczył o tym, że „Węgier” jest znany większości obecnych.

– Nie wiem, czy ten człowiek jest lekarzem, ale w trakcie piętnastominutowej sesji bez trudu umożliwił pacjentce przypomnienie sobie wszystkiego – odparł Harry.

– Panie Rennick – powiedział Wetstone – oto poświadczony notarialnie zeznanie Pavla Nemeca pod przysięgą, zaświadczone, że rysunek, który państwo zobaczą, przedstawia twarz człowieka, którego Maura Hughes widziała w pokoju dziewięćset dwadzieścia osiem po wyjściu doktora Corbetta po lody dla żony. – Począł, aż każdy otrzyma egzemplarz, po czym zwrócił się do Harry'ego: – Doktorze Corbett, czy widział pan kiedykolwiek człowieka przedstawionego na rysunku pani Hughes?

– Tak. Był ubrany w kombinezon szpitalnej służby porządkowej i mył podłogę na korytarzu przed pokojem, w którym leżała moja żona. Kiedy od niej wyszedłem, nadal tam był. Ale gdy wróciłem, już go nie zobaczyłem.

– Czy jest pan tego pewien?

– Oczywiście. Rysunek bardzo dobrze oddaje podobieństwo. Maura Hughes ma doskonałe oko do szczegółów. Powiedziała, że podejrzany miał krawat na gumce, bo węzeł był zbyt doskonały.

Kilka osób roześmiało się.

– To idiotyzm – mruknął Caspar Sidonis.

– A więc twierdzi pan, doktorze – Wetstone pomachał rysunkiem – że ten człowiek poczekał na odpowiedni moment, włożył fartuch lekarski, wszedł bezczelnie do pokoju dziewięćset dwadzieścia osiem i wstrzyknął pańskiej żonie śmiertelną dawkę metaraminolu?

– Jestem przekonany, że właśnie tak zrobił.

Miny wielu z uczestników były nieodgadnione, lecz Harry miał wrażenie, że nadal zdecydowana większość ma poważne wątpliwości co do tego, czy jest niewinny.

Wetstone dał znak, że skończył. Ponieważ na szpitalu spoczywał ciężar udowodnienia winy, Harry nie mógł być wzięty w krzyżowy ogień pytań przez szpitalnego radcę. Był to jeden z punktów uzgodnień między Wetstone'em i Rennickiem.

Następnie przedstawiono człowieka w źle leżącym granatowym garniturze, Willarda McDevitta, szefa służb porządkowych w szpitalu. Był to krzepki pięćdziesięcioletek o rumianej cerze i nosie, który musiał być złamany nie mniej niż parę razy. Przypominał Harry'emu Bumpy Giannettiego, przerośniętego chuligana z jego szkoły, który miał zwyczaj napadać i bić młodszych kolegów. Harry obrywał od niego regularnie. Przez moment zastanawiał się, czy Bumpy nie nabrałby do niego szacunku, gdyby dowiedział się, że jest podejrzewany o dwa morderstwa.

– Panie McDevitt, czy człowiek z tego rysunku przypomina panu kogoś? – zapytał Rennick.

– Absolutnie nikogo. W życiu kogoś podobnego nie widziałem – odparł McDevitt z przekonaniem człowieka, który nigdy się nie myli, i spojrzał z wyższością na Harry'ego.

– Co pan może powiedzieć na temat przemysłowej maszyny do czyszczenia podłóg, którą doktor Corbett widział tamtego wieczoru?

– Jeśli na dziewiątym piętrze był taki agregat, musiał to być jeden z moich. A jeśli to był jeden z moich, musiał go obsługiwać mój człowiek.

– Czy ktoś nie mógł sprowadzić innej maszyny?

– Być może, ale taki drobiazg waży ćwierć tony i jest dwukrotnie większy niż duża pralka automatyczna. Trudno sobie wyobrazić, jak ktoś mógłby przemycić takie coś do szpitala i nie zostać zauważony.

– Może mógł wykraść ten agregat z pańskiego magazynu?

– W żadnym razie, chyba że siłą. Sam wymyśliłem system rejestracji wydawanego sprzętu, żeby żadna nieupoważniona osoba nie mogła z niego korzystać. Nawet na klucz francuski trzeba wypisać kwit. Nie sądzę, żebyśmy nie zauważyli braku agregatu.

– Dziękuję panu, panie McDevitt.

Rennick skinął głową w stronę Wetstone'a, nie patrząc w jego stronę. Harry zauważył, że

Sidonis wymienia szeptem jakieś uwagi z członkiem rady powierniczej, który siedział obok niego i palcem pokazywał Harry'ego.

– Panie McDevitt... – zaczął Mel – gdzie przechowywane są te agregaty do podłóg?

– Są zamknięte w jednym z pomieszczeń w podziemiach budynku. Klucze mam tylko ja i Gus Gustavson, mój przełożony. Każdy wniosek o wydanie agregatu z magazynu musi zostać podpisany przeze mnie lub przez niego.

– Rozumiem. Panie McDevitt, chciałbym jeszcze raz zapytać, czy jest pan przekonany, że nie ma sposobu, aby ktoś spoza pańskich pracowników wszedł w posiadanie jednego z tych agregatów?

– Absolutnie.

Znowu to pełne wyższości spojrzenie, to samo, co u Bumpy Giannettiego, ale tym razem Harry wytrzymał je, a nawet lekko się uśmiechnął.

Wetstone wstał, podszedł do drzwi, otworzył je i cofnął się. Zapadła pełna ciekawości cisza, po czym rozległ się szum maszyny. Wysoki blondyn, ubrany w brązowy kombinezon szpitalnej służby porządkowej, ze standardową plaketką identyfikacyjną w klapie, wjechał do salki konferencyjnej przemysłowym agregatem z napisem „Własność CMM” i zaczął froterować fragmenty klepki nie przykryte dywanem.

– Co to ma znaczyć, do cholery?! – zawołał Willard McDevitt.

Wetstone skinął na sprzątacza. Blondyn wyłączył swój sprzęt.

– Panie McDevitt, zna pan tego człowieka? – zapytał.

– Nie.

– Panie Crawford. czy pracuje pan w tym szpitalu?

– Nie.

– Więc skąd pan wziął to urządzenie?

– Z pomieszczenia, które ma na drzwiach tabliczkę „Sprzątanie podłóg” i znajduje się w podziemiach tego gmachu.

– Miał pan trudności, żeby je zdobyć?

Blondyn uśmiechnął się.

– Kaszka z mleczkiem. Mogę już to zwrócić?

Obrócił się wraz z maszyną i wyjechał z pokoju. Nagle wszyscy naraz zaczęli mówić i gestykulować. Harry zauważył, że wielu lekarzy się śmieje, a Willard McDevitt wygląda, jakby chciał przyłożyć Melowi Wetstone'owi. Rennick szepnął mu szybko coś do ucha. Szef sprzątaczy wstał sztywno i wymaszerował z sali. Wetstone usiadł spokojnie, pewny, że ta inscenizacja wywrze wpływ na opinie uczestników. Po raz pierwszy Harry poczuł, że nastroje sali zaczynają przechylać się na jego korzyść. Skoro Rennick i inni mogli się mylić w sprawie agregatu do sprzątania, to równie dobrze mogą nie mieć racji w pozostałych sprawach.

– Zaraz, zaraz! Chwileczkę!

Caspar Sidonis najwyraźniej nie mógł już dłużej tego znieść. Wstał i ruszył ku szczytowi

stołu. Owen Erdman, prezes szpitala, zrobił mu miejsce koło siebie.

– Ten facet wciska nam kit – Sidonis wskazał gestem Wetstone’a. – Sprzedaje maść na szczury. Próbuje swoich sztuczek, żeby odwieść nas od głównego tematu dzisiejszego spotkania. A ty, Sam, ułatwiasz mu to – zwrócił się do Rennicka. – To nie sala sądowa, to szpital. Nie przyszliśmy tu rozważać kruczków prawnych. Przyszliśmy tu, żeby tysiące pacjentów – pacjentów, którzy mogą korzystać z usług innych lecznic – nadal pozostało przy nas. Spotykamy się dziś tutaj, żeby oczyścić opinię naszego szpitala. Jesteśmy tu po to, żeby młodzi absolwenci akademii medycznych, którzy mogą sobie wybrać każdy szpital w kraju, ubiegali się o odbywanie stażu u nas.

Dobrze mówi, musiał przyznać Harry – to jego zemsta za Evie i odwet za upokorzenie w amfiteatrze. Rozejrzał się po sali. Nastroje już nie były takie korzystne dla niego jak przed chwilą. Mel Wetstone najwyraźniej miał ochotę zgasić Sidonisa, ale po namyśle opadł na fotel. Próba powstrzymania szefa oddziału kardiologii od wyrażenia opinii mogła obrócić się przeciwko nim.

– Nie wstydę się powiedzieć, że Evie DellaRosa i ja byliśmy ze sobą związani – ciągnął Sidonis. – Od lat jej małżeństwo z Harrym Corbettem istniało tylko na papierze. W dniu poprzedzającym przyjęcie do szpitala, w przeddzień morderstwa, opowiedziała o nas mężowi. Wiem o tym na pewno. Oto pierwszy motyw zbrodni. Drugim jest polisa na życie opiewająca na kwotę dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Pielęgniarki potwierdziły, że Harry Corbett miał okazję popełnić tę zbrodnię. A metoda, którą wybrał, wskazuje, że mordercą musiał być lekarz. Owszem, istnieje wielce nieprawdopodobna możliwość, że pan Corbett jest niewinny, jak sam twierdzi. Istnieje możliwość, że jego dziwaczne wyjaśnienia są prawdziwe. Ale nawet jego niewinność nie zmieniłaby faktu, że dwóch pacjentów doktora Corbetta nie żyje. Gazety rzuciły się na nasz szpital jak sępy. Zaufanie społeczeństwa do nas spada. Harry Corbett powinien był mieć tyle przyzwoitości i dbałości o interesy szpitala, w którym pracuje, by ustąpić samemu. Skoro tego nie uczynił, nie mamy wyjścia... musimy podjąć działanie. Jeśli tego nie zrobimy, nie widzę możliwości pozostania w instytucji, która nie potrafi zdobyć się na jedynie słuszną decyzję dla obrony swojego dobrego imienia i interesów personelu medycznego i pacjentów.

Wracając na swoje miejsce, Sidonis wspierał się na oparciach krzeseł. Mel Wetstone westchnął, a Harry poczuł, że traci grunt pod nogami. Sidonis zagroził szpitalowi i radzie powierniczej ciosem w dwa wrażliwe punkty: reputację i dochody. „Światowej sławy kardiolog rzuca pracę w szpitalu przez »złowrogiego doktora«”. Już widział nagłówki w *Daily News*.

Nagle z korytarza dobiegł jakiś hałas, drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadła przez nie z rozwianym włosom zrównoważona zazwyczaj sekretarka Owena Erdmana.

– Bardzo przepraszam, doktorze Erdman – powiedziała zdyszczym głosem – próbowałam ich powstrzymać, ale nie posłuchali. Sandy wezwała straż porządkową. Zaraz tu będą.

Odsunęła się na bok, a do sali wlał się spory tłumek. Przewodziła mu Mary Tobin, tuż za nią

kroczył Marv Lorello. Następnie szła reszta personelu oddziału medycyny rodzinnej, a za nimi grupa pacjentów Harry'ego, niektórzy w otoczeniu gromadek dzieci. Dwa lub trzy tuziny ludzi, pomyślał Harry. Rozpoznał wśród nich Clayтона Millera, mężczyznę, którego wraz ze Steve'em wyciągnęli z ciężkiej odmy za pomocą upuszczania krwi. Wszyscy stłoczyli się z jednej strony sali konferencyjnej, a po chwili kilka osób się rozstało i na czoło wystąpiła pacjentka Harry'ego, Mabel Espinoza. Jej spódnicy czepiało się dwoje wnuków.

– Nazywam się Mabel Espinoza – odezwała się z wyraźnym latynoskim akcentem, który jednak nie utrudniał zrozumienia tego, co miała do powiedzenia. – Mam osiemdziesiąt jeden lat. Doktor Corbett opiekuje się mną i moją rodziną od dwudziestu lat. Tylko dzięki niemu żyję i mogę tu być. Jest wspaniałym lekarzem. Moje słowa może potwierdzić wielu innych. Kiedy jestem chora, doktor Corbett przychodzi do domu. Jeśli ktoś nie ma pieniędzy, pan doktor leczy go i czeka cierpliwie. Podpisałam petycję. Oprócz mnie podpisało ją ponad dwieście osób. Dziękuję.

– To był pomysł Mary – szepnął Wetstone Harry'emu. – Nie wierzyłem, że jej się tak powiedzie.

Wystąpiła druga kobieta. Przedstawiła się jako Doris Cummings, nauczycielka szkoły podstawowej w Harlemie. Odczytała podpisaną przez dwustu trzech pacjentów petycję, z której wynikało, że dalsze prowadzenie praktyki przez Harry'ego jest konieczne dla nich i ich rodzin.

– „... Jeśli doktor Corbett zostanie usunięty z personelu Centrum Medycznego »Manhattan« bez sprawiedliwej i niezbiecie udowodnionej przyczyny, my wszyscy niżej podpisani postanawiamy przenieść się do innego szpitala. Jeśli w związku z tym konieczna będzie rezygnacja z usług Zespołu Opieki Zdrowotnej »Manhattan«, decydujemy się także na to. Ten człowiek stał się dla nas ważnym elementem życia. Nie chcemy go utracić”.

Kiedy skończyła, Marv Lorello szepnął jej coś do ucha i gestem wskazał Owena Erdmana. Doris Cummings okrążyła stół i położyła petycję przed prezesem szpitala. Siedząca naprzeciwko Harry'ego kobieta, pani Holden, była przewodniczącą rady powierniczej, otarła ukradkiem łzę. Stojąca po jej prawej stronie Mary Tobin promieniała.

Następnie w imieniu personelu oddziału medycyny rodzinnej zabrał głos Marv Lorello. Określił Harry'ego jako nieocenionego przyjaciela i wspaniały przykład dla pozostałych lekarzy, zwłaszcza młodych. Przeczytał oświadczenie podpisane przez wszystkich pracowników oddziału. Grozili, że przeniosą się do innych szpitali, jeśli Harry zostanie usunięty bez prawomocnego wyroku sądowego. Położył dokument przed Owenem Erdmanem i cała grupa opuściła salę.

Dalszej dyskusji nie było. Głosowanie okazało się formalnością. Jedyne dwóch z dwunastu uprawnionych głosowało za usunięciem Harry'ego. Caspar Sidonis wyszedł natychmiast po ogłoszeniu wyników.

– Doktorze Corbett – powiedział chłodno Erdman – poparcie, jakim pan się cieszy, rzeczywiście robi wrażenie. Niedobrze byłoby, gdyby sprawił pan zawód swoim popiecznikom. Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia?

– Tylko to, że dziękuję za wynik głosowania. Jestem niewinny i zamierzam to udowodnić. Zamierzam także schwytać mordercę. Mam nadzieję, że zaczniemy od rozplakatowania jego podobizny w szpitalu...

– Wykluczone! – zaprotestował Erdman. – Rozprowadzimy ten szkic wśród ordynatorów i pielęgniarek oddziałowych, ale nie możemy sobie pozwolić na publiczne obwieszczenie, że ktoś z zewnątrz może ot tak pojawić się w szpitalu i zamordować pacjenta. Proszę podporządkować się temu zaleceniu.

Harry obejrzał się na Mela Wetstone'a, który wzruszył ramionami i kiwnął głową.

– Zgoda.

– W takim razie – zakończył posiedzenie Erdman – może pan kontynuować swoją pracę.

– Jedzie pan do domu? – spytał Wetstone, gdy wychodzili ze szpitala.

– Nie, do swojego gabinetu. Myślę, że Mary zasługuje, żeby ją zaprosić na lunch.

– Raczej na wystawną kolację u Ritza.

Rozdział 28

Zainstalowany na ścianie tuż koło przystanku metra Park Battery termometr znajdował się w pełnym słońcu. Niemniej trzydzieści cztery stopnie to trzydzieści cztery stopnie. James Stallings, spocony i wykończony, z teczką w jednej, a marynarką w drugiej ręce, kłął w duchu swoje upodobanie do ciemnych koszul. Owszem, wyglądają elegancko i wyróżniają go spośród noszących białe koszule kolegów, ale w upał taki jak dziś ciemny granat to po prostu idiotyzm.

Cóż, nie jedyny idiotyzm, jaki ostatnio popełnił.

Stacja była pełna ludzi. Turyści z Ellis Island wymieszani z pasażerami wysiadającymi z promu ze Staten Island, chmara dzieciaków z jakiejś wycieczki szkolnej. Wszyscy uskarżali się na upał. Stallings przepchnął się przez obrotową bramkę przed dwiema chichoczącymi nastolatkami. Chciał posłuchać, z czego się śmieją, ale ogarnęła je gwarna falanga innych dzieciaków i porwała szerokimi schodami.

Pociąg stał już przy peronie. Park Bartery to początkowa stacja linii, więc prawie zawsze można było usiąść, nawet w godzinach szczytu. Dzisiaj jednak nie było wolnych miejsc. Z urywków rozmów Stallings zrozumiał, że doszło do jakiejś przerwy w kursowaniu pociągów. Wprawdzie wagony były klimatyzowane, ale z peronów wraz z tłumem pasażerów wdzierало się do przedziałów gorące, parne powietrze. Koszula Stallingsa przemokła pod pachami na wylot. Wyjrzał przez okno na wciąż spływający szerokimi schodami na betonowy peron tłum. Loomis za chwilę się tu pojawi. Prawdę mówiąc, nie ma większego znaczenia, czy będą jechali tym samym pociągiem, czy nie, zwłaszcza jeśli w różnych wagonach. Ale Stallings, który nigdy nie uważał się za paranoika czy nerwusa, bał się.

Sir Lionel stanowił dla Okrągłego Stołu zagrożenie. Umarł nagle i w tajemniczych okolicznościach. Mniej więcej rok później w szpitalnym łóżku została zamordowana Evelyn DellaRosa. Ona także naraziła się bractwu. Lek, którym ją uśmiercono, został wykryty, choć stało się to przypadkowo. Czy te dwie śmierci coś ze sobą łączy? Może, choć to wątpliwe, pomyślał Stallings. Ale on ma w ciągu najbliższej doby dostarczyć listę pacjentów do likwidacji – albo sam stanie się zagrożeniem dla Okrągłego Stołu.

Dobrze, że spotkał się z tym Loomisem. Ten facet wygląda na szczerego, porządnego gościa. Nawet jeśli nadal nie jest przekonany do końca, to jeśli jeszcze się trochę rozejrzy, zmieni zdanie. I razem będą mogli coś wymyślić. Muszą. Otarł rękawem pot z czoła. Wagon pękał w szwach i było potwornie gorąco. Zaraz ktoś zemdleje.

– Ty, uważaj – warknął jeden z pasażerów.

– Spieprzaj! – padła szybka odpowiedź.

Między Stallingsem a rzędem siedzeń przepychała się artretyczna leciwa kobieta z wypchaną siatką na zakupy. W pewnym momencie nadepnęła Stallingsowi boleśnie na stopę. Kiedy

przeprószył i uwolnił palce spod obcasa, spojrzęła na niego przekrwionymi oczami i wymamrotała coś, czego na szczęście nie rozumiał.

Drzwi zasunęły się i po dłuższej chwili pociąg ruszył. Stallings ścisnął w lewej ręce teczkę i pogniecioną marynarkę, a drugą trzymał się drążka nad głową starej kobiety. Ze wszystkich stron napierali na niego pozostali pasażerowie. Przywykł do codziennych dojazdów metrem z Upper East Side, był więc uodporniony na związane z tym trudności i niewygody, ale chyba nie pamiętał tak paskudnej podróży. Co gorsza, pociąg rzucał niemiłosiernie, prawdopodobnie maszynista chciał nadrobić opóźnienie.

Minutę po odjeździe obcas staruchy znów wbił się w stopę Stallingsa. Odepchnął ją lekko, zarabiając kolejne przekrwione spojrzenie i kolejny epitet. W chwilę później silne szarpnięcie rzuciło go na stojących obok ludzi. Poczłł ostre ukłucie w prawym boku, tuż nad paskiem od spodni. Pszczoła? Pająk? Sięgnął prawą ręką i roztarł bolące miejsce. Pieczenie prawie minęło. Sprawdził koszulę: tkwiła porządnie w spodniach. Gdy pociąg wszedł w ostry zakręt, wciąż nie trzymał się drążka. Siła odśrodkowa wytręciła go z równowagi.

– Trzymaj się pan czegoś! – zirytował się ktoś, odpychając go od siebie.

– Idiota – dodał ktoś inny.

– Przepraszam – mruknął Stallings, nadal zastanawiając się, co go mogło użądlić. Wiele razy użądliła go osa i pająk. Ale żeby przez koszulę?

Pociąg zwolnił, dojeżdżali do przystanku City Hall. Zaczęła się przepychanka do wyjścia.

– Przepraszam – jakaś kobieta próbowała przepchnąć się przed Stallingsa. – Proszę pana...

Ale Stallings nie był w stanie jej odpowiedzieć. Serce zaczęło mu walić jak oszalałe, puls łomotał w uszach jak armatnie salwy. Miał mdłości i zawroty głowy, pot spływał mu po twarzy strumieniami. Światła w przedziale rozmazały się i zaczęły wirować, coraz szybciej i szybciej. W klatce piersiowej czuł pustkę, jakby wyrwano mu płuca i serce. Rozpaczliwie chciał się położyć.

– Panie, co pan robi? – krzyknął ktoś.

Dłoń Stallingsa ześlizgnęła się z metalowego drążka.

– Człowieku...

Kolana się pod nim ugięły, głowa opadła do tyłu.

– Cofnąć się, cofnąć! Facet zemdlał!

Stallings wiedział, że leży na podłodze i że jego ręce i nogi dygoczą nieopanowanie. Ktoś go nadepnął, gdy tłum próbował się rozstąpić. Poczłł, że zagryza wargę, ale nie zabolęło. Głowy ludzi dobiegały go jak dalekie echa z głębi długiego metalowego tunelu.

– To jakiś atak! Trzeba włożyć mu coś między zęby... Przewróćcie go na bok! Na bok... Jestem sanitariuszem. Proszę się odsunąć! Niech ktoś coś zrobi! Zaraz, proszę pani, niech się pani odsunie... Trzeba wezwać policję...

Słowa ludzi dobiegały do Stallingsa coraz bardziej urywane i zniekształcone. Człłł, że ktoś przy nim klęczy, dotyka go, ale nie miał siły zareagować. Wiedział, że traci świadomość. Krew z pogryzionej wargi płynęła na granatową koszulę. Pęcherz odmówił mu posłuszeństwa. Zamazane

obrazy przykryła czern. Głosy i dźwięki umilkły.

Tylko jedna osoba nie interesowała się Stallingssem. Był to niczym nie wyróżniający się mężczyzna w kolorowej sportowej koszuli. Korzystając z zamieszania, chwycił rączkę teczeki Stallingsa. Potem niespiesznie wyslizgnął się z tłumu. Uśmiechał się w duchu myśląc o tym, jak Sir Gawaine próbował zgubić ewentualny „ogon” w drodze do parku Battery, nie wiedząc, że Galahad kazał zainstalować w pokojach hotelowych rycerzy urządzenia podsłuchowe, dzięki którym śledzenie wcale nie było potrzebne.

Drzwi pociągu rozsunęły się i ludzie zaczęli wylewać się na peron. Człowiek z teczką Stallingsa przesuwiał się spokojnie wraz z falą podróżnych. Strzykawkę wyrzucił do kosza za najbliższym rogiem. Kardiotoksyna, którą zastosował, była jedną z jego ulubionych broni – trucizna nie znana poza dorzeczem Amazonki, a tak silna, że ta odrobinka, która pozostała jeszcze na igle strzykawki, wystarczyłaby, żeby zabić jeszcze kogoś. Igła, której użył, była tak cieniutka, że rana po ukłuciu będzie niewidoczna. A jeśli w miejscu zastrzyku pojawiła się kropelka krwi, to na granatowej koszuli nikt na nią nie zwróci uwagi. Jeszcze jedna śmierć powiększająca statystykę ofiar upału.

Anton Perchek opuszczał teren stacji bez pośpiechu, mijając się w przejściu z dwoma biegnącymi policjantami.

– Powoli, panowie – powiedział cicho. – Nie ma pośpiechu.

Rozdział 29

W mieszkaniu Harry'ego panował radosny nastrój. Walter Concepcion i Maura przybyli prawie równocześnie, przynosząc dobre wieści.

Harry bardzo ich potrzebował. Po przesłuchaniu, wysiadając z mercedesa Mela Wetstone'a, doznał następnego ataku bólu w klatce piersiowej, bólu, który promieniował gdzieś głęboko spod pleców do mostka. Nie trwało to długo – trzy, może cztery minuty. Ból był silny, ale do zniesienia. Zanim Harry zdążył dojść do swojej szafki z lekami po nitroglicerynę, ustąpił. Jeśli to dusznica bolesna, nie był to jej podręcznikowy przykład.

Maura dotrzymała swojego zobowiązania i chodziła na mityngi AA. Powiniennem się umówić na test wysiłkowy, pomyślał Harry. Wrócił do swojego biurka, wykręcił numer służbowy znajomego kardiologa, ale kiedy doczekał się jednego sygnału, odłożył słuchawkę. Uznał, że może przecież nosić tabletki nitrogliceryny w kieszeni i zażywać je, gdy tylko ból się pojawi. Jeśli po tabletkach ból ustąpi, będzie to oznaczało, że prawdopodobnie chodzi jednak o serce, i wtedy zadzwoni do kardiologa.

Zdał Maurze i Walterowi relację z przesłuchania w szpitalu, i dramatycznej przemowy Caspara Sidonisa i wspinających spektakli przygotowanych przez Mela Wetstone'a oraz Mary Tobin.

– Czy ten Sidonis wie o twojej żonie... to znaczy o tym jej zbieraniu materiałów? – zapytał Concepcion, gdy Harry skończył.

– Nie sądzę. Mówiłem o tym tylko policji. Nie widziałem powodu, żeby zwierzać się Sidonisowi. Zresztą i tak by w to wszystko nie uwierzył.

– Z niego może być niebezpieczny przeciwnik. Radziłbym ci trzymać się od niego z daleka. Myślisz, że rzeczywiście zwolni się, tak jak groził?

– Nie sądzę, ale kto wie. Wydaje mu się, że może rzucić CMM i wywiesić swój szyld w innym szpitalu, ale to nie takie proste. Tu ma zaplecze laboratoryjne, a jeśli ktoś zarabia ponad milion rocznie, to nic nie jest proste. Wszystkie szpitale w mieście mają obsadzone stanowiska szefów kardiologii i wątpię, żeby którykolwiek z tych ludzi skakał do góry z radości na myśl, że Caspar Sidonis może zacząć buszować po jego terytorium.

Potem Maura opowiedziała, jak Lonnie Sims pomógł jej stworzyć serię portretów. Oprócz pierwotnej wersji były portrety w okularach i z brodą, z wąsami i włosami blond, a także z niebieskimi oczami i długimi włosami. Sims zmniejszył je i wydrukował na jednym arkuszu formatu A4 w dziesięciu egzemplarzach.

– Trzeba było zrobić jeszcze jeden, w kobiecym przebraniu – powiedział Concepcion przyglądając się wizerunkom.

– Co?

– Nic. Tak sobie gadam. Ten facet wydaje się przenikać przez ściany szpitala, więc ciekaw byłbym, jak wygląda w charakterze pielęgniarki.

– Lonnie próbował z damskimi fryzurami i makijażem różnego rodzaju i wyszły mu z tego dziesiątki kombinacji. Gdyby to wszystko chcieć zmieścić na jednej kartce, obrazki byłyby maleńkie. A poza tym to trochę mylące, jeśli się patrzy na zestaw piętnastu czy dwudziestu rozmaitych portretów. Łatwiej się skupić, gdy jest ich tylko kilka.

– Racja – przyznał Concepcion. – Teraz zrobimy plik kolorowych odbitek ksero i damy je na każdy oddział tego szpitala. I może jeszcze w innych szpitalach.

– Nie możemy tego zrobić. – Harry opowiedział o obiekcjach Owena Erdmana i swojej zgodzie na ograniczenie dystrybucji wizerunków.

– To fatalnie – Concepcion był rozczarowany.

– Aż tak?

– Nie chodzi o to, żeby ktoś popatrzył na ten plakat i powiedział: „Ach, ten facet jest tutaj”. Takie rzeczy zdarzają się, owszem, ale nieczęsto. Przede wszystkim chodziło mi o zaniepokojenie Doktora, rozdrażnienie go do tego stopnia, żeby zrobił coś lekkomyślnego. Zamierzałem go poszturchać i doprowadzić do tego, że będzie chciał się za wszelką cenę odgryźć.

– Mówisz, jakbyś go znał – stwierdził Harry.

Nerwowy tik w kąciu ust Waltera znów dał o sobie znać.

– Nie znam go, wiem jednak, jacy są psychopaci. Jest bardziej prawdopodobne, że potknie się na swojej wybujałej ambicji niż na naszej podstawionej nodze. Tylko musimy znaleźć sposób, żeby go wyprowadzić z równowagi.

– Przykro mi, ale z oplakatowania szpitala musimy zrezygnować. Dałem słowo prezesowi zarządu. Moja pozycja i tak jest chwiejna, więc lepiej, żebym nie ryzykował. A Owen jest znany z temperamentu. Możemy spróbować pogadać z nim za tydzień. Teraz nie.

– Trudno.

Concepcion przez chwilę przyglądał się wizerunkom.

– Niesamowite podobieństwo – powiedział, wsuwając je do zniszczonej skórzanej aktówki.

Maura popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

– A ty skąd to wiesz?

– Może i wyglądam na nieokrzesanego – odparł wesoło – ale potrafię rozpoznać prawdziwe dzieło sztuki.

– Dziękuję – mruknęła, odsuwając na bok chwilowe podejrzenie. – Czy to podobieństwo jest naprawdę takie niesamowite, dowiemy się, jeśli będziemy mogli obejrzeć oryginał za kratkami.

„Jeśli dożyje”. Concepcion obawiał się, że powiedział te słowa na głos.

Maurze wydawało się, że przez twarz Waltera przebiegł cień, jakby na chwilę odpłynął myślami gdzieś bardzo daleko. Pociągnął długi łyk lemoniady, którą podał im Harry. Gdy odstawiał szklanke, cień już się rozproszył. Uśmiechał się szeroko.

– A więc, *amigos*, teraz moja kolej – oświadczył. – Opowiem wam o Agencji Towarzyskiej dla Panów z Klasą o nazwie „Elegancja”. Prowadzi ją kobieta imieniem Page. Nic więcej mi o sobie nie powiedziała. Spotkaliśmy się w takim ciemnym barze, kompletnie bez okien, na East Side. Okazało się, że moje podejrzenia były słuszne. Desiree luźno współpracowała z „Elegancją”, z przerwami, przez cztery czy pięć miesięcy. Hmm... przepraszam cię, Harry, ale wygląda na to, że cieszyła się wielkim wzięciem.

– Wspaniale.

– Nie przeszkadza ci to?

Harry wzruszył ramionami.

– Mów dalej.

– Dobra. Page jest zła, bo jakaś grupa zamożnych, wpływowych facetów przestała korzystać z usług jej agencji, kiedy dowiedzieli się, że Desiree jest dziennikarką. Desiree próbowała przeprowadzać wywiady z innymi dziewczynami i jedna z nich ją wsypała. Page myślała, że jeśli wyleje Desiree z roboty, to wszystko będzie w porządku. Niestety, skreślili ją i jej agencję. Straciła kupę szmalu. Była tak bardzo zła na tych ludzi, że trochę puściła farbę, ale jest też zdrowo przestraszona. Zdaje się, że dwaj z nich odwiedzili ją i nieźle przemaglowali w sprawie Desiree. Z początku nie chciała mi nic powiedzieć, więc musiałem smarować babę, aż zmiękła. Obawiam się, Harry, że poszło półtora patyka...

– Wszystko?

– Trzeba było kuć żelazo, póki gorące. Straciłbym ją na dobre, gdybym nie wykorzystał tej szansy.

– Dobrze, ale pięćset idzie z twojego rachunku.

– Harry! – wykrzyknęła Maura.

– Przepraszam. Mów dalej, Walterze. Wierzę ci. Naprawdę.

– Nie znała żadnych imion ani nazwisk tych mężczyzn, wiedziała tylko tyle, że jednego nazywają Lance. Może to nazwisko. Płacił gotówką. Siedem jej najlepszych dziewczyn udawało się dwa razy w miesiącu do hotelu „Camelot” i zostawało tam na noc. Nie wiedziała dokładnie, czym ci faceci się zajmują, ale z tego, co jej przebąkiwały dziewczyny, domyśla się, że są z branży ubezpieczeniowej.

– Ubezpieczenia?

– Tyle powiedziała. To niewiele, jednak zainteresowało mnie. Myślałem, żeby zasięgnąć języka u pokojówek w „Camelocie”. Pokojówki w hotelach wiedzą wszystko, a w tym mieście połowa z nich to Latynoski. Może dowiemy się czegoś o tych gościach i będziemy mieli punkt zaczepienia.

Spotykają się co dwa tygodnie w hotelu „Camelot”... – przypomniał sobie Harry fragmenty tekstu Desiree.

– Nie sądzę, żeby to było konieczne – powiedział. – Myślę, że Evie już znalazła dwóch z nich.

Kartkę, na której były nazwiska przepisane z notatnika żony, trzymał w portfelu. Przepisał te nazwiska jeszcze raz i drugą karteczkę ukrył w swoich starych półbutach w szafie w przedpokoju. Teraz wyjął kartkę z portfela, zadzwonił do informacji, a potem wybrał numer Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Szukał bibliotekarki o nazwisku Stephanie Barnes. Barnes była pierwszą pomocą medyczną, którą zatrudnił, gdy uruchamiał gabinet. Ona jedyna zwołała się po to, żeby pójść na studia, a nie po to, żeby urodzić dziecko czy zarobić więcej, niż on mógł jej płacić. Harry dał jej sutą odprawę, żeby lżej jej było na pierwszym roku. Obecnie była szczęśliwą małżonką i magistrem bibliotekoznawstwa, miała dzieci i zarabiała znacznie więcej, niż Harry mógłby jej zapłacić. Nadal utrzymywali ze sobą kontakt i dzięki niej Harry wiedział, że nie ma informacji, do której inteligentny bibliotekarz nie potrafi dotrzeć.

– Stephanie, mam dwa nazwiska z adresami i numerami ubezpieczenia społecznego – powiedział, kiedy złożyła mu już kondolencje z powodu Evie, a on wyjaśnił, że nie ma nic wspólnego z jej śmiercią. – Podejrzewam, że te dwie osoby są w jakiś sposób związane z branżą ubezpieczeniową. Interesuje mnie wszystko, co możesz wykopać na ich temat, zwłaszcza gdzie pracują i co robią. Może być na jutro, jeśli jesteś bardzo zajęta, ale wolałbym, żeby to było za godzinę lub coś koło tego.

Stephanie powiedziała, żeby za wiele nie oczekiwał, ale zadzwoniła za niecałe pół godziny.

– Mamy ich! – zawołał Harry, gdy zapisał podane informacje. – Walter, trafiłeś. James Stallings, wiceprezes Międzystanowej Opieki Zdrowotnej. Drugi to Kevin Loomis, pierwszy wiceprezes Towarzystwa Ubezpieczeń Zdrowotnych i od Nieszczęśliwych Wypadków „Korona”. Obaj to wschodzące gwiazdy. Loomis ma zaledwie dwa lata college’u dla pracujących w New Jersey i jeszcze parę lat temu był zwykłym agentem ubezpieczeniowym. Teraz to figura. Nie mam pojęcia, czemu mieszka w Queens przy zarobkach, jakie musi mieć. Stallings skończył prywatne szkoły: St. Stephen’s, Dartmouth i szkołę biznesu Whartona. Zdobył tony nagród i wyróżnień.

– Mam poszukać numerów telefonów tych firm? – spytała Maura.

Harry postukał palcem w swoje notatki.

– Najwyraźniej nie doceniasz takich ludzi jak moja przyjaciółka Stephanie. Mam numery służbowe i domowe ich obu.

– Którego bierzemy na pierwszy ogień?

Harry spojrzął na Waltera.

– Zaczniemy od tego od nagród – oświadczył Concepcion. – Jak zamierzasz się do niego zabrać?

– Chyba będę improwizować – mruknął Harry.

Wybrał numer manhattańskiego biura Międzystanowej Opieki i poprosił Jamesa Stallingsa. Za chwilę miał na linii jego sekretarkę.

– Biuro pana Stallingsa.

– Dzień dobry – powiedział Harry. – Chciałbym się skontaktować z Jimem Stallingsem.

Nazywam się Collins, Harrison Collins. Byłem z Jimem w jednej grupie w Dartmouth College. Jestem członkiem komitetu organizacyjnego uroczystości wręczania dyplomów. Jim jest kandydatem do nagrody dla wyróżniającego się absolwenta. Muszę ustalić z nim pewne szczegóły.

Mała widownia Harry'ego kiwała z aprobatą głowami. Sekretarka po nienaturalnie długiej pauzie odpowiedziała:

– Przykro mi, panie Collins, ale pan Stallings nie może z panem teraz rozmawiać.

– Kiedy mam zadzwonić?

Znów kłopotliwa przerwa.

– A o co chodzi? – zapytała wreszcie.

– O nagrodę. Dartmouth College przyznał panu Stallingsowi nagrodę.

– Panie Collins, niestety pan Stallings jest chory. Bardzo chory. Leży na oddziale intensywnej opieki medycznej szpitala Memorial.

– Ach, to straszne. Czy wiadomo, co mu się stało?

– Nic więcej nie mogę powiedzieć bez upoważnienia. Przykro mi.

Harry zrelacjonował tę rozmowę Maurze i Walterowi, po czym wykorzystał swoją znajomość stosunków szpitalnych, żeby połączyć się z pielęgniarką dyżurną OIOM-u w Memorialu. Rozmowa trwała minutę. Powoli odłożył słuchawkę.

– Stallings miał zatrzymanie krążenia w metrze dziś po południu. Jest w tej chwili podłączony do respiratora, ale mózg jest praktycznie martwy. Nic więcej nie wiadomo.

– Ile ma lat?

Harry zajrzał do notatek.

– Czterdzieści dwa.

– Raczej nietypowy wiek jak na nagłe zatrzymanie krążenia – powiedział Concepcion.

– Co podejrzewasz?

– Nie podoba mi się to. Absolutnie nie podoba. Trzeba zadzwonić do tego drugiego. Jak się nazywa?

Harry już wykręcał numer „Korony”.

– Loomis – powiedział. – Kevin Loomis.

Na użytek sekretarki Loomisa zmodyfikował nieco swoją historyjkę. Harrison Collins był tym razem w Komitecie Amerykańskiego Stowarzyszenia Ubezpieczeniowego, przyznającym tytuł „Dyrektora Roku”. Loomis jest jednym z trzech kandydatów. Harry miał nadzieję, że brzmi to prawdopodobnie. Za chwilę na linii był Loomis.

– Czym mogę panu służyć, panie Collins?

– Czy jeszcze ktoś korzysta z tej linii? – zapytał Harry.

– Słucham...?

– Może pan mówić bezpiecznie?

– Oczywiście. O co właściwie chodzi?

– Panie Loomis, nie nazywam się Collins, tylko Corbett. Doktor Harry Corbett. Wie pan, kim jestem?

– Czytam gazety.

– Chodzi o moją żonę, panie Loomis. Moją zmarłą żonę, Evelyn.

– Dlaczego dzwoni pan do mnie?

– Panie Loomis, chcąc się oczyścić z zarzutu, że ją zamordowałem, zacząłem badać jej życie. Dowiedziałem się, że pracowała w agencji towarzyskiej „Elegancja”. Wiem, że spotykała się z panem i Jamesem Stallingsem w hotelu „Camelot”.

– To bzdura. Nigdy nie byłem w hotelu „Camelot”, nie znałem pańskiej żony i nie znam nikogo nazwiskiem Stallings. Jestem bardzo zajęty i...

– Pańskie nazwisko, adres i numer ubezpieczenia społecznego były w notatkach mojej żony. Tak samo dane Stallingsa. Przepisała pewnie te dane z waszych praw jazdy. Może pan porozmawiać ze mną albo z policją.

– Doktorze Corbett, nie lubię, jak mi grożą. Nie znam pana i nie znam pańskiej żony. Odkładam słuchawkę i proszę więcej nie dzwonić.

– Panie Loomis, właśnie rozmawiałem z pielęgniarką z OIOM-u w szpitalu Memorial. James Stallings miał dziś zatrzymanie krążenia. Jest nieprzytomny i leży pod respiratorem, ale nigdy z tego nie wyjdzie. Jest w stanie śmierci mózgowej.

Przedłużająca się cisza wystarczyła za odpowiedź.

– Nie znam Stallingsa, tylko tyle mogę panu powiedzieć.

– Mój numer telefonu osiemset-siedemdziesiąt-trzy-tysiące-cztery – nie dawał za wygraną Harry. – Proszę dzwonić o dowolnej porze, ale szybko. Mam przeczucie, że powinniśmy porozmawiać.

Kevin Loomis odłożył słuchawkę bez odpowiedzi.

– Sprawdzi, co się dzieje ze Stallingsem – powiedział Harry – a potem zadzwoni.

– Zadzwoni albo nie. – Maura była ostrożna. – Równie dobrze to on mógł wynająć mordercę Evie.

Rozdział 30

Na OIOM-ie szpitala Memorial do jednego pacjenta dopuszczano najwyżej dwoje odwiedzających. Kiedy Kevin Loomis przybył tam o drugiej piętnaście następnego popołudnia, limit Jamesa Stallingsa był wyczerpany. Skierowano go do małej poczekalni rodzinnej ze zbyt miękkimi fotelami, wyborem religijnych i podnoszących na duchu lektur i telewizorem nastawionym na program z kreskówkami.

Chorych można było odwiedzać od dwunastej do ósmej wieczór, ale Kevin dopiero teraz znalazł czas na wypad do szpitala. Gdy tylko wczoraj rozłączył się z Corbettem, zadzwonił do Memorialu, jednak dowiedział się zaledwie tyle, że James Stallings jest pacjentem na OIOM-ie i że znajduje się w stanie krytycznym. Zadzwonił do biura Stallingsa w Międzystanowej Opiece, mając nadzieję, że dowie się czegoś więcej, ale rozłączył się, gdy sekretarka zapytała go o nazwisko. Wstrząśnięty, przeżył jakoś godzinne posiedzenie w pracy – zebranie, na którym Burt Dreiser siedział dokładnie naprzeciw niego i uśmiechał się dobroduszenie.

Burt, znasz Sir Gawaine'a, tego wysokiego, przystojnego faceta, który przystąpił do Okrągłego Stołu jakieś pół roku przede mną, prawda? – pomyślał. Wiesz, że leży w stanie krytycznym na OIOM-ie szpitala Memorial?

Po zebraniu z trudem zdążył na recital taneczny Julie. Wolałby pójść na mecz Nicky'ego, ale umówili się z Nancy, że będą chodzić na zmianę. Po przeprowadzce do Port Chester trzeba będzie wprowadzić korekty do tego planu.

Gdy zobaczył się wczoraj wieczorem z żoną, była prawie dziewiąta. Dzieciaki już leżały w łóżkach. Ponieważ poprzednią noc spędził w „Apartamentach Garfielda”, przez prawie półtora dnia nie zamienił z Nancy słowa. Natychmiast zauważyła, że jest nienaturalnie spięty, i zapytała go, co się stało. Powiedział, że miał ciężki dzień. Kiedy zapytała, jak mu poszło przy pokerze, wybrał wersję „wygrałem parę dolarów”. Potem ona opowiedziała mu, co się działo w domu podczas ostatnich dwóch dni, i zaczęła z nim flirtować, gładząc go po wewnętrznej stronie uda. Nie kochali się już ze dwa tygodnie, od poprzedniego spotkania Okrągłego Stołu. Ale dziś nie miał na to siły, wyłgał się więc, zwalając swój brak zapału na pękającą z bólu głowę, zmęczenie i umówiony telefon do Burta. Zmusił się, żeby nie patrzeć na jej zatroskaną minę, i pojechał jeszcze raz do szpitala.

– Przepraszam...

– Mhm?

Kevin nie widzącymi oczami gapił się na przygody Królika Bugsa. W drzwiach poczekalni stała kobieta. Wysoka i szczupła, krótko obcięte płowe włosy. Atrakcyjna, szczupła twarz. Byłaby piękna, gdyby nie głębokie cienie pod oczami.

– Pan przyszedł do Jima Stallingsa?

– Tak.

Kobieta zrobiła krok do przodu i wyciągnęła rękę.

– Nazywam się Vicky Stallings. Jestem żoną Jima.

Kevin wstał.

– Kevin Loomis. Pracuję w „Koronie”... Grywam w karty z Jimem.

– Ach, więc widział się pan z nim w przeddzień... w przeddzień... tego wypadku. Dobrze się czuł?

– Zupełnie dobrze.

– Jechał metrem – powiedziała, mówiąc bardziej do siebie niż do Kevina. – Stracił przytomność przy stacji City Hall. Jego sekretarka mówiła, że miał jakieś spotkanie w śródmieściu, ale nie miała pojęcia jakie. Skąd pan zna Jima?

– Ee... grywaliśmy w karty.

– Ach tak, mówił pan przecież. Jestem trochę rozkojarzona ostatnio. Przypuszczam, że znowu przegrał. – Była zdenerwowana, starała się jednak opanować. – Jim nigdy nie lubił kart, a i nie grał za dobrze. Ale tych spotkań nigdy nie opuszczał. Domyślam się, że chodziło bardziej o interesy niż o pokera.

Kevin dziwnie się poczuł, słysząc to kłamstwo z ust cudzej żony.

– Naprawdę przykro mi z powodu tego, co się stało – powiedział. – Poza tym, że jego stan jest krytyczny, nie udało mi się dowiedzieć niczego więcej. Czy on...

Vicky Stallings pokręciła głową, a potem nagle rozplakała się. Kevin stał obok niej, zakłopotany, i czekał, aż się uspokoi. Zażenowana przeprosiła go. Powiedział, że nie ma za co.

– Właśnie wyszła moja siostra. Niech pan wejdzie do niego sam. Ja posiedzę tu i trochę się pozbieram. Jim nigdy mi o panu nie wspominał, ale on w ogóle nic nie mówił o tych pokerowych spotkaniach. Bardzo miło z pana strony, że pan przyszedł go odwiedzić.

– Przykro mi, że to się stało – powtórzył Kevin.

Jak daleko sięgał pamięcią, zawsze miał awersję do szpitali. A już oddziałów intensywnej opieki wprost nie znosił. Pielęgniarka skierowała go do boksu numer 3, oszklonej kabiny częściowo osłoniętej kotarami. Leżący tam pacjent ledwie przypominał eleganckiego dyrektora, który przez blisko pięć miesięcy siadywał naprzeciwko Kevina na spotkaniach Okrągłego Stołu. Plastry na obrzękniętej twarzy przytrzymywały rurki wchodzące do nosa i ust. Przy łóżku sapał i świstał duży respirator, monitor mrugał jak gra komputerowa. Wargi Stallingsa, a przynajmniej te ich fragmenty, które Kevin widział spod plastrów, były popękane i sine. Oczy miał zamknięte. W regularnych odstępach czasu jego ciało ogarniał skurcz, sztywne ramiona wykręcały się dłońmi na zewnątrz. Umieszczony nad głową Stallingsa ekran pokazywał regularną pracę serca, ale Kevin wiedział, że ten wykres jest zwodniczy.

Śmierć mózgową. Tak wyraził się ten lekarz, Harry Corbett. Śmierć mózgową.

Kevin przypomniał sobie Evelyn DellaRosa. Taka piękna kobieta. Czy skończyła w ten sam sposób? Z rurkami we wszystkich otworach ciała? Obrzęknięta, w stanie śmierci mózgowej,

podłączona do respiratora? Czy jej organizm funkcjonował, póki nie przyszedł jakiś lekarz i nie wyciągnął wtyczki z kontaktu? Czy taki los czeka też jego, Kevina Loomisa?

Zbliżył się do łóżka.

Czy istnieje jakakolwiek możliwość, że zatrzymanie czynności serca Stallingsa było przypadkowe? Ten człowiek przeżywał silny stres w związku z tym, co się działo w bractwie Okrągłego Stołu. Na peronie było chyba trzydzieści osiem stopni, w wagonach niewiele mniej. A jeśli miał pecha i trafił na pociąg starego typu, bez klimatyzacji? Może miał jakieś dolegliwości, które w tych warunkach spowodowały, że jego serce nie wytrzymało? Ale może byli śledzeni przez cały czas w parku Battery. Może Stallings rozpoznał kogoś w metrze. Może to oni mu coś zrobili.

Do cholery, James, co naprawdę zaszło? – zastanawiał się w panice. Co mam teraz robić?

– Dziękuję panu za cierpliwość, panie Loomis. Vicky Stallings miała już umytą twarz i lekki makijaż.

– Proszę mi mówić Kevin. Jakie to okropne. Czy lekarze w ogóle wiedzą, jak to się stało?

– Chętnie z tobą porozmawiam, Kevinie – szepnęła – jednak wołałabym nie tutaj. Jim chyba nie słyszy, ale mimo wszystko...

– Rozumiem.

Wrócili do poczekalni. Kreskówki nadal migały wesoło. Kevin wyłączył odbiornik.

– Nie musi pani ze mną rozmawiać, jeśli to zbyt bolesne – powiedział.

– Nie ma tu wiele do opowiadania. Lekarze oświadczyli, że nie ma nadziei. Oceniają, że serce zatrzymało się na osiem czy dziewięć minut. Ludzie na dworcu robili mu sztuczne oddychanie i masaż serca, ale to nie wystarczyło. Dopiero w karetce udało im się wznowić czynność serca.

– Czy miał przedtem kłopoty z sercem? – zapytał Kevin i zdał sobie sprawę, że rozpaczliwie oczekuje odpowiedzi twierdzącej.

– W zeszłym roku brał udział w maratonie nowojorskim. Pół roku temu wykupił wysokie ubezpieczenie na życie. Musiał się poddać testowi wysiłkowemu. Mówił, że wypadł tak dobrze, że lekarz, który przeprowadzał badanie, przerwał je.

Wysokie ubezpieczenie na życie. Kevin próbował sobie przypomnieć, jakie jest jego własne. Gdy tylko przystąpił do Okrągłego Stołu, podwyższył je znacznie. Dwa i pół miliona i jeszcze dodatkowe pół, jeśli śmierć nastąpi wskutek nieszczęśliwego wypadku.

– Zawsze wydawał mi się zdrowy – powiedział.

– Lekarze twierdzą, że mógł nastąpić spadek poziomu potasu, wskutek nadmiernego pocenia się. Nie wiadomo, co robił przez poprzednią godzinę czy półtorej...

Głos Vicky Stallings znowu się załamał. Kevin widział, że za chwilę znów się rozklei. Prawdę mówiąc, sam był tego bliski. Sprawa Stallingsa to żaden przypadek, tak samo jak nieprzypadkowa była śmierć Evelyn DellaRosa czy rycerza o imieniu Sir Lionel. Najprawdopodobniej Stallings był śledzony do parku Battery i potem jakoś go dopadli. Teraz

wegetuje jak warzywo. Niewzruszony Sir Gawaine. Ciekawe, czy on także kupił nowy dom, gdy jego uczestnictwo w Okrągłym Stole stało się faktem. Kevin miał ochotę krzyknąć. Udał, że patrzy na zegarek. Vicky Stallings zaoszczędziła mu kłopotu.

– Dziękuję bardzo, że przyszedłeś. – Wyciągnęła do niego rękę. – Trzeba cudu, żeby Jim z tego wyszedł, ale cuda się zdarzają.

– Będę się za niego modlił – powiedział Kevin wycofując się z pokoju. Czuł pustkę w głowie i miał rozpaczliwą ochotę na drinka.

Zatrzymał się przy pierwszym mijanym barze, przełknął dwie szybkie wódki z tonikiem i wrócił do „Korony”. Brenda Wallace miała dla niego kilka dokumentów do podpisania i listę rozmów telefonicznych, które powinien odbyć. Patrzył na nią, jak krząta się po biurze, opalona, gibka i bardzo pociągająca. Burt Dreiser ma najlepszy gabinet, jacht i Brendę Wallace. Ciekawe, kiedy uznał, że poradzi sobie ze wszystkim, czego od niego wymaga bractwo. Czy brał udział w planowaniu tego całego programu? Dlaczego, do diabła, Kevin nie może być taki jak on?

Zrobił, co miał do zrobienia, i siedział przez jakiś czas gapiąc się na miasto. Potem podniósł słuchawkę telefoniczną i zadzwonił do George’a Illycha, agenta „Korony”, który zajmował się jego polisami.

– George, tu Kevin Loomis. Jak idzie?

– Świetnie. Czym mogę służyć?

Kevin wyobraził sobie Illycha rozpartego w fotelu i spoglądającego z utęsknieniem na paczkę swoich ulubionych winstonów. George, jowialny i otyły, miłośnik bilardu i namiętny golfiarz, wypalał dwie paczki dziennie. Kevin nie znał nikogo, kto byłby w wyższej strefie ryzyka ubezpieczeniowego.

– Kupiliśmy z Nancy nowy dom w Port Chester – powiedział.

– Fantastycznie. Najpierw awans, potem nowy dom.

– A potem wysoka polisa. Uznałem, że przy zarobkach bliskich trzystu tysięcy dolarów powinienem podnieść sumę ubezpieczenia.

– Nie ma problemu. Na czym ostatnio stanęliśmy?

– Na milionie. To było cztery miesiące temu. Moje badania lekarskie są nadal ważne?

– Tak, do pół roku. Ile chcesz w sumie?

– Razem z tamtym milionem trzy i pół. – I dodatkowo pół miliona w razie wypadku, dodał w duchu.

– Wszystko na rzecz Nancy?

– Tak.

– Nie ma sprawy, chłopie. Przygotuję wszystkie papierki na jutro.

– Doskonale. Dziękuję, George.

– Może zagrałbyś partyjkę bilarda?

– Z tobą? Nie stać mnie na to.

- Zaraz, zaraz. Jesteś wart trzy i pół miliona dolarów, człowieku!
- Ale dopiero po śmierci.
- Rzeczywiście.

Pół godziny później do gabinetu zajrzała Brenda Wallace. Kevin szybko poskładał papiery, nad którymi pracował, i wsunął je do szuflady. Na dzisiaj już nic nie ma, poinformował ją. Obdarzyła go olśniewającym uśmiechem i poszła do domu.

Kevin otworzył swoją teczkę i wyciągnął plik wycinków z gazet na temat Evelyn DellaRosa. Dzwoniąc do Harry’ego Corbetta miał przed sobą zdjęcie Evelyn.

– Panie Corbett, tu mówi człowiek, do którego dzwonił pan wczoraj – powiedział do automatycznej sekretarki Harry’ego. – Chcę z panem pogadać. Proszę być w domu jutro rano o dziewiątej. Zadzwoń.

Włożył wycinki z powrotem do teczki, a wraz z nimi szkice planów piwnic domu w Queens, uwzględniające położenie pralki automatycznej, suszarki, zaworów i gniazdek elektrycznych.

Rozdział 31

Była prawie północ, gdy Harry usłyszał cichutkie pukanie w uchylone drzwi sypialni. Maura. Leżał na wznak, usilnie starając się zasnąć, był jednak zbyt podekscytowany. Sprawy przybrały nowy obrót, odkąd za namową Maury zatrudnił Waltera Concepcion. A teraz Kevin Loomis zostawił wiadomość na sekretarce. Chce rozmawiać. Ma rano dzwonić. Stopniowo krąg się zamyka. Krok za krokiem, powolutku, zbliżają się do ujęcia mordercy Evie i Andy'ego Barlowa.

– Wejdz, nie śpię – odezwał się.

– Chciałam tylko zobaczyć, czy dasz się namówić na herbatę i odrobinę towarzystwa.

Miała na sobie luźne bawełniane spodnie i podkoszulek bez rękawów. Stała w drzwiach, obramowana blaskiem padającego od tyłu światła. Jeśli zamierzała wyglądać kusząco i niezwykle seksownie, udało się jej to w pełni. Harry przesunął się i wskazał jej miejsce na łóżku w bezpiecznej odległości od siebie.

– Za herbatę dziękuję, ale odrobina towarzystwa dobrze mi zrobi.

Odrobina towarzystwa. Ta kobieta pociągała go od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył w jej mieszkaniu, po wyjściu ze szpitala. To głupota i ryzyko, wiedział o tym. Oboje są w kruchej równowadze i podatni na zranienie. Jego żona nie żyje dopiero od paru tygodni. Maura już raz miała wpadkę alkoholową. I oboje mają na głowie szaleńca, który chce ich uśmiercić.

– Postanowiłam wracać jutro do domu – powiedziała nagle.

Starął się ukryć przykre zaskoczenie.

– Przecież możesz zostać.

– Wiem. Ale prędzej czy później muszę wrócić. Nie dlatego, że mi tu źle, mam nadzieję, że mi wierzysz. Po prostu mam w głowie pełno nowych obrazów i chcę się do nich zabrać. Przelatują mi przez głowę jak komety.

– To wspaniale. Boję się jednak, że nie jesteś jeszcze bezpieczna.

– Ten zabójca równie dobrze może mnie dopaść tutaj. Nigdzie nie będzie bezpiecznie, póki nie znajdzie się za kratkami. Ale jestem bezpieczna, jeśli chodzi o alkohol. To było moje wielkie zmartwienie, większe niż ten morderca. Dzisiejszy mityng AA dodał mi pewności. Wiem, że nie będzie lekko, jestem jednak pewna, że wszystko pójdzie dobrze. Wśród tych wszystkich okropnych rzeczy, które się dzieją, to jedyna jasna strona. – Uśmiechnęła się do niego. – Wydaje mi się, że teraz powinnam być sama, a wiem, że i tobie potrzeba trochę więcej przestrzeni.

Siedziała na łóżku z podwiniętymi nogami, jej sylwetka rysowała się ostro w świetle dochodzącym z przedpokoju. Harry próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz obejmował Evie, kiedy ostatni raz się kochali. Ostatni raz, kiedy naprawdę mu zależało. Poczł narastające podniecenie i wziął Maurę za rękę.

– Nie trzeba mi więcej przestrzeni. Nie chcę, żebyś odchodziła – powiedział.

Przysunęła się. Oddychał jej zapachem i wiedział, że ostatnie jego zastrzeżenia rozplywają się bez śladu.

– Nie znasz mnie, Harry. Jestem twarda. Jestem znana z tego, że takich miłych i uprzejmych mężczyzn jak ty chrupię na śniadanie i zostawiam tylko kosteczki.

Cofnął się i popatrzył na nią spod oka.

– Już gdzieś to słyszałem. Chyba w kinie.

– Możliwe. To chyba z Greta Garbo. Ale zawsze miałam ochotę sama wypróbować to zdanie. Niestety polega na tym, że to prawda. Zawsze traktowałam mężczyzn tylko instrumentalnie... służyli mi do podbudowywania poczucia własnej wartości.

– Ależ jesteś osobą wartościową. I niezwykle seksowną.

– Nawet bez włosów?

– Masz piękne włosy. A poza tym, dzięki tej fryzurze „mini”, można się skupić na reszcie.

Przytulił ją i delikatnie dotknął jej piersi. Wydała ciche westchnienie, przycisnęła mocniej jego rękę i oparła mu głowę na ramieniu.

– Zapragnęłam cię w chwili, gdy zobaczyłam cię na schodach przed moim mieszkaniem. Ale teraz trochę się boję. Mamy za sobą ciężkie przejścia, a nie wiadomo, co nas jeszcze czeka.

– Nie musimy się ze sobą kochać. Możemy po prostu się objąć i położyć.

Wsunęła dłoń w jego szorty.

– Nawet nie próbuj mi tego wyperswadować.

Całował ją delikatnie w usta, w szyję, w kark. Uklęka nad nim okrakiem i ściągnęła mu T-shirt. Potem zdjęła swój podkoszulek i rzuciła na ziemię. Zaczął pieścić jej piersi i sutki ustami i językiem.

– Kochać się na trzeźwo to dla mnie zupełnie nowe doświadczenie – powiedziała.

– Nie musimy robić tego dzisiaj.

– Zamknij się, Harry. Ale posłuchaj, uważam, że musimy przestrzegać reguł bezpiecznego seksu. Od dawna z nikim nie byłam, jednak przedtem upijałam się do nieprzytomności, więc mogło być różnie.

– Nie przejmuj się. Evie była zwolenniczką prezerwatyw. W szufladzie jest pudełko, leży tam od miesięcy, nawet nie otwarte.

– No to je otworzymy.

Pocałowali się powoli. Wsunął rękę w jej spodnie, gładził pośladki, sięgnął głębiej i poczuł, że robi się wilgotna, potem całkiem mokra. Poddawała się jego pieszczotom, aż już nie mogła dłużej wytrzymać. Zdjęła z niego szorty, a jej wargi i język znalazły się na jego ciele.

– Maura, powoli – jęknął. – Wszedłem trochę z wprawy, a chciałbym, żeby to potrwało dłużej.

– Gdzie jest powiedziane, że masz tylko jedno podejście – mruknęła i przesunęła się wyżej. Pomogła mu zsunąć swoje spodnie.

Całkiem naga, o cudownie delikatnej białej skórze i z krótką, miękką szczotką włosów na

głowie była najbardziej seksowną kobietą, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia. Leżała wyciągnięta na brzuchu. Ukląkł nad nią i gładził ręką jej smukłe, jedwabiste ciało. Położył się na niej ostrożnie, rozsunął kolanami jej nogi i masował pieszczotliwie ramiona. Był tak podniecony, tak nabrzmiały, że aż bolało. Pocałował ją w wewnętrzną stronę ud i dotknął w kroku. Była gotowa, niewiarygodnie gotowa.

– Harry – westchnęła. – Nie w ten sposób. Za pierwszym razem chcę na ciebie patrzeć. Chcę widzieć twoją twarz.

Pocałował ją w kark i pomógł przeturlać się na wznak. Zgięła nogi i pociągnęła go na siebie. Przez kilka magicznie zatrzymanych sekund pozostali w tej pozycji, spoglądając sobie w oczy.

– Patrz na mnie – wyszeptała, wprowadzając go dłonią do swojego wnętrza. – Nie zamykaj oczu. Patrz na mnie.

Przez rolety wnikały smugi światła poranka, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Harry patrzył na zegarek, kiedy wreszcie zaczęli odpływać w sen, ale nie mogło to być dawno temu. Kochali się, odpoczywali, znowu się kochali, potem wzięli prysznic i zjedli coś, po czym kochali się znowu.

– Jeśli tak wyglądasz z pięćdziesiątką na karku, to mam szczęście, że nie poznałam cię dwadzieścia pięć lat temu – westchnęła w pewnym momencie.

– Bawiłaś się wtedy w piaskownicy.

– Właśnie o to chodzi.

Potem leżała obok niego, delikatnie dotykając siatki blizn pokrywającej jego plecy. Opowiedział jej już wcześniej o Nha-trang.

– Hej, teraz możesz powiedzieć mi prawdę – wymruczała. – Będę wyrozumiała. Jak jej było na imię?

Telefon nie milkł. Harry sięgnął po słuchawkę. Budzik wskazywał 7.50.

– Halo?

– To ty, Harry?

– Tak.

– Tu Doug. Przepraszam, jeśli cię zbudziłem.

– Już dawno nie śpię.

Maura również się obudziła i łaskotała go pod kołdrą. Odsunął jej rękę, tłumiąc śmiech.

– Harry, co jest grane, do jasnej cholery?! – zapytał Atwater. Napięcie w jego głosie świadczyło, że nie chodzi mu bynajmniej o to, co się teraz działo w sypialni Harry’ego.

– Z czym?

– Z tymi cholernymi plakatami. Przecież jesteśmy przyjaciółmi, dlaczego robisz ze mnie durnia?

Harry’ego odeszły resztki senności. Usiadł wyprostowany. Maura czując, że coś nie w porządku, też się podniosła.

– Doug, uwierz mi, nie wiem, o co ci chodzi.

– Na każdej tablicy ogłoszeń w twoim szpitalu i w co najmniej dwóch innych wiszą plakaty z ośmioma wersjami portretu tego twojego podejrzanego. Owena ze złości mało szlag nie trafił.

Harry jęknął i zasłonił ręką mikrofon.

– Plakaty wiszą w całym szpitalu, niech to diabli. To musi być sprawka Waltera – powiedział do Maury i z powrotem zwrócił się do Atwatera: – Doug, przysięgam, nic o tym nie wiem. Pewnie zrobił to facet, którego wynająłem, żeby nam pomógł znaleźć winnego. Powiedziałem mu, żeby tego nie robił, ale najwyraźniej nie posłuchał. Czy jeszcze coś jest na tym plakacie?

– Jest, a jakże. Słuchaj, nie jestem idiotą. Nie traktuj mnie, jak...

– Co tam jest napisane?

Harry usłyszał sapnięcie usiłującego się opanować Atwatera.

– Ze facet poszukiwany jest za zabójstwo Evelyn DellaRosa i że ktokolwiek coś o nim wie, ma zadzwonić pod numer, który właśnie wykręciłem. Za informacje, które doprowadzą do ujęcia i skazania tego człowieka, obiecuje się pięćdziesiąt tysięcy dolarów nagrody.

– Ile?!

– Pięćdziesiąt tysięcy. Owen po prostu kipi.

– Powiedz mu, że mi przykro. Postaram się to jak najszybciej wyjaśnić i pozdejmuję te plakaty.

– To nie tylko nasz szpital. Dzwonili już z kliniki uniwersyteckiej i od St. Barta. W innych pewnie też wiszą.

– Zajmę się tym, Doug. Zajmę się tym wszystkim.

– Co to za facet, którego o to podejrzewasz?

– Nie znasz go. Dziękuję ci za telefon. – Harry odłożył słuchawkę. – Ja go też chyba nie znam – mruknął. – Maura, możesz złapać swojego brata?

– Chyba tak.

– Niech sprawdzi, czy w Nowym Jorku kiedykolwiek działał licencjonowany prywatny detektyw o nazwisku Walter Concepcion.

Kevin Loomis zadzwonił punktualnie o dziewiątej. Przedtem były jeszcze trzy telefony – od robotnika z obsługi CMM, ze szpitala uniwersyteckiego i z Bellevue. Za każdym razem rozmówca twierdził, że widział człowieka z plakatu. Dwóch z nich chciało część forsy, zanim podadzą jakiegokolwiek informacje. Harry przestał podnosić słuchawkę i pozwolił automatowi odbierać rozmowy.

– Przeklęty Concepcion – mruczał po każdym połączeniu. – Przeklęty Concepcion.

Loomis dzwonił z automatu, żeby powiedzieć, że obaj powinni się spotkać. W jego głosie brzmiało napięcie.

– Niech pan będzie na południowo-wschodnim rogu skrzyżowania Trzeciej Alei i Pięćdziesiątej Pierwszej dziś o jedenastej wieczorem. Proszę założyć czapeczkę baseballową.

Zabiorę pana stamtąd autem.

Rozłączył się, zanim Harry zdążył zadać jakiegokolwiek pytanie. W ciągu następnej półgodziny były jeszcze dwa telefony w sprawie nagrody. Odebrała je Maura. Nie wyglądały obiecująco.

– Będziemy musieli opracować jakiś system oceny wiarygodności tych zgłoszeń – powiedziała. – Powinniśmy brać pod uwagę tylko tych informatorów, którzy twierdzą, że mogą nam wskazać tego człowieka. Wszystkie pozostałe zgłoszenia trzeba ucinać.

– Ja nie mam pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

– Poczekaj, najpierw najważniejsze. Tak mówią na mityngach AA.

– Boże, rozpętałem burzę.

Jako ostatni zadzwonił Tom Hughes. Poszpera jeszcze głębiej, ale z tego, czego się do tej pory dowiedział, wynikało, że ani na Manhattanie, ani w całym stanie Nowy Jork nigdy nie było licencjonowanego prywatnego detektywa o nazwisku Concepcion. Harry rzucił słuchawkę, po czym podniósł ją i wykręcił numer pensjonatu. Odebrał Walter we własnej osobie.

– Chcę wiedzieć, kim do diabła jesteś i dlaczego podłożyłeś mi taką świnię!

Na piętnaście sekund zapanowała cisza.

– Spotkamy się u ciebie czy u mnie? – zapytał wreszcie Concepcion.

Rozdział 32

– ... nie widziałem twarzy tego człowieka, bo siedziałem tyłem, skrępowany, ale mimo bólu i oszołomienia rozpoznałem ten głos. To był mój szef, Sean Garvey. Należał do tych, których nazywamy „pływakami”: pracował dla CIA, dla Agencji do Walki z Narkotykami i gdzieś jeszcze wyżej. Jego zadanie polegało na koordynowaniu pracy siatki w północnym Meksyku. Ale sprzedał mnie i pozwolił swojemu kumpłowi Perchekowi pastwić się nade mną...

Harry stracił panowanie nad sobą, gdy mężczyzna znany im jako Walter Concepcion pojawił się w progu jego mieszkania. Nie czekając na wyjaśnienia przyparł Waltera do ściany w przedpokoju i niewiele brakowało, żeby zaczął okładać fałszywego detektywa pięściami. Maura musiała go powstrzymać. Teraz siedzieli oboje na kanapie w salonie, słuchając w osłupieniu opowieści Raya Santany o jego trzech latach pracy w charakterze tajnego agenta Agencji do Walki z Narkotykami w Meksyku, o jego schwytaniu i torturach, którym poddał go Anton Perchek.

– ... kiedy Garvey wyszedł, Orsino, jeden z adiutantów narkotykowego króla, powiedział Perchekowi o tunelu ewakuacyjnym, który prowadził do domu po drugiej stronie ulicy. Całe Nogales świętowało, na ulicach kłębił się tłum, trudno było sobie wyobrazić lepszy moment, żeby wymknąć się meksykańskiej policji. Biedny Orsino, nie wiedział, z kim ma do czynienia. To nie przypadek, że nie istniały żadne wiarygodne rysopisy Doktora. Perchek wyciągnął ze swojej lekarskiej torby pistolet i z niezmaconym spokojem zastrzelił Orsina. A potem wycelował we mnie. Ale był na mnie wściekły, bo się nie załamałem, i chciał, żebym zginął w męczarniach. Nie zastrzelił mnie więc, tylko wpakował mi całą strzykawkę hykonidolu do krwi.

– O mój Boże – szepnęła Maura.

Santana wzdrygnął się.

– To było potworne. Nie do opisanego. Ale popełnił błąd. Nie umarłem...

Harry przyglądał mu się z fascynacją. Santana mówił z ożywieniem, jednak w jego oczach było coś dziwnego – jakiś dystans, oderwanie.

– ... Ray... na litość boską, Ray. Obudź się!

Naglący męski głos przywołuje Santanę do przytomności. Ray czepia się ciemności, nie chce wracać. Wreszcie z jękiem podnosi odrobinę powieki i próbuje skupić wzrok na twarzy budzącego go mężczyzny. Ciało ma obolałe, jakby został obity baseballową pałką. Leży na wznak na zakurzonej podłodze piwnicy, z jakąś prowizoryczną poduszką pod głową.

– Ray, to ja, Vargas. Gdzie on jest? Gdzie Perchek? Obudź się, Ray. Straciliśmy mnóstwo czasu.

Nareszcie widzi wyraźnie. Joaquin Vargas. Jeden z zaufanych adiutantów Alacantego. Jeden

z tych, których Ray zamierzał aresztować. A on był przez cały czas tajnym agentem!

– Vargas... nie myślałem, że ty...

– Nieważne. Gdzie Perchek?

Ray podnosi się z ogromnym wysiłkiem. W głowie zaczyna mu się przejaśniać. Najwyraźniej Doktor nie znał swojego ulubionego narkotyku do końca. A może nie znał Raya Santany.

– Jak długo tu przy mnie jesteś? – pyta.

– Pół godziny. Może trochę więcej. Wyglądałeś jak martwy.

– Perchek uciekł tunelem, który prowadzi do domu po drugiej stronie ulicy.

– Do tunelu – rozkazuje Vargas.

Trzech umundurowanych policjantów rzuca się w tamtym kierunku.

– Oni nie wiedzą, jak on wygląda. Ja wiem – mamrocze Santana. – Ale muszę mieć broń.

– Ray, nie jesteś w stanie...

– Nic mi nie jest. Joaquin, nie masz pojęcia, co ten drań ze mną robił. Proszę. Daj mi swoją broń.

Vargas niechętnie wręcza mu swój pistolet, dziewięćmilimetrowy Smith & Wesson. Ray chwyta broń i rusza do wyjścia. Jeśli to prawda, że na ulicach pełno policji, która sprawdza każdego, zwłaszcza *gringos*, jak twierdził Garvey, nadal jest szansa, że Perchekowi nie udało się dotąd wymknąć.

Dochodzi szósta wieczór. Długie cienie kładą się na głównej ulicy, którą na rynek sunie barwny korowód. Chodniki nie są zatłoczone, pewnie większość balowiczów poszła się zdrzemnąć przed wieczorną zabawą. Niektórzy noszą kostiumy. I maski. Być może jest wśród nich Perchek, w samym środku parady. A może już wy dostał się z miasta. Ale wszędzie stoją policjanci, pukają do drzwi, sprawdzają zaułki, kontrolują rogatki. Wciąż jest szansa.

Ray jest słabszy, niż mu się wydawało. Jednak każdy kolejny krok stawia pewniej. Wie, że jeśli potrzebna mu będzie siła, znajdzie ją. Zaczyna śledzić korowód. Po chwili woła go jeden z ludzi Vargasa i zbliża się w towarzystwie chudego, podnieconego mężczyzny, który gorączkowo gestykułuje i gada non stop. Jest nagi, jeśli nie liczyć czerwonych jedwabnych ślipse.

– Panie Santana – mówi policjant – znaleźliśmy tego mężczyznę związanego i zakneblowanego plastrem w ślepej uliczce, dwie przecznice stąd w tamtą stronę. Twierdzi, że niecałe dziesięć minut temu jakiś *gringo* przyłożył mu broń do głowy, zabrał jego przebranie i związał go. Szukamy klauna w kostiumie w czerwone kropki, masce i jaskrawo-pomarańczowej peruce. Chyba nie będzie problemu z jego znalezieniem. Nie może nam uciec. Zamykamy pierścień wokół rynku.

Ray kiwa głową, ale czuje przez skórę, że coś tu jest nie w porządku. Anton Perchek bez mrugnienia okiem zastrzelił Orsina, swojego sojusznika. Dlaczego więc puścił żywcem człowieka, który widział jego twarz?

Wsuwa pistolet za pasek i oddala się od rynku, w stronę uliczki, na której znaleziono klauna.

Od razu zauważa splątany kłęb plastra. Uliczka jest pusta. Zewsząd słychać petardy. Strzału nikt by nie usłyszał. Mimo to znaleziony mężczyzna żyje.

Nie bardzo wiedząc, czego szuka, Santana obchodzi wokół odrapane kamieniczki. Skręca w następną przecnicę. I następną. Wszędzie poniewierają się śmieci. Niektórzy ze świętujących odpoczywają na progach domów albo leżą między kontenerami na śmieci, pogrążeni w głębokim alkoholowym śnie. Jeden z nich, leżący z dala od innych, zwraca uwagę Santany. To młoda kobieta o ładnej buzi, mniej więcej dwudziestoletnia. Śpi na boku, z plecami przy ścianie budynku, przykryta po szyję postrzępionym meksykańskim pledem. Ray podchodzi bliżej. Już z odległości pięciu metrów poznaje, że jest martwa.

Odkrywa pled. Dziewczyna jest ubrana tylko w białe bawełniane figi. Wzdęty brzuch wskazuje na ciążę, jakiś siódmy, ósmy miesiąc. Pojedyncza rana postrzałowa zięje nieprzyzwoicie tuż sponad jej wezbranej piersi. Krew, która z niej płynęła, już skrzepła. Santana gotów jest się założyć, że Doktor miał przygotowane kobiece przebranie, jeszcze zanim zabrał strój klauna.

Wyciąga broń. Na głównej ulicy zongler w kostiumie Śmierci zabawia kilkudziesięciosobowy tłumek. Ray przez chwilę obserwuje go zza węgła, po czym omiata wzrokiem dalszą część ulicy. Wszyscy są zajęci rozmowami, handlem, obserwowaniem zonglera.

Nagle ją widzi. Po drugiej stronie ulicy, przy następnym skrzyżowaniu. Idzie powoli, spacerowym krokiem, nie rzucając się w oczy. Oddała się od tłumu i od niego. Ma bose stopy, głowę okrytą chustą. Zwyczajna kobieta z tłumu, zwyczajna scena. Zwyczajność. Najcenniejsza zaleta Doktora.

Santana rusza przed siebie, kryjąc się wśród ludzi. Jeśli to Perchek, niełatwo będzie go dopaść. Wokół dziesiątki potencjalnych zakładników i setki potencjalnych ofiar, jeśli rozpęta się strzelanina. Jeden ruch. Ma tylko jeden ruch. Jeśli się myli, poturbuje niewinną kobietę. Ale piętnaście lat policyjnego doświadczenia mówi mu, że się nie myli. Jeden ruch.

Jak najdłużej trzyma się w cieniu budynku, a potem przecina ulicę i rzuca się od tyłu na kobietę postać. Kobieta – lub przebrany za kobietę mężczyzna – wyczuwając coś w ostatniej chwili, zaczyna się odwracać. Ale Ray, z wycelowaną bronią, jest już w powietrzu. Jego ramię uderza w kręgosłup, kobieta rozciąga się jak długa w kurzu ulicy. W momencie kiedy Ray zderza się z muskularnym, napiętym ciałem, wie już na pewno, że to Perchek.

Skrzecząc coś po rosyjsku Doktor okręca się na wznak, próbuje wyszarpnąć spod ubrania broń. Ale luźna ciężowa sukienka spowalnia jego ruchy. Santana przygważdża nadgarstek Percheka lewą ręką, a drugą wbija lufę smith & wessona w miękką skórę pod brodą.

– Rzuć broń! – woła. – Rzuć, bo rozwalę ci ten pieprzony łeb, Perchek. Nie żartuj!

Lodowato błękitne oczy przeszywają go na wylot. Usta Doktora wykrzywia grymas nienawiści. Potem powoli, bardzo powoli Anton Perchek wypuszcza broń z palców...

Harry roztarł sobie kark. Siedzący naprzeciwko Ray Santana opadł na oparcie fotela,

wyczerpany opowieścią o swoich przejściach, które omal go nie zabiły. Maura bez słowa poszła do kuchni i wróciła z kawą. Nikt się nie odezwał, póki nie napelniła filiżanek.

– Możesz nam powiedzieć, co się stało potem? – spytał Harry.

– Nic dobrego. Wprawdzie zastrzyk Percheka mnie nie zabił, ale przez ostatnie siedem lat często tego żałowałem. W receptorach bólowych mojego układu nerwowego zaszły jakieś nieodwracalne zmiany. Wysyłają swoje sygnały bez żadnego powodu. Czasami minimalne. Czasami można oszaleć.

– Zakładam, że byłeś leczony.

– Lekarze są bezradni, bo nie znają substancji, której użył Perchek. Większość z nich uważa, że to moje urojenia. Wiesz, jak lekarze traktują sprawy, których nie znają z podręcznika. Byli przekonani, że po prostu chcę wyłudzić narkotyki albo państwową rentę. Ale w końcu zwolniono mnie z agencji i uznano za inwalidę pierwszej grupy. Muszę się wciąż ratować środkami przeciwbólowymi. Na szczęście u siebie w Tennessee mam lekarza i farmaceutę, którzy rozumieją moją sytuację, więc dostaję recepty na perkodan bez problemu.

– A rodzina?

Santana ze smutkiem wzruszył ramionami.

– Moja żona, Eliza, starała się zrozumieć, co mi się stało i przez co przeszedłem, ale nie miała żadnego wsparcia ze strony lekarzy i w końcu zrezygnowała. W zeszłym roku wyszła za mąż za nauczyciela z Knoxville.

– A co z twoim synem?

– Studiuje. Od czasu do czasu dzwoni do mnie. Nie widziałem się z nim od dłuższego czasu.

– Więc jesteś zupełnie sam? – zapytała Maura.

– Tak, ale jakoś sobie radzę. A przynajmniej radziłem do niedawna... Mniej więcej rok po tym, jak Percheka zamknęli w meksykańskim więzieniu federalnym koło Tampico, dowiedziałem się, że nie żyje, że zginął w katastrofie śmigłowca podczas próby ucieczki. Nie wierzyłem w to. W Meksyku, jeśli ma się pod dostatkiem pieniędzy, można dokonywać cudów. Mówiono mi, że był to wybuch nad oceanem. Helikopter rozleciał się na kawałki, jest na to wielu naocznych świadków. Percheka zidentyfikowano na podstawie wyłowionych z Atlantyku szczątków.

– Nie wyglądasz na przekonanego.

– Powiedzmy tylko, że to, w co bardzo chciałem uwierzyć, i to, w co wierzyłem w głębi serca, różniło się od siebie.

– Ale skąd wzięłeś się tutaj?

– Zadzwonił do mnie stary przyjaciel z ośrodka daktyloskopii w Waszyngtonie. Ten wasz specjalista, pan Sims, przysłał im trochę odcisków do identyfikacji. Jeden z nich, odcisk kciuka, prawie na pewno należy do Percheka. Nie byłem szczególnie zaskoczony, kiedy się dowiedziałem, że zdjęto go w pomieszczeniu szpitalnym, w którym zamordowano kobietę. Przyjechałem tutaj i zacząłem kombinować, jak się do ciebie dostać. Mój przyjaciel w

Waszyngtonie powiedział, że przytrzyma trochę wyniki analizy, zanim przekaże je Simsowi.

– Ale dlaczego nie powiedziałaś nam, kim jesteś?

– Prawdę mówiąc, nie byłem pewien, po czyjej stronie jesteś. Myślałem, że mogłeś wynająć Percheka, żeby pozbyć się żony. Nawet po tym wieczorze w Central Parku nie byłem jeszcze stuprocentowo pewny.

Harry jęknął.

– To byłeś ty! Zastrześliś tego faceta!

– Wyglądasz na zmartwionego.

– Bo jestem.

– Uratowałem życie Maurze. I pewnie tobie.

– Gdybyś ich złapał, zamiast zabijać, Andy Barlow żyłby jeszcze.

– Harry, nie bądź durniem. Mamy tu do czynienia z zawodowymi mordercami. Nie z profesorami uniwersytetu ani z opiekunkami społecznymi, a z mordercami, kapujesz? Ci ludzie nie będą czekać, aż ktoś ich odprowadzi na policję. Zabiją. Przykro mi z powodu Barlowa. Ale to naprawdę nie moja wina.

– Jesteś niebezpieczny, Santana – mruknął ze złością Harry. – Chodząca laska dynamitu z zapalonym lontem. Nie obchodzi cię, czy ktoś po drodze oberwie. Ty musisz załatwić Antona Percheka.

– Trafiłeś, bracie.

– Mogą mnie wylać ze szpitala przez te plakaty, bracie.

– Daj spokój, Harry. Możesz dostać nagane, ale cię nie wykopią. Masz dobrego adwokata. Posłuchaj, zdejmujemy te portrety. Wisiały wystarczająco długo i na pewno zdążyły wkurzyć Percheka, a o to mi właśnie chodziło.

– Wkurzyć Percheka! Kawał drania z ciebie, Santana – Harry nie miał zamiaru dać się udobruchać. – Wiesz, ile miałem tych cholernych telefonów? Większość pomyleńców z Manhattanu uważa, że dam się naciągnąć na pięćdziesiąt kawałków. Wkurzyć Percheka! Wynoś się stąd, człowieku! Mam dość kłopotów z wrogami, nie trzeba mi dodatkowych, przysparzanych przez tak zwanych przyjaciół. Tym razem miała już dość Maura.

– Słuchajcie – warknęła. – Siadajcie i zamknijcie się na chwilę. Obaj. Nie obchodzi mnie, czy się lubicie, czy wręcz przeciwnie, ale żaden z was w pojedynkę nie ma szans z Perchekiem. Harry, ty jesteś lekarzem, nie gliną. A ty, Ray, nie potrafisz się poruszać po szpitalach, w których działa ten człowiek. Potrzebujecie siebie nawzajem.

Harry patrzył wrogo na Santanę. Maura podeszła i stanęła nad nim, podparłszy się pod boki.

– Mam was zmusić, żebyście podali sobie ręce, jak dwóch uczniów po bójce? Musimy trzymać się razem i uzgadniać wszelkie poczynania między sobą. Więc jak? Umowa stoi?

– Stoi – burknęli obaj.

– No to do roboty. Mamy parę plakatów do zdjęcia.

Koło tablicy ogłoszeń przed blokiem operacyjnym CMM zgromadził się niewielki tłumek. Składał się z pielęgniarek, salowych i lekarzy, wśród nich i Caspara Sidanisa. Mówili jeden przez drugiego, komentując plakat.

– Chyba się z nim gdzieś spotkałam – mówiła jedna z pielęgniarek, pokazując podobiznę Percheka z brodą.

– Od czasu jak rzuciłaś Billy’ego, spotkałaś się już chyba ze wszystkimi facetami w tym mieście.

– Kiepski żart – odparła.

– Ten upokarzający nas plakat to też kiepski żart – powiedział Sidonis. – Wszyscy w tym szpitalu wiedzą, że Harry Corbett zabił swoją żonę. Nie mógł znieść myśli, że ją utraci, więc ją zabił. Te rysunki to zasłona dymna, fortel, żeby nas omamić. Ten facet kwalifikuje się do zamkniętego zakładu psychiatrycznego, tak samo jak i ta kobieta, która te portrety rysowała. To wytwór mózgu zrujnowanego nadmiarem alkoholu, nic ponadto. Mam wyżej uszu manipulacji Corbetta. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów nagrody, coś podobnego!

Ludzie rozeszli się szybko, zakłopotani wybuchem kardiochirurga i jego rewelacjami na temat romansu z zamordowaną. Sidonis odwrócił się i niemal wpadł na człowieka w długim kitlu laboratoryjnym, którego identyfikator głosił, że nazywa się Heinrich Hauser i jest profesorem na wydziale endokrynologii.

– Zgadzam się z panem w zupełności, kolego – powiedział Hauser z ciężkim niemieckim akcentem. – Ten Corbett wszystkim psuje krew.

– Dziękuję, profesorze – odparł kardiochirurg.

Rzucił okiem na mężczyznę, który był od niego z dziesięć centymetrów niższy, miał szpakowate, przycięte na jeża włosy, silne szkła i pożółkłe zęby. Te zęby napawały Sidonisa obrzydzeniem. Odruchowo odsunął się poza zasięg niewątpliwie przykrego oddechu. Nie widział nigdy tego człowieka, ale rzadko zwracał uwagę na ludzi, z którymi nie musiał mieć do czynienia.

– Życzę miłego dnia, kolego – powiedział Hauser.

– Dziękuję, nawzajem. – Sidonis jeszcze raz przyjrzał się mężczyźnie. – Czy spotkaliśmy się już kiedyś?

Szeroki uśmiech tamtego zmusił go do odwrócenia wzroku.

– Chyba nie, kolego. Ale może niebawem znów się spotkamy.

Rozdział 33

O zmierzchu przyjemny letni deszcz zakończył trzydniową falę upałów. Harry wyszedł z mieszkania o wpół do jedenastej i pojechał taksówką na East Side. Tak jak mu polecono, miał na sobie niby-baseballową czapkę. Należała do Evie, była granatowa, a tuż nad daszkiem miała wyhaftowany złoty napis „Senat USA”. Mając za sobą lekturę wprowadzenia do książki Desiree „W pościeli”, Harry podejrzewał, że jest to trofeum z jakiegoś seksualnego podboju.

Owen Erdman udzielił mu dziś rano oficjalnej nagany za złamanie uzgodnienia i wywieszenie plakatów. Ale, jak przewidział Santana, nie groził wyrzuceniem z pracy, jeśli tylko plakaty znikną. Harry pozdejnował wszystkie w CMM, a Santana i wynajęty przez niego do pomocy człowiek zajęli się pozostałymi sześcioma szpitalami.

Niemniej jednak napięcie między Harrym i Santaną utrzymywało się nadal. Harry nie ufał już Rayowi, podejrzewał, że tamten działa raczej we własnym interesie, uważał jednak, że cel, jakim było unieszkodliwienie Doktora, uswieca wszelkie środki.

Przez moment zastanawiali się, czy nie wtajemniczyć we wszystko Alberta Dickinsona, którego pomoc mogłaby bardzo przyspieszyć bieg sprawy, szybko jednak zgodzili się, że detektyw mógłby jedynie zaszkodzić. Percek nie był idiotą i Dickinson tylko by go zepchnął do głębszej konspiracji. Nie mieli pojęcia, jaki był cel bytności Doktora na Manhattanie i czemu zabił Evie.

Gdy Harry i Santana wyszli zdzierać plakaty, Maura przesłuchiwała nagrywane na automatyczne sekretarkę zgłoszenia. Telefon dzwonił dwa – trzy razy na godzinę przez cały dzień. Większość dzwoniących okazywała się maniakami, jednak niektóre zgłoszenia były interesujące. Maura rejestrowała je skrupulatnie.

Piętnaście minut przed wyznaczoną godziną spotkania z Kevinem Loomisem Harry odprawił taksówkę na rogu Alei Parkowej i Pięćdziesiątej Pierwszej. Resztę drogi postanowił przejść na piechotę. Wprawdzie nie niepokoił się specjalnie możliwością, że ktoś może go śledzić, ale nie zapomniał swoich doświadczeń w mieszkaniu Desiree. Przeszedł skrótem do Czterdziestej Dziewiątej i wrócił tą samą drogą, kilkakrotnie zatrzymując się w bramach, żeby obserwować ulicę. Nic. Dziś w tej dzielnicy przypadało wywożenie śmieci i drobny deszczyk nie był w stanie zmyć odoru stosów plastikowych worków czekających na usunięcie. W letnią noc taką jak ta łatwo zrozumieć, dlaczego zwykle wystarcza sama groźba strajku śmieciarzy, żeby wszystkie problemy znalazły rozwiązanie.

Ruch był niewielki, skrzyżowanie Pięćdziesiątej Pierwszej i Trzeciej ziało pustkami. Harry nasunął czapkę Evie na oczy i oparł się o latarnię. Dokładnie o 11.05 podjechała taksówka. Otworzyły się drzwi od strony chodnika.

– Niech pan wsiada, doktorze – głos kierowcy był chropowaty jak papier ścierny.

– Pan jest Loomis? – zapytał Harry, gdy taksówka ruszyła w stronę peryferii.

– Nie – odparł kierowca, gdy zbliżyli się do skrzyżowania Piątej Alei i Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. – Jak minę Piątą, niech pan wyskakuje i idzie na róg Sześćdziesiątej. Tam pana ktoś zabierze.

Zwolnił, poczekał chwilę i w momencie, gdy światło zmieniało się na czerwone, przeskoczył przez skrzyżowanie tuż przed samochodami ruszającymi Piątą Aleją. Manewr ten wywołał falę gniewnych klaksonów, ale dzięki temu żaden samochód nie mógł ruszyć za nimi. Harry pospieszył Piątą ku Sześćdziesiątej. Gdy tylko znalazł się na rogu, do krawężnika podjechał czarny lexus. Drzwi się otworzyły, Harry wskoczył w bieżący. Kierowca, przystojny mężczyzna około czterdziestki, skręcił w Central Park South i przyspieszył.

– Kevin Loomis – przedstawił się. – Przepraszam za te chwytaki jak ze szpiegowskiego filmu. I tak nie wiem, czy coś pomogło. Stallings i ja podjęliśmy wszelkie środki ostrożności, kiedy jechaliśmy na spotkanie w parku Battery, ale oni i tak nas wyśledzili. Stallings właśnie wracał do pracy z naszego spotkania, kiedy miał ten wypadek.

– Kim są ci „oni”?

– To ludzie, którzy, jak sądzę, winni są zabójstwa pańskiej żony. Dlatego właśnie postanowiłem się z panem dziś spotkać. To ludzie z branży ubezpieczeń zdrowotnych. Utworzyli stowarzyszenie, które nazwali Okrągłym Stołem.

– Chodzi panu o ten Okrągły Stół Milionerów?

– Raczej Okrągły Stół Miliarderów... Tkwią w tym.

Skręcili na West Side i skierowali się w górę. Harry z niedowierzaniem słuchał opowiadania o tajnym stowarzyszeniu, ale Loomis przypadł mu do gustu: precyzyjny sposób wysławiania się i twardy charakter. Jeśli Okrągły Stół to taka podejrzana organizacja, jak ją Loomis przedstawił, trochę trudno było mu wyobrazić go sobie wśród jej członków.

Dwie rzeczy uderzyły Harry’ego w tej sprawie. Po pierwsze – ścisłe przestrzeganie tajemnicy i brak zaufania. Loomis bardzo niewiele wiedział o pozostałych rycerzach. Wyglądało to raczej na tajną operację wywiadu wojskowego niż na klub panów w średnim wieku. Po drugie – sam Loomis. Tego człowieka najwyraźniej martwiło to, co się stało z Evie i z Jamesem Stallingsem, ale choć podchodził do sprawy poważnie, nie wyglądał na przestraszonego. Był dziś znacznie spokojniejszy niż w trakcie pierwszej rozmowy telefonicznej. Spokojniejszy i jakby nieobecny.

– Jeśli chodzi o pańską żonę – mówił – mogę tylko zgadywać, co się stało. Jestem jednak pewien, że nie ma pan nic wspólnego z jej śmiercią.

– Nasze małżeństwo było w rozsypce, gazety piszą prawdę. Ale nigdy nic bym jej nie zrobił.

– Ci faceci z Okrągłego Stołu cierpią na manię prześladowczą. Bali się, że Desiree prowadziła jakieś śledztwo w ich sprawie.

– Pisała tylko książkę i przygotowywała sensacyjny program dla telewizji na temat wpływu seksu na gospodarkę i politykę. – Harry opowiedział o swoich odkryciach w mieszkaniu Desiree, starannie unikając jednak jakiegokolwiek wzmianki na temat Doktora. – Po prostu zbierała

materiały. Poszperała w waszych portfelach, kiedy trafiła się jej okazja. Domyśliła się, że pracujecie w branży ubezpieczeniowej, ale to wszystko, co wiedziała. Nie sądzę, by miała pojęcie, po co się spotykacie.

– Najwyraźniej tamci woleli dmuchać na zimne. Brałem udział w dyskusjach na jej temat, nie przypuszczałem jednak, że chcą ją wykończyć. Teraz jestem przekonany, że to oni ją zabili.

Nie wiem, kto wstrzyknął jej tę substancję, ale prawdopodobnie zrobił to człowiek zajmujący się likwidacją posiadaczy polis, którzy kosztują nasze firmy za dużo pieniędzy.

Harry postanowił wstrzymać się z informowaniem Loomisa o Antonie Percheku, póki nie pozna lepiej jego samego i jego motywów. Wjechali do Bronxu aleją Henry’ego Hudsona i wciąż oddalali się od Manhattanu w stronę parku Van Cortland. Harry nie był pewien, czy Loomis jest z nim szczery.

– Dlaczego postanowił pan mi o tym opowiedzieć? Przecież należy pan do nich. Jeśli Okrągły Stół ulegnie likwidacji, pan też z tego powodu ucierpi.

– Mam swoje powody. Wiele o panu czytałem i nie podoba mi się to, co z panem wyprawiają. Rujnują pańskie życie. Walczył pan w Wietnamie. Ja byłem zbyt młody, żeby iść na front, ale mój starszy brat Michael stracił tam nogę. Poza tym coraz bardziej mam dosyć tego wszystkiego. Proszę mnie źle nie zrozumieć, święty nie jestem. W żadnym razie. Mogłem przyklasnąć większości ich pomysłów i planów, ale zabijanie ludzi jest dla mnie niedopuszczalne. Niezależnie od tego, jak bardzo są chorzy albo ile nas kosztują. Zamierzam przedstawić wszelkie dowody, jakie uda mi się zdobyć, i pójść na układ z prokuratorem.

– Nie ma pan dowodów?

– Nic na papierze. Stallings był jedyną osobą, która mogłaby mnie uwiarygodnić. Jednak nie zamierzam rezygnować. Podam wszystkie informacje i nazwiska, jakie znam. Ale podejrzewam, że ich adwokaci rozniosą mnie na strzępy.

– Może nie. Wie pan, od początku miałem swoją teorię, dlaczego morderca Evie nie wykończył również mnie... bo doskonale nadawałem się na kozła ofiarnego. Teraz wiem, że miałem rację. Gdybym został skazany, pan i Stallings nie podejrzewalibyście tamtych.

– Właśnie. Powiedział pan, że morderca pańskiej żony próbował nakłonić pana do popełnienia samobójstwa. To przeważałoby szalę. Nie wiem jak Stallings, ale ja natychmiast odrzuciłbym wszelkie podejrzenia.

Harry popatrzył na Loomisa.

– To, co pan chce zrobić, świadczy o pańskim mocnym charakterze. Gdy zgłosi się pan do władz, będę pana popierał ze wszystkich sił.

– Dziękuję. Ale nie wiem, czy pańskie poparcie przyniesie mi jakąkolwiek korzyść. Policja pana nie lubi.

Harry uśmiechnął się.

– Ma pan rację. Ale niech pan posłucha, wpadłem na pewien pomysł, który może nam pomóc. Czy pamięta pan te kryteria doboru pacjentów do likwidacji, które pokazywał panu

Stallings?

– Nie muszę pamiętać. – Loomis wręczył mu wydruk programu Merlina, który pozbawił Beth DeSenza pracy. Następnie zawrócił w aleję Mosholu, kierując się ku trasie szybkiego ruchu Majora Deegana.

– Ile firm ubezpieczeniowych w tym działa?

– Prawdopodobnie pięć, nie licząc mojej i Stallingsa. Dwóch jestem pewien: to Kompleksowe Zdrowie w Sąsiedztwie i Północno-wschodnie Ubezpieczenia na Życie i od Nieszczęśliwych Wypadków. Jakie firmy reprezentuje pozostałych trzech, jeszcze nie wiem. Ale mogę się dowiedzieć, jeśli się postaram.

– Lepiej nie wzbudzać podejrzeń. Ci faceci najwyraźniej nie patyczkują się z ludźmi, którzy ich denerwują. – Harry przestudiował wydruk. – Najniższa kwota kwalifikująca do likwidacji to ile? Pół miliona?

– Właśnie tyle.

Harry zwinął kartkę w rurkę i postukał nią w zaciśniętą pięść. Jego pomysł zaczynał się krystalizować.

– Dzięki, że zechciał pan ze mną porozmawiać przed pójściem z tą sprawą do prokuratury. Teraz ja chciałbym coś panu pokazać.

Wręczył mu kopię plakatu. Kevin rzucił na nią okiem, po czym zjechał na pobocze i włączył oświetlenia wnętrza.

– Nigdy go nie widziałem – powiedział po półminucie.

– To człowiek, który zabił Evie. Mamy dowód. Widziałem go na korytarzu szpitala tuż przed tym. A kobieta leżąca razem z moją żoną widziała go w pokoju. Zostawił odcisk palca, który został zidentyfikowany przez laboratorium FBI. Nazywa się Anton Perchek. Jest lekarzem, doktorem medycyny, i znany jest jako mistrz w torturowaniu. Miał jakoby zginąć w katastrofie helikoptera podczas próby ucieczki z więzienia sześć lat temu.

– I sądzi pan, że jest związany z Okrągłym Stołem?

– Na to wygląda. Podejrzewam, że zajmuje się tymi... tymi likwidacjami.

Loomis oddał mu plakat i włączył się do ruchu. Przez jakiś czas jechali w milczeniu. – Musi pan przygwoździć tego gościa – powiedział Kevin. „Musi pan”, nie „musimy”? Harry popatrzył ze zdziwieniem na Loomisa, ale nic nie powiedział. Tamten nie odrywał wzroku od jezdni.

– Mam paru pacjentów ubezpieczonych w Północno-wschodnich Ubezpieczeniach. Powiedzmy, że skieruję jednego z nich do szpitala i sfabrykuję rozpoznanie, które będzie go kwalifikować do likwidacji według tego waszego programu...

– Mógłby pan to zrobić?

– Chyba tak. Ale nie wiadomo, czy ten wasz rycerz złapie się na tę przynętę. Jak on się nazywa?

– Pat Harper, czyli Lancelot, ten, który zaproponował Stallingsowi wejście do wewnętrznego kręgu wtajemniczonych.

– Doskonale.

– Proponuje pan rozmyślnie wydanie pacjenta na łaskę Antona Percheka? Kto na to pójdzie?

– Mam na myśli konkretną osobę, która chętnie to zrobi. Ale problem w tym, że ta osoba nie jest moim pacjentem. Może mnie pan podwieźć do mojego biura? To na Sto Szesnastej, niedaleko Piątej.

– Jasne. Wiedziałem, że warto się z panem skontaktować. Słowa Loomisa i jego spokój znów wydały się Harry’emu dziwne. Nawet nie wspomniał o tym, że może mu coś grozić. Jemu i jego rodzinie. Powiedział, że skontaktuje się z Harrym przed wizytą w prokuraturze. Dlaczego? „Musi pan przygwoździć tego gościa”. Czemu nie „my”?

Nagle spłynęło na niego olśnienie. Ten człowiek jest jakby nieobecny, jakby to wszystko już go nie dotyczyło. Postanowił rozmawiać z Harrym, bo wcale nie ma zamiaru udać się do prokuratora. W ogóle nie ma zamiaru się tym dłużej zajmować. Ten jego spokój i brak lęku... Jest dyrektorem firmy ubezpieczeniowej. Po jego śmierci rodzina na pewno będzie doskonale zabezpieczona finansowo.

– Dobrze się pan czuje? – spytał Harry.

– Słucham...? Ach, jasne. Martwię się tym, co nas czeka. Ale po rozmowie z panem nabrałem nadziei.

– To dobrze. Na pewno uda nam się skończyć z tym Okrągłym Stołem.

– Wiem.

Smutek w głosie Loomisa nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości.

– Mówił pan, że słyszał o moich przejściach wojennych.

– Czytałem o tym w gazetach.

– Mój pluton wpadł w zasadzkę. Dostaliśmy się pod huraganowy ogień moździerzowy. Mnóstwo chłopaków zginęło lub odniosło rany. Trzech udało mi się dociągnąć do śmigłowca ewakuacyjnego. Dostałem za to odznaczenie... ale przecież wtedy nawet nie wiedziałem, co robię. Potem wybuchł koło mnie pocisk. Chyba trafił w mnie, bo wyglądało to tak, jakby cała dżungla wyleciała w powietrze. Nie mam pojęcia, kto mnie stamtąd wyciągnął. Odzyskałem przytomność dopiero po tygodniu. Wyciągnęli mi z pleców odłamki i te wszystkie śmieci, które się tam dostały. Spędziłem wiele miesięcy na rehabilitacji. Bolało potwornie i przez jakiś czas wyglądało na to, że już nigdy nie będę chodził.

– Ale chodzi pan.

– Właśnie. Trzy miesiące po operacji uznałem, że nie zniosę już tego dłużej. Wymknąłem się na moim wózku inwalidzkim z rewolwerem ukrytym pod prześcieradłem. Przez pół godziny, zresztą cholera wie, ile to trwało, siedziałem w lesie z lufą w ustach.

– Dlaczego pan nie pociągnął za spust?

Harry wzdrygnął się.

– Pewnie uznałem, że to nie do mnie należy – oświadczył. Przejechali przez rzekę i zbliżali się do biura Harry’ego.

– Chyba dobrze się stało – mruknął Loomis.

– James Stallings jest w beznadziejnej sytuacji, ale pan nie. Proszę o tym pomyśleć, dobrze?

– powiedział Harry.

Przez chwilę zdawało się, że Loomis odpowie coś, ale w końcu tylko pokiwał głową i skupił się na prowadzeniu samochodu. Harry wiedział, że dalej nie może się posunąć. Jechali w milczeniu aż do samego biura Harry'ego.

– Czy powinienem jeszcze coś wiedzieć, zanim założę na haczyk robaka dla Sir Lancelota?

– Chyba nie. Życzę szczęścia.

Harry wysiadł. Deszcz przestał padać.

– Niech pan się wstrzyma jeszcze tydzień z pójściem do prokuratury. Jeśli to ma się udać, nie trzeba nam rozgłosu.

– W porządku. Uzgodnię to najpierw z panem.

– Dziękuję. Aha, panie Loomis!

– Tak?

– Niech pan wyświadczy nam obu przysługę i dopilnuje tej sprawy do końca.

Loomis unikał spojrzenia w oczy Harry'ego.

– Jasne. Dzięki.

Noc już dobiegała końca, gdy Harry wreszcie znalazł to, czego szukał: mężczyzna między trzydziestym piątym a pięćdziesiątym piątym rokiem życia, ubezpieczony w Północno-wschodnich Ubezpieczeniach. Max Garabedian, czterdziestoośmioletni woźny w szkole. Garabedian był solidnym pracownikiem i lekkim hipochondrykiem. Właściwie nic mu nie dolegało. Harry musiał się tylko upewnić, że nie rozchoruje się właśnie teraz. Głupio by było, gdyby w szpitalu CMM pojawił się nagle drugi Max Garabedian.

Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do woźnego i nie wyjaśnić mu, co mają zamiar zrobić. Uznał jednak, że lepiej go nie wtajemniczać. Max Garabedian trafi do szpitala z ciężką, prawdopodobnie śmiertelną chorobą, wymagającą kosztownych zabiegów, bez swojej wiedzy. Harry przepisał z karty wszystkie informacje potrzebne przy przyjmowaniu do szpitala.

Teraz pozostały już tylko dwa problemy. Po pierwsze, musi wymyślić odpowiednie schorzenie, po drugie – przekonać Raya Santane, żeby zechciał zostać przynętą.

Rozdział 34

Harry wysiadł z windy na drugim piętrze gmachu Greya i podszedł prosto do dyżurki pielęgniarek. Próbował zwracać na siebie jak najmniej uwagi, ale wiedział, że każda pielęgniarka, salowa czy sekretarka zauważyła jego pojawienie się na oddziale. Próbował zachowywać się nonszalancko, jednak coraz bardziej czuł się jak na nocnym patrolu w dżungli. Już trzeci dzień przychodził na obchód do pokoju 218, gdzie leżał chory zarejestrowany pod nazwiskiem Maxa Garabediana. Chcąc oczyścić się z zarzutu popełnienia przestępstwa, dokonywał następnego, a może i wielu przestępstw. Jak dotąd ich intryga nie wyszła na jaw, głównie dzięki dokładnemu planowaniu i łutowi szczęścia. Ale klęska może przyjść w każdej chwili.

Przygotowanie do przyjęcia Raya Santany do Centrum Medycznego „Manhattan” kosztowało Harry’ego dwa dni ciężkiej pracy. Rozpoznanie brzmiało: białaczka limfoblastyczna z komplikacjami w postaci niskiego poziomu białych krwinek i bakteryjnego zapalenia wsierdza. Żeby podnieść koszty, Harry dodał jeszcze skierowanie na radioterapię całego ciała i przeszczepę szpiku kostnego.

Kevin Loomis przepuścił to wszystko przez komputery „Korony”. Przewidywane koszty leczenia Maxa Garabediana przez następne dwa lata i dwa miesiące – bo tyle według statystyk pozostawało mu do przeżycia – wyniosły sześćset dziewięćdziesiąt siedem tysięcy dolarów. Przeszczepienie szpiku doda do rachunku dwieście dwadzieścia sześć tysięcy i przedłuży przewidywany okres życia o kilkanaście lat. Jeśli Lancelot używa tego samego programu, Max Garabedian wyskoczy z komputera Północno-wschodnich Ubezpieczeń jak pajac z pudełka.

Harry rozłożył kartę Garabediana i przejrzał notatki oraz dołączone do nich wyniki badań laboratoryjnych, w tym także wyniki analizy krwi, które sam przedyktował przez telefon podszywając się pod szefa laboratorium hematologii. Podpisał je potem, a kopię, którą przesyłał się z powrotem do laboratorium, przechwycił po drodze. Takie manewry były konieczne, żeby uspić podejrzenia pielęgniarek i stażystów. Ale każdy podobny ruch pociągał za sobą groźbę wpadki, a Harry’ego coraz bardziej męczyło napięcie. Spał w nocy po cztery – pięć godzin, zupełnie stracił apetyt i dostał nieprzyjemnego, suchego kaszlu – jak sądził, na tle nerwowym.

Na domiar złego absolutnie nic nie wskazywało na to, że Doktor w ogóle obwącjuje przynętę.

Harry zrobił w karcie obszerny zapis. Tak jak w ciągu poprzednich obchodów nikt się do niego nie odzywał, chyba że kogoś zagadnął. Tym lepiej. Im mniej rozmów, tym mniej kłamstw. Kłamstwo nie było jego mocną stroną.

Aby zniechęcić personel szpitalny do odwiedzania Maxa, Harry dodał do rozpoznania „podejrzenie gruźlicy”. Mieszanka piorunująca, którą stworzył, powinna trzymać każdą

pielęgniarkę z daleka. Ziemista cera Santany i jego ogólnie niezdrowy wygląd, podkreślony jeszcze przez ciemny zarost, potwierdzały ponurą diagnozę.

Przestępstwo.

Garabedian, którego Harry określił w historii choroby jako „handlowca”, został położony w izolatce. Dyżurowały przy nim na zmianę dwie pielęgniarki prywatne. Nocne dyżury pełniła Paula Underhill, prywatny detektyw, a w dzień pielęgniarkę udawała Maura, w okularach i ciemnej peruce. Ze względów bezpieczeństwa obie pielęgniarki musiały nosić maseczki chirurgiczne i czepki. Oczywiście Anton Perchek również będzie w masce i czepku. Ale Maura i Santana byli pewni, że go poznają. A Paula Underhill, szczupła, urodzona na Brooklynie posiadaczka czarnego pasa w karate Kenpo, miała wielką ochotę się z nim zmierzyć.

Przestępstwo.

Dzięki pielęgniarkom prywatnym personel szpitalny niezbyt dokładnie śledził również wyniki badań laboratoryjnych, co ułatwiało rozwiązanie jednego z trudniejszych problemów, jakim było ich fałszowanie. Harry codziennie wypisywał skierowanie na nowe badanie krwi, ale wiedział, że poziom białych ciałek będzie normalny, i podczas wpisu podsunął sfabrykowane wyniki. Jak dotąd personel zdawał się niczego nie podejrzewać. Cała sztuka polegała na tym, żeby stworzyć pacjenta, przy którym jest mnóstwo roboty, a potem uwolnić personel szpitalny od tej roboty przy pomocy pielęgniarki prywatnej.

Pozostałe szczegóły nie przedstawiały już większych trudności, przynajmniej w teorii. Przewód kroplówki był przyklejony plastrem do skóry i owinięty gazą. Płyny infuzyjne będą wsiąkać w gazę, a leki doustne będą wyrzucane od razu albo Ray schowa je w ustach i wypluje. I oczywiście co cztery godziny będzie dostawał środki przeciwbólne – perkodan albo demerol.

Przestępstwo.

Ostatni kłopot polegał na tym, że Ray nieustępliwie nalegał, by zostawiono mu broń. Obie „pielęgniarki”, z których jedna miała swój własny pistolet, pomagały w ukrywaniu pistoletu Santany.

Przestępstwo, przestępstwo i jeszcze raz przestępstwo.

Harry skończył notatkę konkluzją, że stan Garabediana poprawił się nieco, lecz wskazane jest jeszcze dziesięć do czternastu dni leżenia w szpitalu. Zadaniem Harry’ego było fabrykowanie jak największej liczby dodatkowych komplikacji. Towarzystwa ubezpieczeniowe mają własne zespoły lekarzy, którzy sprawdzają dane hospitalizowanych pacjentów i zalecają wypis ze szpitala, kiedy tylko jest szansa, że dane „rozpoznanie” można leczyć w domu.

Przed pokojem nr 218 stał wózek z rękawiczkami, fartuchami i maskami. Harry włożył fartuch i maskę i wszedł do izolatki, zamykając za sobą szczelnie drzwi. Maura siedziała w fotelu, robiąc szkice w bloku rysunkowym. Ray rozparty wygodnie w łóżku oglądał serial telewizyjny.

– Co słychać? – spytał Harry.

– Chce, żebym go całego umyła.

– Kiedy poprzednio byłem w szpitalu, pielęgniarki mnie myły. Teraz nie jestem chory, ale to jeszcze nie powód, żeby się o mnie nie troszczyć.

– Żadnego mycia – oświadczył Harry. – Ale napiszę zalecenie na trzy lewatywy dziennie.

– I pomyśleć, że krępowałem się o to poprosić.

– Domyślam się, że nikt do was nie zaglądał.

– Pies z kulawą nogą. Jakby tu panowała zaraza.

– To dobrze. Mauro, potrzebujesz czegoś?

– Załatw odwiedzin... wiesz kogo.

– Nie ma kłopotu z ukrywaniem tego? – Harry wskazał na poduszkę Harry’ego, pod którą była schowana broń.

– Nie, bo moja pielęgniarka robi całą robotę za personel szpitalny. Dziękują jej bez przerwy. Nie zdziwiłbym się, gdyby ufundowali jej nagrodę. A co za murami?

– Coraz mniej zgłoszeń, ale ciągle są. Jeden laborant ze Szpitala Dobrego Samarytanina przysięga, że nasz człowiek był u nich na stażu jako łysiejący stypendysta z Polski. Pielęgniarka z kliniki uniwersyteckiej twierdzi, że był u nich wolontariuszem, tylko że miał ciemne włosy i nosił koleczyk.

– Prawdopodobnie rzeczywiście to był on. Założę się, że dokładnie w dniach, kiedy go widziano, w każdym z tych szpitali zmarł jakiś pacjent ubezpieczony w firmie należącej do Okrągłego Stołu. Gdyby tylko dało się to dokładnie ustalić...

– Jeśli nasz aktualny plan się nie powiedzie, obiecuję, że sam ci pomogę rozwieszać od nowa te plakaty. Nie będę miał nic do stracenia.

– Dzięki. Tylko że jeśli się nam nie uda, to nie wpuszczą cię więcej do żadnego szpitala, nawet w charakterze pacjenta.

– *Amigo*, przygotowaliśmy plan, że mucha nie siada, więc co miałyby nam się nie udać?

Przez cały dzień bóle dokuczały Rayowi Santanie bardziej niż zazwyczaj. O dziesiątej rano dostał perkodan, a po pięciu godzinach zastrzyk demerolu. Wreszcie, kwadrans po zastrzyku, zapadł w przerywaną drzemkę. Roztwór silnego antybiotyku, który miał go wyleczyć z zakażenia zastawek serca, kapał kroplówką z plastikowej butelki i wsiąkał w gruby kompres z gazy, przybandażowarij do ręki.

Maura umyła twarz, szykując się do szóstego ośmiogodzinnego dyżuru w ciągu trzech dni, dziś drugiego z kolei. Czowała się zmęczona, ale nie osłabiło to jej czujności. Ta ich pułapka to trochę strzał na ślepo, jednak nigdy nic nie wiadomo.

Kiedy Santana zaczął oddychać głębiej i bardziej regularnie, Maura rozsiadła się wygodniej w fotelu z najnowszym numerem *People*. Obok alkoholu było to jej drugie uzależnienie. I podobnie jak z wódką, póki się nie zaczęło, wszystko było w porządku. W pewnym momencie przez lekko uchylone drzwi izolátky usłyszała z korytarza zbliżające się kroki grupy ludzi i gwar rozmów. Wybiłał się męski głos:

– ... trzy sale wyposażone są w wentylację podciśnieniową, konieczną do właściwej izolacji

przypadków zakaźnych. W nowym skrzydle, które będzie połączone z tym piętrem, zaprojektowano jeszcze trzy takie sale. Dzięki temu nasz szpital będzie najlepiej wyposażony w mieście na wypadek epidemii choroby zakaźnej... Maura, której uwaga była skupiona na lekturze czasopisma i na nasłuchiwaniu głosów z zewnątrz, nie spostrzegła, że Santana obudził się nagle i usiadł przecierając oczy.

– Mauro – szepnął – widzisz go?

– Kogo?

– Tego człowieka, do cholery. Tego, który mówi! Wzrok miał nieprzytomny od narkotyku, w ustach sucho.

– ... ale stwierdził pan, że koszt dziennego pobytu w takiej sali jest ponad dwukrotnie wyższy niż w zwykłej.

– Tak, jednak w porównaniu z opłatami w wyspecjalizowanych centrach nie wypada to drogo. Teraz, jeśli państwo pozwolą, pokażę wam najnowszy...

Santana wyprostował się, na kolanach położył sobie poduszkę, pod którą trzymał pistolet. Maura w panice odrzuciła czasopismo i ruszyła w jego stronę. Ray, pocąc się obficie, niezdarnie próbował wyplątać się z pościeli i przewodu kroplówki.

– Otwórz drzwi – wyszeptał chrapliwie. – Otwórz natychmiast.

– Proszę, powiedz mi, co się dzieje?

– Cholera, pospiesz się! Otwórz te pieprzone drzwi!

Santana stał już przy łóżku, nadal chowając pistolet pod poduszką. Maura pchnęła drzwi. Jakies dziesięć metrów od ich pokoju, wśród zwyczajnego popołudniowego tłumu pielęgniarek, chorych i odwiedzających, zobaczyła grupkę elegancko ubranych mężczyzn i kobiet oddalających się powoli w głąb korytarza.

– Przepraszam państwa! – zawołała do nich szybko. – Bardzo przepraszam!

Oprowadzający przerwał swój wykład i wszyscy jak jeden mąż, odwrócili się w ich stronę. Przez kilka sekund stali nieruchomo, a Santana wpatrywał się w nich z napięciem. Maura także starała się rozpoznać wśród nich Percheka, ale z tej odległości nie była w stanie.

– Ty sukinsynu! – wrzasnął nagle Ray podnosząc broń. – Ty pieprzony sukinsynu!

Natychmiast wszyscy rzucili się do ucieczki.

Santana skoczył do drzwi, wlokąc za sobą dren kroplówki. Stojak, na którym wisiała butelka, przewrócił się z łoskotem. Ray potknął się na nim i wpadł na Maurę. Oboje stracili równowagę.

– Ty sukinsynu! – zaklął jeszcze raz Santana, wsparł się o futrynę, wycelował i strzelił wzdłuż korytarza.

Strzał odbijał się echem jak armatnia kanonada. Wszyscy padli na podłogę. Krzyki wzmogły się. Podnosząc się na nogi Maura zobaczyła, jak szyba osłaniającą dużą grafikę na ścianie w dalszej części korytarza rozpryskuje się na kawałki. Trzech mężczyzn w garniturach przepychało się w drzwiach wyjściowych na schody. Santana, wymachując szaleńczo bronią z dyndającym drenem od kroplówki, bosy, ruszył biegiem za nimi, roztrzaskując przerażonych ludzi.

– Wezwać strażników! – zawołał ktoś.

– Łapcie go! – krzyknął ktoś inny.

Kilku mężczyzn podniosło się i ruszyło za Rayem, ale w pewnej odległości. Ten dotarł już do drzwi klatki schodowej i wybiegł. Rozległ się kolejny strzał, potem jeszcze jeden.

Maura zerwała fartuch i maskę. Jedyne, o czym myślała, to wydostać się stąd, zanim ktoś ją zatrzyma i zacznie zadawać pytania. Miała na sobie standardowy mundur pielęgniarki i perukę z włosami do ramion. Wszyscy byli zwróceny w stronę schodów, ruszyła więc w przeciwnym kierunku, ku drugiej klatce schodowej za windami. Kiedy znalazła się na schodach, rzuciła się biegiem na dół, wzięła parę wdechów dla uspokojenia i wkroczyła do głównego korytarza szpitalnego. Nie przeszła jeszcze trzech metrów, kiedy obok niej przebiegło dwóch umundurowanych strażników, a za chwilę dwóch policjantów, z których jeden krzyczał coś do krótkofalówki. Wszyscy czterej popędzili w głąb szpitala.

Szybka i skoordynowana akcja, pomyślała. Za parę minut Ray Santana będzie schwytany... albo jeszcze gorzej. Złapała się na tym, że życzy mu udanego strzału do Doktora.

Z trudem zachowując zimną krew, przeszła powoli przez zatłoczony hall wejściowy. Atmosfera elektryzowała się, widocznie rozeszła się wieść o uzbrojonym szaleńcu.

– Tylko nie to – usłyszała Maura czyjś głos przy wyjściu. – Gdzie się człowiek obejrzy, wszędzie wariaci z pistoletami. Jak nie poczta, to szpital.

Odprawdzana wyciem policyjnych syren, oddalała się od szpitala. Nim przeszła najbliższą przecznicę, minęło ją kilka radiowozów na sygnale. Wysypali się z nich umundurowani policjanci i biegiem rozstawiali się na posterunkach, otaczając pierścieniem budynki centrum medycznego.

Dopiero gdy Maura miała za sobą dwie przecznice, poczuła się na tyle bezpieczna, by zadzwonić do Harry'ego. Najpierw wykręciła numer gabinetu. Odezwała się Mary Tobin i poinformowała ją, że Harry wyszedł do domu pół godziny temu. Mówił, że o piątej będzie w szpitalu, na wieczornym obchodzie u swoich dwóch pacjentów.

– W szpitalu mamy kłopot – powiedziała Maura. – Nie mogę teraz wyjaśnić, o co chodzi, ale jeśli włączysz telewizor, to pewnie za chwilę czegoś się dowiesz. Zamknij biuro i idź do domu.

Mary była zbyt rozsądna i zbyt wiele ostatnio przeszła, by zadawać dodatkowe pytania.

– Już idę, dziecinko – odparła.

– Dziękuję. Teraz muszę znaleźć Harry'ego. Aha, i ten Max Garabedian, o którym będą mówili, to Ray Santana.

– Kto?

– Ray... to znaczy Walter Concepcion. Zadzwonimy do ciebie, jak tylko to będzie możliwe. Proszę, idź do domu.

Poszukała następnej monety i zadzwoniła do mieszkania Harry'ego. Zgłosiła się automatyczna sekretarka.

– Harry, to ja Maura. Jeśli słuchasz, podnieś słuchawkę. Harry...!

Już miała się rozłączyć, gdy Harry się włączył.

– Cześć. Przepraszam, że się od razu nie odezwałem. Podsluchuję zgłoszenia. Jest coś nowego. Przełom w sprawie. Zaraz idę do szpitala, żeby wam o tym opowiedzieć.

– Na twoim miejscu bym tego nie robiła...

Rozdział 35

Nim Maura dotarła do mieszkania Harry'ego, wszystkie dzienniki telewizyjne trąbiły już o uzbrojonym szaleńcu w Centrum Medycznym „Manhattan”. Max J. Garabedian, czterdziestoosmioletni handlowiec, nagle wyskoczył ze swojej izolatki w szpitalu i zaczął strzelać z pistoletu. Szczegółów niewiele, ale brak doniesień o ofiarach. Garabedian, w niebieskiej piżamie i boso, jest wciąż na wolności.

Harry chodził z kąta w kąt mieszkania, wściekły na Santanę i bliski paniki. Mówił bardziej do siebie niż do Maury:

– Nie powinienem był mu wierzyć. Trzeba było go spławić zaraz po tym, jak powiesił te przekłete plakaty. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało, ale w tej chwili chętnie bym go udusił. To Perchek musiał go tak wytrącić z równowagi. Ale dlaczego ty go nie widziałaś...? Zaraz pojawi się tu policja. Nadużycia ubezpieczeniowe, usiłowanie zabójstwa. Kto wie, co jeszcze? Dickinson będzie miał używanie, że ho, ho! Co do cholery mam teraz robić?

Fiasko akcji w szpitalu nie było jedynym poważnym problemem Harry'ego. Musiał w krótkim czasie podjąć decyzję, która go będzie kosztować dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, jego wszystkie oszczędności, prawie co do grosza. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Policja zaraz tu będzie. Jeśli ma przyjąć warunki człowieka, który do niego zadzwonił, powinien się pospieszyć, żeby zdążyć przed policją.

– Usiądź, kochanie – powiedziała Maura. – Posiedź parę minut i postaraj się uspokoić.

Włączyła kanał 11. Wersje podawane przez różne stacje odbiegały od siebie znacznie, większość ekip nie dotarła jeszcze pod szpital. Ale dwie stacje ogłosiły, że lekarzem Garabediana był doktor Harry Corbett, główny podejrzany w sprawie tajemniczego morderstwa Evelyn DellaRosa, która również była pacjentką CMM.

Harry martwił się o prawdziwego Maxa Garabediana. Próbował się do niego dodzwonić, jednak bez rezultatu. Na pewno jeszcze jest w pracy, lecz Harry nie miał pojęcia, w której szkole jest woźnym. Maura próbowała dodzwonić się do Wydziału Oświaty, ale jej też się nie udało.

– Dopiero czwarta trzydzieści, a tam już nikogo nie ma. Nic dziwnego, że połowa dzieciaków w tym mieście nie umie czytać.

– Nie wiem, co robić – powiedział Harry, chyba po raz dziesiąty. – Ten facet oczekuje mnie w New Jersey o dziewiątej. Bank zamykają za godzinę i kwadrans. – Znow zaczął chodzić po mieszkaniu. – Musimy się ruszyć. Jeśli będę zwlekał, w banku dowiedzą się, że znow jestem głównym bohaterem wiadomości telewizyjnych. Nie wiem, jak wtedy zareagują na dyspozycję wypłaty dwudziestu pięciu kawałków w gotówce. Niezależnie od tego, co postanowimy, muszę teraz iść i podjąć pieniądze. A potem chyba już tu nie będziemy mogli wrócić.

Mniej więcej o tej samej porze, kiedy Santana strzelał na drugim piętrze gmachu Greya,

Harry wrócił ze swojego biura. Sekretarka automatyczna zarejestrowała dwie wiadomości, ale żadna z nich nie brzmiała szczególnie obiecująco. Gdy telefon zadzwonił, Harry podniósł słuchawkę myśląc, że to Maura.

– Halo?

– Czy to pan Harry Corbett?

Męski głos, raczej młody, ze szwedzkim albo niemieckim akcentem, Harry nie był pewien.

– To ja.

– Dzwonię w sprawie człowieka z plakatu i nagrody. Harry skrzywił się żalując, że podniósł słuchawkę. Otworzył rejestr i zanotował czas.

– Słucham – powiedział. – W jakim szpitalu pan pracuje?

– W żadnym. O plakatach i nagrodzie dowiedziałem się od mojego pracodawcy.

– Kto to taki?

– Człowiek z plakatu. Ma inicjały A. P. Nie powiem jego nazwiska przez telefon. Ale pan już je pewnie zna.

Harry zeszytniał słysząc te inicjały i zaczął się zastanawiać, czy to nie dzwoni sam Perchek.

– Kim pan jest?

– Odpowiadam za bezpieczeństwo jego domu, bywam także ochroniarzem osobistym. Dzwonię z automatu. Jeśli zna pan A. P., to wie pan, że nie zawahałby się mnie zabić za to, że z panem rozmawiam.

Harry wziął notatnik i zaczął zapisywać treść rozmowy.

– Proszę mówić.

– Chcę się z panem spotkać i dokonać wymiany. Moje informacje za pańskie pieniądze.

– Ile pieniędzy?

– Nie zamierzam tu zostać, wyjeżdżam z kraju zaraz po naszym spotkaniu. Mam z Doktorem pewne porachunki. Podejrzewam, że chce mnie zabić. Zadowolę się połową tego, co pan proponuje. Dwadzieścia pięć tysięcy w gotówce.

– Nie mam tyle.

– To niech je pan jakoś zdobędzie. Nie idę na żadne targi. Dwadzieścia pięć tysięcy albo nie ma sprawy. W zamian dostanie pan lokalizację domu Doktora i jego aktualną fotografię. Powiem także, jak zabezpieczony jest dom. Znajdzie pan w nim dowody, że zamordował pańską żonę, i inne dowody przeciwko niemu. Co pan z nimi zrobi, to już pańska sprawa.

– Ale...

– Doktorze Corbett, nie mam czasu. Muszę przygotować się do wyjazdu. Dziś o dziewiątej wieczorem. Jeśli zna pan Doktora, to wie pan, że on nikomu nie ufa. Niech pan zrobi dokładnie to, co panu powiem, bo inaczej obaj stracimy. Proszę słuchać, co ma pan zrobić...

Bank Harry'ego zamykano o szóstej. Na rachunku oszczędnościowym miał dwadzieścia dziewięć tysięcy trzysta pięćdziesiąt dolarów i jeszcze około pięciu tysięcy na koncie bieżącym.

Nie miał w banku żadnych znajomości. Przeklinając sam siebie za to, że nie dorobił się większego majątku, że nie przyjął pracy u Hollinsa/McCue, że nie zajął się okulistyką oraz że zaufał Rayowi Santanie, zabrał swoją książeczkę oszczędnościową i czekową, po czym wyslizgnęli się z Maura przez tylne drzwi budynku. Wzięli z garażu BMW Harry'ego, zatrzymali się na chwilę przy kiosku z gazetami i pojechali do banku. Harry nie miał pojęcia, ile miejsca może zająć dwadzieścia pięć tysięcy, zwłaszcza że rozmówca zażądał tej kwoty w banknotach o nominałach do stu dolarów, wziął więc na wszelki wypadek nesaser.

Wszedł do banku pół godziny przed zamknięciem. Była to średniej wielkości ekspozytura. Do sześciu okienek stała kolejka. Dwadzieścia pięć tysięcy to kwota, jakiej nigdy na raz nie widział. Czy może się zdarzyć, że tyle w banku nie będą mieli?

Na zewnątrz za kierownicą BMW czekała Maura. Szef ochrony Percheka zażądał, by Harry przywiózł pieniądze na wysypisko śmieci w New Jersey koło miejscowości Fort Lee. Miał przybyć dokładnie o 9.00, sam. Wysypisko znajdowało się na końcu krętej zwirowej drogi. Harry miał wjechać na środek placu i czterokrotnie błysnąć reflektorami, a następnie czekać przy samochodzie. Rozmówca chciał koniecznie znać numer rejestracyjny i markę samochodu. Gdyby jakikolwiek inny pojazd pojawił się w pobliżu, do spotkania nie dojdzie.

– Zależy mi na tych pieniądzech – powiedział ochroniarz – ale nie do tego stopnia, żebym dał się zabić.

– Skąd mam wiedzieć, że to nie jest pułapka?

– Jaka pułapka? Po co? Gdyby mój szef chciał pana zlikwidować, już by pan nie żył. Proste? Jeśli wie pan o nim cokolwiek, to i to chyba też. Żywy ma pan dla niego dużo większą wartość. Poza tym on uwielbia zadawać ból. Śmierć, w swoim spokoju i nieodwołalności, jest jego wrogiem.

Harry poczuł ciarki na plecach.

– Będę miał broń.

– Głupotą byłoby nie mieć. Ja na pewno będę miał.

– Chcę mieć możliwość sprawdzenia, co mi pan oferuje, zanim wręcę pieniądze.

– Dam panu pięć minut...

Młoda kasjerka przyglądała się blankietowi dyspozycji wypełnionemu przez Harry'ego przez dobre piętnaście sekund. Potem sprawdziła saldo i uśmiechnęła się przez szybę.

– W jakich banknotach pan sobie życzy?

To przecież Nowy Jork, uprzytomnił sobie Harry, a nie jakaś zabita dechami wiocha. Ta forsa stanowi niemal cały jego majątek, ale dla tych ludzi taka suma to nic szczególnego.

– W setkach albo mniejszych – powiedział wiedząc, że nie ma sensu udawać nonszalancji, kiedy kasjerka widzi jego stan konta na monitorze.

– Ma pan ze sobą coś, żeby zabrać te pieniądze, czy też weźmie pan w naszej torbie?

– Mam nesaser.

Podniósł go, żeby jej pokazać. Jej mina wskazywała jasno, że wie, iż niecodziennie

podejmuje takie kwoty.

– Potrzebny będzie podpis pana Kinchleya – powiedziała.

Wyszła ze swojego boksu i podeszła do biurka, przy których siedzieli urzędnicy. Harry odprowadził ją wzrokiem. Widział, jak podchodzi do elegancko ubranego, opalonego na brąz mężczyzny koło czterdziestki.

No, dajcie mi moją forszę, ponaglał ich w myślach. Gdyby mu nie wypłacili, mógłby zadzwonić do swojego brata, który mieszkał w Short Hills, jakieś trzy kwadransy jazdy od Fort Lee. Ale jeśli by musiał tamtędy jechać, wszystko by się skomplikowało.

Zaryzykował spojrzenie przez frontowe okno. Maura czekała dokładnie po przeciwnej stronie ulicy. Była w ciemnych okularach i białym kapeluszu z miękkim rondem, który podrygiwał, prawdopodobnie w rytm czegoś z radia. Ten widok rozbawił Harry'ego mimo powagi sytuacji.

Ich związek hartował się w ogniu wydarzeń, które razem przeżywali. W ciągu tego krótkiego czasu połączyła ich głęboka przyjaźń, dodająca ich życiu erotycznemu takiej otwartości i czułości, jakich Harry nigdy nie doznał w małżeństwie z Evie.

Teraz ta przyjaźń zostanie wystawiona na próbę. Wprawdzie oferta tajemniczego rozmówcy brzmiała dość wiarygodnie, użył przecież inicjałów Percheka, lecz ani Harry, ani Maura nie byli do końca pewni, czy słusznie postępują przyjmując ją. Może to jednak sam Perchek wabi ich w pułapkę? Choć trudno sobie wyobrazić po co. Nie chodzi mu przecież o pieniądze, dwadzieścia pięć tysięcy dolarów to dla niego drobiazg.

Nie ma innego wyjścia, trzeba wypełnić co do joty polecenia i mieć nadzieję, że wszystko się uda. Kiedy Maura zauważyła telefon, który Evie kazała zainstalować w ich BMW, zaczął jej w głowie kielkować pewien pomysł, który wkrótce przerodził się w plan. Potrzeba im było trzech zasadniczych elementów, żeby go wprowadzić w życie, i mieli je wszystkie do dyspozycji: drugi samochód, telefon komórkowy oraz odwagę, by wystawić się na ryzyko. Zatrzymali się przy kiosku i kupili dokładną mapę okolic Fort Lee. Maura weźmie swój samochód i telefon, pojedzie gdzieś w pobliże wysypiska i znajdzie jakieś miejsce, z którego będzie mogła dyskretnie obserwować teren. Gdy Harry wyruszy na spotkanie, skontaktuje się z nią telefonicznie o ósmej dwadzieścia. Kiedy przejedzie Hudson i znajdzie się w New Jersey, znów się porozumieją. Jeśli nic nie będzie wskazywać na pułapkę, pojedzie na wysypisko. Gdyby Maura zauważyła coś podejrzanego, ostrzeże go. Mają broń, rewolwer, który Harry zabrał mężczyźnie zastrzelonemu w Central Parku. Po dyskusji ustalili, że to ona go weźmie.

– Przepraszam, że musiał pan czekać.

Harry odwrócił się do okienka, ale kasjerka stała obok niego.

– Nic nie szkodzi.

Wstrzymał oddech i zacisnął pięści, żeby powstrzymać drżenie rąk. Zbliżają się godziny szczytu na ulicach. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Maura będzie miała dość czasu, żeby przejechać przez most George'a Washingtona, znaleźć miejsce dla samochodu i dotrzeć do

wysypiska. Jeśli jednak będą musieli jechać do Phila, czasu może okazać się za mało.

- Proszę za mną, pan Kinchley wypłaci panu pieniądze.
- Doskonale – odparł z uśmiechem, słysząc łomot pulsu w uszach.

Kevin Loomis siedział w samotności w swoim gabinecie w piwnicy. Biurko pokrywały zdjęcia dzieci i żony z różnych okresów ich wspólnego życia. Na nich leżała lista spraw do załatwienia, którą ostatnio sporządził. Wszystko załatwione. Polisy ubezpieczeniowe do wypłaty natychmiast po jego śmierci, pod warunkiem, że nie będzie podejrzania o samobójstwo. Samobójstwo kosztowałoby go, a właściwie kosztowałoby Nancy, dwa miliony z trzech i pół, nie mówiąc już o pięciuset tysiącach premii za śmierć wskutek nieszczęśliwego wypadku. Ale zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Żadnych podejrzeń nie będzie.

Listę gości, zaproszonych na jutrzejsze garden party z grillem, przygotował z głębokim namysłem. Wśród nich, w sumie czternaście osób, będą najbardziej szanowani ludzie, jakich znają. Pastor z żoną, szef Nancy z żoną, adwokat pełniący obowiązki przewodniczącego lokalnej Ligi Młodzieżowej, prezes Klubu Rotariańskiego. Nancy uważała, że powinno być więcej wesołego, lubiącego piwo towarzystwa, ale Kevin wyjaśnił jej, że ma to być rodzaj oficjalnego pożegnania przed przeprowadzką do Port Chester.

W rzeczywistości potrzebował wiarygodnych świadków, którzy zaryczą, że był w doskonałym nastroju aż do momentu tragicznego wypadku i że miał za sobą „kilka głębszych”. Dwóch spośród gości odprowadzi go do piwnicy. Będą to ludzie, u których dokonywał kiedyś drobnych napraw, kierownik sklepu i pastor. Zaświadczą, że był zawołanym majsterkowiczem i „złotą rączką”. Będą czekali na schodach, z latarkami, w których świetle widać będzie leżącą się z obluźwanego węża pralki wodę. Zaświadczą że potrafiłby usunąć awarię, i opowiedzą o wszystkim, co robił. Moment, w którym Kevin przypadkowo dotknie nie zaizolowanego przewodu z tyłu suszarki do bielizny, na zawsze wryje się w ich pamięci. Do diabła, to przyjaciele, dla Nancy zrobią wszystko. A on płaci znacznie wyższą cenę.

Wziął też pod uwagę dzieci. Nicky i Julie spędzą noc u kolegów. Briana wezmą rodzice Nancy. Jutro po południu, kiedy się z nimi będzie żegnać, zobaczy je po raz ostatni w życiu. Będzie im trudno, ale lżej, niż mieć ojca w więzieniu.

A może jest jakieś życie pozagrobowe? Może będę mógł się im codziennie przyglądać? – pomyślał.

Zbierając fotografie przyjrzał się każdej jeszcze raz, a potem ściągnął je gumką i włożył do szuflady. Listę podarł i wrzucił do plastikowego worka ze śmieciami, który wyrzuci do pojemnika w garażu. Wreszcie podszedł do pralki sprawdzić po raz ostatni to, co przygotował. Sznurek przywiązany do węża pralki prowadził na zewnątrz przez okno piwnicy. Jedno szarpnięcie i końcówka węża spadnie z zamocowania. Potem trzeba tylko wyciągnąć sznurek. To będzie jego przedostatnia czynność. Ostatnią będzie niewinne dotknięcie ręką tyłu suszarki.

Kevin wiedział, że Harry Corbett podejrzewa, co ma zamiar zrobić. Świadczyła o tym jego

opowieść o Wietnamie. Powiedział, że jego sytuacja nie jest beznadziejna. Dobrze mu tak mówić. Nie ma trójki dzieciaków.

Rozmawiał z nim potem parę razy i starał się zrobić wrażenie, że jest dobrej myśli. Nie wierzył, by Corbett powiedział komukolwiek o swoich podejrzeniach. Poza tym za dwadzieścia cztery godziny będzie już po wszystkim.

Tak, policja tu wszystko sprawdzi, sporządzi raport. Nie ma sposobu, żeby udowodnić, iż nie był to nieszczęśliwy wypadek. Żadnego.

Westchnął z ulgą jak człowiek, który dobrze wypełnił swój obowiązek. Dziś zje cudowną kolację na łonie rodziny. A później będzie się kochał z Nancy jak nigdy przedtem.

Rozdział 36

Fala upałów, którą przyniósł koniec lata, a którą obwiniano o wszelkie awarie, wypadki i zasłabnięcia, w tym także śmiertelne, ustąpiła wreszcie. Temperatura po południu spadła poniżej dwudziestu stopni, wiał przyjemny wietrzyk i zanosilo się na deszcz. Harry wysadził Maurę przy jej samochodzie punktualnie o szóstej, po czym pojechał na swój parking, żeby czekać do ósmej piętnaście, gdy przyjdzie pora wyruszyć. Zegar na tablicy wskaźników BMW od lat nie był regulowany, więc posłużył się swoim casio. Zbliżał się do garażu, gdy zadzwoniła Maura, żeby sprawdzić swój telefon i poinformować go, że ruch kołowy od jej mieszkania do mostu jest zaledwie umiarkowany. Zadzwoni następny raz o ósmej dwadzieścia, tak jak ustalili.

– Zobaczysz, Harry, do dziesiątej będziemy mieli wszystko, żeby iść na policję. Tym razem będą musieli nam uwierzyć. Trzymaj się.

– Ty też się trzymaj. I uważaj na siebie.

Zaparkował na swoim stałym miejscu i wyszedł z garażu. Ulicą przejeżdżał powoli radiowóz. Może to jego szukali, może nie. Przez Raya Santanę nie miał teraz żadnego miejsca, gdzie mógł się bezpiecznie schronić. Wrócił do BMW, włączył radio i czekał.

Stacja WINS, która nadaje wyłącznie wiadomości, podawała co dziesięć minut nowości na temat tajemniczego szaleńca z bronią w Centrum Medycznym „Manhattan”. Policja aresztowała prawdziwego Maxa Garabediana, przesłuchała go i wypuściła. Wrócił do swojego mieszkania przy Sto Trzeciej Ulicy i odmawia kontaktów z prasą bez swojego adwokata. Jego pełnomocnik odczytał oświadczenie, w którym Garabedian stwierdzał, że nie zna człowieka przyjętego do Centrum Medycznego Manhattan” pod jego nazwom i nie ma żadnych powitań z Harrym Corbettem – oprócz tego, że był jego pacjentem. Nazwał Harry’ego inteligentnym, oddanym swojej pracy lekarzem” i oznajmił że wstrzymuje się z wydawaniem wszelkich osądów, póki sprawa nie zostanie wyjaśniona.

Harry’emu przeszło przez myśl, żeby zadzwonić do Garabediana z telefonu samochodowego. Ale nie chciał się teraz rozpraszać. Nie złapano Raya Santany. Policja nie potrafiła wyjaśnić jak to możliwe, żeby człowiek w piżamie, boso, uciekł ze szpitala otoczonego przez kordon policji i straży. Prezenter radiowy nie mógł się powstrzymać od komentarza, że w Nowym Jorku wszystko jest możliwe. Niewykluczone, że tak dziwacznie ubrany uciekinier po prostu wyszedł na ulicę i wmieszał się w tłum.

O siódmej Barbara Hinkle, rzecznik CMM, poprowadziła konferencję prasową, z której fragmenty radio WINS transmitowało. Stwierdziła, że szpital z ulgą przyjął informację, że nikt nie odniósł obrażeń w tym pożałowania godnym incydencie. Dyrekcja szpitala nie ma nic więcej do powiedzenia, póki nie będą znane wstępne wyniki śledztwa. Dodała, że władzom szpitala nie udało się nawiązać kontaktu z doktorem Harrym Corbettem, lekarzem prowadzącym pacjenta z

pokoju 218.

– „Jak państwo zapewne wiedzą, doktor Corbett znajdował się w poważnym stresie po tragicznej śmierci swojej żony. Otrzymałam informację, że był pod opieką lekarza z powodu reakcji depresyjnej, a także wstrząsu pourazowego po przeżyciach w Wietnamie...

Wstrząs pourazowy!

– A to zmija! – powiedział Harry do siebie.

Najwyraźniej kierownictwo CMM wypracowało nową strategię radzenia sobie z katastrofą sprowadzoną przez Harry'ego Corbetta. Wstrząs pourazowy. Ciekawe, co powiedzą, kiedy ktoś zapyta o nazwisko jego psychiatry.

– „... w szpitalu mówi się, że doktor Corbett skorzystał z nazwiska Maxa Garabediana, żeby przyjąć do szpitala kogoś na kim mu bardzo zależało, kogoś, kto był ciężko chory, ale nie miał ubezpieczenia zdrowotnego. Najprawdopodobniej chodzi o jakiegoś kombatanta z Wietnamu. Jednak napad choroby umysłowej pacjenta pokrzyżował te „plany”.

– Nieźle – powiedział Harry.

I blisko trafili, pomyślał.

Reszta konferencji prasowej nie przyniosła żadnych rewelacji, może z wyjątkiem wiadomości, że poszukuje się prywatnych pielęgniarek pacjenta.

Przez następne czterdzieści minut nie było żadnych nowych informacji. Potem podano, że w podziemiach szpitala znaleziono związanego i zakneblowanego elektryka. Osobnik odpowiadający rysopisowi poszukiwanego obrabował go pod groźbą użycia broni z odzieży i obuwia, przywłaszczył sobie także dwadzieścia pięć dolarów z jego portfela. Policja szuka odcisków palców.

– „Był zdenerwowany i przestraszony – mówił elektryk. – Ale zachowywał się uprzejmie. Oddał mi portfel, bo, jak powiedział, wie doskonale, jakie są kłopoty z uzyskaniem duplikatu prawa jazdy. Nie zrobił mi żadnej krzywdy. Ale nie wiem, co by było, gdybym go nie posłuchał od razu...”

Harry sprawdził godzinę. Ósma dziesiąta. Na zewnątrz zmierzch powoli ustępował nocy. Zapaliły się latarnie. Zapуścił silnik BMW i powoli podjechał do bramy wyjazdowej. Potem, dokładnie kwadrans po ósmej, zgasił radio i wyjechał na ulicę. Zaczynała się gra.

Przejechał jedną przecznicę, potem następną. Wydawało mu się, że nie jest zdenerwowany, ale ręce na kierownicy drżały. Popatrzył na zegarek. Dwadzieścia po.

Gdzie ona jest? Dlaczego nie dzwoni? Jeszcze raz sprawdził czas. No dobra, może jest dopiero ósma osiemnaście. W chwilę później telefon zadzwonił. Złapał słuchawkę.

– Tak?

– Siedzę na drzewie – wyszeptała Maura z podnieceniem. – Siedzę na jakimś pieprzonym drzewie w zagajniku na terenie wysypiska. Uwierzyłbyś? Gdybym kiedykolwiek podejrzewała, że istnieje facet, który może mnie zmusić do łażenia po drzewach na wysypiskach śmieci w New

Jersey, i to jeszcze na dodatek z rewolwerem w saszetce, nigdy nawet nie spojrziałabym na gorzałę.

– Ja nie jestem w takim nadzwyczajnym miejscu – Harry także szeptał, chociaż nie było żadnej potrzeby. – Jadę Dziewięćdziesiątą Szóstą. Widziałaś kogoś?

– Żywej duszy. Znalazłam świetne miejsce dla samochodu, a tutaj doskonale ukrycie dla siebie.

– Jesteś pewna, że nikt cię nie widział?

– Na sto procent. Nikt cię nie śledzi?

– Na razie nikogo nie widzę.

– Słuchaj, widzę jakiś samochód na drodze. Zadzwoń za dziesięć dziesiątą, chyba że podjedzie za blisko mojego drzewa.

– Nie jest ci zimno? Zaraz zacnie padać.

– Nie martw się o mnie.

Zerkając wciąż w lusterko wsteczne, Harry skręcił w aleję Henry’ego Hudsona. Kilka samochodów z tyłu zobaczył czarne osobowe auto, które, był pewien, jechało za nim od początku. Wszystko jedno, Maura ma rację. Niech go śledzi. Podporządkuje się ściśle instrukcji. Maura jest jego asem w rękawie.

Dojeżdżał do mostu Washingtona, gdy zaczęło mżyć. Nie lubił wycieraczek i włączał je zwykle dopiero wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne. Tym razem przekręcił włącznik od razu. Nie ma zamiaru robić teraz żadnych głupstw.

Gdy znalazł się na drugim brzegu rzeki, sprawdził w swoich notatkach trasę, którą kazał mu jechać tajemniczy rozmówca. Po trzech kilometrach skręcił z głównej szosy w gęsto zabudowaną robotniczą dzielnicę. Drewniane domki z maleńkimi ogródkami, od czasu do czasu plac zabaw dla dzieci. Czarny samochód jechał w odległości kilku przecznic, bez świateł. Harry widział w środku dwie osoby. Bez trudu znalazł skrzyżowanie, przy którym, zgodnie z instrukcją, miał się zatrzymać i czekać minutę. Ruszał właśnie, kiedy zadzwonił telefon. Kilkanaście minut za wcześniej. Sięgając po słuchawkę Harry już wiedział, że coś się stało.

– Tak?

– Harry, nigdzie nie jedź! Tu się roi od policji – szeptała w panice Maura. – Pełno ich. Pochowali radiowozy, żebyś się niczego nie domyślił.

Krew zastygła mu w żyłach. Zerknął w lusterko. Czarny samochód wciąż był za nim, trzy przecznice z tyłu. Wrzucił bieg i zaczął powoli jechać.

– Mów dalej.

– Jest tu ten twój przyjaciel Dickinson. W pewnym momencie był ze dwa metry ode mnie. Rozstawia wszystkich na posterunkach.

– Nie mylisz się?

– Na pewno nie. Jest z jakimś porucznikiem, chyba z lokalnej policji, i aż kipi z podniecenia. Ktoś podobno doniósł policji, że masz się tu z kimś spotkać, wiesz ze sobą trupa i zapłacisz

dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, żeby tylko się pozbyć go bez śladu. Ten informator mówił, że jesteś wariatem. Że zabijasz ludzi dla zabawy. Musisz uciekać.

Czując zamęt w głowie, Harry zaczął przyspieszać.

– Schowaj się, póki nie będziesz mogła bezpiecznie wrócić do samochodu – polecił. – Potem jedź do mojego mieszkania. Odezwę się.

Powiedziała mu, żeby uważał na siebie. Odłożył słuchawkę. Rzucił okiem na swoje notatki. Ma skręcić w prawo, w następną przecznice. Pojedzie więc prosto albo skręci w lewo. To powinno zmylić ludzi, którzy jadą za nim. Zyska trochę czasu. Trzy, może cztery sekundy, nie więcej. Ale nie zgubi ich w ten sposób. Jedyne co mu zostaje, to spróbować się dostać z powrotem na trasę szybkiego ruchu. Przyspieszył do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Trup? Skąd przyszło Perchekowi do głowy, że ktoś uwierzy w taką bzdurę! Chyba że...

Włosy stały mu na głowie. Natychmiast wyłączył światła, skręcił gwałtownie w lewo i wcisnął gaz do dechy. Samochodem rzuciło w prawo, potem w lewo. Za nim zawyła syrena, z tyłu za drzewami zobaczył błękitne błyski. Ulice, wysuszone przez dwutygodniowe upały, teraz, po deszczu, były śliskie i pełne błota. Harry poślizgiem wszedł w następny zakręt, w długą ulicę dochodzącą prosto do szosy. Strzałka szybkościomierza zbliżała się do stu trzydziestu. Nigdy nie miał żyłki sportowej jako kierowca i tak szybko nie jeździł nawet po płatnych autostradach. A tu w każdej chwili mógł wyjechać tyłem z bramy jakiś samochód, wyskoczyć dzieciak na rowerze – nieograniczony repertuar katastrof. Ekipa w czarnym samochodzie niewątpliwie wezwwała pomoc.

Rozpaczliwie próbował coś wymyślić. Jego sytuacja była paskudna. Gnał po zlanych deszczem ulicach, w kompletnie nie znanej sobie okolicy, nocą, i prawie na pewno wiozł trupa w bagażniku. Minuta. Tyle ma do dyspozycji. Za minutę dogonią go albo zablokują mu drogę wezwane posiłki.

Zbliżał się do szosy. Jeśli to ta sama, którą tu przyjechał, jest to czteropasmówka bez bariery pośrodku. Czarny wóz był już na prostej, jakieś trzy przecznice za nim, i zbliżał się szybko. Harry miał właśnie hamować, żeby skręcić na pas prowadzący na północ, gdy w ostatniej chwili zobaczył lukę w kolumnach pojazdów z obu kierunków. Wcisnął pedał gazu i przeskoczył przez wszystkie cztery pasy. Z obydwu stron nadjeżdżały dwa wielkie ciągniki siodłowe z przyczepami. Rozległ się syk hamulców pneumatycznych, zgrzyt opon i trąbienie klaksonów, oba ciągniki zachwiały się w poślizgu. Czarne auto musiało się zatrzymać. Ulica miała swoje przedłużenie po drugiej stronie szosy. Harry pojechał prosto. Zwolnił trochę, spojrzął w lusterko i zobaczył, że jeden z ciągników, jak na zwolnionym filmie, ustawia się w poprzek szosy i przewraca.

Z daleka słyszał syreny. Wiele syren. Skręcił w boczną uliczkę, a potem na podjazd jakiegoś nieoświetlonego domku. Syreny rozbrzmiewały coraz głośniejsze. Cicho wysiadł z samochodu, w każdej chwili spodziewając się, że zapalą się światła przed domem albo że zaatakują go rottweiler. Rozejrzał się. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Wiedział tylko, że gdzieś na tyłach tego domu musi być rzeka. Za garażem i ogródkiem widział lasek, rozciągający się ku

zachodowi. Przy odrobinie szczęścia może uda mu się tam dostać, a potem się zobaczy. Otworzył neseser i upchał po kieszeniach część pieniędzy, jak mu się wydawało około siedmiu tysięcy. Miał na sobie spodnie od garnituru i eleganckie półbuty, ubiór właściwy, żeby zrobić dobre wrażenie w banku, ale nieszczególny, kiedy trzeba uciekać przed policją. Niestety w tej chwili nie mógł go zmienić.

Wziął kluczyki i włożył w zamek bagażnika. Właściwie wcale nie chciał tam zaglądać. Przerzątał go koszmar, jaki Perchek mu niewątpliwie zgotował. I tak później dowiedziałaby się z telewizji. Gdzieś blisko zawyła syrena i za moment ulicą popędził z migotaniem kogutów radiowóz. Harry schował się w cieniu. Okrążenie się zamyka. Nie zostało mu wiele czasu. Przekręcił kluczyk, zawahał się jeszcze raz i podniósł klapę.

W nozdrza buchnęło mu gorące powietrze, ciężkie od zapachu krwi i śmierci. W ciasnym bagażniku leżał skurczony Caspar Sidonis. Woskowo-błada twarz, włosy zbroczone krwią z rany postrzałowej tuż nad uchem.

Żołądek podszedł Harry'emu do gardła. Nie wiedział, co ma robić. Przełknął ślinę i delikatnie zamknął bagażnik.

– Biedaczysko – szepnął.

Drugi wóz policyjny, tym razem bez syreny i błyskających świateł, przejechał drugą stroną ulicy, oświetlając szperaczem bramy i podjazdy domów. Harry znów uskoczył w cień. Zaraz zaczął szukać po tej stronie. Przedostał się na tyły budynku, wspiął na ogrodzenie z siatki i zeskoczył. Ból w klatce piersiowej eksplodował nagle, promieniując aż do szczęki i uszu. Potknął się i upadł na wilgotną omszałą ziemię. Był cały mokry, zarówno od deszczu, jak i od potu, którym się oblał w jednej chwili.

Wszędzie słychać było syreny. Podczołgał się głębiej w zarośla, po czym wstał, opierając się o pień drzewa. Ból ustępował. Ogarnęła go fala mdłości. Powstrzymał wymioty, zamknął oczy i zaczął głęboko oddychać. Może zrezygnować? W końcu ktoś uwierzy, że to spisek przeciwko niemu. Mel Wetstone podobno dokonuje cudów na sali sądowej. Może i jego wybroni.

Nie. Więzienie i Albert Dickinson? Tego nie zniesie.

Z tyłu słyszał głosy. Znaleźli jego samochód. Ból już prawie ustał. Z wyszkoleniem z Wietnamu i paroma tysiącami dolarów w kieszeni ma jakąś szansę. Poupychał pieniądze głębiej i puścił pień drzewa. Potem, nisko pochylony i poruszając się najciszej jak potrafił, rozpoczął bieg przez zarośla.

Rozdział 37

Rezydencja „Wysokie Wzgórze” w eleganckim osiedlu Short Hills w New Jersey składała się z piętnastopokojowego domu w stylu kolonialnym, służbówki i basenu, położonych na półtorahektarowej pagórkowatej działce. Jej pierwszym właścicielem był przemysłowiec alkoholu z lat dwudziestych, który też ochrzcił ją tą nazwą. Kolejni posiadacze utrzymali nazwę, jednakże ostatni z nich, Phil Corbett, mieszkający tu z rodziną od trzech lat, uważał ją za pretensjonalną i odgrażał się, że zastąpi wykute w kamieniu przy podjeździe słowa „Wysokie Wzgórze” napisem „Wysokie Koszty Utrzymania”.

O dziesiątej trzydzieści wieczorem trzydziestego sierpnia, w chwili, gdy zaczął dzwonić telefon, Phil był wygrany osiemset dolarów i właśnie miał szansę na pokera w karach. Comiesięczny poker w towarzystwie pięciu przyjaciół odbywał się za każdym razem u kogo innego, ale wszyscy najbardziej lubili grywać w „Wysokim Wzgórzu”. Wkrótce po przeprowadzce Phil przerobił pokój muzyczny na dźwiękoszczelny, wyłożony orzechową boazerią pokój karciany, wierną kopię sal gry z saloonów Dzikiego Zachodu, nie zapominając o muzyce country w tle, trocinach na podłodze, wentylatorze na suficie, kubańskich cygarach i mosiężnych spluwaczkach. Stawki były na tyle wysokie, by uczynić grę interesującą. Wśród uczestników nie było nikogo, kto nie mógłby gładko przełknąć wpadki na pięć tysięcy dolarów.

Niektórzy goście wspominali o najnowszych sensacyjnych wiadomościach dotyczących starszego brata Phila. Dwóch z obecnych, Matt McCann i Ziggy White, obaj milionerzy bez matury, byli kolegami Phila od dzieciństwa w Montclair i znali dobrze Harry’ego.

– Pamiętacie, jacy byliśmy zafascynowani nim w młodości? – przypomniał Matt. – Prymus, który miał pójść na studia, i my, mali gówniarze, którzy z pewnością skończą w kryminale. A teraz?

– To wspaniały facet – odparł Phil. – My wszyscy zajęliśmy się robieniem forsy, a on pomaga ludziom. Połowa z jego pacjentów nawet mu nie płaci.

– Ale co to za historia w tym szpitalu? Co to za wstrząs pourazowy?

– Bzdura! Harry’ego ktoś wrabia.

– Miejmy nadzieję, że się nie mylisz – powiedział Ziggy. – Bardzo go lubiłem. Ale wiesz, John Dillinger też miał takiego brata.

– Żaden z niego Dillinger...

Telefon dzwonił nadal. Pięć, sześć, siedem dzwonek. Phil miał umowę z Gail, że w czasie ich pokerowych posiedzeń ona odbiera telefony, ale dzisiaj poszła do kina z przyjaciółką. Przyjrzał się swojej dziesiątce, waletowi, damie i królowi i wbił wzrok w telefon, próbując go zmusić do milczenia. Wreszcie położył karty.

– Panowie, wasze pieniądze muszą trochę poczekać, zanim się do nich dobiore – powiedział

wstając. – Mam karetę.

– Jasne! – mruknął ktoś.

– Halo? – rzucił Phil do słuchawki.

– To ja, Harry. Jesteś sam?

Phil usłyszał naleganie w głosie brata.

– No nie. Nie jestem.

– Przejdź do drugiego aparatu, proszę.

– Zalewałem z tą karetą – powiedział Phil, chowając swoje karty na spód talii. – Pograjcie beze mnie.

Po dwudziestu minutach wrócił z zatroskaną twarzą.

– Panowie, mój brat ma problemy – oznajmił. – Niestety, musimy dziś zrezygnować z dalszej gry.

– Możemy w czymś pomóc? – zapytał White.

– Właściwie tak. Gdybyście mogli zostać, ty i Matt... Resztę muszę prosić o jak najszybszy wyjazd. Umówimy się jutro. Jeśli ktoś ma ochotę, to może pomodlić się za Harry'ego. Tkwi po uszy w bagnie i każda pomoc mu się przyda.

– Phil, uważaj na siebie – powiedział jeden z trzech pozostałych. – Człowiekowi nie chce się wierzyć, żeby ktoś z rodziny naprawdę zrobił coś paskudnego, ale wszystko się zdarza.

– Wiem, Stan. Dzięki. Proszę was, zapomnijcie, że ktokolwiek tu dzwonił.

Mężczyźni wymienili zatroskane spojrzenia. Potem bez dalszych pytań pospiechali do swoich samochodów. Ziggy White i Matt McCann zostali. W chwilę po odjeździe ostatniego samochodu pod dom podjechał radiowóz policyjny.

– Matt, chciałbym, żebyś tu został i popilnował dzieciaki do powrotu Gail. Ona wróci koło wpół do dwunastej. Ziggy, idę porozmawiać z glinami. Potem muszę wyjechać stąd tak, żeby nikt mnie nie widział. Masz jakiś pomysł?

W czasach szkolnych White słynął z ryzykanctwa. Zawsze nurkował z najwyższej skały albo ściągał coś z najlepiej pilnowanego sklepu. W końcu zbił majątek jako giełdowy spekulant opcjami. Teraz zastanawiał się tylko moment.

– Nie ma sprawy. Matt się schowa, kiedy tu przyjdą. Ty powiesz, że żona wyszła i musisz pilnować dzieciaków. Ja wyjdę z nimi i pogadam przy radiowozie. Tymczasem wyślizgnij się tylnym wyjściem. Weź latarkę, ale użyj jej dopiero, jak będziesz pewien, że nikt nie zobaczy światła. Przejdź przez swój ogród i ten strumyczek, który płynie na tyłach. Jeśli gliny będą obserwować dom, to raczej od strony frontowego podjazdu. Wyjadę zaraz za nimi i ruszę w stronę domu, ale skrećę w Maitland. Czekaj na mnie pod domem Griffinsów. Wyjechali do Anglii. Wiesz, gdzie to jest? W porządku. Wsiadę koło swojego domu, a ty weźmiesz moje auto.

Harry klęczał w gęstych krzakach tuż pod nasypem dwupasmowej szosy. Noc nie była

zimna, ale on był przemoczony i wstrząsały nim dreszcze. Dzięki Bogu, że Phil był w domu. Dzięki Bogu, że zgodził się pomóc. Żeby tylko szybko przyjechał. Harry nie miał ochoty narażać go na oskarżenie o udzielanie pomocy poszukiwanemu mordercy, ale musi pozostać na wolności, jeśli zamierza znaleźć Percheka. To jego jedyna szansa.

Największy problem polegał na tym, że nie za bardzo wiedział, gdzie się znajduje, kiedy dzwonił do brata, a Phil nie znał tych okolic. W końcu ustalili, że Harry opłaci kogoś, kto go podwiezie w miejsce, które obaj znali: na mało uczęszczaną drogę koło podstacji energetycznej niedaleko domu ich dzieciństwa w Montclair. Tam właśnie Harry zabrał kiedyś swojego młodszego brata, żeby go wtajemniczyć w takie męskie rozrywki jak picie piwa i palenie i zaskoczeniem odkrył, że brat jest w nie doskonale wprowadzony.

Szczęściarzem, którego Harry wybrał na swojego przewoźnika, był motocyklista na harleyu. Wypatrzył go z zagajnika przy stacji benzynowej, jak szedł do toalety, i zawołał go, kiedy wychodził. Facet był wytatuowany od stóp do głów i miał posturę niedźwiedzia grizzly. Nie wyglądał na kogoś, kto się wystraszy i zawiadomi policję. Opłata za półgodzinną przejażdżkę została uzgodniona na tysiąc dolarów. Przez lata pracy w szpitalu Harry widział dziesiątki ofiar wypadków motocyklowych – lekarze z pogotowia nazywają motocykle „dawcami” – ale musiał zaryzykować. Dostał od Claude’a, bo tak miał niedźwiedź na imię, niemiecki hełm bojowy z czasów drugiej wojny światowej i skulił się na tylnym siodełku, mocno obejmując grubasa w pasie.

– Hej, jak chcesz się tak przytulać, będzie cię to kosztowało stówę drożej.

– Nie jedź za szybko, to się odsunę.

Na odcinku pierwszego kilometra minęły ich cztery wozy policyjne na sygnale.

– Musiałeś nieźle nawywijać! – zawołał Claude przez ramię.

– Parkowanie w niedozwolonych miejscach! – odkrzyknął Harry.

Czekając schowany w krzakach przy podstacji, przez pół godziny zauważył sześć samochodów, w tym jeden radiowóz policyjny z Montclair.

Przetarł czoło zabłoconą ręką i zastanawiał się, jaki ma zrobić następny ruch. Nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Wprawdzie udało mu się w ostatniej chwili wymknąć z zasadzki zastawionej przez Percheka w Fort Lee, ale teraz, gdy czterdziestominutowa przejażdżka motocyklem się skończyła, mógł tylko czekać. Zaczął się obawiać, że zaszło jakieś nieporozumienie co do miejsca spotkania i Phil się nie pojawi.

Miejsce, w którym czekał, znajdowało się pośrodku mniej więcej stumetrowego prostego odcinka drogi. Przed nim i za nim były zakręty. Gdy nadjeżdżał jakiś samochód, Harry najpierw słyszał odgłos silnika, potem widział odbłask reflektorów na drzewach, a dopiero potem samochód. Za każdym razem rozplaszczał się w błocie na dnio rowu, namakając coraz bardziej.

Znów usłyszał jakiś wóz, tym razem z lewej. Za chwilę jego reflektory oświetliły wierzchołki drzew. Ciężarówka, pomyślał, zagrzebując się w błocie. Nie była to jednak zwykła ciężarówka, lecz samochód kempingowy, dom na kołach wielki jak autobus. Tuż za nim jechało auto

osobowe. Harry zamarł ze strachu, bo oba pojazdy zatrzymały się w odległości trzech metrów od niego. Kierowcy wyłączyli silniki i zgasiли reflektory. Zapaliło się światło wewnątrz samochodu kempingowego. Ktoś otworzył drzwi, a potem zamknął. Światło zgasło. Przez kilkanaście sekund panowała martwa cisza. Wreszcie Harry usłyszał głos brata:

– Hej! Jesteś tam gdzieś?

Przez moment nie był w stanie odpowiedzieć, tak napięte miał mięśnie szczęk. Trochę niepokoił go drugi samochód, ale musiał ufać Philowi.

– Tu jestem, braciszku.

Podniósł się na nogi i próbował zetrzeć z twarzy błoto, rozmazując je coraz bardziej. Przywitał się z Philem przed maską wozu kempingowego. Był to winnebag.

– W porządku?

– Przemoczony do suchej nitki, przerażony do szpiku kości, ale chyba w porządku.

– Tam w środku mam dres, który będzie w sam raz na ciebie.

– Kto jest w tym drugim wozie?

– Ziggy White. Pamiętasz go?

– Ten, co się zakładał, że przejedzie samochodem kilometr z zawiązanymi oczami?

– Ten sam. Nie chciałem go w to angażować, ale nalegał. Ma za mało emocji w życiu, jakby handel opcjami nie dostarczał ich pod dostatkiem. Poza tym mówi, że jest ci to winien za to, że kiedyś powstrzymałeś Bumpy’ego Giannettiego, gdy szycował się sprać go na kwaśne jabłko.

– Podziękuj Ziggy’emu w moim imieniu – powiedział Harry, wspinając się z pomocą brata po schodkach do środka winnebag. – Ale jeśli chodzi o Bumpy’ego, to prawdopodobnie uznał, że ze mnie będzie lepszy worek treningowy, bo na pewno mu nie oddam.

Wnętrze wozu kempingowego miało rozmiary pokoju hotelowego.

– Niewiarygodne – mruknął Harry ściągając przemoczoną koszulę. – To twoje?

– Na razie twoje. Jedenaście metrów luksusu. Dwa telewizory z talerzem na dachu, faks, telefon, bar, kostkarka do lodu, wieża stereo, pralko-suszarka, ochronna poduszka powietrzna dla kierowcy i dla pasażera, szafki z drewna wiśniowego. Powiedziałeś, że potrzebujesz samochodu, a ja pomyślałem, że potrzebny ci też bezpieczny lokal do mieszkania. Potem uświadomiłem sobie, że mam coś, co zaspokaja obie potrzeby. Wynajmujemy to maleństwo czasami, gdy ktoś potrzebuje noclegu, a nie chce iść do hotelu. Jest zarejestrowany na moją firmę. Dowód rejestracyjny jest w schowku, znajdziesz też tam wykaz miejsc, gdzie tego grzmota wolno parkować. Tu masz numer mojego pagera, możesz kontaktować się ze mną całą dobę na okrągło.

– Dziękuję ci. Bardzo dziękuję. Ale ile to wszystko będzie koszt...

Phil powstrzymał go unosząc rękę do góry.

– Jeśli o to pytasz, to znaczy, że tak naprawdę nie chcesz wiedzieć.

Harry wytarł się, po czym wyjął z kieszeni pliki przemoczonych pieniędzy.

– Nie wspomniałeś o kuchence mikrofalowej – zauważył.

– Tylko nie pakuj ich do niej wszystkich naraz. – Phil rzucił mu czarny dres. – Nie zniósłbym

myśli, że tyle forsy wyparowało w moim wozie. Lodówka jest pełna, a w szafie są jakieś ubrania, które powinny na ciebie pasować. I nie stój za długo w jednym miejscu. Czego ci jeszcze potrzeba?

Harry pomyślał chwilę, wziął kartkę i pióro z małego mahoniowego sekretarzyka i napisał krótki liścik do Maury.

– Portier w moim bloku zanieś go jej – powiedział. – A ty, kiedy to załatwisz, wycofaj się i trzymaj ode mnie z daleka. Już zrobiłeś wystarczająco dużo.

Phil wsunął list do portfela.

– Zabawnie nam się życie układa. Zawsze chciałem ci jakoś dorównać, zwłaszcza po tym, jak dostałeś te medale w Wietnamie. Dlatego tak mocno zaangażowałem się w biznes. Koniecznie chciałem cię pobić na jakimś polu.

– I udało ci się.

– Co mi się udało? Nigdy nie zrobiłeś ani nie powiedziałeś niczego, co by mnie zmuszało do rywalizacji. To coś tkwi we mnie. Po prostu jesteśmy zupełnie inni i mamy inne życie. Ale jesteś moim jedynym bratem, Harry. Nie chcę cię stracić.

Harry popatrzył na brata w przyćmionym świetle wnętrza samochodu. Po raz pierwszy Phil tak z nim rozmawiał. Usadowił się wygodniej na miękkich skórzanych poduszkach fotela.

– Pamiętasz ten dzień przed moim gabinetem, kiedy powiedziałeś mi, żebym się nie martwił, bo w końcu znajdzie się jakiś cel, o który będę musiał walczyć? No i znalazł się. Monstrum o nazwisku Anton Perchek. Doktor medycyny. Będę z nim walczył, póki go nie pokonam albo sam nie zginę. – Zapisał nazwisko na kartce i wręczył ją bratu. – Gdyby coś mi się stało, to pamiętaj, że to człowiek, który zabił Evie. Zabił też Caspara Sidonisa, Andy’ego Barlowa, jednego z moich ulubionych pacjentów, i Bóg wie jeszcze ile osób. W FBI wiedzą o nim, choć mogą się do tego nie przyznawać. Mógł mieć jakieś zlecenia od CIA. Został uznany za zmarłego parę lat temu, ale znaleziono jego odcisk palca w pokoju szpitalnym Evie... Wiesz, nie zależało mi już na niczym. Może z powodu pięćdziesiątki na karku, może z powodu Evie, a może tej cholerniej „kłątwy Corbettów”, którą się tak przejmowałem. Ale teraz mi zależy. Dzięki temu draniowi Perchekowi wszystko się zmieniło. Ta kobieta, Maura, dla której jest ta kartka, to ktoś dla mnie bardzo ważny. Chcę mieć szansę lepiej ją poznać. Może jeszcze kiedyś się ożenię, jeśli nie z nią, to z kimś takim jak ona. Może jeszcze będę mieć dzieciaki i ty też zostaniesz wreszcie wujkiem.

– Rozpieszczałbym je okropnie. Dokąd chcesz teraz pojechać?

– Wolalbym ci tego nie mówić. I tak już dość będziesz musiał kłamać przeze mnie na policji.

– Wiesz, jak mnie złapać w razie czego.

– Wiem. Nie martw się. Tym razem wygram.

– Uda ci się, na pewno. No, chyba muszę uciekać.

– Podziękuj ode mnie Ziggy’emu. I ucałuj Gail i dzieciaki. Przez kilka sekund bracia stali naprzeciw siebie, a potem, pierwszy raz od śmierci ich ojca, objęli się.

Rocky Martino, nocny portier w bloku Harry'ego, miał dziś aż nadto powodów, by chlapać sobie parę łyków więcej niż zazwyczaj. To była najdłuższa i najbardziej męcząca noc w jego życiu. Przez parę godzin zważyło mu się na głowę pół miasta i wszyscy szukali Harry'ego Corbetta. Policja z Manhattanu, a nawet policja z New Jersey i FBI – chodziło o jakieś nielegalne przewiezienie zwłok przez granice stanowe. Przybyli ludzie z ekip kilku stacji telewizyjnych i radiowych i chcieli z nim rozmawiać. Ale wszystkim mógł dać jedną odpowiedź: nie ma pojęcia, gdzie jest Harry Corbett, nie wie, kiedy wyszedł i kiedy będzie z powrotem. Dziennikarzom nie powiedział jednej rzeczy, chociaż nie zataił jej przed policją: że o dziesiątej trzydzieści do mieszkania doktora Corbetta wróciła Maura Hughes i że nadal tam przebywa. Dwóch funkcjonariuszy poszło do niej na górę i przesłuchiwało ją przez dobrą godzinę.

Rocky uznał, że to wszystko przekracza jego możliwości, i wezwał Shirley Bowditch, przewodniczącą zarządu spółdzielni mieszkaniowej. Shirley zajęła się wszystkim i wreszcie został sam. Poszedł do pakamery przy wejściu do piwnic. Tam, na najniższej półce, za skrzynką z narzędziami, trzymał swój zapas na czarną godzinę. Nalał sobie porcję wódki „Absolut” i wypił ją jednym haustem. Pałący smak wywołał ciepłe, znajome łzy w kącikach oczu. Kiedy wrócił do hallu, zobaczył wysokiego barczystego mężczyznę w sportowym płaszczu, który pukał w szybę pokazując odznakę policyjną. Przycisnął guzik brzęczyka. Wysoki mężczyzna przedstawił się, ale Rocky nie zapamiętał ani nazwiska, ani wydziału, w którym pracował. Rocky także powiedział, jak się nazywa.

– Przydasz nam się pan – powiedział policjant. – Do kiedy ma pan dyżur?

– Do południa. Pracuję od północy do południa. Ustaliliśmy z moim zmiennikiem, Armandem Rojasem...

– Dobra, dobra, słuchaj pan. Tam na górze, w mieszkaniu Harry'ego Corbetta, jest kobieta. Nazywa się Maura Hughes.

– Tak?

– Jeśli wezwie taksówkę, żeby pojechać do niego, to chcemy sami ją zawieźć. – Podprowadził Rocky'ego do okna i pokazał mu samochód zaparkowany kilkanaście metrów od budynku. – Jeśli poprosi, żeby jej znaleźć taksówkę, wskaż jej pan ten wóz. Reszta należy do nas.

– O... okay. – Rocky'ego onieśmiała wzrost i obcesowość nieznajomego.

Wysoki mężczyzna wyciągnął z portfela banknot i wręczył go Rocky'emu. Pięćdziesiąt dolarów.

– Postaraj się, Rocky. I nikomu ani słówka, a dostaniesz jeszcze jeden taki papierek.

Rocky wziął banknot, popatrzył za policjantem i wrócił do pakamery. Zrobi, co mu ten człowiek każe, bo się boi, no i przyda się następne pięćdziesiąt dolców. Facet, który poszedł na górę godzinę temu z kopertą dla Maury, dał mu tylko dwudziestaka. Gołnął sobie jeszcze jedną wódkę. Lubi Harry'ego Corbetta i przykro mu, że doktor ma takie kłopoty, ale przecież to nie jego wina. Wrócił do hallu. Dochodziła piąta rano. Miał świeżą forszę w kieszeni i miłe ciepło w żołądku. Na zewnątrz czeka taksówka. Obliznął wargi i pomyślał o pieniądzach, które spadają z

nieba. Nie można mu nic zarzucić, przecież z policją trzeba współpracować, no nie?

Rozdział 38

Czwarta... piąta.... wpół do szóstej. Telefon w mieszkaniu Harry'ego dzwonił prawie bez przerwy. Tajemnicze wydarzenia związane z uzbrojonym szaleńcem grasującym w Centrum Medycznym „Manhattan”, a potem brutalne zamordowanie Caspara Sidonisa rzuciły Harry'ego w samo centrum zainteresowania mediów. Maura siedziała w salonie, oglądając w telewizji coraz to nowe rewelacje. Lokalne i ogólnokrajowe stacje prześcigały się w sensacjach, podawały nowości co pięć, dziesięć minut, a jedna nawet nadawała non stop. Właśnie zajmowano się zyciorysem i osiągnięciami Sidonisa.

Maura była wyczerpana i fizycznie, i psychicznie. Ale zbyt się martwiła o Harry'ego, by zasnąć. Między poduszki kanapy wcisnęła liścik od Harry'ego, przyniesiony przez człowieka o nazwisku White parę godzin temu.

Mauro!

Nic mi się nie stało. Spotkajmy się o 10 rano przed wejściem do lokalu, w którym poznałaś Waltera. Jeśli mnie tam nie będzie, spróbuj jeszcze raz za trzy godziny. Zmień parę razy taksówkę, potem pojedź metrem, a potem idź na piechotę. Bądź ostrożna. Będą Cię śledzić.

*Całuję –
Harry*

White nic jej nie powiedział oprócz tego, że Harry jest zdrow i cały. Jakaś godzinę później odwiedził ją Albert Dickinson. Wraz z drugim policjantem przeszukali mieszkanie. Dickinson zachowywał się niegrzecznie i obraźliwie, podobnie jak przedtem w szpitalu. Nie ma zamiaru słuchać bajek o niewinności Harry'ego Corbetta, o jakimś Percheku ani żadnych innych, oświadczył. Chce tylko wiedzieć, gdzie może znaleźć Harry'ego.

– Pani Hughes, wie pani, że za ukrywanie i udzielanie pomocy poszukiwanemu za morderstwo grożą wysokie kary? Jeśli wie pani, gdzie jest Corbett, i nie powie nam tego, to obiecuję, że będzie pani gnić w kryminale.

– Tam przynajmniej nie będę musiała pana oglądać – odparła Maura ze słodkim uśmiechem.

– Niech pani nie będzie taka cwana. Cwaniactwo nie popłaca. Z przyjemnością panią informuję, że pani cwany braciszek nie dostał u nas posady detektywa.

– Poruczniku, jeśli ma pan zamiar palić, to będzie pan musiał opuścić ten lokal. – Maura pokazała palcem wyjście.

Przez chwilę miała wrażenie, że Dickinson ją uderzy. W końcu jednak, mamrocząc „odpieprz się”, wypadł za drzwi. Zamknęła za nim i znów usiadła przed telewizorem. Oglądała powtórki

wywiadów z przedstawicielami CMM, pielęgniarkami i policją, z elektrykiem napadniętym przez uzbrojonego szaleńca i Maxem Garabedianem. Jediną nowiną było to, że fałszywego Maxa Garabediana jeszcze nie znaleziono ani nawet zidentyfikowano, ale zdjęto jego odciski palców.

Uciekaj Ray, zachęcała Santanę w duchu.

Cieszyło ją, że ani razu w ciągu tej trudnej i denerwującej nocy nie odczuła potrzeby picia. Wiedziała jednak, że musi się wyspać. Nastawiła budzik na wpół do dziewiątej, wyłączyła dzwonki wszystkich aparatów telefonicznych w mieszkaniu, ale sekretarkę automatyczną postawiła obok kanapy. Chciała mieć kontakt z Harrym.

O ósmej rano do jej świadomości przedarła się nagrywana właśnie przez producenta programu telewizyjnego „Fakty od podszewki” wiadomość, że obiecują Harry’emu wynagrodzenie, wystarczające do wynajęcia najlepszych adwokatów, w zamian za wyłączność na jego historię. Wzięła prysznic, zaparzyła kawę i wyjrzała przez okno. Pochmurno, ale nie pada. Piwnica „CC” była niedaleko od bloku, pomyślała jednak, że musi zarezerwować sobie przynajmniej godzinę. Pokręci się taksówką po mieście, wysiadzie koło gmachu ONZ-tu, a potem piechotą przejdzie na skrót do stacji metra. Potem znów taksówka i przejście przez sklep z wyjściem na drugą ulicę. Wreszcie trzecia taksówka w pobliżu klubu. Zdawało jej się, że w tak zatłoczonym miejscu jak Manhattan bez trudu można zgubić każdy „ogon”.

Włożyła dzinsy, adidas i flanelową koszulę w kratę. Wzięła jeszcze dużą miękką torbę z szafy Evie. Wrzuciła do środka portmonetkę, ciemną perukę, którą nosiła w szpitalu, i białą bluzkę, na wypadek gdyby musiała zmienić wygląd. Potem dorzuciła koszulę, dzinsy i adidas dla Harry’ego. Rewolwer miała nadal w saszetce na brzuchu, przy pasku. Poczucie bezpieczeństwa, jakie dawało posiadanie broni, przeważało nad obawą ukarania za brak zezwolenia.

Zeszła sześć pięter po schodach, napędzając stracha Rocky’emu Martino, gdy wyszła przez drzwi klatki schodowej za jego plecami. Zerwał się na równe nogi i odskoczył, ale Maura i tak poczuła ostry alkoholowy chuch. Oczy miał przekrwione, a ręce drżały mu lekko, choć bohaterstwo próbował zachować twarz.

– Panno Hughes, ale się pani przestraszyłem – powiedział, zwilżając językiem wargi. – Czym mogę pani służyć?

Maura zastanawiała się, jak wiele razy równie nieskutecznie starała się ukryć swój stan, myśląc, tak jak on pewnie w tej chwili, że jej się to doskonale udaje.

– Czy mógłby mi pan zawołać taksówkę? – zapytała, wygrzebując z torby portmonetkę.

– Oczywiście, proszę pani. Nie ma sprawy. Jakies wieści od pana Corbetta?

– Nie, nic.

– Trzymam za niego kciuki.

Wygramolił się zza kontuaru, przesadnie zamaszystym krokiem wyszedł na ulicę i pomachał ręką. Za chwilę podjechała taksówka. Maura wręczyła Rocky’emu dolara i po chwili wahania dołożyła jeszcze pięć.

– Zrób sobie przerwę i zjedz na mój rachunek śniadanie – powiedziała.

Wepchnął banknoty do kieszeni.

– Tak jest, proszę pani.

Coś w jego uśmiechu wydało się Maurze fałszywe, ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Minęła go szybko i poszła do taksówki.

– Do ONZ-etu – rzuciła kierowcy. Gdy ruszyli, dodała: – Powiem panu, jak jechać. Niech się pan nie martwi, jeśli to nie będzie najkrótsza trasa. Zapłacę.

Taksówkarz kiwnął głową.

Jeśli ktoś ich śledził, musiał to robić bardzo perfekcyjnie, bo Maura była przekonana, że ulica za nimi jest całkowicie pusta. Minęli kiosk z gazetami. Widziała zdjęcie Harry’ego na pierwszych stronach wszystkich dzienników. „Doktor Śmierć znów uderzył!” To już przestało być zabawne. Czowała się wyczerpana i przygnębiona. Próbowwała wyobrazić sobie, co mógł czuć Harry, gdy podnosił klapę bagażnika.

Jechali Broadwayem na północ. Odliczyła jeszcze trzy przecznice.

– Niech pan skręci w prawo – powiedziała, ale samochód nadal jechał prosto. Zapukała w szybę dzielącą ją od kierowcy. – Hej, mówię panu, w prawo!

Taksówka skręciła gwałtownie w lewo, w stronę parku. W połowie drogi między skrzyżowaniami zaczęła zwalniać. Maura przestała walić w szybę. Rozpaczliwie starała się zrozumieć, co się dzieje. Pomyślała o rewolwerze w torebce przypiętej do pasa, ale najpierw musiała wydostać się z tego wozu. Kiedy sięgnęła do klamki, usłyszała szcęk otwieranego centralnego zamka – ktoś otworzył gwałtownie drzwi. Do środka wskoczył jakiś ogromny mężczyzna, prawie miażdżąc Maurę swoim ciężarem. Odsunął ją na bok jedną ręką, jakby była laleczką. Uderzyła głową w szybę, tuż obok ledwo zagojonej blizny. Nie czekając na polecenie, kierowca przyspieszył kierując się na zachód, w stronę Hudsonu.

Maura natychmiast rozpoznała olbrzyma. To goryl Percheka, ten, któremu udało się uciec w Central Parku. Rzuciła się na niego prychnąwszy z wściekłości. Okładała go po twarzy prawą ręką, lewą próbując rozsunać suwak saszetki z rewolwerem. Jej pierwszy cios pięścią trafił go w łuk brwiowy. Zaklął i roztarł bolące miejsce, a potem zamachnął się, żeby jej oddać. Uchyliła się i w tym momencie namacała rękojeść broni. Wyrwała go jednym ruchem, wsadziła mu pod żebra i pociągnęła za spust.

Ale rewolwer nie wypalił. Ostatnia szansa przepadła. Wielkolud wyrwał jej broń i uderzył ją z całej siły w twarz. Z rozciętej wargi Maury popłynęła krew, tył głowy uderzył w szybę. Osunęła się osiłkowi na kolana.

– Bezpiecznik, bezpiecznik – mruknął kpiąco. – Trzeba odbezpieczyć zabaweczkę, jeśli się chce postrzelać.

Złapał ją za kark i podniósł. Plunęła na niego, obryzgując go krwią. Wytarł policzek wierzchem dłoni z zimną wściekłością i znów ją uderzył, równie silnie jak za pierwszym razem. Opadła bezwładnie na siedzenie. Wcisnął jej twarz w poduszki fotela.

– Szukamy twojego fagasa, Corbetta – powiedział.

– Nic nie wiem – wymamrotała. Bolała ją twarz, a uchwyt jego ręki na karku jeszcze bardziej, ale postanowiła, że nie sprawi mu przyjemności oglądania jej łez. – Nie wiem, gdzie jest ani czy żyje.

Mężczyzna wyciągnął z torby koszulę Harry’ego i rzucił ją jej w twarz.

– Jasne, że nie wiesz.

– Nawet jeśli wiem, to nie powiem. Ponownie wcisnął jej twarz w poduszkę.

– Doktor bardzo się ucieszy, gdy to usłyszy.

Poszukiwany przez wszystkie siły porządkowe Nowego Jorku i ościennych stanów uciekinier ostrożnie manewrował ogromnym winnebago po ulicach Manhattanu, starając się nie wzbudzać niepożądanego zainteresowania. Trzymał się szerokich tras północ-południe, obawiając się utknąć w rozkopanych lub zatłoczonych ulicach miasta. Większość swego życia spędził w śródmieściu i jego BMW tygodniami nie opuszczało garażu, więc jego umiejętności kierowcy były nieco przykurzone. Wyjazd tyłem ogromnym domem kempingowym na kołach z jakiejś wąskiej uliczki, obstawionej z dwóch stron parkującymi samochodami, mógł okazać się katastrofą. Jego zdjęcie widział już chyba każdy. Drobną stłuczka, policjant z drogówki i cześć. Koniec, kropka.

Za dziesięć dziesiątą. Przeciskał się aleją Kolumba, tak kombinując, żeby skrócić w Pięćdziesiątą Szóstą punktualnie o dziesiątej. Kiedy już będzie razem z Maura, wyjadą z miasta i poszukają jakiegoś spokojnego miejsca, żeby się zastanowić, co dalej. Byli przecież ludzie, którzy wierzyli, że jest niewinny: Maura, Tom Hughes, Mary Tobin, Kevin Loomis, Steve Josephson, Doug Atwater, Julia Ransome, Phil, Gail. Rzucił okiem na przyczepiony do deski rozdzielczej notatnik i dopisał do tej listy Raya Santanę. Miał grono przyjaciół, kolegów, a nawet pacjentów, którzy nigdy nie uwierzą, że mógłby popełnić jakiegokolwiek przestępstwo, a co dopiero morderstwo. Ale kto spośród nich narazi się, żeby to powiedzieć?

Razem z Maurą będzie mu łatwiej coś wymyślić, zwłaszcza jeśli uda im się dotrzeć do Raya. Santana rzeczywiście przyłożył się do tego bigosu, w którym Harry tkwi teraz po uszy, ale przecież to nie on go spowodował. Gdyby jeszcze udało im się zmobilizować Loomisa, można by liczyć na sukces. Gdyby! Koniecznie musi się zobaczyć z Maurą, zrobić co tylko możliwe, żeby Loomis nie odebrał sobie życia, i wreszcie znaleźć Santanę. No i przez cały czas nie dać się wsadzić do więzienia. „Najważniejsze najpierw” – przypomniał sobie jedną ze złotych myśli Anonimowych Alkoholików. „Najważniejsze najpierw”.

Skręcił w Pięćdziesiątą Szóstą. Na szczęście nie była zablokowana przez wozy dostawcze, roboty drogowe czy parkujących „na drugiego”. Jednak nie było też Maury. Przed „CC” nie czekał nikt, a klub wyglądał na zamknięty. Harry zwolnił i rozważał, czy nie zatrzymać się i nie sprawdzić w środku, ale natarczywy klakson z tyłu oszczędził mu trudu podejmowania decyzji. Pojechał dalej, przejechał parę przecznic i skręcił, żeby zrobić jeszcze jedno kółko. Maury nadal

nie było. Zadzwoił do jej mieszkania, potem do swojego, ale odpowiedziały mu automatyczne sekretarki. Nie dodzwonił się też do „CC” W końcu nadał się na pager Phila.

– Cześć, Harry – odezwał się niemal natychmiast Phil. – Miło cię słyszeć. Zdaje się, że czytałem coś o tobie dziś w gazetach.

– Bardzo zabawne. Jak tam Gail i dzieciaki?

– Powiedzmy, że wszyscy musimy bronić dobrego imienia rodziny. Jak ci leci?

– Dzięki tobie ciągle jeszcze jestem na wolności. Czy na pewno Maura dostała tę wiadomość, którą jej posłałem?

– Oczywiście. Rozmawiałem dziś rano z Ziggyem. Doręczył ją osobiście około trzeciej nad ranem.

– Cholera.

– Mogę ci w czymś pomóc?

– Na razie nie. Zrobiłeś aż nadto. Dziękuję ci. Odezwę się.

– Opiekuj się wozem. Obiecałem Gail, że wybiorę się z nią tym maleństwem na weekend. Słowo się rzekło, kobyłka u płota.

Harry krążył w kółko prawie godzinę, starając się za każdym razem jechać innymi ulicami. Maury ani śladu. Coś poszło nie tak. Spróbował dodzwonić się do Loomisa. Tata pojechał kupić łód na przyjęcie, poinformował go dzieciak. Mama jest w łazience. Harry powiedział, że zadzwoni za godzinę.

Dochodziła jedenasta, jeszcze dwie godziny do drugiego terminu spotkania. Ale Harry był prawie pewien, że Maury nie będzie. Perchek? Dickinson? Wóda? Z tych trzech przyczyn jedynie ostatnia wydawała mu się nieprawdopodobna. Sprawdził wskaźnik paliwa i resztę zegarów na tablicy rozdzielczej. Wszystko w porządku... na razie. Ruszył w kierunku centrum.

Jedyne, co mu zostało, to odszukać Raya Santanę. Nie chciał narażać Mary Tobin na niebezpieczeństwo, ale nie miał wyjścia. Poza tym, pomyślał z uśmiechem, jeśli doszłoby do jakiegokolwiek starcia Mary Tobin z policją, należałoby raczej współczuć policji. Złapał ją w domu. Powiedziała, że zrobi wszystko, o co ją poprosi, ma też rozgałęzioną rodzinę, która wprost się pali, żeby mu pomóc.

– Z całej rodziny tylko mój zięć Darryl powiedział na pana coś złego. Wróci do domu, jak mu zrobią prześwietlenie i założą szwy. A miał do czynienia tylko z moją córką. Teraz będzie miał ze mną.

Zdobycie numeru telefonu i adresu detektywa zajęło jej czterdzieści minut. Kiedy przestąpiła próg gabinetu, jak spod ziemi wyrosło dwóch policjantów.

– Znajdziemy go – oświadczył jeden z nich. – Lepiej, żeby się nie okazało, że pani mu pomagała.

– Młody człowieku, mam dwadzieścioro wnucząt i siedmioro prawnucząt – odparła Mary. – Zrobisz z siebie pośmiewisko, jeśli spróbujesz mnie wsadzić do kryminału.

Punktualnie w południe zadzwoniła do Harry’ego, podała adres i numer telefonu detektywa i

zdała relację z rozmowy z policjantami. Harry od razu zadzwonił, ale nikt nie podniósł słuchawki. Przejeżdżając niedaleko pensjonatu Waltera spróbował jeszcze raz. Tym razem udało się. Trzy minuty później Santana wskoczył do winnebago. Złość Harry'ego przeszła jak ręką odjął. Ucieszył się, że ma towarzystwo. Skręcił w Harlem River Drive, kierując się na północ.

– Fajne auto – stwierdził Santana.

Był zarośnięty i rozgorączkowany, wyglądał gorzej niż źle.

– Pożyczył mi je brat. Cieszę się, że udało ci się uciec. Nie wyglądasz najlepiej. Jak się czujesz?

– Jak zwykle, tylko trochę gorzej. Schrzanilem sprawę w szpitalu. Strasznie mi przykro, Harry.

– To był Perchek?

– Nie, nie Perchek. Garvey. Sean Garvey, ten drań, który sprzedał mnie Perchekowi. Leżałem w półśnie, gdy usłyszałem za drzwiami jego głos. Poznałem go od razu. On też mnie rozpoznał, jestem tego pewien. Był w grupie ludzi ubranych w garnitury. Rozjaśnił sobie włosy i chyba miał drobną operację plastyczną, ale to był on. Zaczął uciekać, gdy tylko mnie zobaczył. Straciłem głowę i zacząłem strzelać. Resztę chyba wiesz.

– Kim teraz jest Garvey? Co mógł robić w szpitalu w Nowym Jorku?

– Nie mam pojęcia. Po akcji w Nogales znikł, rozpląnął się w powietrzu. Albo znał jakichś dobrze ustawionych, wpływowych ludzi, albo miał na kogoś haka. Poruszyłem niebo i ziemię, żeby go znaleźć. Kamień w wodę. Ani śladu w aktach, że kiedykolwiek pracował w agencjach rządowych. Brak numeru ubezpieczenia społecznego. Brak danych w Urzędzie Skarbowym. Zero, kompletne zero... Masz tu kawę?

Harry pokazał na termos. Santana nalał sobie filiżankę, po czym włączył dziewięciocalowy miniaturowy telewizor, umocowany w obrotowym uchwycie nad deską rozdzielczą. Reporter podawał najnowsze informacje na temat obławy policyjnej na doktora Harry'ego Corbetta i uzbrojonego szaleńca ze szpitala, zidentyfikowanego na podstawie odcisków palców znalezionych w szpitalnym pokoju jako Raymond Santana, były tajny agent Agencji do spraw Walki z Narkotykami.

– No to już wiemy, czego się trzymać – mruknął Ray. – Kwestia czasu, zanim wpadniemy. Myślisz, że Maura ma jakieś kłopoty?

– Nie myślę. Wiem. Ale chcę na wszelki wypadek pojechać teraz z powrotem do klubu, bo zbliża się pora dodatkowego spotkania, które jej wyznaczyłem.

– Te zwłoki w twoim bagażniku to na pewno robota Percheka. Sądzisz, że ona jest w jego rękach?

– Wolę o tym nie myśleć – Harry pokręcił głową.

– Najpierw ten Okrągły Stół, potem Perchek, teraz Sean Garvey. Trochę tego dużo.

– Od czego zaczniemy? Hej, Ray, co z tobą...?

Santana wlepił wzrok w ekran telewizora.

- Znasz Douglasa Atwatera, wiceprzewodniczącego zespołu „Manhattan”? – zapytał.
- Bardzo dobrze. To mój najwytrwalszy sojusznik w szpitalu.
- Właśnie stoi przed kamerą, na żywo, i wygłasza do ciebie apel, żebyś oddał się w ręce policji.
- I co z tego?
- To, że ten twój najwytrwalszy sojusznik jest tym samym człowiekiem, którego usiłowałem wczoraj zastrzelić.
- Garvey?!
- We własnej osobie.

Rozdział 39

Nie mieli powodu zostawać w mieście – przeciwnie, wszystko przemawiało za tym, żeby je opuścić. Wciąż padało. Wyjechali z Manhattanu i udali się szosą nr 684 na północ, w kierunku granicy stanu Connecticut. Nastroje mieli podłe. Maura nie pokazała się przed klubem „CC” i byli przekonani, że jest w rękach Percheka.

– Wiesz – odezwał się Harry – im więcej myślę o Atwaterze, tym bardziej mnie złości moja głupota.

– Dlaczego?

Santana wyłączył telewizor, rozparł się wygodnie i oparł stopy na desce rozdzielczej.

– Podłączenie tej kroplówki Evie i wstrzyknięcie jej metaraminolu wymagało dobrego planowania – wyjaśnił Harry. – Ten, kto to zrobił, musiał wiedzieć, że moja żona tego właśnie dnia znajdzie się w szpitalu. A ja sam dowiedziałem się o tym dopiero w przeddzień. Doug to jedna z niewielu osób, które wiedziały, że data jej przyjęcia na oddział została zmieniona.

– Kiedy Atwater zaczął pracować w tym szpitalu?

– On nie pracuje w szpitalu, ale w zarządzie zespołu opieki zdrowotnej, który ma umowę z naszym szpitalem.

– Zespół opieki zdrowotnej? Włos się na głowie jeży.

– Minęły czasy, kiedy pan doktor przyjeżdżał bryczką do chorego, taszcząc ze sobą czarną torbę. A Doug pojawił się tu jakieś pięć, sześć lat temu.

– To by pasowało. Ktoś na samej górze w Agencji musiał odwalić kawał roboty, żeby zorganizować mu nowe życie, nową twarz i usunąć wszystkie ślady jego dawnej egzystencji. Garvey prawdopodobnie sprowadził do Nowego Jorku swojego kumpla Antona, gdy tylko objął nową posadę w zespole opieki zdrowotnej. Ten Okrągły Stół musi płacić niesamowite pieniądze, jeśli Perchekowi opłacało się zrezygnować ze swoich zleceń z całego świata.

– Może chciał się trochę ustatkować?

– Może. Jedynie pięć, sześć zabójstw tygodniowo.

– Co teraz zrobimy?

– Może byśmy ucięli sobie pogawędkę ze starym Garveyem? Jemu też grunt zaczyna palić się pod nogami. Wie, że wpadłem na jego ślad. W szpitalu spudłowałem, ale z pewnością zrozumiał, że nie jestem w nastroju do rokowań. Poza tym musiał zdać sobie sprawę z tego, że wiemy o Okrągłym Stole... bo inaczej po co byś mnie pakował do szpitala?

– Jednak dla policji nie mamy żadnych dowodów. O tym też pewnie wie.

– Zgoda, to im daje szansę przetrwania, ale tylko pod warunkiem, że ty znajdziesz się za kratkami lub w trumnie, a ja będę przekupiony albo również martwy.

– A co z Maura?

Santana pokręcił głową.

– Jeśli ją mają, to ma dla nich wartość jako argument przetargowy, ale tylko dopóty, dopóki im zagrażamy.

– Zadzwoń do tego skurwysyna – powiedział Harry z gniewem. – Chcę mu podziękować za poparcie.

– Tylko spokojnie.

Harry zjechał na pobocze i zadzwonił do biura Atwatera w CMM.

– Zechce pan powiedzieć, kto mówi? – poprosiła sekretarka.

– Mingus. Doktor Charles Mingus – przedstawił się po krótkim namyśle.

Mingus był przez wielu miłośników jazzu uznawany za najwybitniejszego kontrabasistę. Zmarł kilkanaście lat temu. Atwater odezwał się już po paru sekundach.

– Harry, to ty? – zapytał.

– Cześć, Doug. Możesz rozmawiać?

– Oczywiście. Doktor Charles Mingus... Sprytnie. Bardzo sprytnie. Kawalarz z ciebie.

– Widziałem cię przed chwilą w telewizji. Dzięki, że się o mnie martwisz.

– Cieszę się, że cię słyszę, stary kumplu. Gdzie ty się podziewasz?

– Tu i ówdzie. Próbuję znaleźć Maurę Hughes. Może wiesz, gdzie ona może być?

– Doskonały był ten jej rysunek, prawda?

– Jest w rękach Percheka?

– Percek... Nie znam nikogo o takim nazwisku. Ale przykro mi, że zgubiłeś swoją przyjaciółkę. Widziałem ją tylko raz, w szpitalu, i myślę, że to niezła babka, kiedy jest trzeźwa.

Harry przykrył dłonią mikrofon.

– Mają Maurę – wyszeptał. Zdjął rękę ze słuchawki. – Czego chcecie w zamian za nią? – zapytał.

– Harry, nie wygłupiaj się. Widziałem ją tylko raz w szpitalu.

– Wiem, gdzie jest Ray Santana. Możemy zrobić wymianę. Santana za Maurę.

– Cóż za dziwaczna rozmowa. Najpierw wmawiasz mi, że znam jakiegoś Percheka, o którym w życiu nie słyszałem, teraz znów Santana. Pierwsze słyszę!

– Zależy mi na tej kobiecie. Nie chcę, żeby jej się stała krzywda. Powiedz mi, czego chcecie.

– Wiesz, odkąd ten twój fałszywy pacjent chciał mnie zastrzelić, zastanawiam się, po co do diabła wsadziłeś go do szpitala.

Harry znów przykrył słuchawkę ręką.

– Łapie przynętę – szepnęła do Raya. – Dobra, Doug, przestań pieprzyć. Dostarczysz mi Maurę Hughes całą i zdrową, a ja nie tylko wystawię ci Santanę, ale opowiem wszystko, co wiem o Okrągłym Stole. Powiem ci też, który z twoich rycerzy szykuje się, żeby wszystko wysypać, i co mają na ciebie.

– A co zrobisz potem? – zapytał po chwili milczenia Atwater.

– Zwiewam. Wszystko mam gotowe: bilety, paszport, forszę, bezpieczne miejsce. Wszystko.

Ale bez Maury się nie ruszę.

– O mój Boże, Harry, tak wsiąkłeś? Pamiętaj, żadna nie jest tego warta, może oprócz tej następnej.

– Jeśli jej nie odzyskam, nie zależy mi, co się ze mną stanie. A to znaczy, że nie dostaniesz Santany i cały Okrągły Stół diabli wezmą. Jeśli mamy wyjechać, to musimy się zbierać najpóźniej jutro o świcie, więc albo ubijamy interes dzisiaj, albo wcale.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– Jak mam się z tobą skontaktować? – zapytał wreszcie Atwater.

– Nie próbuj mnie nabrać. Może i zwariowałem, ale głupi nie jestem.

– No dobra. Masz coś do pisania pod ręką?

– Tak.

Atwater podał numer telefonu zaczynający się na 201, z terenu północnego New Jersey, z okolic Fort Lee.

– Zadzwon o dziewiątej wieczorem – powiedział. – Pogadamy.

– Dziewiąta. Stoi. Słuchaj, Doug... Nie mam wiele do stracenia. Jeśli Perchek zrobi Maurice krzywdę, przysięgam, że zabiję was obu.

– Bracie, coś taki w gorącej wodzie kąpany? Pogadamy, zobaczymy, co się da zrobić.

– O dziewiątej. – Harry odłożył słuchawkę.

– Wspaniale – powiedział Santana. – Rewelacyjne przedstawienie.

W oczach Harry'ego zapaliły się iskry.

– Jest lepiej, niż myślisz. Wiem już, gdzie ją trzymają.

Ruszyli w kierunku New Jersey przez most Tappan Zee. Cyfrowy zegarek na tablicy rozdzielczej winnebago pokazywał 7.06 i datę 31 sierpnia.

31 sierpnia. Przeddzień terminu „kłątwy Corbettów”.

Harry prowadził w skupieniu. Wiedział, że może umrzeć pierwszego września, tak jak jego dziadek w wieku siedemdziesięciu lat i ojciec w wieku sześćdziesięciu. Choć znacznie prawdopodobniejsze, że zostanie zabity – i to dziś, nie jutro. Ale przecież Santana to zawodowiec, a on sam też był pod ogniem w Wietnamie. No i nie idą po Maurę z gołymi rękami. Przed mostem zjechali z trasy szybkiego ruchu i poszukali sklepu z militariami. Ray spędził tam pół godziny i wyszedł z karabinem, dwoma plecakami i rachunkiem opiewającym na tysiąc sto dwadzieścia trzy dolary i trzydzieści siedem centów. Oświadczył, że wybór był niespecjalny, ale podstawowe artykuły – karabin, celownik optyczny i lornetki – uznał za „wystarczającej jakości”.

– Czy rzeczywiście zabijałeś ludzi na wojnie, tak jak twierdzą gazety? – spytał sprawdzając karabin.

– Tak, ale wcale nie jestem z tego dumny.

– W porządku. Jeśli już raz zabiłeś człowieka, to wiesz, że jesteś w stanie zrobić to po raz drugi, i o to tylko mi chodzi.

- Przepelnia mnie taka nienawiść, że nie będę miał trudności z zabijaniem.
- To jedno mniej zmartwienie dla mnie.

Harry nigdy nie był w domu Atwatera, ale widział go od strony rzeki, a także od strony lądu. Trzy lata temu zrobił Evie urodzinową niespodziankę i urządził na jej cześć przyjęcie na dużym wycarterowanym jachcie, który pomieścił jego zespół jazzowy i czterdziestkę gości. Opłynęli wokół cały Manhattan i było to najbardziej ekstrawaganckie szaleństwo, na które Harry zdobył się w całym swoim życiu. Czuł, że w ich małżeństwie zaczynają pojawiać się rysy i chciał zrobić coś, co sprawiłoby Evie przyjemność. Tego wieczoru wyglądała na naprawdę szczęśliwą.

Atwater swoim zwyczajem przyproceedził wtedy ze sobą jakąś wystrzałową blondynkę, zdaje się aktorkę. Jak jej było? Sandi? Patti? Dziewczyna stanęła obok Harry'ego przy relingu, obserwując przesuający się przed nimi urwisty brzeg New Jersey. W pewnym momencie zaczęła wymachiwać ręką w kierunku supernowoczesnej willi zbudowanej tuż nad wodą.

– To dom Douga! Widzisz ten taras? Wiesz, jaki jest stamtąd widok? Oszalającym! Byłeś kiedy u niego?

Harry wiedział tylko, że Doug ma elegancką garsonierę na szczycie wieżowca przy Wschodniej Czterdziestej Dziewiątej. Odwiedzili go tam z Evie parę razy. Ciekaw, jak wygląda jego willa, zapamiętał jej położenie i później zlokalizował ją na mapie u kapitana. Znajdowała się niedaleko Fortu Lee. Ale jakoś nigdy nie spytał Atwatera o ten dom. Przyjaźnili się, jednak najwyraźniej nie najbliżej, skoro nigdy nie został tam zaproszony.

Miesiąc czy dwa później przejeżdżał tamtędy po odwiedzinach u matki w domu opieki. Niespodziewanie łatwo znalazł willę – był to przestronny dom w stylu kalifornijskim, położony na szczycie wzgórza, z podjazdem długim na co najmniej sto metrów. Masywna kuta brama była zamknięta. Po obu stronach drogi ciągnął się mur z kamieni polnych, otaczając najwidoczniej całą posiadłość. Nie zamierzał wtedy wpaść bez zapowiedzi, ale dziś wieczorem on i Ray złożyli tam wizytę.

- Zjedź na następny parking – polecił Santana. – Muszę się rozejrzeć.

Mimo mizernego wyglądu i nerwowych tików sprawiał wrażenie pewnego siebie zawiadaka. Jednak po rozmowie Harry'ego z Seanem Garveyem stał się skupiony i wyciszony, nawet tik w kąciiku ust ustał prawie zupełnie. Harry był przekonany, że tak właśnie wyglądał, gdy mierzył i pociągał za spust tamtego wieczoru w Central Parku.

Zjechali na pusty przydrożny parking. Santana rzucił Harry'emu czarny golf, kamizelkę kuloodporną, czapkę i słoiczek z czarnym kremem o nazwie „Nocny tropiciel”.

– Nie zapomnij wysmarować grzbietów dłoni – powiedział wychodząc z samochodu z karabinem owiniętym w szmatę.

Deszcz wzmógł się jeszcze. Na wschodzie błyskawica przecięła czerniejące niebo.

Harry był gotów do walki. Evie, Andy Barlow, Sidonis. Maura...? Był gotów na wszystko. Ale zanim wyruszą w bój, ma jeszcze jedną rzecz do zrobienia. Jeden telefon.

Kevin Loomis rzucił okiem na zegar, zastanawiając się, jak wysoko sięga woda w piwnicy. Przyjęcie przebiegało doskonale, mimo że z powodu deszczu musieli zrezygnować z grilla. No, już niedługo.

Pół godziny temu opuścił na chwilę pod jakimś pozorem towarzystwo, wymknął się na tyły domu i wyrwał wąż od pralki ze swojego miejsca. Sznurek od razu ześlizgnął się z końcówki i można go było bez trudu usunąć. Za parę minut katastrofa wyjdzie na jaw.

Wrócił do gości i krążył wśród nich, opowiadając anegdoty, śmiejąc się z kawałów i popijając ostro. Dziwne uczucie – wiedzieć, że zbliża się moment śmierci. Co by było, gdyby od początku wiedział, jak to się skończy? Czy przystąpiłby do stowarzyszenia? Retoryczne pytanie. Był jednym z nich i nic już się nie da zmienić.

Pożegnał się już wcześniej z dzieciakami i nawet udało mu się pójść do łóżka z Nancy, chociaż napięcie nie pozwoliło mu cieszyć się tą chwilą w pełni. Teraz stał w kuchni i szukał w szufladzie latarki. Jeszcze parę minut.

Nagle usłyszał dzwonek telefonu. Zaniepokoił się, że może coś się stało któremuś z dzieciaków. Złapał słuchawkę.

– Halo?

– Kevin Loomis?

– Tak.

– Tu Harry. Harry Corbett. Co u ciebie?

– W porządku. Właśnie mam przyjęcie. Nie bardzo mogę rozmawiać.

– Zajmę ci tylko parę sekund. Posłuchaj, to morderstwo, za które mnie szukają, ten chirurg...

– Tak?

W drzwiach stanęła Nancy. Kevin pokręcił głową.

– To sprawka Atwatera. Douga Atwatera z „Manhattanu”. On za tym wszystkim stoi.

– Tak podejrzewałem. Atwater to Galahad, odpowiada za sprawy bezpieczeństwa Okrągłego Stołu. Widziałem go dziś w telewizji.

– Pozostali członkowie tego twojego bractwa byli pod jego wpływem, ale to wszystko jego pomysł. Ścigamy jego i tego lekarza, Percheka.

– Powodzenia.

– Kevin, proszę cię, doprowadź tę sprawę do końca. Jeśli ich dopadniemy, będziesz nam potrzebny, żeby ich obciążyć swoimi zeznaniami. Jeśli nam się nie uda, będziesz jeszcze bardziej potrzebny wszystkim zagrożonym pacjentom.

– Nie bardzo wiem, o co ci chodzi. Oczywiście, że doprowadzę wszystko do końca. Życzę powodzenia. Muszę kończyć.

– Kevin, bądź silny. Masz za wiele do stracenia. Liczę na ciebie.

Kevin bez słowa odłożył słuchawkę. Cholerny Corbett. Łatwo mu mówić, bo nie ma dzieciaków, pomyślał. Odkręcił kran nad zlewozmywakiem, pociekło zaledwie parę kropel.

– Fred! – zawołał do jednego z przyjaciół. – Ni stąd, ni zowąd spadło ciśnienie wody. Co to

może być?

Tamten rozłożył ręce.

– Trzeba będzie sprawdzić w piwnicy – stwierdził.

Kevin puścił go przodem, pozwolił otworzyć drzwi i pstryknąć włącznikiem światła.

– Poszła żarówka – mruknął mężczyzna. – Albo bezpiecznik.

Z dołu słychać było wyraźnie chłopot wody. Kevin dał latarkę Fredowi, zawołał wielebnego Pete'a Petersona i wręczył mu drugą. Czuł, jak jego tętno zaczyna galopować.

– Zdaje się, że mamy na dole powódź. Niestety gumowce mam gdzieś tam w piwnicy. Zostańcie na schodach i poświećcie mi. Zobaczę, co da się zrobić.

To będzie już zaraz, za chwilę, pomyślał. Czuł się bardzo dziwnie. Całe jego życie zmierzało do tych paru chwil.

Zszedł z kolegami na najniższy suchy schodek i ruszył dalej sam.

– To wąż od pralki! – zawołał z ciemności. – Zsunął się z końcówki. Poświećcie mi tutaj!

Takie to wszystko wydawało się cholernie ważne... – przemknęło mu przez głowę.

Nasadził wąż z powrotem.

– Już wszystko w porządku – oświadczył.

Postępuję słusznie, myślał. Najlepiej jak można dla Nancy, dla dzieciaków, dla wszystkich. Boże, wybacz mi...

Sir Tristan, rycerz Okrągłego Stołu, wziął głęboki wdech i sięgnął za suszarkę. Jego ciało zeszywniało, a z nóg, na wysokości poziomu wody, posypały się iskry. Serce zatrzymało się natychmiast. Dłoń zacisnęła się jak kleszcze na przetartej izolacji przewodu. Nie żył już od piętnastu sekund, gdy jego ciało oderwało się od przewodu i upadło do wody.

Rozdział 40

Green Dolphin Street.

Wciąż jeszcze mieli kawałek drogi do willi Atwatera, gdy Harry usłyszał w głowie znajomą melodię. Zaczął wybijać rytm na kierownicy i kołysać głową w rytm uderzeń basu.

– Co ci jest? – spytał Santana.

– Słucham muzyki. Ta melodia zawsze się mnie czepia, kiedy się szykuję do jakiejś decydującej batalii. Czasami dopiero gdy ją usłyszę, zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem spięty.

Santana przyglądał mu się badawczo przez chwilę. Z wysmarowanej na czarno twarzy jarzyły się jasno oczy.

– Słuchaj dalej – powiedział wreszcie.

Jechali w stronę Hudsonu, póki nie znaleźli wąskiej, krętej drogi, biegnącej równolegle do skarpy rzecznej. Harry zgasił światła i zwolnił. W zasięgu wzroku nie było żadnych samochodów. Domy na wysokim brzegu rzeki stały na szerokich działkach wśród drzew, z dala od drogi. W deszczu i mroku widać było tylko świecące okna.

– Myślisz, że znajdziesz tę willę?

– Nie jestem już tego taki pewien. – Harry mrużył oczy wyglądając przez szybę winnebago, omiataną wycieraczką wielkości kija hokejowego. – Pewnie dlatego gra mi w głowie coraz głośniejsze.

– To może już pora przestać słuchać. Po czym rozpoznasz, że to ten dom?

– Po tym murze, o którym ci mówiłem. Kamiennym murze. Prawie w tej samej chwili zobaczyli go: wzniesiony z polnych kamieni połączonych cementową zaprawą, gruby na ponad pół metra, biegł wzdłuż drogi dokąd okiem sięgnąć. Z ich prawej odchodziło od niego w kierunku urwiska ogrodzenie z metalowej siatki, wysokie na metr osiemdziesiąt. Harry zjechał na pobocze, wyłączył silnik i powiedział:

– Z drugiej strony wygląda pewnie tak samo, a na tyłach jest urwisko. Z żadnej strony nie ma łatwego dostępu.

– Duża zagroda – mruknął Santana. – Czy można sobie wyobrazić lepsze miejsce na strzelaninę?

Z drogi ledwie widać było główną bramę, odległą o jakieś pięćdziesiąt metrów. W świetle latarki przygotowali sprzęt i sprawdzili broń – krótki rewolwer i półautomat z tłumikiem, z którego, jak się domyślał Harry, Santana zastrzelił tego bandytę w Central Parku. Mieli też linę, rolkę mocnej taśmy klejącej, noże sprężynowe, drut i nożyce do drutu, szwajcarskie scyzoryki, silne latarki i parę paczek amunicji. Santana wręczył Harry'emu rewolwer i amunicję.

– Tu jest bezpiecznik. Załaduj, odbezpiecz, a potem celuj i strzelaj – powiedział.

– Celuj i strzelaj – powtórzył Harry jak echo. – Po prostu.

– Załaduj plecak i bądź gotów – dodał Santana.

Wziął lornetkę i karabin, wyłączył oświetlenie wnętrza samochodu, otworzył drzwi i wyslizgnął się na zewnątrz. Harry patrzył z podziwem, jak były tajny agent DEA błyskawicznie wspina się na mur. Santana rozpląszczył się na szczycie i rozejrzał po posiadłości. Po paru minutach wrócił.

– Dom jest jasno oświetlony i stoi tak blisko, że mogłem zaglądać przez okna. Przy bramie w budce siedzi strażnik. Nikogo poza tym nie widziałem.

– A psy?

– Nie widziałem.

– Może powinniśmy na wszelki wypadek wziąć parę kotletów z kością?

– Tak jak to robią na filmach?

– Właśnie.

– Każdy obronny pies, który jest coś wart, umie odróżnić mięso, które sobie leży na ziemi, od świeżego mięsa na dwóch nogach, które należy upolować – prychnął Santana. – Jeśli zobaczysz psa, strzelaj. Na filmie nie wyszłoby to dobrze, ale jest skuteczne. Ja wracam na mur. Kiedy błysnę latarką jeden raz, zadzwoń do Atwatera i zażądaj rozmowy z Maura. W ten sposób upewnimy się, czy ona tutaj jest. Mam nadzieję, że uda mi się ją zobaczyć przez okno, bo inaczej będziemy musieli podejść bliżej.

Jeśli błysnę dwa razy, przyjdź do mnie. Trzy razy – jakieś kłopoty. Wtedy przełaź przez mur i szukaj broń. Zamknij wóz, a kluczyk schowaj pod prawym tylnym kołem. Jakies pytania?

– Nie. Tylko jest jedna sprawa...

– Wał śmiało.

– Nie zrozum mnie źle. Mam z tymi ludźmi rachunki do wyrównania. Poważne rachunki. Ale chciałbym cię prosić, żebyś postarał się zachować zimną krew.

Santana wbił w Harry'ego wzrok. Nerwowo tik w kąciuku ust wzmógł się.

– Posłuchaj – rzucił ostro – odkąd Perchek wstrzyknął mi to świństwo, żyję w bólu bez jednej minuty przerwy, dzień w dzień. Siedem lat. Jedyne, co mi przez te wszystkie lata przynosiło ulgę, to wyobrażanie sobie, że ten drań gnije w śmierdzącym meksykańskim więzieniu. Teraz jest tam, razem z tym skurwielem, który mnie wydał. I ty mi mówisz, żebym zachował zimną krew?

Harry aż się cofnął, czując furię Santany. Przez chwilę stał nieruchomo, dochodząc do siebie, a potem wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu swego towarzysza.

– Przepraszam, Ray. Załatwimy ich. Zobaczysz.

Santana wspiął się na mur i znów rozpląszczył się na jego górze. Deszcz nieco zelżał, bramę widać było lepiej. Za chwilę błysnęła latarka. Harry sprawdził godzinę, była 9.08. Wykręcił numer. Atwater odebrał po drugim sygnale.

– Doktor Mingus? – zapytał.

– Tak.

– Powiedz mi, co dla mnie masz.

– Najpierw chcę się przekonać, że Maurze nic nie jest.

– Powiedz, co dostanę.

– Santana mieszka w pensjonacie w latynoskim Harlemie. Podam ci adres i nazwisko, którego używa, gdy wypuścisz Maurę.

– Jak mnie znalazł?

– Perchek zostawił odcisk kciuka w pokoju Evie. Ktoś z FBI dał Santanie cynk, a on poprosił go, żeby ukrył tę informację. Nikt nie wie o Percheku, nawet ten facet, który zdejmował odciski.

– Jak mi udowodnisz, że to prawda?

– Gównu mnie obchodzi, czy mi wierzysz, czy nie. Szuka mnie cała policja Nowego Jorku i wszystkich sąsiednich stanów. Kiedy oddasz mi Maurę, więcej stąd. Tylko to mnie interesuje. Gdzie ona jest?

– Z kim z Okrągłego Stołu się kontaktowałeś?

– Z dwoma facetami. Jeden to Jim Stallings. Nie żyje. Nazwisko tego drugiego powiem ci, jak porozmawiam z Maurą. On mi podał jeszcze jedno nazwisko.

– Jakie?

– Loomis. Nie pamiętam imienia, ale mam zapisane. – To nie z nim rozmawiałeś?

– Nie. Przestań grać na zwłokę. Nie mogę długo rozmawiać.

– Zadzwoń jeszcze raz za pięć minut.

Harry rozłączył się i czekał w ciemności. Wyteżając wzrok mógł dostrzec na murze zarys postaci Santany. Deszcz prawie ustał. Przez otwarte okno wpadało świeże, pachnące powietrze. Ciszę przerywało jedynie cykanie świerszczy.

9.13. Harry podniósł słuchawkę i nacisnął klawisz ponownego wybierania numeru.

– W porządku. Masz trzydzieści sekund – oznajmił Atwater. – Stoję tuż przy niej i będę słuchał waszej rozmowy z drugiego aparatu. Nie próbuj żadnych numerów.

– Halo? – odezwała się Maura.

– Kochanie, to ja. Jak się czujesz?

– Tak się o ciebie martwiłam. Nic mi nie jest. Kazali... zmusili mnie do wypicia whisky. Broniłam się, ale nie miałam siły. Potem zrezygnowali i zrobili mi zastrzyk z jakiegoś narkotyku, żebyś wygadała, gdzie jesteś. Nie mogłam im jednak tego powiedzieć, bo nie wiedziałam.

W jej głosie wyczuwało się zmęczenie, ale i siłę.

– Bądź dzielna. Załatwiłem już wszystko, żebyśmy mogli wyjechać za granicę.

Moment dezorientacji był krótki, błyskawicznie podjęła grę.

– Nie sądziłam, że uda ci się tak szybko. Ja jestem gotowa. – Szczęknęła odkładana słuchawka jej aparatu.

– Wystarczy, Harry – powiedział Atwater. – Zadzwoń jeszcze raz za pięć minut i dobijamy targu.

- Za pół godziny. Nie mogę zostać dłużej w tym miejscu.
- Kim jest ten drugi człowiek z Okrągłego Stołu, z którym rozmawiałeś?
- Harper. Pat Harper z Północno-wschodnich Ubezpieczeń.

Kevin Loomis wymienił to nazwisko tylko raz, ale Harry zapamiętał je, bo pierwsza dziewczyna, w której się kochał jeszcze w liceum, nazywała się właśnie Pat Harper. Podrzucenie Atwaterowi tego nazwiska wydawało mu się doskonałym posunięciem.

Nawet jeśli nie przeżyje tej nocy, to przynajmniej Loomis uniknie zemsty.

- Dobra, trzydzieści minut – przystał Atwater.

Harry słuchał ciągłego sygnału ze słuchawki i starał sobie wyobrazić, co się dzieje za murem. Dwie minuty wypatrywał w ciemności. Wreszcie latarka Santany błysnęła dwa razy. Pora ruszać.

Zarzucił plecak i wsadził rewolwer do kabury na pasie. Kryjąc się w cieniu muru, doszedł do Santany.

– Nie trzymają jej w domu – wyszeptał Ray. – Garvey wyszedł bocznym wyjściem i wrócił z nią za jakąś minutę. Potem poszli z powrotem i Garvey wrócił sam. Teraz jest w domu.

- Co robimy?

– Najpierw zajmijmy się strażnikiem przy bramie. Jeśli dojdzie do strzelaniny, zostaw to mnie. Moja broń nie robi żadnego hałasu.

- W porządku.

Santana schował karabin pod murem.

- Nie przyda się – stwierdził. – Może uda mi się go zwrócić do sklepu.

Wspinaczka po kamieniach nie była trudna. Weszli na górę i zeskoczyli na błotnistą ziemię po drugiej stronie. Harry przygotował się na ból w piersiach i rzeczywiście lekko go ukłuło, ale nie tak jak wtedy, gdy zeskoczył z ogrodzenia w Fort Lee. Jeśli nie będzie gorzej, zniesie to bez problemów.

Zbliżyli się do budki przy bramie. Obok niej stał czarny czterodrzwiowy samochód osobowy. Wartownik rozmawiał przez telefon.

– Jeśli właśnie sprawdzają posterunki, to mamy szczęście. Jeden kłopot z głowy. Przygotuj taśmę klejącą – powiedział Santana.

Poleciał Harry'emu, żeby podszedł z drugiej strony budki, po czym zapukał i wcisnął się w ścianę za drzwiami. Drzwi otworzyły się powoli. Strażnik wyrżał ostrożnie z wyciągniętą bronią. Było po wszystkim, zanim Harry mógł w pełni docenić sprawność Santany, który błyskawicznie załatwił wartownika. Uderzył go w nadgarstek wytrącając mu broń, a potem obalił na ziemię, ręką zatykając mu usta. Za chwilę siedział na nim okrakiem i wbijał mu lufę pistoletu w zęby.

- Ani piśnij – warknął. – Zrozumiano?

Wartownik kiwnął głową. Nie wyciągając tłumika pistoletu z jego ust, Ray przeturlał go na bok i kiwnął na Harry'ego, żeby mu skrepował ręce na plecach. Potem przeturlał go z powrotem na wznak, wyjął mu lufę pistoletu z ust i przyłożył pod brodą.

- Gdzie jest dziewczyna? – zapytał.

Wartownik gapił się przez dłuższą chwilę na uczernioną twarz Santany. Harry widział, że zastanawia się, co mu się bardziej opłaci: kłamstwo czy prawda.

– W domku gościnnym... tą ścieżką na lewo... – wystękał wreszcie.

– Czy jest z nią Perchek?

W oczach strażnika mignął cień strachu, ale po chwili kiwnął głową.

– Ilu jest tu ludzi? – Ray przystawił lufę prosto do lewego oka mężczyzny. – Ilu? – powtórzył.

– Jeden z Perchekiem w domku. I dwóch w domu.

– Garvey też jest z nimi?

– Kto?

– Atwater.

– Tak. Dwóch i on.

– Włóż mu chustkę w usta i oklej taśmą – polecił Santana Harry'emu. – Owiń taśmę co najmniej dwukrotnie dookoła głowy. A potem skrepuj mu nogi.

Harry wykonał to polecenie, po czym obaj przeciągnęli strażnika pod drzewo i przywiązali do pnia. Santana sprawdził wnętrze budki wartowniczej.

– Włącznik otwierania bramy jest tuż przy drzwiach – powiedział. – Ale furtka przy bramie nie jest zamknięta. – Spojrzał na zegarek. – Mamy jakieś dwadzieścia minut. Chodźmy po dziewczynę.

Trzymając się blisko muru pobiegli do miejsca, gdzie łączył się z ogrodzeniem z siatki. Rosły tam niskie krzaki.

Po ich prawej na wzgórzu widać było willę. Światła paliły się we wszystkich oknach, rzucając blask na podejście od frontu. Jakieś pięćdziesiąt metrów od budynku w lewą stronę przeświecały przez gałęzie okna drugiego domu.

– Tam – szepnął Harry.

Ray skinął głową i ruszył w kierunku świateł. Doszli do kępy drzew i posuwali się dalej, kryjąc się w krzakach i nierównościach terenu. Domek gościnnie, miniaturowa wersja willi, prawie cały ze szkła, stał na samej krawędzi urwiska. Taras wsparty na stalowych belkach wisiał w powietrzu jakieś trzydzieści metrów nad wodami Hudsonu. Harry rzucił okiem w dół. Brzeg usłany był wielkimi głazami. Po drugiej stronie czarnej, na pozór nieruchomej rzeki jarzył się jak Mleczna Droga Manhattan.

W tylnej części domku było zakratowane okno. Zobaczyli przez nie Maure, która to siedziała na łóżku, to wstawała i przechadzała się po pokoju. Wyglądała na zmęczoną, ale była spokojna. Santana położył palec na ustach. Podeszli bliżej i zajrzeli przez wielkie, panoramiczne okno. Salon, jadalnię i kuchnię łączył namiotowy strop wsparty na stojącej pośrodku kolumnie. Wszędzie połyskiwało lakierowane drewno i szkło, Sufit pokrywała cedrowa boazeria. Szklane drzwi wychodziły na taras, a ogromne okna oferowały przepiękne widoki na miasto. Strażnik, z bronią w kaburze pod pachą, popijał kawę. Za nim siedział Doktor i czytał coś przy stoliku.

Na ten widok Santana wydobyl z siebie jakiś nienaturalny, gardłowy dźwięk, wziął do ręki spory kamień i machnął na Harry'ego pistoletem, żeby szedł za nim. Zatrzymali się tuż przy oszklonych drzwiach.

– Ja pierwszy – wychrypiał Santana.

Podniósł kamień i rzucił nim w szybę. Rozprysnęła się z hukiem. Ray był w środku, zanim kamień upadł na ziemię.

– Nie! – krzyknął na wartownika, który sięgał po broń. Harry wszedł do domku i odebrał strażnikowi pistolet. Anton Perchek nawet nie odłożył książki. Spojrzał najpierw na Harry'ego, potem na Santanę z lekko zdezorientowanym uśmiechem. Tęczówki miał tak jasne, że wydawały się białe. Źrenice rozszerzone, jak czarne dziury w śniegu.

– Połóż się twarzą do ziemi – rozkazał Ray strażnikowi. Gdy mężczyzna zawahał się, Santana uderzył go kolbą pistoletu za uchem, a Harry skrepował go techniką, którą wyćwiczył na strażniku przy bramie. Santana odsunął krzesło od stołu. Cały czas mierząc z pistoletu w Percheka, pomógł Harry'emu umieścić półprzytomnego mężczyznę na krześle. Harry przywiązał go starannie.

Doktor przyglądał się im dwóm z ciekawością. Był to bez wątpienia ten sam człowiek, którego Harry widział na korytarzu przed pokojem Evie, ten sam, którego sportretowała Maura. Ten sam i jednocześnie inny. Przypominał wszystkie podobizny komputerowe i jednocześnie różnił się od każdej. Wyglądałby równie dobrze za ladą sklepową, przy stole operacyjnym, jako zamiatacz ulic czy pilot odrzutowca. Był każdym i nikim. Kiedy się odezwał, jego głos był łagodny i całkowicie pozbawiony emocji.

– No cóż, Ray. Dawnośmy się nie widzieli, prawda?

Santana odsunął nogą stolik, który stał przed Perchekiem. Mimo warstwy maskującej czarnej farby Harry widział napięcie w jego twarzy. Perchek z pewnością też je wyczuwał.

– Nie wyglądasz najlepiej, Ray – powiedział, gdy Santana przytwierdzał taśmą klejącą jego nadgarstki do metalowych poręczy fotela. – Te osłabione mięśnie, ten nerwowy tik... O co chodzi? Narkotyki? Jakaś choroba?

Harry zwrócił uwagę, że ręce Doktora, zwłaszcza przedramiona, są mocno umięśnione. Bicepsy napinały rękawy niebieskiej koszulki polo. Santana zrewidował go, ale nic nie znalazł.

– Klucz od pokoju Maury – zażądał.

Perchek wzruszył ramionami.

– Nie ma klucza. Tylko zasuwka od tej strony.

Harry poszedł na dół i za chwilę wrócił z Maurą. Miała podkrążone oczy i zaschniętą krew na opuchniętej wardze, ale poza tym wyglądała nieźle.

– Ten wielki uderzył ją, jak ją prowadzali – wyjaśnił Harry.

– Coś ci zrobili? – spytał Santana.

– Wmuszali we mnie whisky, jednak udało mi się wypluć większość, a kiedy mnie zostawili w spokoju, zmusiłam się do wymiotów. Myśleli, że zaczną ich błagać o więcej, ale brało mnie

obrzydzenie na samą myśl o alkoholu.

Santana wbił wzrok w Percheka.

– Kto w Agencji pomógł Garveyowi zniknąć bez śladu? Perchek nie przestawał uśmiechać się dobrodusznie.

– Ray, okropnie wyglądasz. Naprawdę okropnie. – Głos miał równie sterylny jak oczy. – Coś mi się zdaje, że wtedy w Nogales nie miałem okazji dać ci antidotum na ten hykonidol. To dlatego tak z tobą niedobrze, prawda? Mój Boże, Ray, co za przeoczenie. Tak mi przykro. Naprawdę.

– Zamknij się i powiedz, kto załatwił Garveyowi nową tożsamość.

– Wiesz, mam tutaj to antidotum. Cholernie skuteczne. To właściwie bardzo prosty proces biochemiczny. Nazywa się hamowaniem kompetytywnym. Antidotum krąży sobie po organizmie i po prostu wypiera te paskudne małe cząsteczki, które tkwiły w zakończeniach nerwowych przez te wszystkie lata. I cud! Jesteś uleczony. Żadnego więcej bólu, Ray. Pomyśl o tym. Tak, tak.

A na dodatek jesteś uzależniony, prawda? Och, wyobrażam sobie, ile wycierpiełeś przez te lata. Właściwie dziwię się, że nie skończyłeś ze sobą...

Santana słuchał jak urzeczony. Głos Percheka brzmiał uwodzicielsko, hipnotycznie i bezwarunkowo wiarygodnie. Harry chciał coś powiedzieć, zrzucić zakłęcie słów Doktora, stał jednak bez ruchu. To była sprawa Santany.

– ... nie musisz już dłużej się męczyć, Ray. Te potworne paroksyzmy bólu... pomogę ci pozbyć się ich na dobre. Za parę minut poczujesz się jak nowo narodzony. Już nie trzeba będzie narkotyków. Żadnego więcej bólu. Gwarantuję. Nie musisz mnie rozwiązywać, kiedy będziesz tego próbował. Potem możesz odejść. Obiecuję, że żaden z moich ludzi nawet cię nie tknie. Chcę mieć tylko jego. – Skinął głową w stronę Harry'ego. – W zamian za antidotum chcę pół godziny z Corbettem. Sam na sam.

Perchek popatrzył na Harry'ego i Harry po raz pierwszy zobaczył w jego oczach emocję: pogardliwą nienawiść skierowaną wprost przeciwko niemu. Obejrzał się na Santanę i ujrzał w jego oczach wahanie. Perchek widział to samo i znów uśmiechnął się ze współczuciem.

Santana odłożył pistolet na stolik, a potem zakleił szerokim plastrem usta Doktora. Z kieszeni wyciągnął dziwaczne urządzenie: metalową ramkę z pięcioma otworami na palce i zaostrzoną śrubą nad każdym z nich. Perchek zeszywniał, nie opierał się jednak, gdy Santana umieszczał wszystkie palce jego prawej ręki w otworach ramki.

– Nie mam „torturom”, ale mam to. Przywiózł mi to kiedyś z Chin znajomy. Założę się, że zdarzało ci się używać czegoś takiego. Najpierw paznokcie, potem ciało, potem kość... na wylot. Dziesięć palców, milimetr po milimetrze. Nie wiedziałem, dlaczego to przy sobie noszę... Teraz wiem.

Dokręcił lekko śruby. Paznokcie Percheka zbieleły, ale on sam nie zareagował.

– Ray, nie zamieniaj się w niego – poprosił Harry. – Nie istnieje antidotum na tę truciznę w twoim organizmie. A nawet jeśli jest i on je ma, to wiesz, że ci nigdy go nie da. Potrzebuję tego

faceta, Ray. Jestem ścigany za morderstwa, które popełnił ten psychopata. Zamknijmy go tylko. Nie niżaj się do jego poziomu.

– Nie rozumiesz – głos Santany był lodowaty. – Ja zawsze byłem na jego poziomie – dodał. – A teraz się wynoś!

Harry chciał protestować, ale uznał, że na nic się to nie zda. Wziął Maurę za rękę i wyszli.

– Masz tylko dziesięć minut, zanim Garvey zacznie się dziwić, dlaczego nie dzwonię – rzucił na odchodnym.

Santana dokręcał pierwszą śrubę.

– Kogo w Agencji Garvey ma w kieszeni? – zapytał. – Kto go teraz ochrania?

Doktor uśmiechnął się pod kneblem z plastra. Śruba przebiła paznokiec. Trysnęła krew. Perchek patrzył przed siebie.

– Albo odpowiedź, albo ból. Wybór należy do ciebie.

– Nie, Ray. To do ciebie należy wybór... – powiedział Sean Garvey. Stał w drzwiach frontowych i przykładał do skroni Harry'ego lufę pistoletu. Weszli do pokoju. Za nimi wszedł potężny zbir z Maura pod pachą. Rzucił ją na podłogę i wycelował z pistoletu prosto w Raya.

– ... a czasu masz niewiele – dokończył Garvey.

Rozdział 41

– Raymondzie, już siedem lat temu wykazałeś się lekkomyślnością – powiedział Garvey. – Dziś także. – Nie odrywając lufy od skroni Harry’ego przesunął się boki od drzwi frontowych i ustawił plecami do rzeki za oknem. – Mój człowiek, Duży Jerry, ten tutaj, zadzwonił do stróżówki przy bramie i zgadnij, co się stało? Nikt się nie odezwał. No a teraz zdejmij to coś z palców doktora Percheka.

Santana nawet nie drgnął.

– Ty sukinsynu – wycedził. – Ilu z naszych chłopaków wysłałeś na śmierć? Płacono ci od sztuki?

Nieznacznie rzucił okiem ku drzwiom. Zauważył to jednak Harry. Garvey również.

– Nie próbuj tu swoich sztuczek – oświadczył. – Tam nie ma nikogo, dobrze o tym wiesz. Nie udało ci się. Pogódź się z tym, Raymondzie, i zdejmij z palców Antona to paskudztwo.

Santana znów rzucił okiem ku drzwiom, a potem zaczął luzować śruby. Perchek rozprostował palce, metalowa ramka upadła na dębową podłogę.

– Wielu z tych facetów, których sprzedałeś, miało rodziny – powiedział Ray. – Dzieciaki, które teraz dorastają bez ojców. Pracowaliśmy za nędzne pieniądze i podejmowaliśmy ryzyko, bo wierzyliśmy w to, co robimy. Wszyscy ci ufaliśmy. A ty wydawałeś nas jednego po drugim. Jego potrafię zrozumieć – pokazał na Doktora – pracuje dla każdego, kto mu zapłaci. To maszyna. Ale ty... ty jesteś znacznie gorszy. Jesteś bezdusznym, pozbawionym charakteru zdrajcą...

– Plaster – warknął Garvey. – Zdejmij mu plaster. – Santana posłuchał, ale nie zrobił tego delikatnie. – Trzeba było zostać w Kentucky. Dla wszystkich byłoby tak lepiej. Teraz musimy jakoś naprawić wszystko, co zepsułeś, żeby mój drobny biznes nadal mógł się kręcić.

– To dlatego wyciągnąłeś Percheka z więzienia? Żeby pracował dla Okrągłego Stołu?

– Powiedzmy, że gdy tylko wszedłem w branżę ubezpieczeń zdrowotnych, dostrzegłem wiele możliwości. Teraz jednak chciałbym się dowiedzieć, który z moich rycerzy musi dostać szkołę lojalności. Na szczęście jest tu doktor Corbett, który może nam to zdradzić. I tak się składa, że mamy tu kogoś, kto mu w tym pomoże. Pomożesz mu, Anton, prawda?

– Z przyjemnością. – Perchek uśmiechnął się.

– Odsuń się, Raymondzie. Duży Jerry rozwiąże Doktora. Harry, podczołgaj się i usiądź na jego miejscu.

Pchnął Harry’ego lufą w tył głowy i zmusił go do opadnięcia na ręce i kolana. Harry powoli ruszył w stronę krzesła Percheka, ze wzrokiem utkwionym w Santanę.

Ray po raz trzeci rzucił okiem w kierunku drzwi. Harry zaczynał już niemal wierzyć, że tam rzeczywiście ktoś jest. Seanowi Garveyowi najwyraźniej również tak się wydawało.

– Jerry, zdaje się, że nasz przyjaciel Raymond coś tu kombinuje. Na wszelki wypadek

rozejrzyj się na zewnątrz.

Harry usłyszał, jak Jerry podchodzi do drzwi.

Nagle Santana z rykiem wściekłości i nienawiści rzucił się na swojego byłego szefa. Garvey strzelił raz, potem drugi. Jerry odwrócił się również i wypalił dwa razy. Ale niehumaniczny ryk Santany tylko się wzmógł. Zderzył się z Garveyem i z hukiem wypchnął go przez szybę na taras. Jerry zrobił krok w ich kierunku, było już jednak za późno. Santana zamilkł w uścisku śmierci, ale impet skoku popychał dalej jego i Garveya w kierunku niskiej barierki otaczającej taras i jeszcze dalej. Wrzask Garveya wypełnił noc, a potem uciekł jak ucięty gilotyną.

Jerry w oszołomieniu patrzył na barierkę, za którą znikli obaj mężczyźni. Gdy Perchek zawołał go, odwrócił się na pięcie. Harry podniósł się z kolan i skoczył do stolika, na którym Santana położył swoją broń. Kiedy ją złapał, goryl strzelił. Prysnęły drzazgi z blatu stolika. Harry skoczył w bok i przeturlał się dwa razy. Kolejny pocisk uderzył w podłogę koło niego. Bolało go w piersiach, ale nie zwracał na to uwagi. Leżał na brzuchu, patrząc przez muszkę i szczerbinę na człowieka, który zamierzał go zabić. Nawracający sen z Nha-trang. Tym razem jednak nie widział twarzy młodego Azjaty ani nie usłyszał głośniego huku wystrzału – usłyszał tylko ciche stuknięcie i zobaczył błysk. Szyja zbira rozbryznięła się na kawałki tuż nad golfem swetra. Duży Jerry upadł na plecy, rozbijając po drodze tafelę szkła.

Harry zerwał się na nogi, gotów do następnego strzału. Ale nie było potrzeby. Osilek leżał bez ruchu, z rozerwanej tętnicy szyjnej tryskała krew. Po paru sekundach strumień ustał. Harry ściągnął plecak i wyjął z niego silną latarkę. Wyjrzeli oboje z Maura przez barierkę tarasu. Santana i Garvey leżeli roztrzaskani na głazach trzydzieści metrów poniżej.

– O Boże – wymamrotał Harry.

Maura odwróciła się do niego.

– Przynajmniej już go nic nie boli – powiedziała, odsuwając się od zwłok Jerry'ego, leżących na katafalku z tłuczonego szkła. – Mówił mi w szpitalu, że nie może już dłużej tego znieść. Coraz częściej myślał o samobójstwie, ale potem otrzymał tę wiadomość o znalezieniu odcisku palca Percheka...

Harry oparł się o barierkę, czekając, aż kłujący ból pod mostkiem zacznie słabnąć.

Cholera. Nie teraz, pomyślał.

– Perchek wstrzyknął mu ten hykonidol i Ray go nienawidził. Ale tak naprawdę chciał dopaść Garveya – powiedział wreszcie. – Garvey wydał nie tylko jego, ale i wielu innych tajnych agentów. Musimy stąd wiać, zanim przyjdą tu ludzie z willi. Policję wezwiemy z samochodu.

Wszedł za Maura do środka.

– Perchek, idziemy – powiedział. – Spróbuj coś kombinować, a przysięgam, że cię zabiję.

– Widzę, że przychodzi ci to z łatwością.

Harry zakneblował go z powrotem, przeciął sznur, którym Doktor był przywiązany do krzesła, i kazał mu się położyć twarzą do podłogi. Jeszcze raz zwrócił uwagę na potężne umięśnienie barków i ramion Percheka. Nawet trzymając rewolwer w ręku nie czuł się przy nim

pewnie.

– Mocno – powiedział do Maury, która krepowała Perchekowi ręce za plecami. – Sprawdź, czy nie napina rąk. Żadnego luzu. Weź tamten pistolet z podłogi i sprawdź bezpiecznik.

– Wiem, wiem.

Potem kazał Perchekowi wstać i wypchnął go przez drzwi.

Spod ściany przyglądał im się związany i zakneblowany strażnik.

– Tędy, wzdłuż parkanu – rozkazał szeptem Harry. – Mauro, rozglądaj się, czy nie ma tu gdzieś pozostałych dwóch strażników.

Przedzierali się ostrożnie przez ociekające wodą krzaki. Dziesięć metrów. Dwadzieścia. Kamienny mur był już blisko.

– Tam – szepnęła Maura nerwowo i wskazała palcem na skradającą się przez trawnik postać z wyciągniętym pistoletem.

Harry zerwał plaster z ust Percheka.

– Każ mu się zatrzymać – polecił.

Doktor nie odezwał się. Harry wbił mu lufę w kark.

– Rób, co każę, do jasnej cholery, albo rozwalę ci łeb!

– To ja, Perchek! – zawołał Doktor. – Nie podchodź bliżej. Corbett celuje mi w grzbiet.

– Gdzie jest Doug? – zapytał wartownik.

– Nie żyje. Zostań na miejscu.

– Nie, cofnij się! – krzyknął Harry. – Cofnij się natychmiast! Ale zostań na trawniku, żebym cię widział. – I dodał szeptem: – Mauro, idziemy do bramy. Jest gdzieś jeszcze jeden, więc rozglądaj się.

Przeszli przez trawnik. Harry w jednym ręku miał koniec liny, którą związany był Perchek, a w drugiej pistolet Santany. Maura trzymała odbezpieczony rewolwer.

– Lepiej mnie zabij – powiedział Doktor.

– Zamknij się.

– Santana zmarnował tę szansę i widziałeś, jak skończył. Dotarli do bramy. Harry sprawdził budkę wartowniczą. Nikogo.

– Nie oddalaj się – szepnął do Maury. – Czy ten facet ciągle stoi na trawniku?

– Stoi.

Harry przyciągnął Percheka bliżej i wyprowadził go przez ozdobnie kutą furtkę obok bramy głównej. Winnebago stał tam, gdzie go zostawili, pięćdziesiąt metrów dalej.

– Maura, to nasz pojazd. Kluczyki są pod prawym tylnym kołem. Ty poprowadzisz, a ja będę pilnować Percheka. Ten wóz wydaje się wielki, ale prowadzi się bardzo łatwo. Zapal i czekaj. Póki nie ruszymy, obserwuj teren za nami. Strzelaj do wszystkiego, co się rusza.

– Ostatnia szansa – oznajmił Perchek.

Harry nie zadał sobie trudu, by mu odpowiedzieć. Całą uwagę miał skupioną na samochodzie kempingowym, do którego brakowało im jeszcze dziesięć metrów.

– Za nami nikogo nie ma? – zapytał.

– Nikogo – odparła Maura.

Zbliżali się do krańca muru, do wozu brakowało zaledwie trzy metry.

– W porządku, idź po kluczyki. Będę cię osłaniać.

Oparł się plecami o bok winnebag. Maura minęła go i podbiegła do tylnego koła, zaczęła macać ręką. Harry wstrzymał oddech. Żeby tylko były, pomyślał z niepokojem.

– Mam – powiedziała.

Otworzyła drzwi z prawej strony, wspięła się do środka i przeszła przez siedzenie pasażera na fotel kierowcy. Harry podprowadził Doktora do schodków.

– Włóż do środka i kładź się na tej kanapie – polecił.

W tej samej chwili gdzieś sponad muru, obok bramy, trzasnął strzał. Pocisk klasnął o metal tuż obok twarzy Harry'ego. Po sekundzie drugi pocisk rozorał mu ramię. Krzyknął i odskoczył za samochód, pistolet wypadł mu z ręki. Perchek, ze związanymi rękami, rzucił się pędem ku bramie. Jeszcze jeden pocisk uderzył w karoserię winnebag. Maura wyskoczyła natychmiast, jednak Perchek już dosięgał furtki. Strzeliła trzykrotnie w stronę muru, ale cień na jego szczycie już zniknął.

– Wsiadaj i ruszaj – powiedział Harry. – Dam sobie radę. Wskoczył za nią do wozu i zatrzasnął drzwi. W sekundę później Maura ruszyła. Harry oderwał rękaw golfa. Pocisk trafił w mięsień naramienny i wyszedł bokiem. Krew płynęła równo, ale był to krwotok żylny, nie tętniczy. Mógł ruszać palcami i zginać rękę w łokciu. Bolało mocno, niewykluczone, że naruszona jest kość. Owinął ranę rękawem, po czym drugą ręką i zębami zawiązał mocno. Gdy przejeżdżali koło bramy, zauważyli, że zapaliły się reflektory czarnego auta osobowego, które stało przy domku wartownika. Harry przeklinał siebie, że nie pomyślał o przestrzeleniu opon.

– Zamierzają nas gonić – powiedział.

– Jak mam jechać?

– Rzeka jest z prawej. Trzymaj się szosy i szukaj zjazdu w lewo. – Złapał za telefon i wykręcił 911. – Tu mówi Harry Corbett. Jestem poszukiwany przez policję. Jadę wzdłuż skarpy Hudsonu samochodem kempingowym Winnebag. Ścigają mnie. Jesteśmy...

Okno obok Maury rozpadło się w drobny mak, obsypując ją okruchami szkła. Odruchowo uchyliła się, a potem podniosła głowę i przyspieszyła do sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.

– Stało ci się coś? – zapytał Harry.

– Mam pokaleczoną rękę i twarz, ale to nic groźnego. Zapiszczały opony i hamulce, bo Maura gwałtownie szarpnęła kierownicę w lewo. Samochodem zarzuciło, poczuli uderzenie i usłyszeli zgrzyt metalu o metal. We wnętrzu wozu pootwierały się szuflady, faks rozbił się o ścianę, a garnki, patelnie i puszki konserw wysypały się na podłogę i poobijały stół.

Harry rzucił telefon, złapał rewolwer Maury i podbiegł do okna z prawej strony.

– Nie widzę ich! Może zepchnęłaś ich z drogi?

Okno z tyłu rozprysnęło się na kawałki. Harry odwrócił się błyskawicznie i oddał trzy strzały, a Maura szarpnęła kierownicą w prawo. Stracił równowagę i krzyknął, uderzywszy się zranionym ramieniem o szafkę. Tym razem zderzenie z czarnym samochodem było silniejsze. Osobowe auto nie miało szans z winnebago w takiej przepychance.

– Harry...?

– Nic mi nie będzie. Jest ich trzech. Perchek zdaje się siedzi z tyłu. Tak, jestem pewien!

Musiał wrzeszczeć, żeby przekrzyczeć szum wiatru w wybitych oknach i ryk dwóch silników. Pędzili teraz dość stromo w dół.

– Z trudem utrzymuję się na jezdni! – zawołała Maura.

– Uda ci się skrócić w przecznice?

– Mowy nie ma, jadę dziewięćdziesiątką! Mam nadzieję, że tu nie będzie zbyt ostrych zakrętów, bo wylecimy z drogi.

– Tak trzymaj. Świetnie ci idzie.

Czarny samochód osobowy znowu się z nimi zrównał. Miał rozbitą szybę z prawej strony. Harry wsparł się o stolik i pociągnął za spust, ale rozległ się tylko stuk iglicy. Wóz prześladowców przesunął się do przodu.

– Uważaj, Maura! – zawołał Harry.

Padł strzał, przednia szyba zarysowała się pajęczyną pęknięć. Maura z rozmachem obróciła kierownicę w lewo. Tylko opór czarnego samochodu uchronił ich przed wypadnięciem z drogi. Harry wgramolił się na siedzenie obok kierowcy i usiłował zapiąć pas zranioną ręką, ale w końcu zrezygnował.

– Są przed nami i chcą nas zatrzymać! – krzyknęła Maura. – Nic nie widzę przez tę szybę! Uważaj, zjechaliśmy z drogi!

Czarny samochód sunął bokiem pchany maską winnebago. Przeorywał zarośla i młodnik z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Drzewa pękały jak zapałki pod ciężarem obu aut, hamulce skrzeczały. Kilka grubszych drzew udało się im wyminąć, ale ich gałęzie wdarły się do środka przez wybite okna. Kierownica parę razy wyrwała się Maurze z rąk, jednak za każdym razem udało jej się ją opanować. Nagle młodnik się skończył. Dziesięciometrowy pas trawy urywał się czernią. W dali jarzyły się światła Manhattanu. Głęboko pod nimi płynął Hudson.

– Harry! Harry! Spadamy!

Samochód osobowy i dom na kołach równocześnie przeleciały przez krawędź. Harry złapał się oparcia fotela, wyprostował nogi i w niemym przerażeniu wlepił wzrok w popękana przednią szybę. Czarne auto oderwało się od nich i uderzyło w wodę, wzbijając fontanny rozbryzgow. Winnebago poleciało kawałek dalej. Po chwili rąbnęło w hebanową powierzchnię ze straszliwą siłą. Przednia szyba wgniotła się natychmiast, do kabiny wdarła się zimna woda.

Harry rzucił się do przodu, ale ochronna poduszka powietrzna wepchnęła go z powrotem w siedzenie. Ból w klatce piersiowej, który przez cały czas nie ustał do końca, wybuchł z nową siłą.

– Maura! – krzyknął.

Rzeka wlewała się do wnętrza, wypełniając je błyskawicznie. Ogromny wóz kempingowy szybował przez wodę nosem w dół. Harry, walcząc ze strumieniami wody, bólem w piersi i w przestrzelonym ramieniu, nabrał pełne płuca powietrza i rzucił się w stronę siedzenia kierowcy, szukając Maury. Klębiąca się woda pchnęła go z powrotem w głąb auta. Zrzucił adidas i próbował zorientować się w sytuacji. Wokół panowały nieprzeniknione ciemności. Gdzie są okna? Na górze? Na dole? Brakowało mu tchu, woda zaczęła wnikać w nozdrza i do ust. Wkrótce będzie musiał zaczerpnąć powietrza. Ogarnął go paniczny lęk – lęk, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył.

Ból w klatce piersiowej wzmógł się jeszcze. Woda zaczęła wdzierać się mu do tchawicy.

Powietrza! – krzyczał jego mózg.

Zaczęła go ogarniać ciemność.

Poddał się, choć niechętnie. Przeróżliwy ból za mostkiem minął. Gdy jego świadomość już zanikała, poczuł, że ktoś łapie go za koszulę na plecach.

Rozdział 42

Najpierw poczuł zapach, niepowtarzalny bukiet woni: środki czyszczące i odkażające, krochmal i ludzkie cierpienie. Było to znajome jak zapach własnego domu. Znajdował się w szpitalu.

Z pewnością umarł. Musiał umrzeć. Przypomniał sobie potworne uczucie wdzierania się mulistej wody do ust i płuc. To musiało skończyć się śmiercią. Już nie żyje i jest to całkiem przyjemne. Jeśli otworzy oczy, zobaczy obłoczki u swoich stóp i anioły grające na harfach.

– Doktorze Corbett! Doktorze Corbett, niech pan otworzy oczy! – usłyszał kobiecy głos.

Nie zareagował od razu. Najpierw sprawdził nogi, potem lewą rękę, wreszcie prawą. Nie miał w niej czucia. Odjęli mu rękę! Pocisk przeciął tętnicę i nie ma już ręki. Rozchylił odrobinę powieki i zerknął ukradkiem. Ręka była na miejscu, spoczywała na płóciennym temblaku.

– Mauro... – wymamrotał, po czym powtórzył głośniejszym głosem: – Mauro!

– Kto to jest? – zapytał kobiecy głos.

Harry otworzył całkowicie oczy i spojrzał w kierunku głosu. Zobaczył młodą kobietę o jasnych, płowych włosach i inteligentnej twarzy. Miała na sobie biały fartuch, do którego była przyczepiona niebieska plakietka z nazwiskiem. „Carole Zane, dr med. kardiolog”.

– Maura Hughes to kobieta, która była ze mną – powiedział Harry, któremu już całkowicie rozjaśniło się w głowie.

– Przeżyła ten wypadek, ale pan był w gorszym stanie niż ona. Zabrali ją do szpitala w Newark.

Dzięki Bogu, żyje! – pomyślał z ogromną ulgą.

– Czy wie pani coś więcej o tym wypadku?

– Tylko tyle, że jechał pan wozem kempingowym, który spadł z dziesięciometrowego urwiska do Hudsonu.

– A gdzie się teraz znajduję?

– Na oddziale kardiologicznym kliniki uniwersyteckiej na Manhattanie. Przywieziono pana wczoraj w nocy helikopterem. Byliśmy najbliższą miejscem wypadku jednostką kardiologiczną.

– Jaki dzisiaj dzień?

– Niedziela.

– Pierwszy września?

– Tak.

Pierwszy września. Dzień śmierci dziadka i zawału ojca. Teraz kolej na mnie, pomyślał.

– Miałem zawał?

– Jeszcze nie wiemy na pewno. Słyszałam, że jest pan lekarzem.

– Tak, lekarzem ogólnym.

– Aha. Został pan postrzelony w bark. Kość ramienia została draśnięta, ale minimalnie. Wczoraj chcieli panu zoperować bark, nie mogli jednak, bo miał pan nieprawidłowe EKG. Odcinek ST wykazuje zmiany świadczące o uszkodzeniu tylnej ściany serca. Ma pan trochę podwyższony poziom enzymów sercowych, więc na pewno mamy do czynienia z niewielką martwicą mięśnia sercowego.

– Miałem zawał?

– Trudno tu użyć czasu przeszłego. Pana EKG wciąż się zmienia. Cokolwiek się dzieje z pana sercem, dzieje się nadal. A to oznacza, że mamy szansę temu zaradzić.

– Balonikowanie?

– Albo bypass.

– Niech to szlag.

Harry zreferował doktor Zane skłonności rodzinne i swoje kłopoty z ostatnich miesięcy. Lekarka notowała, przerywając mu od czasu do czasu. Była inteligentna, miła, troskliwa i – co wydało się Harry’emu najważniejsze – nie popędzała go.

– Czy teraz coś pana boli?

– Nie. Nigdy nie odczuwałem bólu w spoczynku. Najczęściej podczas biegu albo skoków.

– Dobrze. Nie będziemy stosować środków przeciwwzkrzepowych ze względu na postrzał ramienia i ewentualne urazy wewnętrzne, których jeszcze nie rozpoznaliśmy. Na razie dostał pan kroplówkę z nitrogliceryny. – Wskazała plastikowe dreny prowadzące do lewej ręki. Nitrogliceryna skapywała przez długą igłę umocowaną w zaworze głównego przewodu, dostarczającego roztwór glukozy.

– W porządku – odparł Harry, cały czas zastanawiając się, jak dowiedzieć się czegoś więcej o Maurze.

– Chcielibyśmy jak najszybciej zrobić panu koronarografię – powiedziała lekarka.

– Zdaję się na was.

Wręczyła mu kartkę. Był to formularz zgody na zabieg.

– Koronarografia wiąże się z ryzykiem powikłań. Mam obowiązek zapoznać pana z nimi.

– Proszę się tym nie przejmować – oświadczył Harry i podpisał formularz. – Już raz przeżyłem swoją śmierć i było to całkiem przyjemne. Czy mogę skorzystać z telefonu?

– Chciałabym najpierw pana osłuchać. Poza tym ktoś chciałby z panem porozmawiać...

Harry poddał się badaniu i z zaciekawieniem oczekiwał gościa. Doktor Zane pożegnała się i otworzyła drzwi. Harry zauważył mundurowego policjanta na korytarzu.

– Pani doktor...?

– Tak? – lekarka odwróciła się. – Co tu robi ten policjant?

Uśmiechnęła się łagodnie.

– Powiedziano mi, że jest pan aresztowany. Zobaczmy się na dole.

Harry podniósł sterowane elektrycznie oparcie łóżka i sięgnął do telefonu. Jest aresztowany, a to znaczy, że Phil też będzie miał kłopoty. Bez wątplenia policja już do niego trafiła po

numerach rejestracyjnych winnebago.

– Tylko jedna rozmowa, Corbett – warknął Dickinson, wmaszerowując do pokoju. – Tak jak w więzieniu.

Wmaszerował do pokoju i stanął tuż obok łóżka. Miał na sobie ten sam garnitur co zawsze i jak zawsze śmierział, jakby wypalił przed chwilą całą paczkę papierosów. Harrym wstrząsnął gniew i obrzydzenie.

– Złapaliście ludzi z domu Douga Atwatera? – Zajmuje się tym policja stanu New Jersey.

– Wspaniale. A co z Maurą?

– Nie ma delirki, jeśli to cię interesuje.

– Ty paskudny draniu! Nie ma w tobie za grosz współczucia?

– Nie dla morderców i pijaków. Ani trochę.

– Będzie ci łyso, gdy wszystko wyjdzie na jaw. Ale teraz powiedz co z Maurą.

– Jest w Szpitalu Miejskim w Newark. Podobno cię uratowała. Wypłynęła, zobaczyła, że ciebie nie ma, i zanurkowała z powrotem. Lekarze mówili, że uciekłeś grabarzowi spod łopaty. Miałaś zawał.

– Podobno. A co z tym samochodem osobowym, który wpadł do rzeki razem z nami?

– Właśnie go wyciągają.

– Ktoś przeżył?

– Nikt – Dickinson pokręcił głową.

– Ilu ich tam było?

– Nie wiem. Później się tym zajmę. Poczekam, aż będę mógł cię przesłuchać. Twoje akta w komisariacie pękają w szwach od bajeczek. Wiemy, skąd miałaś ten dom na kołach. Policja New Jersey wybierze się do twojego braciszka, gdy tylko prześlemy prokuraturze dane obciążające go za pomoc i ukrywanie przestępcy.

Harry poprawił sobie w nosie rurki dostarczające tlen. Może Dickinson prowokuje go, żeby zobaczyć, jak wygląda zawał serca, pomyślał.

Weszła pielęgniarka ze strzykawką.

– A to co? – zapytał.

– Demerol dla uspokojenia do koronarografii. Zaraz przyjdą z zabiegowego.

– Żadnych leków. Będę spokojny, obiecuję.

– W porządku – odparła pielęgniarka – ale muszę zawiadomić doktor Zane.

– Ten człowiek jest aresztowany, siostró – oświadczył Dickinson. – Jeśli będzie przewożony, funkcjonariusz musi iść razem z nim.

Mina pielęgniarki wyraźnie wskazywała, że arogancja Dickinsona bardzo jej się nie podoba. Harry poprosił o telefon.

– Tylko jedna rozmowa – przypomniał detektyw.

Harry ugryzł się w język i zadzwonił do brata na koszt rozmówcy. Phil właśnie dowiedział się o wypadku i miał już jechać do szpitala. Zgodnie z przewidywaniami Harry'ego zlekceważył

wiadomość o utracie luksusowego pojazdu.

– I tak miałem ci go dać w prezencie na twoje pięćdziesiąte urodziny – powiedział. – Chciałem go jeszcze tylko zapakować.

Przejął się jednak stanem zdrowia brata.

– Tak się bałeś tej rodzinnej klątwy, że w końcu się spełniła – stwierdził.

Obiecał dowiedzieć się wszystkiego o Maurze i odwiedzić Harry'ego za dwie godziny. W chwilę później podjechał wózek szpitalny, prowadzony przez przygarbionego sanitariusza z siwiejącymi wąsami, w okularach w rogowej oprawie. Sanitariusz przełożył pojemniki z płynami infuzyjnymi na stojak przy wózku i chwycił prześcieradło pod głowę Harry'ego, a dwie pielęgniarki ujęły je z obu stron na wysokości bioder.

– Niech pan tak nie stoi – powiedziała jedna z nich do Dickinsona. – Lepiej niech pan złapie z tej strony...

Dickinson zrobił to z ostentacyjnym niesmakiem.

We czwórkę przełożyli Harry'ego na wózek. Od wstrząsu zabolalo go w ramieniu i chyba, ale nie był pewien, w klatce piersiowej.

– Ile czasu to zajmie? – zapytał.

Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

– Godzinę, może dwie – odparła i ustawiła między stopami Harry'ego podręczny monitor z defibrylatorem. – Zależy, co znajdą i co będą robić. Może się skończyć bypasssem na sali operacyjnej.

Pielęgniarki umocowały do wózka małą butlę z tlenem, którym Harry oddychał, i przykryły go prześcieradłem. Dickinson ruszył za nimi.

– Zrób sobie przerwę, koleś – powiedział do mundurowego policjanta. – Ja z nim pójdę. Zawołam cię za pół godziny i powiem, co jest grane.

Harry'ego zawieziono do windy. Monitor u jego stóp bezgłośnie rejestrował każde uderzenie serca. Mając w perspektywie operację kardiologiczną, Harry czuł się nieobecny i po prostu śmiertelny. Właściwie czuł się tak samo przez cały ten czas. Wózek pchał sanitariusz. Dickinson i pielęgniarka wcisnęli się do windy po bokach. Harry słyszał, jak zasuwa się jedna i druga para drzwi. Potem usłyszał szcęk klucza w tablicy sterowniczej windy, uniemożliwiającego zatrzymywanie się kabiny na kolejnych piętrach.

– Co pan robi? – odezwała się nagle pielęgniarka. – Sala zabiegowa jest na ósmym piętrze, nie w podziemiach!

Dickinson, wytrzeszczając oczy na sanitariusza, zaczął się szamotać ze swoim płaszczem, chcąc wyciągnąć broń. Harry usłyszał miękkie kłaśnięcie rewolweru z tłumikiem tuż koło swego ucha.

Pielęgniarka obróciła się, padła na metalowe drzwi i osunęła się na podłogę. Dickinson wyciągnął rękę, jakby się poddawał. Rewolwer z tłumikiem klasnął znowu i na białej koszuli detektywa, tuż nad lewą pierśią, pojawiła się dziura, wokół której wykwitła szkarłatna aureola.

Dickinson patrzył na nią przez moment w przerażeniu, a potem podniósł wzrok na Harry'ego. W jego twarzy odbijało się zaskoczenie i najwyższy niesmak. Po chwili zwałił się na podłogę. Harry był wstrząśnięty i przerażony. Kardiomonitor pokazywał tętno sto siedemdziesiąt, ale Harry spodziewał się, że w każdej chwili może spaść do zera.

– Mówiłem ci, żebyś mnie zabił, kiedy miałeś szansę – oświadczył beznamiętnie Anton Perchek. – Teraz przygotuj się na wielką ucieczkę.

Winda zatrzymała się w podziemiach. Doktor przytrzymał drzwi, żeby się nie otworzyły.

– Nie uda ci się – powiedział Harry.

– Jak dotąd zawsze mi się udawało, prawda? – Chełpliwość w jego głosie aż się przelewała.

– Wziąłem parę najpotrzebniejszych rzeczy z mojego mieszkania na Manhattanie i zjawiłem się tu zaledwie dwie godziny po tobie. Nie mogli mi znaleźć lepszego szpitala. Mam stąd kilka doskonałych identyfikatorów. I załatwiałem tu niejedną sprawę dla Okrągłego Stołu, więc znam ten obiekt jak własną kieszeń.

– Jesteś szaleńcem.

– No i co z tego, doktorku? Do roboty. Za drzwiami jest pojemnik na brudną bieliznę. Dziś jest sobota, nikt nie interesuje się praniem. Mały zastrzyk dożylny z pentothalu i będziemy mogli się stąd wydostać.

– Dlaczego mnie po prostu nie zabijesz?

Perchek okrążył wózek. Harry widział kipiącą w jego oczach nienawiść.

– Przecież nie o to chodzi, żeby cię zabić, ale o to, żebyś ty sam mnie prosił, bym to zrobił.

Harry rozpaczliwie rozglądał się wokół siebie, szukając czegoś, co mogłoby mu posłużyć za broń. Nie będzie żadnego uprowadzenia ani tortur. To się musi skończyć tu i teraz. Jego wzrok zatrzymał się na przycisku „otwieranie drzwi”. Kabina windy miała dwa wyjścia, z obu stron. Pralnia była za drzwiami z tyłu, a przycisk otwierał drzwi z przeciwnej strony. Za nimi znajdowała się prawdopodobnie maszynownia szpitala, elektrownia czy coś w tym rodzaju. Jeśli uda mu się tam dostać, ma szansę.

Temblak miał na tyle luźny, że mógł poruszać ręką. Przesunął ostrożnie prawe ramię wzdłuż ciała pod prześcieradłem. Ból w barku wzrastał się z każdym milimetrem, ale ignorował go. Wreszcie zacisnął palce na jedynej broni, jaką miał do dyspozycji, czterocentymetrowej igle w drenie. Wyciągnął ją powoli i przełożył do lewej dłoni.

Perchek otworzył drzwi za jego głową.

– Oto i nasz pojemnik na brudy. Jest tu, gdzie go postawiłem – powiedział wysuwając wózek z kabiny. – Teraz tylko trochę pentothalu, i...

Leżąca na podłodze pielęgniarka jęknęła głośno. Perchek odwrócił się.

Teraz! – krzyknął bezgłośnie Harry.

Chwył mocno igłę i wbił ją aż po nasadę tuż za prawym uchem Doktora. Perchek stęknął z bólu, zachwiał się i złapał za ucho. Harry podniósł się z wózka i zamachnął z całej siły. Trafił Percheka w twarz, zwalając go z nóg na betonową podłogę obok pojemnika na bieliznę.

Odwrócił się i przycisnął guzik „otwieranie drzwi”. Zobaczył, że Perchek zbiera się z podłogi. Druga para drzwi rozsunęła się powoli. Harry puścił się biegiem przez mały korytarzyk przed windą, dopadł wyjścia na zewnątrz i rzucił się na ślepo naprzód.

Znalazł się na długiej betonowej platformie nad przepastnymi głębinami szpitalnej siłowni. Temperatura dochodziła tu do czterdziestu stopni, łoskot i huk maszynierii i nieustanny szum krążącej wody niemal ogłuszał. Harry zdjął temblak, rzucił go na ziemię i pobiegł przed siebie, byle dalej od windy. W każdej chwili spodziewał się strzału w plecy. Po prawej miał barierkę ochronną z poręczą, pięć metrów poniżej łomotała ogromna turbina stojąca na betonowym podeście. Tętniący hałas, jaki się z niej wydobywał, Harry odczuwał w piersi jak rytmiczne uderzenia pięści.

Po lewej wznosiły się na dwadzieścia metrów w górę, aż do zakurzonego oszklonego stropu, ogromne kotły, promieniujące gorącem nie do wytrzymania. Trzydzieści metrów z przodu, w oszklonej kabinie sterowniczej, siedział tyłem do Harry’ego mężczyzna w brązowym kombinezonie i żółtym kasku na głowie. Oglądał telewizję.

– Pomocy! – wrzasnął Harry. – Ratunku!

Jego krzyk zginął w panującym wokół huku. Potknął się, pot lał mu się po twarzy strumieniami i piekł w oczy. Nieprzerwany łomot turbiny przyprawiał go o mdłości. Nagle usłyszał strzał.

Pocisk odbił się rykoszetem od stalowej kolumny tuż obok jego ucha. U szczytu korytarza klęczał Perchek i celował w niego po raz drugi. Harry rzucił się na ziemię i aż zwinął się od bólu w barku i klatce piersiowej. Pocisk chybił o centymetry, policzek zapiekał Harry’ego od ukłuc odprysków betonu. Piętnaście metrów przed nim znajdowały się schodki do kabiny sterowniczej. Musiała być dźwiękoszczelna, bo siedzący w niej człowiek nie reagował. Piętnaście metrów. Harry widział wyraźnie papierową torebkę od McDonalda leżącą na stoliku przed telewizorem. Ale inżynier w żółtym kasku mógłby równie dobrze znajdować się na Księżycu. Zanim Harry się tam dostanie, Perchek go dosięgnie. Nagle po prawej stronie, nie dalej niż cztery metry, zobaczył schody wiodące w dół, do turbiny. Popęzł na lewej ręce i kolanach. Jego prawa ręka była całkowicie niesprawna. Upał panował nie do wytrzymania, powietrze było duszne i zastałe. Ból w klatce piersiowej nie ustępował ani na chwilę. Harry zsunął się ze schodów i ukrył za potężną turbiną. Jej wibracja szarpała nerwami całego ciała jak piła mechaniczna.

Pięć metrów powyżej wychylał się zza barierki Perchek, szukając go wzrokiem. Zwlekanie z ucieczką było z jego strony błędem, ale najwidoczniej ambicja i nienawiść odebrały mu zdolność logicznego myślenia.

Skulony za turbiną Harry przesuwiał się powoli. Pod nim znajdowała się jeszcze jedna barierka, a pod nią kolejny, jeszcze niższy poziom. Cała ta trzypiętrowa siłownia była wielka jak katedra. Harry słyszał płynącą pod spodem wodę, prawdopodobnie pompowaną tu z rzeki do chłodzenia pary z kotłów po przejściu przez turbinę. Zastanawiał się, czy kanał odprowadzający wodę do rzeki jest wystarczająco duży, by zmieścić się w nim człowiek.

Perchek był już przy schodach prowadzących do turbiny. Schody wiodące na najniższy poziom były przedłużeniem tamtych. Harry nie miał szans, żeby skorzystać z którychkolwiek z nich. Przesuwał się ostrożnie centymetr po centymetrze, jednak mimo to został zauważony. Rewolwer Doktora znowu plunął ogniem. Rura tuż nad głową Harry'ego rozleciała się na kawałki. Wytrysnęła z niej para pod ogromnym ciśnieniem, wypełniając całe pomieszczenie. Zrobiło się jeszcze goręcej. Powietrze parzyło płuca.

Harry wiedział, że jest odcięty od schodów. Jednak gęste kłęby pary osłaniały go teraz przed wzrokiem prześladowcy. Przeczłogał się na brzuchu pod barierką. Do najniższego poziomu miał trzy do trzech i pół metra. Równie dobrze mogło być trzydzieści, ale nie miał wyboru. Spuścił się na zdrową rękę jak najniżej, chwilę powisiał i upadł niezgrabnie na beton. Znajomy ból przeszył mu klatkę piersiową, zapierając dech. Chwilę trwało, zanim uświadomił sobie, że wciąż jest w stanie się poruszać.

Znajdował się na samym dnie maszynowni, tuż przy olbrzymim podeście, na którym posadowiona była turbina. Przed sobą zobaczył stalową kratę w podłodze. Podczołgał się i obejrzał ją dokładnie. Miała jakieś sześćdziesiąt centymetrów na metr i zasłaniała wejście do betonowego szybu głębokiego na ponad dwa metry. Poniżej płynął wartki strumień, zrzut ciepłej wody do rzeki. Obok stał niewielki pulpit sterowniczy z czterema przełącznikami. Dopływ zamknięty, dopływ otwarty, odpływ zamknięty, odpływ otwarty. Perspektywa ucieczki tunelem do rzeki nie przedstawiała się zbyt zachęcająco, ale nie miał innego wyjścia. Świdrujący ból w klatce piersiowej nie ustawał.

Na kondygnacji powyżej para nadal uciekała z sykiem z przestrzelonej rury. Perchek był gdzieś tam na górze, niewątpliwie pilnując schodów, jedynej drogi wyjścia dla Harry'ego. Ale za chwilę ciśnienie pary spadnie na tyle, że uruchomi jakiś alarm. Inżynier z kabiny sterowniczej będzie musiał wyjść i sprawdzić, co się dzieje. Gdyby Perchek był zdrow na umyśle, wzięłby nogi za pas.

Jednak Perchek nie był zdrow na umyśle.

Harry spróbował ruszyć kratę. Była ciężka, ale drgnęła. Gdyby miał obie ręce sprawne, zsunąłby ją bez trudności. Wciąż oglądał się na schody, w każdej chwili spodziewając się, że Perchek wyłoni się z oparów. Przerażliwy ból pod mostkiem promieniował do żuchwy i uszu. Centymetr po centymetrze odsunął kratę na bok. Oceniał głębokość wody na jakiś metr. Za mało, żeby zamortyzować skok. Był bliski omdlenia i zlany potem, no i prawdopodobnie miał świeży zawał serca. Szanse przeżycia w tym tunelu nie były duże. Lepiej ukryć się za podestem turbiny. Może ktoś go uratuje.

W chwili gdy Perchek wynurzył się z kłębow pary, odczołgał się za betonowy postument. Obok stał wózek z narzędziami. Harry lewą ręką podniósł ciężki młotek. Dobra broń, pomyślał, choć nie miał wielkiej nadziei, że będzie miał okazję jej użyć.

Perchek obserwował teren. Zajrzał do tunelu. Otwarta krata świadczyła, że Harry tu był, ale zdeorientowała Percheka.

Harry ścisnął młotek patrząc, jak Doktor kuca nad otworem, zastanawiając się, czy wskoczyć. Ból w piersi utrudniał mu oddychanie. Nagle Perchek wstał, odwrócił się od tunelu i zaczął rozglądać się dookoła. Harry zaklął w duchu. Musi coś zrobić: albo zaatakować Doktora, albo przedostać się na schody. Perchek ponownie ukląkł i zajrzał do kanału.

Harry zerwał się nagle na równe nogi i ze wszystkich sił, które mu jeszcze zostały, pchnął w stronę Percheka wózek z narzędziami. Syk pary i łomot maszynerii zagłuszyły odgłos toczących się kół. Doktor wyczuł coś i odwrócił się, ale było już za późno. Wózek rąbnął go w plecy i zepchnął do otworu. Perchek z pluskiem wpadł do wody. Harry omal nie stracił przytomności. Z trudem łapał oddech. Kiedy doszedł do siebie, zobaczył Doktora poniżej, szukającego pod wodą swojego rewolweru.

Ostatkiem sił zmusił się do działania. Ukląkł przy kracie i z ogromnym wysiłkiem wepchnął ją z powrotem. Perchek podniósł wzrok w momencie, gdy krata znalazła się na swoim miejscu. Harry'emu wydało się, że zobaczył w oczach tego człowieka strach. Przypomniał sobie o pulpicie sterowniczym. Jeśli uda mu się zamknąć odpływ, woda podniesie się i Perchekowi trudniej będzie znaleźć broń. Warto spróbować. Podniósł się z trudem i przycisnął przełącznik. Gdzieś spod ziemi rozległ się szcęk zaworów. Harry osunął się twarzą na betonową podłogę, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu, z trudem łapiąc oddech. Światła przygasły. Hałas ścichł.

Mijał czas. Minuta? Godzina?

Nagle krata tuż przy twarzy Harry'ego poruszyła się. Otworzył oczy i przez szarą mgłę zobaczył palce Percheka ścisnąjące metalowe pręty i wypychające kratę krótkimi energicznymi ruchami. Poziom wody podniósł się i Perchek wypłynął do góry. Nie miał dobrego uchwytu, ale był tak silny, że mógł odsunąć kratę. Za parę sekund będzie wolny. Borykając się ze słabością i bólem, Harry podniósł się na łokciu i powoli przetoczył się na plecy, na kratę. Nie mając sił się ruszyć, leżał z rozłożonymi rękami. Palce Percheka rozpaczliwie szarpały jego włosy, koszulę i szyję.

– Corbett, odsuń się! Odsuń! – wołał Doktor.

– Niech cię szlag trafi... – wymamrotał Harry.

– Corbertt...

Perchek zamilkł nagle. Jego palce przestały się poruszać. Harry czuł kojący chłód wody, która podnosiła się wokół niego, wypływając na podłogę. Palce, które przed chwilą trzymały pręty, ześlizgnęły się. Mijały minuty. Woda nadal podnosiła się, sięgając szyi i uszu.

Nagle umilkła kakofonia maszyn i syk pary.

Nie żyję, pomyślał Harry. Ale Perchek też...

Jakaś ręka potrząsnęła lekko jego ramieniem. Spróbował przebić wzrokiem mgłę. Obok niego klęczał inżynier z kabiny sterowniczej. Zobaczył żółty kask i łagodne piwne oczy schowane za okularami ochronnymi.

– Człowieku, czyś ty zwariował? Co tu robisz na dole? Omal nie zginąłeś.

Epilog

2 września

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył Harry, był kalendarz na ścianie naprzeciw łóżka. Drugi września. Klątwa Corbettów plus jeden dzień. Już przedtem ocknął się raz czy dwa i pamiętał, że coś do niego mówiono. Miał chyba operację. No tak, przez resztę życia będzie inwalidą, zawałowcem, ale przynajmniej żyje.

Jest na oddziale kardiologicznym, chociaż w innym pokoju niż poprzednio. Ma maskę tlenową i popodłączane rozmaite rurki, ale czuje się dobrze. Nadzwyczaj dobrze.

Obok jego łóżka stanęła doktor Zane.

– Niech pan oddycha głęboko, doktorze Corbett. Musi pan głęboko oddychać.

Harry wiedział, że po operacji wszczepienia bypassu ból rozciętego i zszytego z powrotem mostka jest tak silny, że pacjentom trzeba przypominać o konieczności głębokiego oddychania. Zrobił, jak mu kazała lekarka. Poczuł ostry ból z lewej strony, ale nie w mostku. Poruszył nogami. Żadna nie bolała, choć powinna, bo właśnie z nogi pobiera się fragment naczynia do bypassu. Pomacał się ręką po wewnętrznych stronach ud. Żadnych bandaży. Dotknął klatki piersiowej. Skóra nad mostkiem była ogolona, ale nie naruszona.

– Co się dzieje? – zapytał.

– O co panu chodzi?

– No o ten bypass... Jak go zrobiliście bez przecięcia mostka?

Doktor Zane spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Doktorze Corbett, chyba dostał pan za silne znieczulenie.

Już parę razy panu tłumaczyłam, co się stało. Nie robiliśmy panu bypassu i nie zanosi się, żeby kiedykolwiek musiał pan go mieć, jeśli pańskie arteriogramy wieńcowe mówią prawdę. Nie pamięta pan?

Harry pokręcił głową. Carole Zane uśmiechnęła się do kogoś, kto wszedł nagle do pokoju. Była to Maura. Miała siniec pod okiem i opatrunki na czole i policzku, ale mimo to promieniała.

– Cześć, doktorku. Pamięta mnie pan?

– Chyba tak. To pani wyratowała mnie z tego winnebago, prawda? Cieszę się, że jest pani zdrowa.

– Wypisali mnie dziś rano. Dziesięć szwów, ale właściwie nic poza tym. A ty nie miałaś operacji wszczepienia bypassu. Twoje serce jest zupełnie w porządku.

– Nie rozumiem. Przecież ten ból, EKG...

Pokazała mu plastikową torebkę, którą trzymała w ręku. Wewnątrz tkwiła czerwono-brązowa drzazga długości około dziesięciu centymetrów.

– Wyciągnęli z ciebie tę drzazgę. Szczapka bambusa. Nie widać jej było na prześwietleniach. Tkwiła w twoich plecach od Wietnamu i stopniowo przesuwała się naprzód. W końcu czubkiem zaczęła dotykać tylnej ściany serca.

– Kiedy stwierdziliśmy, że arteriogramy są całkowicie prawidłowe, zrobiliśmy panu tomografię komputerową – wyjaśniła Carole Zane. – I znaleźliśmy to. Wyciągnięcie tej drzazgi było całkiem prostą sprawą.

– Rozmawiałam z twoim bratem, i z moim też – powiedziała Maura. – Tom i twój adwokat są teraz w domu Atwatera. Tom mówił, że znaleźli mnóstwo dowodów rzeczowych w sprawie Okrągłego Stołu, w tym również nagrania i dokumenty finansowe.

– Perchek miał gdzieś w mieście mieszkanie – oświadczył Harry. – Tam musiał trzymać swoje przebrania, plakietki identyfikacyjne i trucizny. Jeśli uda się znaleźć to mieszkanie, to będzie w nim także zapas araminy, którą zabił Evie.

– Czy Perchek to ten człowiek, który zabił w windzie policjanta? – zapytała doktor Zane.

– I pielęgniarkę – dodał Harry.

– Nie. Pielęgniarka przeżyła. Miała poważną operację, jednak teraz nic jej nie grozi. Ale w elektrowni znaleziono zwłoki utopionego mężczyzny. Czy to był Perchek?

Harry skinął głową i uśmiechnął się pod maską tlenową. Pomyślał o Rayu Santanie.

– Zostawmy go lepiej na chwilę – powiedziała doktor Zane, poklepała pacjenta dla dodania otuchy, poprawiła przewody i wyszła.

Maura podniosła maskę i pocałowała Harry'ego w usta.

– Bambus – powiedział.

– Bambus – powtórzyła. Poglaskała go po czole i pocałowała jeszcze raz. – Hej, czy ktoś ci już powiedział, że jesteś podobny do Gene Hackmana?